

ALLISON SAFT

NOC

ZIMNEGO

KSIĘŻYCA

PRZEŁOŻYŁ ANDRZEJ GOŹDIKOWSKI

Young

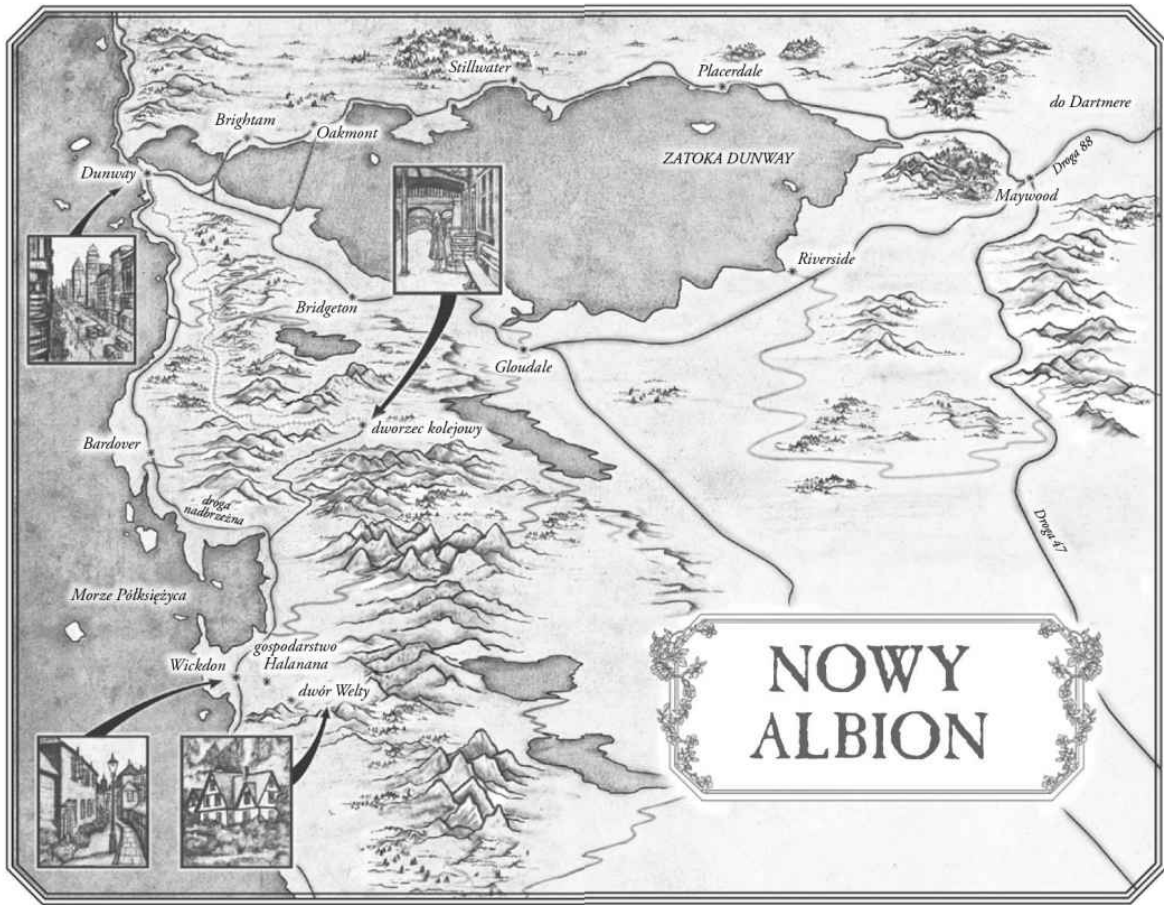
**ALLISON SAFT**

**NOC  
ZIMNEGO  
KSIĘŻYCĄ**

PRZEŁOŻYŁ  
Andrzej Goździkowski



*Dedykuję tym, w których głowach lęgną się najśmielsze  
marzenia, oraz tym, którym wydaje się, że nie potrafią marzyć.  
Gdybyście tylko wiedzieli, jak wiele kryje się za horyzontem.*







argaret nie powinna tego wieczoru przebywać poza domem.

Co prawda był dopiero środek jesieni, ale chłody zdawały się temu przeczyć. Nawet drzewa nie były przygotowane na tak gwałtowne nadejście zimna. Jeszcze wczoraj rano liście za oknem Margaret płonęły w słońcu, szkarłatne niczym krew i złote jak miód. Teraz połowa z nich wyschła i opadła na ziemię. Dla Margaret oznaczało to jedno – niezliczone godziny pracy. Będzie musiała mierzyć się z morzem obumarłych rzeczy.

Dokładnie takich myśli powinna się wystrzegać zdaniem pani Wreford. Margaret mogła sobie z łatwością wyobrazić, jak kobieta strofuje ją słowami: „Maggie, tylko raz w życiu masz siedemnaście lat. Uwierz mi, są znacznie lepsze sposoby na zmarnotrawienie tego czasu niż zajmowanie się domem”.

Ale tak naprawdę nie każdy może pozwolić sobie na lekkomyślność w tym wieku. Poza tym nie każdy chce być jak Jaime Harrington i jego koleżkowie, skaczący do wody z klifów i upijający się po pracy najtańszym bimbrem. Margaret miała zbyt wiele obowiązków, by zawracać sobie głowę takimi głupotami – a co gorsza, skończyło jej się drewno na opał. Odkąd dwa dni temu zapas się wyczerpał, w dworze Welty rozgościł się chłód. Czekał na nią, gdy wypuszczała się poza mury domostwa, jak i wewnątrz nich, emanując z wystygniętego paleniska pełnego białego popiołu. Perspektywa rąbania drewna w tej chwili była jej niewysłowienie wstrętna, ale prawdę mówiąc, nie miała wyjścia – pozostawało jej albo zmarznąć teraz, albo nieco później.

Słońce skrywało się za górami na horyzoncie, zalewając krwistą czerwienią podwórze. Kiedy zajdzie na dobre, zrobi się zimno nie na żarty. Zeszłej nocy chłód nie pozwolił jej zasnąć – godzinami leżała, dygocząc, a teraz cała była obolała, jakby poskładano ją w kostkę i wciśnięto do pudełka po butach. Nie cierpiała rąbać drewna na opał, ale zwlekając z tym, ryzykowała, że nazajutrz znów będzie się czuć podobnie.

„Zatem postanowione: zmarznę teraz”.

Naciągnąwszy głębiej na uszy stary kapelusik należący do jej matki, Margaret zeszła z werandy i ruszyła pośród suchych liści, kierując się na podwórze na tyłach domu. Tam, obok zardzewiałej taczki, czekała na nią sterta drewna. Zebraną w taczce deszczówkę ściał wczesny przymrozek, odbijało się w niej niewyraźnie szarzące niebo. Kiedy sięgnęła po leżące najbliżej polano, prześlizgnęła się spojrzeniem po odbiciu własnej wychudzonej twarzy w tafli zamarznętej wody. Wyglądała na wykończoną – i dokładnie tak się czuła.

Ustawiła polano na pieńku i chwyciła siekierę. Kiedy była młodziutka i szczuplutka, w każde uderzenie musiała wkładać całą swoją siłę. Teraz spuszczenie ostrza na polano przychodziło jej równie naturalnie jak oddychanie. Słysząc było świst, gdy metal rozcinał powietrze, po czym zatapiał się w drewnie z donośnym trzaskiem, który płoszył wrony. Margaret poprawiła uchwyt – wtem syknęła przez zęby, czując, jak pod skórę wchodzi jej drzazga.

Przez chwilę przyglądała się kropli krwi, która szybko pęczniała w zagłębieniu dłoni, po czym ją zlizwała. Mroźne powietrze szczypało ranę, na języku czuła metaliczny posmak. Wiedziała, że powinna przeszlifować uchwyt siekiery, zanim dorobi się kolejnego skaleczenia, ale teraz nie miała na to czasu. Zresztą zawsze brakowało go jej na wszystko.

W normalnych okolicznościach przygotowałyby się lepiej do zimy, ale jej matka od trzech miesięcy nie wracała do domu i Margaret, nie mając nikogo do pomocy, nie nadążała z obowiązkami. Należało uszczelnić okna, wymienić niektóre gonty w dachu, wyprawić skóry. Gdyby posłuchała matki i wyuczyła się alchemii, miałyby teraz o wiele łatwiej. Ale Margaret była nieugięta – niezależnie od tego, w jak rozpaczliwej sytuacji się znajdzie i jak

bardzo będzie doskwierał jej głód, nigdy nie ucieknie się do stosowania alchemii.

Pośród ludzi nie było zgody co do tego, czym tak naprawdę jest ta cała alchemia. Najbardziej pragmatyczni pośród uczonych powiadali, że to proces poszukiwania najprostszycch składników materii, jej esencji, a tym samym droga prowadząca do zrozumienia świata. Bogobojni kataryści uważali, że alchemia ma moc oczyszczającą oraz że oczyścić może wszystko, nawet człowieka. Ale Margaret знаła prawdę – alchemia nie oznaczała postępu ani zbawienia. To odór siarki, którego za nic nie może potem wyplenić ze swoich włosów. To spakowane walizki i zamknięte drzwi. To krew i atrament na podłodze.

Przeżyje bez tego do czasu, aż matka wróci do domu – o ile w ogóle wróci. Margaret przegnała tę wątpliwość, kiedy tylko zaświtała jej w głowie. Evelyn często podróżowała w celach naukowych i zawsze wracała. Tym razem po prostu zeszło jej trochę dłużej i tyle.

„Gdzie się podziewasz, matko?”

Przed laty, gdy jeszcze miała na to siłę, wspinała się na dach i wyobrażała sobie, że widzi wszystko w promieniu tysiąca mil – dostrzega fantastyczne miejsca, które skradły jej Evelyn. Niezależnie od tego, jak wyteżęła imaginację, na niewiele się to zdawało. Przed sobą widziała jedynie zwyczajną, polną drogę ciągnącą się w dół zbocza. W oddali leżało senne miasteczko, żarzące się lekko niczym świetlik. Za złotymi polami żyta i mietlicy połyskliwa czerń Morza Półksiężycy przywodziła na myśl rozgwieżdżone niebo. Los poskąpił jej bujnej wyobraźni, Wickdon był wszystkim, co znała. Nie umiała nawet się domyślić, jak może wyglądać świat leżący dalej.

W wieczory takie jak ten jej najbliżsi tłoczyli się razem dla odegnania chłodu, gotowali zupę rybną i dzielili się chlebem. Wspomnienie bolało, ale tylko trochę. W gruncie rzeczy całkiem nieźle znosiła samotność, lubiła takie życie. I tylko ponura perspektywa jedzenia gotowanych ziemniaków na obiad, mających oszukać głód, przyprawiała o rozpacz. Żołądek zagrał jej marsza, poczuła na karku liźnięcie lodowatego wiatru. Trzymające się jeszcze gałęzi, żywe liście zdrzżały i zasyczały niczym przełamujące się fale.

Sza, zdawały się mówić. Posłuchaj.



Wtem świat dookoła znieruchomiał, jakby wstrzymując oddech. Ramiona Margaret momentalnie pokryły się gęsią skórką. Spędziła w tych lasach siedemnaście lat i nigdy dotąd się ich nie bała. Ale teraz działo się coś, czego nie знаła – otaczający ją mrok zdawał się lgnąć do skóry, oblepiając ją warstwą zimnego potu.

Od strony drzew dobiegł trzask łamanej gałęzi, głośny niczym wystrzał. Margaret błyskawicznie odwróciła się ku miejscu, z którego doleciał hałas. Instynktownie obnażyła zęby, wznosząc siekiere do ciosu.

Ale to tylko Kłopot, jej pies gończy rasy coonhound. Kiedy tak stał, lekko strzygąc swoimi olbrzymimi oklapniętymi uszami, z lśniąca rudą sierścią, wydawał się zarówno majestatyczny, jak i komiczny. Margaret opuściła broń, ostrze siekiery opadło na zamarznąłą ziemię, wydając głuchy odgłos. Psiak musiał wymknąć się z domu frontowymi drzwiami, gdy była czymś zajęta.

– A co ty tu robisz? – spytała zawstydzona, że czworonóg napędził jej strachu. – Aleś mnie wystraszył!

Kłopot zamerdał ogonem, ale nadal całą jego uwagę absorbował pobliski las. Najwidoczniej on też to poczuł – osobliwe napięcie w powietrzu, jakby zbierało się na burzę. Margaret pożałowała, że zamiast siekiery nie ściska w garści strzelby.

– Kłopot, spokój.

Pies zerknął przelotnie na swoją panią i zaraz powrócił do sondowania wzrokiem niewidzialnego zagrożenia. Dziewczyna westchnęła poirytowana, jej oddech uniósł się w powietrze w postaci białego obłoczka. Wyglądało na to, że jej komendy nie mogły rywalizować z potęgą zapachu. Gdy Kłopot coś zwęszy, nic nie skłoni go do porzucenia tropu. Jako pies myśliwski nie miał sobie równych, choć równocześnie był uparty jak osioł.

Ze zdziwieniem uświadomiła sobie nagle, jak bardzo oboje wyszli z wprawy – i jak mocno tęskni za ekscytacją polowania. Pani Wreford w pewnym sensie miała rację. Życie nie powinno się ograniczać do ratowania starego dworu przed popadnięciem w ruinę, a ona, jako siedemnastoletnia dziewczyna, mogłaby trwonić swój czas na czymś znacznie ciekawszym niż walka o przetrwanie. Tyle że pani Wreford umykał jeden zasadniczy szczegół, którego zapewne

nigdy nie pojmie: Margaret dbała o ten dom nie ze względu na siebie, lecz na Evelyn.

Zawsze zanim matka wyruszyła w kolejną podróż, na odchodnym mówiła: „Kiedy tylko znajdę to, czego wymagają moje badania, znowu będziemy rodziną”. Dla Margaret była to najśodsza z obietnic, jakie mógł złożyć jej świat. W rzeczywistości ich rodzina nigdy już nie będzie kompletna, ale to właśnie sprawiało, że wspomnienia z epoki „sprzed” były najdroższe jej sercu: zanim zmarł jej brat, zanim odszedł od nich ojciec, a alchemia wypaliła całą czułość, jaką niegdyś emanowała jej matka. Margaret ceniła te wspomnienia najbardziej, były niczym kamyki, które od ciągłego obracania w dłoniach stawały się gładkie, ciepłe, znajome.

Raz w tygodniu całą czwórką wyprawiali się do Wickdon na zakupy spożywcze. W drodze powrotnej Margaret zawsze udawało się ubłagać matkę, żeby ta niosła ją do domu. I nawet gdy podrosła na tyle, że noszenie jej na rękach było nie lada wyczynem, Evelyn i tak podnosiła ją z ziemi ze słowami: „Kiedyś ty tak urosła, panno Maggie?” i zasypywała córkę pocałunkami, doprowadzając ją do histerycznego śmiechu. Kiedy Margaret drzemała w objęciach mamy, wszystko wkoło zdawało się zamglone i skąpane w złotych plamach słońca sączącego się przez korony drzew. I mimo że od domu dzieliło je aż osiem kilometrów, Evelyn nigdy nie narzekała, że jej ciężko, i nigdy nie odstawiła córki na ziemię.

Tak, gdy tylko Evelyn załatwi swoje sprawy, wszystko znów będzie po staremu. Będą razem, szczęśliwe. To coś, na co warto czekać. Z tą myślą Margaret znów zamachnęła się siekierą i pozwoliła, by ostrze rozłupało polano. Schylała się, żeby podnieść z ziemi szczapki, gdy po plecach przeszły jej ciarki.

Spójrz tam, ponagłał wiatr. Patrz.

Niespiesznie uniosła spojrzenie ku drzewom. Włosy, targane podmuchami, zasłaniały jej twarz i wpadały do oczu, lecz miała wrażenie, że w oddali dostrzega jedynie mroczną ścianę lasu. Jedynym dźwiękiem mącącem ciszę był dobiegający z góry szelest liści, przybierający na sile z każdą chwilą.

I nagle to dojrzała.

W pierwszej chwili mogłaby to wziąć za przywidzenie – jakiś jasny kosmyk sunący w bok przez poszycie na podobieństwo

dryfującej na ciemnym morzu łodzi. Ale zaraz potem w mroku zapaliła się para okrągłych, nieruchomych ślepi. Dalej ukazał się podłużny, ostry pysk, odcinający się wyraźnie na tle ciemności, która zdawała się opływać go niczym woda. Wreszcie, niczym mgła podnosząca się znad morza, na zalanym księżycowym blaskiem pustkowiu ukazał się biały lis, wielkością dorównujący Kłopotowi. Margaret nigdy wcześniej nie widziała takiego zwierzęcia, jednak doskonale wiedziała, czym ono jest. Była to pradawna istota, znacznie bardziej sędziwa nawet od otaczających ją potężnych sekwoi.

Nazywali ją hala.

Każde dziecko w Wickdon znało legendy o hali, ale dla Margaret miały one wyjątkowe znaczenie – kiedy po raz pierwszy usłyszała takie podanie poza domem, zrozumiała, że jej rodzina różni się od pozostałych. Według nauk Kościoła katarystycznego hala i jej podobne stworzenia, czyli demiurgowie, to istoty demoniczne. Ojciec Margaret nie zgadzał się z takim stawianiem sprawy – jego zdaniem nic, co stworzył Bóg, nie mogło być złe. Yu’adir czcili halę jako świętość, kryjącą w sobie boską wiedzę.

„Nie skrzywdzi cię, jeśli okażesz jej szacunek”.

Margaret zastygła w bezruchu.

Hala wbiła w nią spojrzenie swoich nieskazitelnie białych, pozbawionych źrenic ślepi. Wzrok stwora miał wyczuwalną wagę, niczym dotknięcie ostrza przyłożonego do gardła. Lis tylko rozchylił pysk, a widok ten wystarczył, by jakieś małe zwierzątko kryjące się w umyśle Margaret pisnęło ze strachu. Sierść na grzbiecie Kłopoty się zjeżyła, z jego gardła dobyło się stłumione warczenie.

Margaret wiedziała, że jeśli pies rzuci się na lisa, ten w ułamku sekundy go rozszarpie.

– Kłopot, noga! – zawołała głosem, w którym pobrzmiwała desperacja.

To wystarczyło, by wytrącić czworonoga z transu. Ruszył ku niej, strzygąc uszami, wyraźnie skonsternowany.

Nim Margaret zarejestrowała, co się dzieje, lis przepadł. Nie zdążyła nawet mrugnąć.

Szemrzący w liściach wiatr powtarzał echem jej nierówny oddech. Chwiejnym krokiem zbliżyła się do Kłopoty, uklękła przed nim i zarzuciła mu ramiona na kark. Okropnie cuchnął – wydzielał

drożdżowy fetor, jaki roztacza wokół siebie mokry pies. Ale na szczęście nie był ranny, to najważniejsze. Jego psie serce biło do rytmu z jej własnym – Margaret nigdy nie słyszała piękniejszej muzyki.

– Dobry chłopak... – szepnęła łamiącym się głosem. – Przepraszam, że na ciebie krzyknęłam. Bardzo przepraszam.

Czego właściwie była świadkiem? W miarę, jak odzyskiwała jasność myślenia, początkowo odczuwana ulga bledła, a jej miejsce zajmowała straszliwa myśl: skoro ta bestia dotarła już tutaj, do Wickdon, należy się spodziewać, że wkrótce przybędzie tu również Gon Półksiężycy.

Co roku jesienią hala pojawiała się w innym miejscu nadbrzeżnego lasu. Zostawała na pięć tygodni, siejąc grozę wśród miejscowych, lecz ostatecznie znów przepadała rankiem po Zimnym Księżycu. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego właściwie się pokazywała, dokąd wybierała się potem ani dlaczego jej siła wzrastała, w miarę jak przybywało księżycy. Najbardziej majątnych w społeczności Nowego Albionu te powtarzalne wizyty na połę mitycznej bestii skłoniły do uczynienia z łowów na nią czegoś na kształt sportu narodowego.

W tygodniach poprzedzających gon z całego kraju ściągali turyści. Do udziału w zawodach zgłaszali się zarówno łowcy, jak i alchemicy w nadziei zdobycia chwały należnej temu, kto ubije prawdziwego demiurga. W nocy Zimnego Księżycy łowcy dosiadali koni, by ruszyć w pogoń za halą. Kształt okręgu kryje w sobie alchemiczną moc, a jedna z legend głosiła, że demiurga można pokonać jedynie pod księżycem w pełni. Oczekiwanie dodawało tylko smaku samym łowom. Zarówno uczestnicy polowania, jak i widzowie gotowi byli zapłacić własną krwią za przywilej ścigania hali w momencie, gdy była u szczytu swoich możliwości. Im większe spustoszenie siała w danym sezonie, tym bardziej emocjonujące stawało się polowanie.

Od blisko dwudziestu lat gon omijał Wickdon, ale Margaret nasłuchiwała się opowieści o nim w porcie. Mówiono o ujadaniu psów, którym magia hali odebrała rozum. O huku wystrzałów. Ryku koni, których ciała, jeszcze za życia, rozrywał biały lis. Odkąd pamiętała, gon funkcjonował w jej świadomości jedynie jako krwawy mit. Mogli

się z nim mierzyć tylko prawdziwi bohaterowie Nowego Albionu, a nie zwykła wiejska dziewczucha, której ojciec był wyznawcą wiary Yu'adir. Z tego powodu gon nigdy nie wydawał jej się prawdziwy. Aż do teraz, gdy nagle przybył pod jej drzwi.

Był tak blisko, że mogłaby się zapisać do udziału w łowach. Mogłaby zwyciężyć.

Myśl, że ojciec byłby nią rozczarowany, przyniosła chwilowe opamiętanie. Ale właściwie co jeszcze była mu winna? Owszem, w jej żyłach płynęła krew Yu'adir, ale przecież była mieszańcem, a to oznaczało, że nie miała prawa przypisywać sobie powinowactwa z halą. Poza tym kto wie, może zgładzenie jej w szlachetnym celu było największym hołdem, jaki mogła oddać takiemu stworzeniu? Margaret nie zależało na tym, by jej imię wyśpiewywano w pubach. Podziw w oczach obcych ludzi nigdy nie był jej celem – pragnęła jedynie zasłużyć na uznanie własnej matki.

Opuściła powieki i przywołała w pamięci obraz Evelyn – we wspomnieniu jej ciemna sylwetka odcinała się na tle słońca. Stała zwrócona plecami do dworu, z walizką w dłoni i złotymi włosami rozwianymi na wietrze. Wyruszająca dokądś. Jak zawsze.

Ale gdyby teraz Margaret zwyciężyła w gonie, być może nagroda sprawiłaby, że matka nie musiałaby nigdy więcej wyjeżdżać.

Pieniądze, sława i truchło pokonanej bestii – o to toczyła się rywalizacja. Dla większości łowców zewłok hali byłby trofeum, czymś, co należy wypchać i powiesić na ścianie. Evelyn potrzebowała go do badań nad alchemicznym *magnum opus*. Jej zdaniem mistycy przed wiekami wierzyli, iż gdy spopieli się w alchemicznym ogniu kości demiurga, uzyska się *materia prima*, to znaczy substancję pierwszą, podstawę wszechrzeczy. Z powstałego boskiego eteru alchemik mógłby wykuć kamień filozoficzny, zapewniający nieśmiertelność i umożliwiający tworzenie materii z nicości.

Wyznawcy Kościoła katarystycznego uznawali wszelkie próby uzyskania *materia prima* za działanie heretyckie. Evelyn należała do garstki alchemików Nowego Albionu, którzy kontynuowali badania w tej dziedzinie. Stworzenie kamienia filozoficznego stało się życiowym powołaniem i samotniczą misją matki Margaret. Wiele lat pochłonęły jej poszukiwania bezcennych rzadkich rękopisów, które tłumaczą, w jaki sposób się do tego zabrać. Kiedy przed trzema

miesiącami znów udawała się za granicę, zamierzała sprawdzić kolejny trop. Teraz jednak hala – jedno z ostatnich brakujących ogniów w jej badaniu – zjawiała się na progu ich domu.

Z rozmyślań wyrwał ją Kłopot, który nagle wierzgnął, próbując wyrwać się z uchwytu Margaret.

– Nie ma mowy – powiedziała. Chwyciła psiaka za uszy, po czym pocałowała go w czubek głowy. Kłopot się wzdrygnął, widać było, że nie jest tym zachwycony. Margaret uśmiechnęła się, widząc jego reakcję. Dręczenie tego czworonoga było jedną z jej niewielu rozrywek.

Kiedy go w końcu puściła, wstrząsnął z oburzeniem łbem i odbiegł. Ale po paru susach zatrzymał się w miejscu, w którym już nie mogła go schwycić. Stał z dumnie uniesioną głową, wysuniętym jęzorem i jednym odchylonym uchem, ukazującym różowe wnętrze. Margaret parsknęła śmiechem – był to pierwszy śmiech, na jaki pozwoliła sobie od wielu dni. Kłopot tak naprawdę darzył ją miłością, lecz duma kazała mu nie zdradzać się z tym uczuciem. Ona natomiast kochała go najmocniej na świecie i wcale nie próbowała udawać, że jest inaczej.

Wtem do głowy przyszła jej myśl, która ją zmroziła. Kłopot, owszem, był świetnym psem myśliwskim, ale najlepsze lata miał już za sobą. Wzięcie udziału w gonie byłoby tylko fanaberią, nie mogła narażać swojego czworonożnego przyjaciela na niebezpieczeństwo dla takiej głupoty. Poza tym do rozpoczęcia zawodów zostało niewiele czasu, a ona była nieprzygotowana. Nie miałyby też z czego uiścić opłaty wpisowej. Co gorsza, nie знаła żadnego godnego zaufania alchemika, o ile w ogóle byli na tym świecie tacy. Było to o tyle istotne, że w łowach brały udział zespoły dwuosobowe – składające się z jednego strzelca i jednego alchemika.

Poza tym Margaret wiedziała tylko o jednej niezawodnej technice pozwalającej na pokonanie demiurga. Wymagała ona użycia alchemii, przed którą wzdragał się jej umysł... Wolałaby umrzeć, niż oglądać, jak ktoś wykorzystuje ten sposób.

Zresztą nawet jeśli istniała inna metoda, i tak nie miałyby to żadnego znaczenia. Gdyby ktoś odkrył, że w gonie uczestniczy dziewczyna Yu'adir, ludzie nie daliby jej spokoju, jej życie zmieniłoby się w koszmar. Zdołała zająć tak daleko tylko dlatego, że nauczyła się

nie wychylać. „Tak będzie lepiej”, pomyślała. Powinna szybko zdusić nadzieję, która zrodziła się w jej sercu, poderżnąć jej gardło, zamiast biernie się przyglądać, jak marnieje niczym wilk złapany we wnyki. W głębi duszy Margaret przeczuwała, jak kończą się takie historie; jaki los czeka tych, którzy marzą o tym, co znajduje się poza ich zasięgiem. Kto wie, może w kolejnym życiu będzie mieć więcej szczęścia. Ale na pewno nie w tym.

Z pogoni za białym lisem nie mogło jej przyjść nic dobrego.







zoło Wesa boleśnie zderzyło się z chłodną szybą, wyrrywając go ze snu.

Taksówka toczyła się po wybojach, a zawrozenie silnika do złudzenia przypominało upiorny śmiech. Mężczyzna zmiął w ustach przekleństwo, rozmasowując obolałe miejsce na czaszce. Chwilę potem brzegiem rękawa startł ślinę, która w trakcie snu spływała mu z kącika ust na brodę.

Piąta Dzielnica też nie słyęła z dobrze utrzymanych dróg, ale to, z czym zetknął się tutaj, zakrawało wręcz na absurd. Powiedziano mu, że Wickdon od dworca kolejowego dzieli półtorej godziny jazdy. Teraz jednak Wes z wolna uświadamiał sobie, że prawdopodobnie nabawi się wstrząsu mózgu, nim stanie pod drzwiami domu Evelyn Welty.

– Pobudka? – Hohn, kierowca, wyszczerzył w uśmiechu zęby do lusterka wstecznego.

Hohn był mężczyzną w średnim wieku, o sympatycznej, wysmaganej przez wiatr twarzy i podkreślonych blond włosach. Przejazdźka jego taksówką kosztowała Wesa niemal całe oszczędności. Pocięszał się, że jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, nieprędko będzie musiał dostać się z powrotem do miasta.

– Ano – przyznał, siląc się na wesołość. – Sielsko tu, nie ma co. Hohn parsknął śmiechem.

– Cóż, poza samym Wickdon nie uświadczy pan tu wielu samochodów ani dróg. Mam nadzieję, że umie pan jeździć konno.

Wes nie umiał. Jedyne koźmi, jakie widział w życiu, były olbrzymie, ospałe bestie ciągnące powozy, którymi bogacze wozili się

po parku. Poza tym podejrzewał, że napytałby sobie biedy, gdyby wyszło na jaw, że zapisał się na lekcje jazdy. Dzieciaki z Piątej Dzielnicy nie jeździły konno.

Terminowanie jeszcze się nie zaczęło, a już napotkał pierwsze problemy.

„Tylko nie narzekaj”, strofował się w myślach. Sam sobie był winny, że wylądował na tym końcu świata. To znaczy wina w przeważającej mierze leżała po jego stronie. A właściwie tylko częściowo. W niewielkim stopniu.

W ciągu ostatnich dwóch lat Wes terminował u niezliczonej ilości alchemików. Kiedy pierwszy raz wyleciał, mama przyjęła to z oburzeniem, że nie doceniono jej syna. Za drugim razem była już wściekła na niego. Trzecie niepowodzenie syna wprowadziło ją w milczące osłupienie. I tak to trwało, w cyklu naprzemiennych napadów złości i zdumienia – aż do zeszłego tygodnia. Kiedy oznajmił jej, że wybiera się do Wickdon, matka posadziła go przy stole i złożyła mu dłonie z taką czułością, że musiała upłynąć chwila, nim Wes przypomniał sobie, że powinien reagować opryskliwie na te jej zabiegi.

– Kocham cię, mój skarbie. Dobrze o tym wiesz. Ale czy przyszło ci do głowy, że być może twoim powołaniem wcale nie jest kariera alchemika?

A jakże, nachodziły go takie myśli. Zresztą czy mogło być inaczej, skoro cały świat się sprzyścił, żeby przypominać mu, iż syn banwiskich imigrantów nigdy nie zostanie prawdziwym alchemikiem? Lecz dopiero teraz, widząc, ile siwych włosów przybyło matce, po raz pierwszy poważnie zastanowił się nad taką ewentualnością.

Czasami dopadało go zwątpienie – o ile łatwiej byłoby nająć się do pierwszej lepszej roboty, zając czymkolwiek, tak by jego rodzina nie musiała już dłużej klepać biedy. Od wypadku ojca Wes widział, jak późnym wieczorem matka wraca do domu po pracy na dwie zmiany i moczy dłonie w podgrzanej parafinie. Widział, jak jego najmłodsza siostra Edie chudnie w oczach, a najstarsza siostra Mad staje się coraz bardziej pyskata. Większość nocy spędzał na rozmyślaniach, co z nim jest nie tak: dlaczego większość tego, co czyta, zaraz zapomina; dlaczego nie umie odgadnąć znaczenia obcych słów widzianych na kartce; dlaczego jego nauczyciele są zdania, że

talentem ani pasją nie nadrobi swoich ewidentnych „ograniczeń”? Wszystko to sprawiało, że nabierał wstrętu do samego siebie. Buzujący w nim gniew i niepokój sprawiały, że czuł się wręcz chory.

Wes miał świadomość, że posiada pewien rodzaj wrodzonej magii, czarów bardziej przyziemnych od alchemii: kiedy mówił, ludzie go słuchali. O ile dar ten okazał się przydatny podczas szukania mistrza, u którego mógłby się szkolić, o tyle bynajmniej nie pomagał czeladnikowi w utrzymaniu się na praktykach. Wystarczyło, że oblał pisemny egzamin, a wydawało mu się, że dla jego nauczycieli to tylko potwierdzenie ich przypuszczeń. Wszyscy mówili to samo: „Powinienem był wiedzieć, że dawanie szansy takiemu jak ty nie jest dobrym pomysłem”. Mimo że nigdy nie powiedzieli tego wprost, było jasne, co mają na myśli, wypowiadając przez zaciśnięte zęby owo „takiemu jak ty”: Banwiszowi.

W całym obszarze metropolitalnym Dunway nie pozostał już żaden alchemik, u którego Wes nie próbowałby swoich sił i który po jakimś czasie nie podziękowałby mu za współpracę. Z niektórymi zresztą nie miał okazji się zapoznać, ponieważ na swoich zakładach wywieszali jednoznaczny komunikat: „BANWISZE NIE SĄ MILE WIDZIANI”. Jedyny wyjątek stanowiła Evelyn Welty, zamieszkała w miasteczku tak maleńkim, że nawet nie figurowało na mapie.

Trema i choroba lokomocyjna sprawiły, że Wesowi żołądek podchodził do gardła. Opuścił szybę w oknie i wystawił twarz na wiatr. Na widok ogromu błękitnego nieba zrodziła się w nim obawa, że jeśli nieostrożnie zaczerpnie zbyt wielki haust, utopi się w tym bezmiarze. W mieście, które opuścił, dominowała szarość; smog, beton i płaski pas zatoki – wszystko było szare. Za to tutaj krajobraz zmieniał się jak w kalejdoskopie. Wzdłuż wybrzeża skaliste urwiska porośnięte były ciernistymi krzewami i błękitnymi kwiatami polnymi. Nieco dalej stały lasy iglaste, z potężnymi sekwojami. Oglądając zadarte w górę gałęzie jodły, Wes nie mógł pozbyć się skojarzenia, że każde drzewo pokazuje mu środkowy palec.

Kiedy wspominał sąsiadom, dokąd się wybiera, wszyscy częstowali go tymi samymi frazesami: „Mała miejscina! Nic się tam nie dzieje! No ale przynajmniej powietrze mają czyste”. Spośród wszystkich życzliwych komentarzy, jakie sprowokował swoim wyznaniem o wyjeździe, to o czystym powietrzu okazało się mieć

najmniej wspólnego z prawdą. Owszem, powietrze tu było wolne od typowo miejskich zanieczyszczeń, ale za to smakowało jak sól. A co gorsze, za sprawą setek mew wygrzewających się na piasku stale unosił się w nim odór schnących wodorostów i rozkładających się ryb.

Słowem: uroki prowincji.

Wes pomyślał, że jeszcze chwila i wiatr rozczochra mu włosy, które rano starannie, z pomocą swoich sióstr, zaczesał do góry. Szybko zamknął okno i przejrzał się w szybie. Dzięki Bogu fryzura zachowała swój pierwotny kształt. Christine i Colleen nie żałowały żelu i praktycznie przykleiły jego włosy do skóry czaszki. Wesowi zależało, aby nic, ani jeden niesforny kosmyk, nie popsuło pierwszego wrażenia, jakie miał nadzieję wyrzucić na alchemiczce.

– Powiedz no, Hohnie, często bywasz w tych okolicach?

– A i o wszem, zdarzało mi się, kiedy byłem młodszy. Mają tutaj najlepsze łowy na lisa w całym kraju. Ludzie powiadają też, że w ciągu najbliższych paru tygodni odbędzie się tu gon. – Po chwili kierowca dodał: – Kiedy ostatnio odwiedziłem Wickdon, byłem w twoim wieku.

Większość kraju miała bzika na punkcie gonu. Wes nie uważał się co prawda za nazbyt pobożnego wyznawcę sumizmu, a jego kompas moralny nie należał do surowych, ale nawet w jego odczuciu sama koncepcja Gonu Półksiężycy miała w sobie coś świętokradczego.

W tradycji sumickiej przyjmowano, że Bóg stworzył demiurgów z własnego ciała. Byli wcieleniem jego boskości, a tym samym powinni wzbudzać strach i szacunek. Posążki demiurgów mama Wesa umieszczała w doniczkach, w których rosły kwiaty, i przysypywała ziemią, a ich obrazy wieszała na ścianach. Niekiedy, gdy coś jej się zapodziało, odmawiała półgłosem modlitwę do jednego z nich. Kiedy indziej prosiła, by ten czy ów wstawił się za nią u Boga, którego najwyraźniej zaprzętały inne sprawy i dlatego nie odpowiadał na jej modły. Dla katarystów takie praktyki były w najlepszym razie przejawem bałwochwalstwa, w najgorszym zaś – herezją. Przemawiała przez nich ta sama niechęć, która kazała im zaglądać do imigranckich dzielnic i ciskać kamieniami w witrażowe okna sumickich świątyń.

Wes nie mógł mieć pewności, jakie myśli lęgną się w głowie Hohna ani jaką wersję Boga, o ile w ogóle jakąś, wyznaje jego kierowca. A ponieważ wolał nie ryzykować przedwczesnej wysiadki, rzucił ostrożnie:

– Ach tak?

– Jeśli mam być szczery, to nie jest miejsce, do którego warto zaglądać – stwierdził Hohn. Obrzucił oceniającym spojrzeniem pasażera i dodał: – Proszę wybaczyć śmiałość, synu, ale nie wyglądasz mi na mężczyznę, którego interesowałoby polowanie na lisa. Co cię tu sprowadza?

– Jestem alchemikiem – oświadczył Wes, co spotkało się z pełnym uznania pomrukiem kierowcy. – Terminuję u Evelyn Welty.

Nie było to kłamstwo, ale też nie cała prawda. W rzeczywistości Wes nie doczekał się odpowiedzi na swój list do mistrzyni Welty, no ale jak świetnie wiedział, była z niej bardzo zapracowana kobieta. Za każdym razem, gdy dostawał się na kolejne praktyki, sympatię mistrzów zjednywał sobie rozmową w cztery oczy. Martwił się co prawda, że urok osobisty zaczyna go zawodzić, liczył jednakże, że przysłuży mu się ten ostatni raz.

– U Evelyn Welty? No to życzę szczęścia.

Wes wiedział, że bez niego się nie obejdzie.

– Dzięki.

Nasłuchał się już plotek. Żaden z terminujących u niej uczniów nie przetrwał pierwszych dwóch tygodni. Powiadali, że w dworze Welty straszy, a nocami po jego korytarzach snują się duchy. Ponoć Evelyn utrzymywała się przy życiu dzięki fotosyntezie. I tak dalej. Wes z doświadczenia wiedział, że wszyscy alchemicy są lekko zdziwaczali. Teoretycznie każdy mógł uprawiać alchemię, ale tylko osoba z predylekcją do obsesji będzie tego prawdziwie *pragnęła*. Adeptci tej sztuki musieli całymi latami studiować księgi z wiedzą tajemną i poznawać skład chemiczny tysięcy różnych obiektów. Ażeby rozłożyć coś na czynniki pierwsze, trzeba wpierw dokładnie wiedzieć, z czego to się składa. A może to nie wiedza, lecz trujące opary siarki przyprawiły alchemików o szaleństwo?

Ale to przecież nic, z czym Wes nie dałby sobie rady. Jeśli nie można inaczej, będzie to wojna na wyniszczenie. Jeśli chodzi o konflikty charakterów, zawsze był górą.

Wreszcie dotarli do cywilizacji. Wickdon, usytuowane na dnie doliny, okazało się uroczym miasteczkiem. Wzdłuż wysadzanych kocimi łbami uliczek stały latarnie o wielokolorowych szybkach. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się barwne chatki i kuszące witrynami sklepiki. W snującej się po ulicach mgiełce żarzyły się lampki rozświetlające szyby wystawowe, na których pyszniły się rozmaite wypieki, warzywa i owoce. Uwagę zwracała wielka liczba wypchanych zwierząt i amunicji, jakiej nie powstydziliby się muzeum wojskowości. Wesa uderzyło jednak co innego: całkowity brak pracowni alchemicznych. W Dunway w każdym kwartale można było znaleźć co najmniej dwie: zakłady jubilerskie handlujące zaczarowanymi pierścieniami, restauracje serwujące jedzenie, którego spożycie miało przynieść różnorakie efekty psychiczne, warsztaty metalurgiczne, wytwarzające nadzwyczaj wytrzymałą i lekką stal, której armia Nowego Albionu zawdzięczała swoją potęgę.

Podczas gdy samochód posuwał się ku centrum miasta, zza drzwi mijanych budynków wyglądali zaciekawieni mieszkańcy. W oknach innych odsuwano zasłony, żeby rzucić okiem na przyjezdnych. Wes zdołał skraść spojrzenie urodziwej młodej kobiety, która zamiatała ulicę przed swoim sklepikiem. Popisując się refleksem, przywołał na usta szeroki uśmiech. Nieznajoma odwróciła się błyskawicznie, jakby w ogóle go nie dostrzegła. Wes przytulił twarz do szyby w oknie, równie lodowatej jak odrzucenie, którego właśnie doświadczył. Reakcja nieznajomej zabolęła go bardziej, niż był skłonny przyznać. Tam, skąd przybywał, był znany i lubiany. *Wszyscy go lubili.*

A w każdym razie było tak, zanim zaczęła się jego zła passa.

Wes spodziewał się, że samochód zatrzyma się przed którymś z tych uroczych, pomalowanych na jasne kolory domków. Ku jego rozczarowaniu taksówka jednak nie zwalniała, podążając dalej ku peryferiom miasta. Latarnie stały tu coraz rzadziej, a koła automobilu zaczęły wkrótce podskakiwać na nierównościach nieutwardzonej drogi. Zerknął przez tylne okno i pośród kłębow spalin zobaczył rzednące światła Wickdon.

– Dokąd jedziemy?

– Do dworu Welty. Evelyn mieszka kawałek za miastem.

Droga wiodła zakosami pod górę. Silnik wył, w miarę jak pokonywali kolejne odcinki wzniesienia. W pewnym momencie Wes odważył się spojrzeć na miasto w oddali i widoczny za nim nieskończony bezmiar oceanu. Woda oglądana z tej odległości pociemniała i wydawała się stalowoszara; tam, gdzie rozświetlał ją przebłysk słońca, przybierała rdzawy kolor. Wkrótce widok zasłoniły sekwoje i przez kilka kilometrów droga wiała się pośród ich gigantycznych pni. Wreszcie pojazd zatrzymał się przed stojącym na odludziu budynkiem z czerwonej cegły.

Mury porastała gęsta warstwa bluszczu, w ogrodzie bujnie pleniły się chwasty, niczym piana podnosząca się znad przepełnionego kufła piwa. Drewniana brama wiodąca na posesję była wyłamana i zdawało się, że tylko cudem trzyma się na zawiasach; stanowiła nie tyle zaproszenie do wizyty, co raczej błaganie o pomoc. Dwór Welty sprawiał wrażenie miejsca, w którym nie powinni zamieszkiwać żadni ludzie – miejsca, o które upominała się przyroda.

Wes wysiadł z pojazdu i uniósł głowę, wpatrując się w rozświetlone okno na piętrze. Było tu znacznie chłodniej niż w Dunway, gdy rankiem udawał się w podróż. Ten chłód nie mógł być naturalny mimo bliskości morza i wysokości, na jakiej się znajdowali. Panujące wokół bezruch i cisza również wydały mu się podejrzane. Zdażył już zatęsknić za gwarem metropolii: za nigdy niemilknącym monotonnym hałasem ulicy i miękkim odgłosem kroków sąsiadów z góry. Za dźwiękami, jakie wydawała krzątająca się po kuchni mama, i głosami wiecznie sprzeczącących się sióstr w sąsiednim pokoju. Tutaj ciszę mąciło jedynie odległe krakanie ptaka, którego gatunku nie był nawet pewny.

Żeby nie wpaść w czarną rozpacz z powodu swojego nowego domu, Wes skupił się na pomaganiu Hohnowi w wyładowywaniu bagaży. Cały jego doczesny dobytek zmieścił się w trzech, dość już sfatygowanych, walizkach i skórzanej teczce z postrzępionym paskiem.

– Pomóc paniczowi wnieść rzeczy do środka? – zainteresował się kierowca.

– Ależ nie, proszę się tym nie kłopotać. Poradzę sobie sam – zapewnił Wes.

Hohn przyjrzał mu się z powątpiewaniem, po czym z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął wizytówkę i wręczył ją klientowi. Wydrukowano na niej nazwisko i numer telefonu taksówkarza. Atrament już nieco spłowieł, jakby kartka tkwiła w kieszeni całe lata.

– Jeśli będzie panicz jeszcze kiedyś potrzebował podwózki...

– Wiem, do kogo się zwrócić. – Uśmiechnął się chłopak. –

Dziękuję panu.

Hohn poklepał go po ramieniu i lekko ścisnął. Ten ojcowski gest sprawił, że Wes poczuł ukłucie tęsknoty.

– No to na mnie już czas. Powodzenia.

Uchyliwszy kapelusza, kierowca wrócił do taksówki i wycofał ją z podjazdu. Kiedy tylko światła reflektorów się oddaliły, w ich miejsce natychmiast wkradł się mrok. Wtedy Wesa dopadło dziwne wrażenie, że ktoś mu się przygląda. Z przestachem zerknął ku oknu na górze, gdzie w ruchliwym blasku ognia rysowała się jakaś ciemna sylwetka.

„Weź się w garść, Winters”.

Wspiął się po trzeszczących schodach na werandę i już po chwili stanął przed czerwonymi drzwiami frontowymi. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł takiego zdenerwowania – ale cóż się dziwić, skoro nigdy dotychczas nie miał tak wiele do stracenia. Zaczesał do tyłu włosy i tak długo uśmiechał się do swojego odbicia w okiennej szybie, aż pozbył się z twarzy wyrazu przerażenia. Wszystko jest w najlepszym porządku, powtarzał sobie. Mowę, którą miał zamiar wygłosić, przećwiczył zawczasu z tysiąc razy. Był gotów. Wydawszy dumnie pierś, zapukał do drzwi i czekał.

Czekał.

Czekał.

Wiatr hulał po werandzie i wciskał się pod jego znoszony płaszczyk, za nic mając taką przeszkodę. Ziąb był straszliwy, a im dłużej Wes wystawał na ganku, dygocząc z zimna, tym bardziej był przekonany, że coś czai się wśród pobliskich drzew. Szelest liści zaścielających podwórze brzmiał niczym tajemnicze szepty. Zdawało mu się, że słyszy, jak coś raz za razem sycząco wypowiada jego imię.

*Weston, Weston, Weston.*

– Proszę, niech ktoś mi otworzy – mruknął pod nosem. – Proszę, proszę, proszę.



Nikt jednak nie nadchodził. Czyżby nie zastał gospodyni w domu? Nie, niemożliwe. Przecież na górze się świeciło. Może zatem nie słyszała jego pukania? Tak, na pewno tak właśnie było. Po prostu nie wiedziała, że ma gościa.

Zapukał jeszcze raz. I znowu. Mijały sekundy, ale nic się nie działo. A co, jeśli gospodyni mu nie otworzy? Co jeśli się wyprowadziła? Albo nie żyje i teraz jej rozkładające się zwłoki spoczywają obok dogasającej świecy, której blask dojrzał w oknie na piętrze? Był tak bardzo skupiony na swoim celu, że w ogóle nie dopuszczał myśli o niepowodzeniu. Tymczasem w rzeczywistości cały jego plan od początku opierał się na dość wątpliwych podstawach – dopiero teraz Wes zaczął uświadamiać sobie całkiem spore prawdopodobieństwo, że zostanie tu sam, zdany na własne siły. Pod wpływem tej niepokojącej, upokarzającej myśli jeszcze bardziej energicznie zaczął się dobijać do drzwi. Wtedy z głębi domu dobiegł dźwięk zbliżających się kroków.

Nareszcie.

Drzwi otworzyły się na oścież i nagle Wes poczuł, jak powietrze uchodzi mu z płuc. Na progu stała dziewczyna. W nikłym świetle werandy przypominała stworzenie rodem z wiersza, który przeczytał, zanim rzucił szkołę; albo jedną z mitycznych istot Sidhe, o których opowiadała mu matka. Zamrugał i jej twarz z wolna zaczęła nabierać ostrości. Miała rozpuszczone złociste włosy. Jej skóra była biała niczym mleko. W głębi duszy Wes przygotowywał się już na nieuchronne miłosne wzruszenie.

Ale nic z tego. Kiedy przyjrzał się dokładniej nieznajomej, dziewczyna okazała się znacznie mniej powabna i bardziej surowa, niż z początku mu się wydawało. No i – jeśli wierzyć katalogom jego siostr – była na bakier z aktualną modą kobiecą: zdradzały ją za długie włosy i także suknia. Pod jej surowym spojrzeniem Wes poczuł, że jest najbardziej nikczemnym i niegodnym zainteresowania stworzeniem, jakie kiedykolwiek odważyło się nawiedzić te progi. Wygięte pogardliwie usta nieznajomej potęgowały tylko to wrażenie.

– W czym mogę służyć? – spytała pozbawionym emocji, lodowatym głosem.

– Czy mam przyjemność z... Evelyn Welty?

– Nie.

To pojedyncze słowo zmroziło go na wskroś.

No jasne, że to dziewczę nie mogło być Evelyn Welty. Przecież zapewne było w jego wieku.

Wes brnął dalej:

– Czy zatem zastałem ją w domu? Nazywam się Weston Winters i...

– Wiem, co pana tu sprowadza, panie Winters – weszła mu w słowo dziewczyna. Jej ton sugerował, że bierze go za oszusta domokrażcę. – Moja matka wyjechała na wyprawę badawczą. Przykro mi, ale trudził się pan na darmo.

Szok był tak wielki, że zanim Wes doszedł do siebie, dziewczyna zamykała już drzwi.

– Zaczekaj!

Została maleńka szparka, ale nawet przez nią Wes widział, jak nieznajoma w zdenerwowaniu napina mięśnie ramion. Panikował, ale nadal coś podpowiadało mu, że jeszcze nie wszystko stracone. Owszem, nieobecność alchemiczki była nieprzewidzianą przeszkodą, lecz teraz powinien skupić się na tym, by znaleźć dla siebie jakiś kąć – resztą zajmie się potem. To była jego ostatnia szansa na zdobycie wykształcenia alchemicznego, właśnie ważyły się jego losy, a wszystko zależało od córki alchemiczki. Sądząc po jej minie, guzik ją obchodziło, czego pragnie przybyły i co się z nim stanie. Ta panna nie dawała mu nic, czego mógłby się ucześcić: żadnego uśmiechu, żadnego przejawu serdeczności. Mierzyła go wzrokiem oczu w kolorze whisky. Wes miał nieprzyjemne wrażenie, że pod jej spojrzeniem z głowy ulatują mu wszystkie myśli.

– A więc... – zaczął, nie bardzo wiedząc, co właściwie zamierza powiedzieć. Szukał po prostu sposobu podtrzymania tej rozmowy. – Co zdaniem panienki mnie tu sprowadza?

– Chcesz praktykować u mojej matki.

– No... w sumie to tak, rzeczywiście. Napisałem do niej list parę tygodni temu, ale nie doczekałem się odpowiedzi.

– Nie umiesz czytać między wierszami?

– Proszę mi pozwolić wytłumaczyć...

– Ależ ja doskonale rozumiem twoją sytuację. Wydaje ci się, że wszystko ci się należy, i dlatego nie musisz nawet trudzić się

planowaniem, bo koniec końców i tak dostaniesz to, na co masz ochotę.

– To nie... – Wes wziął głęboki oddech. Jeśli teraz straci panowanie nad sobą, nic dobrego z tego nie wyniknie. – Coś mi się zdaje, że wyrobiła sobie panienska błędne zdanie na mój temat. Może będzie najlepiej, jeśli zacznę jeszcze raz od początku.

Dziewczyna milczała, ale też nie poruszyła się, co Wes uznał na pomyślny znak.

– Pragnę zostać senatorem – oświadczył. Umilkł, starając się ocenić jej reakcję. Ku jego rozczarowaniu panienska zachowywała stoicki spokój. – Studiowanie alchemii to w mojej sytuacji najlepszy sposób osiągnięcia tego celu. Mojej rodziny nie stać na opłacenie czesnego, a ja zmuszony byłem rzucić szkołę. Bez listu polecającego drzwi uniwersytetu pozostaną dla mnie zawsze zamknięte.

Jedynie alchemikom wolno było parać się polityką. Wprawdzie reguła ta nie była prawem, tym niemniej obowiązywała bezwarunkowo. Od momentu, gdy Nowy Albion wywalczył sobie niepodległość jako demokratyczne państwo, upłynęło już blisko sto pięćdziesiąt lat, lecz w rzeczywistości arystokracja nadal sprawowała zakulisowo rządy. Wes, choć łamał sobie głowę, nie potrafił wskazać na przestrzeni ostatniej dekady choćby jednego polityka, który nie byłby alchemikiem z uniwersyteckim wykształceniem, mogącym się pochwalić przynależnością do katarystycznego rodu i znajomościami wśród innych zamożnych i znakomicie wykształconych ludzi. Jako Banwisz, Wes już zawsze – nawet gdyby się nawrócił – miał pozostać człowiekiem pozbawionym arystokratycznych korzeni. Właśnie dlatego zamierzał skorzystać z nobilitacji, jaką dawały studia alchemiczne.

– W mieście nie brakuje alchemików – stwierdziła dziewczyna. – I po cóż było tak daleko jechać?

Mógłby spytać, skąd wie, że przybywa z miasta, ale uznał, że nie ma sensu: zdradzał go akcent.

– Wszyscy alchemicy pokazali mi drzwi. – Niełatwo było się do tego przyznać, ale jakoś wydusił to z siebie. – Terminowanie u matki panienski to dla mnie ostatnia deska ratunku. Poza nią nie mam już dokąd pójść.

– Skoro oblałeś szkolenia u innych, na tym na pewno sobie nie poradzisz. Moja matka nie toleruje przeciętności.

– Będę pracował ciężiej niż wszyscy uczniowie, jacy dotychczas przewinęli się przez jej warsztat. Przysięgam.

– Żegnam pana, panie Winters. – Jej głos dobiegł zza domykających się drzwi.

„Myśl, Weston. Skup się, psiakrew”. To przecież jego szansa. Jedyna szansa. Jako że najwyraźniej nie zyska sympatii tej panienki, wzbudzając w niej litość, opowiadanie jej łzawych historyjek o tym, jak to zamierza walczyć z niesprawiedliwością i korupcją w kręgach władzy, raczej mijало się z celem. Pozostawało zdać się na to, w czym nie miał sobie równych. Nikt, nawet tak oziębła istota, nie mógł być odporny na jego urok osobisty.

Wes wsparł się o futrynę i najbardziej uwodzicielskim głosem, na jaki było go stać, powiedział:

– A może wpuścisz mnie do środka i pogawędzimy? Pewnie doskwiera ci tu samotność. A ja przyjechałem z tak daleka...

Drzwi zatrzasnęły mu się przed samym nosem.

– Co to ma znaczyć, do cholery? Nie możesz tak po prostu...!

Ale najwyraźniej mogła.

Wes zaczął nerwowo przeczesywać dłonią włosy i nie przestał, dopóki nie zebrał z nich niemal całego żelu. Co za różnica, jak teraz będzie wyglądać? Parę tobołków czekających na podjeździe to cały jego dobytek. Oszczędności zaczynały topnieć. Jasne, matka podarowała mu trochę pieniędzy na do widzenia, ale nie miał śmiałości ich tknąć. Zbyt wiele już poświęciła, by umożliwić mu ten wyjazd – a teraz, gdy przybył już na miejsce, nie zastał nawet Evelyn Welty.

Nie, nie mógł wrócić do domu. Spaliłby się ze wstydu.

Zachowując resztki godności, zszedł z werandy i pozbierał swoje rzeczy. Trzy walizki. Jedna skórzana teczka. I tylko dwie ręce. Od miasta dzieliło go osiem kilometrów. Niezależnie od tego, jak liczył, nie wyglądało to dobrze. Gdy z oddali dobiegł odległy grzmot, Wes próbował wykrzesać w sobie optymizm, z którego często kpiła jego najstarsza siostra Mad.

„Rozpuszczony bachor, idealista” – tak o nim mówiła. Jak gdyby idealizm był czymś nagannym.

Na krótki moment w wyobraźni Wes uciekł z tego odludzia, od chłodu i frustracji – znów był w Dunway i razem z Mad siedział na schodach pożarowych. Siostra paliła już trzeciego papierosa.

Ostatniej nocy pożegnali się w ponurych nastrojach. Pomyślał wtedy, że nie rozpoznaje już w tej dziewczynie swojej siostry. Parę tygodni wcześniej Mad ścięła włosy, żeby upodobnić się do tych modnych dziewcząt, które szokowały fryzurami typu bob i sukienkami z obniżoną talią. Po nocnej zmianie w barze jej odzież i skóra wydzielały intensywną woń będącą mieszaniną dymu papierosowego i alkoholu. Mad oczywiście znowu była na niego wkurzona, choć nie miała zamiaru się do tego przyznać. Zdradzało ją lekkie przygarbienie nadające jej wygląd boksera, fakt, że paliła jednego papierosa za drugim, i niechęć wyzierająca z jej oczu, gdy w końcu postanowiła zaszczyścić go spojrzeniem.

Nie cierpiał myśli, że jego rodzona siostra uważa go za egoistę; że jej zdaniem terminowanie u Evelyn Welty skończy się tak samo jak wszystkie poprzednie; że w jej odczuciu jego pomysł, by zostać alchemikiem, służył wyłącznie miganiu się od obowiązków. Takie nastroje panowały między nimi, odkąd umarł tata. Więcej było w nich wzajemnej niechęci niż miłości. Wes nie rozumiał, co się z nimi stało. Zaczynali spokojnie rozmawiać, a już chwilę później wydzierali się na siebie – o ile w ogóle można wydzierać się szeptem. Za ścianą spała Edie, a ani Wesowi, ani Mad nie uśmiechało się przerabiać na nowo całego rytuału usypiania.

„Ależ z ciebie dupek – warknęła w końcu. – Sądysz, że wszystko ci się należy”.

Wbrew temu, co Mad sądziła o intencjach brata, Wes nigdy nie zamierzał poświęcić się alchemii kosztem rodziny. Tak naprawdę chciał zostać alchemikiem, aby zapewnić lepsze życie swoim najbliższym – zresztą nie tylko im, ale każdej rodzinie podobnej do nich. A teraz, jeszcze bardziej niż dotąd, zależało mu, by udowodnić Mad, że się myliła w swojej ocenie. Pokona piechotą osiem kilometrów do miasta – jeśli padnie przy tym ze zmęczenia, trudno. A potem będzie się tu zjawiał codziennie, dopóki nie zmiękczy serca córki Evelyn Welty.





o rana determinacja Wesa wzrosła – był już przygotowany na to, że dziewczyna ponownie zamknie mu drzwi przed nosem. I był gotów jeszcze raz powlec się osiem kilometrów w chłodzie. Zbyt daleko już zaszedł, by dziewczyna pokroju córki Evelyn Welty miała pomieszać mu szyki. Miał pewność, że gdy zdoła opowiedzieć jej więcej o swojej sytuacji rodzinnej, dziewczyna nie odprawi go z kwitkiem jak ostatnio. Tę alchemię opanował do perfekcji: obracanie słów w złoto. I rozmiękczenie dziewczęcych serc.

Za pomocą grzebienia i żelu znów zmusił swoje włosy do posłuszeństwa i wystroił się w koszulę, którą wyprasowała dla niego Christine. Kiedy przeglądał się w lustrze, uznał, że wygląda tak samo jak zawsze, jeśli nie liczyć starannej fryzury. Szkopuł w tym, że Wes wcale nie chciał wyglądać jak on sam, lecz jak alchemik – ktoś, z kim należy się liczyć.

Poluzował węzeł na krawacie i zawiązał go jeszcze raz – ciaśniej, dokładniej. Kiedy jego pancerz był już kompletny, spojrzał sobie w oczy w lustrze.

– Dasz radę. Musisz. Jeśli mama się dowie, że znów zostałeś odesłany do domu...

Upokorzenie nie pozwoliło mu nawet dokończyć tej myśli. Gdyby znów zobaczył rozczarowanie odmalowujące się na twarzy jego ukochanej mamy, nie przeżyłby. Dlatego odegnał szybko tę myśl i zamiast tego wyobraził sobie, że przychodzi do mamy jako najlepszy z terminatorów Evelyn, jej faworyt. Oczami wyobraźni widział już zachwyty na twarzy rodzicielki, gdy będzie demonstrował, czego się nauczył pod okiem mistrzyni; gdy będzie czytał jej list

polecający, który otworzy przed nim drzwi wspaniałej kariery politycznej. Wyobraził sobie, jak w kosztownym garniturze szytym na miarę – nie takim zwyczajnym, jaki kupiła mu Mad – z niebieskim satynowym krawatem pod szyją, staje na mównicy udekorowanej we flagę Nowego Albionu i wygłasza poruszającą mowę. Wyobraził sobie rozmigotane flesze dziennikarskich aparatów. Widział, jak pod wpływem jego uśmiechu przepiękne kobiety oblewają się rumieńcem, a wszyscy ci, którzy mieli go za obiboka, pijaka albo Banwisza analfabetę, ustawiają się w kolejce, żeby uścisnąć mu dłoń. Wówczas, roił sobie, przystąpi do rozmontowywania od środka ich nacjonalistycznego rządu.

W chwilach, gdy pozwalał sobie na takie wzloty imaginacji, zawsze widział swoją przyszłość w różowych barwach.

Wystarczyło jednak, by wyszedł za próg Zajazdu u Wallace'a, a przykra rzeczywistość natychmiast dawała o sobie znać. Kropla, która ześlizgnęła się z okapu dachu, zmoczyła mu czubek głowy. Wzdrygnąwszy się, Wes naciągnął na głowę płaską wełnianą czapkę i wywłókł na ulicę walizy.

Nocą przeszedł deszcz i w blasku wczesnego poranka bruk lśnił srebrzyście niczym lukrowane ciastka. W powietrzu snuła się mgiełka, delikatna i rozmigotana niczym krynolina, otulająca budyneczki wokół rynku. Na plecach Wes czuł słoną bryzę ciągnącą od oceanu. Wmieszał się w gęstniejący z każdą chwilą tłum. Koła sunących niespiesznie samochodów zapadały się w błocie. Z taksówek wysypywali się przyjezdni z bagażami i podążali u boku nadciągających z wybrzeża wozów wypełnionych po brzegi srebrzystymi rybami.

A zatem Hohn miał rację: do Wickdon zawitał gon.

Sumickie poczucie winy sprawiło, że Wes nigdy poważnie nie zastanawiał się nad wzięciem udziału w zawodach. Ale przed gonem nie było ucieczki – czyhał w niezliczonych artykułach w czasopiśmie i audycjach radiowych. Stał się w gruncie rzeczy czymś w rodzaju narodowej rozrywki, przynajmniej dla tych, którzy mieli dość klasy, by interesować się polowaniem na lisy – albo którym lokalny „patriotyzm” kazał z dumą spoglądać w przeszłość Nowego Albionu, kiedy państwo odgrywało rolę kolonisty. W ciągu najbliższych pięciu tygodni ściągać tu mieli tysiącami bogacze



z całego kraju, by uczestniczyć w pokazach psów rasowych, gonitwach konnych i oficjalnych uroczystościach poprzedzających właściwe łowy. Obchody gonu były dla nich okazją do popisania się zasobnością portfela i ekscytowania się myślą o śmierci hali. Jedynie najbardziej fanatyczni spośród nich, zamiast leczyć kaca, dosiadał koni, by faktycznie mierzyć się w dziczy z demiurgiem. Kilku na tyle lekkomyślnych, by się do niego zbliżyć, niechybnie przypląci to życiem.

Gon to nie lada spektakl, jeśli wierzyć pogłoskom. Podniecenie wyczuwalne już teraz w powietrzu było upajające – nie wspominając o perspektywie sławy, jaką okryje się zwycięzca – ale Wes nie po to tu przybył, aby sprzeniewierzyć się swoim zasadom i wziąć udział w tym cyrku.

Nie zwalniając kroku, skręcił w boczną senną uliczkę. Mijał ludzi w grubych płaszczach, którzy spod swoich posesji uprzęta liście strącone z drzew przez burzę ostatniej nocy. Czuł na sobie ich podejrzliwy wzrok i domyślał się, że wygląda komicznie – obładowany bagażami niczym juczny muł. Dotarł do końca kwartału, gdy przywołał go gestem mężczyzna stojący obok paru jutowych worków wypełnionych zeschniętymi liśćmi.

– Zgubiłeś się? – spytał, wsparłszy się na grabiach. – Tam, dokąd idziesz, nie znajdziesz żadnego hotelu.

– Nie, proszę pana. Nie zgubiłem się.

W każdym razie nie dosłownie. Oby tylko nieznajomy nie próbował udzielać mu wskazówek. Wes miał kłopot z odróżnianiem lewej strony od prawej, a tego typu instrukcje najczęściej nie trzymały się jego głowy.

– Idę do domu mojej nauczycielki.

– Do dworu Welty? No to jeszcze kawał drogi przed tobą.

Wes uniósł głowę, wystawiając twarz ku pochmurnemu niebu.

– Idealny dzień na spacer.

Mężczyzna zaśmiał się serdecznie, ale Wes wyraźnie widział, że facet lituje się nad nim.

– Wiesz co? Dziś rano pomagam pani Adley tylko przy grabieniu liści, a do mojego domu jedzie się w tę samą stronę. Zaczekaj chwilkę.

I tak Wes wylądował na wozie Marka Halanana, przycupnięty na siedzisku zrobionym z bagaży i pustych worków na ziarno. Kura, która wpakowała mu się na kolana, gdała z zadowoleniem. Halanan popędził swojego kucyka drogą ku dworowi Welty. Wóz podskakiwał na wybojach i Wes musiał bardzo się starać, by nie dać po sobie poznać, jak źle znosi tę jazdę.

– Dawno już żaden uczeń Evelyn nie zaglądał do miasta – zagaił Halanan. – Często się zmieniają.

– Słyszałem.

Zabrzmiało to bardziej ponuro, niż zaplanował. Krucha pewność siebie, którą wcześniej zbudował, już zaczynała go zawodzić.

Halanana chyba zauważył, że pasażerowi rzednie mina, bo szybko zmienił temat:

– Przybywasz w idealnym momencie. Wkrótce rozpoczną się zapisy do gonu. Zamierzasz wziąć w nim udział?

– Bo ja wiem...

– Za dwa dni odbędzie się ceremonia otwarcia. Potem będziesz mieć jeszcze dwa tygodnie na podjęcie decyzji.

– Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to było dla mnie.

– Rozumny z ciebie chłopak. To dobrze.

Wes pomyślał, że jeszcze chyba nikt nie nazwał go „rozumnym”. Bardzo mu to schlebiało.

– Dziękuję. Staram się.

– W każdym razie cieszę się, że są chłopcy, które zrobią to dla Boga i ojczyzny, czy dla czegoś jeszcze innego. Ktoś musi wreszcie rozprawić się z tą bestią, bo same z nią kłopoty.

– To znaczy? – Wes był pewien, że woźnica zaraz poczęstuje go kazaniem.

– Sam zobacz.

Wspięli się akurat na szczyt wzgórza i Halanan zatoczył szeroki gest ramieniem. Jak okiem sięgnąć rozciągało się morze złotego żyta, połacie trawy tak jadowicie zielonej, że przypominała plamy absyntu. Nad urwiskiem stały obok siebie kościół w stylu katarystycznym i elegancka willa. Wesowi cisnął się na usta zjadliwy komentarz, ale w porę ugryzł się w język. Był to najbardziej ekstrawagancki widok, jaki kiedykolwiek napotkał.

Sad jabłkowy sprawiał wrażenie starannie utrzymanego, ale po chwili Wes zauważył, że drzewa toczy jakaś choroba. W podmuchach zefirku poczerniały, zwinięte liście poruszały się na gałęziach niczym poszarpane flagi. Kiedy ich wóz mijał sad, Wesa uderzył fetor gnijących owoców i siarki. Niemal wszystkie jabłka opadły z drzew i leżały na ziemi, obrzmiały, sok sączył się z nich niczym z czyraków. Widok sadu był dla niego wstrząsem. Nasłuchiwał się o tym, jak nieustraszona jest hala, ale dotychczas były to głównie opowieści na dobranoc jego mamy. Kiedy nie była w humorze, chętnie sięgała po bajki o hali, głównie po to, by nastraszyć dzieciaki i skłonić je w ten sposób do odmówienia paciorka przed snem.

„Hala jest po to, aby przypominać nam, że Bóg zawsze jest niedaleko... – Tu dla wzmocnienia dramatyzmu zawieszła głos, po czym z naciskiem dodawała: – Zawsze patrzy”.

Doktryna sumicka głosiła, że to demiurgowie nauczyli ludzi alchemii. Wes nigdy nie dawał jej wiary. Teraz jednak przeznaczenie podsunęło mu dowody pod sam nos: charakterystyczny swąd siarki i czarny pył pokrywający trawę były produktami ubocznymi reakcji alchemicznej. Co prawda nadal nie wierzył, że hala to wcielony Bóg, ale przynajmniej dowiedział się, że ludzie zapisujący się na udział w Gonie Półksiężycyca muszą być na wpół obłąkani.

– Twierdzi pan, że to sprawka lisa?

– Nie zwyczajnego lisa i nie chodzi o zwykłe polowanie. – Halanan umilkł. Po chwili odezwał się znowu: – Dzieciaki są takie podekscytowane, to największa atrakcja, jaka zjechała do Wickdon za ich życia. O niczym innym nie myślą, tylko bawiłyby się w polowanie, strzelały ze swoich pukawek. Gdyby widziały to, co ja dziś odkryłem: to zniszczone dziś pole... W miarę jak dzień gonu będzie się przybliżał, bestia będzie siać coraz większe zniszczenie.

– Teraz byłoby łatwiej ją ustrzelić – zauważył półgłosem Wes.

Nawet gdyby dało się zabić lisa przed Zimnym Księżycem, zwycięstwo nieokupione wysiłkiem niewiele by znaczyło. Im groźniejszy potwór, tym większa chwała sphywała na tego, który go ubił.

– Ale wówczas co to za frajda? – odparł cierpko Halanan. – Gniew na wyrządzającego szkody lisa utwierdza myśliwych w przekonaniu, że to, co robią, jest w porządku. Organizatorzy gonu

rekompensują miejscowym straty, jakie ci ponoszą na skutek niszczycielskiej działalności bestii, ale pieniądze to nie wszystko. Kiedy byłem w twoim wieku, lis porwał z kołyski niemowlę. Żaden z mężczyzn nie pałał taką żądzą zemsty jak ojciec dziecka, ale lis i tak koniec końców się wymknął. Jak zawsze.

– O rany... – mruknął Wes. W obliczu czegoś tak okropnego nie umiał zdobyć się na żaden sensowny komentarz.

– Ale moim zdaniem Harringtonowie mogą sobie pozwolić na kiepskie zbiory w tym roku. A mała tragedia nikomu nie zaszkodzi.

Wes nie był pewien, czy zgadza się z rozmówcą. Jego wiedza na temat Harringtonów ograniczała się do tego, że są zamożni. Nasłuchał się już w życiu dość kazań, by wiedzieć, kiedy należy trzymać buzię na kłódkę.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Wreszcie zza zakrętu wyłoniła się bryła dworu i drewniany płot. W świetle dnia budowla, spowita srebrzystą mgłą schodzącą z gór, wydała mu się jeszcze bardziej ponura i tchnąca samotnością. Halanan cmoknął na kuca i zwierzę zatrzymało się przed bramą posiadłości.

Wes zeskoczył z wozu i zaczął zdejmować z niego swoje bagaże. Upewniwszy się, że o niczym nie zapomniał, wyciągnął rękę do Halanana. Mężczyzna uściśnął mu dłoń i poważnie pokiwał głową.

– Dziękuję za podwiezienie.

– Powodzenia, panie Winters. I proszę ukłonić się ode mnie Maggie. Proszę jej przekazać, żeby do mnie wpadła, jeśli będzie czegoś potrzebować.

Maggie. A więc tak miała na imię dziewczyna, z którą rozmawiał wieczorem – córka Evelyn. Wes poczuł, jak w jego sercu budzi się groza.

– Dobrze, proszę pana.

– Synu, dam ci radę. Nie próbuj z nią niczego. Ona i bez tego ma dość zmartwień.

Osobliwe, złowieszcze ostrzeżenie. Mark Halanan miał sympatyczną twarz, ale to rosły mężczyzna i teraz spoglądał na Wesa takim wzrokiem, jakby oczekiwał odpowiedzi.

– R-rozumiem, proszę pana.

Usatysfakcjonowany Halanan odburknął coś niezrozumiałego i popędził kuca. Klacz westchnęła i z rezygnacją podreptała

z powrotem w kierunku Wickdon.

Wes, kolejny już raz, został sam.

Gmach dworu zdawał się spoglądać na niego z góry. Chłopak postanowił jednak, że nie da się zastraszyć. Teraz, w lodowatym świetle dnia, nic nie zdoła go stąd przepędzić. Na jego korzyść przemawiał czas i rozpalona na nowo desperacja.

Otworzył bramę i wszedł na zarośnięte podwórze. W powietrzu unosił się zapach butwiejących opadłych liści. Od werandy dzieliło go jakieś dziesięć kroków, gdy w ciszę wdarło się gardłowe wycie. Wes zamarł w bezruchu. Wtem zza narożnika budynku wypadł pies o rudej sierści i ujadając, ruszył w jego kierunku. Oprócz strachu Wes poczuł coś w rodzaju ulgi i zgody na to, co miało niechybnie nastąpić: wolał zostać zagryziony, niż umrzeć ze wstydu.

Zupełnie instynktownie upuścił bagaże i wyciągnął przed siebie ręce. Sekundę później leżał już na ziemi, a impet uderzenia pozbawił go tchu. Czuł, jak zimne błoto moczy mu koszulę. Psisko przygniotło go do gruntu, z pyska ciekła mu cuchnąca ślina, kapiąc Wesowi na twarz. Próbował się obetrzeć, ale nie zdążył, bo pies nachylił się i polizał go po ustach.

– No dobra – mruknął Wes. – A teraz złaź ze mnie.

Odepchnął czworonoga, który wcale nie próbował się opierać. Merdając ogonem, zaczął dreptać wokół nieznajomego i z wielkim zapałem obwąchiwać jego włosy. Wes powoli usiadł i sprawdził, w jakim stanie jest jego koszula. Na wysokości klatki piersiowej czerniły się dwa błotne odciski psich łap. To by było na tyle, jeśli chodzi o zrobienie dobrego drugiego wrażenia.

Z tych niewesołych rozmyślań wyrwał go głos dziewczyny:

– Kłopot!

Psisko zareagowało natychmiast. Zresztą obaj – i chłopak, i zwierzę – odwrócili się do Maggie.

Córka Evelyn stała parę metrów dalej, z myśliwskim sztucerem w rękach. Dziewczyna mierzyła go lodowatym spojrzeniem, pod którym Wes nagle stracił pewność, że śmierć z ręki Maggie Welty byłoby łatwiej znieść od wyrazu rozczarowania na twarzy jego matki.

Uplęnęła przeraźliwie długa chwila, nim Maggie zabezpieczyła ponownie strzelbę i odstawiła ją, opierając o mur domu. Ubrana była w ogrodniczki o szerokich nogawkach wetkniętych w cholewy

roboczych butów i kurtkę z grubego jeansu z rękawami podwiniętymi do łokci. Kiedy ściągnęła robocze rękawice, na jej przedramionach wyraźnie odznaczyła się ich krawędź – skóra w tym miejscu była nieco ciemniejsza od brudu; wyglądało to tak, jakby dziewczyna miała na ramionach bransoletki z ciemnego złota. Wes poczuł dziwny ucisk w żołądku. Jej włosy i oczy tonęły w lekko zamglonym słonecznym blasku, ale mimo że oświetlenie było bardzo korzystne, ta panienka i tak nie wydała mu się piękna.

Maggie wyciągnęła do niego rękę. Wes pomyślał, że jeśli przyjmie pomoc, wysmaruje ją całą błotem. Szybko jednak się zreflektował: niecierpliwy wyraz jej twarzy sugerował, że nic sobie z tego nie robi. Chwycił ją za rękę i pozwolił, by go podniosła z ziemi. Dopiero teraz się zorientował, że byli niemal tego samego wzrostu. Uznał, że z Maggie jest wysoka pannica – w przeciwnym razie oznaczałoby to, że on jest niski, a to było dla niego nie do przyjęcia. Ich oddechy zmieniały się w mgiełkę.

– Wróciłeś – powiedziała.

– Tak. Jestem... wiesz już, jak się nazywam. A ty musisz być...

– Jak już wspomniałam wczoraj wieczorem, mojej matki tu nie ma. Przykro mi z powodu twojej koszuli.

Po tych słowach dziewczyna odwróciła się na pięcie.

– Ejże, chwileczkę!

Wes potruchtał za nią i chwycił ją za łokieć. Maggie błyskawicznie się odwróciła i wbiła w niego oskarżycielskie spojrzenie. Ta reakcja zaskoczyła go do tego stopnia, że zatoczył się do tyłu.

– Przepraszam.

Jej milczenie było nader wymowne. Maggie ścisnęła się kurczowo za ramię, zupełnie jakby dotyk chłopaka ją sparzył. Od łokcia po nadgarstek jej rękę przecinała smuga świeżego błota. Z włosów spiętych szylkretową spinką uwolnił się jeden kosmyk. Cała jej pewność siebie gdzieś się ulotniła. I nagle wydała się Wesowi dziwnie odrętwiała, dzika.

– Panno Welty, bardzo proszę. Naprawdę potrzebuję szkolić się pod okiem mamy panienki.

– Czyżby? – W jej głosie pobrzmiwała ta sama pogarda, z którą Mad wypowiedziała zdanie: „Sądziś, że wszystko ci się należy”.

Wes poczuł, jak narasta w nim frustracja. Czy naprawdę wszyscy się sprzyśięgli, żeby mieć o nim jak najgorsze zdanie?

– Posłuchaj, mogę poczekać za płotem, jeśli wolisz. Zgodzisz się porozmawiać ze mną przez chwilę?

Maggie wydeła usta, jakby w myślach oceniała, czy odległość, w jakiej się wówczas znajdują, będzie wystarczająca.

– No dobrze.

Dzięki Bogu, westchnął z ulgą Wes.

– Wiem, że nie jesteś mi nic winna i masz prawo wątpić w moje możliwości. Wiedz jednak, że sobie poradzę, słowo honoru. Nie zaprzepaszczę tej szansy. Proszę, pozwól mi zostać u was do czasu, aż wróci twoja mama. Jeżeli ma mnie odprawić z kwitkiem, chcę to usłyszeć bezpośrednio od niej. – Jej milczenie stawało się nie do wytrzymania. – Nie stać mnie na czynsz, ale mogę pomóc w prowadzeniu domu. Chętnie zajmę się domowymi obowiązkami, mogę załatwiać różne sprawunki. Zrobię wszystko, czego zażadasz. Proszę.

– Niech pan wraca do domu, panie Winters.

Szkopuł w tym, że to akurat nie wchodziło w grę. Co zrobić, żeby ta dziewczyna zrozumiała?

W porządku, skoro Maggie chce poznać prawdziwy motyw, jaki mu przyświeca, obnaży przed nią swoją duszę. Cóż ma do stracenia człowiek utaplany w błocie i psiej ślinie? Na pewno nie godność. Z kieszeni wyciągnął portfel. Wewnątrz, oprócz zawstydzająco skąpej kwoty, znajdowało się zdjęcie jego rodziny, zrobione w czasach, gdy żył jeszcze tata. Nawet teraz, po latach, na widok ich wszystkich razem, strojących komiczne miny do aparatu, Wes poczuł ukłucie w sercu. Na środku stali tata i mama. Wyglądali na tak samo zadurzonych w sobie jak na fotografiach ślubnych. Wes, z Edie na rękach, szczyrzył zęby w uśmiechu tak szerokim, że wyglądał bardziej jak grymas. Fotograf uwiecznił moment, gdy Christine całowała brata w policzek, Colleen wykrzykiwała coś, a Mad, no cóż, Mad wyglądała jak to ona – stała z boku z nadąsaną miną, ale zdradzał ją błysk radości w spojrzeniu.

Wszyscy zdawali się tacy szczęśliwi.

Wes, walcząc z falą smutku, pokazał zdjęcie Maggie.

– To moja rodzina. Mój tata nie żyje i teraz... – No i co? Słowa go zawodziły. „I teraz nie mamy z czego żyć. Ledwie wiążemy koniec z końcem. Życie straciło blask, a ja obawiam się, że nigdy nie dorównam mojemu ojcu, który był wspaniałym mężczyzną”. – Moje siostry, którym pozwala na to wiek, już pracują. Moja mama zarabia. A ja nie mam wykształcenia ani znajomości, by znaleźć pracę i im pomóc. Dlatego chciałbym, żeby ktoś dał mi szansę się wykazać. Po prostu chcę pomóc moim najbliższym.

Maggie zmarszczyła brwi i przez długą chwilę studiowała zdjęcie. Kiedy wreszcie uniosła na niego wzrok, jej spojrzenie było twarde, oceniające, jakby próbowała zajrzeć mu na samo dno duszy. Wes poczuł się pod nim jak dziwoląg wystawiony na pokaz w cyrku. Dopiero teraz zauważył, jak wielkie są jej oczy. Przypominała mu w tej chwili bardzo poważną sowę.

– Dobrze – oznajmiła w końcu, oddając mu fotografię. – Wejdz.

– Naprawdę?

Uśmiechał się od ucha do ucha jak skończony głupiec – i nic nie mógł na to poradzić. Dał popis niezdarności, próbując pozbierać wszystkie swoje bagaże, ale nawet ten dość żenujący moment nie ostudził jego euforii.

– Nie wiesz, jak wiele to dla mnie znaczy.

Maggie wyrwała mu z ręki jedną z walizek. Wes zrozumiał, że to jedyny serdeczny gest, na jaki może liczyć w odpowiedzi na swój entuzjazm...

Ruszył za dziewczyną w głąb domostwa. Był zdumiony tym, jak przestronne okazało się w środku. W sieni przywitały go podwójne, elegancko wygięte schody, prowadzące na umieszczony centralnie podest. Z sufitu zwieszał się efektowny żyrandol, obsypany liczbą kryształów, jakiej nie powstydziałaby się zamożna piękniejsza wybierająca się do opery. Do holu z jednej strony przylegał pokój o wyłożonej dywanami podłodze, w którym stały miękkie fotele i sięgające sufitu regały pełne książek. Z drugiej strony znajdowała się kuchnia, nad wyspą na środku wisały osmalone miedziane garnki i patelnie.

Wprawdzie dwór Welty był okazalszy niż jakikolwiek dom, jaki odwiedził Wes, lecz mimo to w środku wydał mu się równie ponury jak od zewnątrz. W promieniach słońca wpadających przez brudne



okna wykuszowe tańczyły kłęby kurzu. Drewniane poręcze schodów były matowe i pełne zadrapań, ciemną tapicerkę mebli pokrywała psia sierść, na blacie kuchennym piętrzyły się chwiejne sterty brudnych naczyń. Wes zauważył, że brud gdzieś tam przegrywał z zabiegami mieszkańców – podłogi były zamiecione, a zlew niedawno został uszczelniony. Najwyraźniej z panującym w domu nieporządkiem próbowano walczyć.

Maggie taszczyła już jedną z walizek po schodach. Wes ruszył za nią, trzymając dystans, i po chwili znaleźli się w wąskim korytarzu, którego ściany zdobiły obwieszone pajęczynami kinkiety. Dziewczyna otworzyła ostatnie drzwi po prawej stronie i gestem zachęciła gościa do wejścia.

Wes zdusił okrzyk ekscytacji, dość żenujący w tej sytuacji: pokój był gigantyczny! Nigdy dotąd nie miał dla siebie tyle miejsca, bo odkąd pamiętał, musiał dzielić przestrzeń z siostrami. W pomieszczeniu pachniało stęchlizną, ale była to skromna cena za taki luksus. Kiedy rzucił walizki na podłogę w nogach łóżka, w powietrze wzbil się obłok kurzu. Wes kichnął przeraźliwie głośno, na co Maggie się wzdrygnęła.

– Przepraszam – wybąkał, pociągając nosem.

Dziewczyna zbliżyła się do okna i przez chwilę mocowała z zamkiem. Wreszcie okno ustąpiło i ukazała się szeroka na parę centymetrów szpara. Na parapet spadły płatki łuszczącej się farby. Przez szczelinę wdarł się powiew świeżego powietrza. Wszystko wskazywało na to, że pokój od wielu lat był nieużywany. Wes zwrócił jednak uwagę na parę szczegółów, które wskazywały, że kiedyś ktoś tu jednak mieszkał. Na półce nad biurkiem leżało kilka zapomnianych podręczników do alchemii. W otwartej szafie wisiała plisowana spódnica. Wes poczuł bolesny skurcz w żołądku. Ilu adeptów alchemii przed nim znajdowało zakwaterowanie w tym pokoju?

A ilu pomyślnie dobrnęło do końca szkolenia?

– Możesz zatrzymać się tutaj do jej powrotu – oświadczyła Maggie. – Ale na twoim miejscu wstrzymałabym się z rozpakowywaniem. No, chyba że nie masz nic przeciwko zostawieniu tu swoich rzeczy, gdy matka każe ci się wynosić.

– Ach, kobieto małej wiary. Umiem być bardzo przekonujący.

Dziewczyna przypatrywała mu się sceptycznie, ale w jej spojrzeniu Wes dostrzegł coś, co podpowiedziało mu, że warto spróbować szczęścia.

– Wszak wpuściłaś mnie do domu, nieprawdaż?

– Owszem – przyznała, pochmurniejąc.

Nie potrafił stwierdzić, co bardziej działa jej na nerwy: fakt, że wpuściła go pod swój dach, czy może widok jego niegdyś białej koszuli, która wyglądała teraz, jakby oblał się kawą. Czuł, jak mokry materiał oblepia mu plecy.

– Zdejmij tę koszulę. Upiorę ją.

– Co takiego? Ale... teraz? – wydukał i spiekł raka.

Z jednej strony wcale nie odczuwał wstydu – w końcu wychowywał się z czterema siostrami. Był jeszcze młodzieńcem i łatwowiernym chłopaczkiem, gdy wieczorami zasypiał wsłuchany w opowieści Christine i Mad, plotkujących o swoich ostatnich podbojach miłosnych. Ale był też inny Wes – ten, który w ciemności ośmielił się rozebrać do połowy dla paru dziewcząt. I właśnie ten Wes najchętniej zapadłby się teraz pod ziemię. Maggie Welty sprawiała wrażenie panny, która wolałaby własnoręcznie zamordować faceta, niż zaszczyścić go dobrym słowem.

Te upokarzające fantazje przecięła jej zwięzła odpowiedź:

– Ależ oczywiście, że nie. Zaczekam na korytarzu.

Boże, znowu wyszedł na skończonego idiotę.

Kiedy dziewczyna wysunęła się z pokoju, Wes błyskawicznie rozwiązał krawat i uwolnił się od przemoczonej koszuli. Maggie, wychodząc, zostawiła za sobą niedomknięte drzwi i Wes widział ją teraz z profilu. Ze zdziwieniem odnalazł na jej twarzy wyraz niepokoju, niemal poczucie winy. Ale już po chwili, jakby wyczuwając na sobie jego spojrzenie, dziewczyna uniosła na niego wzrok. Jej usta się rozchyliły, twarz oblała rumieńcem. Spojrzenie Maggie prześlizgnęło się po jego nagim torsie i zawisło na wysokości oczu. Przypatrywali się sobie przez sekundę, jemu jednak wydało się, jakby czas wstrzymał bieg. Czubki uszu zapłonęły mu ze wstydu. W normalnych okolicznościach byłby z siebie zadowolony, ale pod sowim spojrzeniem dziewczyny czuł się jeszcze bardziej goły niż w rzeczywistości. Maggie pierwsza odwróciła wzrok i utkwiała go

w ścianie. Ulga, która go zalała, była bardziej intensywna, niż należało się spodziewać.

Odchrząknawszy, podał dziewczynie koszulę przez szparę w drzwiach.

– Dzięki.

Bezceremonialnie wyrwała mu ją z dłoni i przewiesiła sobie przez ramię.

– Łazienka jest naprzeciw twojego pokoju.

Kiedy Maggie ruszyła w głąb korytarza, opanowało go nieprzyjemne przecucie, że już nigdy nie odzyska tej koszuli. Christine się wścieknie, gdy dowie się, że gdzieś ją zawieruszył.

Dwór Welty, jak się okazało, był dość skromnie wyposażony. Jak na siedzibę znanej alchemiczki, znajdowało się tu zaskakująco niewiele alchemicznych udogodnień. Ani jeden kafelek w kabinie prysznicowej nie krył w sobie magii, ani jedna nitka pościeli nie została alchemicznie wzbogacona. Najwidoczniej i Evelyn, i Maggie uważały, że szkoda czasu na tak prozaiczne zajęcia jak ulepszanie swojego domostwa.

Spośród tych, którzy sami nie trudnili się alchemią, jedynie najzamożniejsi mogli sobie pozwolić na zakup alchemicznych dodatków. Wiedza, której Wes liznął podczas swoich licznych praktyk w różnych pracowniach, wystarczyła do przeprowadzenia paru transmutacji, dzięki którym życie jego rodziny stało się chociaż trochę znośniejsze. Były to najprostsze interwencje alchemiczne: na przykład nasączenie ulubionego noża mamy esencją kwarcu, dzięki czemu ten nigdy się nie tępił, albo zaczarowanie koca Edie ziarenkami pieprzu, co sprawiło, że śpiącej pod nim siostrze zawsze było ciepło. Po zastanowieniu Wes doszedł do wniosku, że może zdoła przekonać Maggie o swojej przydatności, gdy pomajstruje przy paru rzeczach w domu.

Wziął szybki prysznic, po czym włożył czystą koszulę. Odświeżony i podniesiony na duchu, poszedł poszukać Maggie. W świetle popołudnia powietrze na korytarzu zdawało się gęste i złociste jak miód. Wes przystanął przed ścianą, na której wisiały liczne oprawione fotografie. Wszystkie bez wyjątku pokrywała gruba warstwa kurzu. Jego uwagę przyciągnęło starsze, koloryzowane zdjęcie. Widoczna na nim kobieta, blondynka, siedziała obok

drewnianej łodzi wyciągniętej na brzeg. Nieznajoma uśmiechała się szeroko do fotografa. „To pewnie Evelyn”, domyślił się Wes. Niesamowite, jak bardzo przypominała swoją córkę: obie miały identyczne wąskie usta i szeroko rozstawione piwne oczy. O ile jednak Maggie była wiecznie posępna, o tyle matka wydawała się rozpromieniona.

Na zdjęciu wiszącym wyżej Wes znów odnalazł Evelyn. Tutaj kobieta uśmiechała się radośnie do jakiegoś wysokiego brodatego mężczyzny. Oboje trzymali po jednym złotowłosym brzdącu. Najbardziej Wesowi spodobała się fotografia Maggie. Miała na niej jakieś siedem lat. Spoglądała wilkiem w obiektyw, z przewieszoną przez ramię zabawkową strzelbą i leżącym u stóp szczeniakiem o wielkich uszach. Najwyraźniej ta dziewczyna zawsze, nawet w dzieciństwie, wyglądała jak miniaturowy dorosły.

Wesa dopadły wyrzuty sumienia. Teoretycznie zdjęcia te zostały powieszony w takim miejscu, aby każdy mógł je podziwiać, lecz z jakiegoś powodu poczuł, że oglądając je, nadużywa gościnności. Za nic nie mógł połączyć fotografii dokumentujących najwyraźniej szczęśliwe chwile z tym, co wiedział na temat dworu Welty i jego mieszkańców. Miał on w sobie ponurość zamkniętego po sezonie wesołego miasteczka. Tymczasem Wesowi dom kojarzył się z głośnym, pełnym ludzi miejscem, ciepłym i przepelnionym miłością. Dwór Welty przeczył tym wyobrażeniom.

Zamieszkiwały go duchy, a nie żywi ludzie.

Wes zszedł po schodach i zastał Maggie w kuchni. Stała odwrócona do niego plecami. Długie złociste włosy upięła wysoko na głowie za pomocą szylkretowej spinki. Na bladej skórze błyszczał srebrny łańcuszek naszyjnika. Wokół jej szyi, porośniętej dziecięcym meszkiem, ciągnął się wyraźny brudny ślad niczym kołnierzyk. Wes ze zdziwieniem stwierdził, że nie może oderwać od niego wzroku. Wtem dziewczyna się poruszyła – w ostatniej chwili zdążył uciec spojrzeniem w bok, nim odwróciła głowę i spojrzała prosto na niego.

W jednej ręce ścisnęła nóż, w drugiej całego kurczaka. Białe pierze zaścielające ladę kuchenną wyglądało jak śnieg. Wes się wzdrygnął, ale zdołał przywołać na twarz beztroski uśmiech. Cóż, nie powinien się dziwić, że wieś w Nowym Albionie różni się od miasta.

Postanowił sobie, że zaprezentuje się dziewczynie z jak najlepszej strony. Do trzech razy sztuka.

Usiadł na krześle przy blacie. Kiedy na nie opadł, wydało z siebie jęk protestu – jak wszystko w tym domu.

– Dziękuję, że wpuściłaś mnie pod swój dach.

– Drobiazg.

Kiedy to powiedziała, nie patrzyła mu w twarz. Spoglądała na końce jego włosów, z których kropla za kroplą woda ściekała na ladę. Zakłopotany, odchylił się na krześle i odgarnął opadające mu na twarz włosy. Poczł, jak woda zaczyna mu ściekać po karku. W chłodzie panującym w domu była lodowata.

Odchrząknąwszy, Wes spytał:

– W czym mogę pomóc?

– W niczym.

Stawało się jasne, że ta pannica za nim nie przepada. Było to niesprawiedliwe, bo właściwie to *on* mógłby stracić ochotę do rozmowy z *nią* po incydencie z psem. Tymczasem to Maggie zachowywała się, jakby nadużywał jej uprzejmości. Najchętniej przypomniaby dziewczynie, że sama go zaprosiła, ale jakoś się powstrzymał.

– W takim razie po prostu dotrzymam ci towarzystwa – oświadczył beztroskim tonem. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, spytał: – Orientujesz się, kiedy wróci twoja mama?

W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że pytanie zbiło ją z tropu. Ale zaraz potem rozległ się zgrzyt noża oddzielającego głowę kury od tułowia i Wes stracił pewność, że przed sekundą dojrzał jakąś zmianę wyrazu jej twarzy.

– Za dwa tygodnie – padła odpowiedź.

Dwa tygodnie. Cóż, wolałby wcześniej, ale jakoś da radę. Po prostu będzie musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie na ten czas. No i dopilnować, żeby jego rodzina nie dowiedziała się, że tak naprawdę – wbrew temu, o czym ich zapewniał – wcale nie zorganizował sobie zawczasu terminowania w warsztacie alchemiczki.

– A gdzie teraz bawi?

– Wyjechała w podróż naukową.

Zdawkowość odpowiedzi sugerowała, że to wszystko, co Maggie ma do powiedzenia na ten temat. Wes uznał, że pora poszukać innego tematu.

– Widziałem na górze zdjęcia wiszące na ścianie. Czy to twój brat? – zagadnął.

– Owszem.

– A gdzie on się podziewa?

Maggie zamarła. Błysnął nóż, który ścisnęła w garści. Kiedy Wes spojrzął jej w oczy, odnalazł w nich pustkę.

– Nie żyje.

– Och, bardzo mi przykro.

Co on wyrabiał? Czy w końcu zdoła się dogadać z tą panną? Na dłuższą chwilę zamilkł skołowany.

Milczenie przerwała córka gospodyni:

– Przychodzą panu do głowy jeszcze jakieś wścibskie pytania, panie Winters?

– Nie – odparł cichym głosem.

– Obiad będzie gotowy o osiemnastej.

Wes zrozumiał aluzję – ta rozmowa dobiegła końca. Kiedy wspinał się po trzeszczących schodach, odprowadzało go jednostajne szczykanie noża opadającego na deskę do krojenia.

Gdy znalazł się w swoim pokoju, począł rozpaczliwie poszukiwać czegoś, czegokolwiek, na czym mógłby się skoncentrować, by uniknąć rozmyślań o swoim upokorzeniu. Po krótkiej chwili jego uwagę przykuł podręcznik alchemii leżący na półce. Miał już styczność z tą książką tyle razy, że pierwsze rozdziały znał na pamięć. Rozdział drugi kończyło zadanie – nierozwiązane, co pozwalało się domyślać, jak długo poprzednik Wesa wytrwał na praktykach u Evelyn Welty. Chodziło w nim o unicestwienie papieru za pomocą alchemii.

„Wyrwij następną stronę w książce i postępuj zgodnie ze wskazówkami!”

Obok utrzymanych w protekcyjnym tonie instrukcji umieszczono skrupulatnie opisany rysunek kręgu transmutacji. Była to stosunkowo prosta receptura *nigredo*, czyli procesu rozpadu, pierwszego z trzech – oprócz oczyszczenia i rekombinacji – rodzajów zaklęć, jakich uczą się adepci alchemii. Kręgi transmutacji służyły do

gromadzenia energii uwalnianej podczas reakcji alchemicznej. Wprawdzie wpisane w nie runy miały bardzo konkretne zastosowania, ale generalnie rzecz biorąc, pozwalały alchemikowi naginać pochwyconą energię do jego woli.

Trudno powiedzieć, skąd przyszedł impuls – czy była to wina nudy, czy raczej przemawiała przez niego nostalgia – w każdym razie Wes, nim się spostrzegł, wyrwał wskazaną stronę z podręcznika i zaczął szperać w szufladzie biurka w poszukiwaniu kredy. Kiedy po raz pierwszy mierzył się z tym zaklęciem, odtworzenie kręgu transmutacji zajęło mu aż dwadzieścia minut. Teraz wystarczyło mu pięć i cały schemat został wiernie przeniesiony na podłogę. Na środku kręgu położył wyrwaną kartkę i zaczął się skupiać.

Każdy prawdziwy alchemik uważa się za naukowca, lecz alchemia ma w sobie również coś tajemniczego. Magicznego. W pamięci Wesowi utkwiły słowa jednego z jego pierwszych nauczycieli: „Każdy z nas przechowuje w głębi duszy iskrę boskiego ognia”.

Wyobraził sobie, jak zamyka ten płomień w swoich dłoniach. I momentalnie poczuł, jak ich wnętrze staje się ciepłe, a jego umysł uspokaja się i nieruchomieje. Przycisnął ręce do podłogi, a wówczas jego energia nasączyła narysowany krąg – papier zapłonął białym ogniem. Zwijał się i łuszczył, po chwili pozostał po nim swąd siarki i kupka czarnego popiołu. Alchemicy określali takie bezwartościowe resztki pojęciem *caput mortuum*, martwa głowa. Esencja spalonego papieru znajdowała się w popiele, który należało teraz poddać destylacji, a następnie wykorzystać do czarowania.

Udana transmutacja zwykle budziła w nim nabożną cześć, teraz jednak na widok uzyskanego *caput mortuum* Wes odczuwał jedynie rozgoryczenie. Przed oczami nadal miał oblicze Maggie, która z przyprawiającym go o białą gorączkę pustym wyrazem twarzy stwierdziła: „Moja matka nie toleruje przeciętności”.

Zamknął z trzaskiem podręcznik, policzki płonęły mu ze wstydu. Niby co ta cała Maggie Welty mogła o nim wiedzieć? Wcale nie był miernym alchemikiem, po prostu brakowało mu wykształcenia. Gdyby oczekiwano od niego czegoś innego niż zaliczanie testów pisemnych albo wykuwanie na pamięć alchemicznych twierdzeń, pokazałby, na co go stać. Po prostu potrzebował, żeby ktoś w niego uwierzył.

Wiele godzin później leżał na łóżku, nie mogąc usnąć. Dygotał z zimna. W Dunway noce były gorące, czasami wręcz do przesady, za to tutaj od okien ciągnął lodowaty powiew. Na suficie rysowały się ostre cienie drzew, a ich bezlistne gałęzie drapały w szyby okien niczym pazury. W domu rodzinnym do snu kołysało go pochrapywanie matki, podniesione głosy sprzeczących się sąsiadów z piętra powyżej, śpiew Colleen słuchającej w kuchni starego trzeszczącego radia. Panująca tu cisza, niemącona przez żadne hałasy, była wręcz ogłuszająca. A bezmiar nieba za oknem, którego nie zasłaniały żadne wyniosłe budynki, przytłaczał. Księżyc stał w nowiu, na mrocznym niebie świeciły gwiazdy, których Wes nigdy dotąd nie widział.

Mimo że upłynął dopiero jeden dzień, już tęsknił za domem. Wyrzucał to sobie, ale nie umiał na to nic poradzić.

O ile pamiętał, nie płakał od lat – od pogrzebu taty. Mad kazała mu wtedy wziąć się w garść, żeby dodatkowo nie zasmucać młodszego rodzeństwa. A teraz znów był na skraju rozklejenia się i świadomość ta doprowadzała go do szału. Mruganiem starał się odpędzić cisnące się do oczu, gorące łzy. Nie był już nawet pewien, czy alchemia jest dla niego. Długo nad tym pracował, ale w końcu chyba zdołał uśmiercić w sobie wiarę we własne siły.

Skoro nie wolno mu było opłakiwać śmierci ojca ani swoich niemożliwych do zrealizowania planów, nie ryzykując, że równocześnie ucierpi na tym jego rodzina albo on sam, mógł tylko udawać, że nadal podchodzi do wszystkiego na luzie – cóż innego mu pozostało? Powinien oszalać ludzi, tak by nie dopatrzyli się żadnych rys w tym, co robi. Udawało mu się przeżyć, bo przekonał innych, że jest płytkim człowiekiem nastawionym na pilnowanie swojego interesu. Tak było lepiej. Kiedy zawsze zgrywasz głupca, nikt nie wie, jak cię zranić. A gdy nikt nie spodziewa się po tobie niczego wielkiego, możesz przynajmniej być pewny, że nie przyniesiesz rozczarowania.







ystarczyło niespełna czterdzieści osiem godzin, żeby Maggie pożałowała swojej decyzji.

Weston Winters był okropny. Wszędzie było go pełno, czuła jego obecność, nawet gdy fizycznie znajdował się gdzie indziej. Pozostawiał po sobie zabłocone buty w holu, poznosił książki jej matki do kuchni i rozrzucił je na stole. Wkrótce Maggie zaczęła na terenie całego domu znajdować kartki z dziwnymi, niezrozumiałymi zapiskami, które ekscentryczny gość sporządzał z myślą o samym sobie. Wszystko to doprowadzało ją do szału. Świat Margaret był nieskomplikowany, mały i panował w nim porządek. Odpowiadało jej samotne życie, zżyła się z rytmem bezmyślnych, przynoszących spokój codziennych obowiązków. Ceniła ciche, nienarzucające się towarzystwo Kłopoty. Przyzwyczała się, że może zajmować się swoimi sprawami, nie tłumacząc się z nich przed innymi. Za to Weston najwyraźniej miał zamiłowanie do hałasu i chaosu. A może przyjemność sprawiało mu po prostu dokuczanie jej. Co do tego Maggie nie miała pewności. Jedno nie ulegało dla niej wątpliwości – srogo się pomyliła, darząc tego młodego człowieka sympatią.

Sympatią, która kazała jej go okłamać.

Ale w sumie to nie było nawet kłamstwo, a raczej przeczucie. W rzeczywistości Margaret nie miała pojęcia, czy jej matka wróci za dwa tygodnie, czy raczej za dwa lata. Podejrzewała jednak, że prędzej czy później Evelyn dowie się o gonie, który nawiedził Wickdon, a wtedy niechybnie zjawi się z powrotem. W każdym razie Maggie chciała w to wierzyć. Musiała w to wierzyć, choć dotychczas wiara nigdy jeszcze nie wyszła jej na dobre.

Teraz płaciła cenę za wplątanie Westona w tę fantazję i podstępne przywiązanie go do tego domostwa. Z upływem czasu wspomnienia poprzednich studentów matki zatarły się, teraz jednak odżyły z nową siłą: Maggie przypomniała sobie, jak na nieskazitelnej bieli swojej umywalki znajdowała włoski po goleniu obcych mężczyzn, jak zmuszona była brać zimne prysznice, bo uczniowie matki zużyli cały zapas ciepłej wody. Pamiętała też krzyki matki rozbrzmiewające echem w całym domu: „Dlaczego jesteś tak bezdennie głupi? Masz dwie lewe ręce...”.

Nie, wcale nie tęskniła za współlokatorem. Wprawdzie przed przybyciem Westona dokuczała jej samotność, ale przynajmniej żyło jej się wygodnie. Była bezpieczna. Tymczasem w jego towarzystwie wcale nie miała wrażenia, że nic jej nie grozi. Odnajdywała w nim tylko jedną cechę, za którą była wdzięczna: ten chłopak sypiał do południa. Dzięki temu przez parę godzin, zanim wynurzył się ze swojego pokoju niczym niedźwiedź wybudzony z zimowego snu, mogła się rozkoszować samotnością i zjeść śniadanie w spokoju. Teraz, owinięta w robioną na drutach chustę, stała w kuchni, czekając, aż zagotują się płatki owsiane i kawa.

– Dzień dobry, panno Welty.

Margaret drgnęła przestraszona, upuściła łyżkę, która z głuchym chlupotem wpadła do garnka, opryskując płatkami nie tylko ją, ale też płytę kuchenki, którą poprzedniego wieczoru wyszorowała. Kiedy spróbowała zamrużyć, poczuła, że nawet rzęsy oblepione ma owsianką.

– Dzień dobry – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

– Ach, proszę wybaczyć! Nie chciałem cię przestraszyć.

Margaret odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem – był zaspany, ale w znakomitym nastroju. Szcherzył do niej zęby w uśmiechu. Czarne, zmierzwione po nocy włosy sterczały na wszystkie strony. Ten chłopak miał wrodzony talent do plątania się pod nogami. Kłopot czasami stosował podobną taktykę, ale uciekał się do niej tylko wtedy, gdy był spragniony kontaktu ze swoją panią albo gdy Maggie spóźniała się parę minut z nakarmieniem go. Goszcząc Westona Wintersa, miała wrażenie, że dorobiła się drugiego, mniej ułożonego psa.

Powziąwszy decyzję, że będzie traktować go jak powietrze, skoncentrowała się na bulgoczącej owsiance. Mimo to przez cały czas czuła na plecach jego spojrzenie. Poza tym wraz z nim w kuchni zjawiała się intensywna woń wody po goleniu. Rozpoznała nuty drzewa cytrusowego, liści laurowych i rumu – ohyda. To pachole pewnie nie musi się jeszcze nawet golić, pomyślała cierpko. Chciała za wszelką cenę odepchnąć wspomnienie jego obnażonego torsu, gdy stał w drzwiach swojego pokoju – i to osobliwe poczucie zażyłości, jakie wzbudził w niej ten widok. Mimo że pyzata twarz nadawała mu chłopięcy wygląd, ostre linie tułowia zdradzały, że głód zna nie gorzej niż ona. Nadal na ramieniu czuła palący dotyk jego dłoni.

Wes zerknął ponad jej ramieniem.

– Pachnie smakowicie.

Myśl o tym, że miałyby zjeść razem z nim śniadanie, przyprawiła ją o dreszcz grozy. Wyobraziła sobie, jak chłopak zasypuje ją pytaniami o to, gdzie teraz może znajdować się jej matka albo który z jej krewnych zginął śmiercią tragiczną. Od razu straciła apetyt.

– Tak sądzisz? – Nalała owsianki do obtłuczonej białej miski i wcisnęła mu ją do rąk. – Zjedz wszystko.

– Dzięk... Chwileczkę. A ty nie chcesz?

– Nie jestem głodna.

Wyminęła go i podniosła leżącą na stole strzelbę.

Chłopak ruszył za nią do drzwi frontowych.

– Wrócisz późno? Słyszałem, że dzisiaj odbędzie się inauguracja.

Jego słowa zmroziły jej krew w żyłach.

– Inauguracja? – powtórzyła.

– No tak, Halanan wspomniał o tym, gdy mnie do was podwoził. No wiesz, ceremonia otwarcia Gonu Półksiężycy.

Wiedziała już wcześniej, że ten dzień się zbliża – pierwsze pojawienie się hali zwiastowało początek sezonu łowieckiego – po cichu liczyła jednak, że minie więcej czasu, nim ktoś inny ujrzy lisa. A może łudziła się, że bestia się rozmyśli, pójdzie sobie gdzie indziej – wtedy łatwiej byłoby jej znieść decyzję o tym, że nie weźmie udziału w gonie. Teraz jednak wieść o rychłym rozpoczęciu łowów spotęgowała niepokój, jaki załagał się w niej z chwilą, gdy spojrzała

w bezdenne ślepiea hali. Tylko raz w życiu poczuła tak przejmujący strach, ale wspomnienia tamtego momentu leżały niczym potrzaskane skorupy na posadzce jej pamięci – były zbyt ostre, by mogła je pozbierać. Siarkowy smród alchemii, zakrwawione blond włosy matki, jej łkanie, gdy Margaret wywlekła ją z pracowni, a potem...

– Panno Welty? – Głos Westona zabrzmiał jakoś nienaturalnie. – Wszystko w porządku?

Miała wrażenie, jakby oglądała go przez mgłę albo z dna zamarzniętego stawu. O Boże, tylko nie teraz, pomyślała przerażona.

Uczepiła się dłońmi płaszcz na wieszaku, pod opuszkami poczuła splot bawełny. „Jestem tutaj, *tutaj*”, powtarzała w myślach. Weston przez cały ten czas przypatrywał się jej, jakby zobaczył ducha. W jego oczach dostrzegała odbicie swojej bladej twarzy, swoich oczu, którymi strzelała na boki niczym przyparte do muru zwierzę. To było takie upokarzające.

W końcu porwała płaszcz z wieszaka i zarzuciła go sobie na grzbiet.

– Nic mi nie jest. Muszę już iść.

Wes zrobił niepewną minę.

– Na ceremonię? – spytał z ulgą.

– Oczywiście.

Musiła jak najszybciej zaczerpnąć świeżego powietrza, tłumy i zamieszanie do niczego nie były jej potrzebne. Wolała jednak przyznać mu rację, żeby oszczędzić sobie dalszych indagacji. Margaret wystarczająco długo żyła w strachu, by wiedzieć, jak odgradzać się od tego, co jej o nim przypominało. Nauczyła się zapominać o tym, kim jest – pozwalała, by ogarniająca ją drętwota nawiedzała ją niczym duch. Kiedy pani Wreford po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy, co się z nią dzieje, Maggie zapewniła: „To nic takiego. Po prostu mały atak”.

Już od tak dawna nikt inny nie oglądał jej w takim stanie.

– Może wybiorę się z tobą? – zaproponował.

– Rób, co chcesz, ale nie mam zamiaru na ciebie czekać.

– W porządku – mruknął. Przez chwilę w ponurym milczeniu pałaszował owsiankę. – W takim razie spotkamy się na miejscu.

Kiedy tylko wyszła przed dom, owionęło ją rześkie jesienne powietrze. Panika, która zrodziła się w jej sercu, ustąpiła. Teraz, nareszcie znów sama, mogła odetchnąć pełną piersią. Czasami nie mogła uwierzyć, że w tym domu mieszkała kiedyś więcej niż jedna osoba.

Matka zaczęła przyjmować uczniów niedługo po tym, jak ojciec odszedł, zanim jeszcze ściany wokół nich zaczęły butwieć. Margaret zawsze odnosiła się do nich z niechęcią, ich błagalne, pełne wyczekiwania spojrzenia działały jej na nerwy. Teraz na myśl o tym, jak próbowali się do niej przymilać w nadziei, że wyciągną od córki nauczycielki jakieś cenne informacje, ogarniał ją pusty śmiech. Prawda bowiem była taka, że córka nie wiedziała, jak mogliby wkraść się w łaski swojej mistrzyni. Dla Evelyn Welty liczyła się już tylko alchemia. W świecie jej matki nieznamy i córka zajmowali równie niewiele miejsca.

Uczniowie przychodzili. Przez jakiś czas dręczyli ją. Ale nigdy nie zostawali długo.

Jej matka odprawiłaby z kwitkiem tego całego Westona. Jego babska fryzura i sztuczny, wyrachowany uśmiech raczej nie zdobyłyby sympatii Evelyn. Miał szczęście, że gospodyni bawiła poza domem. Lepiej, żeby jego nadzieja umierała powoli niczym dogasający ogień, niż gdyby miała zostać gwałtownie zdławiona. Kiedy Margaret wychodziła, stał na progu, z łyżką w ustach. Gdy spotykało go rozczarowanie, ten chłopak wyglądał jak zbity pies.

Westchnęła. Może obchodziła się z nim zbyt obcesowo? Nie chodziło o to, że nie lubiła tego całego Westona. Po prostu działał jej na nerwy tą swoją naiwną wiarą, że zdoła oprzeć się demoralizującemu wpływowi alchemii. Teraz był z niego całkiem sympatyczny chłopak, ale kiedy tylko przekona się, co znaczy majstrować przy materii wszechświata, zajdzie w nim zmiana. Żaden z adeptów alchemii nie umiał się przed nią obronić.

Margaret zanurzyła dłoń w sięgającej jej do pasa trawie, rosnącej wzdłuż drogi do Wickdon. W wilgotnej ziemi nadal widniały głębokie ślady kół – pamiątka po samochodzie, który przywiózł Westona. Ostrożnie obchodziła wgłębienia, jakby stąpała na skraju przepaści, uczepiona ściany klifu. Z każdym krokiem jej buty były coraz bardziej oblepione błotem. Gęsty las, przez który wiodła ścieżka, z czasem

ustąpił miejsca pagórkowatym otwartym przestrzeniom. Po widocznej stąd trasie nadbrzeżnej sunęły samochody, w odległym porcie cumowały łodzie. Wkrótce miało się tu zaroić od turystów przybywających z całego kraju.

– Maggie.

Drgnęła zaskoczona, jej dłoń odruchowo powędrowała do strzelby, którą niosła zawieszoną na ramieniu. Ale już po chwili odetchnęła z ulgą. To tylko Mark Halanan. Mężczyzna stał oparty o swój wóz, załadowany skrzynkami i słojami moreli. Maggie była tak zamyślona, że nie zarejestrowała momentu, gdy doszła do gospodarstwa państwa Halanan. Kobyła pana Marka, Kostka Cukru, była już zaprzęgnięta do wozu, co wyraźnie niezbyt jej się podobało. Nie cierpiała pracować. Zresztą to upodabniało ją do Migotka, szarego wałacha Maggie.

– Dzień dobry – odezwała się Margaret lekko drżącym głosem.

Nadal nie odzyskała pełnego spokoju po incydencie w domu. Jeśli jednak Halanan coś zauważył, nie zdradzał się z tym.

– Pomożesz mi? – spytał. – Wybieram się do miasta, żeby przygotować swoje stoisko. Nie pożałujesz, zapłacę ci w dzemie.

Halananowie zawsze byli w stosunku do niej przesadnie szczodrzy. Łatwiej było znosić ich wspaniałomyślność, gdy obie strony udawały, że to nie podarunki, lecz zapłata. Maggie trudno było zaakceptować, że nawet teraz, po tylu latach od śmierci ojca, w oczach pana Halanana jest kimś, kogo należy otaczać opieką. Matka powiedziała jej kiedyś: „W życiu przyda ci się przede wszystkim jedna umiejętność – dbanie o siebie samą”. Margaret wzięła sobie tę radę do serca. Wickdon było bardzo skutecznym nauczycielem. Oprócz pani Wreford w miasteczku mogła liczyć tylko na dobroć państwa Halanan. Nigdy nie dali jej ani jej ojcu odczuć, że uważają ich za gorszych ze względu na płynącą w ich żyłach krew Yu'adir.

– Chętnie – odparła Maggie, siląc się na uśmiech.

Pracowali w zgodnym milczeniu, podczas gdy Kostka Cukru machała niecierpliwie ogonem na boki. Kiedy Maggie zapakowała ostatnią skrzynię na wóz, Halanan posłał jej poważne spojrzenie.

– Winters nie naprzykrza ci się?

– Zachowuje się przyzwoicie. Wspominał, że się poznaliście.

– Owszem. I poradziłem mu, żeby trzymał ręce przy sobie. Jeśli zacznie odstawiać jakieś hece, choćby tylko próbował cię dotknąć, od razu mi powiedz. Zjawię się w mgnieniu oka.

Tym razem uśmiech, który wypłynął na jej usta, nie był udawany.

– Jeśli zacznie coś kombinować, sama go zastrzelę.

Halanan potrząsnął głową z zadowoleniem i pomógł dziewczynie wsiąść do wozu. Margaret usadowiła się wygodnie i spoglądając przed siebie, zmrużyła oczy na wietrze, gdy ruszyli wyboistą drogą. Wkrótce ukazały się rogatki Wickdon, a kiedy dotarli do centrum, przywitały ich zatłoczone ulice. Maggie nigdy w życiu nie widziała tylu ludzi. W powietrzu wyczuwało się tę samą energię co w nocy, gdy zobaczyła halę.

Pełne napięcia oczekiwanie.

Po raz pierwszy poczuła się zagubiona w swoim rodzinnym miasteczku – a przecież był to dopiero początek wielkiej imprezy. Nim rozpocznie się gon, wąskie uliczki Wickdon będą musiały pomieścić kolejne tysiące miłośników polowań na lisy. Przy głównej ulicy sklepikarze wystawiali swój asortyment na werandach. Pan Lawrence po skończonym połowie porozkładał na lodzie rzędy ryb o srebrzystych łuskach i omułki z czarnymi połyskliwymi muszlami. Nieco dalej pani Elling, w otoczeniu drewnianych skrzynek pełnych jabłek, nalewała chochlą do papierowych kubków gorący aromatycznie przyprawiony cydr.

Po ulicach przechadzali się ludzie, taszcząc wiklinowe kosze pełne winogron i warzyw. Kupując bukietki polnych kwiatów i cukierki, lśniące niczym wypolerowane na błysk kamienie, targowali się i wymieniali plotkami. Maggie od lat nie podjadała łakoci, ale teraz słodki, maślany aromat karmelu sprawił, że odżyły w niej wspomnienia. W świąteczne dni, takie jak ten, matka wciskała do garści bratu Maggie, Davidowi, parę groszy i pozwalała mu buszować po centrum miasta. Sama pozwalała, by Margaret poprowadziła ją za rękę przez labirynt straganów. Idąc za córką, Evelyn pochylała się, tak by dziewczynka mogła wyszeptać jej na ucho, co chciałaby dostać. Szczęście, które wtedy odczuwała Margaret, teraz wydawało jej się czymś niedostępnym. Nawet gdyby Evelyn wróciła ze swoich wojaży, pewnie i tak nie namówiłaby matki na opuszczenie dworu.



Kiedy już uporali się ze stawianiem kramu pana Halanana, Maggie zaczęła wyciągać szyję, chcąc dojrzeć, dokąd kieruje się rzeka ludzi. Zorientowała się, że spory tłumek kłębi się u progu Pubu pod Ślepym Lisem. Na umieszczonym nad wejściem szyldzie widniało hasło wypisane wielkimi czarnymi literami: „ZAPISY”. Ni stąd, ni zowąd Maggie poczuła ukłucie żalu, niemal roześmiała się ze swojej dziwnej reakcji. Wbrew wszystkiemu nadal skrycie marzyła o wzięciu udziału w łowach. I właśnie owo *pragnienie* stanowiło problem. Ilekroć w życiu posłuchała swoich pragnień, zawsze potem tego żałowała.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zagaił Halanan, który podążył spojrzeniem tam, gdzie patrzyła ona.

– Tak tylko się przyglądam.

– Ech, ci młodzi – westchnął. – No, uciekaj, napatrz się, skoro musisz. Potem przyniosę ci dżem.

Maggie wyrzuciła z siebie szybko „dziękuję” i zaczęła się przepychać przez tłum. Chwilę potem wbiegła do pubu, gdzie owioną ją znajomy aromat świeżo pieczonego chleba i gorącej zupy rybnej. Zazwyczaj Pub pod Ślepym Lisem stanowił zaciszne miejsce, do którego miejscowi zaglądali po pracy na drinka i żeby zagrzać się w ciepłe kominka. Dzisiaj jednak klientela była inna, bardziej wyrafinowana: kobiety obwieszane perłową biżuterią i wystrojone w spodniemy o szerokich nogawkach; mężczyźni w garniturach w jodełkę i oksfordkach.

Maggie zreflektowała się, że nie powinien jej dziwić wygląd tych ludzi – entuzjastyczni miłośnicy myślistwa słynęli z tego, że na łowy przywozili psy kosztownych ras i drogą broń, a w stajniach trzymali warte fortunę konie. Polowanie na lisa było dla nich pretekstem do pochwalenia się umiejętnościami sportowymi, ale również swoim majątkiem, co czyniło je ukochaną rozrywką elit Nowego Albionu. Polowanie, do którego przygotowania trwały teraz w Wickdon, było jednak wyjątkowe. Jedynie najlepsi ściągali tu z daleka, by z narażeniem życia rywalizować o tytuł pogromcy bestii. Margaret nieraz była świadkiem, jak syn burmistrza, Jaime Harrington, chętnie opowiadał o swoich łowieckich przygodach: o długich, trwających całe dni wyczerpujących włóczęgach konnych na swojej klaczy i o raczeniu się sherry już o dziewiątej rano.

Margaret znalazła wolne miejsce na końcu kontuaru, skąd miała widok na cały bar. Wyrzucała sobie, że to dziecinada, ale nie umiała się opanować – mimo woli spodziewała się dojrzeć w tłumie gości znajomy błysk złocistych włosów matki. Barman, Reginald, osuszył swój kufel i zmierzył ją niechętnym spojrzeniem.

– Zamówisz coś czy masz zamiar tylko tak siedzieć?

– Zależy, jaką dziś cenę dla mnie wymyślisz.

Reginald zawsze zawyżał dla niej ceny. Zbierał się już do poczęstowania jej jakąś kąśliwą ripostą, gdy ponad zgiełk wzbił się zdecydowany głos:

– Na początku było Jedno.

Pod ścianą z drugiej strony baru stała kobieta. Siwe kręcone włosy okalały jej twarz niczym kłęby dymu. W ruchliwym blasku kominkowego ognia przypominała zjawę, istotę należącą do odległej epoki. Dopiero po chwili Maggie rozpoznała w niej właścicielkę lokalu, panią Wreford.

– Jedno było Wszystkim, Wszystko było Jednym i Wszystko było w Jednym. W swojej nieskończonej jasności i miłości wydzieliło z siebie materię pierwszą. Była ona chaosem: wszystkim i niczym, doskonałością i kwintesencją, bezmiarem nicości na podobieństwo mrocznych wód. Potem Bóg tchnął na ten chaos i tak powstało życie. Pierwszymi istotami, jakie zrodziły się z chaosu, byli demiurgowie. Pierwszym spośród nich, który się obudził, był Yal. Nie wiedział o Bogu, nie miał też pojęcia, komu zawdzięcza swoją moc. Wiedział jedynie, że gdy podniósł rękę, *prima materia* reagowała. Kiedy jego rodzeństwo poruszyło się, powiedział: „Jesteśmy tu sami, my, bogowie chaosu. Nadajmy mu kształt, który najbardziej nam odpowiada, co wy na to?”.

Margaret zawsze zdumiewało, jak podobna i zarazem inna była ta wersja mitu o stworzeniu świata od tej, w którą wierzył jej ojciec. W podaniach katarystycznych demiurgowie władali światem materialnym jako tyrani. Uwięzili boską iskrę w materii i stworzyli ludzi – będących jawną parodią Boga i odbiciem jego niedoskonałości. Bóg, dowiedziawszy się o postępku demiurgów, postanowił ich ukarać, więżąc ich dusze w ciałach bestii. Biblia Yu'adir przynosiła zupełnie inne wyobrażenie na temat początku wszystkiego: w jej ujęciu Bóg stworzył świat materialny z miłością

i uwagą, z jakimi rzeźbiarz traktuje swoje dzieło. Kiedy skończył, zapragnął podzielić się swą boską mądrością – sekretem stworzenia wszechświata – z wybranymi spośród stworzonych przez siebie ludzi. Dlatego wziął garść *prima materia* i wlał ją w serca dziesięciu śnieżnobiałych bestii, po czym puścił je wolno.

Niezależnie od tego, jakie rozumienie demiurgów przynosiły te dwa ujęcia, jedno nie ulegało wątpliwości – hale siały spustoszenie, a ludzie od niepamiętnych czasów na nie polowali. Teraz przy życiu pozostał ostatni, najbardziej przebiegły ze wszystkich demiurgów: lis grasujący na zachodnim wybrzeżu Nowego Albionu.

– Lubisz tę historyjkę, co?

Na dźwięk głosu Jaimego Harringtona Maggie zeszywniała. Mężczyzna zaszedł ją od tyłu i teraz nachylał się nad nią, jedną ręką wspierając się o oparcie krzesła, na którym siedziała. Zmierzyła go wzrokiem – w szytym na miarę niebieskim garniturze i meloniku prezentował się jak zawsze nienagannie. Ten chłopak wiedział, co zrobić z majątkiem swojego ojczulka. Nażelowane włosy w kolorze rudy blond zaczesał gładko do góry, tak że oblepiały mu czaszkę niczym lśniący hełm. Jego oczy były koloru morskiej fali, w której przegląda się słońce. Rumiana twarz nadawała mu wygląd cherubinka, lecz okrutny uśmiech zdradzał jego prawdziwy charakter.

– Skąd taki wniosek?

– Nie udawaj głupiej. – W jego spojrzeniu, gdy to mówił, zapłonęła znana jej nienawiść, skrywająca się za bogobojuścią. – Wiem, że ten twój chory bóg chełpi się stworzeniem świata. To by tłumaczyło, dlaczego wy, ludzie, jesteście takimi materialistami.

W Margaret zagotowało się od gniewu, ale nie dała się sprowokować – sztukę ignorowania takich zaczepek miała już opanowaną do perfekcji. Jaime nienawidził jej od wielu lat. Kiedyś wydawało jej się, że jego niechęć ma jakiś konkretny, prozaiczny powód: może zrodziła się, gdy w dzieciństwie Maggie ugryzła go za to, że celowo stanął na ogon Kłopoty; a może przesądziła jej małomówność, która sprawiła, że Maggie wydała mu się dziwolągami. Teraz jednak rozumiała już, na czym polegała jej wina: jej ojciec wywodził się z ludu Yu'adir.

Na dnię pamięci przechowywała mgliste wspomnienia nuconej melodii, smak ziół i sosu jabłkowego, dostosowane do wieku dziecka

proste wyjaśnienia biblij zapisanej w alfabecie, który miał na zawsze pozostać dla niej tajemnicą. Czy jednak wszystkie te fragmenty układały się w całość, która dawałaby jej prawo, by poczuć się urażoną uwagami Jaimego? Dla ludzi jego pokroju było bez znaczenia, że Maggie niewiele wie na temat wiary swojego ojca. Liczyło się dla nich tylko to, że jej krew jest „nieczysta”. W Nowym Albionie z wyznawcami Yu’adir obchodzono się łaskawiej niż za morzem – nie zsyłano ich ani nie urządzano pogromów – chociaż populacja Wickdon umiała uprzykrzać im życie dyskretnie i w granicach prawa.

– Ja pierwszy go zobaczyłem, wiesz? – ciągnął Jaime. – Dwa dni temu widziałem wieczorem, jak tratował uprawy na polu.

Jeśli faktycznie widział halę dwa dni wcześniej, oznaczało to, że Maggie była pierwsza – i wyszła z tego spotkania bez szwanku. Jaime oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy, a ona nie zamierzała wyprowadzać go z błędu. Trzy lata temu gon przybrał wyjątkowo brutalny obrót. Łowy zorganizowano wtedy w Bardover, mieście leżącym około osiemdziesięciu kilometrów na północ od Wickdon. W ciągu pięciu tygodni hala zniszczyła niemal całe uprawy w okolicy, z wyjątkiem sadu należącego do jedynej w mieście rodziny wyznającej wiarę Yu’adir. Maggie słyszała niedawno, że domostwo jest teraz niezamieszkane.

– Czego chcesz, Jaime?

– Po prostu ucinam sobie pogawędkę. Znam ciekawsze pytanie: czego ty chcesz? Bo coś cię musiało skłonić do tego, żebyś wylazła z tej swojej nory.

– Przyszłam, żeby posłuchać mowy wstępnej, jak wszyscy.

– Dzień dobry, panno Welty. Och, czyżbym przeszkadzał?

To Weston – stał nonszalancko oparty o kontuar. Znowu założył ten swój stary trencz, w którym Maggie widziała go wcześniej. Materiał, spłowiały i wystrzępiony, był w licznych miejscach pocerowany, dzięki czemu płaszcz jeszcze trzymał się w jednym kawałku. Co gorsza, z jakiegoś powodu Weston zarzucał go sobie na ramiona niczym pelerynę, co niezwykle irytowało Maggie. Wyglądał tak absurdalnie.

Ponieważ stanął niedaleko otwartego okna, wpadający zefirek mierzwił jego niesforne włosy, po których ślizgały się złote błyski.

Margaret nie wiedziała, co kryje się za poważnym wyrazem jego twarzy. Weston przyglądał się jej, nie unosząc głowy, i dopiero teraz dziewczyna zwróciła uwagę na jego oczy – miały kolor piwny, ale były w niesamowitym odcieniu, który kojarzył jej się z żyzną, ciemną ziemią po deszczu. Serce zabiło jej żywiej.

– Panie Winters, widzę, że już poczuł się pan tutaj jak u siebie w domu.

– Owszem. Mieszkańcy są przyjaźni. – Wyciągnął ku niej rękę z butelką wina, jakby wznosił toast. Maggie wolała się nie zastanawiać, skąd ją wytrzasnął. – Może przedstawiś mnie swojemu towarzyszowi?

Wypowiedział te słowa neutralnym tonem, ale lodowaty błysk w oku zdradzał, co tak naprawdę kryło się za jego pytaniem: czy ten facet ci się narzuca? Mogła się tego domyślić – Weston potrzebował okazji, by pozgrywać bohatera. W pierwszej chwili Maggie pomyślała, że puści jego pytanie mimo uszu – tylko po to, żeby zrobiło mu się głupio za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Wystarczył jednak rzut oka na Jaimego, który mierzył intruza nienawistnym wzrokiem, by zmieniła zdanie. Skoro panowie chcieli sobie coś udowodnić, dlaczego miałyby im to utrudniać?

– To Jaime Harrington – powiedziała z ociąganiem.

– Weston Winters – rzekł przybyły, wyciągając dłoń do Harringtona.

Jaime spoglądał z wyższością na Wesa tak długo, aż ten zmuszony był, ze sztucznym uśmiechem, cofnąć rękę i schować ją do kieszeni.

– Chwileczkę – odezwał się Jaime. – Chyba już wiem, co knujecie. Planujecie oboje przystąpić do polowania, zgadłem?

– Co...

– A jeśli nawet, to co? – weszła Wesowi w słowo Maggie.

Weston wytrzeszczył na nią oczy. Margaret wiedziała, że nieroztropnie jest tracić opanowanie przy Jaimem. Samym spojrzeniem dała znać Wesowi, żeby się nie odzywał.

Twarz Harringtona spąsowiała.

– Moim zdaniem to nie jest zabawa dla ciebie. Poza tym to niebezpieczne. Masz tylko swoją wiekową strzelbę i starego psa. W starciu z halą nie miałabyś szans.

Na końcu języka miała już ciętą ripostę, lecz w ostatniej chwili się opanowała i schowała dumę do kieszeni. Cóż mogła osiągnąć, wdając się z nim w kłótnię? Dałaby mu tylko pretekst do kpin.

– Dzięki za troskę.

Rozczarowanie, jakie odmalowało się na jego twarzy, było najlepszą nagrodą za okazaną wstrzeźliwość. To gra, w której Jaime nigdy jej nie pobije.

Ciszę przerwał stłumiony śmiech Westona. On, w przeciwieństwie do niej, nie potrafił zachować powagi.

– Ty pewnie nie poradziłbyś sobie lepiej – parsknął. – Co, tak się boisz konkurencji, że próbujesz ją odwieść od uczestnictwa w zawodach?

W tej chwili Margaret pomyślała, że mogłaby zamordować tego chłopaczka. Czy on zawsze musiał odzywać się w nieodpowiednim momencie?

Groźne spojrzenie Jaimego stało się jeszcze mroczniejsze. Otwierał już usta, ale ubiegła go pani Wreford:

– Hala od wielu pokoleń niszczy nasze uprawy. Zabija nasze zwierzęta hodowlane. Morduje rodziców i dzieci. Jej śmierć będzie oznaczać kres pewnej epoki. Ktoś z was może stać się ostatnim bohaterem ludzkości. I pierwszym bohaterem w historii Nowego Albionu, który zgładził mityczną bestię. – Ostatnie słowo rozbrzmiewało złowieszczo w ciszy. Ale chwilę potem twarz pani Wreford się rozpromieniła. – No i oczywiście zyskać dożywotni status gościa honorowego Wickdon. Nie wspominając o nagrodzie pieniężnej, ufundowanej przez naszych hojnych sponsorów, wynoszącej w tym roku siedemdziesiąt pięć dolarów. Pogromca hali dostanie też zwłoki bestii. To dla nas wielki zaszczyt, że możemy w Wickdon gościć sto czterdziesty siódmy doroczny Gon Półksiężycy. Zapisy odbędą się za dwa tygodnie, a potem rozpocznie się zabawa. Dziękuję wszystkim za przybycie i życzę miłego pobytu!

Powrócił gwar rozmów, znów napełniano piwem kufle. Jaime nachylił się tak blisko, że Maggie poczuła, jak jego oddech łaskocze ją w ucho.

– Słyszałaś? – szepnął. – Bohaterem.

Doskonale rozumiała, co Jaime chce przez to powiedzieć: to droga, którą ty nigdy nie będziesz mogła podążać. Prawdziwi

bohaterowie Nowego Albionu to bez wyjątku wysoko urodzeni kataryści, w których żyłach płynie krew pierwszych kolonistów. Gon nie był dla dziewczuchy, której ojciec wyznawał wiarę Yu'adir. To coś dla Harringtonów.

– Dam ci radę, Winters – rzekł, prostując się. – W tym mieście odnosimy się do innych z szacunkiem. Jeśli nie chcesz napytać sobie biedy, na twoim miejscu liczyłbym się ze słowami.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i wmieszał w tłum. Margaret odetchnęła z ulgą. Chciała wyzbyć się złości, która parzyła ją od środka niczym rozgrzany do czerwoności węgiel; odzyskać panowanie nad sobą. Tylko że Jaime się mylił. Stara strzelba i pies nie pierwszej młodości to wszystko, czego potrzebowała, by spisać się lepiej od niego na polowaniu. Nieraz obserwowała Jaimego na strzelnicy – brakowało mu techniki, a po kielichu pudłował jeszcze częściej. Ten facet był nieznośnie zarozumiały, ktoś w końcu powinien utrzczyć mu nosa. Maggie nie miałyby nic przeciwko, żeby to jej przypadł ten zaszczyt.

Szkopuł w tym, że nie mogła tego zrobić.

Żeby wziąć udział w tych zawodach, musiałyby mieć pewność, że sobie poradzi. Tymczasem byłaby zmuszona rywalizować z łowcami z całego kraju, dysponującymi czasem, pieniędzmi i sprzętem, o których ona mogła najwyżej pomarzyć – w tej sytuacji nie byłaby niczego pewna. Nawet gdyby miała do dyspozycji najlepszego psa i najlepszą broń, i tak nie mogła zaryzykować wszystkiego dla jakiegoś wariackiego marzenia. Zwłaszcza że niezbędna byłaby pomoc alchemika. Niezależnie od tego, jak bardzo tęskniła za Evelyn, zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej podjąć takiego ryzyka.

– „Dam ci radę, Winters, W tym mieście odnosimy się do innych z szacunkiem” – powtórzył Weston, niezbyt wprawnie naśladowując głos Jaimego. Mimo to gdyby Maggie nie była na niego taka wkurzona, mogłaby się roześmiać. – Boże, o co temu typkowi chodziło?

– Z nim tak zawsze. Chociaż kiedy się go nie prowokuje, bywa mniej wredny.

– Nie prowokowałem go – obruszył się Weston. – Jeśli już ktoś kogoś prowokował, to on mnie.

– Nie potrzebuję, żebyś stawał w mojej obronie.

– Wcale nie próbowałem tego robić – zaproponował Wes. – Po prostu trzeba mieć zasady. Nie przeszkadza ci, że on odzywa się do ciebie w taki sposób?

– Nie. Posłuchaj, ze swoim życiem możesz robić, co ci się podoba. Ale od mojego trzymaj się z daleka.

– W porządku, wybaczone – mruknął, pokorniejac. Powoli osunął się na barowy stół. – O co mu chodziło, kiedy powiedział „Moim zdaniem to nie jest zabawa dla ciebie”?

Że też musiał ucześć się akurat tego szczególu, o którym ona wolałaby jak najszybciej zapomnieć.

– Nic szczególnego. A co? Interesujesz się polowaniami na lisy?

– Co masz na myśli, mówiac „interesujesz się”? – odparował.

– No, że jesteś „zainteresowany” – westchnęła, widzac jego udręczoną minę. – Przyszedłeś, żeby posłuchać przemowy wstępnej, zgadza się?

– Po prostu szedłem tam, gdzie wszyscy. – Umilkł, lecz po chwili dodał: – Nawet gdybym chciał, i tak nie mógłbym wziąć udziału w zawodach. Moja mama by mnie zamordowała.

– Czemu?

– Uważa, że to barbarzyńska rozrywka – odparł z ociąganiem.

– A co ty sądzisz?

– Nie wiem. Może faktycznie jest w tym coś barbarzyńskiego. Ale równocześnie to sport dla elit. Jasne, chciałbym być facetem, którego stać na to, by ubierać się jak Harrington. Chciałbym móc wyjechać na pięcioletniowe wakacje, w których trakcie będę się spoufalać ze słynnymi alchemikami i popisywać przed przybyszami z całego kraju. No ale cóż, obawiam się, że to nie jest zabawa też dla mnie.

Maggie nie umiała zignorować gorzkiego tonu i tęsknoty wyzierającej z jego słów. Czy mówił tak, bo był biedny, czy raczej dlatego, że był wyrzutkiem jak ona? Na chwilę zapomniała, że postanowiła trzymać go na dystans.

– Co pan sądzi o tej historii, panie Winters?

– Słucham? O tej, którą opowiedziała tamta starsza kobieta? A nad czym się tu głowić? To ta sama opowiadka, którą wszyscy powtarzają. Widziałem, co hala narobiła w sadzie Harringtonów, więc dla mnie morał tej historii jest do przyjęcia. No ale mimo wszystko szkoda, że musimy ją za to karać.



Nie liczyła na tak wymijającą odpowiedź, ale i tak nie umiała powstrzymać uśmiechu.

– No to chyba się zgadzamy w tej sprawie.

– Doprawdy? A to dopiero. – Weston, wyraźnie zakłopotany, uciekł spojrzeniem w bok. – No to co, zapisujesz się?

– Sam słyszałeś Jaimego.

Na twarzy chłopaka pojawił się wilczy uśmiech.

– O ileż więcej frajdy sprawia robienie tego, co zakazane, prawda?

– Może.

– Może – powtórzył.

– To niemożliwe. Nie mam wymaganego partnera alchemika i nie stać mnie na wpisowe. Gdyby matka była w domu, miałabym więcej czasu i mogłabym zarobić trochę pieniędzy, no ale...

Weston posłał jej pełne współczucia spojrzenie.

– Wtedy wzięłabyś udział w gonie?

Cóż za niemądre pytanie. Nie istniało żadne „wtedy”. Ale nie mogła zaprzeczyć, że taki sposób myślenia o świecie był pociągający. Margaret popuściła wodze fantazji. Czy jej ewentualne zwycięstwo w zawodach skłoniłoby matkę do zaniechania dalszych podróży? Czy załazłaby za skórę Jaimego? Czy umiałaby poradzić sobie z paraliżującym strachem? Tak – gdyby mogła, nie zwlekałaby ani chwili i przystąpiła do zawodów.

Może zatem jego pytanie wcale nie było takie głupie.

– Tak, zapisałabym się. A ty?

Weston zagwizdał przeciągle.

– Możesz sobie wyobrazić, co byś zrobiła z siedemdziesięcioma pięcioma dolarami? Mógłbym zabić dla takiej góry pieniędzy. Psiakrew, zabiłbym dla samej sławy. No ale kiedy tylko wróci twoja matka, nie będę raczej narzekać na nadmiar wolnego czasu. Poza tym, jak już wspomniałem, uczestnictwo w gonie nie jest czymś, co człowiek taki jak ja... – Nie dokończył. – Dlaczego pytasz?

Dopiero teraz zrozumiała, jak można zrozumieć jej pytanie. Generalnie trzymała się zasady, że alchemicy nie są ludźmi godnymi zaufania. Co jednak w sytuacji, gdyby miała alchemika pod kontrolą? Może Weston był rozwiązaniem jej problemów? Stał w jej obronie, gdy naprzykrzał jej się Jaime. W desperacji zadeklarował, że zrobi

wszystko, byle tylko pozwoliła mu zatrzymać się w dworze Welty. A jeśli zdjęcie, które jej pokazał, jest jakąś wskazówką, nie był człowiekiem pozbawionym serca – przynajmniej na razie.

„Poproś go” – może wtedy wyzbędzie się oporów. Wprawdzie wyraźnie ważył słowa, ale przecież niemal wprost przyznał się jej, jak bardzo pragnie zwyciężyć. „Dlaczego właściwie mamy pozwalać, by ludzie pokroju Jaimego decydowali, czym możemy się zajmować, a czym nie?”

Nadal jednak milczała. Przecież praktycznie nie знаła tego chłopaka, nie wiedziała, czy w ogóle obdarzony jest talentem do alchemii. Poza tym jaką miała gwarancję, że nie zabierze jej zabitego lisa, gdy nadarzy się szansa? Wszyscy alchemicy, z wyjątkiem Evelyn, wychodzili z założenia, iż przeznaczeniem hali jest zginąć z ręki myśliwego po to tylko, aby dowieść jego zdolności łowieckich. Ale ścierwo białego lisa było trofeum, którym niewielu by wzgardziło. Margaret dotychczas stosowała prostą strategię: starała się nie wchodzić nikomu w drogę, być niewidzialną, żyć tak, jakby niczego ani nikogo nie potrzebowała do szczęścia. Teraz miałyby przyznać, że naprawdę na czymś jej zależy, a co gorsza, że do osiągnięcia tego celu niezbędny jest jej Weston. Ta ostatnia myśl wydawała jej się równoznaczna z poderżnięciem sobie gardła. Gdyby chłopak odrzucił teraz jej propozycję, byłaby zdruzgotana.

– Bez powodu.

– Jasne. – Weston odchylił się na stołku i z zadartą głową studiował sufit, jakby spodziewał się znaleźć tam jakąś odpowiedź. – Na pewno nie brakuje alchemików, którzy chętnie zapiszą się z tobą na polowanie. A skoro twoim jedynym zmartwieniem jest brak pieniędzy, zrobmy tak: zleć mi jakieś prace domowe, a sama będziesz miała więcej wolnego czasu i poszukasz sobie jakiegoś płatnego zajęcia. Przecież od początku zapowiadałem, że w zamian za nocleg będę pracować.

W głowie Maggie rozszalała się burza emocji. Jej żołądek zareagował bolesnym skurczem. Wśród uczuć dominowało poczucie winy, że zwodzi Westona obietnicami rychłego powrotu Evelyn, oraz strach wynikający z faktu, że Weston umożliwił jej zapisanie się na łowy. Czy naprawdę była na to gotowa? Rozważanie wzięcia udziału w zawodach to jedno, ale czymś zupełnie innym jest rzeczywiste

wpisanie się na listę uczestników. Miała tyle do stracenia w przypadku przegranej. Przecież hala mogła zabić ją i Kłopotą. Albo przepuści całe oszczędności i zyska tylko rozczarowanie. Ale jeśli nie skorzysta z tej szansy, czy będzie umiała spojrzeć sobie w twarz? Nie mogła dłużej niczym stęskniony pies wypatrywać powrotu Evelyn. Nie mogła dłużej tak żyć – przepelniający ją gniew był niczym rozżarzone do czerwoności węgle.

Dziewczynom takim jak ona nie wolno marzyć. Dziewczyny takie jak ona muszą skupić się na przetrwaniu. I zazwyczaj to jej wystarczało. Ale nie dzisiaj.

– W porządku – oświadczyła.

– To znaczy?

– Pozwolę ci popracować w domu.

– Wspaniale – ucieszył się Weston. Ale już po chwili jego uśmiech stał się pełen rezerwy, jakby chłopak nastawiał się, że zaraz spotka go rozczarowanie. – A jeśli dobrze się spiszę, przestaniesz mnie unikać?

Maggie się skrzywiła. I chyba spiekła raka, bo chłopak wybuchnął śmiechem. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jego śmiech brzmi całkiem miło – wydawał się naturalny i serdeczny, podczas gdy uśmieszki, którymi zaszczycił ją wcześniej, często były sztuczne i wyrachowane. Ile czasu upłynęło, odkąd doprowadziła kogoś do śmiechu?

– Zastanowię się. – Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, wyczuwalnie między nimi napięcie osłabło.

Jego gładkie wystawianie się i maniery wzbudzały nieufność, ale to tylko maska. W rzeczywistości z tego całego Westona był chłopak o dobrym sercu. To jednak za mało, by Maggie poczuła się przy nim bezpiecznie. Wiele razy spotkała ją krzywda z rąk tak zwanych dobrych ludzi i nauczyła się już, że nienawiść, jaką w niektórych budzili wyznawcy Yu'adir, to potężna trucizna. Chociaż do zapisów pozostały dwa tygodnie. W tym czasie będzie mogła ocenić, czy Wes jest osobą godną zaufania, i ewentualnie zdobyć się na odwagę, by ponowić propozycję współpracy. Dwa tygodnie na zarobienie kwoty wpisowego. Dwa tygodnie, nim spojrzenia wszystkich przybyłych do Wickdon spoczną na niej. W miarę jak uświadamiała sobie swój nowy

cel, jej pewność siebie rosła. Już od wielu lat nie czuła się tak zdeterminowana jak teraz.

Może faktycznie zbyt długo zwlekała z tym, by zacząć żyć naprawdę.





es syknął, gdy drzazga z trzonka siekiery wbiła mu się w dłoń. To już kolejna.

Zaczął żałować, że podczas targowania się z Maggie zaproponował zbyt korzystne dla niej warunki. Co mu strzeliło do głowy cztery dni wcześniej, żeby zaoferować, że zrobi *wszystko*, o co go poprosi, w zamian za zakwaterowanie i wyżywienie? Kiedy wsłuchiwał się teraz w stukot poruszanych wiatrem gałęzi otaczających go sekwoi, dochodził do wniosku, że powinien być inaczej to rozegrać. Ten las przyprawiał go o gęsią skórkę. Wszystko było w nim trochę przerażające, poczynając od kształtów połamanych konarów sekwoi, po nieustający szelest opadłych liści, w którym mimo woli wciąż słyszał, jakby ktoś wypowiadał szeptem jego imię.

Korony drzew pochylały się nad nim, tworząc szczelny baldachim i zasłaniając niemal całe niebo. Pnie były tak wysokie i proste, że przypominały sztachety więziennej klatki. Czający się między nimi mrok zdawał się gęsty niczym mgła i – o czym Wes był przekonany – pełen śledzących go oczu. Pracując, nie mógł uwolnić się od przykrego podejrzenia, że hala jest gdzieś tutaj i tylko czeka na sposobność, by skoczyć i zatopić w nim swoje kły. Mama przekonywałaby, że nie ma czego się lękać, o ile jest pogodzony z Bogiem, ale Wes zaczynał wątpić, czy to wystarczy.

Wspominając moment, gdy Maggie spytała go, czy byłby zainteresowany wzięciem udziału w gonie, zmuszony był przed samym sobą przyznać, że była to kusząca perspektywa. Chodziło o coś więcej niż pieniądze. Gdyby mógł się pochwalić wygraną w gonie, może ludzie przymknęliby oko na jego banwijsko-sumickie

pochodzenie, gdy będzie ubiegać się o urząd. W oczach przeciętnego obywatela stałby się kimś równie ważnym jak bohater wojenny. Szkopuł w tym, że wygrana była równie mało prawdopodobna jak spełnienie jego innych marzeń. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie chciał występować na zawodach u boku pozbawionego licencji alchemika, który nawet nie odbył jeszcze szkolenia, a w dodatku jest Banwiszem.

Maggie należał się lepszy partner – współpraca z Wesem zaszkodziłaby jej reputacji i odebrała szanse na zwycięstwo. Dlatego nie powinien robić jej złudnych nadziei. Skoro pod dotykiem łap hali obumierają całe sady, jaki los może spotkać istotę równie kruchą i podatną na zranienie jak on?

Odłożył siekierę, żeby zbadać miejsce na dłoni, w którym utkwiała drzazga. Tam, gdzie oszczędziły go drzazgi, skórę pokrywały bąble odcisków. Na samym środku lśniła długa czerwona rana – drewniany odłamek trzonka rozplątał skórę i oderwał kawał mięsa. Sącząca się z rozcięcia krew rozlewała się po zagłębieniach dłoni.

– Psiakrew – mruknął, a para z ust zawirowała wokół jego głowy niczym papierosowy dym.

Mimo że trudno mu było się do tego przyznać, nie lubił widoku krwi. Nasłuchał się od matki dość historii, by załagł się w nim trwały lęk przez Bogiem i wrózkami Sidhe. To z nich się dowiedział, że dla nieumarłego króla Avartacha albo występnych wrózek widok samotnego człowieka, który zranił się i krwawi w lesie o zmierzchu, jest niczym zaproszenie, by go porwały – albo uczyniły z nim coś jeszcze gorszego. Nawet jeśli były to tylko bujdy będące owocem przesądów, nie miał zamiaru kusić losu. Magia Sidhe była zbyt dzika i nieprzewidywalna, by można było z nią igrać.

Zerknął w stronę domu. Przez uchylone okno dojrzał Maggie. Dziewczyna stała przy ladzie kuchennej i kroїła marchew. Robiła to z powagą, która kazała się domyślać, że oddaje w ten sposób cześć jakiemuś roślinnemu bóstwu. Zachodzące słońce zaglądało do kuchni, w jego blasku błyszczwały miedziane garnki wiszące nad kuchenką, a całe pomieszczenie było skąpane w ciepłym, złocistym blasku. W cudownym świetle magicznej godziny Margaret wydała mu się niemal ładna. Niemal. Oderwał od niej wzrok.

Na wspomnienie precyzji, z jaką dziewczyna odrąbała głowę kurze, oraz brudnych śladów na jej umięśnionych przedramionach Wes poczuł się jeszcze gorzej – Margaret pewnie potrzebowałaby połowę mniej czasu, żeby narąbać całą górę drewna. W mieście los oszczędzał Wesowi takiej mordęgi, bo w ich mieszkaniu było przez cały rok duszno. A nawet gdyby nie było, od czego jest nowoczesna technologia i alchemia...

I nagle go olśniło – przecież powinien trenować alchemię przed powrotem Evelyn! Oczywiście bez sprzętu jego możliwości były ograniczone, ale uczynienie rąbania drzew łatwiejszym wymagało tylko najprostszyc transmutacji. Maggie na pewno się ucieszy.

Usiadł na pieńku do rąbania, na ziemi poszukał kamienia i patyka. Kiedy odkryje *coincidentia oppositorum* kamienia – płynną esencję każdego przedmiotu – będzie mógł wykorzystać go do zaczarowania siekiery. Stanie się wówczas ostrzejsza, bardziej wytrzymała i skuteczna, przynajmniej taka była teoria.

Na dłoni wypisał alchemiczną formułę *nigredo* – ostrożnie naniósł symbole chemicznego składu kamienia. Krzemień i tlen – łatwizna. Bazował jedynie na swoich przypuszczeniach, ale liczył, że efekt będzie zadowalający i zdoła rozłożyć większą część kamienia i obrócić go w coś przydatnego. Niszczenie zawsze przychodziło mu z łatwością.

Kiedy skończył przygotowania, ścisnął kamień w dłoni i zaczął przyzywać swoją wewnętrzną magię. Między palcami zapłonął mu biały ogień, siarkowy dym zaczął snuć się wokół jego ręki na podobieństwo łaszącego się kota. Kiedy Wes rozchylił palce, jego oczom ukazało się zwęglone *caput mortuum*. Bulgotało gwałtownie niczym woda w bagnie. Ponieważ Wes kierował się tylko przybliżonymi rachubami, otrzymany materiał nie był tak stabilny, jak by tego sobie życzył. Ale i tak powinien wystarczyć.

Drugi etap procesu alchemicznego – *albedo*, czyli oczyszczenie. Ten krok wymagał pewnej finezji, a także zastosowania metody prób i błędów. Tylko w ten sposób można było spalić wszystko, co nie stanowiło wewnętrznej istoty przedmiotu. Podczas gdy *nigredo* bazowało na chemii, do przeprowadzenia *albedo* konieczna była intuicja. To właśnie opanowanie tego etapu pozwalało odróżnić



zwykłego alchemika od mistrza. Ze zdenerwowania Wesa rozboleł brzuch.

Odręż się, powtarzał sobie w myślach. Niezliczoną ilość razy widział, jak przeprowadza się *albedo*; liczba demonstracji była identyczna do liczby nauczycieli, którzy próbowali wbić mu do głowy zawilosci tej techniki.

„Bez talentu. Niewykształcony. Leniwy”. Nadejdzie dzień, gdy udowodni im wszystkim, że mylili się co do niego.

Zaraz po wypisaniu i aktywacji formuły z dłoni wystrzelił mu ogień. Wes ponownie rozchylił palce i utkwiał wzrok w *caput mortuum*, które bielalo niczym pozostawiona na słońcu kość. Na jego oczach powoli kamień obrócił się w ciecz, białą i skrzącą się niczym diament. *Coincidentia oppositorum*, jedność przeciwieństw.

Odrobina uzyskanej cieczy wyciekła mu spomiędzy palców i spłynęła na ściętą lekkim mrozem ziemię. Żeby nie stracić wszystkiego, Wes pospiesznie wylał resztę na głowicę siekiery i na dłoni wypisał formułę *rubedo*, a więc ostatniego etapu procesu alchemicznego, polegającego na rekombinacji. Ostrze siekiery, nasączone esencjalnymi właściwościami kamienia, rozbłysło czerwienią, po czym stało się na powrót szare niczym stygnąca stal. Odtąd życie Wesa miało stać się o wiele prostsze.

Kiedy jednak spróbował podnieść siekiere, odkrył, że jest nienaturalnie ciężka. Zdołał unieść ją tylko centymetr nad ziemią i zmuszony był się poddać.

– O cholera – mruknął, upuszczając narzędzie.

Nie takiego efektu oczekiwał. Domyślał się, dlaczego przeprowadzona transmutacja mogła przynieść takie, a nie inne skutki. Niektóre kamienie miały to do siebie, że poddane destylacji pozwalały uzyskać większą twardość. Inne – ostrość. Nie, to nie pora na szukanie po omacku winnego. Było jasne, że Maggie go zamorduje, kiedy zobaczy, co narobił. Dlatego powinien jak najszybciej ukryć dowody, albo przynajmniej udawać, że nic się nie stało, dopóki nie wymyśli, w jaki sposób można odwrócić zaklęcie.

Wtem rozległ się głos Maggie, który tylko wzmógł jego panikę:

– Co ty wyprawiasz?

Mimo że ubrana była w luźno tkany rozpinany sweter i niezawiazane skórzane buty, kiedy ujrzał ją stojącą na werandzie,

nadal wydawała mu się władcza.

– Nic takiego! Kończyłem rąbać drewno.

Zdradził go drżący głos albo nerwowe ruchy, gdy próbował zbierać rozsypane na ziemi szczapki. Maggie, z marsową miną, ruszyła ku niemu. Zaszleściły liście pod jej butami. Zdenerwowanie Wesa rosło z każdą chwilą.

Miał przechłapane.

Podeszła na półtora metra i nagle stanęła jak wryta. W oczach dziewczyny Wes dostrzegł ten sam dziwny, chorobliwy ogień, który zapłonął w nich, gdy wychodziła z domu, by udać się na ceremonię otwarcia. Wydała mu się znękana i nieobecna, jakby myślami była tysiąc kilometrów stąd.

– Panno Welty?

Drgnęła i zamrugowała. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał, jakby budziła się z głębokiego snu:

– Śmierdzi tu alchemią.

– Czyżby?

– Owszem.

Jej spojrzenie padło na jego pokryte błotnymi symbolami dłonie. Szybko schował je do kieszeni, ale się spóźnił. Twarz dziewczyny wygładziła się, teraz wyrażała przede wszystkim ciekawość.

– Umiesz już praktykować alchemię.

– Ależ oczywiście. – Mimo że wcale tego nie planował, jego ton zdradzał rozdrażnienie.

– Wspomniałeś, że oblałeś szkolenia u innych nauczycieli.

– Nigdy tego nie powiedziałem. To twoje słowa, nie moje. Ale faktycznie, twoje przypuszczenia były słuszne, choć to i tak bez znaczenia. – Wes westchnął ciężko i oparł się o pień do rąbania drewna. – To nie tak, że nie mam talentu do alchemii, słowo honoru. Po prostu... jestem nieostrożny, zapominam o przetestowaniu wyniku eksperymentu.

– Sprawdźmy, jak się spisałeś.

– Oj, nie wiem...

Margaret wystarczyła sekunda, by domyślić się, co próbuje ukryć. Schyliła się, żeby podnieść z ziemi siekiere. Przeklęła pod nosem, gdy stało się jasne, że narzędzie ani drgnie. Wyraz jej twarzy zdradzał teraz coś pomiędzy oszołomieniem i irytacją.

– Jest ciężka jak kowadło. Coś ty z nią zrobił?  
– Chciałem być pomocny! Tylko że pomieszałem coś ze składem chemicznym.

Maggie spiorunowała go wzrokiem.

– Jeśli nie wiesz, jak przeprowadzić transmutację, powinieneś trzymać się od niej z daleka. To niebezpieczne.

– Co ty nie powiesz. Po prostu miałem pewną teorię i chciałem ją przetestować w praktyce. Na tym polega nauka.

– To żadna nauka, tylko zniszczenie mienia.

– Naprawię to, przysięgam!

Potrząsnęła w zamyśleniu głową, jakby powstrzymywała się przed powiedzeniem tego, co cisnęło jej się na usta. Po chwili strzepnęła ze spódnicy niewidzialny pył.

– Rób, co chcesz. Jeśli masz ochotę igrać z ogniem, twoja sprawa.

W jej głosie pobrzmiwało tak wielkie rozczarowanie, że Wes mimo woli zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie oblał jakiegoś testu, o którym nie wiedział nawet, że go zdaje.

Ażeby zachować resztki godności, dodał skwapliwie:

– Pewnie to marna pociecha, ale narąbałem też trochę drewna.

Maggie obrzuciła wzrokiem szczapki leżące u jego stóp.

– To za duże kawałki na podpałkę.

– Mogę porąbać je na cieńsze – zaproponował zgnębnym głosem. Ból w jego spracowanych dłoniach nasilił się, jakby w ramach protestu.

– Nie. Wiesz co... lepiej to zostaw – powiedziała z rezygnacją, jakby Wes był najbardziej bezużytecznym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia. – Później się tym zajmę. Chodź do środka, zanim się przeziębisz.

Ruszył za nią do domu, starając się nie rozmyślać nad tym, co właśnie usłyszał.

Wewnątrz, prawdę mówiąc, wcale nie było o wiele cieplej. Kiedy weszli, leżący na progu Kłopot wydał z siebie przeciągłe, dramatyczne westchnienie. Wes trącił psiaka koniuszkiem buta, na co czworonóg, jęknąwszy z wysiłku, przewrócił się na bok i podwinął jedną łapę, oczekując pieszczot. Chłopak uklęknął obok i poklepał go

po brzuchu. Po chwili w ciszy rozległy się miarowe szczęknięcia kuchennego noża Maggie.

Wes uświadomił sobie, w nagłym rozbłysku zrozumienia, jak ponura była ta scena. Tak właśnie wyglądało życie Maggie.

Nie umiał przejść obojętnie obok tego, jak Jaime potraktował ją w pubie. Mimo woli powracał też myślą do plotek, jakich nasłuchiwał się jeszcze przed opuszczeniem Dunway – wynikało z nich, że Evelyn Welty jest potworem w ludzkiej skórze i odludkiem. Wprawdzie jeszcze jej nie poznał, powoli jednak zaczynał podejrzewać, że może w tych pogłoskach tkwi ziarno prawdy. Jaka matka zostawia swoją córkę na szereg miesięcy bez opieki?

Maggie pewnie miała już go dość, ale Wes uznał, że i tak nie pogardzi jego towarzystwem, mając do wyboru samotność. Chwilami przyłapywał ją na tym, że patrzy na niego w taki sposób, jakby zamierzała go o coś spytać. Poza tym podobała mu się bardziej, gdy była na niego wkurzona. Ilekroć powstrzymywała się przed zruganiem go, jej oczy stawały się większe.

- Twój pies mnie polubił.
- To nie jest zwykły pies, tylko ogar.
- W porządku. Twój ogar mnie lubi.

Maggie nie zaszczyciła go odpowiedzią.

Jej obojętność podziałała na niego deprymująco. W jego rodzinnym domu wystarczył taki błahy komentarz, by rozpętała się kłótnia. Wspomnienie sióstr sprawiło, że w jednej chwili zrobiło mu się ciężko na sercu. Znowu dopadła go tęsknota za domem. Doskwierała mu samotność. Do dworu Welty nikt nie wpadał z wizytą. Nasłuchiwał się opowieści o tym, jak przytulnym miejscem są wsie Nowego Albionu. Ludzie mieli tu być serdeczniejsi od mieszczuchów i miały ich łączyć silniejsze więzi. Zupełnie jak w Banwa, zanim przyszła plaga, zbiory przepadły, a okolica się wyludniła. Ci, którzy rozpuszczali takie plotki, najwyraźniej nigdy nie byli w Wickdon.

Przez wiele tygodni po śmierci ojca ich mieszkanie ani przez chwilę nie stało puste. Ile razy w tym czasie krewni brali go w ramiona? Ile przygotowanych w domu posiłków powędrowało do ich lodówki? Ile zagrano żałobnych piosenek? Wes już dawno stracił rachubę. Momentami czuł się przytłoczony całym tym zamieszaniem,

ale teraz wszystko by oddał za to, by poczuć się znów otoczony taką miłością. Czy Maggie w ogóle domyślała się, co traci?

Mimo że starał się do tego nie przyznawać, współczuł jej. Ta dziewczyna najwyraźniej nic sobie nie robiła z jego przyjacielskich gestów. Nie mógł zapomnieć jej spojrzenia, gdy burknęła „Muszę już iść”, po tym jak spytał, czy wszystko z nią w porządku. Niewiele zostało z kruchej komitywy, którą – jak mu się zdawało – zbudowali poprzedniego dnia. Wes poczuł się tak samo samotny jak w dniu, kiedy tu przybył.

– Hej – odezwał się posępniejszym tonem, niż zamierzał. – Masz tu przypadkiem telefon?

– W mieście jest budka telefoniczna.

A jakże, najbliższy aparat oddalony był o osiem kilometrów. Powinien był się tego spodziewać.

Nie odpowiedział. Wstał i zagwizdał na psa. Kłopot przeciągnął się, wstrząsnął łbem i posłusznie poczłapał za Wesem, odprowadzany kwaśnym spojrzeniem Maggie. Wes pomyślał, że może nie on jeden tęskni za łykiem świeżego powietrza.

– Weź go na smycz – zawołała za nim. – W przeciwnym razie nie będzie chciał wyjść z tobą poza teren posesji.

Wes domyślał się, że rzeczywisty powód, dla którego Maggie nalegała, by wziął Kłopot na smycz, był zupełnie inny – nie chciała ryzykować, że zgubi psa.

– Dobra, dobra – mruknął. Sięgnął po wiszącą na wieszaku na ubrania smycz i przyczepił ją do obroży Kłopotą.

Podczas przechadzki górską ścieżką tłumaczył sobie, że dobrze robi, trwając tutaj. Przez całe życie Mad i nauczyciele nazywali go leniem, obibokiem, miglancem. W ich oczach był typem chłopaka, który w życiu radzi sobie tylko dzięki swojemu powierzchownemu urokowi. Taka ocena bolała go, ale inna sprawa, że zasłużył na nią. To nie jego wina, że z natury był przyjacielskim człowiekiem. Ale już za to, że z owej przyjacielskości uczynił tarczę, za którą schował całą swoją rozpacz, był odpowiedzialny tylko on, nikt inny. Czy Mad zmieniłaby swój stosunek do niego, gdyby wiedziała, że Wesa po prostu nie stać na mierzenie się ze wszystkimi jego porażkami? Gardziłaby nim tak samo jak zawsze. No ale teraz wylądował tutaj,

udawał drwala i marnował swoje życie. Może koniec końców zasługiwał na takie lekceważące traktowanie z jej strony.

Boże, potrzebował porozmawiać z mamą, zanim zgnębi go doszczętnie poczucie winy.

Do budki telefonicznej stojącej na wzgórzu nad miastem dotarł zziębnięty i przemarznięty. Chyba nigdy nie przywyknie do wspinania się na pagórki. Wewnątrz panował straszny ziąb, szyby w oknach były zamrożone i posrebrzone blaskiem księżyca. Kłopot ułożył się u jego stóp, a Wes wrzucił monetę do aparatu i wykręcił domowy numer.

Po dwóch sygnałach ktoś odebrał.

– Halo?

Pierwszy raz w życiu na dźwięk głosu Christine poczuł coś na podobieństwo szczęścia.

– Cześć, to ja. – Odpowiedziało mu milczenie. – Christine?

– Ja? Jaki ja?

– Wes.

– Wes... hmm. Nie znam żadnego Wesa...

– Bardzo zabawne. Daj mamę do telefonu.

– Ach, Wes! – W słuchawce rozległo się pstryknięcie palcami. Po chwili przesłodzonym głosem Christine powiedziała: – Mój najdroższy jedyny brat Weston. Tak dawno nie dzwoniłeś. Zapomniałam już, jak brzmi twój głos. Chcesz porozmawiać z Mad?

– Nie. – Skrzywił się Wes. – Prosiłem, żebyś zawołała mamę.

– Aha, Colleen?

– Nie – stwierdził stanowczo.

Jeśli Christine odda słuchawkę Colleen, Wes nigdy się od niej nie uwolni. Był zbyt splukany, żeby ryzykować pogawędkę ze swoją siostrzyczką.

– Boże, tylko nie to. Dzwonię z automatu na monety. Zawołaj mamę.

– Dobra – odparła. Brzmienie jej głosu zdradzało, że wypowiadając to słowo, uśmiecha się.

Serce Wesa zamarło z trwogi.

– Colleen! Wes chce zamienić z tobą słówko!

Do diabła.

Wsluchując się w stłumione głosy sióstr, mimo woli wyobrażał sobie, że jest tam teraz z nimi. Wszyscy razem siedzieliby w pokoju dziennym, wokół grającego radia. Oczami wyobraźni widział leżącą na kanapie Christine ze słuchawką telefonu przytrzymywaną brodą. Pewnie Edie wgramoliłaby mu się na kolana i domagała, żeby się z nią pobawił. Colleen zanudzałaby wszystkich monologami na temat baseballa, chemii albo innego tematu, który akurat ją interesował. A Mad wyglądałaby przez okno, w palcach trzymając firkę do palenia papierosów.

Boże, ileż by dał, żeby się tam teraz znaleźć. Tęsknota, która go ogarnęła, sprawiła, że poczuł, jak do oczu napływają mu gorące łzy. Z roztkliwienia wyrwał go głosik Colleen, jego czternastoletniej siostry.

– Wes!

– Cześć, Fasolko! Posłuchaj, zostało mi tylko około pięciu minut, potem połączenie zostanie przerwane. Czy mogłabyś dać mamę do telefonu?

– Tak!

Rozległ się dźwięk przysuwanego fotela. Wes z łatwością wyobraził sobie, jak Colleen siada na nim i zaczyna bawić się kablem telefonicznym.

– Już się za tobą stęskniłam. Jak ci się podoba w Wickdon? Kiedy wracasz? Poznałeś tam kogoś? Może jakąś dziewczynę? Jak wiedzie ci się szkoleniu? Jak...

– Jest wspaniale. Wszystko jest wspaniale.

– Nie zostałeś jeszcze wylany?

– Jeszcze nie! – Wes miał nadzieję, że zabrzmiało to wesoło. – Niesamowite, co?

– No to dobrze. Pani O'Connor pytała o ciebie dziś rano. Ostatnio nie zachodziłaś do niej i zaczęła się niepokoić. Jej córka jest dosłownie zdruzgotana, że wyjechałeś. *Zdruzgotana*.

– Która? Jane? Ta z ptakiem? – Wes nie cierpiał tego ptaszyska. Kiedyś dziobnęło go w ucho, nadal miał tam bliznę.

– Dokładnie.

Nie wiedział, co o tym sądzić. Z Jane zamienił łącznie parę słów, ale podejrzewał, że jeśli dziewczyna czuje się do niego przywiązana, sam jest sobie winien, bo ilekroć się widzieli, mówił, że pięknie wygląda. Chętnie poplotkowałby jeszcze na temat najstarszej córki

rzeźnika, ale czas mijał nieubłaganie, a portfel w jego kieszeni świecił pustkami.

– Przekaż jej... że to bardzo miłe, że o mnie pyta – polecił. – A teraz zawołaj już mamę.

Dźwięk w słuchawce stał się przytłumiony, siostra zapewne przykryła ją dłonią. Wes z niepokojem zanurzył dłoń w kieszeni, wyłowił z niej kolejną monetę i wrzucił do automatu. Dźwięki toczącej się w pokoju sprzeczki nie napawały optymizmem. W końcu jednak usłyszał, jak ktoś wyrywa słuchawkę siostrze.

– Wes, to ty? – Tym razem był to głos jego matki.

Jego brzmienie przyniosło mu natychmiastową ulgę. Dom rodzinny Wesa miał dla niego głos matki.

– Cześć, mammo.

– Och, dzieciaku. Tak się cieszę, że cię słyszę. Jak się masz? Nie marzniesz? Mam nadzieję, że nie zapomniałeś zabrać płaszcza.

– Jet mi ciepło, mammo. Nie martw się.

– „Nie martw się”. Znasz mnie od osiemnastu lat. Będę się martwić, i to jak!

– Wiem, przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że byłem... – Dla uspokojenia wziął głęboki oddech, po czym najbardziej dorosłym głosem, na jaki było go stać, powiedział: – Nie chcę, żebyś się martwiła. Przestań się mną zamartwiać, dobrze?

– Dostałeś się na te praktyki?

– Tak – odparł, w myślach łajając się za to wierutne kłamstwo. – No jasne.

– Naprawdę? To fantastycznie! Jestem z ciebie taka dumna.

„Gdybyś mnie zobaczyła, mammo, inaczej byś śpiewała”. W którym momencie kłamanie weszło mu w krew? Ale jakie miał wyjście? Przecież nie mógł ryzykować, że znów złamie jej serce. Zwłaszcza po tym, jak obiecał ojcu, że zadba o całą rodzinę.

– Dzięki.

– No, to słucham. Opowiadaj!

– Naprawdę świetnie trafiłem. Jestem tu dopiero od paru dni. Mistrzynie Welty to... Może ujmę to tak: nie próbuje ograniczać mojej niezależności.

– Tylko się nie przepracowuj. Nie chcę, żebyś całe dni spędzała w samotności nad książkami. Masz już jakichś nowych znajomych?



– Jest tu córka pani Welty, moja rówieśnica. Bardzo... – Trudno było znaleźć słowo, które oddałoby sprawiedliwość Maggie. – ... sympatyczna.

– A dobrze cię tam traktują?

– O tak. Naprawdę wszystko jest wspaniale. A jak ty się miewasz?

– Chodzą słuchy, że właściciel mieszkania znowu podniesie nam czynsz. Ale cóż możemy począć? Najważniejsze, że zdrowie nam dopisuje. Czegóż innego trzeba nam do szczęścia? O wszystko zatroszczy się Bóg, byle zdrowie było.

W słuchawce rozległ się metaliczny sygnał ostrzegający przed zbliżającym się przerwaniem połączenia.

– Słuchaj, mamó, dzwonię z budki i zaraz mi się skończą monety. W domu państwa Welty nie ma aparatu, dlatego gdyby coś wyskoczyło i będziesz chciała się ze mną skontaktować, dzwoń do Zajazdu u Wallace'a. Niedługo znów się odezwę, dobrze? Kocham was.

– Dobrze, leć. Ja też cię...

Połączenie zostało przerwane. Wes wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. Był z niego skończony egoista – podczas gdy sytuacja materialna jego najbliższych stawała się coraz bardziej dramatyczna, on zdawał się na dobrą wolę Maggie. Całe szczęście, że do powrotu Evelyn pozostało tylko półtora tygodnia.

Odwiesił słuchawkę na widełki, dłonie wbił w kieszenie. Zięb był piekielny, a do dworu Welty czekał go teraz ośmiokilometrowy spacer. Ewentualnie mógł iść w stronę morza i nie zwalniać, dopóki nie pochłonie go żywioł. To byłby przynajmniej kres jego problemów.

Tyle że w rzeczywistości nie mógł zrezygnować. Nawet gdyby wrócił do Dunway i zatrudnił się w porcie albo fabryce – o ile znalazłby taką, która by go zechciała – nie poprawiłby w ten sposób sytuacji swojej rodziny. Czynsz nie przestanie wzrastać. Przepisy regulujące życie imigrantów będą coraz bardziej restrykcyjne. Cała nadzieja w Evelyn Welty, wszystko zależało od tego, czy zgodzi się, by Weston terminował u niej. Wszystko. Pozostawało mu wierzyć, że gdy alchemiczka w końcu się zjawi, zdoła nakłonić ją, by dała mu szansę.





dący przodem Weston i Kłopot pojawiali się, by zaraz znowu zniknąć we mgle schodzącej w dół zbocza. Wracali we trójkę z miasta do domu. Dzień był pochmurny i chłodny, ale zaścielające ziemię liście radowały oczy jesiennymi kolorami. Na ich widok Maggie robiło się lżej na sercu. Cały miniony tydzień upłynął jej na polowaniu, sprzedała trochę skór i teraz nareszcie było ją stać na wniesienie opłaty wpisowej. Pieniędzy było dość, by zakupić też prowiant na cały tydzień. Wolność, jakiej teraz zażywała, miała osobliwy smak, bo ceną za nią było znoszenie towarzystwa Westona.

*Weston.* Jej usta badały kształt jego imienia.

Ganiał się teraz z psem, a jego śmiech – o zgrozo – wydał jej się całkiem sympatyczny. Na szczęście opamiętała się w porę i zrugowała go za to, że niepotrzebnie wymachuje niesionymi zakupami spożywczymi. Ale może była dla niego zbyt surowa. Przecież to jemu zawdzięczała, że nareszcie ma dość czasu, by spokojnie potrenować. Ostatnie lata upływały jej na monotonnych, powtarzalnych czynnościach, przez co wydawały jej się dziś okresem przeżytym na granicy jawy i snu. Dopiero teraz, w takie jak to leniwe popołudnia, przypominała sobie czas w swoim życiu, gdy nie miała niczego do roboty oprócz leśnych włóczęg z Kłopotem. Pierwszy raz, odkąd straciła rodzinę, poczuła się niemal szczęśliwa.

Do rozpoczęcia zapisów do Gonu Półksiężycy pozostały tylko dwa dni, ale Margaret wciąż nie odważyła się spytać Wesa, czy zechciałby wystartować w zawodach razem z nią. Za każdym razem, gdy w wyobraźni przyznawała mu się, że należy do ludu Yu'adir, zamierała z trwogi. Jeszcze bardziej przerażało ją co innego –

świadomość, że wtedy będzie zmuszona wyłożyć mu powody, dla których chce wziąć udział w gonie, i to, dlaczego muszą w nim zwyciężyć. Od tego zwycięstwa zależało spełnienie ich marzeń. Margaret nie była jeszcze gotowa, by związać swoje przeznaczenie z przeznaczeniem Westona. Wiedziała jednak, że nie może dłużej zwlekać.

– Śmiało, panno Welty – zawołał przez ramię. – Szkoda dnia.

To jeden z tych momentów, gdy miała pewność, że jej rezerwa względem chłopaka jest uzasadniona. Jeśli faktycznie mają stać się partnerami, Weston nie przeżyje miesiąca przygotowań. Maggie skręci mu kark, nim rozpoczną się zawody.

Kiedy weszli głębiej w las, zrobiło się chłodniej. Rosnące tu drzewa z gatunku madrone w dużej mierze pozbyły się już liści, z ich pni łuszczyła się kora w postaci długich, przypominających papier płatów. Górzące nad nimi sekwoje były równie nieruchome i monumentalne jak tysiące lat temu. Spacer po tym starożytnym lesie zawsze działał na nią uspokajająco. Te drzewa były świadkami jej dorastania, a w przyszłości będą również patrzyły na jej śmierć. Pewność płynąca z tej wiedzy powinna dodawać otuchy, lecz tego dnia z jakiegoś powodu wydawała się groźna. Kątem oka Maggie dostrzegła mroczne cienie, a wsłuchując się w szelest liści, miała wrażenie, że las szepcze jej imię.

Margaret, Margaret, Margaret.

Dźwięk ten sprawił, że przeszły ją ciarki. Kłopot wrócił do niej i opuścił łeb, poruszał ogonem w sposób zdradzający niepewność. Dla odzyskania równowagi czubkami palców dotknęła psiego łba.

– Słyszałaś coś? – spytał Weston.

– To tylko wiatr.

Popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Ja...

Wtem w leśną ciszę wdarł się trzask. W powietrze, niczym kłęb dymu, wzbilo się stado wron przycupniętych wysoko na drzewach.

Wystrzał.

A zaraz po nim ogłuszająca cisza. Wszystko wkoło zamarło, jak gdyby cały świat wstrzymał oddech. W tym, że inni myśliwi ćwiczą oko i trenują swoje psy, nie było nic nadzwyczajnego. Urządzili sobie jednak strzelnicę za blisko jej domu, co niezbyt jej się podobało.

W końcu ciekawość wzięła górę nad strachem i już po chwili Margaret ruszyła w stronę, z której dobiegł hałas. Kłopot popędził za nią.

– Panno Welty? Dokąd się wybierasz?

Nie zareagowała na wołanie Wesa. Chłopak podbiegł do niej, nadal objuczony zakupami.

– Idziesz w kierunku, z którego strzelano. Czy to twoim zdaniem dobry pomysł?

– Skoro tak się boisz, wracaj sam do domu i wypakuj zakupy.

– Ale nie wiem, co gdzie powinno leżeć. Znowu będziesz się na mnie boczyć, jeśli coś pomyłę.

– No to chodź ze mną i przestań jęczeć.

Zrezygowany ruszył za dziewczyną. Podążali ścieżką wydeptaną przez jelenie. Po jakimś czasie zarośla ustąpiły miejsca zagajnikowi. Tworzyły go sekwoje opierające się o siebie niczym starzy drухowie. Na widok mężczyzn, którzy stali między drzewami, Margaret od razu pożałowała swojej decyzji, by tu przyjść.

Jaime Harrington i jego najlepszy kumpel Zach Mattis.

Mattis, wysoki i ociężały, w myśliwskiej kamizelce wydawał się wielki niczym niedźwiedź. Dzierżył strzelbę. Z jej lufy nadal się dymiło. Nawet gryzący smród prochu strzelniczego nie zdołał stłumić woni oleju, którym natarł szylkretową okładzinę kolby. Maggie od razu pomyślała, że Mattis nie zasługuje na tak piękną broń. Odkąd pamiętała, ten facet pudłował, nawet strzelając do muru oddalonego od niego o pół metra. Złośliwy uśmieszek wykrzywiający usta Jaimiego sugerował, że jego koleżka i teraz się nie popisał.

Gdyby chciała, mogłaby się wycofać niezauważona. Gdy jednak zrobiła krok do tyłu, zderzyła się z Westonem. Ten odskoczył na bok, jakby poraziła go prądem.

Jaime momentalnie odwrócił się do nich jak pies, który zwęszył zwierzynę. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Cóż to, Maggie, bawisz się w podchody?

– A wy w strzelanie w powietrze?

Mattis spiorunował ją wzrokiem.

– Zamknij się – warknął.

– Nie zwracaj na nią uwagi – poradził Jaime, spluwając na ziemię.

Mattis posłuchał i skupił się na przeładowywaniu broni. Maggie było to nawet na rękę. Jaime natomiast ruszył niespiesznie w ich stronę, jego blade oczy błyszczały niczym ślepiec drapieżnika.

– Ależ z was dobrana parka.

– Nie wiem, o czym mówisz – zachnęła się Margaret.

– Daj spokój. Nigdy dotąd nie widziałem, byś z własnej woli pokazała się w czyimś towarzystwie, i to dwa razy! Sprawiałaś sobie nowego kundla?

Wesa ogarnęła wściekłość.

– Jak mnie nazwałeś?

Margaret posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Już idziemy. Wybacz, że wam przeszkadziliśmy.

– Co takiego? Nie, zostańcie. – Spojrzenie Jaimego padło na sztucer, który niosła na plecach. – Przyszliście, żeby sobie postrzelać, co?

Margaret nie zaszczyciła go odpowiedzią. Lepiej, żeby Jaime nie wiedział o jej zamiarze zapisania się do gonu – w ten sposób zyska jeszcze kilka dni spokoju.

– Ach, racja. Nie stać cię na wzięcie udziału w zawodach, bo twoja matka wiedźma znowu gdzieś przepadła i zostawiła cię samą. No chyba że w końcu poszłaś po rozum do głowy. W końcu twoje pochodzenie zobowiązuje, na pewno masz wrodzoną smykałkę do interesów.

Przytyk sprawił, że oblała się rumieńcem. Z gardła Mattisa dobył się głośny rechot. Jaime spiorunował kolegę wzrokiem.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – wtrącił Weston, wsuwając się między nich, jakby chciał własnym ciałem osłonić Maggie. – Daj jej spokój.

– A ty naprawdę wyobrażasz sobie, że poszczęści ci się z tą panną? Musisz być mocno zdesperowany – odszczeknął Jaime. Umilkł, a po chwili twarz mu pojaśniała, jakby nagle przyszedł mu do głowy świetny pomysł. – A może ty po prostu nie wiesz, czym ona jest.

– Jaime, nie... – jęknęła Maggie.

Jego uśmiech stał się jadowity.

– A zatem on o niczym nie wie.

Wtem z oddali dobiegł krzyk.

Niół w sobie grozę, ale też bezbrzeżny smutek. Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy głos Evelyn. Przed oczy napłynęły jej zapamiętane obrazy z przeszłości. Poczowała ucisk w klatce piersiowej, na wspomnienie smrodu siarki żołądek podszedł jej do gardła. Na szczęście miała obok siebie Kłopotą – dotyk psa ocierającego się o jej nogę powstrzymywał napierający lęk.

„Jesteś tu i teraz”, powtarzała sobie w myślach.

– Z której strony dobiegł ten krzyk? – zastanowił się Mattis.

– Od strony gospodarstwa Halananów. Oprócz nich nikt tu nie mieszka w promieniu wielu mil – wyjaśnił Jaime.

Widząc zaniepokojony wyraz jego twarzy, Maggie poczuła się jeszcze gorzej: był to dowód, że Jaime nie zawsze jest wredny, nie w stosunku do każdego. Po chwili zwrócił się do kolegi:

– Mattis, idziemy.

Obaj panowie pośpiesznie opuścili polanę. Kiedy znów zostali sami, Maggie poczuła, jak Weston lekko dotyka jej ramienia.

– Hej, wszystko w porządku?

Wzdrygnęła się, uciekając przed jego dotykiem. Miał minę, jakby czuł się winny, co momentalnie obudziło w niej wyrzuty sumienia. Obojgu byłoby łatwiej, gdyby Wes przestał zauważać, że dzieje się z nią coś złego.

– Idziemy – oznajmiła.

– Co takiego? Niby dlaczego? Chyba nie chcesz iść za nimi?

Mark Halanan zawsze był dla niej bardzo życzliwy. Ona, chcąc odwdzińczyć się za jego dobroć, nieraz pomagała mu w przenoszeniu kur i cielaków, gdy mężczyzna był zbyt zmęczony, by podołać temu samemu. Mimo że perspektywa spędzenia choćby sekundy dłużej z Jaimem wzbudzała w niej odrazę, Maggie wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

– Jak już wspomniałam, jeśli wolisz, możesz wracać do domu.

– Nie ma mowy. Nie zostawię cię z nimi samej. – Po chwili wahania dodał: – Posłuchaj, nie wiem, o czym on mówił. I nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. Wiedz jedno: nie ma nic, co mogłoby skłonić mnie, bym odnosił się do kogoś w taki sposób, w jaki on odnosi się do ciebie. Wierz mi, zbyt wiele razy byłem w takiej sytuacji jak ty przed chwilą.

Margaret zamurowało. Od ponad tygodnia bezskutecznie starała się wydobyć z niego informacje, na jakich jej zależało. A tu prosię – Wes podzielił się nimi z własnej woli. Przyjrzała mu się podejrzliwie w poszukiwaniu znaków mogących wskazywać, że to jakiś podstęp, ale wyraz twarzy Westona był równie szczery jak zawsze. Im dłużej go znała, tym bardziej bezpieczna czuła się w jego towarzystwie, zupełnie jakby łączyła ich jakaś niejasna więź. Stała teraz przed nie lada dylematem – jeśli mu podziękuje za to, że się za nią wstawił, jeśli w ogóle potwierdzi to, co przed chwilą miało miejsce, ryzykowała, że nie zdoła zachować spokoju. Dlatego ograniczyła się tylko do lakonicznej odpowiedzi:

- W porządku. Ale nie licz, że będę na ciebie czekać.
- Dobrze.

Ramię w ramię podążyli za Jaimem i Mattisem. A kiedy ich dogonili, ku jej zdumieniu żaden z nich nie zaprotestował. Idąc, deptała gałęzie, które pękały z trzaskiem. Jeżyny czepiały się jej nóg i raniły gołą skórę między brzegiem nogawek ogrodniczek a butami. Kiedy wreszcie wynurzyli się z lasu i stanęli na tyłach farmy Halananów, zachodzące słońce rozlało się po niebie wściekłą czerwienią. Ciemna bryła domu w oddali odcinała się na tle szkarłatu. Szumiały poruszane wiatrem trawy. Po jakimś czasie łąka się skończyła i weszli na pastwisko.

Płot był zrujnowany, deski nadpalone i potrzaskane. W powietrzu unosił się ostry smród siarki. Ziemię spowijał pył *caput mortuum*. Kleił się do butów Maggie niczym poczerniały śnieg.

Niedawno zaszła tu reakcja alchemiczna.

Ta woń sprawiła, że umysł Maggie oddzielił się od ciała. Świat wokół niej zafalował jak we śnie. Miała wrażenie, że patrzy na siebie wygłodniałymi oczami lasu, gdy przelazi przez dziurę w płocie. Stąpający jej śladem Kłopot dygotał, jakby gotował się do pogoni. Z jego gardła dobywał się stłumiony warkot.

- Ciii – uspokajała psa Margaret.

W miarę jak pokonywali pastwisko, smród stawał się nie do wytrzymania. Czuła, jak żółć podchodzi jej do gardła. Oprócz swojego płytkiego, przyspieszonego oddechu słyszała coś jeszcze – narastające, jednostajne brzęczenie much. Jaime wyprzedził ją,



a chwilę później jęknął z obrzydzeniem. Kiedy uniósł nogę, Margaret zobaczyła, że na podeszwie jego buta błyszczy coś czerwonego.

– Co u licha? – mruknął Jaime. – Czy to krew?

Dopiero teraz to zauważyli – krwawe ślady w trawie, prowadzące w stronę domu. Okrążyli stajnię i nagle stanęli jak wryci. Przed nimi leżało co najmniej pięć padłych krów, skrytych częściowo we mgle. Tuż obok było coś jeszcze. Kiedy Margaret zorientowała się, na co patrzy, syknęła przez zaciśnięte zęby. Był to biały kucyk Halanana.

Gardło Kostki Cukru było rozszarpane, sierść klaczy pokrywały krew i popiół. Szyję zwierzęcia przecinały ciemne pasma rozkładu, sączyły się z nich *coincidentia oppositorum* i łój. Jednak to nie ten widok, lecz nieprzebrane roje much unoszących się nad ciałem zwierzęcia przyprawiały Maggie o nudności. Kostka Cukru przypominała jej teraz jedno z tych najmniejszych, najbardziej kwaśnych jabłek, których nikomu nie chce się zrywać z drzew. Pod koniec sezonu opadają na ziemię, leżą potem w trawie, gnijąc i przyciągając chmary pszczół.

Wtem drzwi domostwa otworzyły się na oścież i stanął w nich Halanan z dwururką w ręce.

– A czego wy tu, młodzi, szukacie?

– Usłyszeliśmy, że ktoś krzyczy – wyjaśnił Jaime.

– Mój mąż. – Mężczyzna przecesał dłonią włosy. – Doceniam, żeście się pofatygowali aż tutaj. Ale teraz lepiej już wracajcie do domu. Robi się ciemno.

– Co tu się stało, do diabła? – nie ustępował Jaime.

– Hala – odparł krótko Halanan.

Nie minęły nawet dwa tygodnie, a bestia już atakowała bydło. Margaret wolała nie wyobrażać sobie, do czego zdąży posunąć się lis przed nadejściem pełni.

– Możemy ją przegonić – zaproponował Jaime.

– Wykluczone. Co by pomyślał twój ojciec, gdyby się dowiedział, że pozwoliłem ci wałęsać się po lesie, gdy to coś się tu kręci?

– Guzik by go to obchodziło – mruknął chłopak, szurając butem po ziemi.

– Co ty nie powiesz. A ty co, Zachary? – nasrożył się Halanan. – Jak ci się wydaje, czy twoja matka będzie zachwycona, gdy zaniosę jej wieść, że hala odgryzła ci ramię? Albo coś więcej?

– Nie, proszę pana – burknął pod nosem Mattis.

Halanan nie zdążył skupić uwagi na Margaret, bo wtem powietrze wokół zgęstniało. Stało się nieruchome i zimne, jak wtedy gdy ma spaść pierwszy śnieg. Po chwili powiał wiatr, a trawy odpowiedziały mu szumem. Podmuch przyniósł fetor zgnilizny – a także kruchy, nieuchwytny głos.

Margaret.

Obróciła się gwałtownie i wtedy ją dostrzegła – hala stała pod płótem. Kiedy spojrzenie jej białych, nieruchomych oczu spoczęło na Maggie, dziewczyna poczuła się tak, jakby niespodziewanie wpadła do lodowatej wody. W mglistym półmroku ślepiei bestii zdawały się emanować dziwnym blaskiem.

– Dlaczego się nie rusza? – spytał cicho Weston.

– Jaime – jęknął Mattis. – Co robimy?

Czasami Margaret żał było tego biedaka, Jaime zrobił sobie z niego maskotkę. Mattis zachowywał się w stosunku do niego zupełnie jak szczeniak – całkowicie zdany na swojego pana.

– Dopadniemy ją.

Jasne włosy na głowie Jaimego poruszały się w podmuchach wiatru, w tym samym rytmie co trawy za jego plecami. W takich chwilach jak teraz Maggie zdarzało się myśleć, że kiedy chciał, potrafił zachowywać się po rycersku. Różnica między nimi polegała na tym, że on miał wybór, ona zaś nie. Nawet jeśli to miasto nie pałało do niej miłością, to tutaj był jej dom. Jaime tymczasem bez przerwy dawał jej do zrozumienia, że jest inaczej – i miała już tego serdecznie dość. Zachowywał się, jakby ona, w przeciwieństwie do niego, nie miała prawa stawać w obronie Wickdon.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odparł Mattis, przyciskając do torsu strzelbę.

– Bądź mężczyzną! – rzucił do niego gniewnie Jaime, ruszając w stronę płotu. – Idziemy.

Margaret ruszyła za nim.

– Idę z wami.

– Chyba śnisz!

Z gardła Kłopoty dobyło się niskie, niecierpliwe skomlenie.

– Szukaj, Kłopot.

Psisko nie potrzebowało innej zachęty. Pognało z wyciem w kierunku lisa, który błyskawicznie wziął nogi za pas i prześlizgnął się pod płotem otaczającym pastwisko.

– To mój ogar. Naprawdę wydaje ci się, że wytropisz halę bez psa?

– W porządku, chodźmy – burknął Jaime.

Margaret poszukała spojrzeniem Westona. Ten chłopak miał w sobie dzikość, która momentami zapierała jej dech w piersi. Może była to zasługa rozczochranych włosów, może rozpalonego wzroku, w którym strach mieszał się z ekscytacją. W tym oświeceniu jego oczy zdawały się mieć kolor, jaki przybiera mokre drewno sekwoi. On rzeczywiście był dziki, ale była to znana jej, stateczna dzikość, którą tchnęły okoliczne lasy.

Chłopak oblizał usta i powiedział:

– Nie cofnę się teraz.

– No to chodźmy – odparła Maggie.

Halanan wyrzucił w powietrze ramiona w geście kapitulacji.

– Tylko uważajcie, dobra?

Cała czwórka podążyła śladem Kłopoty. Pokonali płot i ponownie zanurzyli się w lesie. Tu znów drogę zagroziły im gałęzie i gęsto porośnięte paprociami zbocza. Maggie krew szumiała w uszach. Nareszcie, po tylu latach, znów czuła, że żyje. Słońce kryło się za horyzontem, a na niebie pojawił się księżyc. Światło zmierzchu, przesiane przez gałęzie sekwoi, oblewało las czerwienią. Biegnący przodem chłopcy pohukiwali, wznosili okrzyki. W otaczającej ich poźodze wydawali się ruchliwymi mrocznymi cieniami. W pewnym momencie Kłopot zaczął ujadać, a jego głos rozniósł się po lesie echem.

Wreszcie wypadli na polanę. I tam ją ujrzeli – przycupnęła na konarze drzewa, blada niczym sam księżyc. Kłopot okrążył pień, ujadając triumfalnie. Kiedy hala spojrzała na nią, Maggie miała przedziwne wrażenie, że spojrzenie bestii jest niepokojąco *świadome*. Nie zdążyła się nad tym zastanowić, bo w tej samej chwili zobaczyła, jak Mattis unosi broń do strzału. Wycelował i nacisnął spust. Trafił w konar, który zadrżał i z ponurym jękiem runął na ziemię.

– Ty kretynie! – warknął Jaime. – Gdybyś zabił halę przed rozpoczęciem gonu, ludzie by ci tego nie darowali.

– Czy to ci wygląda na pełnię księżyca? – odszczeknął mu Mattis, mierzając kolegę groźnym spojrzeniem. – Przecież hala nie została jeszcze poddana alchemicznej przemianie. Po prostu próbuję ją przepłoszyć.

– Dalej – popędziła ich Margaret.

Rozpychając się łokciami, utorowała sobie drogę między kłócącymi się mężczyznami. Ściągnęła przewieszony przez plecy sztucer. Teraz, kiedy zważyła go w dłoniach, poczuła, że wszystko zależy od tego, jak się spisze. Wziąwszy oddech, uniosła strzelbę. Kolbę przycisnęła do obojczyka. Kiedy miała już bestię na lunecie celowniczej, skoncentrowała się na zakrwawionym pysku i całkowicie białych ślepiach. Pod wpływem narastającej nienawiści serce biło jej coraz szybciej.

Demiurgowie zrujnowali jej życie.

Przed siedmioma laty matka Maggie usiłowała wydestylować *prima materia* z poroża innego demiurga. Był to fragment relikwii wykradzony przez nią z sumickiej świątyni w Umbrii. Noc, kiedy to się działo, była najstraszniejszą nocą w całym życiu Margaret. Niewiele zachowała z niej w pamięci, ale jedno wspomnienie zostało z nią na zawsze. Kiedy ułożyła matkę w łóżku i starała się grzebieniem oczyścić jej włosy z drobinek zaschniętej krwi, Evelyn szepnęła: „To jeszcze nie koniec”.

Teraz, zwyciężając w gonie, Margaret nareszcie mogła doprowadzić tę sprawę do końca.

Ręce jej drżały. Hala nie była zwyczajnym zwierzęciem. Inny lis walczyłby o swoje życie, hala tymczasem siedziała sobie spokojnie, ze zwiniętą kitą, pod którą chowała łapy. Zupełnie jakby wiedziała, że to tylko niewinna zabawa. Zupełnie jakby ją znała. Stojący obok Weston wpatrywał się w demiurga jak zahipnotyzowany. Jego usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie.

Margaret nacisnęła cyngiel. Huk wystrzału sprawił, że przez długą chwilę słyszała tylko dzwonięcie w uszach. Pokrzykiwania Jaimego przestały do niej docierać. Otaczał ją teraz kłęb dymu. Kiedy się rozwiął, okazało się, że hala przepadła. Na wysokości, na której

znajdowała się jej głowa, kora była rozłupana jak roztrzaskana kość. Sączący się z wnętrza pnia sok był gęsty i ciemny niczym krew.

– Widzicie? – odezwał się z satysfakcją Mattis. – Zwiąła.

– Ale nie dzięki tobie – zauważył Jaime, podchodząc do Margaret. – Poszczyście ci się.

– Powinieneś w takim razie liczyć, że szczęście mnie wkrótce opuści, bo zamierzam zapisać się do gonu.

Prowokowała go, ale zszokowany wyraz twarzy Jaimego upewnił ją, że było warto. Margaret odwróciła się na pięcie i zawołała Kłopotą. Jego opuszczony smętnie ogon był jasnym sygnałem, że nie takiego zakończenia łowów spodziewał się pies. Rzadko mu się zdarzało, by z polowania wracał z niczym.

Ale wkrótce oboje, ona i Kłopot, będą mieć drugą szansę, by pokazać, na co ich stać.

Weston ruszył truchtem za dziewczyną. Kiedy znaleźli się z powrotem w lesie, czerwona łuna zachodzącego słońca straciła swoją intensywność, jakby została przesiana przez durszlak.

– Naprawdę wydaje ci się, że zdołasz zabić taką istotę?

Nigdy dotąd nie widziała go tak poruszonego. Nawet w dniu, kiedy się poznali, wydawał się bardziej opanowany niż teraz.

– To jest... – Weston nie dokończył.

Przypomniała sobie moment, gdy chłopak ujrzał bestię i zaczął się modlić. I chyba nie po to, żeby prosić Boga o ratunek. Była to raczej mimowolna modlitwa kogoś oniemiałego.

– Boskie? – domyśliła się.

– Nawet jeśli tak, jakie to ma znaczenie? Sprawiało wrażenie, jakby bawiło się z nami w kotka i myszkę. A przecież księżyc jest jeszcze młody. Będziesz martwa, nim zdążysz podnieść na to rękę.

– Przemawia przez ciebie strach – zawyrokowała.

– No jasne, że się boję. A ty nie?

Margaret poprawiła przewieszoną przez ramię broń.

– Naturalną rzeczą jest lękać się takiej istoty jak hala.

– W takim razie dlaczego chcesz to zrobić? Sława nie jest warta tego, by tracić dla niej życie.

– A co jeśli ci powiem, że wcale nie chcę tego robić dla sławy?

– To po co? Dla pieniędzy? Dla lisiego truchła?

Margaret prychnęła. Lisie truchło. Tak jakby Wes myślał o hali tylko w takich kategoriach. Znała go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że rozumował w sposób bardziej złożony.

Powiedział jej: „Nie ma nic, co mogłoby skłonić mnie, bym odnosił się do kogoś w taki sposób, w jaki on odnosi się do ciebie. Wierz mi, zbyt wiele razy byłem w takiej sytuacji jak ty przed chwilą”.

Była już niemal pewna, że Weston nie jest katarystą. To tłumaczyłoby jego niechęć, by przystąpić do gonu – a także determinację, z jaką bronił jej przed Jaimem. O ile jego zainteresowania nie były równie tajemnicze i heretyckie jak zainteresowania Evelyn, co było mało prawdopodobne, zapewne nie życzył hali śmierci, tym bardziej nie życzył jej, by została potraktowana jako pretekst do uzyskania *prima materia*.

A to oznaczało, że stanowi dla Margaret idealnego partnera na czas gonu.

– Takie truchło to dla ciebie za mało? – spytała z nadzieją.

– Oczywiście – zachnął się. Sprawiał wrażenie zdumionego jej pytaniem. – Nie mam zamiaru umierać dla trofeum ani żeby wyświadczyć przysługę Bogu, czy co tam plotła ta kobieta w pubie. Nawet ja nie jestem aż tak próżny, a na pewno nie tak świętoszkowaty. Nie rozumiem, do czego jest ci to potrzebne.

– Nie zależy mi na hali samej w sobie – odparła Margaret.

Zamknęła oczy i spróbowała wyobrazić sobie reakcję Evelyn, gdy podaruje jej zwłoki demiurga. Wyobrażenie sobie matczynej radości przychodziło jej z trudem, lecz sama myśl o takiej chwili wzbudziła w niej tęsknotę.

– Czy twoim zdaniem warto ryzykować życie dla tych, których kochasz?

– Oczywiście – wypalił bez zastanowienia. Wyraz jego twarzy złagodniał. – Dla takiego celu warto zaryzykować wszystko.

Gdyby miała wskazać jedną godną podziwu cechę Westona Wintersa, byłaby to żarliwość, z jaką obstawał przy swoich przekonaniach. Zapewniał ją, że gotów jest uczynić wszystko, by zdobyć szansę na spełnienie swoich marzeń – teraz Margaret zaczynała mu wierzyć, że nie były to puste słowa. Jeśli chodzi o jej życie, prawie nigdy nie mogła być niczego pewna. Teraz jednak jedno nie ulegało dla niej wątpliwości: jej matka nie przyjmie go na

szkolenie, chyba że chłopak jako kartę przetargową wykorzysta halę. A kiedy Margaret wytłumaczy mu już, że uczestnictwo w gonie to dla niego jedyna szansa, zyska gwarancję, że nie porzuci jej ani nie przywłaszczy sobie lisiego truchła, gdy będzie już po wszystkim.

Postanowiła, że do wieczoru nazajutrz obmyśli, w jaki sposób mu o tym wszystkim powiedzieć. A potem zaproponuje, żeby wspólnie wzięli udział w gonie.







o niespełna dwóch tygodniach w Wickdon Wes przyzwyczał się do tutejszych zachodów słońca. Zazwyczaj były to niespieszne, pełne przepychu spektakle, przywodzące na myśl kobietę, która leniwym ruchem ramion zrzuca z siebie szal. Dzisiaj jednak ciemność spadła na okolicę niczym kurtyna na scenę. Ulewa smagała górskie zbocza i morze, dopóki świata za oknami nie spowiła jednostajna szarość.

W bibliotece płonął ogień w kominku, nasączone wilgocią drewno trzaskało i dymiło. Wes siedział na fotelu, pochylony nad podręcznikiem do alchemii, w zamyśleniu błędząc palcami w swojej czuprynie. Zatracił poczucie czasu – nie wiedział, czy spędził tu dziesięć minut, czy raczej dziesięć godzin. Nim się spostrzegł, drewno w palenisku obróciło się w popiół. Mimo że przestudiował cały rozdział książki, miał przykre wrażenie, że niewiele z tego zapamiętał. Papier, mający posłużyć do notatek, zamienił się w stertę poszarpanych skrawków. Mrucząc z niezadowoleniem, Wes zgarnął papierki ze stołu na rękę.

Zanim rzucił szkołę – a były to czasy, gdy prowincjonalne szkoły sumickie nie były jeszcze atakowane za rzekomą działalność wywrotową – Wes nie umiał usiedzieć spokojnie na miejscu, przez co nieustannie pakował się w kłopoty. Do tego dochodziło jeszcze publiczne upokorzenie, ilekroć nauczyciele kazali mu przeczytać coś na głos. W rezultacie szkoła budziła w nim niechęć tak wielką, że na samą myśl o znalezieniu się na lekcji ogarniały go mdłości. Podczas swoich licznych prób terminowania w pracowniach alchemicznych nauczył się, że po prostu musi zawsze mieć na podorędziu coś, czym zajmie ręce. Dopiero wtedy był w stanie skutecznie się skupić. Mogło

to być cokolwiek – papier, sznurówki, guziki marynarki, które potem Christine musiała na nowo przyszywać.

Teraz zamknął książkę i położył na niej głowę. Maggie nie wracała od wielu godzin. Wychodząc, zabrała ze sobą Kłopotą. Wes nadal nie przywykł do tego, jak pusty był ten dom. Wszystkie dźwięki rozbrzmiewały tu nienaturalnie głośno: skrzypienie podłogi, bębnienie deszczu o dach, pojękiwanie konstrukcji, gdy budynek kołysał się pod uderzeniami burzy.

Jak ta dziewczyna może żyć w takim miejscu? Osiem kilometrów od cywilizacji. Jej brat nie żyje, ojciec zaginął, kto wie, może matka też. Kiedyś marzył, by znaleźć się w takiej sytuacji: mieć matkę, której nie będzie na niczym zależało, i dom, w którym mógłby do woli szaleć. Oznaczałoby to kres epoki, gdy musiał stale skradać się jak kot dachowiec, całować się z dziewczynami na schodach pożarowych albo w parku, przez cały czas nasłuchując, czy nikt nie nadchodzi. Teraz jednak, gdy na własnej skórze przekonał się, jak w praktyce wygląda takie pustelnicze życie, głupio mu było, że o czymś takim marzył.

No i znowu to zrobił – kolejny raz użalał się nad Maggie Welty. Pewnie gdyby wiedziała, jakie myśli chodzą mu po głowie, wypatroszyłaby go żywcem.

Z zamyślenia wyrwało go dobijanie się do drzwi.

W tym samym momencie grzmot wstrząsnął fundamentami domu, a białe światło błyskawicy przecięło mrok nocy. Wes zdawał sobie sprawę, że pewnie nie powinien otwierać, bo to w końcu nie jego dom. Gdy jednak pukanie się powtórzyło, nagłące i głośne, niechętnie ruszył do holu. Podszedł do drzwi i spojrzał przez judasz – na werandzie stał Halanan, przemoczony i zdyszany.

Zaskoczony, szybko otworzył.

– Halanan, chcesz wejść?

– Nie ma czasu. Ktoś zadzwonił do zajazdu i mówi, że chciałby rozmawiać z tobą. Twierdzi, że jest twoją siostrą. Madeline, jeśli dobrze pamiętam.

O cholera. Telefon od Mad nie wróżył niczego dobrego.

– A mówiła, o co chodzi?

– Przykro mi, że to ja przynoszę ci złe wieści. Wspomniała, że zdarzył się wypadek, w którym ucierpiała twoja matka.

Hol Zajazdu u Wallace'a zrobił na nim dokładnie takie samo wrażenie jak tamtej nocy, gdy zajrzał tu po raz pierwszy – projektując jego wystrój, ewidentnie wzorowano się na eleganckich hotelach w Dunway. Efektowny żyrandol migotał i mienił się niczym musujące wino, w tle prowadzonych półgłosem rozmów w restauracji ktoś wygrywał na pianinie subtelną melodię w synkopowanym rytmie, w ostatnim czasie bardzo popularnym w Dunway.

Za kontuarem recepcji stała dziewczyna, mniej więcej w wieku Westona, częściowo zakryta przez liście wybujałej rośliny doniczkowej. W normalnych okolicznościach Wes zapewne próbowałby z nią flirtować, ale teraz praktycznie jej nie zauważał. Całą jego uwagę absorbowało to, co przekazał mu Halanan; po głowie bez końca tłukło mu się słowo „wypadek”. Niemożliwe, żeby mama zginęła. Gdyby tak się stało, Halanan by mu o tym powiedział. Poza tym Wes po cichu wierzył, że coś by poczuł – Ziemia na moment wstrzymałaby bieg albo w nim samym zaszłaby jakaś dramatyczna zmiana.

Ściągnąwszy czapkę z głowy, zaczął wyrzucać z siebie słowa:

– Dobry wieczór panience. Nazywam się Weston Winters. Podobno ktoś do mnie dzwonił.

– Och... – Dziewczyna momentalnie zmarkotniała i przybrała współczujący wyraz twarzy. – Może pan stąd oddzwonić, panie Winters. Napije się pan kawy?

– Bardzo chętnie.

Zaprowadziła go za kontuar i po chwili znaleźli się w całkiem przytulnym biurze. Na podłodze leżał gruby dywan, a centralne miejsce w pomieszczeniu zajmowało masywne drewniane biurko. Wes usiadł na krześle i czekał, aż dziewczyna wróci. Pojawiła się już po chwili, niosąc filiżankę z kawą. Kiedy wziął naczynie do ręki, poczuł rozkoszne ciepło rozlewające się po jego przemarzniętym ciele.

Zebrawszy się na odwagę, wykręcił numer domu rodzinnego. Kawa w filiżance drżała delikatnie, mącąc raz za razem jego odbicie. Nie musiał długo czekać – już po jednym sygnale ktoś odebrał. Osoba po drugiej stronie linii nie odezwała się ani słowem, ale brzęczenie w słuchawce mówiło Wesowi, że połączenie zostało nawiązane.

– Mad?

– Westonie – odezwała się ostrym tonem siostra. W jej głosie pobrzmiwała z trudem tajona wściekłość.

– Co się dzieje?

– Mama pilnie wymaga operacji. Zasnęła przy pracy i igła maszyny przebiła jej dłoń.

Wes się wzdrygnął.

– Jak ona się czuje?

– Nie słyszałeś, co właśnie powiedziałam?

Mało brakowało, a rzuciłby coś, czego by potem żałował. W ostatniej chwili ugryzł się w język. Z Mad czasami trudno było się dogadać. Bardziej niż jemu zależało jej, żeby mieć rację.

– Tak, słyszałem.

Siostra westchnęła przeciągle. Wes wyobraził sobie, jak wychyla się przez okno i wypuszcza z ust papierosowy dym. Był niemal w stanie wyobrazić sobie uliczny zgietk dobiegający z dołu i szmer deszczu padającego na stopnie schodów pożarowych.

– Ściśle biorąc, czuje się teraz nieźle. Ale nie będzie już mogła pracować, na pewno nie w takiej roli jak dotychczas. Jeśli nie podda się operacji, jej dłoń już zawsze pozostanie niesprawna.

– Psiakrew.

– No właśnie.

Zapadło między nimi ciężkie milczenie.

– Miałeś dobrą passę – odezwała się po chwili Mad, przyjmując łagodniejszy ton – ale teraz musisz już wrócić do domu.

Jej słowa były niczym cios znienacka prosto w brzuch. Dobrą passę? Zabrzmiało to tak, jakby Wes trudnił się wystawianiem jakichś niskobudżetowych spektakli teatralnych. W głowie miał pustkę. Jedyne odpowiedzi, na jaką się zdobył, brzmiała:

– Nie.

– Nie? Nasza matka ma niemal pięćdziesiąt lat! Jeśli nie jest to dla ciebie jasne, pozwól, że powiem wprost: ona nie może dłużej tak harować. Nie zauważyłeś tego?

– Oczywiście, że zauważyłem – wypalił Wes. Starał się panować nad swoim głosem. Nie chciał wrzeszczeć, wolał uniknąć sytuacji, gdy jakieś osoby postronne zorientują się, że coś jest nie w porządku. – Boże, Mad, za kogo ty mnie masz?

– W takim razie wiesz, do czego zmierzam. Ja i Christine nie zarabiamy na tyle dużo, żeby stać nas było na pokrycie kosztów operacji ani tym bardziej na utrzymanie całej rodziny. Dlatego potrzebujemy, żebyś nam pomógł, Wes.

– Wiem. Zdaję sobie sprawę, że mama nie może dłużej pracować. I rozumiem, że sama nie dasz sobie rady. Proszę cię tylko, żebyś dała mi jeszcze trochę czasu. Wkrótce nie będziesz musiała już nigdy pracować i...

– Ciągłe to od ciebie słyszymy. Wiecznie obiecujesz gruszki na wierzbie. Prosisz, żebyśmy jeszcze trochę zaczekały, żebyśmy dały ci drugą szansę. I ja całymi latami pozwalałam ci na to, bo liczyłam, że w końcu zmądrzejesz. Ale teraz nadszedł moment, gdy nie możemy już dłużej czekać. Musisz wydorosnąć.

– I co twoim zdaniem powinienem zrobić? Mam wrócić do domu i poszukać sobie jakiejś beznadziejnej, marnie płatnej pracy, którą wykonywać może każdy? Chcesz, żebyśmy do końca życia klepali biedę? Nie mogę się na to zgodzić. Mam dość wegetowania, chcę naprawdę żyć.

– Guzik mnie obchodzi, czego chcesz.

– Ja robię, co w mojej mocy, Mad. Staram się pomóc nam wszystkim.

– Staranie się to za mało.

Otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Zrozumiał, że siostra ma rację. Psiakrew, miała absolutną rację.

– Powiedz coś, Westonie.

– Co byś chciała ode mnie usłyszeć? – spytał zachrypniętym głosem.

– Cokolwiek, byle nie było na twój temat.

Spieranie się z nią nie miało sensu. Przez całe życie pragnął, na przekór wszystkiemu, zostać alchemikiem. Pragnął wierzyć, że pochodzący z Piątej Dzielnicy chłopak, w którego żyłach płynie krew Banwiszów i Sumitów, może konkurować z katarystycznymi politykami, których rodziny od wielu pokoleń dominowały w kręgach władzy. Pragnął wierzyć, że będzie mieć na coś wpływ. Z wolna docierała jednak do niego okrutna prawda: jakim cudem miałby chronić uciskanych w tym kraju, skoro nie umie zatroszczyć się o swoją najbliższą rodzinę?

Mało tego – nie umiał nawet obronić Maggie przed typami pokroju Jaimego Harringtona – inna sprawa, że dziewczyna wcale sobie tego nie życzyła. Wprawdzie nie mówili o tym wprost, lecz Wes podejrzewał, że ona też padła w życiu ofiarą uprzedzeń. I właśnie dlatego dziewczyna budziła w nim instynkt opiekuńczy.

Wszystko jest Jednym i Jedno jest Wszystkim – to podstawowe założenie w alchemii. Wes zawsze traktował to twierdzenie jako maksymę etyczną, którą kierował się w życiu. Kiedy pomagasz jednej osobie, dzięki tobie cały świat staje się trochę lepszy. Niestety w sytuacji, w której znalazł się teraz, takie rozumowanie traciło swoją jednoznaczność. Jeśli zostanie, ucierpi jego rodzina. A jeśli wyjedzie, rzuci Maggie wilkom na pożarcie. Niezależnie od tego, co wybierze, i tak będzie na straconej pozycji. Zmuszony jednak do podjęcia decyzji, zawsze wybierze swoją rodzinę. Skoro dla spełnienia własnych marzeń musiałby ją porzucić, oznaczało to, że marzenia te nie są warte zachodu. Ściganie ich miałyoby się z celem, bo wówczas stałby się człowiekiem, za jakiego miała go Mad: bezpodstawnie optymistycznie spoglądającym w przyszłość, dziecinny egoistą.

Może zresztą od początku był naiwny, skoro tak łatwo dało się pokrzyżować mu plany? Za wysoko mierzył – alchemikami stawali się ludzie, którzy wywodzili się z zamożnych rodzin i którym pisane było życie w bogactwie. Dlatego, kiedy w końcu się odezwał, powiedział:

– Dobrze.

– Dobrze?

– Wrócę do domu. – Ścisnął w rękę słuchawkę. – Mówię poważnie. Przyjadę najbliższym pociągiem.

W pierwszej chwili Mad zaniemówiła, jak gdyby nagle uleciała z niej cała chęć do spierania się z bratem.

– Cieszę się.

– Przywieź ci jakiś upominek? Odbywa się tu tegoroczny gon.

– Nie. – Mad nadal się nie rozchmurzyła, ale jej ton nie był już taki napastliwy. – Do zobaczenia.

Rozłączyła się.

To słuszna decyzja. Wes nie miał co do tego wątpliwości. Ale i tak czuł się z nią fatalnie.

Pamiętał, jak układały się ich relacje w epoce „przed”, kiedy on i Mad się dogadywali, a ona była dla niego całym światem. Niczego

nie pragnął wtedy bardziej, niż być zawsze tam, gdzie ona – być taki jak ona. Gdy byli jeszcze dziećmi, zakradał się w nocy do jej pokoju i ściągał z niej kołdrę, dopóki się nie ugięła i nie pozwoliła mu spać w swoim łóżku. Kiedy podrośli i Mad zatrudniła się w barze, gawędził z nią, podczas gdy przygotowywała się do swojej zmiany. Mad pracowała już za życia taty, bo w domu nigdy się nie przelewało. I zapewne już wtedy czuła, że się dusi.

Czasami, zanim wyszła do pracy, Wes rzucał coś w rodzaju:

– Może pójdziemy do kina, kiedy wrócisz?

Bywało, że rzucała w niego tym, co akurat miała pod ręką, dopóki nie dał jej spokoju i nie uciekł z pomieszczenia. Kiedy indziej, nie przerywając podmalowywania kredką swoich starannie wyskubanych brwi, odpowiadała:

– Mam ciekawsze rzeczy do roboty od wałęsania się z tobą.

– No to może jutro?

– Może.

Tylko że owo jutro nigdy nie nadchodziło. I w końcu znaleźli się tutaj – dzieliły ich teraz całe kilometry, które wypełniał ocean żalu.

Kiedy odwiesił słuchawkę, odkrył, że kawa już wystygła. Gdyby zostawił ją niewypitą, recepcjonistka mogłaby się poczuć urażona. Dlatego wychylił filiżankę do dna – i od razu tego pożałował. Kawa była obrzydliwie gorzka. Miał wrażenie, że pije błoto. Jednego nie można było jej odmówić – była mocna. Wes momentalnie zerwał się na równe nogi i wrócił do holu. Gdy zobaczył za oknem deszcz, jęknął bezgłośnie. Wyglądało na to, że czeka go wielokilometrowy spacer do dworu Welty w burzy. Nasunął na głowę górę ojcowskiego trencza niczym kaptur.

– Hej.

Obrócił się – dziewczyna z recepcji stała tuż za nim. Wes przywołał na usta uśmiech. Dawno już opanował sztukę maskowania uczuć. Rozpacz mogła pokonać go tylko wtedy, gdy jej na to pozwoli.

– Jeszcze raz dzięki za kawę.

Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu.

– Chodź, zawiozę cię do domu.

– Ależ nie musi pani tego robić.

– Wręcz przeciwnie, muszę. Leje jak z cebra.

Weston podszedł do okna i zadarł głowę.

– To prawda.

Wyszli drzwiami na zaplecze na tył budynku, gdzie miała zaparkowany samochód. Stał na placu, który szybko zmieniał się w bajero. Był to jakiś nowy model, czarny lakier i chrom lśniły.

– Przywożę nim gości zajazdu, spory mamy teraz ruch – wyjaśniła. – Uwaga przy wsiadaniu.

Wes wspiął się do kabiny i opadł na fotel po stronie pasażera. W powietrzu unosił się przyjemny zapach świeżej skóry. Dziewczyna wskoczyła za kierownicę, roztaczając wokół siebie dla odmiany woń róż i deszczówki. Kiedy silnik ożył, Wes zapiął pas. Nie musiał jej mówić, dokąd ma jechać. Nieznajoma wyprowadziła auto na główną ulicę, a potem skręciła w drogę wiodącą poza miasto i skierowała się prosto do dworu Welty.

Przez całą drogę nie pytała go, co się stało ani jak się trzyma. Wes był jej za to ogromnie wdzięczny. Podkręciła radio i po chwili muzyka zmieszała się z rytmem kropli uderzających o dach samochodu. Wes oparł głowę o drzwi i zamknął oczy. Znał tę melodię, Colleen często ją nuciła podczas zmywania naczyń. Tęsknota chwyciła go za serce, ale szybko się opamiętał – wkrótce będzie w domu i znów ją zobaczy.

Tymczasem nieznajoma zaparkowała na podjeździe pod dworem Welty. Wesowi wydało się, że w oddali majaczą dwa białe kręgi, do złudzenia przypominające ślepiec.

– Posłuchaj – odezwała się dziewczyna. – Wiem, że to nie moja sprawa, ale bardzo mi przykro z powodu tego, co przydarzyło się twojej mamie.

Liczenie na to, że zdoła całkowicie uniknąć rozmowy na ten temat, było kolejnym dowodem jego dziecięcej naiwności.

– Dzięki. Doceniam twoją troskę.

– Wracasz do domu?

– Niestety tak.

– Naprawdę? – Jego odpowiedź zbiła ją z tropu. – Dlaczego tak mówisz.

– W Dunway nic dobrego mnie nie czeka.

– Wolałbyś zostać tutaj? Jakoś nie chce mi się w to wierzyć.

Popatrzył na nią. W samochodzie było ciemno i nie widział dokładnie jej twarzy. Uśmiechnęła się i wtedy zwrócił uwagę na jej



usta pomalowane jasnoczerwoną szminką.

– Byłaś kiedyś w Dunway? – zainteresował się.

– Nie – przyznała rozmarzonym tonem. – Ale bardzo chciałabym kiedyś się tam wybrać. Te wszystkie światła, muzyka, tłumy ludzi... W opowieściach to brzmi tak magicznie. Świat, w którym możesz być, kim tylko zechcesz.

Urocze. Chętnie zamieszkałby w takiej romantycznej wizji swojego rodzinnego miasta.

Ale właściwie dlaczego miałby rujnować jej te rojenia – niechaj trwają, dopóki siedzi z nią w samochodzie. Skoro ta panienska chce w nim widzieć reprezentanta lepszego świata, nie będzie jej wyprowadzał z błędu. Może przed nią udawać, że wie o beztrudnym, nieskomplikowanym i pięknym życiu. Zawsze miał słabość do otaczania się ludźmi, którzy pozwalali mu odgrywać taką rolę, błysnąć elokwencją, która zagłuszy jego własne emocje.

– A kim ty chciałabyś się stać?

– Aktorką – odparła zawstydzona.

– Tak myślałem. Jeśli marzysz o zrobieniu kariery, wielkie miasto to miejsce dla ciebie. Może wybierzesz się tam ze mną?

– Och, panie Winters...

– Żartowałem tylko – rzucił Wes, puszczając do niej oko.

– Igra pan z uczuciami niewinnej dziewczyny. Jak tak można? – powiedziała figlarnie. – Kiedy zaproponował pan wspólny wyjazd, zamierzałam odpowiedzieć, że się zastanowię.

– Naprawdę? Ostatni pociąg odchodzi za kilka godzin. Nie ma czasu na wahanie. Teraz albo nigdy.

Może faktycznie zrobiłaby karierę w dużym mieście? Przez chwilę mógłby przysiąc, że dziewczyna naprawdę rozważyła jego propozycję. W końcu jednak wybuchnęła śmiechem, pozwalając, by maska opadła.

– Chciałabym, ale nie mogę. Gdyby potrzebował pan jeszcze czegoś przed odjazdem, chętnie pomogę.

– Już dość pani dla mnie zrobiła. Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie.

– Drobiazg. Proszę na siebie uważać, panie Winters.

Wysiadł z samochodu i skierował się do frontowych drzwi. W snopach przednich reflektorów krople zacinającego deszczu

wyglądały niczym igły. Kiedy tylko wszedł do środka, cała radość momentalnie go opuściła, pozostawiając po sobie wyłącznie wyczerpanie. Gdyby chociaż na spotkanie wybiegł mu Kłopot, poprawiłoby mu to nastrój – ale nic z tego. Zamknął za sobą drzwi, strząsnął z ramion płaszcz i ruszył na górę, żeby się spakować.





lask ognia odbijał się w mokrej szybie za koronkową firanką. Margaret siedziała przy oknie wykuszowym opatulona kocami. Tutaj nic nie mogło jej zagrozić – ani chłód panujący po drugiej stronie zmoczonej przez deszcz szyby, ani wałęsająca się wokół domu hala, ani Jaime ze swoimi złośliwymi przytykami. Teraz liczyło się tylko to, że otacza ją rozkoszne ciepło i światło. I że nareszcie jest całkiem sama.

Teoretycznie powinna czerpać z tego jeszcze większą satysfakcję. Ale myśl, że Weston jest nieopodal, i moknie na deszczu, nie dawała jej spokoju.

Za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, że chłopak staje w progu domu, czuła, jak z nerwów ściska jej się żołądek. Kończył jej się czas. Nazajutrz przypadał dzień zapisów do gonu. Maggie zdawała sobie sprawę, że nie może pozwolić, by powstrzymał ją teraz lęk przed wpuszczeniem chłopaka do swojego życia i zaryzykowaniem, że on wykorzysta tę sposobność, by ją zranić. Musiała działać. Teraz albo nigdy.

Kiedy kolejna błyskawica przecięła niebo, Margaret uciekła spojrzeniem ku leżącej na swoich kolanach książce. Była to typowa lektura na poprawę nastroju: jedno z tych romansideł, które jej ojciec podczytywał, gdy wydawało mu się, że nikt nie patrzy. Margaret powiodła palcem po spękanej, splowiałej okładce, po czym ostrożnie otworzyła książkę niczym jakiś święty tom. Kiedy matka pierwszy raz przyłapała ją na czytaniu romansów, zupełnie ją zamurowało. Stała w progu pokoju Maggie, blada jak ściana, z szeroko rozchylonymi ustami. Wyglądała w tamtej chwili, jakby zobaczyła ducha. Po chwili

wyrwała się z dziwnego odrętwienia i wygiąwszy pogardliwie usta, powiedziała:

– Nie trwoń czasu na te brednie.

Margaret czasami żałowała, że surowe wychowanie nie zabiło w niej tych sentymentalnych ciągot. Zaczęła czytać te „brednie”, ponieważ powoli zapominała, jakim mężczyzną był jej ojciec (pamiętała, rzecz jasna, że należał do typu mężczyzn, którzy porzucają rodziny). Wspomnienie jego twarzy stawało się coraz bardziej mgliste, nie umiała już przywołać w pamięci tembru jego głosu. W książkach, do których wracała, zachowała się jakaś część ojca, której nie wolno jej było stracić. Było to coś innego niż słowa jego piosenek, sens listów cytowanych w jego biblii czy przepisy na pikantny miodownik, który ojciec piekł każdej jesieni.

Jej myśli podążały ku rodzinnym wspomnieniom, gdy nagle na ziemię sprowadził ją warkot silnika. Kłopot, drzemiący na dywanie przy kominku, uniósł łeb złożony wcześniej na elegancko skrzyżowanych przednich łapach. Ciemność pod budynkiem rozkroiły dwa snopy mocnego światła, na moment ukazały się w nich skłębione burzowe chmury schodzące w dół górskich zboczy. Margaret, z czołem przyciśniętym do szyby, zmrużyła oczy, oślepiąca światłem. Za zaparowanym od jej oddechu szkłem widziała, jak elegancki czarny samochód wtacza się na podjazd. O tej porze widok auta tutaj zmroził ją. Praktycznie nikt w Wickdon nie miał samochodu, połowy miejscowych nie stać było nawet na konia. Poza tym dwór Welty nie był miejscem, które przyciągałoby gości.

Drzwi po stronie pasażera otworzyły się i z wozu wysiadł jakiś mężczyzna. Nie, przecież to Weston. Rozpoznała go po długich włosach i wysłużonym trenczu. Po chwili, gdy przyjrzała się dokładniej, również samochód wydał jej się znajomy.

Czy Westonowi musiała wpaść w oko akurat Annette Wallace, przyjaciółka Jaimego i jedna z ulubienic mieszkańców Wickdon? Ród Wallace'ów dorobił się przed laty na wydobywaniu złota, należało do nich wiele nieruchomości w okolicy. Prawdopodobnie Wallace'owie wyłożyli też spore środki na organizację tegorocznego gonu.

Kiedy zazgrzytał przekręcany w zamku klucz, Kłopot poderwał się z dywanu i pobiegł schodami na dół. „Zdradzona przez własnego ogara”, pomyślała gorzko Maggie. Teraz, gdy drzwi wejściowe się

otworzyły, dotarły do niej dźwięki szalejącej nawałnicy. Pod naporem wiatru gięły się wszystkie drzewa, a siekący z nieba deszcz obracał zamrażającą ziemię w błoto. Powrót do miasta w taką pogodę byłby koszmarem, przez chwilę Maggie się martwiła, że samochód Annette ugrzązł w rozmokniętej ziemi. Silnik zawył i w końcu auto zdołało wydostać się z grząskiej brei, po czym potoczyło się ku wzgórzom.

Z mocno bijącym sercem Margaret wsłuchiwała się w kroki wspinającego się po schodach Westona. Po chwili chłopak zatrzasnął za sobą drzwi swojego pokoju. Maggie skupiła się z powrotem na książce. Musiała za wszelką cenę się uspokoić, zanim się z nim rozmówi. Szybko jednak okazało się, że nie jest w stanie skoncentrować się na czytanej treści. Z pokoju lokatora zaczęły dolatywać trzaski i łomoty, jakby czegoś szukał. Hałasy doprowadzały ją do szału. Co on tam wyprawia?

Wreszcie z gniewnym westchnieniem odłożyła książkę i wyszła na korytarz. Kiedy otworzyła drzwi pokoju Westona, jej oczom ukazał się niezrozumiały widok: na podłodze leżał w beładzie cały jego dobytek. Kiedy wzrok Maggie padł na spakowane do połowy walizki, ze zdenerwowania ścisnął jej się żołądek.

– Co ty wyrabiasz?

Wes odwrócił się gwałtownie i ruszył do niej. Wyglądał okropnie – mało brakowało, a cofnęłaby się na jego widok. Był błydy jak trup, mokre włosy oblepiały jego czaszkę, nadając mu wygląd zmokniętego psa. Ale najstraszniejsze były oczy. Nie spoglądały figlarnie, z humorem. Wyzierało z nich jedynie wyczerpanie i pustka, które doskonale znała z własnej twarzy.

W garści ścisnął różaniec. Błyskawicznie schował go do kieszeni, jak gdyby został przyłapany na czymś nieprzyzwoitym. Margaret już wcześniej to podejrzewała, ale teraz zyskała pewność: Weston był wyznania sumickiego. Tyle że teraz nie miało to żadnego znaczenia, bo chłopak najwyraźniej szykował się do wyjazdu.

– Słyszałaś o pukaniu do drzwi?

– Dokąd się wybierasz?

Odzyskał panowanie nad sobą na tyle, by się do niej uśmiechnąć. Wyszedł mu z tego dziwny grymas, wyglądał jak w złe dobranej masce.

– Do domu.

– Co takiego? – Mimo że próbowała, nie potrafiła powstrzymać drżenia głosu. – Ale czemu?

– Życie na wsi to nie dla mnie – stwierdził bez ogródek. Krople deszczu na jego rzęsach lśniły niczym perły. – Wydajesz się zmartwiona. Będziesz za mną tęsknić?

Zagotowało się w niej ze złości. Ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała po człowieku, który z takim poświęceniem dążył do realizacji swoich marzeń, była taka nonszalancja. Na pewno nie teraz, gdy go potrzebowała; gdy nareszcie zebrała się na odwagę.

– Nie wolno ci wyjechać.

– O czym ty mówisz?

– Naprawdę tak po prostu wyrzekniesz się swojego marzenia? Błagałeś mnie jak żebrak, żebym pozwoliła ci tu zostać. A po dwóch tygodniach nagle zatęskniłeś za domem i zwijasz manatki? Nie masz wstydu?

Uśmiech spełził mu z ust.

– To nie tak, jak myślisz.

– No to jak? Wytłumacz mi.

Przeczesał palcami włosy. Po brodzie i szyi ściekała mu woda. Margaret przyłapała się na tym, że śledzi wzrokiem pojedyncze krople, póki nie znikną za kołnierzem jego koszuli.

– Dużo by opowiadać... Powiedzmy, że muszę wracać, bo moje siostry mnie potrzebują.

– Ale ja potrzebuję ciebie tutaj – wyrzuciła z siebie. Była taka ostrożna, wszystko sobie dokładnie przygotowała. Dlaczego zatem cały jej misterny plan tak szybko się posypał?

– Sądziłem, że wystarczy ci już pieniędzy na wpisowe.

– Brakuje mi partnera, z którym mogłabym się zapisać.

– Ale jaki to ma związek ze mną? – spytał zbity z tropu.

– Chcę, żebyś był moim alchemikiem. Moja matka nie przyjmuje już uczniów na praktykę. Zależy jej na tej hali, niczego tak bardzo nie pragnie jak zdobycia jej. Jesteś jedyną osobą, co do której mam pewność, że po zakończonym gonie przekaże jej truchło. Bo tylko wtedy moja matka zgodzi się, żebyś u niej terminował.

Weston wydawał się oszołomiony.

– Ale przecież... ja nie jestem alchemikiem. To znaczy nie oficjalnie.

– Nie bądź taki skromny. – Margaret przycupnęła na brzegu jego łóżka, co chyba trochę go udobruchało. – Skoro umiesz przeprowadzić transmutację, możesz się uznawać za alchemika. W regułach alchemicznych nie znajdziesz żadnej wzmianki na temat konieczności wyrobienia licencji.

– Bardzo mi schlebiasz zaufaniem, jakie we mnie pokładasz. Ale fakty są takie, że nie zapewnię ci żadnej przewagi nad rywalami.

– Wystarczy, że zaczarujesz dla mnie coś, czym będę mogła zabić halę. No i jeszcze musisz się pojawić ze mną na polowaniu. Tyle.

Był to uproszczony, acz niewiele mijający się z prawdą opis obowiązków ciążących na alchemiku podczas gonu. W rzeczywistości bowiem Gon Półksiężyca przypominał zwyczajne polowanie na lisy, chętnie organizowane w tych okolicach jesienią. Zespoły reprezentujące koła łowieckie spuszczały w lesie ze smyczy psy gończe i podążały za nimi konno. Goniwa kończyła się, gdy ofiara padła z wyczerpania, została rozszarpana przez psy albo zastrzelona. Gon Półksiężyca odróżniał od takich polowań jeden zasadniczy szczegół – tu zwierzynę zabić mógł jedynie alchemik, i to tylko w Noc Zimnego Księżyca, a przynajmniej tak wynikało z dość enigmatycznych zapisów historycznych. Mimo że wielu próbowało, w ciągu ostatnich dwustu lat sztuka ta nie powiodła się żadnemu alchemikowi. A obecnie jedyną osobą, która wiedziała, jak tego dokonać, była Evelyn.

Nie, niemożliwe, żeby to był jedyny sposób. Margaret musiała w to wierzyć.

– Ale to wcale nie wszystko! – upierał się Weston. – Słyszałem o fortelach, do jakich uciekają się alchemicy podczas gonu. Zastawiają na rywali alchemiczne pułapki. Stosują sabotaż. Oboje wiemy, że brakuje mi wyrafinowania i doświadczenia, które są tu niezbędne. Poza tym zupełnie nie znam się na polowaniu. – Weston wyliczał teraz na palcach. – Nie mam pojęcia, jaki sprzęt oprócz broni jest wymagany. Nie wiedziałbym, czego oczekiwać ze strony rywali. Nie umiem strzelać. Nie umiem nawet jeździć konno!

– Mogę ci powiedzieć, jakiego sprzętu ja będę potrzebować. Jeżeli chcesz, nauczę cię też jeździć konno. A jeśli chodzi o pozostałe kwestie, o których wspomniałeś, do niczego nie będzie ci



to potrzebne. Wystarczy, że po prostu będziesz. Dlaczego się ze mną spierasz?

– Wcale się nie spieram. Po prostu próbuję ci wyjaśnić, że nie masz powodu, by żałować, że wyjeżdżam. Przykro mi. Naprawdę. Ale będziesz musiała poszukać kogoś innego.

– Naprawdę gotów jesteś dla dobra rodziny porzucić taką szansę?

– Naturalnie. Bez wahania.

Jak by wyglądał jej świat, gdyby najbliżsi wracali do domu po tym, jak ich o to poprosi? Gdyby miłość zawsze zwyciężała w starciu z ambicją?

– Rozumiem.

– Panno Welty... Widzę, że jesteś zasmucona, ale nie rozumiem dlaczego. Przecież jeśli twoja matka wróci jutro, będziesz mogła zapisać się razem z nią, prawda?

Kiedy nie odpowiedziała, nagle go olśniło.

– Wcale nie wiesz, czy wróci, zgadłem?

– No właśnie – przyznała, upokorzona i zawstydzona. – Nie mam pewności.

To, co mówiła mu wcześniej, nie było kłamstwem, a raczej prawdą, w którą chciała wierzyć.

Wewnętrznie przygotowywała się na atak jego złości, ale gdy spojrzała na niego, uśmiechał się smutno.

– W takim razie chyba słusznie od samego początku radziłaś mi, żebym wracał do domu. Co ci kazało zmienić zdanie?

– Zrobiło mi się ciebie żal.

Spodziewała się, że zareaguje złością. Ale uczucie, które wyzierało teraz z jego twarzy, było jeszcze straszniejsze – przypatrywał jej się ze współczuciem.

– Twoja mama przepadła na trzy miesiące, a ty się litujesz nade mną? Mag... to znaczy panno Welty. Wiem, że pozwalam sobie teraz na zbyt wiele, ale to nie jest normalne. Zdajesz sobie z tego sprawę, tak?

Właśnie takiej sytuacji chciała za wszelką cenę uniknąć. Nie potrzebowała, żeby oburzał się w jej imieniu. I nie chciała, żeby ją osądzał.

– Ona nie jest złym człowiekiem.

– Wcale tego nie twierdzę. – Po chwili wahania dodał: – Czy nie wolałabyś przenieść się dokądś, gdzie nie będziesz przez cały czas sama?

– Ale ja nie mam nic przeciwko byciu samej. Mama ufa mi na tyle, że powierza mi opiekę nad domem na czas swoich wyjazdów.

– Ufa ci? Naprawdę uważasz, że tkwienie w tym zapomnianym przez Boga i ludzi domu to jakiś zaszczyt? – Nie chciał chyba, by tak to zabrzmiało, ale było już za późno.

Tak, uważała to za zaszczyt. Na miłość Evelyn trzeba sobie zasłużyć, a Margaret nauczyła się doceniać nawet najdrobniejsze jej przejawy, każde dobre słowo.

– Nie oczekuję, że zrozumiesz – przyznała, oblewając się ze wstydu rumieńcem.

– Przepraszam. Masz rację. Ale naprawdę się staram.

Skoro nie potrafi zrozumieć jej sytuacji, może chociaż zdoła wytłumaczyć mu, skąd bierze się jej oddanie w stosunku do matki.

– Evelyn zajmuje się naukowo demiurgami. To dlatego tyle podróżuje. Ale gdybym zwyciężyła w gonie i dała jej halę, nareszcie zostałaby w domu. Wiem o tym. I właśnie dlatego... – Zawiesiła głos. Wzięła głęboki oddech i zaraz poczuła palenie w gardle zapowiadające płacz. Nie może się teraz rozkleić, nie kiedy on patrzy. – Dlatego jeszcze raz, ostatni raz, pana proszę, panie Winters. Niech pan zostanie. Nie mam nikogo, kto mógłby mi pomóc.

– Boże – odezwał się cicho. – Proszę na mnie tak nie patrzeć. – Jej spojrzenie było równie trudne do zniesienia jak bycie odrzuconym.

Przez chwilę szperał w swoich rzeczach, pomrukując pod nosem. Wreszcie w jego ręce zjawił się notatnik. Wyrwał z niego kartkę, zapisał coś i wręczył Margaret.

– Proszę, to mój numer telefonu i adres. Na wypadek, gdybyś czegoś potrzebowała albo gdyby twoja matka zmieniła zdanie na temat przyjmowania studentów na praktyki.

– Dziękuję – odezwała się, choć zdawała sobie jasno sprawę, że nie ma nic innego, czego mogłaby od niego chcieć. Złożyła kartkę i schowała ją do kieszeni. – Na pewno nie wolisz zaczekać do rana?

– Tak. Obiecałem, że przyjadę najbliższym pociągiem. – Marszcząc brwi, dodał poważnie: – Paskudnie się czuję, zostawiając cię w takiej sytuacji.

– Niepotrzebnie, ja cię rozumiem.

Mówiła to całkiem szczerze. Wybór, którego dokonał, był zrozumiały. Nie mogła mieć do niego pretensji. Kiedy pokazał jej zdjęcie, naliczyła czworo rodzeństwa. A przecież wspominał też o śmierci ojca. Żałowała, że postawiła go przed takim dylematem, ale zatrzymała tę myśl dla siebie, żeby nie komplikować sprawy.

Wzięła jedną z walizek i pomogła mu znieść bagaże na dół. Kłopot, wyraźnie podekscytowany, skakał wokół nich, jakby wyobrażał sobie, że Weston zabierze go na spacer. Serce krajało jej się na myśl, jak bardzo ogar przywiązał się do chłopaka.

– Cóż, żałuję, że rozstajemy się w takich okolicznościach – rzekł, uchylając czapki. – Proszę na siebie uważać, panno Welty.

Wypowiedział te słowa żarliwym tonem, jakby były upominkiem, który wciska jej do rąk. Uśmiechał się, jednak z jego spojrzenia wyczynała obawa. Szmer deszczu padającego na kamienie w ogrodzie niemal zagłuszył jej głos, gdy odpowiedziała:

– Do widzenia, panie Winters.

Kiedy odprowadzała go wzrokiem, poczuła znajome ukłucie w sercu. Ile jeszcze razy będzie patrzyła, jak ktoś stąd odchodzi, nie oglądając się, podczas gdy ona sama zostaje tu niczym duch straszący w tym dworze?

Kiedy Evelyn zostawiła ją samą pierwszy raz, Maggie nie wiedziała, co ze sobą począć. Na początku próbowała cieszyć się wolnością. Nastawiła płytę na gramofonie i muzyka wypełniła pustkę. Spałaszowała wszystkie łakocie, jakie znalazła w domu. Nalała sobie do szklanki drogiej szkockiej whisky po ojcu. Ranek nazajutrz był trudny – głowa i brzuch ją bolały, a Maggie poczuła się całkowicie sama. Samotne godziny stały się dniami, a te wydłużyły się do tygodni. Uświadomiła sobie wtedy, że jeśli umysł będzie chronił ją przed pamiętaniem o nieudanych eksperymentach Evelyn, równocześnie uniknie też bólu. Wystarczyło, że nauczy się poczucie odrzucenia obracać w odrętwienie – zdystansuje się do tego stopnia, że sama sobie przestanie się wydawać prawdziwa.

Teraz jednak, gdy zamknęła za Westonem nasiąknięte deszczem drzwi, poczuła się fatalnie. Odejście chłopaka było niczym ostrze wrazone w starą ranę. Nagle, niespodziewanie z całą mocą wróciła do niej świadomość, jak straszliwie jest samotna, odkąd matka

poddała się rozpacz. Ciche, mroczne pokoje dworu Welty dzieliła tylko z duchami, których nawet nie mogła w całości dojrzeć. I stało się dla niej jasne, że nie może znowu zostać z nimi sama. Nie miała na to siły.

Czuła, że wszystko, czego pragnęła, krucha obietnica szczęścia, o które walczyła, przechodzi jej właśnie koło nosa. Nie mieściło jej się w głowie, że znowu naraziła się na ten rodzaj bólu. Była skończoną idiotką, że zwlekała do ostatniej chwili. Dlaczego nie zebrała się na odwagę wcześniej?

Nie, jeszcze nie wszystko stracone. Skoro do wyboru ma poddać się albo pracować z kimś innym – kimkolwiek – trudno, pójdzie na kompromis. Jutro wybierze się do Wickdon i znajdzie sobie jakiegoś alchemika.

Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Nagle poczuła, że musi czymś zająć ręce – jakąś bezmyślną i użyteczną czynnością. Pranie, pomyślała. Z tym przynajmniej powinna sobie poradzić.

W oszołomieniu weszła do pokoju Westona i zaczęła ściągać pościel z łóżka. Kiedy wieszła sobie na ramieniu poszewkę na poduszkę, wypadła z niej jakaś karteczka. Widniejący na niej, dwukrotnie podkreślony, dość tajemniczy napis miał chyba o czymś przypominać: „Pamiętaj węgiel za tycień”. Pościel pachniała Wesem. Słodka woń wody po goleniu i nuta siarki. Wdychanie tego zapachu sprawiało jej niemal fizyczny ból.

Ale ja nie mam nic przeciwko byciu samej.

Jakim cudem mogła przez tak długi czas łudzić się, że to prawda?

Kolejny ranek przyniósł przejmujący chłód. Kłębiące się na niebie ciemne chmury przywodziły na myśl wzburzone morze.

W zalanych deszczem oknach Pubu pod Ślepym Lisem pełgało światło. Kiedy Margaret pchnęła drzwi, wrzawa wylała się z wnętrza niczym strumień piwa. Czując narastającą panikę, wodziła wzrokiem po tłumie klientów. Była dopiero dziewiąta rano, o wiele za wcześnie na popijanie. Śmiech i zarumienione twarze bywalców pubu kazały się zastanowić, czy przypadkiem popijawa nie trwa od wczoraj. Wszyscy chcieli się przekonać na własne oczy, kto jest na tyle odważny – albo głupi – by zapisać się do udziału w gonie.

Margaret marzyła, by nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Nie ściągnając kaptura z głowy, zajęła miejsce na końcu kolejki. Paru obecnych zwróciło na nią uwagę w półmroku pochmurnego poranka, ale ich spojrzenie nie zatrzymało się na zakapturzonej postaci. Kolejka posuwała się szybko i już po paru minutach Margaret stanęła przed stołem, za którym z piórem w ręce siedziała pani Wreford. Muzyka płynąca z radia wydała się Maggie zbyt radosna jak na tę okazję.

Dopiero teraz zsunęła kaptur i potrząsnęła wilgotnymi od deszczu włosami. Kiedy spojrzenia obu kobiet się spotkały, pani Wreford z wrażenia odchyliła się na oparcie krzesła.

– Maggie? A co ty tu robisz?

Żywa reakcja prowadzącej zapisy ściągnęła ku nim kilka ciekawskich spojrzeń. Margaret najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

– Chcę się zapisać do gonu.

– A czy twoja matka wie, że zamierzasz zrobić coś tak niebezpiecznego?

– Nie ma jej tutaj, więc siłą rzeczy nie może mieć zdania na ten temat.

Pani Wreford westchnęła z rezygnacją.

– Cóż, co racja, to racja. – Nigdy nie przepadała za matką Margaret.

Dziewczyna położyła na stole całą kwotę wpisowego. Z bólem serca patrzyła na stos banknotów leżących na zaplamionym blacie.

Pani Wreford wzięła do ręki pieniądze.

– Masz ze sobą alchemika?

– Jeszcze nie zdecydowałam, kto nim będzie. Liczyłam, że spotkam tu kogoś, kto szuka partnera.

Kobieta wskazała za siebie, na gości oblegających bar.

– Na pewno znajdziesz go tutaj.

Kiedy Margaret błędziła spojrzeniem po zaróżowionych od piwa twarzach, kobietach wystrojonych w kosztowne kreacje i perłową biżuterię, powoli uświadamiała sobie, jak bardzo nie pasuje do tego towarzystwa. To właśnie tacy ludzie wygnali rodzinę Yu'adir z Bardover. To oni wyznawali spiskową teorię, jakoby Yua'dir odpowiedzialni byli za zakulisowe manipulowanie globalnymi rynkami finansowymi oraz że wykorzystują krew dzieci katarystów w jakichś mrocznych rytuałach. Skąd ma wiedzieć, czy któryś z klientów pubu

nie będzie życzył jej śmierci za to, że w ogóle miała czelność tu przyjść, kiedy już stanie się jasne, kim jest? I skąd ma wiedzieć, czy któryś z nich nie ukradnie jej truchła demiurga?

Tylko Westonowi mogła ufać w obu tych kwestiach.

Dlaczego wcześniej nie porozmawiała z nim wprost, przecież miała na to dwa tygodnie? Czuła się teraz z tego powodu jak kretynka. On był Sumitą, ona należała do ludu Yu'adir – byłby to układ idealny, bo przynajmniej żadne z nich nie spoglądałoby z góry na partnera. Nikt w Wickdon nie rozumiałby jej lepiej od niego.

Pani Wreford wyczuła chyba rozterki dziewczyny, bo powiedziała:

– Masz czas do północy. Jeśli do tej pory nie znajdziesz partnera, zwrócę ci pieniądze.

Margaret odwróciła się i zamierzała odejść, gdy poczuła, jak pani Wreford zaciska palce na jej ramieniu. Szpon. Każdy w Wickdon wiedział, co to znaczy. Kiedy pani Wreford uciekała się do użycia szponu, niewinna piętnastominutowa pogawędka mogła zamienić się w trwałą godzinę przesłuchania. Uchwyt ten zdawał się mówić: Pozwolę ci odejść, dopiero gdy odpowiesz na moje pytania. Uścisk starszej kobiety sprawił, że Maggie znalazła się w potrzasku.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie musisz tego robić, prawda?

– Tak.

– Wiesz, co powiedzą ludzie, jeśli zwyciężysz? Domyślasz się, co mogą zrobić?

– Oczywiście.

Maggie miała wrażenie, że kobieta chce coś dodać, ale chwilę potem jej stalowy uścisk osłabł.

– Wygląda na to, że nie uda mi się odwieść cię od tego zamiaru.

– Dam sobie radę. Obiecuję.

Idąc do drzwi, przez cały czas czuła na sobie zatroskane spojrzenie pani Wreford. Mimo że kark miała wcześniej mokry od deszczu i potu, pod spojrzeniem kobiety momentalnie wysechł. Wydawało jej się, że pożera ją sto par oczu. Kiedy znalazła się na zewnątrz, trzęsła się z zimna, zanim jeszcze podmuch wiatru rozwał jej włosy. Po chwili przykleiły jej się do skóry, mokre i śliskie niczym glony. Odgarnęła je z twarzy, a potem wepchnęła ręce do kieszeni,

żeby je ogrzać. Jej palce odnalazły złożony papier, który Weston zostawił jej przed odejściem.

„Proszę, to mój numer telefonu i adres. Na wypadek, gdybyś czegoś potrzebowała”. Dunway oddalone było tylko o trzy godziny jazdy pociągiem. Weston zdążyłby tu wrócić przed zakończeniem zapisów. No ale wcześniej, rzecz jasna, musiałby tego chcieć.

Ambicja to za mało, aby go skłonić do pozostania tutaj. Dla tego chłopaka najważniejsza była rodzina. Jeżeli naprawdę zależało mu na zapewnieniu lepszego bytu swoim najbliższym, może Margaret zdoła skusić go czymś więcej niż tylko obietnicą spełnienia marzeń? Trudno jej wiązać koniec z końcem, ale przecież nie potrzebuje tych siedemdziesięciu pięciu dolarów.

Potrzebowała wyłącznie Evelyn.

Ruszyła truchtem na drugą stronę ulicy, do Zajazdu u Wallace'a. Annette siedziała nachylona nad kontuarem recepcji, z brodą opartą na dłoniach. Jej twarz miała rozmarzony, nieobecny wyraz. Kiedy zobaczyła Margaret, natychmiast uciekła spojrzeniem w bok, jakby samo oglądanie dziewczyny groziło, że złapie od niej jakąś wyimaginowaną chorobę. Margaret już dawno przestała zwracać uwagę na takie reakcje.

– Dzień dobry, Maggie. – Annette starała się przynajmniej, żeby jej głos zabrzmiał uprzejmie.

– Czy mogłabym skorzystać z waszego telefonu?

– No... jasne, skoro musisz...

Margaret wślizgnęła się za kontuar i po chwili znalazła się w biurze na zapleczu. Starła się bardzo ostrożnie rozwinąć papier, co było o tyle trudne, że ręce jej się trzęsły z zimna i zdenerwowania. Kiedy w końcu udało jej się rozłożyć kartkę, ze zdenerwowania zaparło jej dech w piersi. Pod wpływem wilgoci atrament się rozmazał. Odczytanie tekstu nawet na suchym papierze nastroczało jej trudności, bo Weston bazgrał jak kura pazurem. To dziewięć czy sześć? To ma być jeden, a może siedem?

Wyobrażała sobie, że Weston jej to ułatwi. Cóż za naiwność z jej strony! Jęknąwszy z frustracją, wykręciła poprawny, jak sądziła, numer. Długo czekała, nim w końcu ktoś odebrał.

– Halo? – rozległ się obcy męski głos.

– Czy dodzwoniłam się do mieszkania państwa Winters?

– Przykro mi, skarbie – odparł dość bełkotliwie mężczyzna. – Numer ci się chyba pomylił.

Maggie rozłączyła się i przeklęła pod nosem. Ukryła twarz w dłoniach. Jeśli będzie testować wszystkie możliwe kombinacje cyfr, w końcu chyba znajdzie ten właściwy numer. Szkopuł w tym, że nie miała ani cierpliwości, ani czasu na owo „chyba”.

Znów utkwiała wzrok w kartce. Krople deszczu na rzęsach zamazywały obraz, ale stwierdziła, że adres jest całkiem dobrze czytelny: Slate Avenue 7302, mieszkanie 804.

Zapisy kończyły się tej nocy. Jeśli wyjedzie teraz, powinna zdążyć dotrzeć do Dunway i wrócić przed północą. Świetnie rozumiała, że to najbardziej wariacki, nieprzemyślany plan, jaki kiedykolwiek uknuła. Niewykluczone zresztą, że jedyny. Weston był jej ostatnią nadzieją, a wzięcie udziału w gonie stało się dla niej sprawą życia i śmierci.

Jeśli zwycięży, matka na pewno wróci. A ona, Margaret, przekuje swoje zwycięstwo w zbroję. Wówczas już żaden drań pokroju Jaimego nie ośmieli się jej skrzywdzić. Nie, gdy stanie się bohaterką Nowego Albionu, na którą wszyscy czekają. Musiała to zrobić. Jeśli chciała, by w jej życiu cokolwiek się zmieniło, będzie musiała odnaleźć Westona – i nakłonić go do powrotu.







inęło dwanaście godzin, odkąd Wes wrócił do domu, a już zdążył zatęsknić za Wickdon. Brakowało mu prywatności, jaką zapewniał osobny pokój w dworze Welty. Z perspektywy czasu nie miał nawet nic przeciwko wszechobecnemu kurzowi i zaniedbaniu. Tęsknił za absolutną ciszą gór przed świtem i za widokiem mgły otulającej jodły. Tęsknił nawet za towarzystwem Maggie – oceniającym spojrzeniem jej oczu wielkich niczym księżyc w pełni. Życie w Wickdon toczyło się prostym, swojskim rytmem. A co najważniejsze, kryło w sobie obietnicę. Kto wie, może za kilka dni albo tygodni marzenie, które całymi latami nosił w sercu, faktycznie wyda mu się dziecinne i niemądre, jak chciałaby Mad. Niestety na razie Wes czuł się absolutnie zdruzgotany.

W promieniach popołudniowego słońca wpadającego przez okno unosił się kurz. Fakt, że mieszkali w tym domu, zawsze stanowił jakąś tam pociechę – z okien roztaczał się widok na leżące niżej miasto. Tymczasem niektórzy jego koledzy nadal gnieździli się w kamienicach czynszowych zbudowanych jeszcze przed reformą zaprowadzoną dwadzieścia lat temu. Ich okna wychodziły na przewody wentylacyjne, z których buchał smród brudnej wody i śmieci. Teraz jednak widok z okien rodzinnego mieszkania wydawał mu się równie obmierzły, gdyż świeżo w pamięci miał ten, jaki witał mieszkańców dworu Welty – zdający się nie mieć końca dywan sekwojowych lasów przykryty nieskazitelnie błękitnym niebem.

Wes siedział na wytartej kanapie w pokoju dziennym ze wzrokiem utkwionym w filiżance stygnącej kawy na stole. Na nim, niczym drzemiący kot, leżała jego najmłodsza siostra Edie.

W normalnych okolicznościach uznaliby czułość dziewczynki za rozczulającą, choć także irytującą. Ale dzisiaj jej zachowanie przede wszystkim wprawiało go w konsternację. Najchętniej zostałby sam, ale nie miał siły powiedzieć jej, żeby dała mu spokój – a potem stawić czoła nieuchronnemu wybuchowi płaczu.

Edie nie wypuszczała go z objęć od chwili, gdy przestąpił próg domu. Dotarł w środku nocy i niczym doświadczony złodziej wślizgnął się do środka. Starał się nie narobić hałasu, ale kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, na korytarzu ukazała się postać opatulona w koc. Wes położył palec na ustach, nakazując siostrze, by była cicho. Kiedy tylko go rozpoznała, rzuciła się biegiem ku niemu. Przy każdym jej kroku drżały zdjęcia dawno zmarłych krewnych i posążki świętych.

Zawsze to Edie witała go pierwsza, gdy wracał do domu po kolejnych nieudanych praktykach w alchemicznej pracowni albo następnej przebalowanej nocy. Po powrocie z balangi był zazwyczaj lekko wstawiony. Porywał wtedy Edie na ręce i nosił po mieszkaniu, podśpiewując. Zawsze kończyło się na tym, że Christine wydzierała się na nich, żeby kładli się spać.

Kiedy teraz Edie dotknęła lepką rączką jego twarzy, Wes wzdrygnął się i niemal zderzyli się głowami.

– O co chodzi? Masz taką smutną minę.

– Po prostu jestem zmęczony.

Dziewczynka przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

– Ale przecież przespałeś cały ranek.

Ano właśnie, to kolejna rzecz, która odpowiadała mu w Wickdon: tam nikt nie robił mu wyrzutów za to, że dłużej sobie pośpi. Myśl, że sześciolatka prawi mu kazania, była przygnębiająca.

– To dlatego, że potrzebuję porządnie się wyspać. Nie myśl sobie, że mój oszałamiający wygląd nie jest okupiony ciężką pracą.

– Jasne.

– Po prostu użala się nad sobą! – zawołała z kuchni Christine.

– Nieprawda! – próbował oponować.

– Znowu cię wylali z praktyk? – chciała wiedzieć Edie.

– Nie. Wróciłem, bo tak bardzo się za tobą stęskniłem. A teraz, jeśli okażesz się niewdzięcznicą, wyrzucę cię przez okno. Albo do śmieci. Jak ci się podoba taka perspektywa?

Po tych słowach zarzucił ją sobie na ramię. Mała pisnęła zachwycona.

– Możecie być ciszej? Mama śpi – upomniała ich Christine.

To wystarczyło, by dopadło go poczucie winy.

– Przepraszam.

Edie, wyraźnie rozczarowana, zrobiła nadąsaną minę. Opadli z powrotem na kanapę, a w mieszkaniu zrobiło się dziwnie cicho – jeśli, rzecz jasna, nie liczyć tykania zegara z kukułką, ulicznego zgiełku parę pięter niżej i podniesionych głosów sąsiadów, państwa McAlees, próbujących przekrzyczeć radio.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

– Sprawdzisz kto to? – poprosiła Christine.

– Edie, puść mnie.

Dziewczynka jednak trzymała się go kurczowo niczym skorupiak przylepiony do kadłuba statku. Wes wstał z kanapy, a ona wisiała uczepiona jego szyi, zanosząc się chichotem. Po chwili zdołał się uwolnić i postawił ją na podłodze.

– Pomóż Christine przy obiedzie. Jeśli dobrze się spieszysz, może da ci coś pysznego.

Ten argument przemówił do niej i dziewczynka wreszcie dała mu spokój. Popędziła do kuchni, skąd po chwili dobiegło przekleństwo Christine, zaskoczony entuzjastycznym nastawieniem młodszej siostry. Wes modlił się w myślach, żeby przypadkiem nie sprawił, że obiad tego dnia zamieni się w katastrofę. Christine uparła się, że ugotuje coś wyjątkowego, żeby uczcić jego powrót.

Pora zająć się niezapowiedzianym gościem.

Wes domyślał się, że to sąsiadka przyniosła im kolejną zapiekankę albo przyszła zapytać o stan matki. Na myśl o tym, że miałby uciąć sobie teraz przyjacielską pogawędkę albo odpowiadać na pytania, jakie ma plany na przyszłość, najchętniej zapadłby się pod ziemię. Wiedział jednak, że musi robić dobrą minę do złej gry, jak zawsze. Wziął głęboki oddech dla uspokojenia, uśmiechnął się uprzejmie i otworzył drzwi.

Na progu stała Maggie.

Nawet w nikłym świetle korytarza jej włosy lśniły niczym złoto. Twarz jednak wyrażała troskę, a w jej szeroko otwartych oczach dostrzegał własne odbicie – był równie osłupiały jak ona. Przez długą

chwilę stał jak rażony gromem, mógł tylko wlepić w nią wzrok. W końcu się zreflektował – przecież powinien coś, cokolwiek, powiedzieć.

– P-panna Welty? – zaczął, zacinając się. – Co ty tu robisz?

– Nie udało mi się odczytać numeru telefonu, który mi zostawiłeś.

– To... nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Dziewczyna uciekła spojrzeniem w bok.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Wes oparł się biodrem o futrynę.

– Chyba naprawdę się za mną stęskniłaś, skoro chciało ci się jechać taki kawał. Wystarczyło napisać list.

– Nie mam czasu ani ochoty na pisanie do ciebie listów miłosnych. – Jej obcesowy ton był niczym cios zniecierpliwienia w brzuch. Wes nie bardzo rozumiał, skąd brało się to dziwne uczucie. – Ja nie żartuję – dodała Maggie.

– W takim razie słucham – odezwał się łagodniej. – Porozmawiajmy.

– Zapewniałam, że nie będę cię już więcej prosić, wiem o tym. Nie mogę jednak dotrzymać tej obietnicy. Chcę, żebyś wrócił ze mną do Wickdon. Potrzebuję twojej pomocy.

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewał się od niej usłyszeć. Rzucił ukradkowe spojrzenie przez ramię.

– Posłuchaj, ja też mówiłem zupełnie poważnie, kiedy rozmawialiśmy wieczorem. Nie mogę ich opuścić. One mnie potrzebują. Niepotrzebnie się trudziłaś...

– Opłaci ci się – weszła mu ostro w słowo. – Nagroda pieniężna za zwycięstwo będzie w całości należeć do ciebie.

*W całości.*

Ta suma, siedemdziesiąt pięć dolarów, była trudna do ogarnięcia umysłem. Szybko przywołał się do porządku – nie powinien w ogóle się nad tym zastanawiać. Zdawał sobie sprawę, że należy odrzucić jej propozycję. Ale zaraz przypomniał sobie, jak ubiegłej nocy zanosił modły po kolei do wszystkich świętych w niebie, aby wstawili się za nim u Boga – i najwyraźniej jego prośby zostały wysłuchane. Dzięki tym pieniądzom jego rodzina miałaby z czego żyć, a on mógłby dalej ścigać swoje marzenie.

Szkoda tylko, że święci nie znaleźli mu czegoś bardziej... pewnego. Powodzenie całego planu zależało od tego, czy Maggie wygra oraz czy on w ogóle jej się do czegoś przyda, przy czym to drugie założenie było obarczone jeszcze większym ryzykiem.

– Muszę się zastanowić.

– Nie ma na to czasu – wyrzuciła z siebie Maggie. Jej zaciekłość go zdumiała. – Czekaleś, aż ktoś da ci szansę zostania alchemikiem i wsparcia rodziny. Oto ona.

– O, a kogo my tu mamy?

Christine stanęła obok niego i oparła się łokciem o jego bark. Na widok przebiegłego uśmiechu na twarzy siostry Wes spiekł raka. Miała na sobie ubranie po nim – koszulę, która była bielsza niż w czasach, gdy on ją nosił, luźne spodnie na szelkach i oksfordki. Jej głos był figlarny. Spoglądała na przybyłą spod uwodzicielsko opuszczonych rzęs. Wes miał ochotę krzyczeć. Christine zachowywała się tak tylko po to, żeby zrobić mu na złość. Oczywiście to nie tak, że któreś z nich naprawdę było zainteresowane Maggie. Tym niemniej był to drażliwy temat.

Kiedy miał szesnaście lat, zalecał się do niejkiej Hedy Baker, dziewczęcia pracującego w eleganckim teatrze w centrum miasta. Cekał na nią codziennie, żeby móc odprowadzić ją do domu, mimo że późnymi powrotami narażał się na gniew swojego ówczesnego nauczyciela alchemii. Gotów był jednak znosić jego połajanki, widok Hedy, gdy zjawiała się w holu teatru w rozmigotanej sukni, był wart każdego upokorzenia. Pewnego wieczoru zaproponował, żeby przed kolacją zaszli do jego mieszkania. Kiedy tylko otworzył drzwi, ukazała się w nich Christine. Na szyi miała jedną z much należących do Wesa.

„Wychodzę na randkę”, oświadczyła. Kiedy dostrzegł rozpromienione spojrzenie Hedy, zrozumiał, że nie ma szans.

Zresztą to wcale nie był pierwszy raz, gdy Christine podwędziła mu dziewczynę, o której względy zabiegał. Ale przynajmniej więcej się to nie powtórzyło. Związek jego siostry z Hedą trwał już dwa lata i chociaż nadal miał do niej pretensje o to, jak postąpiła, w głębi duszy wiedział, że nie może jej winić. Oboje odziedziczyli po ojcu smykałkę do czarowania innych.

– Christine – odezwał się teraz, przywołując na usta sztuczny uśmiech. – Poznaj pannę Welty. Panno Welty, to moja siostra Christine.

– Bardzo mi miło. – Christine zbliżyła się do przybyłej i wyciągnęła rękę.

Maggie uścisnęła ją niepewnie.

– Wes – odezwała się pruderyjnie Christine – dlaczego trzymasz biedną pannę Welty na lodowatym korytarzu? Czemu nie zaprosisz jej do środka?

– No...

– Proszę wybaczyć mojemu bratu, nie jest zbyt lotny. Niech pani wejdzie. Zaparzę kawy.

Zanim Maggie przekroczyła próg, najeżona niczym przygotowujący się do ataku pies, Christine była już w połowie drogi do kuchni. Widok Margaret w ciasnym przedpokoju ich mieszkania był dla Wesa nieznośny. Miał wrażenie, że dziewczyna kompletnie tu nie pasuje, zupełnie jakby była papierową postacią, którą ktoś wyciął ze świata Wickdon i przykleił tutaj. Spoglądał teraz na niezdarnie wykonany kolaż dwóch linii życia, które za nic nie mogły się połączyć.

Widział, jak Maggie obrzuca spojrzeniem istną górę butów piętrzącą się u ich stóp, potem unosi je na figurkę Matki Boskiej pomalowanej w radosne barwy, z twarzą skrytą za błękitnym woalem. Najchętniej zniszczyłby w tej chwili wszystkie przedmioty kultu, zaświadczające o sumickiej wierze mieszkańców, a na zakurzone meble narzucił jakieś pokrowce. Ale było już za późno. Margaret widziała już wszystkie fragmenty, z których składała się jego dusza, tak jak on wcześniej zobaczył te tworzące jej duszę. Teraz oboje już wiedzieli, jak wygląda życie każdego z nich. Wes przypomniał sobie, że zadrżały jej usta, gdy powiedział, że jest mu jej żal. Teraz, zawstydzony tym ciasnym, zagraconym mieszkaniem, w którym gnieździła się jego rodzina, zrozumiał, że w gruncie rzeczy są do siebie podobni. Przeciwności losu, jakim musieli stawiać czoła, zahartowały ich. Maggie stała się za ich sprawą twardsza, on natomiast nauczył się zachowywać pozory. Przekonał się, że jeśli udowodni światu, że liczy się dla niego tylko powierzchowność i pozór, wówczas nikomu nie przyjdzie do głowy, by zagłębiać się.

Ale pod świdrującym spojrzeniem tej dziewczyny jego maska przestawała wystarczać – czuł się całkowicie nagi.

– Może wezmę twój płaszcz? – wymamrotał.

– Jeśli nie zamierzasz ze mną wrócić do Wickdon, lepiej już pójdę.

– Napij się przynajmniej kawy. Moja siostra się obrazi, jeśli teraz wyjdiesz.

– No dobrze.

Maggie zrzuciła z ramion płaszcz i podała mu go. Był ciepły, pokrywała go psia sierść, ale pachniał Wickdon – pachniał nią. Była to woń słonego nadmorskiego powietrza i wilgotnej ziemi po burzy.

– Ale tylko na chwilę. Nie mogę zostać dłużej.

Kiedy próbowała go minąć, niespodziewanie schwycił ją za łokieć. Była zaskoczona, ale tym razem nie spiorunowała go wzrokiem ani nie wzdrygnęła się pod jego dotykiem.

– Wiem, że pragniesz powrotu swojej mamy. Ale musi być jakiś inny sposób. Dołączając do gonu, sama prosisz się o śmierć.

– Nie chodzi tylko o moją matkę – wypaliła. – Chcę zwyciężyć. Chcę, żeby Jaime Harrington dał mi wreszcie spokój. Chcę zademonstrować wszystkim, że się nie boję, bo tak naprawdę jest. Nie boję się śmierci.

– Ja za to tak.

Spojrzała mu poważnie w oczy.

– Nie dopuszczę do tego, żebyś zginął.

– Co ty nie powiesz? Ile osób bierze udział w zawodach? Setki? Nie do wiary, że to akurat ja muszę cię o to spytać, ale czy przemyślałaś to? Naprawdę wydaje ci się, że mamy choćby cię szansy na wygraną, o ile wcześniej nie stracimy życia?

– Więcej niż cię szansy. Ja nie przegram. Przysięgam.

– Skąd ta pewność?

– Nie spotkałam jeszcze nikogo, kto miałby lepsze oko. Ani lepszego ogara od Kłopoty. I nikt nie będzie tam walczył o wyższą stawkę od nas.

Żarliwość jej spojrzenia sprawiła, że nagle zaschło w ustach. W lekko mglistym świetle jej oczy przybrały upajającą barwę miodu, whisky...

Na ziemię sprowadziło go chrząknięcie Edie.



Oboje błyskawicznie obrócili się do dziewczynki. Edie nie odezwała się ani słowem, ale nie odrywała oczu od palców Wesa zaciśniętych na łokciu Maggie. Dziewczynka przywołała na usta anielski uśmiezek.

– Christine kazała powiedzieć, że kawa już czeka.

Po tych słowach odwróciła się na pięcie i dumnym krokiem pomaszerowała z powrotem do kuchni.

Gdzie, u licha, ten dzieciak podpatruje takie zachowania, zastanowił się Wes. Ile stracił, będąc poza domem?

– Urocza – oceniła Maggie.

– Lepiej, żeby nie słyszała, jak to mówisz – odparł z grymasem i puścił jej ramię. – No dobra, zastanowiłem się już nad twoją propozycją.

– Naprawdę? – Wyraz jej twarzy złagodniał pod wpływem zaskoczenia.

Może nie był to namysł, który gwarantowałby, że postąpi mądrze. No ale przynajmniej na coś się zdecydował. Zostanie najprawdziwszym alchemikiem, nawet jeśli miałyby to potrwać tylko parę tygodni. Nie będzie musiał wyrzekać się swojego marzenia. Dopóki istniał choćby cień szansy, musiał spróbować. Nawet jeśli oznaczało to, że znienawidzi go za to jego rodzina. Powiedzenie matce, że zamierza wziąć udział w gonie, byłoby jak wymierzenie jej policzka.

Jakaś jego część zawsze wiedziała, że prędzej czy później do tego dojdzie i będzie musiał wybrać między rodzinną spuścizną a własnymi ambicjami. W tym kraju drzwi kariery politycznej były zamknięte dla praktykujących Sumitów. Jedynie poddając się asymilacji i odcinając od korzeni, mógłby liczyć, że zostanie wybrany na publiczny urząd. Było tak, ponieważ w powszechnym przekonaniu Sumici dochowywali wierności papieżowi, a nie prezydentowi. W wyborach zwyciężali ci, którzy szli do nich z prostym hasłem: „Nowy Albion dla Nowoalbiończyków”. Jeszcze parę lat temu dzień w dzień taki czy inny katarystyczny minister wypowiadał się w radiu, potępiając sumityzm jako „ruch sprzyjający tyranii i będący wrogiem dobrobytu”. Teraz nadarzała się idealna sposobność, by dowieść swojej wierności Nowemu Albionowi – zabić hałą, stworzenie, które

Sumici uważali za święte. O ile, rzecz jasna, miejscowi nie wypędzą go z Wickdon, kiedy dowiedzą się, kim tak naprawdę jest.

– Wchodzę w to – oświadczył tonem sugerującym większą pewność, niż w istocie czuł. – Tylko muszę się zastanowić, jak poinformować o tym rodzinę.

Miał wrażenie, że na twarzy Maggie odmalowała się cała gama emocji. Tą, która została na końcu, było poczucie winy.

– Lepiej się pośpiesz. Zapisy kończą się o północy.

– O *północy*? Przecież dojazd do Wickdon zajmie nam co najmniej trzy godziny! – jęknął. – O Boże, siostry mnie zamordują, jak im powiem, że muszę wyjechać w takim pośpiechu.

– Właśnie dlatego próbowałam wcześniej się do ciebie dodzwonić.

– Zaoszczędziłabyś nam obojgu sporo zmartwień – mruknął pod nosem. Wiszący na ścianie zegar z kukułką wybił pełną godzinę. – Pozostałe siostry wrócą do domu na obiad. Wtedy im powiem.

– Gdzie mam na ciebie poczekać?

– To znaczy? O nie, zostaniesz tutaj. Musisz wypić kawę. Moja mama urwie mi głowę, jeśli dowie się, że wypuściłem z domu gościa, nie nakarmiwszy go.

– Chcesz, żebym została na obiad? – upewniła się Maggie, blednąc.

– Dokładnie tak. – Rzucił jej płaszcz na wieszak, uginający się już od ubrań. – Pewnie będzie się to różniło od tego, do czego jesteś przyzwyczajona. Ale moja rodzina to w gruncie rzeczy serdeczni ludzie. Może odrobinę zbyt przyjacielscy, ale przynajmniej będzie interesująco.

– Interesująco – powtórzyła bez entuzjazmu. – Nie mogę się doczekać.

Wes wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. Gdy jednak uświadomił sobie, jakie wyznanie go czeka, twarz mu spochmurniała.

– Pewnie już sama na to wpadłaś, ale... Kiedy powiem im, co planuję, atmosfera może się zrobić trochę niezręczna. Dlatego uprzedzam wprost: moja rodzina to Sumici. *Ja jestem* Sumitą. Mówię to na wypadek, gdyby nie dawało ci to spokoju.

Obawiał się jakiejś potępiającej reakcji, ale Maggie tylko przechyliła głowę na bok i wbiła w niego spojrzenie tych swoich

olbrzymich sarnich oczu. Zaczynał rozumieć, dlaczego mówi się, że psy przypominają z wyglądu swoich właścicieli: jakiś czas temu Kłopot spojrział na niego identycznie jak Maggie teraz.

– Dlaczego miałoby mi to nie dawać spokoju?

– No... – jękał się, zawstydzony własnym strachem. – Sam nie wiem.

Wpatrywała się w niego, jakby chciała zdradzić mu jakiś sekret. Jak gdyby się zastanawiała, czy może mu zaufać. Koniec końców Wes chyba nie zdał testu.

– Twój stosunek do hali mnie nie interesuje. Zależy mi tylko na tym, żebyś był gotów ją zabić.

– Jestem gotowy. – A w każdym razie taką miał nadzieję. Dla rozluźnienia atmosfery dorzucił: – Obiecuję, że nie będziesz świadkiem żadnych pogańskich rytuałów, praktykowania kanibalizmu ani nic z tych rzeczy. Od tego są msze.

– Wielka szkoda.

Roześmiał się z ulgą i rzucił:

– No to może usiądziesz?





argaret nigdy dotąd nie była w domu, który przypominałby lokum państwa Winters. Mimo że za oknami zapadła już noc, a ulice świeciły pustkami, mieszkanie tętniło życiem. Nad kuchenką wisały garnki i obwiązane dratwą pęczki aromatycznych ziół. Półki uginały się od przeróżnych intrygujących przedmiotów: małych figurek świętych z aureolami czy pomalowanych słoików, w których płonęły świeczuszki. Szczególnie niepokojące wydały się Margaret ikony przedstawiające demiurgów. Artysta ukazał ich w momencie, gdy dosięgały ich strzały myśliwych. Demiurgowie, skąpani w srebrzystej krwi, wyglądali tu dostojnie, wręcz anielsko. Stawało się jasne, skąd u Westona takie zamiłowanie do dramatycznych gestów. Jediną świątynią w Wickdon był prosty, surowy kościół katarystycki. W jego oknach nie było witraży, a ściany były pozbawione ozdób. Świątynia sumicka w Dunway, którą Maggie minęła po drodze, wydała jej się rozmiętą, jakby inkrustowana klejnotami.

Za oknem widać było sieć sznurów do suszenia bielizny; szary pręgowany kot przycupnięty na parapecie miauczał głośno. W końcu Weston zlitował się nad nim – uchylił okno i wziął czworonoga na rękę, zupełnie jakby ten był niemowlęciem. Mimo to zwierzak sprawiał wrażenie obrażonego, wpatrywał się nieufnie w gościa, mrugając żółtymi ślepiami. Ale gdy Weston zaniósł go do stołu i położył na krześle obok Maggie, kot zachowywał się potulnie.

Siedmioro ludzi stłoczyło się wokół stołu, teoretycznie przeznaczonego dla czworga. I wszyscy mówili podniesionymi głosami, krzyczeli do siebie, zanosili się histerycznym śmiechem. Margaret starała się robić dobrą minę do złej gry, ale najchętniej

zabarykadowałyby się w łazience i poczekała, aż cały ten hałas ucichnie. Weston miał rację, kiedy uprzedzał ją, że może się tu poczuć niekomfortowo.

Nie była stworzona do życia w mieście. Wszystko ją tutaj przytłaczało. Klaksony samochodów na skrzyżowaniach. Sunące po niebie gigantyczne sterowce reklamujące różne marki. No i ludzie – nieprzebrane tłumy ludzi. Kobiety w sukniach z obniżonym stanem, obwieszane perłową biżuterią, ludzie wysypujący się z oślepiająco jasnych domów towarowych. Nawet teraz Maggie nie udało się opanować drżenia rąk, które pozostawiła po sobie krążąca w jej żyłach adrenalina.

Wizyta w mieszkaniu państwa Winters, prawdę powiedziawszy, nie przyniosła uspokojenia. Odkąd Maggie ostatni raz usiadła do wspólnego obiadu ze swoją mamą, minęły już lata, dlatego trudno jej było znieść widok rodzinnej sielanki w domu Westona. Przypominała jej szczęśliwą epokę w jej życiu, gdy matka sadzała ją i Davida na ladzie kuchennej, żeby „pilnowali”, czy dobrze gotuje. Obecnie Evelyn zamykała się z jedzeniem w swojej pracowni, o ile w ogóle pamiętała o tym, żeby cokolwiek sobie przyrządzić. Tymczasem w domu, do którego właśnie trafiła, obiad był wielkim rodzinnym wydarzeniem. Drewniany stół dosłownie ugiął się pod ciężarem szklanek, naczyń i istnej góry jedzenia. Z ustawionego na środku stołu garnka dobywał się zapach wołowiny z wawrzynem, leżący obok bochenek chleba, jeszcze gorący po wyjęciu z pieca, też pachniał apetycznie. Margaret właśnie miała rzucić się na jedzenie, gdy rozległ się głos matki Westona:

– Kto chce zmówić modlitwę?

Przy stole zapadła cisza, zupełnie jakby spytała, które z nich stłukło jej ulubiony wazon. Aoife Winters, siedząca u szczytu stołu, spoglądała po kolei na swoje dzieci, a na dnie jej skrzących się radością oczu kryła się teraz powaga. Jej niemal czarne włosy przyprószone były siwizną, wyglądało to tak, jakby w swój warkocz wplotła srebrne wstążki.

– Nikt? Naprawdę?

Mówiła z melodyjnym banwijskim akcentem, którego w Wickdon praktycznie się nie słyszało. Jedynie żeglarze przybywający do miasteczka na statkach dowożących towar i pracownicy portów

mówili w taki sposób. A kiedy marynarze rankiem opuszczali zajazd, by udać się w kolejny rejs, miejscowi narzekali półgłosem, że potem przez całe tygodnie lokal będzie cuchnął rozlanym piwem. Margaret wciąż miała przed oczami twarz Westona, gdy z wielkim niepokojem przyznawał jej się, że w jego rodzinie wyznaje się wiarę sumicką. Wyrzucała sobie teraz, że nie zareagowała tak jak powinna. Może należało bardziej się postarać rozproszyć jego obawy. Może powinna była zrewanżować się za szczerość, dzieląc się z nim własnym sekretem, o ile oczywiście Weston sam dotychczas na to nie wpadł.

– Panna Welty powinna odmówić modlitwę – odezwała się poważnym głosem Edie. – Jest naszym gościem.

Weston z trudem stłumił śmiech. Colleen dała mu kuksańca w bok, na tyle mocnego, że chłopak syknął z bólu. Kot, który zdążył wskoczyć mu na kolana, dał teraz susa i z głuchym łupnięciem wylądował na podłodze.

– Ja to zrobię – zaproponowała Christine.

– Dziękuję – zwróciła się do niej Aoife.

Chwilę później wszyscy jak jeden mąż złożyli dłonie i pochylili głowy. Margaret starała się ich naśladować – zapadła się głębiej w swoim krześle, opuściła głowę i obserwowała rozwój wydarzeń zza opadających jej na twarz włosów. Tradycja sumicka była dla niej czymś całkowicie nieznanym, ale o dziwo te drobne rytualne gesty przynosiły jej otuchę. Przypominały o modlitwach odmawianych przez ojca przed świątecznymi posiłkami.

– Pobłogosław, o Panie, nas i te dary, które będziemy spożywać – rozpoczęła recytację Christine.

I już po chwili pozostali domownicy dołączyli do niej. Ich monotony ton zdradzał, że powtarzali te formuły niezliczoną ilość razy. Ponieważ ich głosy nakładały się na siebie, Margaret przestała rozróżniać słowa. Na koniec wszyscy powiedzieli „Amen”.

A następnie w pokoju zapanował chaos.

Weston wyciągnął rękę do chochli, ale Mad momentalnie go pacnęła.

– Zaczekaj na swoją kolej, Wes. Może twoja matka i twój gość też są głodni, co?

– Dobra, dobra – odburknął.

Korzystając z faktu, że Mad była odwrócona, Colleen oderwała spory kawałek chleba i wpakowała go do buzi, wypychając nim sobie policzki jak wiewiórka. Puściła oko przypatrującej się z boku Margaret. Dzieci państwa Winters, mimo że rysami twarzy w subtelny sposób różniły się między sobą, odziedziczyły po matce ciemne włosy i szelmowski błysk w oczach. I tylko Colleen miała oczy blade niczym szron.

Najstarsze dziewczęta, Mad i Christine, były prześliczne – każda na swój niepowtarzalny sposób. Mad, z fryzurą na boba i pomalowanymi na czerwono ustami, prezentowała się olśniewająco i wyzywająco, przywodząc na myśl kobiety z modowych czasopism. Christine ścinała włosy krócej od brata – i zdecydowanie lepiej o nie dbała. Nos miała usiany piegami.

– Proszę, Margaret, nałóż ci na talerz – odezwała się Aoife. – Te moje dzieciaki to istne zwierzęta. Szczególnie Weston.

– Naprawdę nie trzeba, przecież dałabym sama radę – próbowała oponować Maggie. Dopiero teraz zauważyła, że pani domu ma obandażowaną dłoń, i dopadły ją wyrzuty sumienia.

– Z chęcią ci pomogę – zapewniła Aoife. Chochłą trzymaną w sprawnej ręce nałożyła na talerz porcję gorącego gulaszu i postawiła przed Margaret. – Na co jeszcze masz ochotę?

– Mamo, dajmy jej zjeść w spokoju – wtrąciła się Christine, nabijając sobie na widelec kawałek mięsa.

Nagle Maggie ogarnęło jakieś osobliwe uczucie. Poczowała się niczym pająk przyczajony w sieci – zdało się jej, że obserwuje siebie z boku, z najciemniejszego kąta pokoju. I dopiero teraz zobaczyła siebie taką, jaką była naprawdę: ponurym, atramentowym kleksem szpecącym biel tego domu. Nie pasowała do tych ludzi. Nie zasługiwała na ich serdeczność, nie zasługiwała na to, by zostać włączona do ich kręgu, w którym ich wszystkich łączyły tak zażyłe relacje. Nie, to było coś więcej niż dobre relacje. Ci ludzie się kochali. Wszystkie ich miłe gesty, jak i ostre słowa miały źródło w miłości.

Przed swoim odejściem Weston powiedział jej: „Wiem, że pozwalam sobie teraz na zbyt wiele, ale to nie jest normalne. Zdajesz sobie z tego sprawę, tak?”.

W tej chwili Margaret zachodziła w głowę, czy tak właśnie wyglądała normalność, o której wspominał. Był czas, gdy jej rodzina



nie różniła się od jego. Wystarczyło zamknąć oczy, by wróciły do niej wspomnienia chwil, gdy w czwórkę siedzieli przy kominku we dworze. Gardło jej się ścisnęło pod wpływem tęsknoty za domem, która nagle zalała jej serce. Świadomość, że dwór Welty z jej wspomnień jest bezpowrotnie utracony, tylko potęgowała jej samotność.

Wtem poczuła, jak Weston trąca jej nogę kolaniem. Nachylił się i spytał:

– Trzymasz się jakoś?

Czuła się tak, jakby chłopak narzucił prześcieradło na ich głowy i nagle zostali sami. Mogła w tej chwili myśleć wyłącznie o dreszczu, jaki ją przeszył, gdy ich nogi się zetknęły, oraz o tym, z jaką troską spoglądał jej w oczy. Skinęła głową. Weston zmarszczył brwi z powątpiewaniem, ale nie naciskał. Kiedy odwrócił od niej spojrzenie, motylki w jej brzuchu się uspokoiły. Wystarczy, że dotrwa do końca obiadu, i będą mogli wracać do Wickdon.

W pewnym momencie Margaret wyciągnęła rękę po chleb – i dokładnie w tej samej chwili zrobił to Weston. Ich dłonie się spotkały i oboje cofnęli je gwałtownie jak oparzeni. Znowu poczuła, że żołądek ma zawiązany na supeł. Jeśli nie weźmie się w garść, jedna z sióstr Westona dostrzeże, co się dzieje. Margaret przez całe życie znosiła szykany, ale coś mówiło jej, że gdyby ktoś stroił sobie z niej żarty z tego powodu, nie zniosłaby tego. Przecież nie powie im, że ich brat jest dla niej odpychający.

– Wybacz – wydukał Weston. – Proszę, ty pierwsza.

Kiedy odrywała sobie kawałek chleba, ręka nadal ją paliła. Zanurzyła pieczywo w gulaszu i skosztowała. Od wielu miesięcy nie miała w ustach nic równie pożywnego i smacznego: gulasz był wybornie przyprawiony solą i świeżym oregano. Skupiła się na jedzeniu, więc dopiero po chwili zorientowała się, że przy stole zrobiło się cicho. Koniuszki palców piekły ją, bo przed chwilą nieświadomie zanurzyła je po knykcie w gorącej potrawie.

– Bardzo smaczne – wytłumaczyła z zakłopotaniem.

Aoife posłała jej promienny uśmiech.

– Jedz do syta.

– Margaret – odezwała się Christine – może opowiesz nam coś o sobie?

Kęs do połowy przeżutego chleba niemal utknął Maggie w gardle. Gruda jedzenia szorowała jej po przetyku niczym szpony. Nagle znowu poczuła, jak Weston pod stołem ociera się kolanem o jej nogę. Od razu zaczęła ją w tym miejscu swędzieć skóra.

– Nie zdręczaj jej pytaniami – wtrącił się. – Margaret miała ciężki dzień.

Christine podparła brodę na spleconych dłoniach.

– Zdręczać pytaniami? Cóż za niesprawiedliwe pomówienie. Po prostu chciałam lepiej poznać naszego gościa.

– Ja też jestem ciekawa – odezwała się Mad ostrym głosem. – Czemu zawdzięczamy tę wizytę? Wybrałaś się na strasznie daleką wycieczkę.

– Grzeczniej – zgromiła ją Aoife.

Mimo że miała tylko jedną sprawną rękę, z zaskakującą łatwością radziła sobie ze smarowaniem masłem kromki chleba. Weston już otwierał usta, żeby odpyskować siostrze, ale nie zdążył, bo matka wcisnęła mu do ręki posmarowaną kromkę.

– Mamo, litości – mruknął.

W tym samym momencie Mad syknęła:

– Przestań traktować go jak dziecko.

Przez moment oboje, brat i siostra, siedzący po dwóch stronach stołu, mierzyli się wzrokiem.

Aoife tymczasem zajęła się smarowaniem następnej kromki.

– Przestańcie się kłócić i jedzcie obiad, bo wystygnie. Tylko Margaret spośród was wszystkich ma trochę oleju w głowie.

Mad podniosła szklankę do ust i przez długą chwilę piła, równocześnie wbijając spojrzenie w Maggie. Było już jasne, że Mad za nią nie przepada. Margaret nie wiedziała jednak, czy naraziła się czymś, czy może Mad po prostu nikogo nie lubi.

– No to może – odezwała się Christine – przełamiemy lody w inny sposób? Może zagramy się w zabawne ciekawostki. Madeline, zaczniesz?

– Trzymam w ręce bardzo ostry nóż – oznajmiła Mad, demonstracyjnie wywijając nim w powietrzu. – Miejcie to na uwadze.

– To nie było zabawne! – Colleen opuściła dłonie na stół, aż zdrżały wszystkie sztuce. – A co powiecie na to? Wiedzieliście, że

w naszym ciele znajduje się dziesięciokrotnie więcej komórek bakteryjnych niż naszych własnych...

– Ohyda! – zawołała Edie.

– Chyba każdy z nas inaczej postrzega znaczenie słowa „zabawne” – westchnęła zawiedziona Colleen.

– Panno Welty, prosimy, ocal nas przed nami samymi – naciskała Christine. – Opowiedz, jak poznałaś naszego najdroższego braciszka.

Margaret poczuła, jak sześć par oczu wbija się w nią. Weston spoglądał na nią błagalnie, lecz za nic nie umiała odgadnąć, czego właściwie od niej oczekuje.

– Moją matką jest Evelyn Welty. Pan Winters mieszkał... to znaczy planował zatrzymać się w naszym domu do czasu, gdy moja matka wróci z podróży. Udała się w podróż naukową, ale podejrzewam, że kiedy tylko dowie się o gonie, wróci. Demiurgowie to coś, co szczególnie ją interesuje.

– Ach tak. – Aoife skierowała na syna miażdżące spojrzenie. – A ja sądziłam, że Weston się u niej uczy.

W okamgnieniu twarz Wesa stała się kredowobiała.

Colleen pozornie skupiona była na dziobaniu widelcem ziemniaka w swojej misce. Ale już po chwili uśmiechnęła się krzywo do brata i bezgłośnie powiedziała: „Masz przechlapane”.

– Przecież wspominałem, że pani Evelyn pozostawia mi dużo swobody – próbował cicho bronić się Weston.

– Nie do wiary – powiedziała Mad, odsuwając krzesło.

„Co ja narobiłam”, jęknęła w duchu Margaret.

Christine i Colleen zaczęły między sobą szeptać. Margaret tymczasem patrzyła, jak Mad idzie do okna, otwiera je na oścież i zapala papierosa. Przez chwilę na mokrej od deszczu szybie zatańczył płomyk zapalniczki. Szary pręgowany kot wskoczył na stół obok Mad i zaczął trącać głową jej dłoń, domagając się pieścizot.

– Wes, dlaczego mnie okłamałeś? – spytała syna Aoife.

– A czego innego się spodziewałaś? – rzuciła ostro Mad. Z końca jej papierosa unosił się dym jak z lufy strzelby, z której właśnie oddano strzał. – To egoistyczny dzieciak, który dba tylko o swój interes.

– Madeline, wystarczy. Nasz gość...

– Mam to gdzieś! – weszła matce w słowo Mad. – Nie obchodzi mnie, co sobie pomyśli. – Odwróciła się do Margaret i rzuciła: – Po co w ogóle tu przyjechałaś?

– Potrzebuję pomocy Westona – wyjaśniła Margaret, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Zamierzam zapisać się do udziału w gonie, ale niezbędny jest mi do tego alchemik. Jeśli wygramy, będzie mógł terminować u mojej matki, a pieniędzy z nagrody starczy na opłacenie operacji waszej matki.

– Już rozumiem, robisz to w celach dobroczynnych. Nie potrzebujemy ani twojego współczucia, ani twoich splamionych krwią pieniędzy.

– Nie masz nic do gadania w tej sprawie! – warknął Weston, a jego twarz nabiegła krwią. – Postanowiłem, że to zrobię, i tak właśnie będzie.

Colleen zaśmiała się nerwowo.

– Mamusiu – załkała Edie.

– Colleen, zaprowadź siostrę do pokoju.

– Ale...

– Natychmiast.

Colleen pochyliła z szacunkiem głowę i chwyciła Edie za rękę.

– Dobrze, mamu.

– A jeśli chodzi o was... – Aoife spojrzała na Westona i Mad. – ... jeśli chcecie się awanturować jak pijacy, róbcie to poza domem. W mojej kuchni będziecie rozmawiać ze sobą jak rozumni dorośli ludzie.

– Nie mam mu niczego więcej do powiedzenia – oznajmiła Mad. – On już wyparł się rodziny.

Ciężka atmosfera towarzyszyła im przy stole niczym nieproszony gość. Margaret wzięła do ust kolejną łyżkę bigosu i zaraz pożałowała, bo poparzyła sobie gardło. Do oczu napłynęły jej łzy.

Aoife podparła dłonią głowę.

– To zbyt niebezpieczne dla takiej młodej dziewczyny. Co by powiedziała twoja matka, gdyby się dowiedziała, że chcesz to zrobić? Możesz nie przeżyć.

– Mamu, błagam – wtrącił się Weston. – Nikt nie zginie.

– Ale jeśli Wes umrze – zaszczebiotała Christine – to przynajmniej będzie jedna gęba do wyżywienia mniej.

– Dziewczyna ma rację – potwierdził Wes.

– Nawet sobie nie żartujcie w ten sposób! – zawołała Aoife. – Wes, gon to coś złego. Dobrze o tym wiesz. Wystarczy, że stale się martwię, jak sobie poradzisz w życiu. Nie mam siły bać się dodatkowo o twoją duszę.

– Nie będzie musiał własnoręcznie zabić demiurga – powiedziała Margaret. – Ja się tym zajmę.

– Według Biblii dopomaganie w zabójstwie chyba nie jest grzechem śmiertelnym – stwierdziła Christine. – Poza tym Bóg jest przebaczeniem i tak dalej, zgadza się?

– Dokładnie tak! – zawołał Weston. A potem zsunął się z krzesła i padł na kolana u stóp matki. Ujął jej zdrową dłoń w swoje. Ktoś z boku mógłby pomyśleć: idealny, oddany syn. – Wiem, że to złe. Ale jakie mamy wyjście? Panna Welty potrzebuje mojej pomocy, a my potrzebujemy pieniędzy. To dla mnie ostatnia szansa. Ostatni raz, gdy zaryzykuję. Jeśli nie wygramy, wrócę do domu, słowo honoru. Poszukam sobie tu pracy. I nie będziesz musiała się więcej o mnie martwić.

– A jeśli wam się powie? – spytała Aoife.

– Poświęcę swoje życie, aby zadośćuczynić ci za wszystkie moje błędy. – Po chwili wahania uroczystym głosem dodał: – Zarówno w stosunku do ciebie, jak i do Boga.

Margaret zastanawiała się, kiedy ostatnio Evelyn popatrzyła na nią z taką czułością. Na twarzy Aoife ścierały się przeróżne uczucia: niepokój, złość i wzruszenie. Gdyby Maggie przyparła kiedyś Evelyn do muru i zaczęła drążyć, co jej w duszy gra, nie miała pojęcia, co by tam odnalazła.

– Nie mogę ci z czystym sumieniem pozwolić – powiedziała Aoife. – Ale z drugiej strony nie mam też prawa ci zabronić. Obiecuj mi po prostu, że wrócisz do mnie cały i zdrowy.

– Wrócę. Obiecuję.

Kiedy matka ujęła Westona za oba policzki i pocałowała szczyt jego głowy, Christine i Mad wymieniły poirytowane spojrzenia. Margaret domyślała się, że siostry porozumiewają się w tajemnym, tylko dla siebie zrozumiałym języku.

Nagle Mad stężała, jakby wyczuła na sobie spojrzenie gościa, i odwróciła się gwałtownie do Maggie. Ponieważ jej twarz skrywała się za kłębamii siwego papierosowego dymu, trudno było stwierdzić, jaką ma minę. Wyraźnie było widać tylko czarne oczy. Jadowitym głosem powiedziała:

– Pewnie jesteś z siebie zadowolona.

Szkopuł w tym, że Maggie nie była. Przez lata troszczyła się tylko o siebie i Kłopotą. Teraz jej sytuacja znacznie się skomplikowała – w tych zawodach stawką było nie tylko jej życie. Odtąd stawiała się odpowiedzialna również za wszystkie dziewczęta Winters, no i za ich marnie rokującego braciszka.

Weston był podejrzanie małomówny.

Całą drogę na dworzec kolejowy pokonali w ponurym milczeniu. I nawet teraz, gdy siedzieli już w pustym pociągu zmierzającym na południe, nie odzywał się ani słowem. Emanował jakąś maniakalną energią, która niezbyt jej się podobała. Jedną nogę wyciągnął przed siebie i oparł o fotel naprzeciw, drugim butem bez przerwy stukał w podłogę, czym działał jej na nerwy.

Pewnie nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, co robi. Mimo że ją irytował, Margaret nie reagowała. Uznała, że powinna być teraz dla niego wyrozumiała – w końcu podczas jednego wieczoru naraził się całej rodzinie. Zwłaszcza że to ona wplątała go z powrotem w tę aferę. Starła się ignorować wyrzuty sumienia, ale z marnym skutkiem. Domyślała się, że wspomnienie nienawistnego tonu Mad będzie ją prześladować jeszcze przez wiele dni.

Za oknem pociągu przesuwwały się nocne wiejskie widoczki. W szybie widziała głównie ciemność i odbicie wózka z przekąskami, który powoli sunął przez wagon. Kiedy zatrzymał się przy ich fotelach, Wes kupił sobie kawę.

– Jesteś pewien, że potrzeba ci teraz kofeiny? – zapytała Margaret.

Brał właśnie łyka kawy. Znieruchomiał i posłał jej kwaśne spojrzenie znad kubka.

– Tak. Czemu pytasz?

Stuk-stuk-stuk. Jego noga nie robiła sobie ani chwili odpoczynku.

Margaret wbiła mu palec w kolano i nacisnęła. Nie cofała ręki, dopóki nie przygwoździła w ten sposób podeszwy jego buta do

podłogi. Wes odchrząknął głośno i znów napił się kawy.

– Jesteś niespokojny – stwierdziła.

– Muszę pozostać na chodzie. Poza tym kawa mnie uspokaja.

– A może zamiast tego się zdrzemniesz? Jesteś nie w humorze.

– Nie w humorze? – powtórzył, przywołując na usta uśmiech. –

Nieemożliwe, żebym był nie w humorze w takiej sytuacji.

– To znaczy jakiej?

– To znaczy sam na sam z piękną kobietą.

Maggie oblała się rumieńcem. Jeszcze niedawno tego typu zachowanie z jego strony irytowałoby ją, może wręcz doprowadzało do pasji. Teraz złościło ją tylko to, że słowa te zabrzmiały nieszczerze, jakby były wykalkulowaną zagrywką. No i może zrobiło jej się trochę przykro, że stać go na tak oczywiste kłamstwa. Kto by uwierzył, że takiemu chłopakowi mogłaby się spodobać równie nieokrzesana dziewczucha jak ona?

„Już się przede mną nie ukryjesz – pomyślała. – Widziałam cię. Wiem, jaki jesteś naprawdę”.

Zrozumiała jedną rzecz – Weston Winters był mistrzem w ukazywaniu innym tylko tego, co chciał pokazać. Stąd poza chłopaka, któremu wszystko w życiu przychodzi z łatwością. Pozorna pewność siebie granicząca z lekkomyślnością. Skłonność do pochlebstw. Ale tak naprawdę to wszystko maska, ledwo trzymająca się jego prawdziwej twarzy. Pod skupionym spojrzeniem Maggie uśmiech stopniowo spęłzył mu z ust. Jedną część Margaret najchętniej obdarłaby go ze skóry. W tej drugiej, silniejszej i bardziej szlachetnej, budził litość.

„A ty widziałeś mnie”. Choćby chciała, nie będzie mogła już się przed nim schować. Oto łańcuch, który ich połączył. Widzieli się w najbardziej upokarzających sytuacjach i teraz będą musieli nawzajem dźwigać swoje brzemia.

– Pomaga ci to? – zagadnęła Margaret.

– Słucham?

– Albo będziesz ze mną szczery, albo oszczędź mi rozmów.

Czubki jego uszu zapłonęły. Bardzo dobrze. Kiedy wpadnie w gniew, łatwiej będzie go złamać. Widziała już nieraz, jak tracił panowanie nad sobą. Dzięki temu wiedziała, że to jego najśłabszy punkt.

– Zachowujesz się, jakby nic się nie stało.

– A co twoim zdaniem powinienem robić? Mam się poryczeć? Czy wtedy będziesz zadowolona?

– Nie – odparła poirytowanym tonem. – Po prostu chcę zrozumieć, czemu ma służyć ta nonszalancka poza w sytuacji, gdy możemy stracić wszystko. Chcę zrozumieć, dlaczego się przede mną zamykasz, kiedy właśnie musimy sobie zaufać. Siostra nazwała cię kłamcą i odniosłam wrażenie, że uważa cię za egoistę. Moim zdaniem myliła się w obu tych kwestiach.

– Ale kto? Mad? No jasne, takie ma zdanie na mój temat. I to się nigdy nie zmieni, niezależnie od tego, co zrobię.

– Ułatwiasz jej to.

– Przynajmniej nie ma wobec mnie wygórowanych oczekiwań.

– Ja mam.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem, kołysząc się w rytmie pędzącego po torach pociągu. W końcu Weston westchnął sfrustrowany.

– Muszę podchodzić do tego na luzie, w przeciwnym razie oszaleję. Sama widziałas, co moja rodzina myśli na temat gonu. Przynoszę im rozczarowanie. Gdybym się do tego przyznał, byłbym... – Urwał i przeczesał dłonią swoje i bez tego zmierzwione włosy. – Poza tym i tak nie mogę zostać w Dunway. Jedyne, co mnie tam czeka, to praca w fabryce albo porcie. W ten sposób nie zarobię na utrzymanie rodziny. W najlepszym razie pewnego dnia się ożenię, doczekam dzieciaków, a potem umrę młodo i zostawię swoją rodzinę na pastwę losu, tak jak mój ojciec. Muszę zostać alchemikiem, inaczej nic się nie zmieni.

– Ale jaka to właściwie różnica, czy zostaniesz alchemikiem, czy nie?

– Pamiętasz, co ci powiedziałem, kiedy się poznaliśmy? Mówiłem wtedy szczerze. Naprawdę chcę się ubiegać o miejsce w senacie. Tylko alchemik może zostać posłem. I tylko politycy mogą zaprowadzić w tym kraju prawdziwą zmianę.

– Ale jakoś tego nie robią.

– Otóż to! Zmiana i postępek to ideały alchemii, tymczasem ludzie u władzy zupełnie o tym zapomnieli. Żaden z nich nie podniesie ręki na obecny stan rzeczy, dopóki czerpie z niego profity. – Wes coraz



bardziej się zapalał, a każde jego słowo było zaprawione goryczą. – Gdyby zaprowadzono prawdziwie postępowe reformy, byłoby nie do pomyślenia, żeby sześciolatek kładł się spać głodny. Rodzice nie osieracaliby dzieci, ginąc w pracy, bo szef nie zadbał o ich bezpieczeństwo. Sześciuosobowa rodzina nie musiałaby się gnieździć w dwupokojowym mieszkaniu. Chciałaś, to masz. Zadowolona?

Owszem, Margaret była mu wdzięczna, ale równocześnie coś nie dawało jej spokoju. Było to niewątpliwie szlachetne marzenie. Gdyby nie żarliwe pragnienie w jego spojrzeniu, być może nie dałaby wiary jego słowom. Wróciło do niej wspomnienie ojca. Kiedyś powiedział jej, że na wszystkich ludziach ciąży święty obowiązek: *tikkun olam*, czyli naprawy świata.

Dla wyznawców Yu'adir alchemia była zarówno nauką, jak i praktyką duchową. Zresztą pogląd ten podzielali nawet kataryści. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Podczas gdy kataryści w ogniu alchemicznym upatrywali symbol boskiego sądu – środek oddzielenia ducha od ciała, jak Bóg w ostatnich dniach oddzielać będzie ziarno od plew – o tyle w ujęciu wyznawców Yu'adir alchemia była czymś łagodniejszym. Wychodzili z założenia, że zrozumienie świata fizycznego jest drogą wiodącą do poznania tego, co boskie. I już to samo w sobie było dla nich środkiem umożliwiającym *tikkun olam*. Jednakże zarazem uważali, że mądrość to tylko jedna ze ścieżek prowadzących ku boskości. Ojciec Margaret przywoływał również dobre i sprawiedliwe uczynki. Margaret podejrzewała, że w oczach ojca Weston zasługiwałyby na podziw dzięki swojej ambicji posłużenia się alchemią do wprowadzenia trwałych zmian w świecie. Nie była jednak pewna, czy ją samą stać na taki idealizm.

Przestudiowała niemal wszystkie alchemiczne teksty z matczynej biblioteki i odkryła jedno: wbrew temu, w co wierzyli wcześni filozofowie, wbrew temu, co na ten temat mówiła biblia, alchemia wcale nie była procesem oczyszczenia. Jej działanie miało zgoła przeciwny charakter: prowadziła do zepsucia. W zetknięciu z nią nawet tacy idealisci jak Weston Winters stawali się hardzi i zdystansowani.

– Alchemicy zawsze się zarzekają, że pragną uczynić świat lepszym – odezwała się cicho. – Tylko że jak dotąd żadnemu z nich

się to nie udało.

– Ponieważ wszyscy gniją w swoich pracowniach, snują teoretyczne rozważania o świecie, zamiast po prostu w nim żyć. Są cyniczni i krótkowzroczni.

– To prawda, że większość z nich nie przypomina ciebie – przyznała, nie potrafiąc opanować uśmiechu.

– Nie wiem, czy teraz naśmiewasz się ze mnie, czy mówisz poważnie.

– Nie naśmiewam się. – Sama była zdziwiona zdecydowaniem, z jakim wypowiedziała te słowa.

Weston wyciągnął ramię za oparcie jej siedzenia.

– No dobrze, to teraz twoja kolej na obnażenie duszy. Mama nie nauczyła cię alchemii?

– Próbowała.

– I co?

– Ale co konkretnie chcesz wiedzieć?

– Po prostu dziwię się, że ktoś, kto w rodzinie ma jednego z najsłynniejszych alchemików w kraju, sam nie para się tą sztuką.

Kiedyś matka zapowiedziała Maggie, że będzie ją uczyć alchemii. Alchemii, czyli najprawdziwszej magii. Każde dziecko na jej miejscu byłoby zachwycone. Ona jednak, przekonawszy się, do czego zdolna jest alchemia, straciła do niej cały zapał. Kiedy nadszedł czas obiecanych lekcji, Margaret nie mogła się przemóc. Po prostu nie była w stanie tego robić. Dziś nadal pamiętała rozczarowanie, jakie odmalowało się na twarzy matki.

– Nie obchodzi mnie alchemia i tyle.

– Ale dlaczego?

Mogłaby odpowiedzieć na to pytanie na wiele sposobów. Ponieważ alchemia obraca ludzi w potwory. Ponieważ skoro alchemia nie potrafi sprawić, że matka wróci, jaki z niej pożytek?

– Można ją wykorzystać do niecznych celów.

– To prawda. – Była to kwestia bezsporna.

Mimo że byli zbyt młodzi, by pamiętać wojnę, podobnie jak wszyscy obywatele Nowego Albionu słyszeli o zniszczeniach, jakie może siać broń wzbogacona alchemicznie. Wszyscy znali mrożące krew w żyłach historie o zatrudnianych przez armię alchemikach,

którzy eksperymentowali na własnym ciele – albo ciałach zmuszanych do tego jeńców.

– Ale to samo można powiedzieć o wszystkim. Wszystko zależy od tego, jak zastosujemy daną technikę – zauważył.

– Może nie wszystkich stać na wielkie marzenia – odparła Margaret, wzruszając ramionami.

– Teraz to ty naśmiewasz się ze mnie.

– Nic podobnego. Taka jest prawda – zaprotestowała.

– To przygnębiająca myśl. Nie wierzę, że naprawdę tak sądzisz.

„Wkrótce sam się przekonam”, pomyślała. Jak wszyscy przed nim, zaczęła postrzegać Wickdon i dwór jako więzienie – świat małości, nudy i prowincjonalności. Coś, co należy ominąć jak śmiecia na drodze wiodącej do wielkiego sukcesu. Jednakże podczas gdy dla Westona Wickdon było po prostu jednym z miejsc na mapie, dla niej stanowiło cały świat. Żyjąc tutaj, ledwie wiązała koniec z końcem, i na wielkie marzenia po prostu nie starczało jej czasu.

– Naprawdę tak uważam – oświadczyła z naciskiem.

Weston zmarszczył brwi. Było jasne, że jej odpowiedź nie przypadła mu do gustu, ale nie ciągnął tematu.

– Tak w ogóle to możesz mi mówić Wes.

Nagle odniosła wrażenie, że nie wie, co zrobić z rękami. Żeby czymś je zająć, wsunęła kosmyk włosów za ucho.

– Dobrze.

Zapadło krępujące milczenie. Wes zaczął z zakłopotaniem pocierać kark. Margaret w gruncie rzeczy nie miałaby nic przeciwko, żeby tak sobie posiedzieli w ciszy. Była do niej przyzwyczajona – cisza to obok Kłopoty jej najlepszy druh. Ale Weston – to znaczy Wes – podchodził do niej nieufnie niczym leśne stworzenie.

Zarejestrowała moment, gdy wpadł na jakiś pomysł. Uniósł nagle brwi, a na jego ustach pojawił się szelmowski uśmiech. Nachylił się bliżej, tak że niemal obejmował ją teraz ramieniem. Margaret korciło, by się odsunąć, ale zwalczyła ten impuls. Wspomnienie dotyku jego dłoni na skórze powróciło niczym niespiesznie nabierający kolorów siniec. Pragnęła znów je poczuć, a równocześnie wzdragała się przed tym.

– A wiesz, że nie zdradziłaś mi swojego pełnego imienia? Margaret, prawda? Tak przedstawiłaś się mojej rodzinie.

*Margaret.* Miło było usłyszeć, jak wypowiada jej imię – jak gdyby Wes z premedytacją odrobinę dłużej, niż było to konieczne, trzymał je między zębami i pozwalał, by wielkomięski akcent zmiękczał głoskę „r”. Nikt nie nazywał jej w ten sposób, mimo że wielokrotnie o to prosiła. Skinęła w milczeniu głową; nagle odkryła, że brakuje jej słów. Dlaczego tak łatwo peszyła się w jego obecności?

Chcąc zrozumieć, skąd brała się ta dziwna władza, jaką roztaczał nad nią ten chłopak, Margaret zaczęła badawczo mu się przyglądać. Jego rozczochrane lśniące włosy były czarne jak proch strzelniczy. Wąskie oczy okalał wianuszek ciemnych, grubych rzęs. Kiedy się uśmiechał, ukazywała się szczelina między przednimi zębami. Tak, był przystojny – nie żeby on sam miał co do tego jakieś wątpliwości – Maggie musiała z pewną niechęcią to przyznać.

– To jak mogę się do ciebie zwracać? – spytał, zniżając głos. – Peggy?

Czar prysł. Weston Winters znów stał się tym nieznośnym *bachorem*, który zajmuje wolny pokój w ich domu.

– Nie.

– No to może Marge?

– Wykluczone.

– Dobrze, dobrze – zaśmiał się. – Może lepiej zostańmy przy Margaret. A zatem nie chcesz być alchemiczką. Kim w takim razie chcesz zostać?

– Strzelcem wyborowym.

Nie miała pojęcia, co ją naszło, żeby wyskoczyć z czymś takim. Momentalnie tego pożałowała. Nie cierpiała sytuacji, gdy tak się przed kimś odkrywała. Nauczyła się, że tylko pozostając niewidoczną, ma szansę przeżyć.

– Strzelcem wyborowym, powiadasz? Zamierzasz zaciągnąć się do wojska?

– Nie, nie o to mi chodzi.

Owszem, taka myśl chodziła jej kiedyś po głowie. Szybko jednak doszła do wniosku, że nie odda swojego życia za kraj, który odnosił się do niej z obojętnością.

Czego w takim razie pragnęła? Wyobraziła sobie, że wchodzi do sosnowego lasu i wdycha jego zapach – woń wilgotnej ziemi i sosnowych igieł. Podmuchi wiatru łagodnie mierzwi jej włosy, mgła

osiada jej na rzęsach maleńkimi kropelkami. Słysząc huk wystrzału i ujadanie psa. Gdyby mogła egoistycznie wybrać, na czym zależy jej najbardziej, chciałaby, aby jej życie wyglądało właśnie tak – w czerwonej kurtce myśliwskiej, z wieńcem z liści laurowych na skroniach, w garści ściskając białe futro, stoi na podium, na tyle wysoko, by mogła zdeptać wykrzywioną w szyderczym grymasie twarz Jaimego Harringtona.

– Wystarczy, że wygram.

– A co potem?

– Sama nie wiem. Tak daleko nie wybiegam myślą.

– Bardzo... praktyczne podejście.

– Serio? – zdziwiła się. – Bo mnie wydaje się dość niedorzeczne.

– Ależ skąd. To nie jest niedorzeczne – zapewnił, starając się przybrać poważną minę.

Szczerłość i determinacja wycierające z jego oczu sprawiały jednak, że wydawał się jeszcze młodszy i bardziej uroczy w swojej chłopięcości.

– Poza tym – podjął po chwili – marzenia nie zawsze muszą być praktyczne. To właśnie czyni je marzeniami. A teraz nasze marzenia są splecione na śmierć i życie. Będziemy je spełniać razem.

– Razem – powtórzyła w zamyśleniu Margaret. Dla niej było to egzotyczne pojęcie.

Wes wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Margaret, ty i ja przeciwko całemu światu.

Po tych słowach ścisnęło jej się serce – i wcale jej się to nie spodobało. Odtąd ich losy miały być splecione. Ale jeszcze bardziej przerażały ją uczucia, jakie ten chłopak wzbudzał w jej sercu – bojaźliwa nadzieja i straszliwa tęsknota. Czowała się tym wszystkim przytłoczona, zupełnie jakby stała na samym brzegu klifu, za plecami mając ciemną, wzburzoną kipieli morza. Nie wiedziała, czy jeśli rzuci się w przepaść, ktokolwiek zdoła ją złapać.

Powoli dochodziła do wniosku, że powinna mieć się na baczności przed Wesem i jego marzeniami.





rzez tę całą Margaret robił się nerwowo.

Przyglądał jej się przez zaparowaną szybę w budce telefonicznej, czekając, aż Hohn odbierze telefon. Siedziała na ławce z widokiem na pobliskie łagodne wzgórza. Na zboczach, w zagrodach utworzonych z niskich kamiennych płotków, pasły się kozy. Jej twarz była nieprzenikniona niczym najbardziej hermetyczne alchemiczne teksty. Spojrzenie szklistych oczu przywodziło na myśl wzrok lalki. Mimo to Wes miał świadomość, że powoli uczy się języka, w jakim mówiło jej ciało. Zwracał baczniejszą niż wcześniej uwagę na charakterystyczne napięcie widoczne w ramionach. Na to, jak pod wpływem najdrobniejszego hałasu strzela oczami na boki. Na to, jak bez przerwy upina, to znów rozpuszcza włosy.

Nawet gdy była niespokojna, wszystkie jej ruchy były niesamowicie precyzyjne, jakby poddane działaniu jakiegoś mechanizmu. Obserwowanie jej wywierało na niego zadziwiający hipnotyczny efekt. Zebrała włosy w jedną dłoń, w drugiej niczym broń ścisnęła szylkretową spinkę, gdy w końcu w słuchawce odezwał się Hohn.

Zamówiwszy podwózkę, Wes rozłączył się i zataszczył swoją walizkę do ławki, na której przycupnęła jego towarzyszka. Pewnie powinien być niespokojny, zważywszy na fakt, że jego przyszłość uzależniona była od tego, czy zdążą zapisać się na gon. Tyle że Wesa zawsze odróżniało od innych dosyć swoiste poczucie czasu, poza tym po cóż ma się niepokoić czymś, na co i tak nie ma wpływu?

– Spokojnie – odezwał się, wskazując ruchem głowy wieżę zegarową. Na tle bezgwiezdnego nieba tarcza zegarowa jaśniała

niczym księżyc w pełni.

– Jest dopiero wpół do dziewiątej wieczorem. Zdażymy.

Ostatni pociąg przebudził się z drzemki. Sapnięcie silnika zagłuszyło odpowiedź Maggie. Opuszczając peron, skład zostawił po sobie dym i woń wilgotnego powietrza. Podmuch wiatru na chwilę porwał połę jego płaszcza i bawił się kosmykami włosów Margaret, które wyslizgnęły się z koka. Włosy na moment przyklepiły jej się do ust, które wydymała, przyglądając mu się z typową dla siebie obojętnością. Naszła go chęć, by odgarnąć jej włosy z twarzy. Czy gdyby nie zabrał na czas kciuka, ugryzłaby go? Wzdrygnął się na myśl o tym. Były to tylko włosy, coś zupełnie banalnego, a mimo to z jakiegoś powodu miał wrażenie, że fantazjując o nich, dopuszcza się świętokradztwa.

Kiedy wiatr ucichł, a pogwizdywanie oddalającego się pociągu przemieniło się w nikłe zawrodożenie, Maggie powiedziała:

– Na dotarcie tutaj Hohn potrzebuje co najmniej półtorej godziny.

– I kolejne półtorej rodziny, żeby dowieźć nas do Wickdon. – Wes lekceważąco machnął ręką. – To znaczy, że mamy w zapasie aż trzydzieści minut.

Jego wyliczenia najwyraźniej nie przyniosły jej otuchy. Siedzieli w ponurym milczeniu, a chłód wokół nich z każdą chwilą stawał się coraz bardziej dokuczliwy. W pewnym momencie na pobliskim płocie przysiadł kruk i głośno zakrakał. Wrzask ptaszyska sprawił, że Wes mało nie umarł ze strachu. Dziewczyna nawet nie drgnęła.

Kiedy milczenie stawało się nie do zniesienia, zegar wybił dziesiątą wieczorem. A chwilę potem Wes z ulgą usłyszał warkot silnika nadjeżdżającego samochodu. W ciemności błysnęły reflektory, przywodzące na myśl żółte ślepią kota. Kiedy elegancka czarna taksówka Hohna zatrzymała się przy chodniku, Wes podniósł swoją walizkę ze słowami:

– No widzisz, przyjechał punktualnie. Nie ma powodów do zmartwień.

Maggie spojrzała na niego z miażdżącą pogardą.

– Panie Winters, jak miło pana znów spotkać – rzucił na powitanie Hohn, wysiadając z auta. – Toż to... Maggie Welty. A co panią na miłość boską robi w tych stronach?

– Zwiedzam.



– Podrzuci nas pan do Pubu pod Ślepym Lisem? – wtrącił się Wes.

Mężczyzna wydawał się całkowicie zbity z tropu jego pytaniem.

– Nie ma sprawy – odparł po chwili, po czym zapakował walizkę Wesa do bagażnika.

Wes i Margaret zajęli miejsca z tyłu. Siedzieli blisko siebie, dzieliło ich tylko kilka centymetrów oraz gruby mur jej frustracji. Kiedy wyjechali na drogę nadbrzeżną, parokrotnie próbował zagaić rozmowę – dzielił się uwagami o pogarszającej się pogodzie i coraz większym ruchu na drogach – ale i Hohn, i Margaret zaszczycali go jedynie jednosylabowymi, zdawkowymi odpowiedziami. Do małomówności Margaret zdążył już przywyknąć. Poza tym domyślał się, że dziewczyna po dzisiejszym dniu ma już dość jego towarzystwa, co w połączeniu z jej generalnie kwaśnym usposobieniem dawało gwarancję, że przez najbliższe trzy dni będzie go unikać. Niepokoiło go milczenie Hohna. Dopiero gdy w lusterku wstecznym zauważył podejrzliwie przymrużone oczy kierowcy, przywodzące na myśl ślepią węża, domyślił się, o co chodzi.

Z łatwością mógł sobie wyobrazić, jakimi opowieściami ku przestrodze karmione są w dzieciństwie dziewczęta w Wickdon. Na pewno nie brakuje wśród nich takich, w których chłopaki z wielkiego miasta wabią chowane pod kloszem, samotne dziewczyny pokroju Margaret, wywożą je, spijają, a potem porzucają na pastwę losu.

Tylko że Margaret nie była oblewającą się rumieńcem z byle powodu niewinną panienką i gdyby tylko powstała w jego głowie jakaś nieprzystojna myśl, z łatwością wpakowałaby mu lufę strzelby do gardła.

Wes przypomniał sobie, jak o zachodzie słońca dziewczyna mierzyła wzrokiem halę – dziką, gotową na wszystko bestię. On tymczasem w tamtej chwili mógł się skupić tylko na modlitwie i na tętnieniu w zaciśniętym gardle. Opanowanie, jakie wtedy okazała, było niesamowite. Było w niej coś... przerażającego.

Poza tym tak naprawdę wcale nie była w jego typie. Oczywiście Hohn nie mógł tego wiedzieć.

Wes zastanawiał się, co konkretnie podejrzewa ich kierowca. Może wyobrażał sobie, że Wes ma chętkę na posiadłość dziewczyny, zwłaszcza teraz, gdy została bez matki, która chroniłaby ją przed

amantami. Z przykrością musiał stwierdzić, że wersja taka wydaje się bardzo przekonująca. Żeby odegnać te przygnębiające myśli, spróbował skoncentrować się na widokach za oknem. W szybie dojrzał jednak wyłącznie pozbawioną wszelkich cech charakterystycznych ciemność. Tej nocy nawet morze było prawie niewidoczne: w oknie dostrzegał jedynie odbicie twarzy Margaret, dla którego tło tworzyła pomarszczona tafla w kolorach czarnym i indygo. Po chwili szybę pokryła para z jego ust i obraz zniknął.

Podróż zdawała się ciągnąć w nieskończoność, wreszcie dotarli do Wickdon. Kiedy przybywał tu ostatni raz, była to urocza wioseczka. Teraz Wickdon tętniło życiem, ulice były pełne ludzi jak w Piątej Dzielnicy w Dniu Świętego Patryka. Samochód toczył się przez tłum, który rozstępował się przed nim niczym woda pruta dziobem okrętu. Wreszcie rój ludzi zamknął się wokół nich ze wszystkich stron i zostali unieruchomieni. Od Ślepego Lisa dzielił ich tylko jeden kwartał.

– Dalej nie pojedę – oświadczył Hohn. – Dzisiaj na ulicach jest istne zoo.

Wes wyjął walizkę z bagażnika. W tym gwarze prawie nie słyszał własnych myśli, ale równocześnie otaczający ich chaos wprawiał go w radosne uniesienie. Zamknął klapę bagażnika i zobaczył, że Margaret odlicza już kwotę za przejazd, podczas gdy Hohn, spoglądając na niego znacząco, szepcze jej coś na ucho. Po chwili jej twarz stała się purpurowa jak jesienne liście.

Jej reakcja byłaby nawet urocza, gdyby nie potwierdzała, że Hohn uważa go za zwykłego łajdaka. Czasami Wes zastanawiał się, jaki właściwie sens ma wyprowadzanie ludzi z błędu. Może nigdy nie będzie nikim więcej jak draniem.

Z tych ponurych rozmyślań wyrwała go Maggie, nieoczekiwanie chwytając go za łokieć. Pociągnęła go do tyłu akurat w momencie, gdy przechodzący obok mężczyzna potknął się na obłuzowanym kocim łbie. Piwo chlusnęło z niesionego przez niego kubka i wylało się na chodnik, tuż obok butów Wesa.

– O nie – szepnął nieznajomy. – Psiakrew.

Cóż za wzruszająca scena.

– Ocaliłaś mi życie – stwierdził cierpko West.

– Później mi podziękujesz – odparła i jeszcze raz niecierpliwie pociągnęła go za łokieć. – Chodźmy, już prawie północ.

Zdecydowanie zanurzyła się w tłum, roztrącając po drodze ludzi niczym buldożer i ciągnąc chłopaka za sobą. Zewsząd docierały do nich strzępy rozmów, w których Wes rozpoznawał wielkomięjski akcent. Na ulicach roiło się od ludzi wystrojonych zgodnie z aktualną modą. Gdy mówili, przeciągali samogłoski. Ich stroje migotały cekinami. Zaśmiewali się do rozpuku, w dłoniach dzierżąc lakierowane cygarniczki o żarzących się pomarańczowo końcówkach.

Kiedy Maggie i Wes weszli do pubu, gwar jeszcze się spotęgował. W środku panował straszny zaduch, prawie nie było czym oddychać. W powietrzu unosiły się kłęby tytoniowego dymu, smród siarki i anyżkowo gorzka woń absyntu. Płonący w kominku ogień rzucał ruchliwe cienie na ściany. Oblana jego blaskiem Margaret stała się jaskrawozłota; wyglądała zupełnie jak postać ze świętych obrazów zbieranych przez jego matkę. Wes nie potrafił oderwać od niej wzroku. Wyraz jej twarzy zdradzał wielką determinację – zacisnęła zęby, a płomień w jej oczach był znacznie jaśniejszy od tego w palenisku.

Wciąż nie puszczała jego ręki, a Wes odkrył, że chce, żeby tak już zostało. Jej dotyk był niczym kotwica chroniąca go przed zatraceniem się w chaosie. Rozpychając się, ruszyli przed siebie, i po chwili znaleźli jakieś większe zbiorowisko, z grubsza przypominające kolejkę. Mimo że wspinał się na palce, nie mógł dojrzeć, co znajduje się na jej przedzie.

– Maggie Welty! – Musiała upłynąć chwila, nim Wes rozpoznał serdeczny głos i oczy Halanana. – I Winters! A co wy tu robicie w środku nocy?

– Przyszliśmy zapisać się na gon – wyjaśniła Maggie.

– A niech mnie. – Nie wydawał się zachwycony, ale klepnął w plecy stojącego najbliżej mężczyznę. – Zróbcie przejście. Mamy jeszcze jedną chętną parę.

– Zróbcie przejście!

Polecenie powtarzano sobie, aż po chwili rozbrzmiewało w całym barze donośnie niczym wojenny okrzyk. Klienci rozstąpili się i Wes poczuł, jak ktoś kładzie mu dłoń na plecach i popycha. Kiedy posuwał się do przodu, potracając mijane osoby, dostrzegał tylko migoczące

cekiny i jasnoczerwone etole z lisiego futra. Wreszcie znaleźli się przy kontuarze. Stała za nim ta sama kobieta, która podczas ceremonii otwarcia opowiedziała legendę. Na widok przybyłych otworzyła szeroko usta.

– To ma być twój alchemik? – zwróciła się do Margaret. – Skąd go wytrzasnęłaś?

– Z Dunway.

Kobieta westchnęła, jakby dziewczyna tysiąc razy częstowała ją tego rodzaju zbywającymi odpowiedziami. Świdrowała teraz Wesa wzrokiem, pod którym czuł, że wszystko zaczyna się w nim gotować.

– Jak się nazywasz?

– Weston Winters, proszę pani – odparł, przywołując na usta grymas, który miał być szerokim uśmiechem. – Miło mi panią poznać.

– O, nie wątpię.

Wtem sapnęła. Wes uniósł brwi.

– Chwileczkę! – powiedziała, wymierzając w niego palec. – Winters, powiadasz. Od razu mi się wydało, że skądś znam to nazwisko. Parę dni temu Mark Halanan wpadł do mnie z wizytą i opowiedział zadziwiającą historię. Chcecie wiedzieć jaką?

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

– Powiedział, że Evelyn ma nowego ucznia, młodzieńca o nazwisku Winters. Nie chciałam mu wierzyć. Ale proszę bardzo, oto jesteście. – Kobieta położyła obie dłonie na kontuarze. – Dlaczego mam wrażenie, że coś knujecie?

– Knujemy? – wyrzucił z siebie Wes. – Ależ skąd! To znaczy nie, proszę pani. Nigdy by mi do głowy nie przyszło nic takiego.

– Weston jest uczniem – wtrąciła się Maggie. – Matka pozwoliła mu wprowadzić się wcześniej. Zacznie go szkolić zaraz po powrocie.

– Czyżby? Przypadkiem nie próbujesz mnie okłamać?

– Skąd!

Kobieta przez chwilę spoglądała przenikliwie to na nią, to na niego. Wes pilnował się, by uśmiech nie schodził mu z ust. Odniósł wrażenie, że wcale jej nie przekonali o swoich dobrych intencjach. W końcu jednak wyrzuciła ręce w górę w geście kapitulacji.

– No dobrze. Wiesz, chłopaczku z miasta, co cię teraz czeka? Pora na złożenie ofiary.

Chyba zrobił zdumioną minę, bo kobieta ryknęła śmiechem i zabębniła pięściami o blat kontuaru. Na jego powierzchni została wyryta prosta receptura *nigredo*. W rowkach tworzących krąg transmutacji pełgał pomarańczowy blask.

– To nie musi być nic wartościowego. Wystarczy odrobina krwi albo pukiel włosów.

Ze zdziwieniem stwierdził, jak bardzo ta katarystyczna tradycja przypomina rytuał spotykany podczas sumickiego ślubu. Odprawiany przez kapłana, zwykle nad obrączkami ślubnymi, symbolizuje połączenie ciał i dusz nowożeńców. To praktyka typowa dla Sumitów – obnoszenie wśród ludzi obrączki ślubnej, w której zaklęta jest esencja mlecznych zębów albo paznokci współmałżonka. To było zresztą szersze zjawisko – Sumici zawsze chętnie odcinali kawałki siebie, żeby przypodobać się Bogu. Podobno w świątyni naprzeciw domu rodzinnego Wesa, pod ołtarzem, znajdował się znakomicie zachowany palec stopy męczenniczki świętej Cecylii.

Kobieta spoglądała na niego wyczekująco. W głębi duszy nie miał najmniejszej ochoty na poślubienie Margaret Welty, nawet metaforycznie. Mimo to ostatecznie skinął głową. Wtedy kobieta położyła na blacie szklaną misę, kawałek kredy i nóż. Kiedy wziął do ręki nóż, zrobiło mu się słabo. Myśl o tym, że miałby się rozstać choćby z kosmykiem swoich włosów, wydawała mu się odpychająca. A zatem upuścił sobie krwi. Kiedy przyłożył ostrze noża do wnętrza dłoni, rozmowy ucichły – w barze zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Wes słyszał tylko dudnienie krwi w uszach.

Wtem rozległ się czyjś okrzyk:

– Zaczekaj!

Jaime Harrington z zarożumiałą miną zbliżał się do nich. Swoje blond włosy ukrył pod czapką. Ubrany był w śnieżnobiałą koszulę i czarne szelki. Rękawy miał podwinięte do łokci. W Wesie zagotowało się ze złości. Stojąca obok Margaret też się najeżyła.

Jego przydupas – Mattis, o ile Wes dobrze pamiętał – trzymał się parę kroków za nim. Towarzystwa dotrzymywała im młoda kobieta o kasztanowych włosach, na których spoczywała tiara z wronich piór. Kobieta, podobnie jak Jaime, miała dłoń obwiązaną zakrwawioną szmatką, co pozwalało się domyślać, że oboje zamierzali wystąpić

jako para w gonie. Biednemu Mattisowi na czubku głowy świeciła łysina. Widząc go, Wes docenił własną burzę włosów.

– Zasady są jasne: zapisy trwają tylko do północy. – Jaime zerknął na swój zegarek i postukał palcem w szybkę. – Jest pięć minut po dwunastej.

– Co on wyrabia? – mruknął pod nosem Wes.

– Wtrąca się – wyjaśniła Margaret. Jad wyczuwalny w jej głosie zaskoczył go.

– Gon to nasza najstarsza tradycja, spuścizna kultywowana przez prawdziwych synów Nowego Albionu – ciągnął Jaime. – Zawsze przestrzegaliśmy zasad ustanowionych przez pierwszych osadników. Kiedy twierdzę, że nic nie powinno zbrukać tego świętego dla nas wydarzenia, wiem, że zgodzi się ze mną każdy.

W barze zapadło milczenie. Po jakimś czasie dały się słyszeć pojedyncze pomruki wyrażające aprobatę.

– Chyba sobie żartuje – syknął Wes. – Jakie to ma znaczenie, czy spóźniliśmy się pięć minut?

– Wcale nie chodzi o czas.

Spojrzał niepewnie na Maggie. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi mierzyła wzrokiem tłum niczym zwierzę zapędzone w kąt. O czym jeszcze mu nie powiedziała? Dla Wesa nie ulegało wątpliwości, że jeśli Jaime uprze się, by zastosowano wspomnianą regułę, dla niego i Maggie będzie to koniec. Jego rodzina znajdzie się w opłakanej sytuacji, a ich marzenia zostaną podeptane.

Nagle z drugiego końca baru dobiegł czyjś krzyk:

– Pilnuj swojego nosa, Harrington!

Uśmiech szybko spętał z ust Jaimego. Kobieta za kontuarem ostentacyjnie spojrzała na swój zegarek. Wes widział, że wskazówka minutowa pokazuje pięć po dwunastej. A zatem wszystko stracone.

– Cóż, a mój zegarek pokazuje punktualnie dwunastą – oświadczyła.

– Ale...

– W moim barze to ja ustaliam czas – oznajmiła nieznoszącym sprzeciwu tonem. Następnie zwróciła się do Wesa: – Panie Winters, proszę kontynuować, zanim znowu przerwie nam jakiś krzykacz.

W ostrzu trzymanego przez Wesa noża odbijał się ogień. Myśl, że miałby złożyć ofiarę na rzecz Margaret, była przerażająca. Ile

z samego siebie oddał dotychczas innej osobie? Ale z drugiej strony przecież ta dziewczyna poznała już wszystkie jego rany – co to za różnica, czy przeleje dla niej parę kropli krwi? Zresztą dokonywali już wcześniej takich wymian – ofiara za ofiarę, marzenie za marzenie. Układ, jaki zawarli ze sobą, sam w sobie był rodzajem alchemii.

Zbliżył ostry koniec noża do na wpół zabliznionej rany na dłoni i nacisnął. Utoczył kilka kropli, które wpadły do szklanego naczynia. Następnie, zachowując najdalej posuniętą delikatność, wręczył nóż Margaret. Dziewczyna bez wahania wyjęła spinkę z włosów, które natychmiast rozlały jej się na ramiona niczym rzeka lśniącego złota. Wes z zapartym tchem patrzył, jak przykłada ostrze do delikatnej skóry u nasady czaszki i odcina pukiel, a następnie pozwala, by włosy opadły do miski. Rozsypały się na jej dnie, cieniutkie i blade niczym wąsy kukurydzy. Te, które natrafiły na jego krew, nasiąkały czerwienią.

Wes zastanawiał się, co pozostałoby z nich obojga – albo z niego samego – gdyby można zastosować do nich proces alchemicznej destylacji. Może dopiero wtedy przekonałby się, z jakiej jest ulepiony gliny i jakim jest tak naprawdę mężczyzną. W rzeczywistości jednak to, co cielesne, nie odzwierciedlało duszy. Bo ciało to przecież tylko więzienie dla duszy stworzone z tlenu i węgla.

Wypisał sobie na ręce runy wymagane do przeprowadzenia reakcji, a następnie położył dłoń na kontuarze. Podczas gdy przelewał swoją energię w krąg alchemiczny, w misce zatańczył język białego płomienia. Wystarczyło parę sekund, by ogień strawił jej zawartość, obracając ją w *caput mortuum*. Ocalałe drobiny skruszyły się, stając się jednym. W powietrzu rozniósł się smród siarki. Rozgrzane powietrze drżało wokół twarzy kobiety niczym woalka.

– Oto ostatni z zawodników, Margaret Welty i Weston Winters. A teraz niechaj rozpocznie się gon!

Odpowiedziała jej eksplozja radości.

Dreszcz ekscytacji, jaki w tym momencie przeszył Wesa, nie mógł równać się z niczym, czego dotąd zaznał w życiu. Jaime obserwował ich jeszcze przez jakiś czas, jego spojrzenie wyrażało skrajne obrzydzenie. Po chwili, razem ze swoją paczką, wmieszał się

w tłum. Kiedy Wes przyglądał się ludziom zgromadzonym w pubie, napotykał równie niechętnie spojrzenia.

Rozpoznał parę osób z miasteczka – znających Margaret – które patrzyły teraz na nią z nienawiścią. Był wśród nich mężczyzna handlujący ostrygami przy głównej ulicy. Piekarka, która w zeszłym tygodniu poczęstowała go kawałkiem jabłecznika za to, że skomplementował jej fryzurę. Jeden z barmanów, który tak się zapatrzył na Margaret, że przelał piwo.

Wes doskonale znał te spojrzenia. Teraz na ich widok zaczęło się w nim budzić coś mrocznego, siła, która kazała mu stanąć w obronie Maggie. Parę dni po tym, jak umarł jego ojciec, sam niemal zginął, gdy próbował stawić czoła bandzie dzieciaków dokuczających Colleen po szkole. Prześladowcy przyszli za nią aż do domu. Po tamtej bijatyce pozostała mu pamiątka – nawet teraz, gdy w odpowiedni sposób zacisnął pięść, mógł usłyszeć, jak strzelają mu knykcie. Ach, jaka szkoda, że wtedy jeszcze nie znał alchemii.

W tym świecie katarystyczne pochodzenie dawało władzę. Pieniądze dawały władzę. Ale to samo można było powiedzieć o alchemii. A Wes czuł, że to droga dla niego, potencjał alchemii promieniował z samego środka jego jestestwa.

– Wes? – Margaret pochyliła głowę, włosy opadły, zasłaniając jej twarz. – Może już pójdziemy? Proszę.

Strach pobrzmiewający w jej głosie otrzeźwił go.

– Dobrze, zaprowadzę cię do domu.

– Wyprowadź ją tylnymi drzwiami – poradziła kobieta. – Dzisiaj przed pubem nie jest bezpiecznie.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Bez namysłu objął dziewczynę ramieniem – i natychmiast uświadomił sobie swój błąd. Spodziewał się, że Margaret go odepchnie, ona jednak, ku jego zdumieniu, przytuliła się do jego boku, tak że jej głowa znalazła się w zagłębieniu jego szyi. Jej rzęsy załaskotały go po skórze. Potulna niczym owieczka, pozwoliła, by wyprowadził ją z pubu prosto w objęcia nocy.







óznego popołudnia światło obmywało jej ciało jak fala. Przebudziwszy się, przez chwilę tonęła jeszcze w pościeli, rozkoszując się jej ciepłym, delikatnym dotykiem na twarzy. Przez lata zrywała się przed świtem.

A chwilę potem przyszło otrzeźwienie. Poczowała się jak ktoś, na kogo wylano kubek zimnej wody. Senne rozmarzenie skryształizowało się w jedną, nader konkretną myśl: zmarnowała pierwszy poranek sezonu myśliwskiego.

Klnąc jak szewc, wyskoczyła z łóżka i skrzywiła się, gdy bosa stopy napotkały lodowate deski podłogowe. Stres i wyczerpanie, które dopadły ją po ostatnich dwudziestu czterech godzinach, nadal były odczuwalne, ale Maggie zdawała sobie sprawę, że nie może sobie dziś pofolgować – ani zresztą przez najbliższe trzy tygodnie. Nie zazna spokoju, dopóki hala nie będzie ubita. Nad tym, by złapała formę, czuwać miał bardzo wymagający plan sezonu.

Dla rozrywki turystów na każdy tydzień przewidziano zawody innego rodzaju. Plan przewidywał, że najpierw zaprezentują się alchemicy, potem odbędzie się turniej strzelecki. Zawodnicy, którym słabo pójdzie, nadal będą mogli wziąć udział w głównym wydarzeniu, to znaczy w gonie. Ale zwycięstwo w zawodach dodatkowych premiowane było znaczącymi ułatwieniami. Polowanie na lisa to tradycyjna dziedzina sportu o mocno hierarchicznej strukturze. Reguł, zarówno tych zapisanych, jak i niepisanych, było tyle, że przyswojenie ich przychodziło Margaret z dużym trudem. Kluczowe było baczne obserwowanie ustawienia ludzi na polu. Zazwyczaj członków klubu myśliwskiego dzielono na cztery grupy w oparciu

o ich umiejętności i starszeństwo: pierwsza pogoń, druga pogoń, trzecia pogoń, wreszcie – górale. Arbitrzy Gonu Półksiężycy ustalali jednak składy poszczególnych grup w zależności od wyników zdobytych w cotygodniowych konkurencjach dodatkowych.

Pierwsza pogoń posuwała się w najmniejszym oddaleniu od ogarów. To z jednej strony najbardziej niebezpieczna pozycja, z drugiej jednak łowcy należący do tej grupy mieli największe szanse zapędzenia hali w kozi róg i uprzedzenia konkurencji. Mimo że nie mówiło się o tym wprost, ci, którzy zostali zakwalifikowani do drugiej albo trzeciej pogoni, w zasadzie tracili szansę na wygraną. Jedynie najlepsi jeźdźcy dysponujący najlepiej wyszkolonymi ogarami mogli liczyć, że zdołają pokonać takie utrudnienie.

Wczorajszy dzień upłynął pod znakiem uroczystych zapisów. Prawdziwe zawody zaczynały się dzisiaj.

Margaret pobiegła do łazienki, żeby szybko umyć się i uczesać. Kończyła zaplatać warkocz z nadal wilgotnych włosów, gdy usłyszała kroki i stukot psich pazurów na parterze. Próbowwała przypomnieć sobie, jak samotna czuła się jeszcze wczoraj. Powinna teraz być wdzięczna losowi, że Wes zapisał się z nią do gonu. Trudno jednak było jej wytrwać w tym uczuciu wdzięczności, gdy wiedziała, że jej partner właśnie robi coś głupiego. Nie musiała go widzieć, żeby mieć co do tego pewność.

Westchnąwszy ciężko, poszła sprawdzić, co to za zamieszanie. Wychyliła się nad balustradą schodów na piętrze akurat w momencie, gdy zza zakrętu wypadł Kłopot. W pysku za sznurówki trzymał buta. Zatrzymał się, przednie łapy wyciągnął na ziemi – zachowywał się z entuzjazmem właściwym dla pięć lat młodszego od siebie psiaka. Po chwili w polu jej widzenia zjawił się Wes – ślizgiem pokonał kawałek podłogi.

– Mam cię, draniu! – zawołał z błyskiem w oku. – Oddawaj!

Kłopot warknął i zaczął z podnieceniem merdać ogonem.

Margaret przyglądała się tej scenie z rosnącą irytacją. Wynikała ona nie tyle z tego, że bawili się bez niej – choć to też bolało – co raczej z faktu, że Weston zachęcał jej psa do złego zachowania. Udział w gonie wymagał, aby Kłopot był w szczytowej formie, bezlitosny i skupiony. Nie potrzebowała psa, który będzie uganiał się po domu jak nieułożony szczeniak.

– Co ty wyprawiasz?

Zaskoczony Wes niemal zatoczył się do tyłu.

– Panno Wel... Mag... to znaczy Margaret! Nie widziałem cię. Próbuję odzyskać swojego buta.

– Kłopot, oddawaj! – rzuciła.

Pies momentalnie wykonał polecenie. But, lśniący od pasty i śliny, z trzaśnięciem upadł na podłogę. Kiedy Maggie schodziła po schodach, ogar i chłopak spoglądali na nią z szacunkiem.

– Jak to zrobiłaś?

– On wiedział, że się z nim bawisz – wyjaśniła. Ukucnęła, podniosła z podłogi buta, a drugą ręką podrapała Kłopotą za uszami. – Ogar będzie ci posłuszny pod warunkiem, że nauczysz go szacunku.

– A jak zdobywa się szacunek psa myśliwskiego?

– Zachowując się poważnie – odparła, wręczając obuwie właścicielowi. – Na początek mógłbyś w bardziej produktywny sposób wykorzystywać swój czas. Na koniec tygodnia zaplanowane są pokazy alchemiczne.

– Wiem o tym – przyznał kwaśnym tonem Wes. – To ty przespałaś cały ranek. Pomyślałem, że zanim zabiorę się do pracy, powinienem to z tobą przedyskutować.

Uszy zapłonęły jej ze wstydu, ale starała się nie dać sprowokować.

– Chyba nie potrzebujesz radzić się mnie w każdej sprawie. Siekierę udało ci się popsuć całkiem samodzielnie.

– Ha, ha, ha – zaśmiał się sztucznie Wes. – Po prostu wolałbym nie tracić czasu na coś, co ci się nie przyda. No i potrzebowałbym jakiegoś sprzętu. Jak widziałaś, próby zgadywania masy i składu chemicznego mogą się źle skończyć.

Maggie podejrzewała, że chłopak ma rację. Alchemia to nauka bazująca na ścisłych ustaleniach, a nie domysłach. Jeśli Wes będzie zmuszony bawić się w zgadywanki, już na starcie stracą szansę na wygraną w gonie. Wiedziała, co musi zrobić, mimo że ta perspektywa napawała ją grozą.

– Możesz skorzystać z pracowni mojej matki.

– Naprawdę? – spytał z nadzieją.

Skinęła głową. Oczy chłopaka błyszczą jasno, wręcz chorobliwie. Jego reakcja przyprawiła Maggie o bolesny skurcz w brzuchu.

– Chodź ze mną – poleciła.

Zaprowadziła go na górę. Po chwili zatrzymali się przed drzwiami jej pokoju. Z Wesem stojącym tuż za nią, nagle poczuła się bezbronna, jak krab przewrócony nogami do góry. Ale skoro już wcześniej odłoniła przed nim swoje życie, cóż ryzykowała teraz, wpuszczając go do swojego pokoju? Z drugiej strony było to jedyne miejsce, które pozostawało nienaruszone – wciąż należące tylko do niej. Miała prawo ukryć przed nim to, co najbardziej intymne i delikatne. Dlaczego nie miałyby z tego prawa skorzystać?

– Zaczekaj tutaj.

Kiedy wślizgiwała się za drzwi, kątem oka zauważyła, jak Wes wyciąga szyję, próbując zerknąć do środka. Spiorunowała go wzrokiem i zatrzasnęła za sobą drzwi. W szufladzie biurka znalazła stary żelazny klucz. Pod cienką warstwą brudu metal pokrywał zielonkawy nalot. Kiedy Maggie wycierała klucz szmatką, pod kciukiem wyczuwała łuski wygrawerowanego uroborosa, węża pożerającego własny ogon.

Kiedy Evelyn pracowała nad poszukiwaniem kamienia filozoficznego, córce pod żadnym pozorem nie wolno było wchodzić do pracowni. Przed wyjazdem zostawiła jednak Maggie zestaw zapasowych kluczy. Ten do drzwi pracowni dziewczyna trzymała w swoim pokoju. Drugi, otwierający ukrytą szufladę w biurku Evelyn, nosiła na szyi. Wszystko się w niej burzyło na myśl, że miałyby wpuścić intruza do warsztatu matki. Ale jaki właściwie miała wybór? Zostało im tylko sześć dni. Nie mogła pozwolić, by Wes trwonił ten czas, produkując kolejne niedające się ruszyć siekiery.

Weston stał przy oknie, z rękoma założonymi za plecami. Światło przesiane przez mokrą po nocnym deszczu szybę rzucało rozmyte cienie na jego twarz.

– Gotowy? – spytała cicho Margaret.

– Tak.

Ten odcinek korytarza, w którym się teraz znaleźli, budził w niej najgorsze wspomnienia. Ile razy w koszmarnych snach pokonywała tę drogę ze swojego pokoju do pracowni? Ile razy budziła się

gwałtownie, gdy wydawało jej się, że słyszy przeraźliwy krzyk swojej matki? Przekręciła klucz w zamku. Gałka była lodowata w dotyku. Po chwili drzwi ustąpiły, wydając przeciągły jęk.

Ich oczom ukazało się zalane światłem pomieszczenie. Jasność była tak oślepiająca, że przez chwilę Maggie mogła tylko mrugać bezradnie. Kiedy już wzrok oswoił się z blaskiem, zwróciła uwagę na drobinki kurzu wirujące w powietrzu. Nic tu się nie zmieniło. Przypomniały jej się dni, gdy z Davidem leżeli na podłodze, obserwując, jak mama wyczarowuje dla nich różne błyskotki do zabawy. Unoszące się w powietrzu, lekkie jak piórko rzeczy. Wypchane zwierzątka, których nosy jaśniały niczym świetliki. Podmuchy letniego zefirku wpadające przez okno przeganiały charakterystyczną woń towarzyszącą reakcjom alchemicznym.

Widok plamy na podłodze, w nieregularnym kształcie i ciemnej jak rdza, sprowadził ją na ziemię. Nim się spostrzegła, odżyło w niej zupełnie inne wspomnienie.

Cały świat wokół zdawał się falować i migotać. Margaret miała wrażenie, jakby znalazła się na dnie morza. Ścisnęło jej się gardło, w uszach huczała krew. Wydawało jej się, że znajduje się tutaj, a równocześnie gdzieś daleko, tysiąc kilometrów stąd. Smród siarki ją dławiał. Dygotała z zimna, bo woda zalewająca podłogę zmoczyła brzeg jej koszuli nocnej...

– Margaret?

To głos matki, która znowu przyzywała ją do siebie. To głos hali, która szeptała do niej w szeleście liści.

– Margaret, czy mnie słyszysz?

Nie, przecież to męski głos, wypowiadający raz za razem jej imię niczym magiczne zaklęcie.

*Margaret. Margaret. Margaret.*

Wzdrygnęła się i nagle, jak gdyby budząc się ze snu, w miarę jak wizja nikła, odkryła, że wpatruje się w oczy chłopaka. Miały kolor sekwoi.

Zakłopotanie i troska wyzierające z jego spojrzenia były takie upokarzające. W pierwszej chwili nie mogła sobie przypomnieć, gdzie się znajdują ani co robią. Stopniowo wracało do niej czucie – poczuła dotyk jego silnych dłoni na barkach. Odkryła, że siedzi na krześle.

Czoło zroszone miała kroplami zimnego potu, za to oczy suche jak pieprz.

– Hej – odezwał się Wes niemal czułym głosem. – Chyba przez chwilę byłaś gdzie indziej. Dobrze się czujesz?

Nie mogła pozwolić, by znów się nad nią litował – przecież zupełnie niedawno, zeszłej nocy, lekkomyślnie pozwoliła, by się nią zaopiekował, a teraz znów okazywała bezradność. Nadal pamiętała rytm pulsu wyczuwalny, gdy wtulała nos w jego szyję. Pamiętała, że nie wypuszczał jej z objęć, dopóki nie znaleźli się za granicami miasteczka. Nie wracali potem w rozmowie do tamtych chwil, zresztą Maggie nie miała pojęcia, co by mu powiedziała, gdyby o nie spytał. Wspomnienie tamtych momentów było torturą i musiała ją znosić w samotności. Łaknienie pociechy to słabość, na którą nie mogła sobie pozwolić.

– Tak – Wzruszyła ramionami, uwalniając się od jego dotyku. Wstała chwiejnie. – Wszystko gra.

Wes wcisnął dłonie do kieszeni. Wyglądał, jakby zamierzał się z nią spierać. W końcu powiedział tylko:

– No dobra.

Margaret domyślała się, że chciałby zrozumieć, co się z nią dzieje. Ale czy zdołałby pojąć, w jaki sposób jej własny umysł stara się chronić ją przed tym, czego nikt poza nią nie widzi? Jakim cudem ktoś, kto wychował się w takiej rodzinie jak jego, może naprawdę zrozumieć to, co działo się w jej?

W miesiącach po śmierci Davida jej ojciec opowiadał, że w dworze mieszkają teraz dwie Evelyn. Nawet dziś nie była pewna, jakie uczucia budzi w niej pomysł ojca: ma mu go za złe czy raczej docenia, wiedząc, przed czym próbował ją chronić. W gruncie rzeczy nigdy jej nie okłamał. Kiedy zagłębiała się we wspomnienia, jakby rozplątywała kłębek wełny, widziała wyraźnie obie Evelyn. Pierwsza, uszyta z jasnych, wesołych kolorów, niczym zachód słońca, i wzbudzająca miłość. I druga – spłowiata, szara, przy której człowiek zadawał sobie pytanie, po co w ogóle tak się stara.

Ta pierwsza Evelyn chętnie się śmiała, lubiła wesoło krzyczeć i łatwo wpadała w ekstatyczne wręcz uniesienie. „Szybko, szybko, szybko”, wołała córkę do teleskopu, żeby pokazać jej deszcz meteorów. Klękała w błocie, żeby razem z nią wykopywać żółte

ślimaki bananowe albo czerwono-brzuche salamandry zagrzebane w ile. Druga Evelyn była zimna i odległa niczym planeta z krańca galaktyki. Potrafiła całymi dniami nie jeść, a jej milcząca złość wypełniała wtedy przestrzeń niczym dym. To właśnie ta druga Evelyn porzuciła dom, nie oglądając się za siebie.

„Pamiętaj ją taką, jaką była w te lepsze dni – radził ojciec. – To wtedy widać, jaka jest naprawdę”.

Po pewnym czasie nie było już nikogo oprócz niej, kto mógłby pamiętać tamtą radosną matkę. A teraz Evelyn przepadła na dobre.

Margaret przez chwilę mocowała się z oknem. Kiedy wreszcie ustąpiło, do pokoju wdarło się rześkie powietrze. Wystarczyła chwila, by osuszyło pot na jej twarzy. Ale nawet to nie wystarczyło, żeby poczuła się tu tak jak kiedyś – nie miała poczucia, że wróciła. Gdyby nie towarzyszył jej Wes, położyłaby się na łóżku i leżała przytulona do Kłopoty, czekając, aż odnajdzie tu siebie sprzed lat. W tych okolicznościach było to oczywiście wykluczone, nie mogła pozwolić, by Weston zaczął obchodzić się z nią jak z jajkiem. Wystarczyło, że spotykała się z takim traktowaniem ze strony Halanana i pani Wreford. Nie chciała, żeby Wes się dowiedział.

Chłopak obserwował ją uważnie, kiedy się do niego zbliżała. Wcisnęła mu klucz do ręki ze słowami:

– Jak widzisz, jest tu lekki bałagan. Ale na razie możesz korzystać z pracowni.

– Jest w sam raz. Dziękuję.

Wsunąwszy klucz do kieszeni, zaczął się rozglądać po pomieszczeniu. Jak okiem sięgnąć, wszędzie królowały szklane zlewki, moździerze, wagi i alembiki z wystającymi z nich gąszczami rurek. Półki ugięły się od niezliczonych tomów, a na ścianach widniały jakieś pospiesznie sporządzone zapiski. Wes zbliżył się do ściany i próbował odcyfrować formuły alchemiczne, wodząc palcem po kolejnych słowach. Szybko stało się jasne, że nie będzie miał dużego pożytku z tych notatek, ponieważ najwidoczniej pani Evelyn Welty posługiwała się szyfrem. Przez chwilę jeszcze mierzył się z enigmatycznym tekstem, wreszcie się poddał i usiadł na fotelu za biurkiem.

Brodę wsparł na splecionych dłoniach i spojrzał na Maggie spod opuszczonych rzęs.



– No i jak? Wyglądam teraz na prawdziwego alchemika?  
– Uważaj, żeby woda sodowa nie uderzyła ci do głowy.  
– Za późno. – Wes odwrócił klepsydrę i postawił ją z powrotem na biurku. – No to słucham. Powiedz, czego ci potrzeba, a ja to przygotuję.

– Uczestnikom gonu wolno przynieść tylko cztery przekształcone alchemicznie przedmioty. A ponieważ nie umiesz jeździć konno, będziemy potrzebować czegoś, co ulżyłoby mojemu koniowi, gdy będziemy go dosiadać we dwoje. Poza tym potrzebujemy broni zdolnej ubić halę. Pozostały sprzęt będzie służył naszej wygodzie. Pamiętaj, że czeka nas dwanaście godzin na świeżym powietrzu, przy niskiej temperaturze.

– A co chciałabyś, żebym przygotował na pokaz alchemiczny?

Dobre pytanie. Sama dobrze sobie poradzi w konkursie strzeleckim, co do tego nie miała wątpliwości. Szkopuł w tym, że występując w dwuosobowym zespole, musiała się liczyć z uśrednieniem ich wyniku. Czy jej się to podobało, czy nie, była skazana na swojego towarzysza. Na pokazie doceniano ambitne prezentacje. Ale sądząc po tym, jak nikłe umiejętności posiadał Weston, raczej nie należało się spodziewać po nim niczego więcej niż najprostsza transmutacja.

Wyczuwając chyba jej wątpliwości, Wes powiedział:

– Posłuchaj, wiem, że na razie nie pokazałem się ze zbyt dobrej strony. Ale słowo honoru, nie zawiedziesz się na mnie.

– Wierzę ci. – Nie do końca było to prawdą, ale wypowiadając te słowa, przenosiła się do świata, w którym zwycięstwo leżało w zasięgu ich możliwości. – Moja rada: skup się na ćwiczeniu techniki, co do której masz pewność, że będziesz umiał ją przeprowadzić.

– A co musiałbym zrobić, żeby zagwarantować nam występ w pierwszej pogoni?

– Musiałbyś pokazać coś spektakularnego.

– No tak. Pestka.

– Jest jedna rzecz, absolutnie nam niezbędna: nabój, który jest w stanie zabić halę. Skup się na tym.

Margaret знаła sposób, w jaki można było uzyskać taki pocisk. Miała jednak wielką nadzieję, że chłopak odkryje inną metodę. Mimo

woli położyła dłoń płasko na wysokości obojczyka – tam, gdzie wisiał klucz pozostawiony przez matkę, który zdawał się ją parzyć.

– Dobrze.

Widziała, jak nad jego rozpiętym kołnierzykiem poruszyło się jabłko Adama. Błada skóra chłopaka przybrała jeszcze bardziej chorobliwy odcień. Przypomniała sobie oburzenie, z jakim Mad i matka Wesa zareagowały na wieść, że chłopak zamierza wystąpić w gonie. Wprawdzie jej wiedza na temat wiary sumickiej była skąpa, ale mogła się domyślić, jak trudne musi być wyrzeczenie się tradycji przodków.

– Jesteś pewien?

– Czy przypadkiem to nie ty przekonywałaś mnie niedawno, że musimy sobie zaufać? Rozumiem, że nadal wkurzasz się na to, co zrobiłem z siekierą, ale...

– Nie o to mi chodziło.

– Aha, już rozumiem. – Podparł brodę pięściami. – Błagam, nie mów, że ty też martwisz się, co czeka moją nieśmiertelną duszę.

– Nie, martwię się tylko o twoje doczesne wcielenie.

– Dam sobie radę. Naprawdę. Nie zawiodę cię. Nauczyłem się, co znaczy żyć z poczuciem winy.

Na usta cisnęło jej się pytanie, ale wahała się jeszcze. Po części dlatego, że nie chciała go urazić, po części zaś dlatego, że nie chciała wydać się wścibska. Ale od tak dawna w jej życiu nie było nikogo, z kim mogłaby szczerze porozmawiać.

– Dlaczego twoja matka tak się tym przejmuje? Czy chodzi o to, że hala jest w sumizmie czczona jako święta?

– Demiurgowie nie są świętymi. Owszem, niektórzy ludzie modlą się do nich jako do orędowników wstawiających się za nimi przed Bogiem. Ale w rzeczywistości stanowią oni raczej przedłużenie samego Boga. Mimo że są od niego oddzieleni, równocześnie są nim, ponieważ wszyscy noszą w sobie tę samą boską esencję.

Wes umilkł, jakby uznał, że wy tłumaczył zagadnienie w stopniu wystarczającym. Margaret wpatrywała się jednak w niego, jakby nie mogła pojąć, o czym mówi.

Spieklszy raka, podjął:

– Tak przynajmniej wynika z oficjalnej wypowiedzi papieża. To zresztą szersze zagadnienie. Wszyscy biskupi od wielu stuleci łamią

sobie nad tym głowy. Ale mnie się wydaje, że i tak nikt nie wie, jak jest naprawdę. Bóg jest wszak nieskończoną tajemnicą i tak dalej...

– Ach tak.

Margaret pomyślała, że jej ojcu takie wyobrażenie Boga – oddalonego od ludzi – nie przypadłoby do gustu. I na pewno nie zadowoliliby się rozumieniem natury boskości proponowanym przez innego śmiertelnika, dopóki sam nie mógłby wypróbować go w praktyce. Jeśli jednak Aoife faktycznie wierzyła, że jej syn zamierza uśmiercić istotę będącą częścią Boga – czy wręcz samym Bogiem – Margaret mogła z łatwością zrozumieć, skąd brały się jej opory.

– Ty też czcisz świętych?

– Tak naprawdę to nie – odparł Wes z wyraźną irytacją. – Ale wyznawcy naszej wiary rzeczywiście ich czczą. Modlą się do nich, a gdy ich dzieci osiągną pełnoletniość, nadają im imiona świętych.

– A ty jakie sobie wybrałaś?

– Francis Xavier. Weston Carroll Francis Xavier Winters, tak brzmi moje pełne nazwisko.

– Carroll – powtórzyła Maggie.

– To imię nadawane w rodzinie – próbował się bronić. – W każdym razie święci to zwyczajni ludzie, którzy zasłużyli się w takim stopniu, że ich kanonizowano. W praktyce zazwyczaj oznaczało to okrutną, gwałtowną śmierć w sytuacji, gdy ktoś próbował zmusić ich do przejścia na inną wiarę. Chociaż słyszałem też, że istnieje pies święty, który ma całkiem sporo wyznawców.

To akurat wydało jej się ze wszech miar zrozumiałe. Wszystkie psy zasługują na cześć, kto wie, może nawet należy im się kanonizacja.

– I czy... to właśnie jest ostatecznym celem?

– Nie dla mnie. Żeby zostać świętym, musisz cierpieć i praktykować celibat. Właśnie dlatego zamierzam pójść do piekła. – Kciukiem Wes zrobił znak kręgu najpierw na czole, potem na ustach, na końcu na piersi.

Margaret przewróciła oczami. Za każdym razem, gdy zaczynała wierzyć, że ten chłopak jest chociaż trochę dojrzały, udawał, że się myli.

– Pewnie gdy splamimy sobie ręce krwią, oboje będziemy na najlepszej drodze do piekła – zauważyła.

Domyślała się pytania, które cisnęło mu się teraz na usta: Dlaczego ktoś miałby trafić do piekła za coś takiego? To kolejna rzecz, której nauczyła się na temat tego chłopaka. Jasne, za tym nieszczerym uśmiechem skrywało się cierpienie. Ale było coś jeszcze – on był bystry. Widział i rozumiał wokół siebie znacznie więcej, niż skłonny był przyznać. Na świecie nie brakowało tolerancyjnych katarystów, jeśli można wnioskować na podstawie pani Wreford i Halanana. Jednak Wes wiedział już na tyle dużo na temat jej życia, widział, jak jest traktowana przez miejscowych, by domyślać się, że Margaret jest kimś innym niż po prostu tolerancyjną katarystką.

Tak, na pewno już wiedział.

A jeśli faktycznie tak było, był na tyle taktowny, by jej nie popędzać. Odchylił się na krześle do tyłu, tak daleko, że w pewnym momencie Maggie przestraszyła się – a może właśnie przeciwnie, po cichu liczyła – że się przewróci.

– Skoro mam się z tym sprawić w ciągu sześciu dni, będę potrzebować paru rzeczy. A to oznacza... – Wszystkie nogi krzesła opadły na podłogę z hukiem. – ...że tym razem nie wywiniesz się od oprowadzenia mnie po mieście.

– W porządku – odburknęła Margaret. Na widok triumfalnego uśmiechu, który zagościł na jego twarzy, poczuła, jak cierpnie jej skóra. – A kiedy chcesz się tam wybrać?

– Dobrze mi zrobi łyk świeżego powietrza. Może zaraz?





pobliżu sklepu wielobranżowego Wes zobaczył prześliczną dziewczynę, jej uroda dosłownie zapierała dech w piersi. Nieznajoma stała w kolejce w otoczeniu koleżanek przed jednym z czerwonych straganów, które z dnia na dzień wyrosły jak grzyby po deszczu. Wickdon zaczynało wyglądać jak miasto, które odwiedzili wędrowni cyrkowcy. Ulice pełne były ludzi popijających gorące napoje i objadających się kandyzowanymi jabłkami na patyku. Wes jednak nie potrafił oderwać wzroku od dziewczyny.

Ubrana była w za duży sweter zrobiony na drutach i plisowaną zieloną spódnicę. Pofalowany niczym woda brzeg spódnicy sięgał poniżej łydek, a pasek gołej skóry widoczny powyżej oksfordek na obcasie przyprawiał Wesa o szaleństwo. Spod kapelusika wysypywały się kasztanowe loki. Perłowe kolczyki w jej uszach kojarzyły mu się z kroplami deszczu na płatku kwiatu. Wydawała mu się znajoma – i nie chodziło tylko o ubranie zgodne z obowiązującą modą. Miał wrażenie, że widział już tę twarz... Musieli się kiedyś spotkać. Ale nie, przecież od razu rozpoznałby dziewczynę obdarzoną taką urodą.

Korciło go, żeby podejść i się przywitać, ale Margaret na odchodnym nakazała mu, żeby nie odstawiał żadnych numerów. Prawdę mówiąc, Wes sądził, że po prostu kupią w mieście trochę składników niezbędnych do praktykowania alchemii. Na miejscu

okazało się jednak, że Maggie przygotowała okropnie długą listę różnych sprawunków. Na myśl o tym, że czeka go ponure wałęsanie się za nią po rynku, ogarniała go czarna rozpacz.

Już nieraz był w takiej sytuacji – tragarza snującego się za osobą robiącą zakupy. Nie mógł uwierzyć, ile czasu ta dziewczyna spędzała, oceniając, czy jabłko warte jest swojej ceny. Wolał skupić się na obserwacji i podsłuchiwaniu plotek. Podobno zeszłej nocy hala spustoszyła liczącą sto lat winnicę, co miejscowym nie tylko wydawało się tragicznym wydarzeniem, ale też budziło ich ekscytację.

To kolejny znak, że gon w tym roku będzie wyjątkowo emocjonujący.

Wes uznał, że dopóki Maggie nie skończy zakupów, on może wykorzystać ten czas na niewinny flirt. Gdyby pozostał beczynny, musiałby stawić czoła obawie, że nie poradzi sobie na polowaniu; że trzy tygodnie to zbyt krótki czas, by przygotować się do gonu; że hala rozerwie ich na strzępy. Musiał stale zajmować czymś myśli, być w ruchu, bo w przeciwnym razie poszedłby na dno.

Jedna z koleżanek pięknej dziewczyny posłała mu ukradkowe spojrzenie. A po chwili również sama atrakcyjna nieznajoma obejrzała się przez ramię, żeby mu się przyjrzeć. Wes natychmiast przywołał na usta uśmiech. Ćwiczył go wiele razy przed lustrem, podobnie jak figury oratorskie najwybitniejszych mówców w kraju. A żeby uśmiech odniósł pożądany efekt, nie mógł być zbyt szeroki – wówczas mógłby przypominać grymas. Należało również wystrzegać się zbytniego rozluźniania mięśni twarzy, bo łatwo wówczas doprowadzić do sytuacji, gdy człowiek wyglądał jakby gapił się na coś z otwartymi ustami. Ten, który zaprezentował teraz Wes, był w sam raz. Kiedy pomachał do dziewcząt, odwzajemniły gest, szepcząc coś między sobą.

Udawał, że nic sobie z tego nie robi, ale to była tylko gra. W rzeczywistości uwielbiał zwracać na siebie uwagę, co zresztą sam bezwstydnie przyznawał. Ale czego innego można się spodziewać po chłopaku wychowanym w takim, a nie innym domu, gdzie uwaga rodziców była na wagę złota? Jako dzieciak bez skrupułów wykorzystywał każdą przewagę, jaką miał nad siostrami: fakt, że był jedynym chłopcem w ich gronie, że jako jedyny miał smykałkę do

alchemii i że jako jedyny umiał udobruchać ich matkę i skłonić ją, by przemykała oczy na jego liczne przewinienia.

Naradziwszy się, dziewczęta popchnęły tę najładniejszą w jego stronę. Przedarła się przez tłum i stanęła nieopodal. Jej oglądane z bliska oczy kryły w sobie mnóstwo odcieni zieleni, a źrenice miały żółtą obwódkę, przez co kojarzyły się z kotem. Wesa zupełnie zatkało, na moment zapomniał, jak się oddycha.

– Cześć – odezwała się. – Czym mogę służyć? Gapisz się na mnie od dziesięciu minut.

– Ja... gapię się? Proszę o wybaczenie. Zamierzałem właśnie zrobić zakupy, gdy... Byłem strasznie rozkojarzony i za nic nie mogłem zebrać się na odwagę, żeby się przywitać.

– Panie Winters, takie wykrętne tłumaczenia nie są w pańskim stylu.

– Jak to... Wiesz, jak się nazywam?

Dziewczyna uśmiechnęła się przebiegle.

– Naturalnie. Spotkaliśmy się niedawno. Niesamowite, że tak szybko o mnie zapomniałeś...

W głowie miał pustkę. Nagle ogarnęło go przerażenie.

– Żartujesz.

– Ależ skąd.

Nigdy nie miał problemów z zapamiętywaniem twarzy, zwłaszcza tak olśniewających jak buźka tej panny. Niby gdzie mogli się spotkać?

– Chyba często proponujesz dziewczynom romantyczne podróże, skoro od razu o tym zapominasz.

Aha. Aha. Dziewczyna z zajazdu – ta, która odwiozła go do dworu Welty. Tamtej nocy był taki zamyślony, że nawet nie przyjrzał się dokładnie kierowcy. Teraz jednak, gdy wysilił pamięć, przypomniał sobie moment, gdy wysiadł z samochodu i za mokrym od deszczu oknem dostrzegł twarz kobiety za kierownicą. Wrócił do niego rozmarzony ton, jakim mówiła o Dunway.

Nagle zrobiło mu się gorąco.

– To chyba najbardziej żenująca wpadka, jaka kiedykolwiek mi się przytrafiła.

Dziewczyna odrzuciła do tyłu głowę, a z jej gardła dobył się śmiech perlisty niczym szampan.



– Nie przejmuj się. Podejrzewam, że tamtej nocy myślami byłeś gdzie indziej.

– Mimo to mi głupio.

– Naprawdę niepotrzebnie. – Dziewczyna dotknęła jego przedramienia, chcąc chyba dodać mu w ten sposób otuchy. – A tak w ogóle to jeszcze nie miałam okazji się przedstawić. Nazywam się Annette Wallace.

– Bardzo mi miło, panno Wallace.

– Mów mi Annette.

– W porządku, Annette.

Kiedy wypowiadał te słowa, zwrócił uwagę na jakiś ruch za plecami dziewczyny. I momentalnie poczuł znajome mrowienie – znak, że ktoś bacznie mu się przygląda. Dwie osoby mierzyły go wzrokiem. Pierwsza to Margaret, tego akurat mógł się domyślić. Druga to Jaime Harrington, który akurat przechodził i teraz zatrzymał się w pół kroku, widząc, że Wes go rozpoznał.

Zachodził w głowę, jak bardzo może kusić los, nim szczęście opuści go całkowicie.

Z gniewem Margaret da sobie radę. Co prawda pogubił się już, na jakim etapie jest ich znajomość, ale pogodził się z faktem, że niezależnie od tego, co zrobi, dziewczyna będzie się na niego wściekać. Z Jaimem... sprawa wyglądała inaczej. Wspomnienie jego płaczącego protestu wzniesionego podczas zapisów w pubie ostatniej nocy nadal nie dawało mu spokoju. Mimo że zamienili tylko parę słów, Wes miał już wyrobione zdanie na temat tego chłopaka: duże ego, mocny w gębę. Marzył, by się na nim odegrać i...

Nie, bitka z Jaimem to coś, czym w ogóle nie powinien zaprzętać sobie głowy. Zachowa się z klasą, ze względu na Margaret.

– O, przyszedłeś z Maggie? – Annette podążyła za jego spojrzeniem.

– Co?

– Maggie Welty.

Ton, jakim wypowiedziała te słowa, nie był niemiły. Ale i tak Wes domyślał się ich ukrytego znaczenia. Zorientował się już, że Evelyn nie cieszyła się sympatią miejscowych, a jej córka...

No właśnie, jej córka. Odepchnął myśl o Margaret, nie chciał, by cokolwiek go teraz rozpraszało. Szkopuł w tym, że trudno kogoś

ignorować, gdy ten ktoś stoi nieopodal i mierzy cię nienawistnym spojrzeniem. Wiedział, co próbuje mu powiedzieć: Idziemy. I to już.

„Jeszcze chwila – błagał ją w myślach. – Nie wtrącaj się teraz, bo wszystko zepsujesz”.

– Niezupełnie. To znaczy tak, przyszliśmy tu razem. Ale tylko w tym sensie, że przebywamy tu razem w tym samym czasie. Tak się po prostu złożyło. – Odchrząknąwszy, dodał: – Obawiam się, że panna Welty za mną nie przepada.

– Cóż, nie bierz tego do siebie, bo ona generalnie za nikim nie przepada.

– Jaime Harrington też chyba nie pała do mnie sympatią.

– Jaime? Nie zwracaj na niego uwagi. Odnosi się nieufnie do ludzi spoza miasta, ale jest nieszkodliwy.

Akurat w to jakoś nie chciało mu się wierzyć. Żeby nie ciągnąć tematu Jaimego, Wes mruknął coś pod nosem.

– Cieszę się, że jednak postanowiłeś zabawić dłużej w Wickdon. Podobno zapisałeś się do gonu. Czy ludzie w wielkim mieście w ogóle wiedzą cokolwiek na temat lisów, panie Winters?

– Bardzo proszę – odparł, przywołując na usta najbardziej ujmujący uśmiech ze swojej kolekcji. Kiedy uchylał kapelusza, poczuł mrowienie w małżowinach usznych. To jasny znak, że jego naelektryzowane włosy sterczą już pewnie na wszystkie strony. – Mów mi Wes.

– Dobra, Wes. No to jak, odpowiesz na moje pytanie?

– Prawdę mówiąc, to nic nie wiedzą. Ale pomyślałem, że skoro mam się tu zatrzymać na jakiś czas, spróbuję żyć jak miejscowi. Podobno w tym roku gon zapowiada się wyjątkowo ekscytująco. Słyszałaś o winnicy?

– Kiedy ludzie mówią, że gon będzie „ekscytujący”, mają na myśli „niebezpieczny”.

– Wiem o tym. – Uśmiechnął się blado. – Tak naprawdę to panna Welty poprosiła mnie, żebym wziął udział w gonie razem z nią. A ja nie umiem odmówić kobiecie w potrzebie.

– Cóż za dżentelmen z pana. Teraz przynajmniej wiem, że nasza znajomość nie ma przyszłości – oświadczyła Annette z teatralnym westchnieniem kokietki.

Wesowi taka zmiana tematu była bardzo na rękę.

– Ależ to nieprawda. Zaraz ci wytłumaczę, dlaczego. Tak się składa, że nie zdążyłem zwiedzić miasta, dlatego...

– Bardzo mi przykro, ale muszę cię rozczarować: w Wickdon nie ma nic do zwiedzenia. Mamy tu tylko słoną wodę, drzewa i ryby.

– Nie wierzę, muszą tu być jakieś ukryte perełki. Spędziłaś w tym miejscu całe życie. Założę się, że mogłabyś mi to i owo pokazać.

Anette wybuchnęła śmiechem.

– Obawiam się, że dziewczyna taka jak ja nie ma ci nic do pokazania.

– Śmiem wątpić – odparł, zniżając głos.

Nagle padł na niego cień i poczuł, jak czyjaś ciężka dłoń ląduje mu na barku.

– Czy ten mężczyzna ci się naprzykrza?

– Jaime! – pisnęła Anette. – Witaj.

Wes wzruszeniem ramion strącił dłoń intruza i odwrócił się na pięcie. Ponieważ Jaime był od niego sporo wyższy, oczy Wesa znajdowały się teraz na wysokości pogardliwie wykrzywionych ust tego drugiego. Mimo że było mu to nie w smak, zmuszony był zadrzeć głowę, żeby spojrzeć Jaimemu w oczy.

– Tylko gawędzimy.

– Tylko gawędzimy – powtórzył Jaime, naśladowując w komiczny sposób akcent Wesa: celowo przeciągał samogłoski i połykał spółgłoski. – Nie wiedziałem, że Maggie Welty pozwala swoim psom biegać bez dozoru.

– Jak zawsze miło cię widzieć, Harrington.

– O tak, ciebie też. – Jaime potrząsnął głową, jakby właśnie usłyszał jakiś zrozumiały tylko dla siebie dowcip. – Ten jego akcent... Annie, wiesz, że pochodzi z Dunway?

– Tak – przyznała Anette, spuszcżając wzrok.

– Ona zawsze chciała się tam przenieść – oświadczył niegrzecznie Jaime. – Czort wie po co.

– Rozumiem, że sam odwiedziłaś kiedyś Dunway – powiedział Wes, starając się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

– Nigdy w życiu! Moi rodzice się tam urodzili, ale gdy zaczęło robić się zbyt tłoczno, uciekli na wieś. Banwijscy imigranci mnożą się jak króliki, nie ma dnia, żeby nowi nie przybywali na łodziach. Nie wiem, jak możesz wytrzymać w takim miejscu. – Jaime zamilkł, jakby

ciekawej reakcji Wesa. Nie doczekawszy się żadnej, wzruszył ramionami. – Poza tym jeśli człowiek chce zachować przyzwoitość, nie powinien się zniżać do rywalizowania z Yu'adir. Ci ludzie celowo zaniżają ceny swoich towarów, a w rezultacie i tak zarabiają więcej.

– Niezwykle wnikliwa analiza życia w Dunway, jak na człowieka, który nigdy nie wyściubił nosa ze swojej zabitej dechami dziury.

Annette zakryła dłonią usta, żeby stłumić śmiech.

– Wydaje ci się, że jesteś taki cwany – warknął Jaime. – Dam ci radę. Jeśli nie chcesz ściągnąć na swoją głowę problemów, licz się ze słowami i trzymaj ręce przy sobie. Wielu ludziom nie podoba się, że wy dwoje zapisaliście się do gonu. Byłaby wielka szkoda, gdyby spotkało cię coś złego. Rozumiemy się?

Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, widząc czystą nienawiść w oczach Jaimego, na miejscu Wesa przeprosiłby za swoje zachowanie. On jednak poczuł, że wcale nie ma ochoty kajać się przed adwersarzem. Zwłaszcza że tej wymianie zdań, z grozą i fascynacją wypisanymi na twarzy, przysłuchiwała się Annette.

– Jaime, daj mu spokój – odezwała się w końcu dziewczyna. – On nikogo nie skrzywdził.

– A kto mówi o krzywdzeniu kogokolwiek? Po prostu ucinamy sobie pogawędkę, co nie, Winters?

– Otóż to.

– Otóż to – powtórzył Jaime, klepiąc Wesa po plecach. – Udzielam mu tylko przyjacielskiej rady. Przygotowania do gonu polegają między innymi na poznaniu rywali. Bo musisz wiedzieć, Annie, że Winters jest alchemikiem. Skoro tak bardzo chcesz się przed nią popisać, może pokażesz jakąś magiczną sztuczkę?

W Wesie zagotowało się od gniewu. Na usta cisnęło mu się tysiąc pełnych jadu replik, z których niektóre nie były nawet w pełni sformułowane. Jeszcze tydzień temu w takiej sytuacji po prostu dałby temu pajacowi po mordzie. Ale teraz gra toczyła się o zbyt dużą stawkę, dlatego musiał grać rolę grzecznego pieska Margaret. Ale to przecież nie znaczyło, że nie może pokazać, z kim Jaime zadziera.

– Doprawdy nie wiem, czy jesteś odważny, czy zwyczajnie głupi.

Wypowiedział te słowa tonem, którego używał, gdy chciał wyprowadzić z równowagi Mad. Bezczelnym, aroganckim.

– Wiesz, że jestem alchemikiem, a mimo to mnie prowokujesz.

– A co, może zamierzasz mnie podpalić? – spytał Jaime, przechylając na bok głowę. – Śmiało, zrób to!

Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta.

– Wiesz, co myślę? – ciągnął Jaime. – Myślę, że nawet gdybyś chciał, to i tak niczego byś nie wskórał. Przyjechałeś tutaj, żeby uczyć się alchemii od Evelyn. Tak swoją drogą nie wydaje ci się, że jesteś na to trochę za stary? Jej ostatni uczeń miał dziesięć lat.

Do diabła z przyzwoitością. Ten drań zaraz dostanie łomot.

– Panie Winters.

*Margaret.*

Wes niechętnie odwrócił się do dziewczyny. W podmuchach zimnego wiatru hulającego po ulicy jej spódnica się wzduła, a z koka uciekło parę kosmyków. Wes miał wrażenie, że w chwili, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, słońce skryło się za chmurami. Maggie wpatrywała się w niego przymrużonymi oczami, z których jak się zdawało uleciał cały złoty blask. Przypominała teraz bardziej wilczycę niż dziewczynę, zupełnie jakby w jej żyłach krążyła magia o wiele dziksza od alchemii. Ten widok go otrzeźwił. Wes rozluźnił zaciśnięte pięści, ścięgną w knykciach z trzaskiem powskakiwały na swoje miejsca.

– Lepiej już chodźmy – odezwała się Maggie. – Musimy jeszcze kupić składniki, których będziesz potrzebował.

Jaime wyciągnął brodę w jej kierunku.

– No, na co czekasz? Bądź grzecznym chłopcem.

Margaret zacisnęła usta. Jednak jej twarz pozostała nieprzenikniona.

Jak ona mogła znosić takie traktowanie? A może znosiła je od tak dawna, że przychodziło jej to z łatwością? W obliczu jej bierności wahał się między współczuciem a gniewem. Ta dziewczyna doznała zbyt wiele okrucieństw. Ale Wes nie byłby sobą, gdyby odszedł z pola bitwy, nie utoczywszy chociaż paru kropli krwi.

– Bardzo było miło znowu cię spotkać, Annette. Do zobaczenia.

Jaime zauważył uśmiech, jakim Annette odpowiedziała na słowa chłopaka. Jego uwadze nie uszedł też fakt, że Wes z rozmysłem podkreślił słowo „znowu”. Twarz Harringtona wykrzywił grymas bezsilnej wściekłości. Wes zyskał pewność, że po pierwszym starciu to on jest górą.





o prawda wiedziała, że nie ma prawa się na niego złościć, ale gdy przechadzali się po mieście, gniew okazał się silniejszy. Tłumaczyła sobie, że po prostu jest przemęczona i drażliwa, jak zawsze, gdy przydarzał jej się taki epizod. Tyle że takie racjonalne wyjaśnienia wcale nie poprawiały jej humoru. Spokoju nie dawała jej scena, której była świadkiem – Wes popisujący się przed Annette Wallace, jak egzotyczny ptak stroszący piórka przed samicą. I nawet teraz, kiedy szli ramię w ramię, kątem oka widziała, że chłopak uśmiecha się do siebie jak skończony idiota. Wystarczyło spuścić go z oka na pół godziny, by rozjuszył Jaimego jeszcze bardziej niż dotąd. Nie można zostawiać go samego, nawet na sekundę. Ten chłopak jest jak ząbkujący szczeniak.

– Widzę, że poznałeś kogoś.

– Możliwe – przyznał z szerokim uśmiechem, który po chwili zmienił się w grymas wyrażający służalczość. – Zazdrosna?

– Nie.

– Hmm – mruknął.

Dla Maggie taki dźwięk, wyrażający niedowierzanie, a równocześnie kokietujący, był czymś nieznanym.

Poły jego trenzu zwisały niczym druga para ramion. Teraz znowu wyglądał tak jak zawsze – to znaczy absurdalnie – ale Maggie przed oczami miała jego twarz sprzed chwili, gdy wdał się w sprzeczkę z Jaimem: obnażone zęby i nienawistny wzrok. Gdyby się nie wtrąciła, rzuciłby się z pięściami na Harringtona. Maggie nie miała co do tego wątpliwości. Może zresztą powinna była mu na to pozwolić.

– Tłumaczyłam ci już, że Jaime to nie jest człowiek, z którym warto zadzierać.

– Nie boję się go. Poza tym to on zaczął. Ja pilnowałem swojego nosa.

– Twoim zdaniem ostentacyjne flirtowanie z Annette Wallace to pilnowanie swojego nosa?

– Wcale nie flirtowałem z nią ostentacyjnie!

– On jest w niej zakochany.

– Ja też.

Margaret przewróciła oczami. Jaime durzył się w Annette od dziecka, wszyscy o tym wiedzieli. Nawiasem mówiąc, przez cały ten czas ona ani razu nie dała mu do zrozumienia, że odwzajemnia jego uczucia. Raz doprowadził Sam Plummer do płaczu, bo miała czelność zaprosić Annette na kawę.

– Niepotrzebnie go prowokujesz – ciągnęła Maggie. – Jeśli nie będziesz mu wchodził w drogę, i przestaniesz wdzięczyć się do jego ukochanej, Jaime da ci spokój.

– Czy ciebie też widziano w mieście z Annette? Bo jeśli mnie wzrok nie mylił, z jakiegoś powodu Jaime na ciebie także się wziął.

Mówiąc to, świdrował Margaret wzrokiem, co niezbyt jej się podobało. Poczułaby się lepiej, gdyby wyznała mu prawdę. Ale za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, że mówi: „To dlatego, że jestem Yu’adir”, język stawał jej kołkiem. Obawiała się tego, jak zareaguje, i doprowadzało ją to do szału. Nie wiedziała, czego lękała się bardziej: litości czy obrzydzenia.

– Jest rozsierdzony. Czuje się zagrożony.

– Jasne. Tylko nadal nie rozumiem, dlaczego miałby się czuć zagrożony akurat przez ciebie.

– Nie widziałeś jeszcze, jak strzelam – odparła lakonicznie. – Może mam ci zrobić pokaz?

– Nie trzeba – odparł, wyrzucając w górę ręce w geście kapitulacji. – Mam wystarczająco bujną wyobraźnię. Poza tym co byś beze mnie poczęła, gdybym nie mógł cię dręczyć?

Widząc szelmowski błysk w jego oku, uznała, że Wes i tak nie posłucha jej rady. Domyślała się też, że drążąc ten temat, doprowadzi do tego, że Annette wyda mu się jeszcze bardziej warta zachodu.



Skoro chciał wpakować się w kłopoty, których przecież mógłby uniknąć, to jego sprawa i nic jej do tego.

Wraz z zapadającym półmrokiem popołudnia w sklepikach zapalały się światła. Wes zaglądał we wszystkie mijane witryny, ale najdłużej zatrzymał się przy zakładzie krawieckim. Z wielką tęsknotą wpatrywał się w garnitur prezentowany na wystawie. Margaret była pewna, że zostawi na szybie odcisk swojej twarzy. Wyrafinowane haftowane zdobienia na rękawach – barwne niczym woda oceanu, w której przegląda się wstające słońce – były bez wątpienia warte więcej niż istnienia ich obojga razem wzięte.

– Chodź – ponagliła Maggie. – Panny Morgan powinny mieć wszystko, czego potrzebujesz.

Podeszli chodnikiem do sklepu V.K. Morgan i stanęli na progu. Kiedy pchnęli drzwi, powitało ich radosne brzęknięcie dzwoneczka. Sklepik mieścił się w niedużym lokalu, ciasno zastawionym półkami z towarami. Asortyment był szeroki: handlowano tu lekami, artykułami spożywczymi, a nawet cygarami. W rezultacie w powietrzu wiecznie unosił się smrodek przywodzący na myśl wypaloną świecę. Wyblakłe na słońcu poroże umieszczone na suficie pełniło funkcję ponurego żyrandola.

Turyści, którzy niczym wezbrana rzeka przez cały dzień przelewali się przez sklep, ogołocili półki niemal do cna. U panien Morgan zaopatrywało się całe Wickdon. Właścicielki przy codziennej klienteli wychodziły na swoje, ale prawdziwe pieniądze zarabiały na zamówieniach na futra od alchemików z Dunway. Katalogi mody były pełne reklam wzbogaconych alchemicznie ubiorów: etole z futra norki nasycone diamentowym blaskiem, obszyte futrem pelerynki nasączone esencją pieprzu dla ochrony przed chłodem, eleganckie płaszcze z króliczego futra wzbogacone o wodoodporne właściwości ropy naftowej.

Bliźniaczki Morgan siedziały za ladą niczym dwie siwe wrony przycupnięte na przewodzie telefonicznym. Na głowach obu tkwiły kapelusze z szerokim rondem, spod których falami wylewały się identycznie rude długie włosy.

– Ojej, Katherine. – Vivienne wychyliła się w przód. Kiedy wsparła się dłońmi o szklany blat lady, zadzwoniły złote pierścienie

wysadzane fragmentami kości. – Wygląda na to, że Maggie Welty znowu do nas zajrzała.

– W rzeczy samej. Bardzo dawno jej nie widziałyśmy.

– Nie, nie tak dawno. Zapomniałaś już? Była u nas jakieś dwa tygodnie temu.

– Głupstwa wygadujesz, Vivienne. Nie robiła u nas zakupów od miesiący.

Mówiły z jakimś dziwnym śpiewnym akcentem, właściwym tylko dla nich, jako że obie urodziły się i wychowały w Wickdon. Wes, będąc świadkiem tej dziwnej sprzeczki, wytrzeszczał w zdumieniu oczy na Margaret.

Maggie już w dzieciństwie zaczęła podejrzewać, że Katherine i Vivienne to w rzeczywistości ta sama osoba, co nawiasem mówiąc, zdawała się potwierdzać nazwa sklepu – V.K. Morgan. Obie wyglądały tak samo, w identyczny sposób się wysławiały. Chętnie posługiwały się formą *pluralis maiestatis*, a przysłuchując się ich rozmowom, można było odnieść wrażenie, że potrafią czytać sobie w myślach. Większość mieszkańców kontakt z nimi wytrącał z równowagi, ale Margaret zdążyła się już do nich przyzwyczaić. Nie miała innego wyjścia, zważywszy, że tylko one były zainteresowane zakupem tego, co miała do zaoferowania.

– Nie zwracaj na nie uwagi – poradziła Wesowi. – Kupimy, czego potrzebujesz, i wychodzimy.

Wes otwierał usta, szykując się do odpowiedzi, gdy spoczęły na nim bystre spojrzenia obu starszych pań.

– A to kto? – spytała Katherine.

To wystarczyło, by zaszła w nim błyskawiczna przemiana. Wes płynnym ruchem zbliżył się do lady i oparł o nią łokciami. Uśmiechając się promiennie, aksamitnym głosem powiedział:

– Weston Winters. Bardzo mi miło.

– Och, i nam jest bardzo miło, panie Winters – zaszczebiotała Katherine.

– O tak, bardzo – skwapliwie potwierdziła Vivienne.

Ten chłopak nigdy nie miał dosyć. Najpierw smalił cholewki do Annette Wallace, a teraz nie przepuścił nawet bliźniaczkom Morgan. Maggie zachodziła w głowę, jakim cudem kobiety tak łatwo dawały się nabrać na jego słodkie słówka. Dlaczego nie potrafiły go

przejrzeć? Wszystko, co mówił i co robił, służyło wyłącznie pozyskaniu sympatii innych. Jego rozpaczliwe zabieganie o uznanie było takie żenujące.

Podczas gdy Wes zabawiał rozmową panie, Maggie krążyła pośród regałów sklepowych, rozglądając się za składnikami, których chłopak zażyczył sobie do swoich eksperymentów. Przyczajona za małą stertą osmu, przyglądała mu się z daleka. Wpadające przez okno światło magicznej godziny oblewało go ciepłym, złocistym blaskiem. Zwrócony do Vivienne, Wes rozprawiał o czymś z wielkim ożywieniem. Niski, zmysłowy ton, jaki przybrał, oraz jego rozluźniona postawa sugerowały, że ni mniej, ni więcej, tylko flirtuje ze starszą panią. Teoretycznie widok ten powinien ją śmieszyć. Ale szybko zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd nie widziała, by panie Morgan były tak... oczarowane.

A może to ja byłam ślepa?

Uświadomiła sobie, że urok Westona to nie tylko beztroski uśmiech i szczere spojrzenie, to coś więcej niż jego prosta, niemal obezwładniająca przyjacielskość. Przyciągał do siebie ludzi niczym magnes, ponieważ umiał sprawiać wrażenie, że jest po uszy zakochany w tym, z kim rozmawiał. Nagle uzmysłowiła sobie, że wpatruje się w niego od dłuższej chwili. Ale było już za późno. Wes, jakby wyczuwając na sobie jej wzrok, posłał jej dyskretnie figlarne spojrzenie. Błysk w jego oczach przywodził na myśl lśnienie wypolerowanego dżetu, w którym odbija się słońce. Na ustach Wesa zjawił się przebiegły, koci uśmiezek. Chłopak mrugnął do niej. Naprawdę to zrobił.

Boże, czasami budził w niej tylko pogardę. Istniał wyłącznie po to, żeby działać jej na nerwy. Był przypomnieniem, że podczas gdy jemu wszystko przychodziło z łatwością, dla niej to samo było drogą przez mękę.

– Jesteś nowym uczniem Evelyn? – zainteresowała się Katherine.

– Niezupełnie – odparł. – To znaczy stanę się nim, dopiero gdy pani Welty wróci z podróży. Do tego czasu zamierzam pomóc panie Welty w gonie w roli alchemika. A przy okazji chciałem dotrzymać jej towarzystwa na zakupach, no i rzecz jasna poznać jej uroczych sąsiadów.

– To szalenie miłe z pana strony. Od dawna już nie mieliśmy własnego alchemika. Od bardzo, bardzo dawna. Nikt nie interesuje się naszym miasteczkiem.

– Jak mógłbym się nie zainteresować? Urocze sklepy, zachwycające widoki, przepiękne kobiety...

Bliźniaczki zarechotały. Margaret po cichu liczyła, że w końcu pokażą fircykowi, gdzie jego miejsce. Ale Vivienne powiedziała tylko:

– Pochlebstwami niewiele u nas wskórasz.

Serdeczny ton starszej pani zdradzał jednak, że wbrew jej zapewnieniom pochlebstwa to najkrótsza droga do serc panien Morgan.

Margaret wrzuciła do torby bryłę osmu, po czym zaczęła buszować po półce zastawionej źle opisanymi szklanymi buteleczkami. Znalazszy olejek kamforowy, którego szukała, podeszła do lady i położyła na niej wybrane produkty. Wes rzucił jej rozbawione spojrzenie, które dodatkowo wyprowadziło ją z równowagi.

– Mam tu coś, co chciałabym wam pokazać.

Sięgnęła do torby, wyjęła z niej lisie futro i delikatnie niczym ślubny welon rozłożyła na ladzie. Siostry w milczeniu wzięły futro do rąk, przez chwilę wrywały je sobie i podnosiły do światła, jakby był to banknot, a one chciały się upewnić, że nie mają do czynienia z falsyfikatem. Pod ich ruchliwymi palcami białe i czerwone włoski drżały niczym poruszana wiatrem pszenica. Maggie zdawała sobie sprawę, że to piękne futro. Większość lisów w okolicach Wickdon była nieciekawie umaszczona, niemal bura. Temu futru pisane jednak było ozdobić szyję jakiejś zamożnej kobiety.

– Trzy dolary – oświadczyły jednym głosem bliźniaczki Morgan. Wcześniej nie naradzały się, nie wymieniły się nawet spojrzeniem.

– Sześć.

– Ojej – westchnęła niepokieszona Vivienne. – Cztery.

– Na ulicy znajdę chętnego, który da mi dwa razy więcej. Robię to, żeby wyświadczyć wam przysługę.

Margaret widziała, jak duma walczy w nich z wyobrażeniem o tym, jaki piękny będzie płaszcz, który ozdobi takie futro.

W końcu odezwała się Katherine:

– Pięć. Przykro mi, ale więcej nie możemy dać.

– Zgoda. Wydajcie mi resztę.

Katherine odliczyła pieniądze. Kwota była na tyle duża, że miała wystarczyć na ich utrzymanie przez najbliższe parę tygodni.

– Gotowa? – zagadnął Wes.

– I to jak.

Kiedy tylko znaleźli się na ulicy, znów zagotowało się w niej od gniewu. Bardzo cichym i spokojnym głosem powiedziała:

– Lepiej się do tego nie przyzwyczajaj. Przegramy, jeśli cały swój czas będziesz przeznaczal na nawiązywanie nowych znajomości.

– Rozchmurz się. Jaki „cały czas”? To było tylko pięć minut. Po prostu chciałem zachować się uprzejmie. Nie zaszkoziłoby, gdybyś też kiedyś spróbowała.

Najchętniej spojrzałaby mu teraz hardo w oczy, może wtedy dotarłoby do niego, że nie o to jej chodziło. Nic z tego, świadomość, że kotłują się w niej emocje, których wolała nie nazywać, sprawiła, że odwróciła się na pięcie od Wesa i nie oglądając się na niego, ruszyła w stronę rogatek.

Musiał truchtać, żeby dotrzymać jej kroku.

– Hej, o co chodzi?

– Mam wrażenie, jakbyś rzucił na wszystkich jakiś urok. Nie rozumiem tego.

– Może dlatego, że uroczy ze mnie chłopak?

– Bynajmniej.

– Naprawdę uważam, że powinnaś być dla mnie miłsza – stwierdził naburmuszonym tonem. – Wiele dla ciebie ryzykuję.

– A co pomyślałabyś sobie Annette, gdybym ni stąd, ni zowąd zaczęła być dla ciebie miła?

Nagle w twarzy Wesa zaszła jakaś dramatyczna zmiana. Widziała, jak w jego oczach odbija się cały, nieskończenie długi ciąg katastrofalnych scenariuszy. W ułamku chwili zostały zdeptane wszystkie jego rojenia o wspólnej przyszłości z Annette. Zadowolona z efektu, jaki odniosły jej słowa, Margaret odwróciła się na pięcie. W tym samym momencie Wes wyciągnął rękę i schwycił ją za pasek torby.

– Chwileczkę. Ty jesteś zazdrosna.

Na tym właśnie polegał problem. Była zazdrosna.

Ale, ściśle biorąc, to nie Annette budziła jej zazdrość. Mogła jej zazdrościć jedynie tego, że Wes niedługo się nią znudzi, a wtedy Maggie już nigdy się od niego nie uwolni. To nie uwagi Westona pragnęła. Mówiąc precyzyjniej: *nie jego* uwagi. Mimo że spędziła w tym miasteczku całe życie, niewiele osób patrzyło na nią z taką sympatią jak na tego outsidera. Ci, którzy nie pałali w stosunku do niej nienawiścią z powodu jej nieczystej krwi, odnosili się do niej ze współczuciem. I właśnie o to miała do niego żal, choć zarazem zdawała sobie jasno sprawę, że to nie fair. Wprawdzie wiedziała, że to niemożliwe, ale nie chciała, by jej istotą pozostały smutek i strach. I oczywiście nie miała zamiaru nigdy mu o tym powiedzieć.

Wyswobodziła się z uchwytu Wesa i przepchnęła się obok niego. Uszła tylko parę kroków, nim ją dogonił.

– Zaczekaj chwilę, dobrze?

Zazwyczaj jego spojrzenie tryskało humorem, tliły się w nim iskry przyszłych intryg. To, które utkwił w niej teraz, było ponure. Maggie odniosła wrażenie, że całkowicie do niego nie pasuje.

– Nie umiem czytać ci w myślach, wiesz? Możemy dalej bawić się w kotka i myszkę albo porozmawiać szczerze.

Na myśl, że ten chłoptaş byłby w ogóle w stanie zrozumieć cokolwiek z jej życia – nawet coś tak błahego jak to – ogarniał ją pusty śmiech. Ale może go nie doceniała? Pod tym jednym względem byli do siebie bardzo podobni, choć nadal nie była pewna, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie. Nawet jeśli Wes spotykał się w życiu z taką samą dyskryminacją jak ona i nawet gdyby Maggie chciała mu się zwierzyć, co właściwie miałyby powiedzieć? Żyła pozamykana za tyloma drzwiami, że nie umiała już ich otworzyć.

– Nie mamy o czym rozmawiać. Ten poważny ton w ogóle ci nie pasuje, Wes.

Na mgnienie oka wydawało się, że jej słowa go zraniły. Ale już chwilę później, zupełnie jakby to, co dostrzegła przed momentem, było tylko psikusiem spletanym jej przez umysł, twarz Wesa skryła się za typową dla niego maską bez troski. I znowu był niewrażliwy na nic.





es sięgnął po kubek i pociągnął duży łyk kawy. Niemal natychmiast z obrzydzeniem wypluł zimną breję z powrotem do naczynia. Na przestrzeni ostatnich dwóch dni zgromadził wokół siebie tak wielką kolekcję kubków, że całkiem już zapomniał, w których jest kawa nadal nadająca się do picia. Pojękując, przetarł załzawione oczy i spróbował się zorientować, która może być godzina.

Skrawek nieba widoczny za oknem przybrał już ciemną barwę ametystu. Pracownię Evelyn spowijał mrok, jeśli nie liczyć alembików, w których bladym światłem migotało *coincidentia oppositorum*, czyli płynny produkt uboczny *albedo*. Kiedy ostatnio sprawdzał porę dnia, było wczesne popołudnie. Mógłby przysiąc, że minęła tylko chwila, a teraz za oknem robiło się już ciemno. Jak zawsze przy pracy tracił poczucie czasu.

Do pokazów alchemicznych pozostały już tylko cztery dni. Każdą chwilę Wes przeznaczał na obliczanie masy molowej, eksperymenty z rozmieszczeniem runów i destylowanie jednej porcji *coincidentia oppositorum* za drugą. Pomieszczenie cuchnęło już siarką i solanką, ale przynajmniej zdołał opracować kilka sensownych prototypowych rozwiązań. Ponieważ Margaret zależało na amunicji, zmuszony był przyswoić sobie w ekspresowym tempie podstawy balistyki. I teraz na brzegu jego biurka, niczym zabawkowe żołnierzyki, stały trzy lśniące naboje.

Najważniejsza była moc obalająca, to znaczy zdolność pocisku do porażenia celu. Nabój sam w sobie jest zupełnie nieszkodliwy. Tym, co przynosi śmiertelny efekt, jest przeniesienie energii z pocisku do ciała. Cała sztuka polegała na tym, by w możliwie



największym stopniu zwiększyć moc obalającą, to znaczy ilość energii, jaką mieści w sobie pocisk. Z lekcji chemii i fizyki, jakie przyswoił sobie przez ostatnie lata, wiedział, że można tego dokonać na kilka sposobów. Pracując nad pierwszym nabojem, skupił się na obniżeniu jego gęstości. Drugi zaczarował tak, by spotęgować jego tarcie. Przy trzecim zwiększył jego pojemność cieplną. Pozostawało jeszcze poprosić Margaret, żeby je przetestowała. W ostatnim czasie coraz trudniej było ją złapać. Widywał ją tylko przelotnie, gdy pojawiała się za oknem, by zaraz znów przepaść, galopując na swoim koniu Migotku, z Kłopotem pędzącym za nimi.

Wes popchnął jeden z naboju i patrzył, jak toczy się po blacie biurka. Był pewien, że przynajmniej jeden z nich zadziała, ale i tak nie był zadowolony z rezultatów swojej pracy. Zadaniem alchemika jest poszukiwanie prawdy, a on nie mógł pozbyć się przecucia, że wszystkim parającym się tą sztuką umyka coś o kluczowym znaczeniu.

Od zakończenia wojny światowej, do którego doszło przed około piętnastoma laty, alchemicy byli hojnie wspierani przez wojsko. Czy można się dziwić, że w tym czasie opracowali broń palną, o której stworzeniu Wes i inni cywilni alchemicy mogli tylko pomarzyć? Ale skoro wiedza ta była dostępna ludziom, dlaczego od blisko stu pięćdziesięciu lat hala wodziła za nos wszystkich łowców Nowego Albionu? Ostatnia odnotowana śmierć demiurga miała miejsce w 1718 r., a więc blisko dwa stulecia temu. Co takiego wiedzieli ludzie tamtej epoki, co pozostawało nieuchwytnie dla Wesa?

We wszystkich katarskich legendach na temat uśmiercania demiurga powtarzały się trzy stałe elementy: bohater władający boskim orężem, pełnia księżyca i bestia, której posoka ma srebrny kolor. Srebrna krew Wesowi kojarzyła się z *coincidentia oppositorum*, a ponieważ alchemia zawsze, niezależnie od czczzonego boga, stanowiła ścieżkę wiodącą ku temu, co boskie, Wes musiał zaufać mądrości zawartej w tych opowieściach. Oto co z nich wynikało: demiurga można zabić za pomocą alchemii przy pełni księżyca, gdy jego blask pada na ziemię, tworząc coś na podobieństwo kręgu transmutacji. Kwestią otwartą pozostawało: jak tego dokonać? Alchemia to nic innego jak sprowadzanie materii do jej esencji. Jeśli jednak prawdą było, że demiurgów można sprowadzić do eteru,

będącego budulcem całego wszechświata, z czego w takim razie zbudowane były ich ciała? Skoro byli prawdziwie boscy, oznaczałoby to rozkładanie na czynniki pierwsze samego Boga.

Margaret wspomniała kiedyś, że hala jest tym, czego jej matka pragnie najbardziej. Wynikałoby z tego, że Evelyn znała sposób zabicia demiurga. Może zapisała go gdzieś.

Wes podniósł się z fotela i podszedł do półek, oświetlonych widmowym pulsującym blaskiem bijącym od alembików. Na starych tomach osiadła gruba na palec warstwa kurzu, pierwotnie złocone grzbiety niektórych były wytarte od częstego używania. Jego uwagę przykuło kilka ksiąg stojących na najniższej półce. *Materia wszystkich form. Dusza żywiołów. Chrysopoeia Malachiasza*. Ostatnia pozycja była to niewielka publikacja o pożółkłych stronach, zachowana w marnym stanie. Wydawało się, że wystarczy spojrzeć na nią krzywo, by obróciła się w pył. Nadzwyczaj ostrożnie Wes zdjął ją z półki i zaniósł do biurka.

Książka zawierała wyłącznie ilustracje i przypominała bardziej czasopismo niż poważny podręcznik. Obrazki przedstawiały alembik opisany w nieznanym mu języku, podwójny krąg transmutacji pozbawiony wszelkich runów. Na ostatniej stronie książki znajdował się przedziwny rysunek: lisa pożerającego swój ogon. Jego całkowicie białe oczy były olbrzymie, narysowane gwałtowną czarną kreską.

Z jakiegoś powodu poczuł się nagle skrępowany. Zamknął książkę i odłożył ją na krawędź biurka. Jeśli *Chrysopoeia* zawierała jakąś sekretną instrukcję zabicia hali, było jasne, że nie zdoła przetłumaczyć jej samodzielnie. Może kiedy zacznie naprawdę terminować u Evelyn, nauczycielka wyjaśni mu, co to takiego – próbował się pocieszać, żeby dać odpór narastającej frustracji.

O ile, rzecz jasna, zdoła dzięki alchemii wyczarować coś, co faktycznie zabije halę.

Nie, to nie czas na rozpacz. Zostało jeszcze parę tygodni – w tym czasie będzie mógł dopracować szczegóły swojego projektu i przetestować swoje teorie. Na zbliżającym się pokazie wystarczy, że da próbkę swoich umiejętności i zrobi wrażenie na arbitrach, tak by przyznali im miejsce w pierwszej pogoni. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Jeśli marnie się spiszą na pokazie, teoretycznie nie zamknie

im to drogi do wygranej we właściwych zawodach, ale w praktyce stanie się ona niemożliwa. Łowcy z drugiej i trzeciej pogoni będą bez szans, by dotrzymać kroku ogarom.

Wes założył ręce na kark. Był zmęczony, podminowany, a co gorsza dokuczał mu napięciowy ból głowy – miał wrażenie, jakby ktoś próbował rozłupać mu czaszkę kilofem. Poczuł, że jeśli nie zaczerpnie zaraz świeżego powietrza, uśnie.

Zszedł na dół, chłonąc absolutny bezruch, w jakim pogrążył się dom. Margaret już jakiś czas temu skończyła trening jeździecki, ale żeby nie ryzykować spotkania z nim, od razu skryła się w swoim pokoju. Chciał zaproponować jej spacer, ale szybko doszedł do wniosku, że to kiepski pomysł. Nie miał dziś siły znosić kolejnych wyrazów antypatii ani wdawać się w sprzeczkę. Zdjął z wieszaka płaszcz, zarzucił go na ramiona i wyszedł z domu.

Na zewnątrz było piekielnie zimno. Zbliżył dłonie do ust i zaczął chuchać, żeby je rozgrzać. Bryła dworu czerniła się za jego plecami. Świeciło się tylko w jednym oknie – w pokoju Margaret. Dziewczyna siedziała przy oknie, a jej sylwetka odcinała się ciemną plamą na tle blasku. Jej niespodziewany widok wzbudził w nim całą burzę uczuć. Wolał się w nie zagłębiać – żadne z nich nie wróżyło niczego dobrego. Odwrócił się na pięcie i podążając nieutwardzoną drogą, wszedł w las. Nauczył się doceniać surowe piękno okolic Wickdon, chociaż sekwoje nadal robiły na nim równie niepokojące wrażenie jak w momencie przyjazdu tutaj. Były niesamowicie wysokie, a ich kora kojarzyła mu się z łuskami pokrywającymi ciało prastarego gada. Uszedłszy jakieś trzy i pół kilometra, dotarł do miejsca, w którym las się przerzedzał i otwierał widok na ocean. Ruszył pośród krzewów i po chwili znalazł wygodny kamień, na którym mógł przysiąść.

Pod nim, daleko w dole, na wietrze falowało żyto. Z jakiegoś powodu dopiero tutaj, kiedy znalazł się tak wysoko, łatwiej było mu zapanować nad myślami. Mimo że minęło już parę dni od ostatniego spięcia z Margaret, nadal przepęłniała go niechęć do niej. Czuł się niedoceniony, a w każdym razie niezrozumiany. Fakt, że reagował tak emocjonalnie, wzbudzał w nim gorzki śmiech. No ale prawda była taka, że słowa Maggie naprawdę go zaboląły.

„Ten poważny ton w ogóle ci nie pasuje, Wes”.

A łudził się, że etap tych gierek mają już za sobą. Przecież obnażył przed nią swoją duszę na wiele różnych sposobów, a mimo to ta dziewczyna zachowywała się, jakby do niczego nie doszło – jakby nigdy nie widziała go takiego, jakim jest. Wypowiedziała tamte słowa, żeby go zranić – a on nie mógł zrozumieć dlaczego.

Margaret była dla niego zagadką, jak zresztą każda inna dziewczyna, którą napotkał w życiu. W głębi duszy Wes nadal czuł się jak wtedy, gdy miał czternaście lat i nie mógł zrozumieć, dlaczego Erica Antonello przez cały tydzień traktowała go jak powietrze i przychodziła do szkoły z ustami pomalowanymi pomadką w kolorze wiśniowym. Erica nigdy wcześniej tak się nie zachowywała, a Wes nie miał pojęcia, czym sobie na to zasłużył, jeśli nie liczyć faktu, że jednego dnia po lekcjach zamiast Ericę odprowadził do domu Gail Kelly. Kiedy poskarżył się Colleen, która miała wtedy dziesięć lat, siostra przewróciła oczami i powiedziała: „A co tu jest do rozumienia? Dziewczyny to też *ludzie*, tak jak ty”.

Colleen zawsze, już jako dziecko, miała mądrość osoby starszej. Mimo upływu lat Wes nadal nie zdołał zgłębić tej mądrości. No jasne, że dziewczyny to też ludzie. Ludzie, których nie może zrozumieć.

Zadrżał, gdy wyjątkowo podstępny podmuch wilgotnego wiatru wślizgnął się pod jego płaszcz. Zdawało mu się, że wiatr niesie dyskretną woń reakcji alchemicznej. Kiedy świszczwał wokół niego, Wes mógłby przysiąc, że słyszy w nim swoje imię. Czy wszystko w tym miejscu sprzysięgło się, żeby wpędzić go w obłąd?

Wystarczy tych ponurych dumań jak na jeden wieczór.

Ostrożnie, klucząc między paprociami, skierował się ku drodze. Zawsze miał problemy z orientacją w terenie, ale wtedy przechodził już wiele razy. Czasami wydawało mu się wręcz, że mógłby trafić z powrotem do dworu z zamkniętymi oczami. Gdy jednak zbliżył się do ścieżki, stwierdził ze zdziwieniem, że nie przypomina sobie rosnących wzdłuż niej drzew. Cała okolica wydała mu się nagle nieznajoma. Wybujale sekwoje przypatrywały mu się z wysoka z niechęcią.

Zrobił jeszcze jeden niepewny krok i znieruchomiał, gdy pod jego butem coś zachlupotało. Nie miał pojęcia, co to takiego, ale cuchnęło siarką i zepsutym mięsem. Śmiercią.

Zmusił się, by spojrzeć w dół.

Okaleczone stworzenie leżące u jego stóp mogło być kiedyś królikiem, ale to tylko domysł. Z rany w brzuchu sączyła się krew i srebrny płyn. Na ziemi obok leżał zwój wnętrzości. Wes poczuł nagle, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Szybko ominął makabryczną przeszkodę. Splunął, żeby pozbyć się nadmiaru śliny. Tylko jeden drapieżnik był w stanie tak zabawiać się ze swoim pożywieniem.

Hala.

Ponieważ noc była pochmurna, blask księżycy w pierwszej kwadrze docierał na ziemię przytłumiony. Hala musiała czekać jeszcze dwa tygodnie, nim osiągnie pełnię swojej mocy. Sezon dopiero się rozpoczynał i było mało prawdopodobne, by chciało jej się zapolować na człowieka – a przynajmniej tak wydawało się Wesowi. Mimo to nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia, że coś obserwuje go z ukrycia.

Wyteżając wzrok, ponownie zlustrował otaczający go las, ale niczego nie dostrzegł. Noc wydawała się teraz cicha i spokojna niczym tafla wody w stawie. Nie docierały do niego trzaski łamanych gałązek ani szelest trącanych liści na krzewach. Był sam.

I właśnie wtedy rozległ się szum wiatru. Jakiś upiorny, cichy głos wyszeptał: Westonie.

Opuścił powieki. A kiedy po chwili otworzył oczy, dojrzał coś pośród liści paproci. Pozbawione źrenic białe ślepie patrzyły prosto na niego. Były jasne niczym gwiazdy. W pierwszej chwili pomyślał, że to halucynacja, że być może w końcu uległ zatruciu alchemicznymi wyziewami. Ale to nie było to.

Przed sobą naprawdę miał lisa, białego niczym kość.

Wes zatoczył się do tyłu. Hala przypatrywała mu się, a jej rozumne spojrzenie miało w sobie coś ludzkiego. Poczuł, jak jego krew ścina mróz. Już raz ją widział na własne oczy, ale wtedy byli wokół niego inni ludzie. Spotkanie z nią sam na sam było czymś zupełnie innym. Wtedy, gdy oddzielała go od hali Margaret i jej broń, widok mitycznego stworzenia wzbudził w nim nabożną cześć. Teraz zareagował zupełnie inaczej – poczuł zwierzęcą grozę. Nie miał się gdzie schować, a od przeciwnika dzieliły go tylko trzy metry.

Matka nauczyła go, jak powinien zachowywać się w obliczu demiurga. Jako wyznawca sumizmu powinien błagać o przebaczenie

za wszystkie swoje grzeszne myśli i uczynki. Zabobony Banwiszów domagały się w takiej sytuacji bardziej konkretnego działania – zgodnie z nimi należało złożyć ofiarę w postaci krwi, śmietany albo kromki chleba pokropionego miodem. No ale na to drugie rozwiązanie było już za późno.

Pozostawała modlitwa.

Wes uklęknął. Nie zarejestrował momentu, gdy hala się poruszyła. W jednej chwili była tam, w następnej stała bliżej. Wycie wiatru się wzmogło. Chłopak wstrzymał oddech, uszy wypełnił mu łomot serca.

„Boże, ochroń mnie. Poprowadź mnie”.

Bestia była już tak blisko, że wyraźnie czuł bijącą od niej woń: soli, siarki i żelaza. Spojrzenie bezdennych ślepi demurga miało hipnotyzującą moc. W Wesie wezbrała groza. Bestia rozwarła szeroko paszczę, zupełnie jak wąż, i chłopak ujrzał krew lśniąca na jej kłach. Jego twarz owionął bijący od bestii chłód.

Zaraz zginie.

Uciekaj, ponaglał szeptem wiatr. Uciekaj, uciekaj, uciekaj.

W momencie, gdy hala skoczyła w jego kierunku, Wes poderwał się z ziemi i rzucił do ucieczki. Nie zwalniał ani na moment, mimo że gałęzie mijanych drzew orały mu skórę. Potknął się o wystający z ziemi korzeń, ale nie upadł. Nie zwolnił kroku, nawet gdy w jego kolanach eksplodował ból. Biegł ile sił w nogach, ignorując narastające palenie w płucach. Nie miał pojęcia, jaki dystans pokonał, gdy ujrzał przed sobą kołyszącą się na wietrze bramę dworu Welty.

Minął ją i jednym susem pokonał schody na werandę. Przez dłuższą chwilę mocował się z zamkiem, tak bardzo trzęsły mu się ręce. Kiedy wreszcie wpadł do środka, momentalnie zatrzasnął i zaryglował za sobą drzwi. A chwilę potem osunął się bezwładnie na podłogę.

Całe ciało miał obolałe. Czuł pulsujący ból w zmuszonych do wielkiego wysiłku mięśniach. Kostka, którą lekko skręcił, kiedy nastąpił na korzeń, też dawała o sobie znać. To samo poraniona skóra na nogach nad butami. No ale żył. Żył.

– O kurwa mać... – Zaśmiał się histerycznie. I nie przestawał, dopóki twarzy nie miał całkiem mokrej od łez.

– Co ty wyprawiasz?

– Margaret – wycharczał.

Stała nad nim, z jedną ręką na biodrze. Rozpuszczone włosy okalały jej twarz. Tak bardzo ucieszył się na jej widok, że najchętniej chwyciłby ją za włosy i pocałował prosto w usta. Równocześnie myśl ta napawała go grozą. Musiała upłynąć chwila, nim uspokoił się na tyle, by móc się odezwać.

– Widziałem ją. O Boże, widziałem ją.

– Naprawdę?

Dziewczyna ukucnęła przy nim i przyjrzała mu się z niepokojem. Kiedy dotknęła jego policzka, Wes się wzdrygnął. Cofnęła rękę, ale palce miała już czerwone od krwi.

– Krwawisz – powiedziała.

Chwycił ją za nadgarstek. Tym razem nie próbowała uciekać przed jego dotykiem.

– Nie możemy tego zrobić.

– O czym ty mówisz? – spytała, a jej twarz znów stała się zacięta.

– Ona tam jest i czeka. Byłem... – Umilkł i zanurzył dłoń w potarganych na wietrze włosach. – Byłem... Niby jakim cudem mielibyśmy...

– Wes, uspokój się.

– Spojrzałaś kiedyś w jej oczy?

Nie potrafił znaleźć słów, które opisałyby grozę, jaka go ogarnęła, gdy patrzył w ślepią hali. Miał graniczące z pewnością podejrzenie, że gdyby nie odwrócił wzroku, zatraciłby się w oczach demiurga. Dopiero teraz, pierwszy raz w życiu, zrozumiał, dlaczego Sumici czczą halę.

– To było straszne – dodał po chwili.

– Wiem. – Po chwili namysłu Margaret spytała: – Chcesz zrezygnować?

Tak.

Boże, tak! Jeśli będzie to gwarancją, że nigdy więcej nie stanie oko w oko z tym czymś, chce zrezygnować, zdecydowanie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wraz z przybywaniem księżycy hala będzie stawać się coraz bardziej agresywna. Tyle że rezygnacja nie wchodziła już w grę, bo oznaczałaby, że wyrzeka się szansy na polepszenie losu swojej rodziny. Stawką było życie, które jest warte, by je przeżyć. Miał zamiar zaryzykować wszystko, by jego siostrom

żyło się łatwiej. Wolałby zginąć, niż kolejny raz przynieść im rozczarowanie.

– Nie – powiedział zachrypniętym głosem. – Dałem im słowo. Dałem tobie słowo. Nie mogę się teraz wycofać.

Widząc zaskoczenie, jakie odmalowało się na jej twarzy, zrozumiał, że spodziewała się innej odpowiedzi.

– Rozumiem. To bardzo wielkoduszne z twojej strony.

– Wiem, że poważny ton mi nie pasuje... – Nie dokończył, bo Margaret weszła mu w słowo:

– To nie tak, przepraszam. Zachowałam się niegrzecznie, nie o to mi chodziło. Byłam zdenerwowana i...

– Nic się nie stało – zapewnił. Nie mógł pozwolić, żeby zwierzała mu się tylko przymuszona wyrzutami sumienia. – Przez cały dzień cię podpuszczałem. Sam sobie jestem winien.

– Dlaczego zawsze jesteś taki uparty? – spytała łamiącym się, pełnym frustracji głosem. – To nieprawda, że „nic się nie stało”.

– Naprawdę nie szkodzi – powiedział, zniżając głos. – Pozwól, że chociaż w tej jednej sprawie zadecyduję sam, dobrze?

– Jak chcesz. – Zmieniając temat, spytała: – Gdzie się włóczyłeś?

Wes spiorunował ją wzrokiem. Wystarczył krótki moment i dziewczyna znów zaczynała się go czepiać.

– Wybrałem się na przechadzkę. Potrzebowałem chwili, żeby oczyścić umysł.

– Chwili? Zniknąłeś na ponad godzinę i nie raczyłeś poinformować mnie, dokąd się wybierasz ani kiedy zamierzasz wrócić. Kiedy wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że biegniesz, pomyślałam...

– Maggie, daj spokój. Chyba nie będziesz teraz płakać z mojego powodu. To jeszcze nie ten etap.

– Nie próbuj obracać tego w żart. Nie ma w tym nic śmiesznego. – Zacisnąwszy pięści, mówiła dalej: – Wcale nie miałam zamiaru płakać z twojego powodu. A już na pewno nie z powodu kogoś, kto samotnie wędruje po lesie po zmroku, jakby sam prosił się o śmierć. Hala wałęsa się po okolicy, a ty zdążyłeś narobić już sobie wrogów w miasteczku. Nie mam pojęcia, co ci strzeliło do głowy. Gdybyś zginął, co miałabym zrobić? Co poczęłaby bez ciebie twoja



rodzina? Ryzykowałeś, że wszystkie twoje marzenia i wysiłki pójdą na marne...

– Dobrze, dobrze – przerwał jej Wes. – Rozumiem. Jestem egoistą i kretynem. To chciałaś powiedzieć?

– Nie, nie to miałam na myśli. – Wypowiedziała te słowa łamiącym się głosem, od którego momentalnie zmiękło mu serce. – Próbuję po prostu powiedzieć – ciągnęła – że martwiłam się o ciebie.

– Margaret... – Wzruszenie na chwilę odebrało mu mowę. – Przepraszam.

Kiedy dziewczyna nakryła jego dłoń swoją, zamarł bez ruchu. Jej skóra była ciepła i zrogowaciała, ale dotyk okazał się zaskakująco delikatny.

– Musisz uważać. Wickdon to bardziej niebezpieczne miejsce, niż ci się wydaje.

Tak naprawdę zaczynał się tego domyślać. Tyle że dla niego owo niebezpieczeństwo nie kończyło się na hali, Jaimem ani na wzburzonym morzu. Znajdowało się tuż obok, w tej chwili miał je na wyciągnięcie ręki. Może była to zasługa światła albo krążąca w jego żyłach adrenalina zmieniała mu percepcję, ale mógłby przysiąc, że włosy Margaret utkane są z księżycowego blasku, a skóra skrzy się srebrzyście. I nagle odkrył, że choćby próbował, za żadne skarby nie może sobie przypomnieć, dlaczego całkiem niedawno ta dziewczyna wydawała mu się odpychająca.





es siedział w pracowni jej matki, pochylony nad podręcznikiem do alchemii, w dłoniach ściskając kubek świeżo zaparzonej kawy. Maggie nie mogła wyzbyć się odruchowego zaskoczenia, ilekroć w szparze uchylonych drzwi dostrzegała jego sylwetkę. Podczas studiów przy biurku przyjmował taką samą pozę jak Evelyn. Przypominało jej to szczęśliwy czas, gdy pracownia była jeszcze bezpiecznym miejscem, nienawiedzanym przez duchy przeszłości. Kiedy matka pracowała do późnej nocy, Maggie i David zaglądali tęsknie do pracowni, dopóki Evelyn ich nie dostrzegła. W takich chwilach na jej zmęczonej twarzy pojawiał się uśmiech.

Teraz też przez uchylone drzwi z pomieszczenia sączyło się ciepłe od alchemicznych fluidów powietrze. Cały dom witał tę zmianę temperatury, biorąc głęboki, powolny wdech, jak ktoś budzący się z długiego snu. Te ściany tęskniły za swoim alchemikiem.

Trzy dni temu przetestowała przygotowane przez Wesa prototypy. Kiedy rozmawiali o nich, była pod wrażeniem jego, choć skądinąd mętnych, wypowiedzi na temat gęstości metali i wydatkowania energii kinetycznej. Kiedy jednak przyszło do sprawdzenia rezultatów w praktyce, efekt pozostawiał wiele do życzenia. Pocisk o zredukowanej gęstości odbił się od celu, wyrządzając mu równie niewielką szkodę jak kropla deszczu. Ten o zwiększonej pojemności cieplnej okazał się tak gorący, że nie dało

się go dotknąć. Z kolei model pocisku o wyższym tarciu w ogóle nie spowodował żadnych widocznych skutków. Mimo to, testując go, Wes mruzczał coś pod nosem i strzelał palcami, jakby właśnie ujrzał coś w nowym świetle.

Pokaz alchemiczny miał się odbyć nazajutrz. Otwierał właściwy sezon łowiecki i dla wielu uczestników miał się okazać rozstrzygający o tym, czy będą mieć jakiegokolwiek szanse na wygraną. Jeżeli Wes nie zaprezentuje czegoś, co naprawdę działa, zostaną zesłani do trzeciej pogoni. Wówczas, nawet gdyby jakimś cudem zdołali osaczyć halę, Margaret nie będzie miała szansy, by ją zabić.

Ale i tak jej zdaniem nie powinien się przemęczać. Dochodziła piąta rano, a on nadal ślęczał nad książką, niepotrzebnie zużywając energię elektryczną i ewidentnie walcząc z sennością. Maggie widziała, że opadają mu powieki. Jedną dłoń trzymał zanurzoną we włosach, palcem wskazującym drugiej dźgał czytaną stronicę. Lektura przychodziła mu z widocznym trudem – marszczył brwi i bezgłośnie wypowiadał czytane słowa. Jego głowa powoli opadała coraz niżej, aż wreszcie policzek wylądował na otwartej książce.

W takim tempie odcyfrowanie pierwszej strony zajmie mu cały poranek.

Światło lampy okalało jego twarz ciepłym blaskiem. Gęste rzęsy kładły się cieniem na wysokości kości policzkowych. Rysy Wesa w tym oświetleniu wydawały się zmiękczone i Margaret nie mogła się zdecydować, czy podoba jej się w takim wydaniu. Na co dzień ten chłopak, ze swoją wiecznie zmierzwioną fryzurą i donośnym głosem, przypominał jej jakiś dziki, niepowstrzymany żywioł. Za to teraz wydawał się taki...

Wyrwała się z tych dziwnych rozmyślań i przycisnęła do piersi trzymaną książkę. Nie przyszła tu przecież po to, żeby go podglądać. Czytała i w pewnym momencie zachciało jej się herbaty – chwili relaksu przed czekającym ją treningiem. Napotkała go jednak w takim stanie, a marzenia i jego irytująco pociągająca twarz sprawiły, że na moment odplynęła myślami gdzie indziej. Nie znajdowała słów, które oddałyby odczuwaną przez nią frustrację, i właśnie to ją martwiło. Wes był zdolny, miał potencjał. Był inteligentny, zdeterminowany i miły, tylko że równocześnie był też...

Słowo, którego potrzebowała, nadal nie przychodziło. Wiedziała tylko, że to, jaki jest, nie wystarczy. Ażeby przywiązanie, jakie do niego odczuwała, nabrało sensu, musiał stać się... no właśnie... bardziej jakiś.

Kiedy chłopak zaczął pochrapywać, Margaret z westchnieniem sięgnęła do kieszeni i znalazła w niej kartkę ze starą listą zakupów. Zmiała ją w dłoni, zamknęła jedno oko, wycelowwała. Przypominało to chwilę poprzedzającą strzał, gdy wszystko wokół zamiera. Wyobraziła sobie, że bierze go na muszkę, po czym wysokim łukiem rzuciła w chłopaka kulka papieru. Pocisk trafił w skroń z cichuteńkim „pac”, po czym odbił się i wylądował na podłodze.

Wes podskoczył na fotelu i usiadł wyprostowany jak struna. Przez chwilę wymachiwał na wszystkie strony ramionami, jak ktoś starający się uwolnić z pajęczej sieci. Wreszcie jego oczy oswoiły się z ciemnością i dojrzał ją stojącą przy drzwiach.

– A to za co?

– Żebyś się nie obijał. Masz czas tylko do jutra.

Pomrukując coś z niezadowoleniem, zaczął trzeć oczy.

Po chwili wahania Margaret przekroczyła próg pracowni. Czekala, aż trwoga, która zawsze ją tu dopadała, chwyci ją za serce; aż świat przed oczami skryje się za mgłą. A jednak łagodne światło lampy i obecność chłopaka wystarczały, by trzymać wspomnienia na dystans. Gdzieś w mrocznych zakamarkach pokoju trwał w uśpieniu wypalony krąg transmutacji. Ośmielona, podeszła do biurka i usiadła obok niego. Pomyślała, żeby przyniesioną książkę położyć na blacie, ale szybko się zreflektowała – pewnie sprowokowałaby go do kpin, a tego wolala unikać. Dyskretnie wsunęła tom za plecy i ułożyła na swoim krześle, po czym przyjrzała się uważniej miejscu pracy Westona.

Jego notatki przypominały chaotyczne gryzmoły – niektóre zapisy sporządzone były na skos, inne na marginesach, jeszcze inne w sposób zupełnie dowolny opatrzone odnośnikami w kształcie gwiazdek. Przyglądając się temu bałaganowi, można było odnieść wrażenie, że umysł chłopaka działa niczym spuszczonej ze smyczy ogar na polowaniu, co rusz gnający w zupełnie nieprzewidzianym kierunku. Na widok tego chaosu Maggie poczuła, że cierpnie jej skóra. Jej światem była metoda, wzór – jak rozebrać na części

i wyczyścić broń, jak oskórować jelenia, jak wytresować ogara. Tymczasem to tutaj było czystym szaleństwem.

– Wcześniej wstałeś.

– Jeszcze się nie położyłem – uściślił. – Siedziałem nad tym całą noc.

– Nie przeczytałeś nawet jednej czwartej – zauważyła, stukając palcem w otwartą stronę.

Spojrzał na nią koso. Przysunął książkę do siebie, jakby chciał ją chronić.

– Wiem o tym.

– Opracowałeś już nową wersję pocisku?

– Jeszcze nie.

– Spodziewasz się, że znajdziesz tu odpowiedź na swoje wątpliwości?

On jednak demonstracyjnie przestał zwracać na nią uwagę. Zamiast tego skupił się na stawianiu kolejnych koślawych liter w notatniku. Margaret zdawała sobie sprawę, że pastwi się nad nim, ale nie miała skrpułów. Z jej uczuciami nigdy się nie liczone.

– Pokaz jest jutro.

– Już to mówiłaś.

– Dlaczego w takim razie się objasz?

– Nic podobnego – odburknął, rzucając jej poirytowane spojrzenie.

Maggie sięgnęła do notatek.

– Ejże!

Rozpostarła je na stole niczym talię kart do gry. Oprócz tego, że zapiski były chaotyczne, roiło się w nich od rażących błędów: niektóre litery były odwrócone w złą stronę, część wyrazów była błędnie zapisana, do tego stopnia, że stawały się całkiem nieczytelne. Ale to, co wprowadziło ją w osłupienie, znajdowało się na marginesach: zaludniały je jakieś dziwne potwory szczerzące do niej paszcze. Był tam nawet rysunek ludzika przygniecionego przez tom zatytułowany *Alchemiczne właściwości metalu*. Nieszczęśnik miał nawet nazwisko – takie samo jak autor tej księgi.

Wes zagarnął kartki do siebie tak gwałtownie, że się pomięły.

– Wiem, jak to wygląda. Ale to pomaga mi się skoncentrować, w porządku?

Margaret już wcześniej dała jasno do zrozumienia, co myśli, dlatego teraz uznała, że nie będzie drażnić tematu. Chłopak odetchnął głęboko, a w poddmuchu wydychanego powietrza poruszyły się jego za długie, wpadające mu do oczu włosy. Następnie wziął do ręki wieczne pióro i ostentacyjnie skupił się na lekturze. Pióro trzymał w garści jak młotek, naciskając tak mocno, że ze stalówki obficie ciekł atrament, czerniąc kartkę.

Nagle przyszło jej coś do głowy. Domysł ten wywołał w niej poczucie winy, od którego zrobiło jej się niedobrze.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne – zgodził się z udawanym entuzjazmem. – Czemu nie?

– Masz problemy z czytaniem, prawda?

Wes wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. Ale błysk czający się na dnie jego oczu wcale nie był radosny.

– To jakiś żart?

– Nie żartuję.

Westchnął. Przez chwilę bawił się piórem.

– Kiedy czytam zbyt długo, boli mnie głowa. To samo dzieje się, gdy widzę w tekście nieznane mi słowa... To trochę jak z zakłóceniami sygnału radiowego. – Po chwili dodał: – Ale to nie jest duży problem.

Margaret nie do końca rozumiała, co to właściwie znaczy. Poważnie zmarszczone czoło chłopaka sugerowało jednak, że wcale nie jest tak leniwy, jak z początku sądziła. Weston starał się ze wszystkich sił.

– Co właściwie próbujesz zrobić? – zagadnęła.

– Parę transmutacji, które ostatnio przeprowadziłem, nie zadziałało tak, jak planowałem. Nikt dotychczas nie pokazał mi, jak robi się *albedo*. Dlatego teraz próbuję się dowiedzieć, czy coś pominąłem. Muszę odkryć, jak wydestylować bardziej zagęszczone *coincidentia oppositorum*.

Margaret przysunęła bliżej siebie czytaną przez niego książkę. Doskonale ją znała, dlatego sprawnie ominęła wstęp, zarys historyczny i już po chwili odnalazła rozdział, w którym gruntownie omówiono *albedo*, czyli proces oczyszczenia.

– Dzięki – rzucił ponuro Wes.

– Mogę ci przeczytać. Zaoszczędziłoby ci to sporo czasu.

Sama była zaskoczona, że wyskoczyła z tą propozycją. Dotychczas rozważała to jedynie w dość abstrakcyjnych kategoriach: jeśli odniosą zwycięstwo w gonie, Weston zostanie uczniem jej matki. I założyła, że taka perspektywa czyni go już de facto alchemikiem. Ale w praktyce, gdy miała włożyć mu do ręki prawdziwą broń, to wcale nie było już takie oczywiste. Mimo obaw, jakie w niej wzbudzał, chciała wierzyć w niego i w marzenie, o które walczył. Chciała wierzyć, że dobroć Westona uchroni go przed zagrożeniami, jakie niósł ze sobą trening alchemiczny.

Napiwszy się kawy, przyznał:

– Dobry pomysł.

Margaret zaczęła czytać.

Słuchał z zamkniętymi oczami i zmarszczonymi brwiami. Momentami notował coś w pośpiechu na wyrwanej z notesu kartce. Zanim doczytała do końca rozdziału, chłopak dosłownie eksplodował z ekscytacji.

– Zaczekaj tu – polecił. Podwinął rękawy do łokci i przypiął je, po czym poderwał się z fotela. – Chcę, żebyś zobaczyła to, gdy zadziała.

Zabrał się za modyfikowanie narysowanego na biurku kręgu transmutacji. Zmazywał niektóre runy i pisał je na nowo. Już po chwili w nasączonym złocistym światłem lampy powietrzu unosiła się mgielka sproszkowanej kredy. Margaret ze swoją książką usadowiła się przy oknie wykuszowym z widokiem na morze. Wschodzące słońce oblewało toń olśniewającą czerwienią.

Wes tymczasem położył obie dłonie na kredowym kręgu i zaczął spalać piasek wypełniający szalkę. Oglądana z boku alchemia wydawała się dziecinnie prosta. Czasami Margaret zastanawiała się, do jakiego najprostszego składnika dałoby się sprowadzić ją samą. Czy zniosłaby widok samotności stanowiącej jej sedno?

Wkrótce woń siarki zdominowała wszystkie inne zapachy. Maggie uchyliła okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Rześki powiew wczesnego poranka był wspaniałą pieśczętą dla skóry. Równocześnie grube wełniane skarpety i żar wytwarzany przez reakcje alchemiczne sprawiały, że było jej dziwnie ciepłutko i przytulnie.

Upewniwszy się, że Wes jest całkowicie zaabsorbowany pracą, schowała się za zasłoną i otworzyła książkę – najnowszą powieść jej



ulubionej autorki M.G. Huffman. Była tak wciągająca, że Maggie, choć wstydziła się tego, z zapartym tchem czekała, jak rozwinię się akcja. Wprawdzie od wielu lat czytywała romanse, ale rzadko się zdarzało, żeby tak bardzo kibicowała parze głównych bohaterów. Po blisko dwustu stronach lektury wiedziała, że czeka ją hojna nagroda za cierpliwość, niepokój i skryte pragnienia. Wraz z kolejnymi stronami otaczający ją świat zaczął się oddalać. Teraz istniały dla niej wyłącznie postacie literackie, dotyk papieru pod palcami i to znajome, tęskne ciepło rozlewające się po ciele.

– Margaret?

Czar przysł pod wpływem głosu Westona. Maggie zmięła w ustach przekleństwo. Stojący po drugiej stronie kremowej zasłony chłopak był teraz tylko rozmazaną plamą. Może jeśli go zignoruje, wyłapie aluzję.

– Och, Margaret. Wiem, że mnie słyszysz.

Deski podłogowe zaskrzypiały pod jego stopami. Margaret poczuła nagły przyływ paniki. Błyskawicznie wcisnęła książkę za poduszkę, o którą opierała się plecami. Po chwili zza odsuniętej kotary buchnęła jej w twarz charakterystyczna woń alchemii i zapach jego wody po goleniu, czyli rumu i liści laurowych.

– A co ty tu robisz?

Doskonale zdawała sobie sprawę, że ma puste ręce i jest czerwona na twarzy jak piwonia.

– Czytam.

– Potrzebuję twojej pomocy i... Ejże, kłamczucho! Wcale nie czytasz.

– Czytałam, dopóki mi nie przeszkodziłeś – powiedziała z naciskiem, czując, jak róg książki wbija jej się w plecy.

– Skoro tak twierdzisz... No to może zdradzisz, co takiego czytałaś? Hieroglify na ścianie?

– Nie.

Wes wsparł się dłońmi o ścianę po obu stronach okna, tak że zawisł nad nią.

– Wiem, że coś przede mną ukrywasz – stwierdził z szelmowską miną. – Jesteś czerwona jak burak.

– Nic podobnego – wydusiła z siebie.

– Wiedziałem! Byłem pewien, że wcale nie jesteś taka bez skazy. Co tam masz?

– Nie twój interes.

Kiedy sięgnął za poduszkę, chwyciła jego rękę. Ale to tylko go rozzuchwaliło: wyslizgnął się z jej uchwytu i tak długo napierał na nią barkiem, dopóki nie zmusił jej do przesunięcia się kawałek. Już po chwili książka znalazła się w jego rękach. Zachwycony, przez chwilę pożerał wzrokiem okładkę, a potem przekartkował tom.

Wolałaby umrzeć, niż znosić takie upokorzenie. Ukryła twarz w dłoniach. Wyobrażała sobie, że Weston widzi oburzający trójkąt obnażonej skóry pod rozchełstaną koszulą bohatera i wyrażającą najwyższe uniesienie minę bohaterki. Oczami wyobraźni widziała już, jak chłopak dopada ją i przypiera do biurka, pośród tych wszystkich alembików i książek. Boże, co jej przyszło do głowy, żeby tonąć w lekturze romansu, będąc sam na sam z Westonem w pokoju!

Rozsunęła lekko przylegające do twarzy palce, żeby sprawdzić, co robi chłopak.

– *Alchemik poskromiony* – przeczytał, a na jego ustach zjawiał się szeroki triumfalny uśmiech. – Ha!

– Na pewno masz własne książki. Oddawaj ją.

On jednak nie zwracał na nią uwagi. Nie posiadając się z radości, przerzucał kolejne strony. Maggie domyślała się, że lada moment znajdzie to, czego szukał. Proszę bardzo – już po chwili oskarżycielsko wyciągał palec wskazujący, demonstrując jakieś miejsce w tekście. Z narastającym przerażeniem przypatrywała się chłopakowi, który przeczesywał wzrokiem tekst. Groza osiągnęła apogeum, gdy Wes zaczął powoli, we właściwy sobie sposób, odczytywać z mozołem kolejne słowa, poruszając bezgłośnie ustami. Jego brwi się unosiły, aż zniknęły pod rozczochraną grzywką. Kiedy w końcu uniósł wzrok znad książki, w jego oczach płonęły psotne ogniki. Obnażone w szelmowskim uśmiechu zęby lśniły niczym ostrza, w których odbija się słońce.

„Ten mężczyzna jest demonem”, uznała Margaret. Nie może być co do tego wątpliwości.

– Panno Welty, cóż za niestosowne rzeczy.

– Oddawaj – wypaliła.

I momentalnie tego pożałowała. Pozwoliła, by jej głos zdradził upokorzenie, jakie odczuwała. Wes jakby tylko na to czekał – jego pewność siebie wzrosła.

Usiadł obok niej przy oknie.

– Słowo honoru, nigdy bym nie pomyślał, że lubisz taką rynsztokową literaturę.

– To wcale nie jest rynsztokowa literatura.

– Nie? A jak to nazwiesz? – Odchrząknął i zaczął czytać, przybierając najbardziej rozpustny ton, jaki kiedykolwiek słyszała: – „Zadarł jej nogę, tak że jego bark znalazł się w zagięciu jej kolana, i zasypał pocałunkami jej udo, posuwając się coraz wyżej...”

Wszystkie racjonalne myśli pierzchy i po chwili jedynym dźwiękiem, jaki słyszała w głowie, było przeciągłe, pełne wściekłości wycie. I nagle ogarnęło ją przemożne pragnienie, by drapać i gryźć – nie czuła nic podobnego, odkąd w dzieciństwie uczeń Evelyn uszkodził jeden z jej zabawkowych pistoletów. I teraz znów stała się tą wychowaną w lesie, na wpół dziką dziewczynką, w której sercu mieszkała nieposkromiona wściekłość. Rzuciła się na Wesa, próbując wyrwać mu książkę.

On jednak trzymał ją na długość ramion od siebie.

– „Z jej ust dobył się jęk...”

– Przestań – wysyczała.

Chwyciła go jedną ręką za nadgarstek, drugą złapała książkę. Kiedy próbowała mu ją wyrwać, oboje stracili równowagę.

Wes zdążył wymamrotać przekleństwo, nim oboje runęli na ziemię. Margaret wylądowała na niej pierwsza. Wes próbował zamortyzować upadek, wyciągając przed siebie łokieć, który uderzył o podłogę zaledwie parę centymetrów od głowy dziewczyny. Impet, z jakim dwa ciała zderzyły się z deskami, był tak duży, że sprawił w drżenie wszystkie szklane naczynia na półkach. Ale ani ich dzwonięcie, ani dobiegające z parteru poszczekiwanie przestraszonego Kłopoty nie zdołało zagłuszyć zbolątego jęku, jaki wydał z siebie Wes. Dźwięk ten, wydyszany tuż nad jej uchem, sprawił, że po plecach przeszedł jej dreszcz.

Znajdował się teraz nad nią. Oboje oddychali ciężko, ich usta dzieliły tylko centymetry. Oczy Wesa były ciemne i dzikie niczym wzburzone morze. Wydawał się kompletnie zszokowany, jakby to ona

wyrządziła jakąś krzywdę jemu. Widziała, jak jego uszy stają się pąsowe. Kiedy się poruszyła, poczuła na swojej piersi bicie jego serca i...

Czy to...?

W jednej chwili jej umysł opróżnił się ze wszelkich myśli i wbiła kolano w jego żebra. Chłopak sturlał się z niej, zgiął wpół i zaczął pojękiwać. Dopiero teraz rozluźnił palce, z których wysunęła się jej książka. Margaret błyskawicznie ją podniosła i poderwała się z podłogi. Gdyby dłużej przebywała tak blisko niego, ryzykowała, że straci nad sobą panowanie. Mogłaby zrobić albo powiedzieć coś, czego by potem gorzko żałowała. I co zagroziłoby kruchemu zaufaniu, jakie między sobą zbudowali. Nie mogła podejmować tak wielkiego ryzyka, wiedząc, że pokazy alchemiczne są już jutro.

Wes podparł się na łokciach i spojrzał na nią w sposób, który dał jej niewytłumaczalne poczucie władzy. Inna sprawa, że nie było to oręż, którego pragnęła ani którym potrafiłaby władać.

– Dobra, dobra. Poddaję się... – wydyszał.

W tym momencie kątem oka Maggie zarejestrowała jakiś srebrny rozbłysk. Wes zrobił zaniepokojoną minę. Wzór wyrysowany przez niego na biurku zaczął się tlić. Oprócz charakterystycznego zapachu zdradzającego proces alchemiczny, który rozszedł się po pokoju, działało się tam coś jeszcze: doszło do najprawdziwszego zapłonu.

Wes odkaszlnął i powiedział:

– Muszę to sprawdzić.

Margaret skinęła tylko głową w obawie, co mógłby zdradzić jej głos.

A potem przez cały dzień, gdy ćwiczyła strzelanie, jeździła na Migotku i tresowała Kłopotą, żołądek miała boleśnie ściśnięty. Incydent z Wesem i zbliżający się pokaz sprawiały, że nerwy miała napięte jak postronki. Dopiero gdy zapadła noc, a ona leżała w łóżku w zaciszu swojego pokoju, uległa pokusie, by jeszcze raz przeżyć tamte osobliwe chwile. Zwykle gdy sięgała dłońmi między uda, nie myślała o niczym ani o nikim konkretnym.

Ale tej nocy myślała o Wesie.

Zastanawiała się, co by się stało, gdyby w momencie, gdy znalazł się nad nią po upadku, rozsunęła uda, zamiast je zaciskać. Wspominała jego zmierzwione włosy, obnażone przedramiona, ich

splecione w walce dłonie. Przypomniała sobie wyraz jego twarzy, gdy leżeli splątani na podłodze. Wyglądał tak samo jak w chwili, gdy wystrzeliła nieudany prototyp pocisku – jakby nagle spłynęło na niego olśnienie i po raz pierwszy wszystko zrozumiał. Ale pod jego zakłopotaniem kryło się coś jeszcze, coś płonącego żarem gorętszym niż ten uzyskiwany podczas reakcji alchemicznej – pożądanie.





zien pokazu nadszedł, nic sobie nie robiąc z tego, czy Wes jest gotów, czy nie.

To popołudnie niczym nie różniło się od innych popołudni w Wickdon – było pochmurnie i chłodno. Wokół pni sekwoi snuła się mgła, spowijając cały las w rozwirowany woal szarości. Maszerując w stronę miasteczka, Wes starał się patrzeć prosto przed siebie. Z każdym krokiem jego niepokój wzrastał. Ilekroć rozglądał się po lesie, mógłby przysiąc, że natrafiał na przyczajone wśród drzew puste białe ślepie hali, śledzącej każdy jego ruch.

Obudził się o świcie i przez cały rano przypatrywał się Maggie, która testowała nowe modele naboju. Usiadł na werandzie z kubkiem kawy i patrzył na nią zaczerwienionymi oczami, starając się nawiązać kontakt wzrokowy albo tylko podziwiając, jak jej włosy lśnią w świetle wczesnego poranka. Wszystkie wystrzelone przez nią pociski dosięgły celu, czyli powalonego drzewa. Pień drżał po każdym strzale, pryskały z niego soki, a w powietrze tryskały kawałki drewna, zupełnie jak ropa z przebitego igłą czyraka. Pociski spełniały z grubsza jego oczekiwania, ale nadal brakowało im efektowności, fajerwerków. Zdołał dzięki alchemii stworzyć śmiercionośną amunicję, chociaż jej zastosowanie w praktyce raczej nikogo nie olśni.

– Wiem, że to za mało, by zasłużyć na miejsce w pierwszej pogoni – powiedział. – Wiem o tym. Coś wymyślę.

Margaret nie odpowiedziała. Miała minę zbitego psa, dzięki czemu przynajmniej łatwiej było mu unikać jej spojrzeniem. Nie miał siły mierzyć się z jej lękami, gdy z jego myślami działo się coś

dziwnego, ilekroć znajdował się w pobliżu tej dziewczyny. I właśnie dlatego postanowił wybrać się do Wickdon bez niej.

Boże, musiał oczyścić umysł. Niepokój, przygnębienie i frustracja seksualna – wszystko to kotłowało się w nim teraz, a przecież była to wybuchowa mieszanka uczuć, przez którą już nieraz wpakował się w kłopoty. Jak mógł wczoraj pozwolić, by tak wzięła go z zaskoczenia?

Kiedy przygwoździł ją do podłogi, nagle zapomniał języka w gębie. A przecież on zawsze wiedział, co mówić. Ale w tamtej chwili opuściła go cała swada. Jego umysł kurczowo uczeplił się słów z tamtej książki z piekła rodem. Istniały tylko one, a także jej ciepły oddech na jego ustach i rozjuszony spójrzanie. No a następną rzeczą, jaką pamiętał, był oślepiający ból, gdy poczęstowała go kolanem w żebra. Dzięki Bogu, że to zrobiła. Cios poskutkował lepiej niż zimny prysznic. Teraz mógł tylko się modlić, żeby dziewczyna nie domyśliła się, co się z nim działo. Ale może dla niej to nie było nic wielkiego, po prostu przez chwilę znajdowali się bliżej siebie niż zazwyczaj, i tyle.

Zresztą jakie to ma znaczenie? Wes nie miał czasu zastanawiać się nad swoimi poplątanymi emocjami ani fantazjować – nie, po prostu rozważał czysto abstrakcyjną możliwość obsypania Margaret Welty szalonymi pocałunkami na podłodze pracowni jej matki. Powinien skupić się na alchemii, zwycięstwie i w końcu odkryć, co bez przerwy szwankuje w jego transmutacjach.

Od tego, czy mu się uda, zależało wszystko. Jego przyszłość. Zdrowie matki. Bezpieczeństwo materialne całej ich rodziny. Nie mógł przepuścić tej szansy, jak przepuścił tyle wcześniejszych.

Jego transmutacje działały, co do tego nie było wątpliwości. Jeśli naboje wyrządzały tak duże szkody drzewu, wołał nie wyobrażać sobie, co stanie się z lisem, który znajdzie się na torze lotu pocisku. Szkopuł w tym, że stworzona przez niego amunicja była zbyt prymitywna, wywoływała zbyt oczywiste efekty, a Wes najchętniej poszedłby na całość. Potrzebował czegoś więcej niż zwykłej rozwałki: pragnął fajerwerków. Ogień wymaga kombinacji ciepła, łatwopalnego materiału i tlenu. Na brak tlenu ani materiału nie mógł narzekać. Oznaczało to, że nadal nie wytworzył wymaganych ośmiuset stopni, a więc temperatury, przy której następował zapłon.



Kiedy sięgające nieba drzewa ustąpiły miejsca złocistym wzgórzom, Wes jeszcze raz w myślach przeanalizował swoje równania. Margaret nalegała, aby nabój do strzelby ważył około dziesięciu gramów. Znaczyło to, że Wes mógł zaczarować go dziesięcioma gramami *coincidentia oppositorum*. Już tysiąc razy przeliczał masę poszczególnych substancji biorących udział w tej reakcji alchemicznej i wypróbował niemal każdą ich kombinację. Najlepsze rezultaty osiągnął przy mieszance sześciu gramów piasku, dwóch gramów osmu i dwóch kamfory. Taki skład pocisku zapewniał mu lekkość, dzięki czemu wzrastał pęd, a równocześnie nabój był na tyle gęsty, że zachowywał ciepło zapewniane przez esencję kamfory i zapłon prochu strzelniczego. Teoretycznie Wes mógłby wypróbować nieco inne proporcje, ale uznał, że przy tak nikłych ilościach różnica i tak nie byłaby znaczna...

Z rozmyślań wyrwał go głośny tętent. Zdążył tylko wydać z siebie okrzyk zaskoczenia, gdy zza zakrętu wypadła grupa myśliwych na koniach. Jego głos zginął pośród grzmotu podkutych kopyt. Jeźdźcy pozostawili po sobie szlak stratowanej ziemi. Kiedy Wes podążył wzrokiem w stronę, z której nadjechali, za płotem odgradzającym pastwisko od pola ujrzał poczerńiałe rośliny uprawne.

A zatem, zgodnie z zapowiedziami, zuchwałość hali rosta. Było kwestią czasu, nim przestaną jej wystarczać konie oraz winnice i rozejrzy się za czymś bardziej konkretnym.

Zanim jeszcze dotarł do miasteczka, drogę zastąpiły mu tłumy ludzi. Na ulicach wyrosły stragany oferujące pastę do polerowania broni i kurtki myśliwskie w stu kolorach, jasnych i lśniących niczym klejnoty. Wes przedzierał się przez ciżbę, torując sobie drogę niesionym futerałem, który służył mu za taran. Gapie gromadzili się wokół placu miejskiego, tłoczyli się na balkonach. Wspinając się na palce, starali się dojrzeć, co działo się na placu, gdzie urzędnicy czuwający nad przebiegiem gonu rozmieszczali właśnie stoły wzdłuż geometrycznych linii, niczym w alchemicznym wzorze. Hulający w bocznych uliczkach wiatr niósł woń tytoniu, potu i mocnych trunków. Pełna ekscytacji atmosfera wyczuwalna w powietrzu w połączeniu z jego własnym przerażeniem sprawiały, że Wes czuł się, jakby miał wziąć udział w publicznej egzekucji.

Kiedy w końcu przepchnął się przez tłum i stanął na placu, zbliżył się do niego mężczyzna w szkarłatnym płaszczu i wskazał czekające na niego stanowisko pracy. Wes położył futerał na stole i przystąpił do ostrożnego wyjmowania zeń instrumentów. Równocześnie kątem oka obserwował ściągających na plac alchemików. Poruszali się grupami, jak pięknie przyodziane wilki. Wszyscy wydawali się pewni siebie i odprężeni, jakby tego rodzaju pokazy nie były dla nich niczym nowym. Niektórzy przystawali, żeby zamienić parę słów z arbitrami i ucisnąć im dłonie. W świetle ulicznych latarni połyskiwały ich złote zegarki i spinki u mankietów. Na ich widok ścisnęło mu się serce. Kogo chciał nabrać, przychodząc tutaj? Nawet jeśli zwycięży, nawet jeśli najznakomitszy uniwersytet w kraju przyjmie go w poczet studentów, i tak nigdy nie dorówna tym mężczyznom.

– Stresujesz się, młody?

Niska, przysadzista, dwudziestoparoletnia kobieta stanęła przy stanowisku pracy przylegającym do jego. Akcent – subtelny, acz wyraźny – zdradzał mieszkankę Dunway, podobnie zresztą jak jej ubiór: sięgająca kolan suknia z marszczoną tkaniną, wyszywana błyszczącymi szklanymi koralikami. Spod filcowego kapelusika wystawały włosy w odcieniu popielatego brązu, podwinięte lekko na wysokości linii szczęki.

Wes starał się, żeby uśmiech, który przywołał na usta, wydawał się naturalny. Domyślał się jednak, że z marnym efektem.

– Czy się stresuję? Ależ skąd.

– Nie ma się czego wstydzić. Kiedy pierwszy raz brałam udział w gonie, też dopadła mnie trema. Jestem Judith Harlan.

– Weston Winters – przedstawił się bez entuzjazmu.

Kobieta zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Pod jej spojrzeniem Wes uświadomił sobie, jak wyświechtany jest trencz po ojcu, który miał na sobie. Teoretycznie lepszym rozwiązaniem byłoby pozostać przy garniturze, ale uznał, że za długie rękawy marynarki zrobią jeszcze gorsze wrażenie, dlatego schował je pod płaszczem. Poza tym dzień był chłodny, a znajomy ciężar ojcowskiego ubrania dodawał mu odwagi. Korciło go, żeby pomajstrować przy węźle krawatu, jednak w porę się powstrzymał.

– Jesteś z Piątej Dzielnicy, co? – spytała.

– Tak. Zgadza się.

– Tak myślałam – przyznała smutno. – Co cię gryzie? Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę zemdleć.

Wes nie był na tyle naiwny, by zaufać tej kobiecie, mimo że wydawała się sympatyczna. Starając się odzyskać panowanie nad sobą, powiedział:

– A nic. Po prostu piękne kobiety mnie onieśmialają.

– Wielkie nieba! – zaśmiała się Judith. – Chyba jesteś dla mnie odrobinę za młody, nie sądzisz? Ile ty masz lat, siedemnaście?

Poczuł, jak czubki jego uszu płoną z upokorzenia. Zapanował jednak nad emocjami i spokojnym głosem oświadczył:

– W sumie to osiemnaście.

– Wszystko jedno. Słuchaj, nie próbuję cię oszukać.

– Ja... – Odruchowo przeczesał włosy dłonią i momentalnie tego pożałował. Kilka niesfornych kosmyków odkleiło się od żelowej skorupy, w którą rankiem zamienił swoją fryzurę, i spadło mu na twarz. Wiedział, że teraz nie zdoła temu w żaden sposób zaradzić. – Nie mogę wytworzyć w systemie wystarczającej ilości energii – wyjaśnił rzeczowo. – I nie wiem, w czym tkwi problem.

Harlan przyjrzała mu się ze współczuciem.

– Sprawdziłeś swoje obliczenia?

– Naturalnie.

– A przetestowałeś permutację więcej niż jeden raz? – Kiedy spojrzał na nią wilkiem, wyrzuciła w górę ręce w geście kapitulacji. – Dobrze, już dobrze, daruj sobie te groźne miny. Tylko pytam. Słuchaj, jeśli systemowi nie można niczego zarzucić z punktu widzenia alchemii, problemem musisz być ty sam.

– Ja? – prychnął. – A co to niby ma znaczyć?

– Możesz być wybitnym chemikiem, ale przeciętnym alchemikiem, i... No właśnie, jesteś dobry z chemii?

– Znośny.

– No tak. Gdybyśmy byli wybitnymi chemikami, pracowalibyśmy teraz w jakimś laboratorium farmaceutycznym. Ale alchemia bazuje też na intuicji, zgadza się? To coś innego niż nauka ścisła. To... cóż, to magia. To ty przyzywasz i kontrolujesz energię, która bierze udział w reakcji. O tym, co się dzieje, decydują nie tylko prawa natury, ale również ty sam. – Na poparcie swoich słów Harlan wskazała sam środek swojej klatki piersiowej, dokładnie w miejscu, w którym Wes

przy każdej przeprowadzonej transmutacji odczuwał dziwne ciepło, jakby przeskoczyła w nim iskra. – Może nie umiesz zaangażować się na sto procent. Albo za dużo myślisz. Tak czy inaczej na którymś etapie procesu wydatkujesz zbyt dużo energii, która podlega entropii. Moja rada: odpręż się. Wiesz, że twoja formuła działa w teorii, dlaczego zatem nie miałyby sprawdzić się też w praktyce?

Odpręż się.

Gdyby to było takie proste...

Był czas, zanim jeszcze doświadczył odrzucenia i rozczarowania, gdy Wes wierzył we własne siły. Wierzył, że determinacja, dobre intencje i naturalne uzdolnienia wystarczą, by osiągnął to, co zamierzył. Gdy jednak uświadamiał sobie, jak wiele dzieli go od wszystkich tych alchemików, pozytywne nastawienie nieuchronnie go opuszczało.

– Doceniam tę mowę motywacyjną, ale właściwie po co mi o tym wszystkim mówisz? Przecież mamy ze sobą współzawodniczyć, tak?

Harlan puściła mu oko.

– Po prostu jeden dzieciak z Piątej Dzielnicy dzieli się radą z drugim.

Nie zdążył zareagować, bo w tej chwili z głośników rozległ się głos:

– Witajcie.

Na podeście udekorowanym czerwono-złotą flagą Nowego Albionu stał mężczyzna do złudzenia przypominający Jaimego: z włosami w kolorze blond, uśmiechem ostrym jak brzytwa i zdecydowanie sprawiający wrażenie złego człowieka.

– Jako burmistrz Wickdon pragnę powitać wszystkich zgromadzonych na sto siedemdziesiątym czwartym dorocznym pokazie alchemicznym. Jest on jedną z tradycyjnych dyscyplin poprzedzających właściwy gon, cieszących się największą popularnością. Impreza ta stanowi kamień węgielny kultury Nowego Albionu i świadectwo wyobraźni oraz pracowitości naszego społeczeństwa. Alchemia, ten dar Boga dla ludzi, nadal wiedzie nas ku lepszej, bardziej sprawiedliwej przyszłości.

Pustka tych patetycznych słów przyprawiała Wesa o mdłości. Jeśli przeżyje gon, pewnego dnia sam stanie na takim podium. Ale

w przeciwieństwie do burmistrza będzie wierzyć w to, co ma do powiedzenia.

– A oto sędziowie tegorocznego pokazu, wszyscy, nawiasem mówiąc, będący wybitnymi specjalistami w swoich dziedzinach.

Mężczyzna wskazał na trzy stojące obok niego osoby w średnim wieku. Wes był za daleko, żeby dokładnie przyjrzeć się ich twarzom. Pierwsza, Abigail Crain, ubrana była w futrzany płaszcz. Klejnoty jej naszyjnika połyskiwały niczym gwiazdy. Drugim arbitrem był Oliver Kent, mężczyzna tak wysoki i szczupły, że kojarzył się z cukierkiem ciągutkiem. Elizabeth Law, czyli trzeci z jurorów, miała kręcone blond włosy, na których pyszniła się tiara z piórami.

– Zespół sędziowski w swoich ocenach pod uwagę będzie brał technikę oraz oryginalność poszczególnych występów – ciągnął burmistrz. – Po krótkiej przerwie arbitrzy przetestują wszystkie przygotowane projekty i ocenią je pod kątem efektywności oraz funkcjonalności. A teraz niechaj rozpocznie się pokaz alchemiczny, pierwszy zorganizowany w Wickdon od 1898 roku!

Rozległy się dość anemiczne oklaski i wiwaty, po czym alchemicy zabrali się do pracy.

Występowi dwóch pierwszych konkurentów Wes przypatrywał się z zakrawającą na masochizm fascynacją. Inna sprawa, że z miejsca, w którym stał, niewiele było widać – jedynie rozbłysk srebrnego alchemicznego płomienia i kłęb dymu wzbijający się pod ciemne niebo. Nie wiedział, co zawiniło: intensywny smród siarki czy jego własne rozstrojone nerwy, ale po pewnym czasie poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

W miarę, jak sędziowie posuwali się wzdłuż stanowisk kolejnych alchemików, dźwięk kredy szorującej po drewnie stawał się coraz wyraźniejszy, natomiast jednostajny gwar gapiów cichł. Wes nie miał pojęcia, czy minęły sekundy czy raczej godziny, nim jurorzy podeszli w końcu do jego stolika.

Pierwsza przemówiła Crain:

– Nazwisko?

Wes nie mógł oderwać oczu od diamentów naszyjnika spoczywających ponad obojczykiem kobiety. Domyślał się, że zostały zmodyfikowane alchemicznie. To by tłumaczyło ich nadzwyczajną świetlistość.

– Winters. Nazywam się Weston Winters, proszę pani.

Kobieta wydeła z niezadowoleniem usta. Ale po chwili zapisała coś na kartce.

– Dobrze, panie Winters. Proszę zaczynać.

Wes sięgnął do kieszeni po kredę. Drżącą ręką wyrysował krąg transmutacji dla *nigredo*. Przychodziło mu to z łatwością, ponieważ w tym tygodniu przećwiczył to dosłownie setki razy. Na środku wzoru umieścił składniki niezbędne do reakcji. Następnie przyłożył do nich dłonie, żeby przywołać krążącą w nich magię. Zapłonęła, trawiąc piasek i osm, z których po chwili pozostało tylko poczerwiałe *caput mortuum*. W tym czasie kątem oka obserwował jurorów, którzy naradzali się między sobą i sporządzali notatki. Wykonał pierwszy krok. Teraz czekały go jeszcze dwa kolejne.

– Proszę kontynuować – poinstruowała Crain.

Wes poczuł, że pewność siebie zaczyna go opuszczać.

„O tym, co się dzieje, decydują nie tylko prawa natury, ale również ty sam”.

Alchemia była znacznie bardziej osobliwa i mniej precyzyjna niż wszystkie znane mu dyscypliny naukowe. Niezależnie od tego, co było jej siłą napędową: pierwiastek boski, chaos albo magia, brakujący element w przeprowadzanych dotychczas przez niego reakcjach krył się w nim samym. Był nim on sam. Może zatem powinien po prostu bardziej się skoncentrować – sprawić, że wszechświat nagnie się do jego woli.

Wystarczyło jednak, że zaczął rozmyślać nad proporcjami ciepła i tarcia, a jego skupienie osłabło. Poczuł, jak ogarnia go panika, a wtedy jego myśli pomknęły ku Margaret. Boże, tylko nie to, to nie moment na takie rojenia! Myśl o dziewczynie zmuszała go, by skonfrontował się z uczuciem, które go przerastało. Wytężając umysł, starał się skoncentrować na rysowaniu wzoru alchemicznego. Tylko skupiając się na tym, co robi w tej chwili, mógł liczyć, że powściągnie zapędy swojego umysłu. Dlatego każdą kreskę kreślił z wielką uwagą. Tworzony krąg miał symbolizować jedność wszystkich rzeczy i cykliczny przepływ energii. Zadaniem runów było usidlić tę energię i zmusić do służenia mu. Ciepło i tarcie. Jak gorące byłyby jej usta, gdyby ją wtedy pocałował? Myśl o tarcu jednego ciała o drugie,

którego wtedy tak rozpaczliwie pragnął. Boże, jeszcze chwila i straci rozum, jeśli się nie opamięta.

„Może nie umiesz zaangażować się na sto procent. Albo za dużo myślisz”.

Czyżby Harlan miała rację? Może faktycznie nie angażował się tak jak powinien? Od tak dawna wystrzegał się samotności; sytuacji, gdy mógłby rozpaczać, gdy jego rodzina mogłaby zobaczyć, że cierpi. Ale Margaret z łatwością znajdowała każdą nieszczelność w zbroi, w której się zamknął. Kiedy myślał o niej wystarczająco długo, doznawał dziwnego wrażenia, jakby w jego sercu przeskakiwała iskra boskiej magii.

Uruchomił wzór.

Kropla za kroplą *coincidentia oppositorum* zbierało się w alembiku. Lśniło światłem równie cudownym jak diamenty na szyi Crain. Skapało stół w blasku przywodzącym na myśl poświęcone księżycu. Oczywiście dopóki nabój nie został wystrzelony, Wes nie mógł wiedzieć, czy proces się powiodł. Ale to, co teraz rozgrywało się przed jego oczami, napawało optymizmem. Było jasne, że sprawił się lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Powiązawszy esencję z nabojem za pomocą *rubedo*, wręczył pocisk Crane.

– Dziękuję, panie Winters.

– Ależ nie, to ja dziękuję pani.

Kiedy tylko sędziowie odeszli dalej, Wes osunął się na krzesło, łokciami wsparł o blat stołu i ukrył twarz w drżących dłoniach. Przez opadające na twarz włosy dojrzał Harlan.

– Dobra robota – pochwaliła z przebiegłym uśmiechem.

– Dz-dziękuję.

Chyba powinien teraz wziąć prysznic.

Nim jurorzy przedstawili oceny technicznej strony prezentacji, słońce skryło się za morskim horyzontem i zapadł wieczór. Za trzydzieści minut miała rozpocząć się druga część pokazów. Teraz trwała krótka przerwa, w której trakcie widzowie mogli z placu miejskiego przejść na pole leżące za granicami miasteczka. Organizatorzy nie chcieli ryzykować, że od zabłąkanej kuli zginie pechowy widz albo że ucierpi sklepowa witryna.

Teoretycznie Wes nie miał tego dnia niczego więcej do roboty. Mógł wrócić do dworu albo zostać i nakłonić kogoś, żeby zafundował

mu coś do picia. Jeśli jego kariera ma się zakończyć dzisiaj, powinien obserwować to na trzeźwo. Wszystkie pokusy błędy jednak w porównaniu z pragnieniem odnalezienia Margaret. Myśl o niej tliła się nieustannie z tyłu głowy, przez co czuł się nieprzyjemnie podminowany.

Jeśli jednak nawet dziewczyna gdzieś tu była, Wes wcale nie był pewny, czy zdoła spojrzeć jej w twarz. Świadomość, że jej pragnął, że łaknął jej towarzystwa, powodowała, iż czuł się mały, żaloszny i bezbronny. Kiedy alchemia i adrenalina przestały działać, dopadło go śmiertelne zmęczenie. Przeprowadzenie tej transmutacji podziało niczym otwarcie śluz tamy – runęła przez nią niepowstrzymana rzeka emocji, którą najchętniej zawróciłby i zatrzymał. Nie miał wcale ochoty pragnąć Margaret. Nie chciał pragnąć kogoś, kto w taki sposób angażuje wszystkie jego myśli, kto żywi względem niego jakieś oczekiwania i kto zrani go, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Wolałby, żeby to było łatwiejsze, prostsze. Pragnął związku z osobą, przez którą nie będzie usychał z tęsknoty, kwestionował swojego światopoglądu ani *czuł*. Potrzebował...

– Wes!

Nigdy dotąd głos Annette Wallace nie brzmiał bardziej słodko w jego uszach.

Obrócił się na pięcie i popatrzył na nią. Włosy miała starannie ułożone w spirale na wysokości skroni. Hojna dawka żelu sprawiła, że błyszcząły i wydawały się wręcz sztywne.

– Cóż za miłe spotkanie – rzucił Wes. – Już po pracy?

– Marzenie. Mam teraz przerwę. Chciałam się tylko przywitać.

– Cześć. Co powiesz na spacer?

– Ja...

Przez chwilę wydawała się zagubiona. Ale szybko się opanowała.

– A nie powinieneś być na pokazie?

– Skończyłem już część techniczną. Część praktyczna zacznie się dopiero za pół godziny. Do tego czasu nie mam nic do roboty. No więc co powiesz? Nie każ mi błagać.

– Chcesz zabrać mnie na randkę, która potrwa trzydzieści minut?



– To będzie najlepiej spędzone trzydzieści minut w całym twoim życiu. Możemy potem razem obejrzeć resztę pokazu. Możliwe, że będę potrzebować kogoś, kto mnie pocieszy.

– Nie mogę. Tata się wścieknie, jak nie wrócę na czas. – Mimo że bardzo się starała, nie zdołała opanować uśmiechu.

– To nawet lepiej. No chodź. Noc jest młoda, tak jak my.

– No dobrze – skapitulowała. Wyciągnąwszy do niego palec wskazujący, dodała: – Ale po tym, jak zobaczę, co tam wyczarowałeś, naprawdę będę musiała lecieć.

Wesowi taki układ odpowiadał. Spędzi z nią wystarczająco dużo czasu, by uciszyć burzę szalejącą w jego głowie.

– Właśnie uczyniłaś mnie największym szczęściarzem na świecie.

Annette parsknęła śmiechem.

– Nie bądź śmieszny – powiedziała, chwytając go za rękę.

Mało brakowało, a padłby trupem. Zdołał jednak wziąć się w garść.

– Jestem śmieszny?

– Owszem.

Hulający po ulicy chłodny wiatr, niosący woń soli morskiej i obietnicę, przez chwilę bawił się jej lokami. Wes pomyślał, że Annette wygląda w tej chwili przeuroczo.

– Nie do wiary, że dałam ci się namówić.

– A co, nigdy dotąd nie spóźniłaś się do pracy? No to wszystko przed tobą. Zdarza ci się przynajmniej dać nogę po kryjomu?

– No jasne! – Annette położyła dłoń na piersi, udając oburzenie.

– Dobrze i to – powiedział. – To dokąd idziemy?

– W sumie nie bardzo jest dokąd.

– Na pewno coś robicie z wolnym czasem. – Wes szturchnął ją żartobliwie w ramię.

– Niektórzy idą na pomost, żeby się napić. Czasami skaczemy do wody z klifów.

– Z klifów, powiadasz.

– Ale to wcale nie jest takie zabawne, jak mogłoby się wydawać. Na pewno mniej atrakcyjne od tańców i spotkań towarzyskich wyższych sfer, na których ty pewnie jesteś częstym gościem.

Najchętniej przyznałby się jej, że on i jego koledzy są zbyt ubodzy, by mogli sobie pozwolić na podobne rozrywki. Mógłby powiedzieć, że w rzeczywistości jest rodzajem kawalera z najgorszych koszmarów jej ojca – Banwiszem bez wykształcenia i widoków na przyszłość; że mieszka w klitce w kamienicy czynszowej w Piątej Dzielnicy, z dala od ekskluzywnych klubów, o których marzy Annette. No ale wówczas popsułby nastrój. A przecież dopiero co namówił ją na wspólny spacer, czasu mają niewiele. Lepiej, żeby nadal widziała w nim światowca i dobrze sytuowanego mężczyznę.

– Zaskocz mnie. Niewiele potrzeba, żeby zrobić na mnie wrażenie.

Dziewczyna westchnęła.

– Próbowales kiedyś miejscowych lodów?

– W sumie nie.

– Świetnie – odparła, choć z jej tonu wynikało raczej, że niezbyt pali się do tego pomysłu. – Chodźmy.

Odstawszy swoje w straszliwie długiej kolejce do lodziarni, dali się porwać rzece ludzi ciągnących ku polu za miasteczkiem. Trzymając się za ręce, brodzili w wysokiej po kolana trawie i wkrótce dotarli do klifów, skąd otwierał się widok na morze. Na pomarszczonej tafli srebrzył się blask księżyca, a spienione fale lizały plażę z niemal czarnym piaskiem. Usiedli na ziemi. Wes kątem oka obserwował Annette – lody, które nabrała na plastikową łyżeczkę, powoli się topiły. On ze swoją porcją poradził sobie w niespełna minutę, na języku nadal czuł wyraźny miętowy smak.

– To takie dziwne widzieć wszystkich tych ludzi w Wickdon – powiedziała.

– Myślę, w ciągu paru dni populacja miasteczka zwiększyła się pięciokrotnie.

– Nie o to mi chodzi. Czasami przychodzę tutaj, żeby sobie posiedzieć w samotności. – Popatrzyła na niego smutno, a Wes za nic nie potrafił zgadnąć, co kryje się za tym spojrzeniem. Odniósł wrażenie, że dziewczyna chce podzielić się z nim czymś ważnym. – I w takich chwilach – ciągnęła – zastanawiam się, co jest gdzieś tam, hen daleko, na drugim brzegu.

– Wyspy Rebun – podsunął.

Annette pacnęła go po ramieniu.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Posłał jej przeproszający uśmiech.

– Naprawdę nigdy nie wyjechałaś z Wickdon?

– Tak. To moje największe marzenie. Mam wrażenie, że umieram w tym mieście. Wszystko mnie tu mierzi: zajazd, rodzice, nawet moi przyjaciele. Kiedy próbuję im o tym powiedzieć, nie rozumieją mnie. Tu się urodzili i tu umrą. Tak po prostu jest.

– Dlaczego w takim razie nie wyjedziesz?

– Złamałabym serce ojcu. A może dlatego, że jestem tchórzem. Do miasta jest przecież tak daleko, wątpię, żebym podołała takiej podróży sama.

– To nie tchórzostwo – zaproponował Wes. W oddali błysnęły światła latarni morskiej, rozpraszając mrok. – Samotność jest straszna. Może nie ma nic straszniejszego.

– A ty zamieszkałaś w najbardziej samotnym zakątku Wickdon – zauważyła, przyglądając mu się ze współczuciem. – Jak ci z tym?

Nie miał najmniejszej ochoty myśleć teraz o Margaret. Ale równocześnie myślenie o niej sprawiało mu jakąś perwersyjną satysfakcję.

– Wiesz, radzę sobie, jak mogę.

Zawahał się. Niewykluczone, że Annette była jedyną osobą w całym Wickdon, która mogłaby szczerze opowiedzieć mu o Margaret i jej matce. Sama myśl o tym wydawała mu się zdradą. Margaret najwyraźniej nie zamierzała wtajemniczać go w swoje życie, a skoro tak, to jak inaczej mógł zaspokoić ciekawość?

– Odniosłem wrażenie, że rodzina Welty egzystuje poza społecznością Wickdon. Czemu tak jest?

– Och. – Skrzywienie ust Annette było jasnym znakiem, że to dla niej niewygodny temat. – Evelyn jest typem odludka. Odkąd umarł brat Maggie, Evelyn praktycznie przestała wychodzić z domu. Po tym, jak odszedł jej mąż, zupełnie znikowała. Współczuję Maggie, ta dziewczyna miała ciężko w życiu.

W jej słowach nie było niczego nowego z wyjątkiem informacji o odejściu ojca Maggie. Ale to nadal niewiele wyjaśniało, no chyba że mieszkańcy Wickdon uważali rozpacz za chorobę.

– Skoro jej współczujesz, dlaczego się z nią nie zaprzyjaźnisz?

Zaskoczył go ostry ton, jakim to powiedział. Annette chyba też się tego nie spodziewała, bo wbiła w niego zaniepokojone spojrzenie i zamrugła szybko.

– Przecież sam niedawno stwierdziłeś, że to trudna w obejściu osoba. Ona nie chce się z nikim zaprzyjaźnić.

– Gówno prawda. – Wszystko to były brednie. Każdy potrzebuje przyjaciół. Także Margaret, nawet jeśli sama się do tego nie przyznaje.

– Twierdzisz, że Jaime atakuje ją, bo jest niemiła?

– Nie – próbowała się bronić dziewczyna. – Jaime atakuje ją, bo jest bigotem.

– To jasne – mruknął pod nosem Wes. – Ale co to ma wspólnego z Margaret?

– No tak, skąd możesz to wiedzieć. Ojciec Maggie należał do wyznawców Yu'adir. Dla mnie to bez różnicy, ale miejscowi mają tak zacofane poglądy, no i... – Głos Annette zmieszał się z jednostajnym szumem fal i docierającym z oddali gwarem.

W żyłach Margaret płynęła krew Yu'adir.

To wiele tłumaczyło. Wes poczuł się jak idiota, że sam na to nie wpadł. Równocześnie żałował, że o to spytał. Dlaczego jednak Margaret sama mu nie powiedziała? Trzymała to w tajemnicy nawet po tym, jak poznała jego rodzinę. Nie zdradziła się, gdy spytał ją wprost, dlaczego Jaime ze wszystkich sił stara się uprzykrzyć jej życie.

W Piątej Dzielnicy mieszkało niewielu Yu'adir. Widmo głodu zmusiło rodziców Wesa do ucieczki z Banwa jeszcze przed urodzeniem Mad. Większość imigrantów Yu'adir, których zastali w Nowym Albionie, przybyła kilkadziesiąt lat wcześniej, uciekając z innych krajów przed prześladowaniami. Ale mimo że żyli tu dłużej od Banwiszów, nadal budzili nienawiść. Ich zakłady, sklepy i świątynie podpalano. Wynalazca samochodu publikował artykuły, w których dowodził, że Yu'adir zakulisowo sterują światową gospodarką i od stuleci finansowali wszystkie wojny.

Na myśl o źródłach pogardy, z jaką miejscowi odnosili się do Margaret, zrobiło mu się niedobrze. Ileż zniewag ta dziewczyna musiała znieść przez te wszystkie lata, gdy żyła tu sama. Gdyby wiedział wcześniej... No ale co właściwie by zrobił? Nie był przecież

w stanie ochronić jej przed tymi ludźmi, skoro z trudem przychodziło mu chronić siebie samego. Tym niemniej słowa Annette nim wstrząsnęły. Skąd w Maggie to uparte przekonanie, że musi sama mierzyć się z tym wszystkim? Bała się, co Wes sobie pomyśli, a może...

– Hej. Wszystko gra? – Annette położyła mu dłoń na ramieniu.

– Twierdzisz, że jest ci to obojętne. Ale widzę przecież, że to nieprawda.

– Co takiego?

– Dlaczego mu się nie postawiłaś? Byłaś przy tym, jak Harrington zaczął wygadywać na imigrantów i Yu'adir. I nie pisnęłaś ani słowa. Skoro zależy ci na dobru Maggie, powinnaś chyba zareagować, nie sądzisz?

Annette spiekła raka.

– Sam widziałeś, co się dzieje, kiedy próbujesz mu się sprzeciwić.

– Nic – odparował. – Nic się nie dzieje. Po prostu wyrzucił z siebie kolejny potok bredni. Ryzykowałaś tylko tyle, że mówiłby do ciebie.

– Jak twoim zdaniem powinnam była się zachować? Przecież to mój przyjaciel.

Widział, że ją zdenerwował. Ale nie umiał się powstrzymać.

– Może powinnaś poszukać sobie lepszych znajomych.

– Nie mogę, Wes – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie mogę. Nie mogę być lepsza od niego.

– Co ty wygadujesz? Oczywiście, że możesz.

– Co ty tam wiesz. – Annette wzięła głębszy oddech. – Jaime jest synem burmistrza. Wszyscy moi znajomi czczą go jak bożka. Pewnie dlatego że się go boją, i całkiem słusznie. Nie widziałeś jeszcze, do jakiego okrucieństwa zdolny jest ten chłopak. W ogóle go nie znasz. Wybacz, że nie dorastam do twojego kosmopolitycznego punktu widzenia. Ale jako ktoś z innego świata nie masz prawa osądzać mnie ani mówić mi, jak mam się czuć. To, jak to miasto potraktowało Maggie, jest grzechem. Ale ja nie mogę ryzykować, że skończę jak ona. Dopóki jestem tu uwięziona, mogę tylko milczeć. Moi przyjaciele to wszystko, co mam.

– Będę z tobą szczerzy. Moi rodzice są banwijskimi imigrantami. Zanim uciekli z Banwy, byli ubogimi rolnikami. I teraz nadal jesteśmy ubodzy. Przez całe życie muszę użerać się z typami pokroju Harringtona, dlatego wybaczyć, że osądzam cię za to, jak wielką wagę przywiązujesz do opinii na twój temat twoich durnych przyjaciół. Wickdon nie jest pępkiem świata.

Czekał na jej odpowiedź, ona jednak milczała. Przepelniały go złość i rozczarowanie.

– No to przynajmniej sobie wyjaśniliśmy, na czym stoimy.

Annette zamrugnęła szybko i potrząsnęła głową, jakby budziła się ze snu. Choć otaczała ich ciemność, widział, że oczy ma mokre od łez.

– Lepiej już pójdę – powiedziała.

– Boże – mruknął. W jednej chwili dopadły go wyrzuty sumienia. Nie cierpiał, gdy kobiety przez niego płakały.

– Przepraszam. Nie chciałem... Pozwól przynajmniej, że cię odprowadzę.

– Nie – ucięła. Wstała z ziemi i otrzepała sukienkę. – Dam sobie radę. Dobranoc.

Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie wmieszała się w tłum. Kiedy stracił ją z oczu, opadł z powrotem na trawę i wydał z siebie zbolaty jęk. Już nieraz zdarzały mu się nieudane randki, ale ta przebiła wszystkie. I znowu poczuł się równie paskudnie jak przed spotkaniem Annette. Może nawet gorzej.

W brzuchu przewracało mu się z gniewu. Może nie powinien był przyznawać się jej, że jest Banwiszem. Może należało obrócić to w żart i zmienić temat. Tyle że na przestrzeni lat zbyt często pozostawał bierny, gdy żartowano przy nim z Banwiszów. A dzisiaj po prostu nie mógł znieść, że on albo Annette udawali kogoś, kim naprawdę nie byli.

Z miejsca, gdzie siedział, widać było bezmiar nieba. Wtem w polu jego widzenia pojawiła się blada niczym księżyc twarz Margaret.

– Spotkałam Annette. Wyglądała na roztrzęsioną.

– M-margaret... – wydusił z siebie z wyraźnym trudem. Usiadł prosto. – Przyszłaś.

– Naturalnie. – Skrzyżowawszy ramiona na piersi, spytała: – Coś ty jej nagadał?

I co miałby jej odpowiedzieć? Rozmawialiśmy na twój temat i tak od słowa do słowa... Nie, nie mógł wyznać jej prawdy. To, czego dowiedział się o niej, bez jej zgody, zupełnie go rozstroiło. Wzruszył ramionami i z wystudiowanym nonszalanckim wyrazem twarzy powiedział:

– Chyba za wcześnie próbowałem z nią szczęścia. Uwierzysz?

Margaret zmarszczyła groźnie brwi.

– Jasne – mruknęła.

W tej chwili doleciał ich głos burmistrza:

– Następny w kolejce jest Weston Winters.

– O cholera.

Wes zerwał się na równe nogi. Od chwili, gdy zdecydował, że położy się tu i zaczeka, aż przyjdzie śmierć, przybyło jeszcze więcej gapiów.

– Nie ma szans, żebyśmy przepchnęli się bliżej.

– No to się cofnijmy.

Zanim zdążył dopytać, co kryło się za tym paradoksem, Margaret puściła się biegiem. Chcąc nie chcąc, poirytowany ruszył za nią, starając się dotrzymać jej kroku.

Wspinali się zboczem pagórka, porośniętym wysoką trawą. To faktycznie był lepszy punkt widokowy – widać było, jak z tłumu odłącza się jakaś samotna postać. Uniósł sztucer i złożywszy się do strzału, wymierzyła do celu: zrobionego z sękatej gałęzi cyprysu. W następnej chwili rozległ się huk, który echo poniosło daleko po polu. W napiętej ciszy wszyscy czekali, aż rozwieje się dym.

Drewniany cel płonął, sypiąc na wszystkie strony iskrami, które w ciemności migotały jak świetliki. Jeden z urzędników czuwających nad przebiegiem imprezy ruszył biegiem w jego kierunku, pokrzykując coś i taszcząc gaśnicę.

– Tak! – Wes zaklaskał z radości. – Tak! Udało się. Widziałaś?

Płonący cel z tej odległości wydawał się tylko pomarańczową plamą w mroku nocy, ale Wes i tak widział, jak odbija się w oczach Margaret.

– Widziałam – przyznała nie bez podziwu.

– Przypomnij mi, ile muszę zdobyć punktów.

– Sto piętnaście – stwierdziła bez zastanowienia. Wcześniej zdążyła tysiąc razy przeanalizować każdy możliwy scenariusz.

Z zapartym tchem czekali, aż jurorzy się naradzą. Ogień w tym czasie zgasł. Wes, żeby zająć czymś ręce, zaczął bawić się długimi źdźbłami trawy. Mógłby przysiąc, że Margaret naprawdę wstrzymywała oddech, czekając na decyzję sędziów. Po paru minutach w głośnikach rozległ się głos spikera:

– Weston Winters zdobywa sto siedemnaście punktów. Następny w kolejności...

– Margaret! – krzyknął Wes.

Dziewczyna siedziała całkowicie nieruchomo, jak gdyby niedokładnie usłyszała werdykt.

– Margaret!

Rzucił jej się na szyję. Mało brakowało, a przewróciliby się oboje na trawę. Dopiero gdy wydała z siebie stłumiony jęk protestu, Wes oprzytomniał – to znaczy zdał sobie sprawę, że naprawdę trzyma ją w ramionach. Ale w euforii, jaka go ogarnęła, nie miał zamiaru jej puścić.

– Udało nam się!

Margaret zaczęła wierzgać, dopóki nie uwolniła się z jego uchwytu. Policzki jej płonęły, ich różany kolor kojarzył mu się z letnim popołudniem.

– To twoja zasługa. Wybacz, że wątpiałam w twoje umiejętności.

Podziękował jej promiennym uśmiechem. Maggie też uśmiechnęła się do niego, na co Wesowi zakręciło się w głowie ze szczęścia. I właśnie wtedy po raz pierwszy dopuścił do siebie myśl, że kto wie, może im się uda.







ło już popołudnie, a przez okna sączyło się miękkie złociste światło, mimo to Wes nadal nie wstał z łóżka. Margaret wcale mu się nie dziwiła – do domu wrócili przed północą, a przez ostatni tydzień chłopak nie dosypiał. Zresztą po tym, czego wczoraj dokonał, zasłużył sobie, by wylegiwać się choćby i cały dzień.

Nadal nie mogła uwierzyć, że mu się udało. Kiedy przeprowadzał reakcję alchemiczną, zdołała znaleźć w tłumie miejsce, z którego widziała, jak płomień, promienny niczym gwiazda, rozjaśnił jego twarz. Pomyślała wtedy, po raz pierwszy od lat, że alchemia kryje w sobie jakieś osobliwe piękno. I że może jest w stanie uczynić coś więcej, niż tylko krzywdzić.

Jeśli teraz dobrze jej pójdzie w konkursie strzeleckim, odbywającym się w tym tygodniu, zapewnią sobie miejsce w pierwszej pogoni. Będą mieć realne szanse na zwycięstwo.

W swoim pokoju zastała Kłopotą. Psiak spał na łóżku, wygrzewając się w słońcu. Najchętniej zgoniłaby go na podłogę, ale coś jej nie pozwalało. Za sprawą wyczynu Wesa czuła się dziwnie bezbronna i pełna nadziei. I – ku własnemu zaskoczeniu – mimo że tłumaczyła sobie, że to nie zmieni jej samopoczucia, łaknęła jego towarzystwa.

Wystarczy, że popełniła już jeden błąd, którego nie zdoła naprawić: przyznała sama przed sobą, że nie jest jej obojętny. Była w stanie znieść swoje mimowolne rojenia o tym, do jakich celów mógłby im się przydać ten wielki pusty dom, pełen mrocznych zakamarków i skąpanych w słońcu kącików. O tym, jak wyglądałby rozebrany i pochylający się nad nią. Martwiło ją co innego – harce

motylków w jej brzuchu na wspomnienie chwili, gdy uścisnął ją tam, na górcie pod miasteczkiem. Zachował się wtedy tak, jakby przez całe życie nie robili nic innego. Jego uśmiech w tamtym momencie był taki promienny, szczery. Spontaniczne uczucie, jakie jej wtedy okazał, było dla niej przypomnieniem o tym, jak wiele straciła – i jak wiele może znowu stracić.

Uchyliła okno i wystawiła twarz na pieszczotę wiatru. Było już za późno na kolejny trening, wkrótce zacznie zmierzchać. Ale wiedziała, jak spożytkować ten nadmiar energii. Nie mogła pozwolić, by jego wczorajszy występ przyćmił ten, do którego przygotowywała się ona. Ściągnęła ze ściany strzelbę i postawiła ją na podłodze. Rozkładanie i czyszczenie broni zawsze było dla niej czynnością niemal rytualną. Wykonywała ją tyle razy, że umiałaby to zrobić nawet z zamkniętymi oczami. Nim metalowe części zostały nasmarowane, a drewniana kolba wypolerowana na wysoki błysk, kręciło jej się w głowie od woni nafty i ołowiu. W promieniach słońca drewno lśniło złociście niczym miód.

– Kłopot.

Pies podniósł łeb, jedno ucho mu się zawinęło.

– Kłopot – powtórzyła, tym razem bardziej żartobliwym tonem.

Przyglądał się jej, powoli uderzając ogonem o prześcieradło. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien wylegiwać się na łożku. Ale wiedział też, że dzisiaj jego pani jest wyjątkowo wspaniałomyślna. Bardziej surowy treser momentalnie przywołałby go do porządku, ale Maggie od czasu do czasu dawała mu taryfę ulgową.

– Co powiesz na mały spacer? – spytała, wieszając sobie na ramieniu broń.

Kłopot zastrzygł uszami.

– Idziemy.

Zeskoczył z łożka i pognał schodami na parter. Widząc to, Margaret roześmiała się i ruszyła za nim. Kiedy wyszli przed dom, powoli zapadał już zmierzch. W oddali porośnięte sosną i jodłą stoki schodziły do oceanu.

Poszła za budynek, gdzie znajdował się wybieg dla koni, stanęła przy płocie i zawołała swojego szarego wałacha Migotka. Koń podbiegł radośnie, ale gdy zobaczył, że Margaret w ręce trzyma uździenicę, chyba poczuł się zdradzony. Maggie przywiązała go do

słupka, wyszczotkowała i osiodłała. Wprawdzie uda miała obolałe po ostatnich dniach jeżdżenia, ale jakoś udało jej się dosiąść Migotka i zmusić, by ruszył kłusem.

Dopiero gdy skierowali się ku widocznej w oddali ścianie lasu, odważyła się spojrzeć do tyłu. Powinna zabierać Wesa, żeby powoli oswajał się z polowaniem. Ale dzisiaj chciała się skupić. Poza tym kiedy tylko chłopak otworzy usta, spłoszy zwierzynę w promieniu ośmiu kilometrów.

– Kłopot – odezwała się. – Szukaj.

Pies na moment zamarł z nosem zadartym w górę, następnie – niczym pocisk – wystrzelił w krzaki. Las pogrążył się w ciszy, męczonej jedynie stuknięciami kopyt Migotka. Koń parsknął, jakby czymś zaniepokojony, na co dziewczyna poklepała go po karku.

Znaleźli się w miejscu, którego chyba jeszcze nie знаła. Po obu stronach ścieżki pleniły się niesamowicie bujne i zielone paprocie. Gdzieś tam dzikie kwiaty rosły w gęstych kępach, tłamsząc się nawzajem. Wysoko nad głową Margaret drzewa wypuszczały nowe pędy, toczyły soki, ale wszystkie te zwiastuny nowego życia miały nie przetrwać starcia z niespodziewanym mrozem. Roślinność tutaj była bujna aż do przesady, pleniła się tak obficie, że pożywienia nie starczało dla wszystkich – słabsze osobniki skazane były na wyginiecie, a wkoło cuchnęło zgnilizną.

Margaret wiedziała, że to sprawka hali. Wpływ demiurga powodował, że gniły całe sady, a lasy padały ofiarą własnego nadmiernego rozrostu. Przypomniła jej się szkic, który znalazła w notatniku matki i skrzętnie ukryła: przedstawiał węża pożerającego własny ogon. Odruchowo poszukała dłonią klucza zawieszzonego na szyi i zacisnęła na nim palce.

Dotychczas ucierpieli i Halananowie, i Harringtonowie. Ile jeszcze osób dozna szwanku, nim wzejdzie Zimny Księżyc? Iloma cierpieniami okupiona jest obietnica chwały?

Liście szelestem zawołały ją po imieniu. Słyszając to, zastygła w siodle.

Nie podobało jej się to, co dzieje się z lasem – jej lasem. Jeszcze niedawno, gdy tu bywała, nic nie było w stanie wytrącić jej z równowagi: ani krakanie kruka, ani rozbrzmiewające w ciszy trele

sójki, ani nawet jaśniejące w mroku ślepią zającą. Teraz przyłapywała się na tym, że wypatruje pośród drzew mignięcia bieli.

Jej oddech zmieniał się w białe obłoczki.

Wtem doleciało ją ujadanie Kłopoty.

Pies zwęszył trop. Maggie zmusiła Migotka do galopu. Wiatr smagał ją po twarzy, gdy pędzili w dół zbocza, strącając po drodze małe lawiny kamieni. Wychyliła się do przodu, czując palenie w nogach, gdy koń skokiem pokonał przeszkodę w postaci tarasującej drogę powalonej sekwoi. Po chwili wypadli na polanę i Maggie ujrzała Kłopotę. Stał pod wielką sekwoją na tylnych łapach, przednimi opierając się o pień. Merdał zawzięcie ogonem. Odrzucił łeb do tyłu i znowu zaczął ujadać. Z pyska zwisały mu strużki śliny.

Ewidentnie był z siebie bardzo rad. Popisywał się.

– Dobrze, przecież słyszę...

Psiak wycofał się i schował za plecami swojej pani. Rudy lis wgramolił się na drzewo trzy metry nad ziemią i przylgnął brzuchem do pokrytej porostami gałęzi. Margaret zdjęła z ramienia sztucer i zbliżyła lunetę celowniczą do oka. Drewniana kolba, kiedy przytuliła do niej policzek, była gładka i chłodna. Nadal pachniała pastą do polerowania i olejem.

Mimo że generalnie brzydziła się alchemią, jeden jej aspekt zawsze był jej bliski: przekonanie, że wszystko – człowiek na równi z lisem – składa się z tej samej pierwotnej materii. Wszystko jest Jednym, a Jedno jest Wszystkim. Tak naprawdę w swoich najgłębszych pokładach wszyscy byli tacy sami – wszyscy chcieli po prostu przetrwać.

Evelyn niewątpliwie uznałaby taką interpretację za mylną albo posądzałaby Maggie o sentymentalizm. Tyle że ona była nieodrodną córką swojej matki, a sentymentalizm był jej obcy. Prawda była prosta i amoralna: lis zginie, żeby ona mogła żyć.

Kiedy wycelowwała, lis położył uszy po sobie i machnął kitą. Cóż za ulga, zobaczyć dla odmiany zwyczajnego lisa, takiego, który doskonale wie, czym jest strach przed śmiercią, i w obliczu zagrożenia ze strony człowieka nie przejawia dziwnej obojętności, którą zaobserwowała u hali. Poza dudnieniem krwi w uszach Margaret słyszała tylko szelest liści potrącanych przez wiatr. Wzięła głęboki oddech i wstrzymała powietrze.

Teraz.

Nacisnęła spust. Donośny suchy trzask sprawił, że z wierzchołków drzew poderwały się ptaki. W tej samej chwili małe rude truchło z głuchym łoskotem spadło na ziemię. Las, razem z Maggie, wypuścił wstrzymywane powietrze i dmuchnął jej we włosy. Podeszła do zwiniętych zwłok spoczywających wśród liści. Były zbrązowiałe, jakby pokryte zaschniętą krwią. Leżące u jej stóp ciało lisa tworzyło zamknięty okrąg: ogon zwierzęcia znajdował się w rozchyłonym pysku. Ten niespodziewany obraz uroborosa był niczym uderzenie obuchem. To niewątpliwie jakaś wiadomość, ostrzeżenie albo...

Nie, hala to po prostu zwierzę.

Myśl, że hala ją obserwuje – czy nawet próbuje jej coś przekazać – była nedorzeczna. Napięcie, w jakim żyła z powodu gonu, i jej poplątane uczucia w stosunku do Wesa sprawiały chyba, że Maggie powoli zaczynała wpadać w paranoję.

Chwyliła lisa za puszystą kitę i podniosła z ziemi. Ciężył jej w dłoni niczym pełna monet sakiewka. Śmierć nie ujęła blasku złocistym ślepiom zwierzęcia, nadal wydawało się, jakby płonął w nich ogień. W miarę jak las zapominał o wystrzale, powoli wracało do niego życie. Zakrakał kruk, wśród krzewów kicał zając. Nawet Kłopot odważył się znów poruszyć. Truchtał u boku swojej pani, wtulając się całym ciężarem ciała w jej nogę, a przy okazji niemal ją przewracając. Poklepała ogara po boku, czemu towarzyszył przyjemny dla ucha głęboki dźwięk.

– Dobry piesek. Damy radę.

Zostały jej jeszcze dwa tygodnie, by z ogara i konia w wieku emerytalnym uczynić najlepsze w kraju. Ale co tam, do odważnych świat należy.

Dźwięki drzew nadal wywoływały w niej niepokój. Im dłużej tu przebywała, tym większą miała pewność, że wiatr naprawdę mówi – że stara się przekazać jej jakąś mądrość albo ostrzeżenie, których ona po prostu nie rozumiała.

Kiedy przybyli do Wickdon, obchody toczyły się już pełną parą.

Tafla morza wyglądała, jakby zachodzące słońce obsypało ją złotymi pieniążkami. Drzewa, skąpane w czerwonym blasku, zdawały się płonąć. Te rosnące blisko brzegu, pod wpływem wiejących tu

nieustannie wiatrów, pochyliły się tak, że szorowały pniami po ziemi, zupełnie jak płaszczące się psy. Margaret знаła krzywiznę linii brzegowej lepiej od zagłębienia między palcami własnej dłoni. Tego dnia całe Wickdon, oprócz właśnie nabrzeża, zmieniło się nie do poznania.

Szok był tak wielki jak wtedy, gdy zobaczyła pierwszy raz matkę po śmierci brata. Evelyn wynurzyła się wówczas ze swojej pracowni. Była tak samo wychudzona jak zawsze, ale spojrzenie miała inne – jakby czaiło się w nim coś mrocznego.

Tłumy ciągnęły ulicami niczym woda wychluszczona z miednicy, w której prano odzież. Rzeka ludzka szczelnie wypełniała brukowane boczne uliczki, na niemal wszystkich narożnikach płonęły pochodnie, rzucając drżące światło na kocie łby. Pośród nóg dorosłych, niczym po lesie, buszowały dzieciaki. Na policzkach miały narysowane czarne wąsiki, a u pasa doczepione lisie kity. Kobiety miały podmalowane kreską oczy, tak że przypominały ślepie dzikiego zwierzęcia. Ubrane były w etole i płaszcze z lisiego futra. Nad ulicami rozciągnięto sznury z kolorowymi lampkami, rozwieszono na przewodach telefonicznych wielobarwne chorągiewki powiewały na wietrze.

Margaret nie umiała wczuć się w tę radosną atmosferę. Szła jak na ścięcie. Gdzieś za całą tą masą ludzką było miejsce, do którego musiała dotrzeć. Ciągająca się tamtędy kamienna ścieżka prowadziła nad wodę. I to właśnie tam miała zaprezentować swoje umiejętności strzeleckie i zapewnić im miejsce w pierwszej pogoni.

Poczuła, jak Wes kładzie jej dłoń na plecach. Był to całkowicie niewinny gest, chłopak chciał po prostu zwrócić na siebie jej uwagę, ale jego dotyk ją zelektryzował. Winowajca niczego nie zauważył – albo udawał, że nie widzi. W każdym razie była mu wdzięczna, że zachowuje się naturalnie i nie odstępował jej na krok. Wydawał jej się teraz jedyną ostoją pośród całego otaczającego ich chaosu.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odparła, zakładając niesforny kosmyk włosów za ucho.

Jego ramiona oblewał ciepły pomarańczowy blask pochodni i latarni.

– Lepiej idź się rozerwij – poradziła. – To twoja noc.

– Cóż to? Już masz mnie dość, Margaret? Pozbawiony twojego towarzystwa, będę skazany na tęsknotę za tobą i za tym wszystkim, czego nie mogę kupić.

Czasami wychodził z niego zwyczajny gnojek.

– Chcesz dwudziestopięciocentówkę?

Momentalnie spoważniał.

– Mówisz poważnie? – spytał zaskoczony.

– I to jak!

Margaret wyciągnęła z kieszeni kurtki portmonetkę i po chwili znalazła w niej to, czego szukała. Ujęła Wesa delikatnie za nadgarstek i wcisnęła mu do ręki monetę.

– Zaszalej.

Jego oczy skrywał cień, ale i tak widziała, jak błyszczą. Wydawał się zadumany, wręcz smutny. Szybko się zreflektował i potrząsnął głową.

– Oddam ci.

– Z czego?

– Hmm, dobre pytanie.

Jego lubieżny uśmiech i to, jak pożerał ją wzrokiem, nie pozostawiały wątpliwości, jakie myśli leżyły się w jego głowie. Margaret nie cierpiała w sobie tego, że ilekroć poświęcał jej uwagę, nawet gdy robił to nieszczerze, oblewała się rumieńcem.

– Na pewno jest coś, w czym mógłbym ci się przydać...

– Nie, po prostu idź już.

Roześmiał się serdecznie i opuścił rękę. Następnie schował monetę do kieszeni. Wspomnienie jego dotyku nadal parzyło jej plecy.

– No dobrze, dobrze. Ale jesteś pewna, że nie chcesz mojej pomocy? Mógłbym na przykład popracować łokciami i utorować ci drogę na sam brzeg.

– Nie trzeba.

Wes wykonał już swoją część roboty. Tego wieczoru to ona musiała pokazać, na co ją stać. I w głębi duszy wiedziała, że wygra.

– O której godzinie zaczyna się konkurs? Chcę zobaczyć, jak będziesz strzelać.

– O osiemnastej trzydzieści. Ale wątpię, żeby warto było czekać. Strzelanie odbywa się w stylu turniejowym: każda runda trwa tylko



parę sekund.

– Ależ oczywiście, że będzie warto – zaproponował. – Obiecałaś, że mi pokażesz, jak obchodzisz się z bronią palną. Poza tym skąd mogę wiedzieć, czy nie popełniłem straszliwego błędu, wiążąc swoje losy z tobą.

– Postaram się nie przynieść ci wstydu – odparła z bladym uśmiechem.

– Nie przyniesiesz.

On też się uśmiechnął. Był to jeden z tych jego rzadkich szczerych, serdecznych uśmiechów. Maggie poczuła, jak rozgrzewa ją od środka.

– Powodzenia. Spotkamy się później.

Chwilę po tym, jak wmieszał się w tłum, wydało jej się, że jest bardziej sama niż w leśnej głuszy, mimo tych wszystkich ludzi i gwaru.

Zebrawszy się w sobie, zaczęła przepychać się przez ciżbę. W powietrzu dawał się wyczuć zapach dymu drzewnego i soli, ale przede wszystkim narzucały się bardziej apetyczne wonie: świeżego chleba i smażonego mięsa. W ustawionych wzdłuż ulic kramach można było się zaopatrzyć w damskie kapelusze o szerokim rondzie, ozdobione pięknymi kwiatami z pluszu, czapsy i skórzane buty do jazdy konnej, a także wszelkiego rodzaju instrumenty alchemiczne: rzemieślnicze alembiki, pękate i lśniące niczym ślimacze muszle, ręcznie uformowane szklane naczynia w kolorach morskich kamyków. Na placu przed zespołem sędziów o srogich obliczach paradowały psy wystawowe z właścicielami.

Kiedy mozolnie brnęła do celu, Margaret wychwyciła parę wrogich spojrzeń. Ścigało ją jej imię wypowiedane szeptem, brzmącym niczym szelest żyta. Z każdym krokiem strach coraz bardziej zaciskał szpony na jej piersi. Dotychczas swoje przetrwanie zawdzięczała sztuce stawania się przezroczystą, niewidzialną. Teraz miała stanąć w blasku fleszy, a perspektywa ta wydawała jej się nie mniej przerażająca od spotkania twarzą w twarz z demiurgiem.

Brukowana kocimi łbami ścieżka dochodziła do skarpy urwiska i kończyła się gwałtownie. Dopiero tu Margaret nieco uspokoił się oddech. Zsunęła się w dół skalistej skarpy, pokonała pas ziemi porośnięty kępami pożółkłej trawy i w końcu dotarła do brzegu. Morze

było niespokojne, znad spienionej kipieli podnosiła się mgła tak gęsta, że księżyc na niebie niemal całkowicie skrył się za jej srebrzystym woalem. Co kilka metrów płonęły ogniska, wokół których piasek przybierał pomarańczowy kolor. Przy największym zgromadzili się uczestnicy zawodów strzeleckich, jej konkurenci. Stali kręgiem wokół ognia, próbując odpędzić jesienny chłód. Wysoko nad ich głowami, na klifach, zaczęli się gromadzić widzowie, powoli schodząc też na plażę.

Margaret podeszła do grupy strzelców wyborowych. Stała na tyle blisko, że widziała, jak ogień odbija się w ich oczach. Praktycznie nikogo tu nie знаła. Wielu zawodników było starszych od niej – odziani w szykowne kurtki myśliwskie lśniące niczym diamenty, dzierżyli złożone strzelby. Mogła sobie wyobrazić, jak prezentowały się ich ogary. Pewnie były wysmukłe i szybkie niczym pocisk.

Wtem poczuła na sobie czyjeś niechętnie spojrzenie. Odwróciła się ku zatoczce i w ciemności rozpoznała oczy Jaimego. Zazwyczaj nie robiła już na niej wrażenia obojętność, a wręcz wstręt, z jakimi się do niej odnosił. Ale dzisiaj nienawiść, jaka wyzierała z jego spojrzenia, była wręcz porażająca. Nagle ze strachu rozboleł ją brzuch.

Przywoławszy na usta grymas mający chyba imitować beztroską minę, Jaime oderwał się od grupy i dumnym krokiem ruszył w jej stronę. Mattis, płaszczący się niczym przestraszony pies, trzymał się parę kroków za nim.

Instynkt podpowiadał jej, że powinna wziąć nogi za pas, poszukać jakiejś kryjówki. Nie pozwalał jej na to jednak buzujący w niej gniew, którego nie umiała ugasić. Być może za dużo czasu spędzała ostatnio z Wesem, a może po prostu osiągnęła punkt, w którym miała już dość – uświadomiła sobie teraz jasno, że dotychczas unikając konfrontacji z Jaimem, bynajmniej nie skłoniła go do tego, by mniej nią pogardzał. Ten chłopak jej nienawidził. Zawsze tak było i nic nie wskazywało na to, by miało się to zmienić.

Skoro dzisiaj wszyscy będą się na nią gapić, dopilnuje, żeby jej furia zapłonęła oślepiającym blaskiem.

– Jaime – odezwała się, kiedy obaj zatrzymali się przed nią.

– Maggie – odparł, zionąc wonią whisky i żutego tytoniu. – A gdzie podziały się twoje kundle?

Puściła tę prowokację mimo uszu.

Jaime i Mattis wybuchnęli śmiechem, jakby jej milczenie było niezwykle zabawne.

– Słyszałem ciekawą historię na temat Wintersa. Okazuje się, że ten chłopak dorobił się już niemałej sławy w Dunway. Wylatywał ze wszystkich pracowni, w których terminował. Wiedziałaś o tym?

– Nie sądziłam, że dajesz wiarę plotkom.

– To nie plotki – wypalił Mattis. – Takie są fakty.

Jaime zgromił go spojrzeniem, zupełnie jakby chłopak przeszkodził mu w czymś ważnym. Mattis posłusznie umilkł. Potrząsnąwszy głową, Jaime ciągnął:

– Nie sądziłem, że można być aż takim niedorajdą życiowym. Ale w końcu rozwikłałem jego tajemnicę. Jest Banwiszem.

– Jakie to ma znaczenie? – spytała cicho i bez przekonania. Skąd Jaime mógł zdobyć takie informacje?

– Przecież to Sumita! Ci ludzie niewiele się różnią od zwierząt. Nie boisz się zostawać z nim sam na sam w domu?

Margaret nasłuchiwała się różnych niestworzonych historii na temat Sumitów. Powiadano, że czczą bożków; że wydzierają z łon matek nienarodzone dzieci katarystów i pożerają je na surowo; że planują utworzyć w Nowym Albionie stolicę nowego sumickiego imperium i ślubować wierność Umbrii, gdzie na świętym tronie zasiada papież. Gdy jednak odwiedziła dom rodzinny Wesa, ze strony jego bliskich spotkała ją sama dobroć.

– Nie – odparła spokojnie. – Nie boję się.

– Ach, teraz rozumiem. Ty po prostu lubisz chodzić do łóżka ze zwierzętami. Jesteście siebie warci: sumicki uzurpator i dziewczyna spiskowiec z ludu Yu'adir – powiedział Jaime, wykrzywiając pogardliwie usta. – Kiedy przyjdzie do strzelania, z przyjemnością pokażę ci, gdzie twoje miejsce. Razem ze znajomymi zadbamy o to, żebyś nie miała żadnych szans, Maggie. Ostrzegam cię.

W tym momencie zadęto w róg i wrzawa ucichła. W ciszy słyhać było tylko szum fal. Jaime odwrócił się na pięcie i wrócił do swojej paczki, podczas gdy Margaret została, dygocząc z powstrzymywanej wściekłości i upokorzenia. Mattis powłókł się za nim. Na odchodnym obejrzał się przez ramię i rzucił jej niepewne spojrzenie.

Tchórz.

Margaret zdawała sobie sprawę, że celem Jaimego było wytrącić ją z równowagi przed zawodami. Myśl, że mu się powiodło, była nieznośna.

W jej głowie raz za razem rozbrzmiewał jego głos: „Ostrzegam cię”.

Gromadzący się wokół niej ludzie wydawali się złaknieni rozrywki, dzicy, nikczemni. Co jej przyszło do głowy, żeby wziąć udział w tych zawodach? Przeciwno tym ludziom – przeciwko Jaimemu – nie miała żadnych szans, zawsze tak było. U jej boku nie było matki, która mogłaby ją obronić, i być może zostanie tak już na zawsze. Może pociągnęła za sobą Wesa ku nieuchronnej katastrofie?

W uszach dudniła jej krew, skronie zrosił zimny pot. Przez zamykający się wokół niej kokon przerażenia przedarł się płynący z głośników głos mistrza ceremonii i ryk odpowiadającego mu tłumy. Mimo to czuła się nieobecna, a to, co działo się wokół niej, zdawało się nierealne i dziwne. Miała wrażenie, jakby oglądała świat, będąc zanurzona w jesiennym morzu. I zrozumiała, że zbliża się kolejny kryzys.

Uświadomienie sobie tego zbiegło się w czasie z hukiem pierwszego wystrzału. Szok przywrócił jej przytomność, odsuwając widmo ataku. Przegapiła moment, w którym rozpoczęły się zawody.

Jesteś tutaj, powtarzała sobie w myśli. Skoncentruj się.

Jeśli nie dla siebie samej, zrób to dla Wesa.

Kiedy dym się rozwiął, ujrzała dwóch mężczyzn stojących na samym brzegu. Jeden z nich odwrócił się do widowni. Na jego twarzy, oblanej pełgającym światłem ogniska, odmalował się uśmiech. Jego konkurent cisnął strzelbę w piach i poszedł przed siebie.

Zatem pojawił się już pierwszy przegrany.

O ile w przypadku pokazów alchemicznych w ocenie brano pod uwagę szereg kryteriów, o tyle zawody strzeleckie rządziły się bardzo prostymi zasadami. Za każde zwycięstwo przyznawano pięćdziesiąt punktów, przegrany otrzymywał zero i lądował na końcu zestawienia. Wes swoim występem uplasował się w grupie najwyżej notowanych alchemików, stanowiących trzydzieści procent wszystkich występujących, tym samym ich zespół miał teraz zagwarantowane miejsce w pierwszej pogoni. Ponieważ w gonie brało udział łącznie

około stu drużyn, zadanie, przed jakim stanęła Margaret, było ambitne: będzie musiała zwyciężyć w co najmniej pięciu z siedmiu rund. Jeden niedoskonały strzał i wszystko będzie stracone.

Postanowiła, że będzie się skupiać na przebiegu zmagania. Mistrz ceremonii wywoływał pary konkurentów. Za każdym razem powtarzał się ten sam schemat: lufy sztucerów błyszczące w ogniu, huk wystrzału i upajający aromat prochu w powietrzu. Z czasem jej serce zaczęło bić żywiej, a dłonie się spociły.

– Margaret Welty i Kate Duncan.

A więc nadszedł moment, gdy wszystko miało się rozstrzygnąć.

Brzuch rozbolał ją z nerwów. Kiedy mijała ognisko, kierując się na tor strzelecki, zakręciło jej się w głowie od bijącego od niego żaru. Na wprost niej, oddalona parę metrów od brzegu, wznosiła się wysepka. Pochodnie oświetlające tor zatknęto na skałach wystających z wody. Na wysepce postawiono chwiejną drewnianą konstrukcję, a na niej zawieszono tarczę strzelniczą – huśtała się na wietrze, podzwaniając łańcuchami. Margaret słyszała syk oceanu obmywającego jej buty. W pewnym momencie napłynęła wyższa fala i zmoczyła jej nogi do wysokości kolan. Poczowała, jak chłód przenika ją na wskroś, do samych kości. Mimo to całą uwagę skupiła na świetlistym torze, który zdawał się unosić na wodzie niczym ślad krwi. W oddali na falach tańczył blask księżyca, srebrząc czarną toń.

Margaret uniosła strzelbę i wymierzyła. Zaczepnęła powietrza, przytrzymując je w piersi. Odczekała dwa uderzenia serca, pozwalając, by świat znieruchomiał. Jej umysł opróżnił się ze wszystkich myśli. Ból żołądka ustał. Kiedy kładła palec na spuście, była w jej dotyku czułość, ale i pewność, z jaką kochanek wita ciało ukochanej.

Strzeliła.

Dym uniół się nad wodą niczym mgła. A kiedy się rozwiął, ukazał dziurę, którą pocisk wyrwał w samym środku tarczy strzelniczej. Widzowie wokół niej wiwatowali. Kiedy omiatała ich spojrzeniem, pośród obcych twarzy wypatrzyła Halanana. Mężczyzna szczyrzył zęby w triumfalnym uśmiechu. Margaret wycofała się chyłkiem i dopiero wtedy zaryzykowała spojrzenie na swoją pokonaną konkurentkę. Porażka tej kobiety nie była czymś, co budziło w niej radość. Satysfakcję mógł sprawić jej wyłącznie głos

spikera, wyczytującego jej imię pośród uczestników zakwalifikowanych do pierwszej pogoni.

Wmieszawszy się z powrotem w tłum, usłyszała, jak mistrz ceremonii zapowiada: Jaime Harrington.

Przechodząc obok, Jaime potrącił ją barkiem, po czym zajął miejsce na brzegu.

Widziała, jak strzela, odkąd sięgała pamięcią. Przed każdym strzałem wiercił się, przeciągał, kręcił głową na wszystkie strony, próbując rozluźnić mięśnie karku – tak jakby mogło to cokolwiek zmienić. Ale dzisiaj porzucił te wszystkie rytuały. Po prostu złożył się do strzału i nacisnął spust, bez żadnych ozdobników i zbędnych przygotowań. Zupełnie jakby mu nie zależało – albo jakby nie miał nic do stracenia. Tarcza zadygotała na łańcuchach. A kiedy Margaret ujrzała idealny otwór po kuli w samym środku celu, tuż przy miejscu, w które trafiła ona, duch w niej upadł. To był doskonały strzał.

Jaime, z błogim uśmiechem na ustach, powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Zachowanie konkurenta dało jej do myślenia. Czyżby tyle trenował, odkąd ostatnio widziała, jak sobie radzi z bronią? Niesamowite, jak świetnie mu poszło.

A może po prostu mu się poszczęściło. Tak, na pewno tak właśnie było.

Tylko że w drugiej rundzie powtórzył ten wyczyn. W następnej też. Za każdym razem nie ustępował jej strzałom ani na krok. Margaret zwróciła też uwagę, że Jaime porusza się z jakąś nienaturalną gracją, jego działania znamionowała precyzja, która sprawiała wrażenie czegoś nie z tego świata. Nie mogła zrozumieć, jak on to robi. Jakim cudem zdołał w tak krótkim czasie dorównać jej na tym polu. Jego sztucer płonął czerwienią, która aż za bardzo przypominała jej o procesie *rubedo*.

Kiedy w czwartej rundzie unosiła sztucer, czuła się niepewnie, zupełnie jakby uczepliła się kurczowo jednego z głązów wystających z wody. Jeszcze dwie rundy, powtarzała w myślach. Dwie rundy i występ w pierwszej pogoni będą mieć w kieszeni.

Wycelowwała, gdy jednak naciskała spust, włożyła w to za dużo siły. W efekcie broń lekko drgnęła i strzał chybił – kula trafiła na lewo od środka tarczy. Margaret syknęła przez zaciśnięte zęby.

Niedbałość. Właśnie popełniła błąd godny nowicjuszeki, który mógł kosztować ich wszystko. Z nerwów znów rozboleł ją brzuch. Uspokoila się trochę, dopiero gdy kula jej konkurenta trafiła w łańcuch zamiast w tarczę.

Boże, musi wziąć się w garść. Co za różnica, jak radzi sobie Jaime? Cóż mogła zyskać, nawet gdyby udało jej się rozebrać jego technikę strzelecką na czynniki pierwsze? Najważniejsze było co innego: jeśli będzie szła z nim łeb w łeb, a na koniec nie zapanuje nad nerwami, przegra.

Zeszła z toru i opadła na głaz, żeby zebrać siły. Zamknęła oczy i starała się przywiązać swój umysł do tego, co tu i teraz: wsłuchiwała się w szum rozbijających się na brzegu fal, czuła sól osiadającą jej na ustach i chłód szczypiący policzki. Jeszcze jedna runda i będą bezpieczni.

Da radę.

W głośnikach rozległ się arogancki głos mistrza ceremonii:

– W następnej rundzie Jaime Harrington zmierzy się z Margaret Welty.

Maggie otworzyła oczy. Jaime stał po drugiej stronie plaży, ich spojrzenia się skrzyżowały. W blasku ogniska jego włosy lśniły miedzią. Uśmiechał się jak ktoś, kto już wie, że wygrał.







es miał wrażenie, że jeszcze chwila i nie wytrzyma ekscytacji towarzyszącej zawodom. Stojąc w otoczeniu wszystkich tych nieznanych mu ludzi, takich roześmianych i pięknie ubranych, poczuł się jak w Dunway. Serce biło mu do rytmu dolatującej z daleka piosenki.

Pozwalał się nieść ludzkiej rzece, dopóki nie wylądował przed czerwonym straganem, w którym sprzedawano maczane w karmelu i lukrowane jabłka. Błyszczały niczym wisiorki wystawiane w gablocie jubilerskiej, mieniając się wszelkimi odcieniami bursztynu i granatu. Wes ścisnął w garści podarowaną mu przez Maggie monetę.

Nie wiedział, co myśleć o tym niespodziewanym geście dobroci z jej strony. Odżyło w nim wspomnienie ojca, który dawał Wesowi i jego siostrze jednopensówkę, drogocenną dla nich niczym najprawdziwsze złoto, i zabierał do sklepu ze słodyczami. Wspomnienie zupełnie rozłożyło go na łopatki, wzruszenie ścisnęło za gardło. Nagle pomyślał, że musi się na czymś skoncentrować, na czymkolwiek, żeby tylko odegnać te myśli.

Chociażby na tym cudownym paśowym kolorze, jakim oblewała się Margaret, gdy się z nią drażnił.

Stłumił jęk frustracji. Dokądkolwiek się zwracał, czaiła się tam ona. Miał tego serdecznie dość. Nie mógł pogodzić się z tym, że ta dziewczyna aż tak mu się podoba. Ostatnio najłatwiej podniecał się

na myśl, że Maggie czyta w pokoju te swoje książki – i to też było straszne. Podobnie jak fakt, że z jej powodu czuł się bezbronny i sfrustrowany. Latami jego recepta na zachowanie wewnętrznej równowagi była prosta: nie zastanawiać się zbyt nad sobą i nie dopuszczać nikogo zbyt blisko. I pomyśleć, że spośród wszystkich kobiet świata to właśnie Margaret – surowa, milcząca Margaret – była tą, która owinęła go sobie wokół palca.

Christine często żartowała z niego, że zakochuje się w każdej nowo poznanej dziewczynie. Ale tamte miłostki nie były na poważnie. Nie były serio. Wes wiedział, że kiedy już naprawdę zakocha się w tej jedynej, przypadnie z kretesem, ponieważ tak to już z nim było, że kiedy się czymś zajmował, angażował się w to na całego. Tylko że najpierw musiał wspiąć się na sam szczyt, a dopiero potem oddać komuś swoje serce. Na razie nie mógł sobie pozwolić na okazywanie słabości.

– Kupujesz coś, młody, czy będziesz tak sterczeć jak słup soli przez cały wieczór? – Sprzedawca obrzucił go niecierpliwym spojrzeniem i wskazał kolejkę klientów, która ustawiła się już za Wesem.

– Tak, przepraszam. Chciałbym jedno...

W tym momencie zobaczył, że macha do niego ktoś po drugiej stronie ulicy. Annette Wallace, z szyją owiniętą martwym lisem. Widoczne w otwartym pysku zwierzęcia perłowobiałe zęby błyszcząły w świetle pochodni. Włosy dziewczyny były lekko kręcone, usta pomalowała pomadką w kolorze krwi. Kiedy spojrzała mu w oczy, ogarnął go strach.

Spodziewał się, że dziewczyna wybuchnie złością. Ku jego zaskoczeniu jednak Annette uśmiechnęła się promiennie.

Z pustką w głowie ruszył jej na spotkanie, klucząc pośród ludzi. W zeszłym tygodniu doprowadził ją do łez. Ale najwyraźniej już mu wybaczyła. Coś mu podpowiadało, że niemożliwe, żeby tak łatwo mu się upiekło, ale nadzieja na towarzystwo okazała się silniejsza. Zabawiając rozmową Annette, przynajmniej uniknie pogrążania się w rozpacz. Ku zadowoleniu sprzedawcy oświadczył:

– Jednak wezmę nie jedno, ale dwa jabłka w karmelu.

Fakt, że za pieniądze od Margaret kupuje coś innej dziewczynie, był dość dwuznaczny moralnie, w tej chwili jednak zupełnie na to nie

zważał.

Z zakupionymi jabłkami opuścił kolejkę. Annette ujęła go za łokieć.

– Wes! Wszędzie cię szukałam.

– Naprawdę? – wyrzucił z siebie nieco piskliwym, wyrażającym zaskoczenie głosem. Odchrząknąwszy, dodał: – Świetnie się składa, bo kupiłem akurat dwa jabłka. Może się poczęstujesz?

– Ale numer! Ja też coś mam.

Nim się spostrzegł, dziewczyna wzięła owoc i wsunęła mu w dłoń kubek pełen jakiegoś gorącego napoju o słodkim, cynamonowym zapachu. Przez dłuższą chwilę przypatrywali się sobie w milczeniu.

Ciszę przerwała Annette:

– No to co, rozejm?

– Rozejm.

– Przepraszam za to, jak zareagowałam tamtego dnia. Żałuję, że tak się rozkleiłam. Miałeś rację, dopiero teraz rozumiem, że musiałam ci się wydać taka...

– Annette – wszedł jej w słowo. – Naprawdę nie ma o czym mówić. Wszystko w porządku.

– Jesteś pewien?

Nagle Wesa dopadło zmęczenie. Darowanie jej tamtego wybuchu wymagałoby dowiedzenia się, za co go konkretnie przeprosza – a to oznaczałoby konieczność odbycia poważnej, potencjalnie niebezpiecznej rozmowy. W sumie to nie uważał Annette za złą osobę. Z drugiej strony, gdyby miał być absolutnie szczery, wcale nie miał pewności, czy wszystko jest w porządku – nie wiedział, czy przypadkiem milczenie Annette w obliczu szykan Jaimego nie czyniło jej współodpowiedzialną za cierpienie Margaret. Annette miała sporo szczęścia, bo Wes w tej chwili nie przywiązywał dużej wagi do bycia szczerym – zależało mu jedynie na towarzystwie. Żeby nie oszaleć, wolał nie poruszać trudnych tematów i zignorować złe przeczucia.

– Tak.

– Świetnie – odetchnęła z ulgą. – Dzięki za jabłko.

– A ja dziękuję za... co to właściwie jest?

– Cydr – wyjaśniła.

Widząc jej anielsko niewinną minkę, Wes momentalnie nabrał podejrzeń.

Annette chwyciła go pod rękę, głowę oparła na jego ramieniu. Jej swobodne zachowanie i wypieki na policzkach sugerowały, że jest pijana. Wes uświadomił sobie po chwili, że jest mu to obojętne. Myśl ta wprowadziła go w konsternację. Jaki sens miało życie, gdy piękna kobieta uwieszona jego ramienia pozostawiała go obojętnym? Kiedy popatrzył w głąb miedzianego kubka, który mu podała, stwierdził, że płyn w środku jest tego samego koloru co oczy Margaret. Odepchnął tę niepokojącą myśl, żeby nie popsuła mu nastroju.

„Zaszalej”, poradziła Margaret. Taki właśnie miał zamiar. Wziął solidny łyk – i niemal się zakrztusił. Gardło piekło go od alkoholu, a w ustach pozostał musujący smak goździków i czosnku.

Annette wybuchnęła śmiechem.

– Wybacz. Mogłam cię ostrzec, że sama zabawiłam się w barmankę.

– Jest z ciebie wyjątkowo hojna barmanka. Czegoś ty tu dodała? Oleju silnikowego?

– Whisky. Ale takiej dającej ekstrakopa. – Wspięła się na palce i szepnęła mu do ucha: – Alchemia, tylko nikomu ani słowa.

Wzbogacanie alchemiczne alkoholu było wbrew prawu, głównie dlatego, że zdaniem świętoszkowatych katarystów picie takich trunków sprzyjało brutalnym przestępstwom. A może chodziło po prostu o to, że ludzie ci nie chcieli, żeby inni dobrze się bawili. Obecnie jedynie wtajemniczeni mogli nabyć taki alkohol w tajnych barach i domowych gorzelniach. Biorąc jednak pod uwagę, ilu alchemików gościło teraz w Wickdon, trudno się dziwić, że kwitła alkoholowa kontrabanda.

Wes zawsze marzył, by spróbować, jak działa coś takiego. Czuł się trochę jak wtedy, gdy Mad ukradła butelkę drogiego wina ze spiżarni swojej byłej dziewczyny bogaczki. Kiedy mama zasnęła, wyslizgnęli się na schody pożarowe. Ponieważ nie mieli korkociągu, stłukli szyjkę butelki, uderzając nią o stopień schodów, a potem wlewali sobie trunek prosto do ust. Rozciął sobie wtedy język, a w jego wątrobie pewnie nadal tkwiły szklane odłamki, lecz i tak było to jedno z jego najmilszych wspomnień Mad. To była wyjątkowa noc – świętowali zdobycie przez nią pierwszej pracy, Wes skończył

czternaście lat i po raz pierwszy skosztował alkoholu, napoju, który otwierał przed nim świat dorosłych.

– Będę milczał jak grób.

Poczuł, jak wraz z alkoholem rozlewa się po nim rozleniwiające ciepło. Ugryzł jabłko. Było kruche i tak słodkie, że zakręciło mu się w głowie. A może tak działała trucizna, którą Annette zaprawiła cydr.

– No i co myślisz? – spytała.

Dopiero teraz zwrócił uwagę, że dziewczyna ma na powiekach złoty pyłek. Migotał w świetle wiszących nad ich głowami lampek, które – mógłby przyciąć – w ciągu ostatniej minuty zaczęły jaśniej świecić. Zachodził w głowę, czy to możliwe, żeby kolory zawsze były takie jaskrawe?

– Ale o czym?

– O festiwalu.

– No... hmm... – Czy zawsze tak trudno było znaleźć słowa? – Podoba mi się. Byłaś już kiedyś na jakimś?

– Jeden raz. Parę lat temu mój brat uczestniczył w gonie i wybraliśmy się całą rodziną, żeby mu kibicować. Pojechałam nawet z łowcami w głównej gonitwie. Miałam z tego mnóstwo frajdy.

– Widziałaś ją? Widziałaś halę?

– Tak – odparła Annette, poważniejąc. – A ty?

– Ja też.

Dopił resztkę cydru i wykrzywił usta. Nim się spostrzegł, dziewczyna ponownie napełniała jego kubek, nalewając z metalowej butelki, którą widocznie wcześniej miała gdzieś schowaną.

– A jak ci się podobał gon? Opowiedz mi o nim.

– To całkowity chaos. Można się zorientować, co się dzieje, tylko jeśli śledzi się rozwój wypadków z siodła. Ale da się usłyszeć, no i poczuć zapach. To coś, czego się nie zapomina, jakby połączenie fetoru siarki i surowego mięsa.

– Boże, po co ludzie to robią?

– Dla Boga i ojczyzny – oświadczyła dziewczyna, stukając flaszką o jego kubek. – Wszyscy ludzie chcą dostąpić boskości.

– Pierwsze słyszę – odparł, marszcząc nos.

– Czyżby? No to powiedz, dlaczego ty i Maggie to robicie?

– Nie mogę ręczyć za to, jakimi motywami ona się kieruje.

– Mów za siebie.

– To dla mnie ostatnia szansa, bym spełnił swoje największe marzenie. Tylko w ten sposób będę mógł pomóc mojej rodzinie.

No i znowu to zrobił – znów grzęznął w swoich splątanych uczuciach. Żeby się od nich odgrodzić, dopił szybko cydr.

– Nie myślmy o tym teraz – poradziła Annette. Jej oczy płonęły odbitym blaskiem pochodni, przez co nie mógł się skupić na wyrazie jej twarzy. Po chwili na jej ustach pojawił się zagadkowy uśmiech. – Lepiej się zastanówmy, co jeszcze możemy dziś zmalować.

Wypowiedziała te słowa dwuznacznym, prowokującym tonem, który go zaskoczył. Zamierzał odpowiedzieć w adekwatny sposób, ale nie zdążył, bo nad placem rozległ się ogłuszający dźwięk rogu. Paru turystów, łącznie z nim, się wzdrygnęło. Niemowlę wybuchnęło płaczem. Po chwili tłum, wznosząc radosne okrzyki, pospiesznie ruszył ku plaży, napierając na nich niczym wezbrana rzeka.

– Co się dzieje? – spytał Wes, próbując przekrzyczeć zgiełk.

– Zawody strzeleckie.

Racja, zawody strzeleckie. Przecież to one go tu ściągnęły.

– O, chodźmy popatrzeć.

Annette przytuliła się do jego boku i zrobiła niezadowoloną minę.

– Naprawdę musimy?

Naturalnie, że musieli. Wes musiał zobaczyć Margaret.

Nie mógł zrozumieć, skąd brały się jej opory. Nie miał okazji jej dopytać, ponieważ nagle zostali rozdzieleni przez tłum. W ścisłości i wrzawie Wes nie mógł niczego usłyszeć ani na niczym się skupić. W całym tym zamieszaniu zgubił gdzieś kubek, a co gorsza – jabłko. Na szczęście otępiające ciepło alkoholu stępiło panikę.

Pozwalał się nieść ludzkiej fali, aż w końcu został wyrzucony na plażę. Płomienie z ognisk wznosiły się wysoko. Księżyc spoglądał na Wesa otwartym do połowy okiem. Chłopak miał wrażenie, że ciemność kłębi się wokół niego i wiruje, przyprawiając o mdłości. Wytężając wzrok, zdołał jednak wypatrzeć ustawionych przy brzegu zawodników. I niemal natychmiast rozpoznał wśród nich tę, której szukał.

Margaret.

Stała z boku, sama pośród tych wszystkich ludzi. Włosy powiewały jej na wietrze, unosiły się znad jej karku, jakby wiatr chciał niewidzialnymi rękami założyć jej naszyjnik z wisiorkiem. Wyobraził

sobie, że widzi delikatne miejsce na jej skórze, na którym włosy ma przyszczyżone króciutko. Wyobraził sobie, że odnajduje je ustami. Chciał się przekonać, jaki dźwięk wydałaby Margaret, gdyby to zrobił. Zapragnął przewrócić ją na piasek, tu i teraz, i sprawić, by znów spojrzała na niego tak jak wtedy, w pracowni jej matki, dziko i z pożądaniem. Pragnął scałować sól z jej warg, wsunąć kolano między jej nogi i...

Boże, ten alkohol był za mocny.

W pewnym momencie zorientował się, że ktoś mu się przygląda. Odwrócił się i ujrzał Jaimego Harringtona, który wlepił w niego wściekłe spojrzenie. Pod wpływem whisky Wes momentalnie wpadł w szal. Margaret ostrzegła go, żeby nie zadzierał z Jaimem. Ale tej nocy miał ochotę na coś dokładnie odwrotnego.

– Tu jesteś! – Annette chwyciła go za ramię. – Naprawdę musimy to oglądać? Straszne nudy.

– Tylko przez chwilę. Chcę zobaczyć, jak poradzi sobie Maggie.

– Jest dobra, naprawdę świetna. Co więcej potrzebujesz wiedzieć? Jest za ciemno, i tak nic nie będzie widać.

Mistrz ceremonii zapowiedział następną parę:

– Jaime Harrington kontra Peter Evander.

– Harringtona też chcę obejrzeć – powiedział, strząsając z siebie rękę Annette. Zaczął przepychać się przez tłum, żeby lepiej widzieć. Kiedy się oddalał, dogonił go wyrażający frustrację jęk zostawionej z tyłu towarzyszki.

Ziemia tańczyła mu pod nogami przy każdym kroku. Iskry sypiące się z płonących nieopodal ognisk wypełniały pole jego widzenia pomarańczową poświatą. Ale gdy zobaczył Jaimego, który dumnie kroczył w stronę toru strzelniczego, momentalnie wzrok mu się wyostrzył. Jaime strzelił, powietrze zmarszczyło się od uwolnionej energii. Było to zjawisko równie subtelne jak drżenie powietrza nad ziemią widoczne w trakcie wielkiego upału. I wtedy, niczym grom z jasnego nieba, spłynęło na niego olśnienie.

Jaime oszukiwał.

Wes rozejrzał się wkoło, ale najwyraźniej nikt niczego nie zauważył. Czy naprawdę ludzie nie widzieli tego, co się stało? Jak to możliwe, żeby nikt się nie zorientował, że Jaime strzela z zaczarowanej broni?

– Wydaje mi się, że on oszukuje.

Annette, stojąca już ponownie u jego boku, zeszywniała.

– Skąd wiesz?

– Jego broń... To oczywiste, że ktoś przy niej manipulował. Gra nie fair.

– Ale skąd możesz to wiedzieć?

– Wiem i już.

– Tak po prostu? – Zniżyła głos, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że krzyczy. – Wes, jesteś kompletnie zalany.

– Nic podobnego. Czuję się *wybornie*.

– Nieprawda. – Jej dłoń spoczęła na jego torsie i powędrowała w dół, zatrzymując się na żebrach. Annette spoglądała mu w oczy, jakby chciała przekazać mu coś bardzo ważnego. – Nie chcę rozmawiać teraz o Jaimem ani o Maggie. W ogóle o niczym nie chcę rozmawiać.

– Nie? – wydyszał.

– Nie, nie chcę. Proszę?

„Proszę”. Obietnica kryjąca się za tym jednym słowem była taka kusząca, mógłby z łatwością jej ulec. Alkohol powodował, że Wes nie przejmował się za bardzo niczym. Liczyło się najbliższe trzydzieści minut, dalej było mu trudno wybiec wyobraźnią. Poza tym dziewczyna miała rację – był zalany w pestkę i nikt nie będzie słuchał, co ma do powiedzenia w takim stanie. Nawet jeśli Jaime oszukiwał, możliwe, że nie będzie to miało żadnego wpływu na niego i Margaret.

Wróciło do niego wspomnienie słów Mad, gdy w złości zwracała się do matki: „A czego innego się spodziewałaś? To egoistyczny dzieciak, który dba tylko o swój interes”.

Mad też miała rację. Może to właśnie stanowiło jego najpełniejszy opis. Może tylko się łudził, sądząc, że panuje nad swoimi uczuciami i dopuszcza jedynie te szlachetne. Przecież dokładnie tego chciał: czegoś nieskomplikowanego, dzięki czemu mógłby zapomnieć o swoich lękach. Zwycięstwo w gonie to abstrakcyjne marzenie, którego ściganie mogło się dla niego źle skończyć – ryzykował, że nigdy nie podniesie się po przegranej. Za to ciężar ciała Annette, gdy przytuli się do niej, będzie konkretny, krzepiący.

– To jak? – spytała.



Chwyciła go za krawat i przyciągnęła, dopóki ich czoła się nie spotkały. Jej ciepły oddech słodko pachniał cynamonem.

– Jaime Harrington i Margaret Welty – oświadczył zapowiadacz.  
Margaret.

Na dźwięk jej imienia Wesa dopadły wyrzuty sumienia, od których rozboleł go brzuch. Nagle go olśniło – oto on, dowód, że wcale nie myśli o sobie. Boże, Mad myliła się co do niego. Myliła się co do wszystkiego. Jak mógł stracić z pola widzenia to, co najważniejsze? Nie może jej zostawić w takiej chwili. I wcale nie tylko dlatego, że nie pozwalała mu na to ambicja, ale też dlatego, że mu zależało – na swojej rodzinie, na ojczyźnie, na *niej*.

– Bardzo mi przykro – powiedział, delikatnie odrywając dłonie Annette od swojego krawata. – Muszę już iść.

– Zaczekaj!

Zostawił ją i ruszył w kierunku toru strzelniczego. W pewnym momencie nadepnął komuś na stopę. Pechowiec krzyknął z bólu, ale Wes nie miał czasu na przeprosiny. Do starcia Jaimego i Margaret pozostało niewiele czasu, a on nie miał pojęcia, co zrobić. Ten drań grał nieczysto, żeby jednak zneutralizować zakłęcie, Wes musiałby wiedzieć, na czym konkretnie polegała modyfikacja jego broni. Mógłby też, oczywiście, wywołać grubszą awarię i sprawić, że zawody zostałyby przerwane...

Do głowy przyszedł mu pewien pomysł. W końcu proch strzelniczy to nic innego jak potas, azotan, węgiel drzewny i siarka. Wystarczy, że zakradnie się na tyle blisko, by przeprowadzić *nigredo*. Wcześniej musi jeszcze znaleźć coś do rysowania.

W kieszeni miał co prawda kawałek kredy, ale pewnie zamieniła się już w proszek, no i nie trzymałaby się wystarczająco dobrze skóry. Omiatał wzrokiem tłum, dopóki nie wypatrzył młodej kobiety całej w bieli, jeśli nie liczyć rudego lisiego futra, którym miała obwiązaną szyję, i czarnych pasków na policzkach. Farba do malowania twarzy powinna się dobrze sprawdzić.

– Wąsiki. – Tylko tyle z siebie wydusił. Sformułowanie pełnego zdania wydawało się teraz wyzwaniem ponad jego siły. Dlatego wypowiadając to jedno słowo, starał się, by zabrzmiało tęsknie.

Dziewczyna, z niepewną miną, wskazała swoją twarz i spytała:

– Chcesz trochę?

Wes potwierdził skinieniem głowy.

Sięgnęła do torby i wydobyla z niej zakręcany pojemnik pełen jakiegoś paskudztwa – a w każdym razie takie odniósł wrażenie. Nagle zaczął widzieć podwójnie, mało brakowało, a upuściłby trzymane w ręce wieczko. Nigdy dotąd nie był tak zalany. Bardzo ostrożnie zamoczył palec w mazi i na odwrocie dłoni narysował krąg transmutacji. Farba momentalnie wyschła.

– Dziękuję pani – powiedział, oddając kobiecie pojemnik. – Muszę iść.

– Dobrze, mój drogi. Powodzenia.

W tym momencie z tłumu widzów wyłonił się Jaime i wyprostowany jak struna stanął na brzegu morza. Jeszcze sekunda i wszystko będzie na nic.

– Hej, Harrington! – zawołał Wes.

Jego głos niemal zginął pośród wrzawy, ale Jaime go usłyszał. Przechylił na bok głowę i zmierzył go nienawistnym spojrzeniem.

Wes ruszył w jego stronę. Starał się sprawiać wrażenie pewnego siebie, choć nie miał pojęcia, co wskóra. Ponieważ nogi naprawdę mu się plątały, nie musiał nawet specjalnie udawać, gdy zatoczył się do przodu i chroniąc się przed upadkiem, położył dłoń na barku Jaimego. Drugą ręką, tą z formułą *nigredo*, chwycił jego broń. To wystarczyło.

Poczuł, jak pod jego dłonią przeskakują iskry białego światła, zupełnie jakby doszło do spięcia w przewodach elektrycznych. Spomiędzy palców wzniosły się wąsy siarkowego dymu. Boże, żeby tylko zadziało.

– Winters, lepiej przystopuj z napojami wyskokowymi. Robisz z siebie pośmiewisko.

– Przepraszam, przepraszam. Po prostu chciałem ci powiedzieć, żebyś wyp... to znaczy powodzenia.

Twarz Jaimego spąsowiła. Rozległy się drwiące okrzyki – publiczność zaczynała się niecierpliwic. Stojąca nad wodą Margaret mierzyła Wesa ostrym spojrzeniem tych swoich pięknych, piwnych oczu. Nie musiała otwierać ust, żeby zrozumiał, co próbuje mu powiedzieć: Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Puścił do niej oko, ale nie zdążył się przekonać, jak zareaguje, bo nagle ktoś wciągnął go między ludzi. To przydupas Jaimego,

Mattis.

– Ogarnij się, człowieku.

Ruda dziewczyna, którą Wes widział w Pubie pod Ślepym Lisem, alchemiczka Jaimego, nachyliła się do niego i z ironicznym uśmiechem szepnęła:

– Prawie ci się udało.

Jaime zbliżył się do brzegu i niepewnym ruchem uniósł strzelbę. Nacisnął spust, a wtedy broń wydała z siebie żalosny dźwięk, jaki można usłyszeć, gdy silnik samochodu się dławi. Kula, opuściwszy lufę, przeleciała po łuku i wpadła do wody.

Wśród publiczności przeszedł szmer. Wes poczuł, jak dłoń, którą Mattis schwycił go za ramię, się rozluźnia. Zszokowana dziewczyna rozchyliła usta. A kiedy Jaime odwrócił się przez ramię i zmierzył go wzrokiem, Wes zrozumiał, że jego przeciwnik już wie. Być może gdyby był trzeźwy, obudziłby się w nim instynkt samozachowawczy. Teraz jednak, pijany w sztok i zachwycony swoją błyskotliwością, pomyślał tylko o tym, by wysunąć dłoń schowaną w kieszeni i pomachać Jaimemu.

Małomówność Margaret trochę go niepokoiła. Owszem, odniosła zwycięstwo, ale nie wydawała się zadowolona.

Niczym przez mgłę obserwował, jak Margaret, z precyzją będącą jej znakiem rozpoznawczym, składa się do strzału. Ale nawet gdy mistrz ceremonii ogłosił ją zwyciężczynią, nawet gdy odczytał nazwiska uczestników zakwalifikowanych do pierwszej pogoni, nawet gdy potem uciekli przed uradowaną gawiedzią, twarz Maggie nadal była nieruchoma niczym głaz.

Wes widział ją teraz tylko z profilu, w świetle ulicznych latarni, ale było jasne, że coś ją gryzie i jest niespokojna. Oczekał, aż dotrą do opłotków Wickdon, gdzie kończyły się kocie łby, a zaczynała ziemna droga, wiodąca pośród rozkołysanych traw.

– Margaret. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, powtórzył: – Maggie?

– Słucham?

– O co chodzi?

Dopiero teraz, gdy w końcu zwróciła na niego uwagę, z całą mocą poczuł, jak bardzo tego pragnął. Zresztą to nie jedyna rzecz,

jakiej w tej chwili od niej chciał. Przede wszystkim zależało mu jednak, żeby się uśmiechnęła.

– Udało ci się. Będziemy w pierwszej pogoni. To chyba powód do świętowania, nie sądzisz?

Dopiero wtedy zaszczyliła go spojrzeniem. I Wes od razu tego pożałował. Przypatrywała mu się z frustracją i niedowierzaniem, jak gdyby powód jej gniewu powinien być dla niego oczywisty.

– Jesteś pijany?

– Nie.

Otwierała już usta, zapewne aby go złajać, ale przed burą uratował go nie kto inny jak Jaime Harrington.

– Hej, Winters.

Pewnie powinien był iść dalej. Zamiast tego zatrzymał się i obrócił na pięcie, szorując butami o kocie łby. Spojrzenie niesamowicie błękitnych oczu Jaimego było lodowate.

– No cześć – odparł Wes.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Z oddali dobiegały śmiechy ludzi wracających z plaży. Dudnienie bębnów zdawało się wprawiać jego żebra w drgania. Ale na ulicy, na której się spotkali, była tylko ich trójka.

– Oboje macie przykry zwyczaj wtykania nosa w nie swoje sprawy – rzekł Jaime.

– Wes. – Głos Maggie był spokojny, ale on wychwycił w nim napięcie. – Lepiej już chodźmy.

Wes przeciągnął się i powiedział:

– Nie mieszaj się, Margaret.

– Twój kundelek nie pójdzie, dopóki nie porozmawiamy sobie od serca.

Jaime zbliżył się do nich. Kiedy Wes zadarł głowę, ujrzał utkwione w sobie nienawistne spojrzenie przeciwnika. Świat lekko zawirował.

– Nie należy wam się miejsce w pierwszej pogoni. Co to był za numer, który tam wykręciłeś?

– Nie wykręciłem żadnego numeru. W przeciwieństwie do ciebie...

Jaime zaśmiał się gorzko.

– Lubisz wsadzać nos w nie swoje sprawy.

– Za to z ciebie jest zwykły tchórz!

Wes sięgnął do kieszeni i wymacał w niej kredę. Kiedy ją wyciągnął, Margaret i Jaime nie spuszczała z niej oka, jakby to był nóż sprężynowy używany do bójek w ciemnych zaułkach. Przez chwilę rozkoszował się tym poczuciem władzy.

– I co, nadal chcesz ze mną zadrzeć? Wcześniej załatwiłem twoją broń. Jeszcze ci mało? Ciekawe, co jeszcze zdążysz stracić tej nocy. Może chcesz, żebym zapalił węgiel w twojej skórze?

Rozłożenie na czynniki pierwsze czegoś tak mało skomplikowanego jak proch strzelniczy to nic trudnego. Podpalenie całego człowieka wymagałoby znacznie większych umiejętności, no i trzeźwości. Tak się składało, że oba te warunki w obecnej chwili były nie do spełnienia. Mimo to Wes nie potrafił się powstrzymać. Chciał, żeby Jaime poczuł strach, taki sam, jakiego on doświadczał. W pewnym momencie lękliwy wyraz twarzy Jaimego zniknął, zastąpiony miną wyrażającą poczucie wyższości.

– Nie zrobisz tego. Żaden z ciebie alchemik. Jesteś zwykłym pijaczyną.

Wes poczuł, jak kreda wysuwa mu się z palców. Upadła na bruk.

– Tak myślałem. A teraz zmiataj do swojej budy jak grzeczny piesek. Kundel tej brudnej Yu'adir...

Wesowi pociemniało przed oczami. Jaime go obraził, a co gorsza, obraził Margaret. Annette mogło nie starczyć odwagi, żeby sprzeciwić się temu chłopakowi. Ale on poczuł teraz, że miarka się przebrała.

Zamachnął się i trzasnął Jaimego prosto w jego wyszczerzoną złośliwie gębę. Domyślał się, że gdy adrenalina przestanie działać, dłoń będzie go piekielnie boleć. Ale słysząc zbolące jęki Jaimego, uznał, że to cena, którą jest skłonny zapłacić. Zdumiony wyraz twarzy adwersarza wprowadził go w uniesienie. Stłuczona warga w okamgnieniu spuchła i przybrała fioletowy kolor niczym przejrzała figa. W sumie dlaczego miałby na tym skończyć? Kiedy przygotowywał się do wymierzenia następnego ciosu, poczuł, jak Margaret chwyta go z tyłu za kołnierz. Pociągnęła z taką siłą, że zatoczył się w jej stronę.

– Wystarczy.

Gdy spojrział na nią, oblaną złocistym blaskiem ulicznych latarni, pomyślał, że jeszcze nigdy nie wyglądała równie olśniewająco; złość

dodawala jej uroku. Jedną ręką sięgała za plecy, gdzie zawieszony miała sztucer.

Jaime przez chwilę popatrywał to na nią, to na niego, chyba próbując oszacować, jakie ma szanse. W końcu splunął krwią. Czerwona plwocina wylądowała na bucie Wesa.

– W porządku, Winters. W porządku.

W tych wypowiedzianych niewyraźnie słowach czaiła się groźba.

– Idziemy – odezwała się Margaret.

– Jesteście skończeni – wycharczał Jaime. – Słyszycie? Skończeni.

Margaret wzięła Wesa pod ramię i odciągnęła go na bok. Kiedy oddalili się na tyle, by Jaime nie mógł ich zobaczyć ani usłyszeć, zastąpiła Wesowi drogę. Uderzyła go w ramię, na tyle mocno, by go zaskoczyć, ale nie dość, by faktycznie zabolalo.

– Aua! – jęknął, masując skórę w tym miejscu. – A to za co?

– Co ci strzeliło do głowy? Postąpiłeś bardzo lekkomyślnie, wpływając w ten sposób na działanie jego broni. Jeśli Jaime poskarży się komuś, że go zaatakowałeś, możemy zostać zdyskwalifikowani! Jak mam z tobą rozmawiać, żeby do ciebie dotarło? Jak mogę cię przekonać, żebyś przestał się tak zachowywać? Nie możesz angażować się w utarczki, w których stoisz na przegranej pozycji. Ale teraz i tak już za późno.

Zupełnie go zatkało. Będąc starszym bratem, wiele razy musiał stawiać czoła chłopakom dokuczającym jego siostram. Gdyby miał policzyć takie sytuacje, nie starczyłoby mu palców obu dłoni. Ale siostry zawsze okazywały mu wdzięczność, gdy się za nimi wstawił. Za to Margaret zachowywała się, jakby skrzywdził jej ukochanego szczeniaczka.

– Nad czym w ogóle się tu zastanawiać? Co innego miałem zrobić? Wolałabyś, żebym pozwolił mu dalej oszukiwać? Poza tym nie mogłem spokojnie się przysłuchiwać, jak cię obrzuca wyzwiskami!

– Ach tak, zatem zrobiłeś to ze względu na mnie? – spytała sarkastycznym tonem.

– Tak!

– Nie chcę być paliwem, którym napędzasz swoje ego. Gdybym chciała ukarać Jaimego za bigoteryjne bzdury, które wygaduje, sama dałabym mu do wiwatu.

Wes nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Nagle dopadło go poczucie winy.

Margaret westchnęła ciężko. Dwoma palcami ujęła grzbiet nosa, jakby dokuczał jej ból głowy. Widoczne na jej twarzy wzburzenie powoli ustępowało.

– Jaime zapewne będzie milczał. Żeby cię oskarżyć, musiałby się przyznać do działania wbrew regulaminowi, a raczej będzie wolał uniknąć takiego wstydu. – Za moment dodała: – Obiecuj mi, że od tej chwili nie będziesz już pakować się w kłopoty.

– To nie ja szukam kłopotów, tylko one mnie.

– Guzik prawda. Sam je prowokujesz. A ja nie mogę stale cię pilnować i przywoływać do porządku.

Wes roześmiał się z niedowierzaniem.

– Wcale nie musisz tego robić.

– Najwyraźniej muszę.

– To nie twoje zadanie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Nie musisz mnie niańczyć, nie musisz sprzątać domu jak pokojówka ani gotować dla nas co wieczór obiadów. Boże, Margaret, przestań troszczyć się o innych i w końcu zatroszcz się o siebie!

Wzdrygnęła się i odskoczyła od niego jak oparzona.

– A twoim zadaniem nie jest stawać w obronie wszystkich. I wiedz, że nie warto wykazywać się przed ludźmi, którzy i tak mają cię za nic.

– O czym ty mówisz?

– Chciałeś go zabić.

– Litości, nie miałem takiego zamiaru.

– To bez znaczenia, jaki miałeś zamiar – warknęła. – Czy kiedy go tłukłeś, sprawiało ci to satysfakcję?

Cóż, nie mógł zaprzeczyć – tak właśnie było. Na krótką upojną chwilę poczuł się niezwykły.

– Naprawdę chcesz, żeby tak wyglądało twoje życie? Taki użytek planujesz zrobić ze swoich alchemicznych zdolności? – ciągnęła Margaret. – Chcesz stać się taki sam jak Jaime, jak oni wszyscy? Chcesz pastwić się nad słabszymi?

Jej słowa były niczym potężne uderzenie w splot słoneczny. W obawie, że mógłby powiedzieć coś, czego będzie potem żałował, odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kierunku dworu.

– Wes! – zawołała za nim Margaret. – Wes?

Nie odwrócił się.

Margaret myliła się co do niego. Świat był pełen ludzi pastwiących się nad słabszymi, ale on do nich nie należał. Tacy ludzie to na przykład właściciele kamienicy czynszowej, w której mieszkanie wynajmuje jego rodzina, miesiąc po miesiącu podnoszący im czynsz. Albo właściciele fabryk, niebiorący żadnej odpowiedzialności za śmierć jego ojca czy niedawną kontuzję matki. Albo dzieciaki pokroju Jaimego Harringtona, którym się wydaje, że mogą wszystkim pomiatać tylko dlatego, że urodziły się w zamożnej rodzinie i są rodowitymi mieszkańcami Nowego Albionu.

Dopóki tacy ludzie – wykorzystujący swoją pozycję, majątek i urodzenie jako broń – będą istnieć, Wes nie będzie mógł nikogo obronić. Ponieważ tak, niezależnie od tego, co sądziła na ten temat Margaret, takie właśnie wyznaczył sobie zadanie. Podstawowe prawo alchemii głosiło, że Wszystko jest Jednym, Jedno jest Wszystkim. Jak na górze, tak i na dole. Stając w obronie jednej osoby, bronimy wszystkich.

Do osiągnięcia tego celu potrzebował alchemii. I władzy.







tworzyła drzwi frontowe i stanęła w progu – w domu, jak zawsze, panowała przeraźliwa cisza. Jednak z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu teraz wydała jej się denerwująca. Zaraz się zreflektowała: bała się i dlatego odczuwała złość. Przestraszyła się tego, co dostrzegła w oczach Wesa; tego, jaki będzie następny krok Jaimego; tego, że naprawdę jej zależy.

– Wes? – zawołała. – Jesteś?

Odpowiedziała jej cisza.

Przez wszystkie te lata nie porzuciła tego domu. Mimo że powoli popadał w ruinę, był jej azylem. W każdym kącie czały się wspomnienia – dowody na to, że kiedyś ta przestrzeń była pełna życia, radości i szczęścia. Ale w tej chwili pustka była gorzkim przypomnieniem, że została tu tylko ona; że gdyby nawet umarła, nie zrobiłoby to żadnej różnicy, ponieważ nie było nikogo, kto by ją opłakał. Gdzie podziewa się jej matka? Dlaczego nie suszy jej głowy o to, gdzie była i z kim? Dlaczego nie zakazuje jej zadawania się z chłopakami, którzy wszczynają bójki z synem najbogatszego, najbardziej wpływowego człowieka w całym mieście?

Ileż by dała, by móc usłyszeć w tej chwili taką połajankę z ust Evelyn.

Kiedy wchodziła po schodach na piętro, z jej pokoju wyszedł Kłopot. Widać było, że dopiero się obudził – merdał ogonem, ale dość niemrawo. Ziewnął, wydając z siebie piskliwy dźwięk, który momentalnie poprawił Margaret humor.

Uklęła i zaczęła tarmosić go za uszy.

– Dobry piesek.

Kiedy się nachyliła, oparła czołem o jego i załkała, nie protestował. On zawsze potrafił przejrzeć ją na wylot, nawet gdy próbowała ukryć przed nim swoje prawdziwe uczucia. Psy wiedzą takie rzeczy.

W pewnym momencie z dołu doleciał zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. Skrzypienie zawiasów zabrzmiało niczym agonalne rżenie rannego zwierzęcia. Kłopot poderwał się i głośno szczechnął.

– Zamknij się, psie – burknął Wes. – To tylko ja.

Margaret obserwowała go ze swojej kryjówki na półpiętrze. Widziała, jak chłopak, nie rozwiązawszy sznurówek, skopuje ze stóp buty. Kiedy rzucił nimi w holu, niemal się przewrócił. Następnie zaczął majstrować przy guzikach płaszcza. Szelest materiału i szereg gniewnych syknięć sugerowały, że uwolnienie się od okrycia przychodzi mu z trudem.

Kiedy zaczął się wspinać po schodach, każdy krok poprzedzał namysłem. Stopnie pojękiwały i piszczwały pod jego ciężarem. Maggie zdawała sobie sprawę, że powinna czym prędzej pójść do swojego pokoju, zamknąć drzwi na klucz i pogasić wszystkie światła, żeby Wes się nie domyślił, że nie śpi. Rozmowa z nim teraz, gdy był nadąsany, wzburzony i pijany, mijала się z celem.

Gdy jednak zobaczyła go z bliska, jego zmierzwione, sztywne od soli morskiej włosy, gniew, który się w niej tlił, zapłonął na nowo. Było to całkowicie irracjonalne, niedające się wyrazić w słowach uczucie, które sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej zagubiona. Z natury ceniła porządek; kiedy chciała zrozumieć jakąś nową emocję, pochylała się nad nią i analizowała. Wszystko musiało być równo poukładane i przejrzyste. I dopiero gdy Wes pojawił się w jej życiu, ten niezawodny dotąd mechanizm zaczął szwankować.

A teraz, nawet gdyby chciała, nie mogła już dłużej ukrywać przed nim swoich uczuć.

Kiedy na palcach pokonywał przedpokój, wynurzyła się z cienia i zawołała go po imieniu. W słabym błękitnym świetle wpadającym przez okno jego szeroko otwarte oczy wydawały się okrągłe i lśniące niczym dwa księżycy w pełni. Kojarzył jej się z psem, którego przyłapano, gdy podjadał resztki jedzenia ze stołu.

– Margaret? – spytał teatralnym szeptem.

Chętnie spytałaby go, po co szepcze albo kogo innego się tu spodziewał. Uznała jednak, że powinna skupić się na tym, co najważniejsze. Bez słowa podeszła do niego, tak blisko, że ich twarze dzieliły teraz centymetry. Pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy, brzmiało:

– Co robisz?

– Idę spać – odparł. – A ty co robisz?

– Czekam na ciebie.

– Czemu?

– Martwiłam się, że Jaime dogoni cię, gdy będziesz wracać do domu. – Pod wpływem jej słów zrezygnował z wyzywającej postawy, ale kiedy się odezwał, głos nadal miał ostry.

– No to możesz już przestać się martwić. Wróciłem w jednym kawałku i nikogo nie spotkałem po drodze.

Chciał chyba, żeby jego odejście miało w sobie odpowiednią dozę dramatyzmu. Ale kiedy odwrócił się na pięcie, nagle stracił równowagę. Przed upadkiem uratowała go balustrada schodów. Margaret zauważyła wtedy, że palce jego prawej dłoni zaczynają puchnąć.

Westchnęła ciężko.

– Przyniosę ci wody.

Przypomniały jej się jego słowa: „To nie twoje zadanie. Przestań troszczyć się o innych i w końcu zatroszcz się o siebie”.

Ale było inaczej – jej rola polegała właśnie na tym. Kiedy ojciec ich porzucił, musiała zaopiekować się Evelyn, która w tamtym czasie na wszelkie sposoby dążyła do samozagłady. Kto zamiast niej zatroszczy się o to, aby świat nie rozpadł się na kawałki? A co by się stało z nią samą, gdyby przez cały czas nie wyszukiwała sobie czegoś do roboty? I najbardziej palące pytanie: kiedy pozwoliła na to, by Wes wtargnął do jej uporządkowanego świata? Wbrew sobie czekała na jego tanie komplementy i uwodzicielski uśmiech.

Nie czekając na jego reakcję, zbiegła na parter, żeby przynieść szklankę wody i worek zamrożonego groszku z lodówki. Zanim wróciła, Wes zdążył zamknąć się w swoim pokoju. Zapukała delikatnie do drzwi. Nie doczekawszy się żadnej reakcji, naparła na nie biodrem. Ustąpiły, ale już po chwili napotkały opór. Czyżby

zabarykadował się w środku? Ten chłopak był tak nieprzewidywalny, że z łatwością mogła sobie wyobrazić taki numer w jego wykonaniu.

Pojękując z wysiłku, pchnęła barkiem skrzydło. Kiedy znalazła się w pokoju, zapaliła światło. Rzeczywiście, można powiedzieć, że ustawił barykadę. Tuż przy drzwiach wznosiła się sterta ubrań utrudniająca wejście. Odepchnęła nogą przeszkodę i rozejrzała się po pokoju. Wszędzie jak okiem sięgnąć leżały rzeczy lokatora. Z oparcia krzesła zwisały krawaty. Książki zaścielały całą podłogę, a ułożone z nich chybotliwe sterty przywodziły na myśl panoramę miniaturowego miasta. Wszystkie powierzchnie pełne były kartek z notatkami, zupełnie jakby oprószył je śnieg. Ten chłopak był równie wielkim bałaganiarzem jak jej matka.

Wes zniknął. Margaret stała jak słup soli na środku jego pokoju, z wodą i mrożonym groszkiem. Wtem drzwi otworzyły się z impetem i trzasnęły o ścianę. Lokator, wyraźnie skonsternowany jej widokiem, stanął chwiejnie na progu.

– No co? – rzuciła zaczepnie.

– Nie możesz mnie nachodzić bez uprzedzenia – oświadczył. – A co, gdybym był nieubrany?

– No właśnie, Wes, co wtedy?

– Aha, znów próbujesz mnie podpuszczać, tak? – Z wypowiedzeniem tego niełatwego przecież zdania poradził sobie w sposób godny podziwu. Zabrzmiało to trochę kpiąco, trochę jakby był urażony, a trochę zalotnie. – Margaret, Margaret. Margaret...

Przewróciła oczami i wskazała brzeg łóżka ze słowami:

– Usiądź.

Posłuchał. Usiadła obok niego i ujęła jego obolałą dłoń w swoje. Knykcie przybrały już niebiesko-czerwoną barwę. Kiedy musnęła palcami sińce, na moment wstrzymał oddech.

– Boli?

– Nie.

Jasne.

Sączące się przez okno światło księżycyca było delikatne niczym koronka. W jej blasku czarne włosy Wesa lśniły srebrzyście, a oczy przybrały ciemnobrązowy odcień. Jedną część Margaret, ta sama, która kazała jej szeptać jego imię, gdy była sama w swoim pokoju, pragnęła teraz po prostu sycić się tym widokiem. Uczucia, jakie

wzbudzał w niej ten chłopak, nadal pozostawały dla niej zagadką. Jedno nie ulegało wątpliwości: w tym momencie wymagał dyscypliny, a nie zachwytów z jej strony. Przycisnęła do spuchniętej pięści lodowaty worek. Wes próbował protestować, ale nic sobie z tego nie robiła.

– Delikatnie, jestem bardzo wrażliwy.

– Przeżyjesz – oświadczyła.

Chciał zabrać rękę, ale nie puszczała. Jego dłoń przyjemnie grzała ją w kolano, w przeciwieństwie do lodowatej paczki groszku.

– Sam jesteś sobie winien.

– Chyba tak – przyznał. Po chwili milczenia dodał: – Nie rozumiem. Przecież Jaime i tak zakwalifikował się do pierwszej pogoni. A poza tym doskonale może się obejść bez pieniędzy z nagrody.

– Tym ludziom nie chodzi o pieniądze ani nawet o to, żeby miasto było bezpieczne. Dla nich najważniejsze jest zabicie hali. I to, kto tego dokona. – Margaret mówiła, nie podnosząc wzroku. – To zaszczyt, którego nie oddadzą komuś takiemu jak my.

– Komuś takiemu jak my? Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał zaskakująco trzeźwo Wes.

– Komuś, kto nie jest taki jak Jaime. Ten, kto zabije halę, wypełni wolę bożą. Dodatkowo będzie to czyn godny największego patrioty. To wszystko ma znaczenie symboliczne. Gra toczy się o to, kto zostanie uznany za bohatera; kto zatriumfuje nad przyrodą. Zastanów się, co by znaczyło, gdyby zwycięstwo w gonie odniósł ktoś taki jak ty. Dla nich stawką jest dusza narodu.

– W takim razie nasze zwycięstwo będzie tym bardziej heroiczne. Przyznaj, Margaret, to było heroiczne, kiedy dałem mu w mordę.

Nie miała zamiaru tego zrobić. Z krótkiej walki pamiętała tylko swoje przerażenie, gdy Jaime nachylił się nad Wesem niczym śliniący się pies myśliwski nad zagonioną ofiarą, a potem triumfalny wzrok Wesa, gdy wpatrywał się w zakrwawioną twarz przeciwnika. Nadal się obawiała, co będzie, gdy Jaimemu w końcu puszczą hamulce.

– Przyświecają ci szlachetne intencje, ale lekkomyślnymi działaniami tylko sobie szkodzisz. Nie wiesz, do czego jest zdolny ten człowiek.

– Ależ wiem, Margaret – odrzekł. Nigdy dotąd nie słyszała w jego głosie tak wielkiego zmęczenia. – Naprawdę wydaje ci się, że nie miałem w swoim życiu do czynienia z ludźmi jego pokroju? Od takich jak Jaime roi się w mieście, to oni rządzą w tym kraju. To oni podpalają sumickie świątynie, nie pozwalają Yu’adir studiować na uniwersytetach i tłuką szyby wystawowe w ich sklepach. Ustanawiają bariery dla uchodźców, którzy przybywają do Nowego Albionu, uciekając przed głodem i pogromami. Zmuszają nas do życia w slumsach i dają pracę, która nas zabija. To oni... – Urwał i przeczesał sprawną dłonią włosy. – Mam tego dość. Mam dość takiego traktowania. A ty nie?

– Ale jaki mamy wybór?

– Możemy walczyć – wypalił pełnym frustracji głosem. – Wszczęć zamieszki. Głosować. Obojętne.

– Źle bym na tym wyszła. Jestem tu sama.

– Nieprawda.

Nie mogła już dłużej trzymać tego w tajemnicy – nie, gdy patrzył na nią tak żarliwie. Nie, gdy była już tak zmęczona trzymaniem go na dystans.

– Jestem Yu’adir.

Ciszę, jaka zapadła po jej wyznaniu, mącił tylko szmer poruszanych wiatrem zasłon i jej nierówny oddech. Spodziewała się jakiejś gwałtownej reakcji, ale Wes tylko zmarszczył brwi.

– Jakie to ma znaczenie? Ja jestem z tobą.

Ulga, jaką poczuła, była tak potężna, że niemal zbiła ją z nóg.

– Wiem, że twoim zdaniem jestem lekkomyślny – ciągnął Wes. – Ale nie umiem inaczej. Skoro planuję zmienić to, jak działa świat, nie mogę siedzieć jak mysz pod miotłą i nie reagować, gdy coś budzi mój sprzeciw. Kiedy osiągnę to, co zamierzam, nie będzie miało znaczenia, gdzie urodzili się nasi dziadkowie.

Margaret nie potrafiła wyobrazić sobie, jak mógłby wyglądać taki świat. No ale inna sprawa, że nigdy nie wyściubiła nosa z Wickdon.

– Niczego równie mocno nie pragnę niż tego, abys zrealizował swoją wizję. Ale skoro chcesz zmienić świat, najpierw musimy zwyciężyć w gonie. Nie zrobisz kariery politycznej, jeśli Jaime cię zabije. Musisz mnie czasami posłuchać. Pozwól mi sobie pomóc.

Nie możesz pozwolić, żeby alchemia pochłonęła cię bez reszty.

Ale nie powiedziała tego. Słowa ugrzęzły jej w gardle.

Zazwyczaj wszystkie emocje, jakie odczuwał Wes, odbijały się na jego twarzy. Ale teraz nie mogła z niej niczego wyczytać.

– Sądziłem, że nie masz żadnych wielkich marzeń.

– Po prostu chcę przeżyć. Spotkać się znów z matką. To mi wystarczy. – Mówiąc to, ścisnęła jego dłoń. – I chcę pomóc ci w realizacji twoich planów. Nasze marzenia są splecione na śmierć i życie. Sam tak powiedziałeś, prawda?

W jego oddechu czuć było alkohol i jabłko w karmelu. Roztaczał wokół siebie również woń prochu strzelniczego, wody po goleniu i morza. Była to mieszanka jej ulubionych zapachów.

– Chcesz mi pomóc? Ale jak?

– Na początek pozwól mi służyć ci radą. Będę pilnować, żebyś nie wpakował się w kłopoty.

– A jak już zwyciężymy? Co wtedy?

– Wtedy nauczę cię, jak przetrwać szkolenie u mojej matki.

Wes potrząsnął niecierpliwie głową.

– Chodzi mi o to, co potem.

Nie będzie żadnego potem.

– Nie wiem.

Wyraźnie sfrustrowany, westchnął.

– Nie chcesz porzucić tego miejsca? Zwiedzić świata? Spotkać ludzi, którzy nie będą cię osądzać wyłącznie pod kątem tego, jakiego boga czcił twój ojciec?

– Podoba mi się tutaj. Jest tak spokojnie.

– No to może ja zostanę tu z tobą.

– Nie – ucięła, sama zdumiona gwałtownością swojej reakcji. Nie rozumiała jednak, co go podkusiło, żeby zaproponować jej coś takiego. – Znudziłbyś się mną. Doskwierałaby ci tu samotność.

– Nigdy mi się nie znudzisz – zapewnił błagalnym głosem. – Zastanów się. Moglibyśmy zbudować dom tuż przy stacji kolejowej. Na kilka dni w tygodniu jeździłbym do Dunway. W weekendy robilibyśmy zakupy na targu, a potem piekli ciasta, przyrządzali konfitury albo coś jeszcze innego. Migotek miałby tam pastwisko, ty i Kłopot lasy, po których moglibyście do woli buszować. No i nigdy nie zabrakłoby ci nasłonecznionych miejsc, idealnych, żeby usiąść z książką.



Słuchając, jak opisuje ich wspólną przyszłość, Margaret mogła ją niemal zobaczyć oczyma wyobraźni. Ten chłopak miał takie piękne marzenia.

– A co by tam było dla ciebie?

Kiedy uniósł na nią spojrzenie, nagle zapomniała, jak się oddycha. Już wcześniej zwróciła uwagę na kolor jego oczu – brązowy, przywodzący jej na myśl sekwoje, a przy tym ciemny niczym ziemia po deszczu. Teraz jednak ich widok ją zelektryzował.

Owszem, Wes był głupcem. Ale równocześnie był błyskotliwy. Ambitny i leniwy. Wielkoduszny i egoistyczny. Troszczący się o innych i lekkomyślny. Wszystkie te sprzeczności, niczym w alchemicznej reakcji, składały się w jedną doskonałą całość. Miał szlachetne serce, był dobry i patrzył na nią jak na największy skarb. I właśnie to napawało ją jeszcze większą grozą niż perspektywa przegranej czy nawet śmierci.

– Margaret, naprawdę chcesz to ode mnie usłyszeć?

Momentalnie zabrała dłonie.

Wes uśmiechnął się przebiegle.

– Tylko żal będzie tych wszystkich wiejskich dziewczuch, które mają mnie za światowca.

Margaret równocześnie poczuła rozczarowanie i ulgę.

– Cicho bądź i napij się wody.

– Dobrze, proszę pani. – Wes podniósł stojącą na stoliku nocnym szklankę i wziął nieduży łyk.

– Do dna.

– Coś jeszcze? – spytał, spoglądając na nią wilkiem.

– Nie, to wszystko.

Margaret nadal jednak siedziała nieruchomo z dłońmi złożonymi na kolanach. Poruszyła się, dopiero gdy głowa zaczęła mu się kiwać, co groziło, że szklanka wysunie mu się z palców i wyląduje na podłodze. Zabrała mu naczynie i odstawiła z powrotem na nocny stolik. Rano będzie miał straszego kaca, ale teraz nie dało się nic na to poradzić. Poza tym sam sobie był winny.

Wydawał się taki spokojny, kiedy spał. Niczego nie knuł, nie miał humorów, nie buzował w nim płomień.

Margaret nadal obracała w myślach wizję przyszłości, jaką przed nią roztoczył, zupełnie jakby było to jabłko na targowym straganie,

nad którego zakupem się zastanawia. Zestawiała ją z jasnymi, ciepłymi wspomnieniami własnej rodziny. Jak wyglądałoby ich wspólne życie? Czy pozostałaby cieniem samej siebie, snującym się niczym duch po ich wspaniałym nowym domu. Czy nadal żyłaby tylko na pół gwizdka, przez cały czas w cieniu nieuchronnie nadciągającej tragedii, która skradnie jej szczęście?

Nie, nie mogła pozwolić sobie na to, by znów utracić kogoś tak drogiego. Nie mogła go pragnąć, nie mogła oddać swojego serca kolejnej osobie parającej się alchemią.

Najlepsze wyjście było zarazem najprostszym: zwyciężą w gonie. Evelyn wróci i pokocha ją na nowo. Wes odbędzie szkolenie u jej matki, zdobędzie certyfikat. A potem ruszy dalej, żeby realizować swoje plany. Odgarnąwszy mu włosy z czoła, Margaret wstała i wyszła z pokoju. Zamykając za sobą drzwi, miała wrażenie, że równocześnie odcina się od swoich pragnień.





olejnego ranka Wes otworzył oczy i zaraz skrzywił się oślepiiony słońcem. Leżał wprawdzie na łóżku, ale w ubraniach. Zbierało mu się na wymioty, a na samą myśl o tym, że miałby usiąść, zapragnął umrzeć. Jego spojrzenie padło na pełną szklankę wody stojącą na stoliku nocnym.

Nigdy dotąd nie czuł do siebie równie potężnego obrzydzenia.

Był tak otumaniony, że musiała minąć chwila, nim się zorientował, gdzie jest. Biurko zaścieniały otwarte książki. W kącie pokoju pełno było pomiętych ubrań. Na jednej z kolumn łóżka wisiał skrawek papieru z nabazgraną notatką. Już od paru dni starał się odcyfrować jej treść, ale bezskutecznie: „Morze letko zmienidź proporcje H?”.

Całe szczęście, że dowlókł się jakoś do domu i trafił do łóżka. Po chwili poczuł pulsujący ból w dłoni, który przywrócił mu pamięć. Przypomniwał sobie, gdzie był i co zrobił. *Znowu* obraził Annette. Potem dał po mordzie Jaimemu i przy okazji chyba pogruchotał sobie kości dłoni. Na koniec w pijackim zamroczeniu oświadczył się Margaret. Nasuwało się pytanie: który z jego wybryków można było tłumaczyć upojeniem alkoholowym?

„Oświadczyzny”, uznał. Akurat za to nie mógł wziąć odpowiedzialności.

Ból rozsadzał mu czaszkę. Nakrył głowę poduszką, żeby zasłonić się przed oślepiającym światłem z okna. Może byłoby lepiej, gdyby Jaime go zabił. Przynajmniej odnalazłby wreszcie wytchnienie. Przestałby się zadręczać wspomnieniem twarzy urażonej Annette

i podejrzeniem, że za daleko zabrął w swoim przywiązaniu do Margaret Welty.

Huk wystrzału przeszył jego głowę.

Próbował się zanurzyć głębiej w materacu, żeby uciec przed hałasem. Strzałów było jednak coraz więcej. Stawało się jasne, że Margaret pastwiła się nad nim za karę. Odrzucił koc, chwytając podszedł do okna i odciągnął na bok zasłony. Dziewczyna stała na skraju podwórza, z bronią gotową do kolejnego strzału. Mierzyła do celów rozmieszczonych wzdłuż ściany lasu: butelki, potłuczone garnki i puszki zwisały na sznurkach z gałęzi i stały na poczerniałych pieńkach sekwoi. Margaret wystrzeliła i w tym samym momencie jedna z flaszek, niczym fajerwerk, rozpadła się na drobinki. Kolejnym strzałem unicestwiła talerz. Wesowi zdawało się, że każdy wystrzał przenika go na wskroś. Mimo to nie mógł oderwać wzroku.

Co ja tu w ogóle robię?

Czego taka dziewczyna jak ona mogłaby chcieć od niego? Regulamin gonu dopuszczał alchemiczne ulepszenia broni palnej, ale kiedy Wes tak przyglądał się Margaret, uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jak mógłby ulepszyć jej technikę strzelecką. Nigdy nie widział niczego, co można by z tym porównać – mimo że jej technika kryła w sobie drobne niedoskonałości, łącznie składały się one na czyste piękno. Jej koncentracja, nieruchoma postawa... Wszystko, co robiła, było olśniewające.

*Ona sama* przyciągała go z magnetyczną siłą.

W końcu zmusił się, by odejść od okna. Postanowił, że pozbędzie się paskudnego, kwaśnego smaku w ustach. Dwa razy dokładnie wyszorował zęby, potem wszedł pod prysznic i zmył z siebie brudne wspomnienie słonego powietrza i alkoholu. Przetarł zaparowane lustro i przyjrzał się swojemu odbiciu. Wyglądał adekwatnie do samopoczucia: był blady jak trup, oczy miał podkrążone. Jak zawsze, broda wydała mu się zbyt krągła i gładka. Ale gdy wysunął ją do światła, dojrzał mięciutki meszek zarostu. Hodował te włoski od paru dni, ale warto było czekać. Nasmarował brodę kremem do golenia i ogolił się jedną z brzytw o uchwycie z kości słoniowej, które odziedziczył po ojcu.

Ogolony, wlał w siebie litry wody, a gdy kac stał się odrobinę mniej dokuczliwy, poszedł do pracowni. Tydzień po pokazach

alchemicznych poświęcił na destylowanie esencji zapewniającej utrzymanie się na powierzchni. Uzyskanym ekstraktem nasączył nić, którą wplótł do czapraka kładzionego pod końskie siodło. Ponieważ w domu rodzinnym to Christine zajmowała się reperowaniem odzieży, szycie szło mu dość opornie. Teraz, mając przed sobą jeszcze tydzień do rozpoczęcia gonu, mógł się skoncentrować na czymś innym.

Nadal jednak martwił się, że przygotowany przez niego pocisk okaże się niewystarczający do zabicia hali. Gdyby było to takie proste, gdyby wystarczyło użyć ulepszonej alchemicznie broni, już chyba dawno ktoś by ją upolował. Kwestią sporną pozostawała boska natura demiurgów. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że istoty te nie umierały ze starości, co czyniło je zasadniczo odmiennymi od wszystkich pozostałych stworzeń spotykanych na tej planecie. Ażeby zniszczyć coś za pomocą alchemii, trzeba było wpierw wiedzieć, z czego owo coś jest zbudowane. Skoro zależało im na zabiciu demiurga, Wes musiał się dowiedzieć, czym właściwie on jest.

Na biurku leżały dziwne alchemiczne księgi Evelyn, kuszące swoimi zaszyfrowanymi tajemnicami. „Ona wie – dumał Wes. – Musi wiedzieć”.

Niezależnie od tego, jakie sekrety skrywały te notatki, Evelyn musiała uważać, że są niebezpieczne. Inaczej nie zapisałaby ich szyfrem.

Wes wziął do ręki pióro i podniósł leżący najbliżej tom zatytułowany *Mutus Liber*. Księga przypominała *Chrysopoeię* – ją także wypełniały dziwne ilustracje. Każda strona przynosiła inną niepokojącą osobliwość. Było tam słońce z ludzką twarzą. Przeróżające anioły o skrzydłach pełnych oczu. Ludzie wspinający się po drabinie prowadzącej donikąd. Nieżywi demiurgowie wpatrujący się w niego swoimi białymi, przepastnymi ślepiami. Na marginesach widniały skomplikowane figury geometryczne i alchemiczne runy. W przeciwieństwie do *Chrysopoei*, tutaj wszystkie ilustracje opatrzone były odręcznymi opisami Evelyn. Wes domyślał się, że to wskazówki dotyczące odczytania obrazów, niestety zaledwie co trzecie słowo było w języku albiońskim.

Najwyraźniej Evelyn złamała szyfr autora księgi – tylko po to, by zaraz zastąpić go własnym. Alchemicy to dziwacy, a przy tym ludzie

niezwykle skryci. Stosowanie szyfrów było wśród nich powszechnie przyjęte. Z jednej strony chroniło tekst przed niepowołanym odbiorcą, z drugiej potrafiło zwodzić na manowce konkurentów w poszukiwaniu prawdy.

Wes wpatrywał się w karty rękopisu, mrużąc oczy. Skronie rozsadzał mu pulsujący ból. Nawet gdy był w świetnej formie, czytanie stanowiło dla niego męczarnię, teraz zaś zamieniło się w coś niedorzecznego. Instrukcje pozostawione przez Evelyn były mieszaniną cyfr i słów z obcych języków, takich jak na przykład...

Banwijski?

Nareszcie słowa, które rozpoznawał. Sunął powoli piórem i odczytywał je po kolei. *Bás. Athbhreithe. Óir.* Niewiele z tego rozumiał, bo rodzice rzadko używali banwijskiego w domu. Zdażył jednak liznąć tego języka na tyle, by teraz zorientować się, że są to wszystko popularne metafory oznaczające kolejne etapy procesu alchemicznego. Dalej zapisane były nazwy runów i składników. Evelyn posłużyła się sprytnym fortelem, wyniki swoich badań zapisując w języku, który będzie niezrozumiały dla większości obywateli Nowego Albionu. Czytanie nigdy nie było jego mocną stroną, ale za to świetnie sobie radził z rozpoznawaniem wzorów. Nawet pracując na tak niewielkim fragmencie kodu, było tylko kwestią czasu, nim złamie szyfr.

Odłożył pióro, dopiero gdy obolała ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Zerknął na zegarek – odkąd wszedł do pracowni, minęły już dwie godziny. Znowu stracił poczucie czasu. Jedynym dowodem, że w ogóle coś robił, było parę stron nieudanych tłumaczeń, zdobionych rysunkami oczu, niepokojąco przypominających oczy Margaret.

W końcu zamknął notatnik i zaczął masować napięte mięśnie kontuzjowanej dłoni. Nie zdąży w ciągu tygodnia odczytać zakodowanego tekstu, o ile w ogóle było tu coś do odczytania. Może tak naprawdę Evelyn nigdy nie rozwiązała tej łamigłówki, a może te rękopisy to jedynie rodzaj skomplikowanego żartu.

Nie, musi złamać ten szyfr. Jeśli nie odkryje sposobu zabicia hali, zaprzepaści szanse na szkolenie i polepszenie sytuacji materialnej swojej rodziny. Nagle oprzytomniał – od tygodnia nie dawał znaku życia. Matka pewnie umierała z niepokoju.

Powlókł się na korytarz i wyjrzał przez okno. Margaret nie było już na podwórzu, nie słyszał też, by krzątała się po kuchni. Zauważył, że drzwi do łazienki są lekko uchylone. Na korytarz buchały z niej kłęby pary o zapachu lawendowego mydła. Teoretycznie mógłby się ulotnić, nie informując jej o tym. No ale przecież Maggie na pewno wolałaby wiedzieć, że wychodzi z domu. Może życzy sobie czegoś z miasta – albo chociaż oczekuje, że podziękuje jej za zaopiekowanie się nim, gdy wrócił pijany do domu. Ostrożnie podszedł do drzwi jej pokoju i zapukał.

Po drugiej stronie dały się słyszeć jakieś szelesty. Po chwili zazgrzytał przekręcany zamek. W wąskiej szparze między drzwiami a ościeżnicą ukazał się nos i oko w piwnym kolorze. Palce Margaret wpijały się w krawędź drzwi.

– Cześć – powiedział Wes.

– Witam.

Co prawda ich nocną rozmowę pamiętał jak przez mgłę, no ale najwyraźniej ich stosunki znowu były wzorowe. Cała ta niepewność powodowała, że ze zdenerwowania przewracało mu się w brzuchu. Może wystraszył ją tymi oświadczeniami i dlatego zachowywała się teraz z taką rezerwą. Boże, gdyby czasami dla odmiany udawało mu się utrzymać język za zębami.

– Może porozmawiamy jak ludzie, a nie...

Margaret otworzyła drzwi na oścież. Wes z wrażenia mało nie padł trupem. Dziewczyna miała na sobie kwiecisty szlafrok, związany w pasie. Jej mokre włosy były ciemniejsze niż zawsze, a skóra nadal zaróżowiona po prysznicu.

Na tym etapie swojego życia Wes już w zasadzie nie pamiętał, co znaczy zmieszanie na widok kobiety w negliżu. Jak sięgał pamięcią, siostry paradowały po mieszkaniu wystrojone w to, na co akurat miały ochotę: spódniczki z kraciastej bawełny i fartuchy pań domu, jedwabne figi i gorsety, luźne pidżamy, ręczniki albo wyszywaną cekinami suknię – jedyną w całym domu, którą nosiły wszystkie na zmianę. Teraz jednak na widok Margaret w tak swobodnym stroju zupełnie go zamurowało. Wydała mu się taka bezbronna, bardziej podatna na zranienie niż kiedykolwiek wcześniej. Wyraz twarzy miała obojętny, lecz zarazem spoglądała na niego wyczekująco, jakby oceniała jego reakcję albo czekała, że wyskoczy



z jakimś inteligentnym komentarzem. Tym razem jednak Wes nie miał nic do powiedzenia.

Nie kryjąc zniecierpliwienia, odwróciła się na pięcie. Drzwi zostawiła uchylone, co odczytał jako zaproszenie. I w ten sposób, jak gdyby nigdy nic, znalazł się w pokoju Margaret Welty. W pokoju, który zajmowała dziewczyna. Dziewczyna niebędąca jego siostrą. Świadomość tego wprawiała go w dziwne oszołomienie, do którego sam przed sobą się nie przyznawał.

Sam pokój był urządzony bardzo surowo, wręcz po spartańsku. Margaret miała skromniejszy dobytek niż ten zabrany przez niego z Dunway, a przecież jego garderoba ograniczała się do zajmujących jedną szafę najtańszych garniturów. Panował tu nienaganny ład, dominował kolor biały. Białe były koronkowe firanki w oknach. Nad białym biurkiem wisiały białe półki. Białe było też łóżko z baldachimem, rzecz jasna nienagannie zaścielone. Nagle naszała go ochota, żeby wprowadzić odrobinę chaosu do tego nieznośnego porządku. Wymiać nienagannie wyprasowane poszewki, ściągnąć narzutę, jakby po ciężkim dniu luzowało się za ciasno związany krawat – i to tylko po to, żeby ją zdenerwować. Ale szybko się zreflektował, gdy jego spojrzenie padło na zawieszoną nad zagłówkiem, wypolerowaną na wysoki połysk kolekcję broni palnej.

Margaret przysiadła na brzegu łóżka i spytała:

– Jak się czujesz?

Coś podpowiadało mu, że to nie było pytanie, które miała ochotę zadać. Opadł na krzesło przy biurku.

– Okropnie, jeśli to dla ciebie jakaś pociecha. Dzięki, że zaopiekowałaś się mną w nocy. Wszystko pamiętam jak przez mgłę. Mam nadzieję, że nie zbłądziłem się za bardzo.

Zrobiła kwaśną minę, po czym zajęła się zaplataniem warkocza.

– Nie bardziej niż zwykle.

– A to co ma niby znaczyć? – spytał kwaśnym tonem.

– Potrzebujesz czegoś?

– Muszę czegoś potrzebować, żeby z tobą porozmawiać? – zachnął się Wes. – Wiesz co, nie odpowiadaj. Tak się składa, że wybieram się do miasta, żeby przedzwonić do mamy. I pomyślałem, że spytam cię, czy coś ci załatwić. Albo czy wybierzesz się ze mną.

– Chętnie – odparła, dokańczając zaplatanie warkocza. – Możemy pojechać konno.

– Konno – powtórzył z powątpiewaniem.

– Musisz się nauczyć, jak trzymać się prosto w siodle, żebyś nie zaliczył upadku.

– Wiem, wiem.

Wiedział, że tym „upadkiem” Maggie go prowokuje, ale ugryzł się w język. Słowo honoru, ta dziewczyna czerpała jakąś perwersyjną satysfakcję z pastwienia się nad nim.

– Dobra, przy okazji sprawdzę, jak działa zaczarowany czaprak – stwierdził. – A tak w ogóle to fajny szlafrok. Wyjdiesz tak ubrana?

– Nie. Ale jeśli chcesz, mogę ci go pożyczyć.

Czyżby się przesłyszał czy Margaret Welty zaczęła z nim flirtować?

Kiedy próbował otrząsnąć się z szoku, Maggie posłała mu jeden ze swoich sekretnych, zarezerwowanych na specjalne okazje uśmiechów. Lekko uniesione kąciki ust zdawały się sugerować, że dziewczyna jest wielce z siebie zadowolona. Wesa zupełnie zamurowało.

– To widzimy się na dole – powiedziała.

Skarcony jak uczeń, wstąpił jeszcze do siebie po czaprak i powłókł się na parter, żeby na nią zaczekać. Kiedy wynurzyła się ze swojego pokoju, znów wyglądała jak Maggie: ubrana była w długą, sięgającą kostek spódnicę, sweter z podwiniętymi rękawami i ubłocone buty do konnej jazdy.

Wyszli przed dom i skierowali się w stronę wybiegu. Gdy stanęli przy płocie, Maggie zawołała Migotka. Wałach ruszył do nich galopem i wyhamował dopiero w ostatnim momencie, niemal przyprawiając Wesa o zawał. Parsknął i przyjrzał się chłopakowi jednym wielkim brązowym okiem. Było jasne, że traktuje go równie nieufnie jak chłopak jego.

Maggie przerzuciła kantar nad głową Migotka i przywiązała go do płotu. Przez chwilę przygotowywała konia do drogi – czyściła mu grzbiet, sprawdzała mocowanie siodła, regulowała długość strzemion. Kiedy już się z tym uporała, poklepała wałacha po karku i spojrzała wyczekująco na Wesa.

– Gotowy?

Nie.

– Jasne. Jak się wsiada?

Wyciągnęła do niego rękę ze słowami:

– Wdrap się na płot. Stojąc na nim, przerzuć jedną nogę nad jego grzbietem.

Jej dłoń, ciepła, o skórze stwardniałej od fizycznej pracy, pasowała do jego ręki niczym igła gramofonu do rowków na płycie. Wspiął się na płot, po czym wgramolił na konia. Było wyżej, niż się spodziewał, i znacznie mniej stabilnie, zwłaszcza że od zmodyfikowanego alchemicznie siodła dawało się wyczuć stały podmuch energii. Wróciły mdłości, o których zdołał już zapomnieć. No ale przynajmniej wiedział, że alchemiczna interwencja nie poszła na marne.

– Ja pójdę przodem i poprowadzę Migotka, żebyś nauczył się trzymać w siodle.

Margaret odwiązała konia, do kantara przymocowała uwiąż.

– Dobrze się czujesz? – upewniła się jeszcze.

Wes chwycił wodze tak kurczowo, że aż zbieleły mu knykcie.

– Nigdy nie czułem się lepiej.

Posłała mu sceptyczne spojrzenie, ale otworzyła bramę wybiegu i wyprowadziła Migotka na drogę wiodącą do miasta. Kiedy Wes oswoił się z rytmicznym kołysaniem, ze zdziwieniem stwierdził, że taka jazda ma w sobie coś bardzo odprężającego. Skąpany w słońcu las mienił się wokół nich złotem i brązem. Jesienne barwy kojarzyły mu się z Margaret.

Pokonali połowę drogi, gdy Maggie zatrzymała konia.

– Posuń się. Zmęczyłam się.

– No... dobra.

Nim się spostrzegł, dziewczyna siedziała tuż przed nim. Miał wrażenie, jakby uniosła się w powietrze i wylądowała w siodle. Kiedy się mościła, znów owionął go rozkoszny zapach lawendy i soli morskiej.

– Trzymaj się.

– Ale czego?

– Mnie.

Wes objął ją w pasie. Maggie zacmokała cicho, a wtedy Migotek parsknął z rezygnacją i ruszył. Z każdym końskim krokiem

dziewczyna odchyłała się coraz dalej do tyłu, wtulając się plecami w Wesa. Po chwili na twarzach obydwójga zakwitły rumieńce. Jego oddech mierzwił jej włosy. Chłopak był świadomy każdego napięcia jej mięśni, każdego poruszenia bioder.

Boże, czy doczeka chwili, gdy bycie blisko niej okaże się łatwiejsze?

W pewnym momencie Maggie odwróciła się przez ramię. Spojrzała na niego z sympatią, a w złocistym jesiennym świetle jej oczy przybrały barwę zarumienionego na patelni masła i miodu.

– Może pojedziemy trochę szybciej. Co ty na to?

– Dobra – odparł, mimo że już lekko kręciło mu się w głowie.

Popędziła Migotka, uderzając go łydkami w boki. Wes miał wrażenie, jakby tych dwoje porozumiewało się w jakimś sekretnym, niezrozumiałym dla niego języku – wałach zastrzygł uszami i ruszył nierównym kłusem. Przebiegł tylko kawałek, gdy Wes nagle poczuł, że zaczyna się zsuwać z siodła. Jęknął bezgłośnie i uczepił się kurczowo Maggie, chroniąc się przed upadkiem.

– Prrr! – zawołała ze śmiechem, zmuszając konia do wyrównania kroku.

Nigdy dotąd nie słyszał, by naprawdę się roześmiała: był to ciepły, miękki dźwięk, który przeniknął do jego krwi i rozlał się po całym ciele niczym wino. Migotek zwolnił do stępa, co jakiś czas łypiąc na nich z wyrzutem. Wes, wpatrzony w mieniące się złotem włosy Margaret, przez resztę przejażdżki dumiał, co musi zrobić, żeby znów usłyszeć jej śmiech.

Kiedy dotarli na plac miejski, Margaret przywiązała konia i poluzowała popręg. Następnie wyciągnęła z kieszeni marchewką – ależ oczywiście, że ją zabrała, jakżeby inaczej! – poczęstowała Migotka. Wes z przerażeniem patrzył, jak zwierzę zbliża do jej skóry swoje wielkie zęby, przypominające płaskie żółte płytki.

– Spotkajmy się tutaj, jak już skończysz – powiedziała. Podrapała Migotka po kłębnie, a potem wytarła zakurzone dłonie o swoją kurtkę. – Ja się przespaceruję.

– W porządku. Do zobaczenia.

Został sam z wałachem, który zerkał na niego z urazą i wymachiwał ogonem, oganiając się od niewidzialnych much. Wes

nie ufał temu zwierzęciu ani trochę – w końcu chwilę wcześniej niemal go zabiło.

– Bądź grzeczny. Niedługo wrócę.

Teoretycznie mógłby zejść do Wallace'ów, ale coś mu mówiło, że Annette przez jakiś czas nie będzie chciała go oglądać. Wspomnienie rozczarowania, jakie odmalowało się w jej oczach, gdy zostawił ją samą na plaży, zostanie z nim na długo. Koniec końców uznał, że lepiej będzie, jeśli zatelefonuje z budki, bo przynajmniej oszczędzi sobie niezręczności.

Zanurzył się w odchodzącą od placu wąską uliczkę, która zrobiła na nim przygnębiające wrażenie. Zresztą całe miasto wyglądało jak wymarłe. Sklepy były pozamykane na cztery spusty, bruk zaścielały ogryzki jabłek i zmięte tekturowe kubki. Lawirując pośród kałuż jakiegoś podejrzanie wyglądającego płynu, znalazł na końcu ulicy budkę telefoniczną. Jej zakratowane okna kojarzyły mu się z konfesjonalem. Wes wyłuskał z kieszeni parę monet i wrzucił do szpary w automacie telefonicznym. Upadły na dno z radosnym brzęknięciem.

Już po jednym sygnale ktoś odebrał.

– Halo?

– No proszę, przecież to moja ulubiona siostrzyczka. Cóż za miła niespodzianka.

W rzeczywistości Mad była ostatnią osobą, z którą miał ochotę rozmawiać.

Przez chwilę słychać było jakieś trzaski.

– Czego chcesz? – spytała opryskliwym tonem Mad.

– Miewam się świetnie. Dzięki za troskę. Skąd pomysł, że czegoś chcę?

– Dzwonisz tylko wtedy, gdy masz jakiś interes.

Była to oczywista nieprawda. Wes zmarszczył brwi, ale udało mu się zachować beztroski ton.

– Po prostu stęskniłem się za głosem mojej ukochanej siostry.

– Łżesz jak z nut. – Po chwili wahania spytała: – Kiedy zaczyna się gon?

– W przyszłym tygodniu. – Wes nieświadomie owinął przewód telefoniczny wokół nadgarstka. – Wpadnijcie. Będzie kupa zabawy, o ile nikt nie zginie.

– Ja i Christine pracujemy, a Colleen ma szkołę. Nie będziemy włączyć się po kraju tylko po to, żeby sprawić ci przyjemność.

– To weekend, Fasolka nie będzie mieć lekcji. A jeśli zwyciężymy, przez jakiś czas nie będziesz musiała pracować.

– Naprawdę chcesz, żeby mama to obejrzała?

– Nic jej nie będzie. Już jej obiecałem, że potem pójde do spowiedzi. Pewnie za pokutę dostanę dziesięć albo dwadzieścia lat odmawiania różańca, ale trudno.

Mad prychnęła. Chętnie żartowałyby dalej, ale w porę ugryzł się w język. Dowcipkowanie z siostrą przypominało boks – trzeba było wiedzieć, kiedy zejść z ringu.

– Zastanów się nad tym, dobra? – dokończył.

– W porządku. Zastanowię się. Z kim chcesz rozmawiać?

Z *tobą*. Nie zdobył się jednak, by to powiedzieć. Poza tym nawet gdyby została na linii, co właściwie miałby jej powiedzieć? Że za nią tęskni? Że chce, żeby mu przebaczyła? Wszystko to prawda, ale Mad nigdy nie interesowało, jakie przyświecają mu intencje. Dopóki nie da jej wanny pełnej złota albo nie uleczy zranionej dłoni matki, błaganie jej o wybaczenie miało się z celem.

– Dasz mamę do telefonu?

– Jasne.

Czekał, zaciskając kabel wokół palców tak mocno, że ich końce poczerwieniały, a potem zbieleły. Minęła minuta, w której zmuszony był dorzucić kolejną monetę. Wreszcie w słuchawce rozległ się głos mamy:

– Wes, to ty?

– Jak się czujesz, mamo?

– Tak się cieszę, że cię słyszę! Całe wieki nie dawałeś znaku życia. Martwiłam się.

– Cóż, byłem zajęty. No ale teraz już się odzywam. Cały i zdrow.

– Na pewno? Jesz do syta? Wysypiasz się?

Wes przeciągnął dłonią po twarzy.

– Tak, mamo...

– Daruj sobie ten ton. Po prostu brzmisz, jakbyś był zmęczony. To wszystko.

– Najwyżej lekko zestresowany. Lepiej powiedz, jak ty się miewasz.

– Rana ładnie się goi. Tylko trudno mi się poruszać. Ale nie przejmuj się tym, skarbie. Na razie i tak nie da się na to nic poradzić. Coś cię gryzie?

Zamierzał skłamać. Ale gdy otworzył usta, żeby udzielić jakiejś wymijającej odpowiedzi, poczuł, że ze zdenerwowania zaczyna mu się przewracać w żołądku.

– W sumie to całkiem sporo.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie. Wes zaczął już podejrzewać, że mama nie usłyszała, co powiedział. W końcu jednak, ostrożnie jakby nie chciała go spłoszyć, spytała:

– Może opowiesz mi o tym?

– Mistrzynie Welty nadal nie wróciła do Wickdon. Inni alchemicy, moi konkurenci na zawodach... – Opowiedzenie matce o Jaimem nie wchodziło w grę, bo zaczęłyby się poważnie zamartwiać. Nie chciał jej tym obarczać. – Jest tu wielu takich, którym zależy na wygranej. Jeśli nie odniesiemy zwycięstwa, pogrzebię swoje plany zostania alchemikiem, Margaret zawsze już będzie nieszczęśliwa, a my zostaniemy wkrótce bez dachu nad głową. A na dokładkę wydaje mi się, że Mad mnie nienawidzi...

– Bzdura. Twoja siostra nie czuje do ciebie nienawiści – odrzekła, a Wes zmarszczył nos. – Wiem, co myślisz.

– Ciekawe...

– Mad złości wiele różnych rzeczy, a na tobie po prostu wyładowuje swój gniew. Nie wyrokuję, kto z was ma rację. Po prostu stwierdzam fakty.

– Ale dlaczego wyżywa się akurat na mnie?

Matka westchnęła.

– Madeline dla swoich najbliższych gotowa jest poświęcić wszystko. Ty zresztą też. Ale na jej miłość niełatwo sobie zasłużyć. W jej sercu jest miejsce tylko dla paru osób. Za to ty... ty kochasz każdego, kto stanie na twojej drodze.

– A mimo to ona uważa mnie za egoistę.

– Tak tylko mówi. W rzeczywistości trudno jej zaakceptować twój idealizm. Sądzi, że obcy ludzie są dla ciebie równie ważni jak członkowie rodziny.

– Ale to nieprawda...

– Wiem o tym. Szkopuł w tym, że swoim postępowaniem nie próbujesz wyprowadzić z błędu ani jej, ani nikogo, kto podziela jej zdanie. Poza tym duma nie pozwala ci dostrzec, jak ta dziewczyna się dla ciebie poświęca.

– Sądziłem, że mnie kochasz – wybąkał Wes obrażonym tonem.

– Bo tak jest. I właśnie dlatego mówię ci o tym wszystkim. Skup się teraz na tym, co jesteś w stanie kontrolować. Wykonuj swoją pracę i ufaj, że Bóg zajmie się resztą. Potrzebujemy cię. – Po chwili wahania dodała: – Margaret cię potrzebuje.

– Ja chyba bardziej potrzebuję jej niż ona mnie.

Nie podobało mu się milczenie, które zapadło po drugiej stronie linii. Nie ufał mu.

– Miła z niej dziewczyna – powiedziała w końcu matka.

– Mówisz poważnie? – parsknął śmiechem Wes. – Mamo, zdajesz sobie sprawę, że Maggie nie jest Sumitką?

– Najważniejsze, żeby ślub był w kościele. Lubi dzieci?

– Panie Wszehmogący – mruknął.

– Weston, nie wzywaj imienia...

– Przepraszam, przepraszam. – Przeczesał dłonią włosy. – Cóż, obawiam się, że ona nie... Chyba nie jestem w jej typie.

– Bzdura. Zresztą tylko się z tobą drocę. Ale bądź dla niej miły, dobrze? Tej biedaczce przyda się przyjaciel. Jej matka nie przysłała nawet listu?

– Nie – przyznał, opierając się czołem o szybę. – Nie daje znaku życia. Zapadła się pod ziemię.

– Jaka matka postąpiłaby tak w stosunku do swojego dziecka? Nieważne, czy Margaret jest już w takim wieku, że umie o siebie zadbać. Nikt nie powinien być skazany na takie samotne życie.

Niezliczoną ilość razy dochodził do tego samego wniosku. Teraz zastanawiał się, jak musiało wyglądać życie Margaret z Evelyn, skoro na sam widok jej pracowni dostawała ataku. Ale uznał, że nie podzieli się tą myślą z matką, żeby nie wzbudzać jej gniewu.

– Wiem o tym. I właśnie dlatego cały klan Wintersów powinien okazać jej trochę miłości. Przyjedziesz do Wickdon, żeby obejrzeć gon?

– Nie wiem, czy zdołam na to patrzeć. Ale na pewno się zjawię.

– Cieszę się. – Po chwili dodał: – Stęskniłem się, wiesz?



– Och, mój skarbie. Wkrótce się zobaczymy. Po prostu pokaż się z najlepszej strony. Twoja siostra wybaczy ci, niezależnie od tego, jak zakończy się gon. Przeżyjemy to jakoś.

– Mam nadzieję. Nie chcę... nie chcę przysparzać ci zmartwień. Pragnę, żebyś była szczęśliwa. Wiem, że ostatnie lata były ciężkie. I wiem, że sam nie zrobiłem nic, by ci ulżyć. Byłem wyrodnym synem, ale...

Usłyszał, jak matka zaczerpuje głęboko powietrza.

– Weston, ani mi się waż. Każdego dnia jestem z ciebie taka dumna. Martwię się o ciebie, to wszystko. Minęły lata, odkąd widziałam cię uśmiechniętego, jak w czasach przed śmiercią ojca. Od tamtego momentu chyba nigdy nie porozmawiałeś ze mną szczerze o tym, co cię trapi...

To prawda. Wes nie chciał jej martwić, ale ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że zamykając się przed nią, zrani ją jeszcze dotkliwiej.

– Mamo, tylko nie płacz, proszę – odezwał się zachrypniętym głosem. – Nie zniosę tego.

– Czasami tak bardzo mi go przypominasz. Wiem, że on też byłby z ciebie dumny.

Czyżby? W oczach zapiekły go łzy. Od śmierci ojca minęły dwa lata, niesamowite, że tak niewiele trzeba było, by rana po jego stracie otworzyła się na nowo. Odchrząknął, żeby matka po głosie nie poznała, że jest bliski łez. Kiedy wziął się już w garść, wydusił z siebie:

– Dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

– Kocham cię. Do zobaczenia pod koniec tygodnia.

– Ja też cię kocham. Do zobaczenia.

Połączenie zostało przerwane. Nie miał pojęcia, kiedy wreszcie rozmawiając z matką, nie będzie się czuł, jakby wypruwał sobie z piersi serce. I kiedy w końcu uwierzy, że postępuje słusznie i jest mężczyzną, z którego rodzice faktycznie mogą być dumni. Ale na razie mama miała rację – podobnie zresztą jak Margaret. Dopóki nie zwyciężą w gonie, nie zdoła pomóc ludziom, na których mu zależy. Nie wspominając o niesieniu pomocy całemu krajowi.

Skoncentruje się tylko na tym, na co rzeczywiście ma wpływ. Rozszyfruje notatki Evelyn. Upokorzy Jaimego Harringtona. Wręczy

Margaret zwłoki hali.

A wówczas oboje, on i Maggie, dostaną to, na czym najbardziej im zależy. Zachodził jednak w głowę, czy na pewno odnajdą wtedy szczęście. Kiedy Evelyn powróci już z wojaży, będzie musiał podjąć decyzję. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy będzie w stanie pobierać nauki u kogoś równie oziębłego jak Evelyn ani czy zdoła utrzymać język za zębami, gdy w końcu stanie oko w oko z kobietą, która zniszczyła życie Margaret.





od mroczniejącym niebem morze było szare i niespokojne. Co chwilę nadciągała spieniona fala i z szumem rozbijała się o nabrzeżne skały – jakby chciała zademonstrować, że reprezentuje żywioł, nad którym nikt dotąd nie zapanował.

Margaret zostawiła buty na piasku i przechadzała się wzdłuż brzegu. Osiadła tu morska piana błyszczała blado w skrywającym się za chmurami słońcu. Oddalona o kilka metrów, z wody wystawała drewniana konstrukcja, na której smętnie, niczym wisielec na stryczku, kołysała się jedna z tarcz strzelniczych – pamiątka po zawodach strzeleckich. Odłamany fragment innej tarczy, oplątany śliskimi wodorostami, woda wyrzuciła na piasek. Dla Margaret stanowiła ona ponure przypomnienie, że po ostatniej nocy ani ona, ani Wes nie są tu już bezpieczni.

– Maggie?

Na dźwięk znajomego głosu pani Wreford odetchnęła z ulgą. Gdy jednak odwróciła się w kierunku, z którego dobiegał, zmroziło ją. Obok kobiety stał Jaime. Z rozciętą wargą i sińcami na wysokości kości policzkowej, spoglądał na nią z jawną nienawiścią. Margaret pomyślała, że Wes byłby zachwycony, widząc, jak urządził przeciwnika.

Jaime nie otwierał ust i unikał kontaktu wzrokowego, jakby był zażenowany, że przyłapała go na czynności równie pospolitej jak spacer po plaży. Pani Wreford zgromiła go wzrokiem, a wtedy wymruczał ledwo zrozumiałe pozdrowienie.

Kobieta westchnęła. Policzki miała zaróżowione z zimna, na jej bujnych puszystych włosach osiadała mgiełka wodna, otaczając jej

twarz srebrzystą aureolą.

– Co ty tu robisz? – zwróciła się do Maggie. – Idzie burza.

Ruchem brody wskazała góry, nad którymi rzeczywiście zbierały się ciemne chmury. Nadciągały bezszelestnie, sunąc nad stokami porośniętymi mrocznym cyprysowym lasem. W zatoczce, gdzie stali, zbierała się już mgła; snuła się nisko, na wysokości kostek. Jeszcze parę chwil i nie będą mogli odróżnić, co jest wodą, a co niebem.

– Zamierzałam popływać – odparła Margaret.

– Zwariowałaś? Zamarzniesz albo się utopisz.

Chciała wyjaśnić, że nie boi się zimnej wody, ale gdy odwróciła się w stronę morza, prosto w twarz uderzył ją podmuch niosącego sól morską wiatru. Morze szalało i choć w takim wydaniu mogło budzić grozę, Margaret właśnie takie je najbardziej lubiła. Z jakiegoś powodu niewyobrazalna potęga i furia żywiołu wydawały jej się pociągające. Zakasała spódnicę i związała ją na wysokości kolan.

– A wy co tu porabiacie?

– Szukamy Zacha Mattisa. Od jego matki wiem, że ten osioł nie wrócił na noc do domu. Wytłumaczyłam jej, że na pewno zaległ jak kłoda i śpi w tej jaskini, w której wszyscy przesiadujecie. Naprawdę wydaje się wam, że nikt poza wami nie wie o jej istnieniu? Myślicie, że kiedy ja miałam siedemnaście lat i podwędziłam ojcu alkohol, to dokąd szłam? – Pani Wreford dźgnęła palcem Jaimego. – Tyle że moi przyjaciele mieli przynajmniej na tyle oleju w głowie, żeby po skończonej pijatyce odprowadzić mnie do domu. Ale ty pewnie byłeś zbyt zajęty praniem się z kimś po pyskach.

– Przecież tłumaczyłem już, że się potknąłem – odburknął Jaime.

Margaret pochyliła głowę, żeby ukryć uśmiech.

– Jasne. – odburknęła pani Wreford.

Posłała dziewczynie sondujące spojrzenie, jakby spodziewała się od niej jakiegoś wyznania.

– Potknął się – parsknęła. – A ty co o tym sądzisz, Maggie?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– No tak. Skąd miałybyś wiedzieć. – Kobieta westchnęła, a Jaime spojrzał spode łba na Margaret. – Byłabym wdzięczna, gdybyś pomogła nam szukać Zacha. Coś mi się zdaje, że czeka nas załamanie pogody.

Podmuchy wiatru stawały się coraz bardziej gwałtowne, szarpały spódnicę Maggie. Szum fal wzrastał się z każdą chwilą, aż wreszcie wydało się jej, że słyszy, jak morze szepcze jej imię.

Margaret, Margaret, Margaret.

Na dźwięk tego głosu, kruchego niczym wyschnięte liście i muszelki na dnie toni, znów opanował ją strach. Zaciśnęła pięści, między zębami zachrząścił jej piasek. Na języku czuła morską sól i metaliczny smak krwi.

Wtem ponad pomruki zbliżającej się burzy wzniósł się jakiś straszliwy krzyk, jakby skarga.

– A cóż to było, na litość boską? – Pani Wreford, mrużąc oczy, spojrzała pod wiatr.

Margaret słyszała już kiedyś coś podobnego. W zeszłym roku jeleń próbował dostać się na pastwisko w gospodarstwie Halananów. Łeb zwierzęcia utknął między sztachetami płotu. Jeleń tak mocno wierzgał, próbując się uwolnić, że w końcu doznał urazu karku. Kiedy Margaret go znalazła, zwierzę dyszało ciężko, błyskało białkami oczu i konwulsyjnie przebierało racicami. Z jego pyska dobywał się lament. Przeróżliwe, rozpaczliwe dźwięki. Głos konającego stworzenia. Margaret skróciła jego mękę, ale miała świadomość, że jeleń cierpiał samotnie.

Teraz jęk się powtórzył.

– Przecież to głos Mattisa! – zawołał Jaime.

Puścili się biegiem. Wiatr smagał ich po twarzach, porywał włosy Margaret i rzucał je na twarz, siekał po oczach piekącą solą. Jej stopy zapadały się w piasku, czarnym i lśniącem niczym tafla lustra. Łydki eksplodowały z bólu.

W końcu znaleźli się w pobliżu niedużej jaskini, otwierającej się w klifie niczym rana. Ściany groty przechowywały tajemną historię miejscowej młodzieży: obok rysunków serc z inicjałami i penisów można tu było znaleźć osobliwe wyznania i wymyki z wierszy. Przy każdym kroku podzwaniały puste butelki zaścielające piasek.

Było jasne, że gdy zaczniesz się przypląwać, jaskinia znajdzie się pod wodą.

Posuwając się po nierównym podłożu, Margaret starała się ostrożnie stawiać kroki. Nikłe światło odbijało się w wodzie stojącej w skalnych zagłębieniach. Niewiele było widać, ale w końcu udało jej

się w półmroku wypatrzeć ciemny kształt, leżący bez ruchu parę kroków przed nią.

Mattis.

– O mój Boże... – jęknęła pani Wreford. – Dzieci, nie patrzcie na to!

Ale Jaime już wyrwał się do przodu. Biegł, rozpryskując kałuże, a po chwili padł na kolana obok przyjaciela.

– Zach! – krzyknął.

Margaret zbliżyła się powoli i ukucnęła, żeby się zorientować, w jakim stanie jest chłopak. Skóra Mattisa była kredowobiała, wargi sine niczym rybie łuski. Z bladością kontrastowała jaskrawa czerwień rany po ugryzieniu, ziejącej w jego barku. Chłopak wyglądał, jakby został rozerwany na kawałki, a potem zszyty na nowo. Pod poparzonym, pełnym bąbli ciałem widoczne były odsłonięte mięśnie. Na brzegach rany czerniało *caput mortuum*. W głębi krwawej jamy, w jaką zamienił się bark chłopaka, widoczna była torebka stawowa. Ciało cuchnęło alchemią, morzem i śmiercią.

Prawdopodobnie hala dopadła go tu samego – i zapisała na swoim koncie pierwszą ludzką ofiarę w tym sezonie. Skoro nie obawiała się zaatakować człowieka tak blisko miasta, jej moc musiała powoli osiągać zenit.

Wtem z ust rannego dobył się cichuteńki świst wydychanego powietrza.

– On żyje! – zawołał Jaime. – Sprowadźcie pomoc!

– Ja pójdę. Wy zostańcie – poleciała pani Wreford. – Czekać tu na mnie.

Margaret i tak donikąd się nie wybierała.

Patrzyła na miarowo unoszącą się i opadającą pierś Mattisa. Przysłuchiwała się chlupotowi towarzyszącemu oddalającym się krokom pani Wreford, jej nawoływaniom, które szybko porywał i unosił wiatr. Mamrotaniu Jaimego, który nagle poderwał się z ziemi i zaczął krążyć po jaskini niczym drapieżne zwierzę po klatce. Zbliżał się przyptływ. A fale nie przestawały wołać jej po imieniu.

Margaret, Margaret, Margaret.

– Cicho bądźcie – wyszeptwała. – Och, zamknijcie się.

Wreszcie woda wdarła się do jaskini, zalewając kamienną podłogę i mocząc jej spódnicę. Była tak lodowata, że na moment

Maggie zaparło dech w piersi. W powietrzu dał się wyczuć odór soli, miedzi i siarki. Oczy zasnuła jej mgła. Wspomnienie tamtej straszliwej nocy sprzed lat wróciło z całą siłą.

Była tutaj, ale równocześnie zupełnie gdzie indziej. Nadal klęczała w zalewanej przypiływem jaskini, zarazem jednak klęczała na podłodze matczynej pracowni. Trzymała na kolanach głowę Evelyn, spomiędzy jej złocistych włosów sączyła się krew. Matka chwyciła ją za rękę. Palce Evelyn były niczym lodowe obręcze.

– Maggie – wycharczała. – Maggie...

I nagle Margaret znów była w swoim ciele i z trudem łapała oddech. Skórę miała mokrą od potu i morskiej wody. Mattis uczeplił się jej ręki. Otworzył oczy.

– Nie chcę umrzeć.

Na dźwięk jego głosu Jaime znieruchomiał.

– Zach, czy ty... Trzymaj się, chłopie! Zaraz przybędzie pomoc. Wyliżesz się z tego, obiecuję.

Usta Mattisa zadrżały. W jego przeraźliwie bladej twarzy i wytrzeszczonych szklistych oczach przeglądała się groza. Jeśli słyszał Jaimego, zignorował go.

– Jest w szoku – wyjaśniła Margaret.

Z ust Jaimego dobył się udręczony skowyt. Margaret nie posądzała tego chłopaka o to, że w ogóle jest w stanie wydawać takie dźwięki. Z twarzą ukrytą w dłoniach mówił:

– To miał być tylko taki kawał. Głupi dowcip. Nie pomyślałem... Nie powinienem był... To wszystko moja wina. Boże, to moja wina!

– Maggie – wyszeptał Mattis. – Przepraszam...

Jaime nagle stężał. Skakał teraz spojrzeniem między nimi dwojgiem.

– Przepraszam. Czy zdołasz mi wybaczyć? – spytał przez łyż Zach.

Gdyby w tamtej chwili nie zabrakło jej siły, gdyby otrząsnęła się do końca ze swojej wizji, spytałaby go, za co ją przeprosza. I co miałaby mu wybaczyć. Ten chłopak nigdy nie był dla niej miły, ale i tak traktował ją znacznie lepiej niż Jaime. Jego wrogość była bezmyślna, odruchowa, przypominał jej psa, który wykonuje sztuczkę, żeby przypodobać się swojemu panu. Margaret nie przejmowała się nią zbyt.



Musisz przetrwać, powtarzała sobie przez te wszystkie lata. Musisz to znieść.

Ale teraz była już tym zmęczona, podobnie jak Wes. Wiedziała, że Mattis oczekuje od niej słów albo gestu otuchy, ale nie odnajdywała ich w sobie. Nie potrafiła dać mu rozgrzeszenia. W tym dziwnym zobojętniałym stanie, w jakim się teraz znajdowała, mogła myśleć wyłącznie o tym, jak wtyka kciuk w jego ranę, zanurza go na całą długość, aż do żółtej kości widocznej pod mięśniami. Pragnęła sprawić, że chłopak doświadczy choćby w minimalnym stopniu cierpienia, na jakie przez tak długi czas skazywał ją. I chciała, żeby Jaime zobaczył, do czego popchnęło ją jego okrucieństwo.

– Maggie – jęknął Mattis. – Proszę.

– Powiedźże coś – warknął Jaime.

Cóż jednak by zyskała, kierując na Mattisa swój gniew? Woda kapiała już ze stropu z głośnym chlupotem przywodzącym na myśl dźwięk ciskanych w toń kamieni. Włosy Mattisa falowały na jej powierzchni, a spódnica Margaret wzdymała się wokół niej niczym plama krwi.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała w końcu, ujmując go za rękę. – Wylizesz się z tego.

Kiedy na miejscu zjawili się ratownicy medyczni, Margaret nadal ścisnęła zimną dłoń Mattisa.

Po dachu mieszczącego się nad pubem mieszkania pani Wreford bębnił deszcz. Margaret siedziała przy chybotliwym stole, zajmującym połowę powierzchni kuchni. W środku było gorąco jak w piecu. Z głową wspartą na dłoniach przysłuchiwała się stłumionym śmiechom dobiegającym spod podłogi.

Mimo że gospodyni dokonywała cudów, żeby ją rozgrzać, dziewczyna nadal dygotała z zimna. Kiedy już udało się ją tutaj przywlec, pani Wreford namówiła ją, żeby się przebrała, i posadziła przy piecu. Margaret nie odezwała się ani słowem, gdy kobieta wycierała ją ręcznikiem i zaplatała na nowo warkocz. Te proste, czułe gesty sprawiały, że wzruszenie chwyciło ją za gardło. Kiedy warkocz był zapleciony, pani Wreford związała go na końcu cienkim rzemykiem i poszła do lekarza spytać, jak czuje się Mattis.

Margaret siedziała otulona grubym kocem o brzegach obszytych futrem. Przed nią stała miska nieruszonej zupy z ryb i owoców morza.

Słony posmak małżów, ich śliskie, gumowate mięso budziły wspomnienia koszmarnej rany Mattisa. Ilekroć zamykała oczy, wracały do niej te same dwa obrazy – Zacha i jej matki. Oboje byli tak samo przeraźliwie bladzi i oboje wykrwawiali się do spienionej wody. Przetarła dłońmi twarz, próbując zapomnieć.

W mieszkaniu unosiła się woń świeżo uwarzonego piwa i drożdżowy, dodający otuchy zapach pieczonego chleba. Lada kuchenna zastawiona była butelkami, beczułki, na które nie starczyło miejsca na dole w pubie, trafiały tutaj, by pełnić rolę prowizorycznych mebli. To samo z przesiąkniętymi porterem stolikami i krzesłami.

Gdzieś w głębi grało radio – pośród trzasków dawało się wychwycić radosne, rozwibrowane dźwięki saksofonu. Margaret bywała tu nieraz i знаła to miejsce na wylot, ale to nie wystarczało, by się uspokoiła. Wolałaby być w tej chwili z Wesem. Chciała poczuć na sobie jego poważne spojrzenie, usłyszeć jego beztrouski śmiech. Chłopak pewnie zachodził w głowę, gdzie ona się podziwia. Obiecała mu, że spotkają się przy Migotku.

Skrzypnęły otwierane drzwi, deski podłogowe jęknęły i po chwili w polu jej widzenia ukazała się pani Wreford. Niosła dwa oszronione kufle ciemnego piwa. Na materiale jej płaszcza perliły się krople deszczu, włosy też miała przemoczone. Nadal śmierdziała jaskinią, w której znaleźli Mattisa: siarką i gnijącymi wodorostami. Odór ten sprawił, że Maggie zebrało się na wymioty.

– Napijesz się? – spytała gospodyni.

Usiadła na krześle naprzeciw Margaret i postawiła kufle na stole.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna, biorąc jeden do ręki.

– Będzie żył.

Margaret opuściła powieki i odetchnęła z ulgą. Teraz, gdy okazało się, że nie musi już dłużej się stresować, poczuła, jak bardzo jest wykończona.

– Cieszę się.

– Nie jadłaś – skomentowała pani Wreford, gdy jej spojrzenie padło na nietknięty talerz zupy.

– Nie mam apetytu. Jestem po prostu zmęczona.

– No to może zostaniesz u mnie na noc? Nie chcę, żebyś jechała teraz po ciemku i w deszczu, zwłaszcza gdy hala skosztowała już ludzkiej krwi.

Myśl, że miałyby zostać przygarnięta jak bezdomny kot, niezbyt jej się spodobała.

– Dam sobie radę. Dobrze znam drogę.

– Maggie, czemu wiecznie traktujesz mnie jak wroga? – Frustracja w głosie gospodyni zaskoczyła dziewczynę. – Jak wiesz, nie mam dzieci, dlatego traktuję cię jak córkę. Zostań, jeśli nie chcesz zafundować mi nieprzespanej nocy. Nie ja tobie, a ty mnie wyświadczysz przysługę. Tylko na jedną noc.

– No dobrze – skapitulowała Maggie. – Tylko że Wes... to znaczy pan Winters...

– Kiedy mu powiedziałam, że tu jesteś, niemal staranował drzwi do mojego domu – wyjaśniła pani Wreford, wskazując ruchem brody na okno. – Wyjaśniłam mu, że potrzebujesz teraz trochę spokoju.

Margaret odwróciła się do okna – i rzeczywiście po drugiej stronie ulicy, pod zadaszeniem, stał Wes. Był przemoczony do suchej nitki, mokre włosy kleiły mu się do twarzy. Delikatnie odpychał łeb stojącego obok Migotka, który próbował podskubywać klapy jego za obszernego płaszcza. Wtem, jakby wyczuwając na sobie spojrzenie Maggie, uniósł na nią wzrok. Na jego ustach pojawił się promienny uśmiech, w którym kryło się coś jeszcze – coś, co sprawiło, że wzruszenie chwyciło ją za gardło.

– On też może u mnie przenocować, ale pod warunkiem, że będzie się zachowywać przyzwoicie. – Po tych słowach gospodyni posłała Margaret znaczące spojrzenie, którego implikacje niezbyt jej się spodobały. – Wesoly z niego kawaler.

Margaret napiła się piwa. Smakowało słodem, a równocześnie było gorzkawe, kojarzyło jej się ze smakiem owsa i czekolady. Przez chwilę trzymała napój w ustach, nim połknęła.

– Tak, zazwyczaj taki jest.

– Lubisz go?

– Jest sympatyczny.

– O rany, to chyba największy komplement na temat kogokolwiek, jaki padł z twoich ust.

Maggie nagle zrobiło się gorąco. Modliła się, żeby nie spieć raka. Pani Wreford miała rację – przez całe życie polubiła tylko parę osób.

– Odniosłam wrażenie, że zależy mu na tobie.

To akurat nie było coś, nad czym chciałyby się rozwodzić. W zamyśleniu zaczęła rysować palcem wzorki na pokrytej skroploną parą ścianie kufła.

Z odrętwienia wyrwał ją zaskakująco poważny głos pani Wreford:  
– Maggie, dlaczego to robisz?

Bo wierzyła, że w ten sposób może skłonić matkę, żeby z nią została. Bo tak kazała jej miłość. To zawsze była jej spontaniczna odpowiedź.

Odkąd jednak w jej życiu pojawił się Wes, przyłapywała się na tym, że zaczyna kwestionować to, co dotychczas uznawała za pewnik. Miłość, wbrew temu, co zawsze sobie wyobrażała, nie musiała być raniąca. Nie była też jak morze – wcale nie musiała przeciekać przez palce, gdy próbuje się ją pochwycić. Nie przypominała gotówki, a więc czegoś, co się zarabia, czego odmawia się komuś i co służy do handlu. Miłość mogła być niezachwiana. Mogła dawać oparcie i poczucie bezpieczeństwa, a zarazem być namiętna niczym ogień. Bo miłość to posmarowana masłem kromka chleba na kuchennym stole. To uraza zrodzona z troski. Pozdzierana skóra i spuchnięte knykcie.

Czuła, że nie walczy już tylko dla Evelyn. Być może starała się też dla Wesa.

Miała jednak świadomość, że gdy zacznie jej na nim zależeć, może przyplacić to życiem. Jeśli zwycięży, Wes zostanie alchemikiem. Jeśli przegra, wyjedzie. W obu przypadkach stała na straconej pozycji. Niezależnie od tego, jak postąpi, sama ukręci na siebie bicz. Życie Wesa mogło potoczyć się dwoma torami: albo spełni swoje marzenie – a wtedy prędzej czy później ożeni się z jakąś piękną, obytą w świecie kobietą – albo wróci do Dunway, bez Maggie. Ponieważ ona nie mogłaby tam żyć: pośród tej przytłaczającej wszechobecnej szarości, przetaczających się po ulicach tłumów i nieustannego zgiełku. Spędzałyby całe dni zamknięta w domu, z dala od morza, tęskniąc za wolnością.

Świat, w którym oboje byliby szczęśliwi, nie istniał.

– Co znaczy ta mina? – nie ustępowała gospodyni.

– Nic. Robię to, co muszę.

– Jeśli czegoś nie chcesz, nie musisz tego robić.

– Moja matka...

Pani Wreford grzotnęła kuflem o stół. Gęsta piana chlusnęła na blat.

– Dzisiaj na twoich oczach niemal umarł człowiek. Zapomnij o swojej matce.

Margaret wzdrygnęła się na te słowa.

– Przepraszam, nie powinnam była tego mówić. – Kobieta potarła czoło. – Posłuchaj, żyję trochę dłużej od ciebie i dzięki temu, jak sądzę, widzę pewne sprawy w nieco szerszej perspektywie. Pod niektórymi względami jestem od ciebie mądrzejsza. Jest ich bardzo niewiele, ale jedno wiem na pewno: na tym świecie jest zaledwie garstka ludzi wartych zachodu, o ile w ogóle jacyś są. A jeszcze mniej takich, przez których warto rozpaczać. Rozumiesz?

Margaret skinęła głową.

Ale pani Wreford jej reakcja nie usatysfakcjonowała.

– Co zrobisz, kiedy wróci twoja matka?

– Będę szczęśliwa, a pan Winters zacznie u niej terminować.

– Ale co zrobisz?

Wes też ją o to spytał zeszłej nocy. „A jak już zwyciężymy? Co wtedy?”

Ani w rozmowie z nim, ani teraz nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Powrót jej matki był niczym nieprzenikniony mur – jakie życie czekało na Maggie za nim? Kim była bez bólu z powodu jej odejścia i strachu, że straci ją ponownie?

– Nadal masz mnie za głupią, prawda? – spytała pani Wreford. – Twoja matka nie ma pojęcia, co wydarzyło się w twoim życiu przez ostatnie miesiące. Jak myślisz, co zrobi, gdy zastanie tego chłopaka w swoim domu?

Nie przemyślała tego gruntownie. Evelyn zawsze przywiązywała wielką wagę do chronienia swojej pracy naukowej. Po odejściu męża wpoila córce szereg zasad, ale dwie były najważniejsze: nikomu nie ufaj i na nikim nie polegaj. Wiążąc się z Wesem, Maggie złamała oba te przykazania.

– Pewnie się wścieknie. Ale naszą kartą przetargową będzie truchło hali.

– Evelyn Welty to nie jest kobieta, którą dałoby się przekupić. I podejrzewam, że w głębi duszy dobrze o tym wiesz.

– Co w takim razie powinnam twoim zdaniem zrobić? Mam zrezygnować z udziału w gonie?

– Nie przeczę, że spałabym spokojniej, wiedząc, że zrezygnowałaś. Ale na to nie liczę. Proszę cię tylko, żebyś poważnie zastanowiła się nad tym, co będzie dla ciebie najlepsze. Nie dla twojej matki i nie dla Wesa. Ale dla Margaret.

Na usta cisnęło jej się pytanie: A co, jeśli tego nie wiem? Skąd mam wiedzieć?

– Wiem, że kochasz matkę. I wiem, że ona też kocha ciebie na swój sposób. Ale są jeszcze inni ludzie, którzy również cię kochają. – Pani Wreford wyciągnęła rękę nad stołem i położyła dłoń na zaciśniętej pięści Margaret. – Mam nadzieję, że o tym wiesz.

– Wiem – skłamała Maggie.

Gdy zabrała rękę, w spojrzeniu pani Wreford odbijał się straszliwy smutek.

Za oknem Migotek zdołał przechwycić płaszcz Wesa. Trzymał go teraz między zębami i triumfalnie podrzucał głową. Chłopak wykrzykiwał coś, czego nie mogła zrozumieć, i bezradnie wyciągał ręce w stronę okrycia, przypominającego teraz wilgotną bezkształtną masę.

– Ten chłopak... to niezły egzemplarz, co?

– O tak – przyznała cicho Margaret.

– Zawołam go.

Pani Wreford uratowała Wesa przed koniem, przyprowadziła na górę, dała mu ręcznik i zapowiedziała, że może spać na kanapie. Chłopak spał szował z apetytem wystygłą zupę rybną Maggie i wdał się z gospodynią w niezobowiązującą rozmowę. Rezerwa, z którą pani Wreford odnosiła się do niego, wkrótce prysła. Margaret pomyślała wtedy cierpko, że Wes zdołał w ciągu paru minut zjednać sobie sympatię kolejnej osoby. Tym razem nie budziło to jednak w niej irytacji, przeciwnie – była zadowolona, że polubiła go bliska jej osoba. Pani Wreford przysiadła się do gościa i zasypała go pytaniami – o rodzinę Wesa, o jego aspiracje, o przewagi Wickdon nad Dunway. No a potem zachowywali się już w stosunku do siebie jak starzy przyjaciele. Weston rozbawił ją do łez. Żarty skończyły się dopiero, gdy pani Wreford musiała zejść na dół, bo zaczynała się jej zmiana w pubie.

Na odchodnym zatrzymała się jeszcze przed drzwiami, odwróciła przez ramię i posłała im znaczące spojrzenie.

– Będę niedaleko. Ja wszystko słyszę. Mówię do ciebie, Westonie.

– Proszę się nie martwić. Zaopiekuję się nią.

– Mam nadzieję – odrzekła, przyglądając mu się groźnie.

Wreszcie zniknęła za drzwiami, zostawiając ich samych.

Margaret położyła się na kanapie i przykryła kocem po samą szyję. Ostatnie dwa dni ją wykończyły. Miała wrażenie, że nadal nie wróciła do siebie po epizodzie w jaskini. Wciąż czuła się przemarznięta do szpiku kości, nadal gruba ściana mgły oddzielała ją od otaczającego świata. Kiedy dotknęła zdrętwiałymi palcami obojczyka, wydawało się jej, że to czyjaś ręka. Nie miała pojęcia, jak ludzie mogą wytrzymać w Wickdon. Nawet gdy w domu było cicho, zza okna wciąż dobiegał huk rozbijających się o brzeg fal, dudnienie deszczu, wrzawa spacerujących po ulicach turystów.

– Margaret.

Wes ukucnął przy niej. Kiedy wyciągnął do niej rękę, pomyślała, że chce odgarnąć jej włosy z czoła i ująć jej policzek. Zamiast tego dłoń wylądowała na jego kolanie.

– Jak się czujesz?

– W porządku.

– Chcesz o tym porozmawiać?

O tym. Nie o hali. Nie o tym, co spotkało Mattisa. Pytał, czy chce porozmawiać o swojej matce. O nim. Ale jak może szczerze opowiedzieć mu o tym, co czuje, nie ryzykując, że śmiertelnie go przerazi? Jak ma zdecydować, co jest najlepsze dla niej samej, skoro wszystko, czego pragnie, ściągnie na nią cierpienie?

– Nie, chcę spać.

– Jasne, rozumiem. Zgaszę światło.

Przeszedł na drugi koniec pokoju, gdzie znajdował się włącznik. Kiedy lampy zgasły, Margaret umościła się wygodnie na poduszkach. Sprężyny kanapy wpijały jej się w plecy i pojękiwały przy każdym ruchu, ale jej to nie przeszkadzało. Była pewna, że zapadnie w sen, kiedy tylko zamknie oczy.

Wes położył się na sofie stojącej po skosie. Jego oczy błyszczały w ciemności jak ślepie kota. Przez okna sączyło się do pokoju

złociste światło ulicznych latarni. Obie kanapy stały na tyle blisko, że Margaret, gdyby chciała, mogłaby dosięgnąć Wesa. Kiedy jej oczy oswoiły się z półmrokiem, zauważyła, że chłopak ma zmartwioną minę.

– Ten nabój to za mało – stwierdził.

– Na pokazie wystarczył.

– No tak, ale wydaje mi się, że nie zabije hali. Wiem o tym. A skoro nie mamy sposobu, by ją uśmiercić, wszystko na nic.

Margaret stężała. Nie, Wes się mylił. Opracowany przez niego nabój musi zadziałać. Musi być jakiś inny sposób, by tak się stało. W przeciwnym razie to, co przytrafiło się kiedyś Evelyn, spotka też Wesa. Poczwała, jak na nowo zanurza się w lodowatej toni własnego strachu.

– Nie jestem w stanie teraz o tym rozmawiać. Nie w tej chwili.

– W porządku, wybacz. – Obrócił się na plecy i westchnął. – Po prostu nie mogę przestać myśleć, co by było, gdybyś to ty została ranna.

– Ale tak się nie stało.

– To niezbyt pocieszająca myśl.

– Wcale nie miała być pocieszająca. To stwierdzenie faktu.

– Czasami cię nie rozumiem. W sumie to przez większość czasu.

Margaret uśmiechnęła się i dopiero wtedy trochę się uspokoił.

– Przepraszam, że nie powiedziałam czegoś bardziej podnoszącego na duchu.

– Nie przepraszaj. Pewnie masz rację. Takie są fakty. Szkopuł w tym, że ja nadal nie zrobiłem tego, co do mnie należy. Muszę się wziąć do roboty. Do końca tygodnia znajdę rozwiązanie, słowo honoru.

Po tym stwierdzeniu wyciągnął do niej rękę.

– A to co?

– Obietnica.

– Nie wygłupiaj się.

– Jestem śmiertelnie poważny.

Margaret uściśnęła mu dłoń. W porównaniu z jej dłońmi, jego miała gładką, nieskalaną pracą skórę. Żadne z nich się nie spieszyło, by przerwać ten uścisk. Wprawdzie widziała jego twarz oblaną miękkim światłem, lecz nie potrafiła zgadnąć, o czym myśli. Po chwili



Wes rozluźnił uchwyt, przesunął kciuk w górę jej ręki i zaczął muskać wewnętrzną stronę nadgarstka. Margaret zadrżała, tak delikatna była ta pieśczoła. Zastanowiła się, czy chłopak zdaje sobie w ogóle sprawę z tego, co robi. I – co było znacznie bardziej istotne – czy jest świadomy tego, jak ona reaguje na jego dotyk.

– Pani Wreford twierdziła, że wszystko słyszy – przypomniała mu.

– No i? – I znowu w półmroku błysnęły jego ciemne oczy. Pod ich spojrzeniem poczuła znajome napięcie w brzuchu. – Nie dzieje się nic takiego, co mogłaby usłyszeć.

Dotykał jej teraz jakby ze zdwojoną delikatnością, każde muśnięcie przyprawiało ją o rozkoszne ciarki. Jego przyspieszony oddech upewnił ją, że nie tylko ona wyobraża sobie w tej chwili, jak jego palce błędzą po zupełnie innych zakamarkach jej ciała.

– W sumie racja.

– Mam przestać? – Wypowiedział to pytanie lekko zalotnym tonem, ale zarazem słysząc w nim było autentyczną troskę.

„Jeśli przestanie – rozumowała Maggie – przynajmniej odzyskam jasność myślenia”. No ale wtedy nie będzie już czuć tych rozkosznych dreszczy, a ta myśl wydawała jej się wręcz nieznośna. Nie wiedziała, jak zabrzmiałby teraz jej głos, dlatego tylko pokręciła głową.

Jego kciuk naciskał lekko na krzywiznę kości nadgarstka. Wes delikatnie przyciągnął jej rękę bliżej siebie i po chwili poczuła na dłoni jego gorące tchnienie. Kiedy jego usta dzielił zaledwie centymetr od jej skóry, Maggie poczuła się jak wtedy, gdy miała pociągnąć za spust sztucera. W uszach szumiała jej krew, serce tłukło się w piersi, oddech zamierał.

Była w tej chwili czystym oczekiwaniem.

Kiedy jego usta zetkną się z jej skórą, to, co zrodziło się między nimi, stanie się konkretne; wówczas nie będzie już można tego ignorować ani traktować jak czegoś nie do końca poważnego. Nie mogła podjąć takiego ryzyka, to zbyt niebezpieczne. Cofnęła dłoń.

– W takim razie trzymam cię za słowo.

Wes też zabrał rękę i zamrugał szybko, jakby znajdował się pod wpływem jakiegoś czaru, który właśnie przysł.

– Aha... dobra. Tym razem na pewno mi się uda. Nabój będzie doskonały.

Chciała mu wierzyć.

Umilkli, a po paru minutach napięcie, jakie narosło między nimi, uleciało. Margaret zazdrościła mu, że tak szybko umie zapadać w sen. Ale teraz przynajmniej mogła mu się do woli przyglądać. Wyglądał tak niewinnie, z otwartymi ustami i ramieniem na czole. Rozsypane na poduszce włosy przywodziły na myśl koguci grzebień.

Doskonały.

Weston Winters wcale taki nie był, ale w tej chwili, gdy spał, gotowa była uznać, że niczego mu nie brakuje do doskonałości. Ciepły blask ulicznych latarni i szmer deszczu sprawiały, że wszystko to wydawało się trochę nierealne. Zupełnie jakby śniła na jawie.





astępne dwa dni minęły niespiesznie jak miód ściekający z łyżki.

Margaret spędziła je w lesie, Wes w pracowni, trudząc się nad przekładem tajemniczej księgi jej matki. Poczynił pewne postępy w tłumaczeniu pierwszej części jej wskazówek, dotyczącej, jak się zdaje, wyjątkowo skomplikowanego kręgu transmutacji. Kiedy dopadało go zniechęcenie, studiował historyczne opisy śmierci demiurgów w poszukiwaniu jakichś cennych sugestii. We wszystkich powtarzały się te same elementy: pełnia księżyca, pobożny katarysta, który w słusznym gniewie uśmierca bestię strzałem z łuku, modlitwą albo ostrym kamieniem. Wes uznał, że raczej nie może liczyć na pomoc Opatrzności, biorąc pod uwagę, jak nisko upadła jego dusza.

Margaret Welty skazała go na życie w grzechu śmiertelnym.

Wieczorami, kiedy wracała do domu po treningu, przenosił się z pracą do biblioteki i dalej ślęczał nad alchemicznymi tekstami. Maggie w tym czasie podczytywała swoje tandetne romansidła albo wszywała przygotowaną przez niego wzbogaconą alchemicznie nitkę do swojej kurtki. Dla Wesa była to ulubiona pora dnia, bo dziewczyna rozpuszczała wtedy włosy, które błyszcząły złościście niczym promienie słońca przeświecające przez wodę. Zawsze wiedział, co akurat czyta. Zdradzały ją rumieńce.

Przez to wszystko okropnie trudno było mu się skoncentrować na pracy.

Od chwili, gdy trzymał ją za rękę w mieszkaniu pani Wreford, nie opuszczało go poczucie, że połączyła ich jakaś dziwna magia. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Nie potrafił przestać o niej myśleć. Mimo woli rejestrował każdy szmer wydawany przez przewracaną

przez nią stronicę książki. I marzył, by to, o czym czytała, obrócić dla niej w rzeczywistość. Pragnął wyrwać jej z rąk książkę. Całując ją, usłyszeć, jak wypowiada jego imię, i poczuć...

„Alchemia. Skup się na alchemii”.

Boże, przecież teraz nawet nie było jej tutaj, a jemu i tak żądza mąciła umysł. Gdyby wiedziała, jakie myśli lęgną mu się w głowie, pewnie obdarłaby go żywcem ze skóry. No ale skupianie się na tym, co powinien zrobić, nigdy nie było jego mocną stroną. Czekają go dzisiaj jeszcze sporo pracy. Potem zimny prysznic i modlitwa, by Wszechmogący mu wybaczył. Ale skoro pożądanie było czymś nieczystym, po co Bóg stworzył dziewczynę taką jak Margaret?

Przycisnął pióro do papieru, starając się ostatkiem sił zmusić do skupienia na tekście. Praca, na przekór wszystkiemu, pozwalała mu ochłonąć. Skrobienie stalówki, zapisywane na kartce symbole, które nadawały kształt jego myślom i niczym latarnia morska w czasie sztormu odwoziły je od Margaret.

Potańczał oczy i wyjrzał przez okno. Czuł się jak pies czekający na powrót pana. Minęło już parę godzin, odkąd Margaret wyjechała z Kłopotem i Migotkiem. Wes oczekiwał, że niedługo wróci. Słońce późnego popołudnia, łagodne niczym dotyk kochanka, ślizgało się po zaścielających ziemię czerwonych liściach. Nie umiał się już dłużej koncentrować, zwłaszcza że zaczynała ściemniać go głowa. Od wielu godzin ślęczał nad książkami i teraz miał wrażenie, że jeśli się nie ruszy, eksploduje.

Za kilka dni wszystkie jego problemy będą należeć do przeszłości. Jego rodzina będzie miała zapewniony byt, a on zapewnione praktyki u mistrzyni alchemii. Wszystko zależało od tego, czy zdoła złamać ten szyfr. I od tego, czy Evelyn w ogóle raczy wrócić do dworu Welty.

Z rozmyślań wyrwało go pukanie do frontowych drzwi. Natychmiast obleciał go strach. Tutaj nikt nie przychodził, chyba że przynosił złe nowiny.

Gdy jednak otworzył, na progu stała Annette.

– O – wychrypiał. – Dobry wieczór.

Ubrana była w luźną sukienkę z niebieskim wzorem. Duże klapy owijały się wokół jej szyi niczym para dłoni. Na wysokości obojczyka

miała zawiązaną kokardę. Za bramą stał jej samochód, oślepiająco biały w blasku słońca, niczym spojrzenie hali.

– Cześć – odezwała się dziewczyna, wsuwając za ucho kosmyk włosów. – Mogę na chwilę wejść?

Na przestrzeni lat wiele, wiele razy słyszał od swojej rodziny, że ostatni raz obdarza go kredytem zaufania. Ale skoro po tym, jak się zachował w stosunku do Annette, ona nadal chciała go widzieć, musiała być najbardziej skłonną do wybaczenia osobą na całym świecie.

– No jasne, zapraszam.

Kiedy wsunęła się do środka, owionął go obłok jej perfum. „Wiśnie – pomyślał. – Tak samo czerwone jak szminka na jej ustach”. Wes zastanawiał się, czy on też aż tak tu nie pasował, gdy pierwszy raz przestąpił próg dworu Welty. Pośród dominujących we wnętrzu ziemistych brązów i rudości Annette, skrząca się i ostra niczym oszlifowany diament, wydawała się kimś zupełnie nie na miejscu. Wes zdawał sobie sprawę, że w powietrzu unoszą się kłęby kurzu.

– Napijesz się czegoś?

– Nie, dzięki. Maggie jest w domu?

– Wyszła. – Niestety.

Annette zerknęła na drzwi.

– Ale niedługo wróci?

– Chyba tak. Czemu pytasz?

– Liczyłam, że uda nam się porozmawiać w cztery oczy.

– Teraz jesteśmy sami.

– *Sami* – powtórzyła z naciskiem, unosząc wysoko brwi.

– No tak...

W głowie miał pustkę, nie był w stanie sformułować żadnej sensownej wypowiedzi. Nagle zrobiło mu się gorąco. Miał nadzieję, że nie spiecze przed nią raka.

– Cóż, jasne. Chodźmy – wybąkał.

Kiedy wspinali się po schodach, nadal nie wierzył, że to dzieje się naprawdę. Nie rozmawiali ze sobą od tamtej nocy, gdy odbyły się zawody strzeleckie. Nie wiedział, co sądzić o jej niezapowiedzianej wizycie, ale kiedy ujrzał ją na progu, nie potrafił jej odmówić. Wciąż miał wrażenie, jakby nie mieścił się w swojej skórze, był podminowany. Teraz, gdy miał przed sobą Annette, odkrył nagle, że

nie chce już dłużej zadręczać się fantazjami na temat Margaret. Teraz, dla odmiany, zachowa się przyzwoicie i będzie bez reszty skupiony na tym, co Annette ma mu do powiedzenia.

Na półpiętrze się zawahał. W pracowni panował zbyt wielki nieład. Poza tym ponieważ spędzał tam tyle czasu, powietrze śmierdziało alchemicznymi wyziewami.

– Może pójdziemy do mojego pokoju?

– Świetny pomysł.

Otworzył drzwi i momentalnie pożałował, że jej to zaproponował. Wszędzie jak okiem sięgnąć stały opróżnione kubki po kawie z ostatnich pięciu dni i leżały porzrzucone książki. Porwał płaszcz wiszący na oparciu fotela przy biurku i rzucił go na niezaścielone łóżko.

– Możesz tutaj usiąść, jeśli chcesz.

Sam przycupnął na brzegu materaca. Annette zamknęła drzwi. Dźwięk, jaki temu towarzyszył, krył w sobie jakąś ponurą nieodwracalność. Dziewczyna wodziła po pokoju lekko rozbawionym, a równocześnie oceniającym wzrokiem. Jej spojrzenie zatrzymało się dopiero przy oknie. Ciepłe promienie popołudniowego słońca, przesiane przez gałęzie drzew, wpadały do pokoju i zalewały białe ściany pomarańczowym blaskiem.

– Czy te drzwi da się zamknąć na klucz? – spytała, zaciągając żaluzje.

Wesowi momentalnie zaschło w gardle.

– A co? Chcesz mnie tu uwięzić? – spytał. – Możesz mi wierzyć, nie mam zamiaru się stąd ruszać.

Zrobiła zaskoczoną minę, jakby ją przyłapał na czymś, czego nie powinna robić. Szybko wybuchnęła śmiechem.

– Wiesz, to z przyzwyczajenia. Mój ojciec, ilekroć mam gościa, co dziesięć minut zagląda do pokoju.

Wes otworzył szufladę w stoliku nocnym. Ponieważ włożył w to nieco za dużo siły, szarpnięciu towarzyszył trzask. Wziął klucz i położył na stoliku.

– Żebyś się tak nie stresowała.

– To bardzo miłe z twojej strony – odparła i ku jego zaskoczeniu usiadła obok niego na łóżku. Sprężyny w materacu zaskrzypiały ostrzegawczo.

I nagle uderzyło go, w jak dwuznacznej sytuacji się znaleźli. Oddaleni osiem kilometrów od cywilizacji, o zmierzchu, za zamkniętymi drzwiami. Siedzieli tak blisko siebie, że ich kolana się stykały. Dokładnie takich sytuacji dziewczyna taka jak ona powinna się wystrzegać. I właśnie obawa przed nimi kazała jej ojcu zaglądać do pokoju Annette.

– Jesteś taki spięty.

– Naprawdę?

– Tak. Nie sądziłam, że jesteś nieśmiały. Czyżby cały ten luz i swada były tylko na pokaz?

– Nie, nie. Po prostu zaskoczyłaś mnie swoją wizytą. Nie spodziewałem się, że się spotkamy.

– Nic dziwnego.

Oparła się dłońmi o materac i odchyliła do tyłu.

– Przepraszam, że cię nie uprzedziłam. I że wcześniej nie dawałam znaku życia. I... Po prostu przepraszam. Przyszłam tu, żeby ci to powiedzieć.

– Co takiego? Ale dlaczego?

– Ponieważ tamtej nocy, kiedy postawiłeś się Jaimemu, zachowałeś się jak należy. W przeciwieństwie do mnie nie zabrakło ci odwagi. Źle zrobiłam, że próbowałam cię powstrzymać.

– Och, dzięki. Prawdę mówiąc, ta moja odwaga to głównie zasługa tego, że byłem zalany.

Wtem z dołu dobiegło skrzypnięcie otwieranych drzwi frontowych. Wes pomyślał, że pewnie wróciła Margaret. Nie słyszał jednak charakterystycznego dźwięku pazurów Kłopotą na podłodze.

Annette pacnęła go w kolano, zmuszając, by znów skupił uwagę na niej.

– Chyba za to też jestem ci winna przeprosiny. W końcu to ja cię tak upiłam.

– Zatem swoim podstępny planem sprowokowałaś mnie do odwagi.

– A sobie napytałam biedy.

– To znaczy? Mam nadzieję, że nie zafundowałam ci nieprzespanych nocy.

– Kilka owszem – przyznała z bladym uśmiechem. – Wiem, to takie niemądre z mojej strony.



– Nie chciałem przysporzyć ci problemów. To nie tak, że nie zależało mi na spędzaniu z tobą czasu. Po prostu... – Cholera, znowu myślał o Margaret.

– Rozumiem. Naprawdę.

– Czyżby? Chodzi mi o to, że... cieszę się. Czułbym się fatalnie ze świadomością, że cię uraziłem i nie mogę ci tego jakoś wynagrodzić.

– Nie masz czego wynagradzać. Cieszę się, że możemy porozmawiać – mówiła, skubiąc materiał swojej sukienki. – Dobrze mi się z tobą rozmawia. Mam wrażenie, że rozumiesz mnie lepiej niż większość ludzi w Wickdon. I zarazem jesteś dla mnie większym wyzwaniem. Wstyd mi o tym mówić, ale tamtej nocy tak się zdenerwowałam, bo... Chyba dlatego, że cię polubiłam. I pomyślałam wtedy, że może opacznie zinterpretowałam twoje uczucia.

– Nie, nic podobnego. Ja też cię lubię.

Mówił to szczerze – z Annette, mimo że unikała w życiu trudnych wyborów, była całkiem sympatyczna dziewczyna. Gdy jednak wypowiedział te słowa, przestraszył się, że mogły zabrzmieć dwuznacznie.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Pod jej spojrzeniem rozbolał go brzuch.

– Naprawdę?

Dotychczas umiał prowokować ludzi do zwierzeń. A kiedy już zdobył to, na czym mu zależało, ulatniał się. Nieraz ściągał tym sobie na głowę gniew Mad. Zdawał sobie sprawę, że to niezbyt chlubna cecha, ale teraz z jakiegoś powodu poczuł, że przekroczył jakąś niewidzialną granicę.

– Ja...

Zza drzwi dobiegły kroki Margaret. Kiedy pokonała schody, skierowała się do swojego pokoju na drugim końcu korytarza.

Wes nerwowo przeczesał dłonią włosy.

– Ale co masz na myśli, mówiąc, że mnie „lubisz”?

– Chcesz, żebym ci to przeliterowała? – spytała Annette, ściskając go za kolano.

Nagle przykre napięcie w jego brzuchu ustało. A kiedy dłoń dziewczyny powędrowała w górę jego uda, Wes poczuł, jak budzi się w nim pożądanie.

Przez ostatnie dni żył w stanie nieustannego napięcia, zadreżając się żalnymi fantazjami. Przerażało go, jak bardzo pożądał Margaret. Ta dziewczyna pochłaniała wszystkie jego myśli, sprawiała, że chciał się poczuć bezbronny. Myśl, że mógłby ją stracić, napawała go trwogą. Ale przecież dwa dni temu w mieszkaniu pani Wreford dała mu kosza, gdy wyrwała rękę z jego uścisku. Nawet jeśli zrobiła to wtedy pod wpływem impulsu, dobrze się stało. Skoro ma praktykować u jej matki, nie może z nią sypiać. A jeśli Maggie nie zamierza opuścić Wickdon, na wspólne życie i tak nie ma szans. Ale może gdyby znalazł inny sposób na rozładowanie swoich frustracji, łatwiej by zniósł zawód miłosny. Zdusi swoje uczucie do Margaret, tak samo jak wszystkie inne emocje, które wcześniej próbowały przejąć kontrolę nad jego życiem.

„Łatwizna”, pomyślał. Wystarczy, że teraz pozwoli, by sprawy potoczyły się własnym torem. W tym przypadku, gdy podda się swojej żądzy, nie zrobi tego z pobudek egoistycznych. Teraz kierować się będzie zdrowym instynktem samozachowawczym.

Annette przysunęła się bliżej. Poczuł, jak muska wargami skórę na jego brodzie. Odchylił do tyłu głowę i westchnął.

– Robi się ciemno.

– No to co? Chyba mnie teraz nie wyrzucisz? – wyszeptała mu do ucha.

Po plecach przeszły mu ciarki.

– Naturalnie, że nie. To byłoby niegrzeczne.

– Wcale nie jestem pewna, czy chcę, żebyś był teraz *grzeczny*.

A kiedy jej usta odnalazły jego, instynkt przeważył. Dłonią poszukał wcięcia talii, Annette pociągnęła go za włosy.

Sam sobie wydawał się niezdarny, niedelikatny. Zaległa się w nim uparta myśl, że swoimi poplamionymi atramentem palcami zabrudzi delikatny materiał jej sukienki, że podczas rozwiązywania wstążki, którą była przepasana w talii, rozerwie ją. Ale Annette jęknęła cicho i rozchyliła usta, jakby zachęcała go do większej śmiałości. Dźwięki, jakie wydawała, słodczą dorównywały jej pocałunkom.

Całowanie się z nią było przyjemne, przywodziło na myśl założenie ulubionego swetra. Serce Wesa wyrывało się jednak do czegoś – kogoś – innego. Tam, gdzie pragnął twardości, napotykał miękkość. Roił sobie, że zanurza palce w złocistych, a nie

kasztanowych włosach. Nie miał pojęcia, jak smakowałyby pocałunki Margaret, ale wyobrażał sobie, że byłyby płomienne i słychać by było dzwoniące uderzających o siebie zębów. Obściskiwanie się z Annette dawało poczucie satysfakcji i wygody, ale on już zbyt długo zadowalał się wygodą. Nie chciał dłużej się ukrywać. Pragnął wreszcie pójść na całość – odstąpić się i dać pochłonąć.

Pożądał Margaret.

– Przykro mi... – powiedział, wrywając się z uścisku Annette.

Dziewczyna otworzyła oczy. Przypatrywała mu się w osłupieniu.

– Przykro ci?

– Tak – odparł ponuro. – Przepraszam, nie mogę.

– Ale dlaczego?

Oparł łokcie na kolanach, głowę podparł dłońmi.

– Nie wiem.

– Przed chwilą odniosłam wrażenie, że ci się podobało.

Tkanina zaszeleściła, gdy dziewczyna poprawiała suknię i na powrót związywała ją w pasie. Po chwili w ciszy rozległ się jakiś donośniejszy, ostrzejszy dźwięk, przywodzący na myśl metal ślizgający się po drewnie.

– To nie twoja wina. Chodzi o mnie. Jestem rozkojarzony, całe moje życie to jeden wielki bałagan i...

– Czy to wina Maggie?

– Nie – wyrzucił z siebie. Ale zaraz spokojniejszym tonem dodał: – Nie, to nie ma nic wspólnego z Margaret.

Annette popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Ale co właściwie miałby jej powiedzieć? Przyznać się? Wes wiedział o sobie całkiem sporo, zdawał sobie sprawę ze swoich wad – i jedno nie ulegało dla niego wątpliwości: nie był skłonny do okrucieństwa. Jaki pożytek przyniosłoby to im obojgu, jemu i Annette, gdyby wyznał, że całując się z nią, wyobrażał sobie, że robi to z Margaret? Wprawdzie miał świadomość, jak fatalnie poczuje się ta dziewczyna, lecz zarazem rozumiał, że kończąc romans z nią już teraz, oszczędzi jej dalszych cierpień.

– Oboje jesteśmy idiotami, że nie zorientowaliśmy się wcześniej – odezwała się Annette. – Kiedy wreszcie wyznasz jej miłość?

– Ależ ja jej nie Kocham. – Każde z tych słów ciążyło mu niczym kamień.

Wyraz jej twarzy, gdy to powiedział, wydał mu się dość osobliwy. Jeszcze bardziej zastanawiający był jej ton: zimny, opanowany.

– Żegnaj, Wes.

Chwilę później usłyszał cichy trzask zamykanych drzwi.

Jęknąwszy, Wes opadł z powrotem na materac. Utkwił wzrok w stropie, studiując ponurą mozaikę zacieków i pajęczyn. Chętnie ulżyłby sobie samemu, wtedy przynajmniej mógłby zabrać się znów do pracy. Był jednak zbyt przygnębiony, a smak wiśniowej szminki Annette na języku przyprawiał go o wyrzuty sumienia.

„Kiedy wreszcie wyznasz jej miłość?”

Żachnął się. Przecież to, co czuł do Margaret, wcale nie było miłością.

Ale czy na pewno?

W ciągu ostatniego tygodnia pogodził się z myślą, że ta dziewczyna – którą z początku miał za pospolitą i niewartą zainteresowania – nadzwyczaj go pociąga. Podziwiał ją i miał tego świadomość: za jej determinację i siłę przekonań, za poczucie humoru, którego się po niej nie spodziewał, i czułość, za jej oddanie i nieustępliwość. Pragnął, by była szczęśliwa. I chciał ją ochronić – tak samo jak własną rodzinę.

Ale czy to *miłość*? Czy w ogóle może liczyć, że kiedyś się dowie, skoro okazywało się, że na każdym kroku się okłamywał? Może Colleen miała rację, gdy powiedziała mu kiedyś, że dziewczyny wcale nie są tak skomplikowane, jak sobie wyobraża. Może to nie dziewczyny, lecz ludzie byli skomplikowani.

A najbardziej on sam.

Wtem z oddali doleciał dźwięk tłuczonego szkła i sypiących się na podłogę odłamków. Na korytarzu rozległ się czyjś stłumiony śmiech. Od razu rozpoznał ten głos.

Jaime.

Wes zerwał się z łóżka i naparł na drzwi, te jednak nie ustąpiły: zostały zamknięte od drugiej strony. Kiedy spojrzął na stolik nocny, okazało się, że klucz zniknął. Annette musiała go zabrać, gdy wychodziła.

– Psiakrew – warknął, okładając pięścią drzwi.

– Co ty wyprawiasz, u licha? – dobiegł go głos Annette. Brzmiała, jakby była autentycznie przerażona. – Nie tak się umawialiśmy...

I znowu trzask tłuczonego szkła. Wes poczuł, jak chłód gałki u drzwi rozlewa się dreszczem po jego ciele. Ażeby wydostać się z pokoju, musiałby wyważyć drzwi – albo stopić zamek. Wokół gałki wyrysował kredowy krąg i niezdarnie nabazgrał skład chemiczny brązu. Chwilę później zapłonął alchemiczny ogień. Palił się dość ospale, ale i tak po chwili metal obrócił się w *caput mortuum*. Reszta spłynęła gęstymi strugami na podłogę i zebrała się w bulgoczącą kałużę.

Kiedy wreszcie wydostał się z pokoju, było już za późno. Przez okna korytarza widział, jak Jaime, Annette i rudowłosa alchemiczka Jaimego biegną do samochodu.

A zatem wcześniej to nie Margaret weszła do domu.

Drzwi do pracowni Evelyn były uchylone. Wes nie miał najmniejszej ochoty zaglądać do środka. Ale musiał. Kiedy szedł korytarzem, miał wrażenie, jakby poruszał się w wodzie.

Wsunął się do pokoju i stanął jak wryty. To, co ujrzał, sprawiło, że nogi się pod nim ugięły.

Potłuczone alembiki leżały na podłodze. Szuflady zostały wyciągnięte z biurka i odrzucone na bok. Podarte na strzępy kartki zaścielające podłogę rozmakały w kałużach jakiejś srebrzystej cieczy, zmieniając się w papkę. Zaczarowany czaprak był podarty, szpule alchemicznie wzbogaconej nici przepadły. Wszystko, nad czym w pocie czoła pracował przez ostatnie dwa tygodnie, postępy, jakich dokonał w tłumaczeniu książki Evelyn, cały alchemiczny sprzęt...

Wszystko było zniszczone.

Ale najstraszniejsze były kredowe napisy na podłodze. Jedna z obelg wydała mu się znajoma. Obrzucano nią jego i jego siostry, gdy starali się o pracę albo gdy Wes znów nie mógł się skoncentrować na lekcjach. Słyszał ją wykrzykiwaną z bocznych ulic, gdy z kolegami wracał z baru. Adresatem innej zniewagi była Margaret. Gdy Wes ją przeczytał, dosłownie zagotował się z gniewu.

Teraz Jaime posunął się za daleko.

Ale kto się tym przejmie? Niezależnie od tego, na jaką śmiesznie niską karę w stosunku do sprawców zdobyłoby się miasto, i tak nie

przywróci im to szans na wygraną w gonie – ani nie zapewni im bezpieczeństwa w przyszłości. Hala nie była jedynym potworem czającym się w okolicy. Ludzie byli od niej znacznie gorsi. Tak naprawdę uczestnictwo w gonie miało służyć nie jemu ani Margaret. Nie ochronie miasta przed bestią. Nie chodziło o zarabianie pieniędzy, zapewnienie poczucia bezpieczeństwa ani zdobycie sławy. Nie chodziło nawet o Boga. Gon stanowił coś innego – truciznę, którą nasączone było serce tego kraju.

Nocą, kiedy zapisy dobiegały końca, Jaime powiedział: „Gon to nasza najstarsza tradycja, spuścizna kultywowana przez prawdziwych synów Nowego Albionu”.

Co by się stało, gdyby owa spuścizna dostała się w ręce ludzi ich pokroju – dziewczyny Yu’adir i sumickiego chłopaka z wielkiego miasta? Ludzie tacy jak Jaime nigdy nie pogodziliby się z ich wygraną. A ponieważ oszustwo ani zastraszanie nie przyniosły skutków, pozostawał im sabotaż.

Ale teraz przyjdzie mu za to zapłacić. Wes dopilnuje, żeby się zemścić na tym gnojku.

Potraktuje to jak wyzwanie z dziedziny alchemii – cały swój czas poświęci na zgłębianie składników, z których zbudowane jest życie Jaimego. Zniszczenie wszystkiego, co jest drogie sercu tego drania, stanie się jego obsesją, dziełem, któremu poświęci całe życie. Zatruje jego sady, zburzy dom. Spali wszystko, co posiada, tak że pozostanie z tego tylko *caput mortuum*, które na cztery strony świata poniesie wiatr.

Snucie takich fantazji sprawiało mu wielką satysfakcję – upajało bardziej niż najlepsze wino, kusiło bardziej nieodparcie niż dotyk najpiękniejszej kobiety. Dawało poczucie władzy. Owszem, w żyłach Jaimego mogła płynąć czysta krew Nowego Albionu, ale ten chłopak nie był alchemikiem. Nigdy nie obcował z tym, co święte. Nigdy nie próbował osiągnąć czegoś, co wykracza poza jego ograniczenia. Był zwyczajnym śmiertelnikiem o przyziemnych ambicjach.

Ale nawet w tym uniesieniu Wes nie potrafił uciec przed wspomnieniem słów Margaret: „Naprawdę chcesz, żeby tak wyglądało twoje życie? Taki użytek planujesz zrobić ze swoich alchemicznych zdolności? Chcesz stać się taki sam jak Jaime, jak oni wszyscy? Chcesz pastwić się nad słabszymi?”.

– Kurwa mać! – Wziął do ręki większy kawałek jednego ze zniszczonych alembików i cisnął nim o ścianę. Szkło rozprysło się i spadło na podłogę deszczem migoczących odłamków. Nie mógł, mimo że miał na to wielką ochotę, zniżyć się do poziomu Jaimego. Nie zniósłby tego, gdyby znowu przyniósł rozczarowanie Maggie.







ierwszą rzeczą, jaka zaniepokoiła Maggie, gdy po powrocie z treningu weszła do domu, był panujący w nim przeraźliwy bezruch. Wpadające przez okna słońce kładło się plamami na podłodze. Martwość mąciło jedynie pojękiwanie ścian na wietrze i wirowanie kurzu, gdy zamknęła za sobą drzwi.

Zrzuciła z ramion płaszcz, ściągnęła buty.

– Wes?

Niemal natychmiast pojawił się u szczytu schodów – ciemna sylwetka na tle oświetlonej kinkietem ściany. Koszulę miał rozchełstaną na piersi, rękawy podwinięte do łokci. Jego włosy wyglądały, jakby przed chwilą wyciągnął rękę z gniazdka elektrycznego. W sumie gdyby nie emanujący od niego gniew, Maggie uznałaby, że prezentuje się na swój sposób uroczo. Jego zwyczajowa beztroska zniknęła bez śladu, nie widziała go w takim stanie od dnia, w którym odbył się konkurs strzelecki.

– Co się stało?

– Nie wchodź na górę.

Czy naprawdę się łudził, że posłucha go teraz, gdy zobaczyła, co się z nim dzieje?

– Czemu?

Rzuciła płaszcz na wieszak i zaczęła się wspinać po schodach, na co on tylko patrzył bezradnie. Maggie знаła każdy kąt w tym domu. Wiedziała, gdzie stawiać stopy na zrujnowanych stopniach, żeby nie zaskrzypiały; gdzie unieść dłoń znad poręczy, żeby nie rozciąć sobie ręki ostrymi drzazgami. Teraz jednak z jakiegoś powodu całe domostwo wydawało jej się obce, niczym ranne zwierzę, które

najeża się pod jej dotykiem. Kiedy tylko dotarła na piętro, Wes zastąpił jej drogę. Z bliska wydał jej się jeszcze bardziej rozwścieczony niż wtedy, gdy zaatakował Jaimego. Tamtej nocy był pijany, impulsywny i powodował nim słuszny gniew. Teraz był całkowicie trzeźwy, spojrzenie miał skupione i dosłownie eksplodował od tajonej złości.

- Margaret, mówię poważnie. Zejdź, proszę, na dół.
- Przestań być taki zagadkowy. Powiedz, co się stało.
- Zamierzam zabić Jaimego Harringtona.

Mówiąc to, zerknął ku pracowni jej matki. Margaret podążyła tam spojrzeniem. Drzwi były otwarte na oścież, jakby zapraszały do wejścia.

- Trzymasz go tam związanego?
- Chciałbym. – Wyciągnął rękę, zagradzając jej drogę. – Nie chcesz tego oglądać.
- Nic nie może być gorsze od tego, co już widziałam – oświadczyła.

Opuściła rękę Wesa i ruszyła w stronę pracowni. Kiedy przestąpiła próg, zrobiło jej się niedobrze.

Kompletnie nie spodziewała się, że zobaczy coś takiego.

W czerwonych promieniach zachodzącego słońca lśniły rozsypane na podłodze odłamki potłuczonych alembików. Ostre kawałki rozbitej szyby okiennej połyskiwały na parapecie jak płyty lodu. Na podłodze *coincidentia oppositorum* i *caput mortuum*, będące pozostałościami po transmutacjach, nad którymi pracował Wes, zmieszały się w obrzydliwy szlam. To nie pierwszy raz, gdy Maggie zastawała pracownię w takim stanie, i zapewne nie ostatni. Zniszczony sprzęt dało się zastąpić nowym. Również wyniki badań powinno dać się odzyskać, bo przecież niemal każdy alchemik umiał odtworzyć swoją pracę z pamięci. Tym, co bolało najbardziej, były słowa wypisane na podłodze. Kreska zdradzała ten sam zapach, jaki towarzyszy alchemikowi kreślącemu krąg transmutacji.

Słowa te towarzyszyły jej przez całe życie, ale zawsze wypowiedane były szeptem, a nie prosto w twarz. Była pewna, że Wes również wiele razy się z nimi zetknął.

- Przepraszam – powiedział, stając obok.
- Za co?

– Niczym sobie nie zasłużyłaś na takie traktowanie.

– Ani ty.

W tej chwili zrodziło się między nimi ciche porozumienie. Przez całe życie Maggie starała się nie rzucać nikomu w oczy, stać się niewidzialną. Ale ludzie pokroju Jaimego nie pozwalali jej na to – i nigdy nie pozwolą. „Mam tego dość. Mam dość takiego traktowania. A ty nie?” – spytał ją niedawno Wes.

Tak, ona też miała tego dość. Jaime krążył wokół niej całymi latami niczym wygłodniały pies, ale nie kąsał do krwi. Był to pokaz jego siły, a równocześnie demonstracja tego, jak bezsilna była ona. Teraz jednak, gdy wreszcie zatopił w niej swoje zęby, Margaret nie miała zamiaru dłużej tego ignorować.

– Jak do tego doszło? – spytała spokojnym głosem, który ją samą zaskoczył.

– No...

Dopiero teraz zwróciła uwagę na czerwone ślady widoczne na jego ustach i brodzie. Te rozczochrane włosy też wydały jej się zastanawiające.

– Annette wpadła z wizytą. No i na chwilę straciłem czujność.

– Oszczędź mi szczegółów.

Jej drżący głos zdradzał, jak bardzo czuje się zraniona. Poczuła, jak budzi się w niej zazdrość, ciężka niczym kamień w żołądku. Ale co ją właściwie obchodziło, co Wes robi w wolnym czasie? Przecież nie próbował nawet ukrywać, że pociąga go Annette. A mimo to Maggie mogłaby przysiąc... Nie, teraz już nieważne, co myślała. Zbyt wiele razy odsuwała się od niego, by mogła liczyć, że będzie na nią czekać w nieskończoność. Spodziewała się, że zaraz usłyszy od niego jakiś kawał albo beztruską uwagę, on jednak skulił się jak kopnięty pies.

– Słyszałem, jak ktoś wchodzi do domu. Ale pomyślałem, że to ty. Nagle Annette zaczęła się dziwnie zachowywać. To znaczy od początku jej zachowanie było podejrzane, ale wtedy to się nasiliło. Wypadła jak burza z pokoju i uwięziła mnie w środku. Zanim stopiłem gałkę u drzwi, zdążyli uciec.

– Stopiłeś gałkę?

– Przepraszam. Nie wiedziałem, co robić. Zamontuję nową.

Margaret wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Rozumiem, dlaczego Jaime posunął się do czegoś takiego. Ale Annette? Ta dziewczyna nigdy nie okazywała mi okrucieństwa.

– Nie sędzę, żeby była okrutna. W każdym razie nie w sposób świadomy. – Zmarszczywszy brwi, mówił dalej: – Rozmawiałem z nią na temat Jaimego. Uważa, że jeśli mu się sprzeciwi, spotka się z ostracyzmem swojej grupy.

Nigdy na przestrzeni lat nie usłyszała złego słowa od Annette. Dziewczyna w ogóle unikała rozmów z nią.

– Pewnie ma rację.

– Wydaje mi się, że ona nie wiedziała, co knuje Jaime. Wydawała się wstrząśnięta, gdy zobaczyła, w jakim stanie jest pracownia, ale... Boże, może to wszystko moja wina. Któregoś dnia dałem jej kosza na plaży i pewnie fatalnie się wtedy poczuła.

– Nie – stwierdziła stanowczo. – To nie twoja wina, tylko ich.

– Chyba masz rację – przyznał z bladym uśmiechem.

Margaret podniosła z podłogi gruby kawał szkła i zważyła go w dłoni.

– I co teraz? – spytała.

Wes wsunął dłoń do kieszeni i jeszcze raz rozejrzał się po pokoju, oceniając szkody.

– Zniszczyli całą moją pracę. Cały sprzęt i wszystkie notatki.

Ścisnęła szkło i poczuła, jak jego krawędzie wpijają się w skórę. Wypuściła odłamek z ręki, na wewnętrznej stronie dłoni pokazały się krople krwi.

– A zatem jesteśmy pogrążeni.

– Nie – odparł i zacisnął usta w cienką linię. – Zostały nam cztery dni. A ja wszystko pamiętam. Zdążę odtworzyć notatki.

– No to zabierajmy się do sprzątnięcia.

Pracowali, dopóki mrok nie otulił dworu niczym gruba warstwa śniegu. Kiedy już zmiotli potłuczone szkło, wylali wodę na podłogę i szorowali, dopóki nie zniknęły ostatnie ślady obelg zostawionych przez Jaimego. Przypatrując się odbiciu Wesa w mokrych deskach, Maggie podziwiała determinację wyzierającą z jego spojrzenia. Poszukała ręką klucza zawieszzonego na szyi i ścisnęła go. Jak długo jeszcze będzie się kurczowo trzymać tej mrzonki? Zostały tylko cztery dni – niemożliwe, żeby mu się udało, niezależnie od tego, jak bardzo jest utalentowany i jak bardzo będzie się starał.

Był tylko jeden sposób uśmiercenia hali.

Ale podzielenie się z nim tą wiedzą byłoby równoznaczne ze sprowadzeniem zagłady na nich oboje.

Po dwóch dniach Wes wyłonił się z pracowni.

Maggie akurat wybierała się z Kłopotem na przejażdżkę i zupełnie nie spodziewała się go spotkać. Praktycznie wpadli na siebie w korytarzu i w pierwszej chwili go nie rozpoznała. Wydawał się jeszcze bardziej niechlujny niż zazwyczaj. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, a na jego brodzie – ku własnemu zdumieniu – dostrzegła delikatny zarost. Twarz miał umazaną atramentem i *caput mortuum*, oczy podkrążone. Sprawiał wrażenie wykończonego, lecz zarazem dziwnie ożywionego, zupełnie jakby opętał go jakiś duch, który spoglądał teraz na nią spod maski jego twarzy. Jego osobliwy stan sprawił ją niemal w przerażenie.

– O! – zawołał zdumiony, jakby co najmniej ujrzał egzotycznego ptaka. – Margaret.

Jego dziwna reakcja była kompletnie nie na miejscu. Zachowywał się, jakby wcale nie przepadł na dwa dni, skazując ją na umieranie ze strachu.

– Gdzie się podziewałeś?

– Pracowałem.

Wiele by dała, by ta gładka odpowiedź tak jej nie zirytowała – oraz by złość nie napawała jej równocześnie poczuciem winy. Chciałaby, aby burza uczuć, która właśnie się przez nią przewalała, stała się dla niej bardziej zrozumiała. Czuła się porzucona i nienawidziła się za to.

– Śmierdzisz starą kawą, a wyglądasz, jakbyś nie spał od wielu dni.

– Może nie spałem – przyznał kwaśnym tonem. – Jak widzę, humorek dopisuje.

Maggie potrząsnęła tylko głową. W gardle urosła jej gęła.

– Wychodzę.

– Mamy coraz mniej czasu – zauważył.

Wcześniejsza irytacja zaczęła powoli ustępować.

– No i?

– Liczyłem, że mi pomożesz w jednej rzeczy. Odtworzyłem wszystko. I chyba jestem o krok od odkrycia sposobu zabicia hali.

Maggie ciarki przeszły po plecach. Czyżby naprawdę odkrył inny sposób?

– Naprawdę?

– Tak. Chcesz zobaczyć?

– Oczywiście – odparła lekko drżącym głosem.

Kiedy szła za nim do pracowni, znów czuła się jak przerażona dziewczynka ze swoich koszmarnych snów. Z szybko bijącym sercem patrzyła, jak Wes otwiera drzwi. W środku powitał ją zaduch, powietrze było tu gęste i nieruchome jak mgła. Na ścianach wisiały zaplamione kawą kartki z pospiesznie nakreślonymi notatkami. Na biurku leżał znany jej rękopis.

Rozglądała się, lecz jej umysł nie przyjmował do wiadomości tego, co widzi. Wes poruszał ustami, ale sens wypowiedzianych przez niego słów pozostawał nieuchwytny – dźwięk jego głosu wydawał się tylko monotonnym bzyczeniem niczym dźwięk roju pszczoł. Usłyszała wyraźnie, co mówi, dopiero gdy zmarszczył brwi i chwycił ją za rękę:

– Margaret?

To wyrwało ją z odrętwienia.

– Słucham?

– No i co o tym myślisz?

Jego głos falował, jakby znajdowali się pod wodą. Spoglądał teraz na nią w napięciu, niecierpliwie oczekując, co powie, zupełnie jak pies, który wykonał wyjątkowo skomplikowaną sztuczkę i teraz domagał się pochwały pana. Czyżby on naprawdę robił to, żeby jej się przypodobać?

– Przepraszam. Mógłbyś powtórzyć?

Zrobił smutną minę.

– Mówiłem, że dręczy mnie jedna kwestia i chciałbym poznać twoje zdanie na ten temat. Dlaczego nikt dotąd nie pokonał ostatniego demiurga? Przecież gdyby chodziło wyłącznie o dostatecznie potężną amunicję, ktoś na pewno już by taką stworzył, prawda? Doszedłem do wniosku, że pewnie czegoś nie wiemy, że przez ostatnie dwieście lat o czymś zapomniano. A ponieważ twoja matka prowadzi studia nad halą, pomyślałem, że może ona wie coś na ten temat. Może odkryła, czym jest ta zapomniana mądrość.

Kiedy Wes stanął na środku pokoju i kopnięciem odsunął chwiejną stertę książek, Margaret obraz zafalował przed oczami. Pole

jej widzenia stawało się coraz węższe, aż w końcu dostrzegła już tylko krąg transmutacji u stóp chłopaka, wyrysowany niezwykle starannie kredą na podłodze. Podstawę wzoru stanowił wąż pożerający swój ogon. Odchodzące na wszystkie strony kreski przywodziły na myśl promienie słońca.

Rozpoznałaby ten wzór zawsze i wszędzie.

To on nawiedzał ją w koszmarnych snach. Jego ślady nadal widniały na deskach podłogowych w tym pokoju, a szczegółowe uwagi dotyczące jego tworzenia były rozsiane w zaszyfrowanych notatnikach matki. Był to pierwszy krok na drodze do stworzenia *magnum opus*, instrukcja pozwalająca przeprowadzić rozkład fizycznego ciała demiurga. Z pomocą tego wzoru Wes mógł obrócić halę w popiół, a potem – o ile zdołałby odcyfrować resztę notatek jej matki – oczyścić uzyskany w ten sposób materiał, tak by uzyskać kamień filozoficzny.

– Przez ostatnie tygodnie studiowałem tę księgę. Pełno w niej dziwacznych ilustracji, ale są tu także komentarze twojej matki. Domyślam się, że całymi latami starała się dociec, co znaczą te rysunki.

Jakim cudem Wes w pracowni odnalazł akurat ten rękopis – być może jedyny ocalały na świecie – zawierający instrukcje zdobycia *magnum opus*?

– Wszystko zapisywała szyfrem, dlatego tyle czasu zajęło mi zrozumienie, o co w tym chodzi. Wydaje mi się, że jej instrukcje dotyczą rysowania trzech okręgów, zaczynając od tego. Ale te wskazówki są niekompletne. Podejrzewam zresztą, że to celowy wybieg Evelyn. – Wskazał pusty, wewnętrzny pierścień współtworzący krąg. – Gdybym tylko wiedział, czego nam brakuje, myślę, że zdołalibyśmy zabić halę. I tak pomyślałem, że może ty...

– Nie – weszła mu w słowo. – Nie wolno ci tego zrobić. Zabraniam ci nad tym pracować.

– Ale przecież... – wybąkał, wyraźnie skonsternowany.

– Chcesz powiedzieć, że to tym przez cały czas się zajmowałeś?

– Częściowo tak, ale...

Margaret uklęknęła przy kręgu. Wes wpatrywał się w nią wytrzeszczonymi oczami i domyślała się, że wygląda jak wariatka, gdy zaczęła dłońmi ścierać wzór.

– Ejże! – zawołał z oburzeniem, ale chyba też z troską.

Przyklęknął przy niej i złapał ją za przedramiona. Jej dłonie, białe niczym kość i drżące, wyginały się, próbując dosięgnąć podłogi. Uniósł spojrzenie znad jej pobrudzonych kredą palców na twarz. Do oczu napłynęły jej łzy, gdy Wes głosem łagodnym, jakby zwracał się do płochliwego kucyka, spytał:

– Margaret, co się dzieje?

– Zniszcz to. W tej chwili! Spal to, co znalazłeś. Zapomnij o tym, czego się nauczyłeś. Musisz tak postąpić. Musisz mi obiecać, Wes. Daj mi słowo!

– Ale to dla nas jedyna szansa na zwycięstwo.

– Proszę... – załkała.

– Dobrze, dobrze, obiecuję.

Przypatrywał jej się z płynącą z poczucia bezradności rozpaczą. Maggie poczuła, jak powoli rozluźnia uchwyt.

– Boże, patrzysz na mnie, jakbym zamierzał zrobić coś strasznego – stwierdził.

– Nie masz pojęcia, z jakimi mocami igrasz. Ta księga, ta transmutacja... Ona robi coś z ludźmi, którzy ją przeprowadzają. Zmienia ich.

– A zatem widziałaś już, jak ktoś wcześniej ją wykorzystuje.

– Tak. Moja matka.

Ze zdumienia Wes aż otworzył usta. Ale już po chwili w jego oczach zapłonął gniew.

– Co zrobiła?

Margaret potrząsnęła gwałtownie głową. Nie tyle słyszała, co raczej czuła, że szczęka zębami.

– Mnie możesz powiedzieć. Proszę.

– Niczego nie zrobiła. Tak po prostu działa alchemia.

Wes przybrał sceptyczny wyraz twarzy. Znała tę minę – pojawiała się, ilekroć zaczynała krytykować jego ukochaną naukę. Co ma zrobić, żeby zrozumiał? Zdawała sobie sprawę, że musi przemówić mu do rozsądku, nawet gdyby rozdrapując tę ranę, miała przyplacić to życiem.

– Mniej więcej sześć lat temu moja matka ukończyła kolejną fazę swoich badań. W nocy, gdy testowała drugi krąg transmutacji, którego



zaszyfrowaną instrukcję znalazła w tej księdze, obudził mnie jakiś straszliwy dźwięk. Krzyk.

W pierwszej chwili pomyślała, że coś jej się wydawało albo że zawył lis pod oknem. Ale już po chwili wrzask się powtórzył.

*Maggie!*

Nawet teraz na wspomnienie tamtej chwili lodowate ciarki przeszły jej po plecach. Evelyn krzyczała tak, jakby była żywcem obdzierana ze skóry. Jak gdyby kolejny raz znalazła wystygłe ciało Davida w łóżku.

– To był głos mojej matki, wołała mnie. Nigdy tego nie robiła, wtedy nie wpuszczała mnie już do pracowni, dlatego od razu zrozumiałam, że stało się coś złego.

Kiedy opuściła bezpieczne schronienie swojego pokoju i wysunęła się na korytarz, częściowo skryte w ciemności meble wyglądały przerażająco i kojarzyły jej się z potworami. Jeden, wyjątkowo długi potwór skradał się u podnóża schodów. Inny, jak gdyby przygarbiony, czaił się na werandzie. Kolejny powykręcanymi paluchami skrobał w okienną szybę. Tamtej nocy wszystkie te monstra wydawały jej się szczególnie złośliwe i wygłodniałe.

– Otworzyłam drzwi pracowni i zderzyłam się ze ścianą rozgrzanego powietrza. Strasznie tam cuchnęło. Alchemią. Krwią.

Od dawna się pilnowała, by nie wracać myślą do tamtej nocy. Teraz, mimo że powiedziała tylko parę słów, zaczynała ją ogarniać panika. Czuła dziwny ucisk w klatce piersiowej, każdy oddech przychodził jej z trudem.

– Matka leżała na podłodze. Z jakiegoś powodu wyraźnie zapamiętałam tylko jej włosy. Evelyn zawsze była bardzo porządna i schludna, ale wtedy jej rozpuszczone włosy leżały rozrzucone na wszystkie strony i były skąpane we krwi. W pierwszej chwili pomyślałam, że nie żyje.

Burza włosów okalała jej głowę na podobieństwo aureoli. Wyrysowany kredą na podłodze, obok miejsca, w którym leżała, znajdował się krąg transmutacji. Splamiony krwią i żarzący się złowrogą, upiorną czerwienią. Ale najstraszniejsze było to, co znajdowało się w samym jego środku.

Było poczerniałe, zniekształcone. Oddychało z trudem, jakby łkało.

Wydobywał się z tego jakiś płyn, czarny niczym ziemia po deszczu, niczym morze o północy. Choćby łamała sobie głowę, Margaret nie potrafiła sobie przypomnieć kształtu tego czegoś. Pamiętała jedynie, że na widok czarnego bytu opanowała ją niewysłowiona groza, tak potężna, że nawet teraz na myśl o tamtej chwili dopadały ją zawroty głowy i ogarniała panika.

– Co stworzyła? – spytał zachrypniętym głosem Wes.

– Nie wiem. Coś. Coś nie do końca ukształtowanego. Trudno to nazwać. Ale otaczała to aura zła. Jak gdyby to coś nie powinno istnieć. Jak gdyby matka została ukarana za to, że w ogóle próbowała powołać to do życia.

Kiedy Margaret uniosła ją i odwróciła na plecy, twarz matki była popielata, oczy zapadnięte, białka nabiegłe krwią. „Tym razem byłam tak blisko – wycharczała Evelyn. – Czułam to. Słyszałam go”. „Chodź, matko – odezwała się do niej Margaret tonem, który ćwiczyła przez ostatnie miesiące. Łagodnym, a zarazem stanowczym, jakiego używał ojciec, zanim odszedł. – Położę cię do łóżka”. Pamiętała, jak pomogła matce wstać, a wtedy kobieta uwiesiła się jej niczym przemęczone dziecko.

– Czułam się przerażona, ale już chwilę potem strach nagle zniknął. Przestałam cokolwiek czuć. Wszystko wydawało mi się nierealne, łącznie ze mną samą. Po prostu robiłam to, co należało zrobić. Wywlekłam ją z pracowni i zaprowadziłam do łazienki. Przez cały czas powtarzała tylko jedno słowo: „Przepraszam”.

Następnie Margaret zeszła do kuchni i nalała wody do wiadra. Tym razem nie rozglądała się za potworami czającymi się po kątach. Wspięła się po schodach na piętro i wróciła do pracowni, nadal wypełnionej dymem. Przechyliła wiadro i wylała wodę na podłogę. Zaląła jej stopy, a kiedy dziewczyna uklękła, zamoczyła jej koszulę nocną. Szorowała, dopóki nie pozdzierała sobie do krwi dłoni i kolan, dopóki nie pozbyła się z desek ostatnich śladów po reakcji alchemicznej.

– A co zrobiłaś z...? – chciał wiedzieć Wes.

– Spaliłam w lesie.

Jego twarz stała się kredowobiała.

– Teraz rozumiesz?

Nie wiedziała, czy to, co mówi, jest dla niego przekonujące, czy raczej brzmi, jakby przemawiała przez nią desperacja.

– Kiedyś wierzyłam w te wszystkie szlachetne kłamstwa: że praktykowanie alchemii służy szczytnym celom, że jest ścieżką wiodącą ku odkupieniu, doskonaleniu, prawdzie. Ale to nie tak. Alchemia, owszem, jest ścieżką, ale prowadzącą do piekła. Widziałam to na własne oczy tamtej nocy. Moja matka niemal umarła.

– Margaret, to, co zrobiła... – Wes umilkł. Po chwili spróbował znowu: – Nie wiem, co konkretnie zrobiła Evelyn. Ale to nie alchemia pchnęła ją do tego. Alchemia najwyżej umożliwiła jej realizację jej własnych zamierzeń. Twoja matka z własnej woli zaczęła majstrować przy tej transmutacji. A jeżeli wiedziała, że to niebezpieczne, nie powinna była narażać cię na kontakt z nią ani doprowadzać do sytuacji, gdy będziesz musiała samodzielnie zajmować się jej skutkami.

Ale Evelyn nie zrobiła tego z własnego wyboru. Jeśli tak było, jeśli kobietę, jaką się stała, nosiła przez cały czas w sobie, wówczas Margaret nie wiedziałaby już, co począć. Nie wiedziałaby, jak wyssać z niej tę truciznę. To alchemia zrobiła coś strasznego z jej matką. Nie mogło być inaczej. W przeciwnym razie jakim człowiekiem okazałaby się Evelyn? Jaką matką?

Margaret nie mogła pozwolić, by to się powtórzyło. Nie zniosłaby, gdyby spotkało to Wesa.

– Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Nie czekając na jego reakcję, wypadła jak burza z pracowni, ścigana zdumionym okrzykiem chłopaka. Była zlane zimnym potem, nagle zaczęło brakować jej tchu, jakby jej klatkę piersiową uciskał gorset. Mimo że zapadał już zmierzch, a niebo zaciągało się ciemnymi chmurami, poczuła, że nie wytrzyma w tym budynku ani chwili dłużej. Ten dwór prędzej czy później ją zabije, była tego pewna.

W swoim pokoju zdjęła wiszący na ścianie sztucer, zarzuciła na ramiona płaszcz, zbiegła po schodach i wyszła przed dom. Kłopot, mimo że go nie wołała, momentalnie zjawił się u jej boku, merdając niecierpliwie ogonem. Słońce, stojące nisko nad horyzontem, zalewało świat czerwonym światłem, w którym wszystko wyglądało jak krwawy ochłap mięsa. Szemrzący w gałęziach drzew wiaterek nawoływał ją po imieniu.

– Zaczekaj! – zawołał Wes z werandy.

Ubierał się w biegu – na razie zdążył wsunąć rękę do jednego rękawa płaszcza i z trudem wkładał buty. Wiatr targał mu fryzurę, zagłuszał słowa. Jego głos ginął wśród szelestu suchych czerwonych liści i Maggie słyszała tylko, jak woła ją po imieniu.

– Idziemy – zwróciła się szeptem do Kłopoty.

Psiak zaskomlał niepoczyszony, ale posłusznie podreptał za swoją panią. Drzewa rosnące wzdłuż drogi wyciągnęły do niej swoje cienie i po chwili połknęły ją całą.

Biegła aż do utraty tchu, póki ciała nie wypełnił chłód i adrenalina, do momentu gdy każdy oddech parzył jej płuca niczym pokrzywa. Liczyło się tylko to, że znalazła się daleko od dworu i wszystkich wspomnień, które pragnęła zdrapać jak kredowe rysunki z podłogi.

Kiedy nogi zaczęły się pod nią uginać, przysiadła ciężko na głazie. Zziębnięty Kłopot usadowił się u jej boku. Jak zawsze lojalny i wierny, jedyny, który jej nie opuścił i nigdy tego nie robi. Położył pysk na kolanach dziewczyny i chuchał na jej dłonie. Głupio jej się zrobiło, że zmusiła go do tak forsownego biegu.

Nachyliła się i pocałowała psa w czubek głowy.

– Przepraszam. Jak się czujesz?

Wysokie drzewa rosnące wokół nich drżały na wietrze. Przesiane przez gałęzie światło zachodzącego słońca barwiło krwawo poszycie lasu. Podświadomie wiedziała, że popełniła błąd, przychodząc tu sama. Widziała na własne oczy, do czego zdolna jest hala. Ale ten las uważała kiedyś za swój dom – swój azyl. Niestety już od paru tygodni las nie należał tylko do niej, a dwór wydawał jej się równie groźny jak krwiożercza bestia. Świadomość, że oddaliła się od niego na kilka kilometrów, była uspokajająca.

Odgarnęła włosy z karku i położyła się na zimnym kamieniu, pozwalając, by chłód wsączał się w jej skórę, a włosy opadły na trawę. Na fioletowym niebie rozbłyskały właśnie najjaśniejsze gwiazdy, lśniąc zimnym, bezlitosnym blaskiem. Margaret opuściła powieki.

I nagle poczuła niedający się z niczym pomylić smród siarki.

*Margaret, Margaret, Margaret.*

Poderwała się i usiadła prosto.

Temperatura spadła. Wydychane powietrze zamieniało się w mgiełkę; widziany za nią świat migotał i drżał niczym fatamorgana. Woń alchemii w połączeniu z najkoszmarniejszymi wspomnieniami, które niedawno przywołała z mroków niepamięci, sprawiała, że nie była pewna, czy to umysł płata jej figle, czy dzieje się coś więcej.

*Coraz bliżej, bliżej, bliżej.*

Z gardła Kłopoty dobył się warkot. Ogar zjeżył sierść na grzbiecie. Opadłe liście szeleściły.

*Tutaj, rozlegało się echem ze wszystkich stron.*

*Tutaj, tutaj, tutaj.*

Wtem rozległ się trzask łamanej gałęzi. Wszystko, na co spoglądała, zdawało się drzeć. W ciemności daleko przed nią, w gąszczu, rozbłysły okrągłe białe ślepie.

Teraz, gdy do Zimnego Księżyca zostały tylko dwa dni, magia demiurga była potężniejsza niż dotąd – i bardziej złowroga. Margaret czuła, jak wprawia jej skórę w wibracje niczym prąd.

„Ukryj się”, pomyślała. Powinna poszukać kryjówki.

Odbezpieczyła broń i chwyciła psa za obroź. Parę metrów dalej teren się obniżał, prowadząc do koryta wyschniętego strumienia, teraz wypełnionego suchymi liśćmi. Była to jedyna dostępna dla nich kryjówka – alternatywę stanowiło jedynie wsunięcie się do wypalonego pnia sekwoi. Gdyby jednak hala odnalazła ją tam, dziewczyna nie miałaby dokąd uciec.

– Kłopot, idziemy – szepnęła.

Zaczęła zsuwać się w dół skarpy. W pewnym momencie źle postawiła stopę i skręciła sobie lekko kostkę. W końcu znalazła się na dnie, pod plecami czuła chłód ziemi, buty grzęzły jej w błocie i czarnej wodzie, która zalała je niczym krew sącząca się z rany. W wypełnionej szelestem liści ciszy słyszała przeraźliwie szybkie bicie swojego serca i ciężki oddech ogara. Delikatnie zamknęła mu pysk dłonią. Kiedy psiak popatrzył na nią z wyrzutem, odchyliła głowę do tyłu, uciekając przed jego spojrzeniem.

Wreszcie zapadła całkowita cisza.

Odetchnęła z ulgą – i w tej samej chwili poczuła fetor rozkładu, którego długie palce skradały się w dół skarpy. Rozpad traw ziemię błyskawicznie niczym ogień rozpałkę – albo jak zgnilizna atakująca

przejrzały owoc. W zagłębieniach ziemi zbierał się lśniący płyn, który ściekał coraz niżej i kapał jej na głowę.

*Tutaj.*

Musiła ugryźć się w język, bo inaczej załkałyby na głos. Kolejny trzask łamanej gałęzi. *Caput mortuum* ciekło jej na głowę niczym popiół z trawionego pożarem lasu.

„Proszę, idź sobie – zaklinała w myślach. – Proszę, proszę, proszę”.

W końcu zebrała się na odwagę i spojrzała w górę. Bestia wpatrywała się prosto w nią. Margaret poderwała się z ziemi i wbiła plecami w skarpę. Krzyk uwiązał jej w gardle. Hala stała nad nią całkowicie nieruchomo, za to drzewa zdawały się odchyłać jak najdalej od niej, czemu towarzyszyły jęki i trzaski, jak w nierozciągniętych ludzkich stawach. Mlecznobiałe ślepie demiurga zdawały się studniami bez dna. Margaret czuła, jak wsysają ją coraz głębiej, aż wszystkie jej myśli skryzalizowały się w jeden potworny, metaliczny pisk.

Hala wyszczerzyła zęby. Kłopot warknął ostrzegawczo.

– Kłopot, noga!

Przez chwilę Maggie mocowała się z oporną strzelbą, choć wiedziała, że w starciu z halą równie dobrze mogłaby być uzbrojona w gałązkę – efekt byłby taki sam. Jaką szkodę mogła wyrządzić demiurgowi niewzmocniona alchemicznie kula? Poza tym księżyc nie był jeszcze w pełni, a tym samym hali nie dało się pokonać. Chociaż, jak rozumowała Margaret, jeśli będzie beczynn timer czekać, zginie – a co wtedy pocznie Wes? Przeklinając pod nosem, zbliżyła lunetę strzelby do oka. Nacisnęła spust i kula przeszła bark lisa, chybiając o centymetr od kluczowego punktu. Trafiona hala nie wydała z siebie żadnego dźwięku, nawet nie krwawiła. Margaret zauważyła jednak, że ciałem bestii wstrząsnął potężny dreszcz, jakby jej kości zmieniały ułożenie pod skórą.

Maggie zatoczyła się do tyłu i potknęła o wystający korzeń. Wylądowała na ziemi, rozpryskując zimną wodę ze strumienia. Nim się spostrzegła, Kłopot piął się już po skarpie, poszczekując i tocząc pianę.

Odniosła wrażenie, że hala nie wykonała żadnego ruchu. Po prostu stała nieruchomo, a ułamek chwili potem już jej nie było.

Dostrzegła ją dopiero, gdy zanurzała kły w barku ogara. Pies zaskomlał, rzucił się w bok i zaraz upadł na ziemię.

– Kłopot!

Mimo że ręce jej się trzęsły, nadal trzymała halę na muszce. Kierowana czystym instynktem, naciskała spust raz za razem, dopóki nie opróżniła magazynka.

A kiedy dym się rozwiął, po hali nie było śladu. W powietrzu unosiło się tylko parę białych kłaków z jej futra. Margaret dzwoniło w uszach, przez las przetaczał się grom zbliżającej się burzy. Dlatego w pierwszej chwili nie wiedziała, czy to ona łka, czy skomli Kłopot.

*Kłopot...*

Kiedy do niego dobiegła, nie ruszał się. Jego ruda sierść wyglądała niczym plama krwi w trawie. Rzuciła na ziemię sztucer.

– Nie, nie, nie...

Zbliżyła się na czworakach do psa, powtarzając to jedno słowo niczym modlitwę. Nigdy dotąd Bóg nie wysłuchał jej prośb, choć błagała go ze wszystkich sił. Po tym, co spotkało jej matkę w pracowni, po całym złu, jakiego Maggie doświadczyła z powodu wiary swojego ojca, nie wiedziała już nawet, czy jakiś Bóg w ogóle istnieje ani czy obchodzi go ich los. Jeśli wierzyć katarystom, ludzie, w całej swojej niedoskonałości, są odbiciem niedoskonałego Boga. Dlaczego miałyby się nimi interesować? Jeśli jednak Bogu nie była obca dobroć, pozwoli jej zachować Kłopotą. Tylko jego – jedyną istotę, która naprawdę jest jej.

Oparła głowę o brzuch psa i załkała. Po chwili poczuła, jak pod jej uchem bok ogara unosi się z trudem. Srebrna ciecz i krew sączyły się z rany na barku, ale mimo to żył. Dzięki Bogu, żył. Rana była na tyle głęboka, że nie obejdzie się bez paru szwów, ale z tym poradzi sobie sama.

– Kłopot... – szepnęła. – Jak się czujesz?

W odpowiedzi pies niemrawo uniósł ogon i uderzył nim w ziemię. Po raz pierwszy od lat Margaret zaszlochała. Płakała z przepelniającego ją poczucia winy, strachu, ale też ulgi. Hala darowała Kłopotowi życie.

Zaczął padać deszcz, woda lała się z bezlistnych gałęzi. Po chwili usłyszała jakieś trzaski nieopodal. Coś, co nadchodziło, było zbyt niezgrabne i robiło wokół siebie za dużo hałasu, aby mogła to

być hala. Brzmiało jednak raczej jak stado jeleni pędzących przez las i tratujących wszystko na swej drodze.

– Margaret!

To Wes.

– Margaret?

Zanurzyła nos w sierści Kłopoty. Teraz, gdy była cała obolała i gdy obnażyła przed nim swoją duszę, jedyną emocją, jaka w niej pozostała, był mały uparty gniew. Złość za to, że odkrył pracę jej matki. Za to, że sama była zbyt wielkim tchórzem, by mu zaufać albo choćby zmierzyć się z jego współczuciem. Złość na siebie za to, że nie potrafiła już dłużej ukrywać uczuć. Teraz, gdy wszystko wokół się waliło, jakim cudem miałyby zachować mury, za którymi się skryła? Nie chciała już dłużej się za nimi chować.

Nie chciała dłużej żyć sama.

– Tu jestem... – zawołała cicho. – Tutaj.







iedy Wes puścił się biegiem w stronę, z której dolatywał głos Margaret, wyobraźnia podsuwała mu najstraszniejsze wizje: widział tę bestię, jej mordercze ślepia. Widział, jak zatapia kły w szyi dziewczyny. Złociste włosy Margaret w kałuży krwi. Strach i furia sprawiały, że ledwo widział na oczy. Jeśli stało jej się coś złego...

Nie, niemożliwe, żeby znowu stracił kogoś, na kim mu zależy.

Dyszząc ciężko, pędził na złamanie karku przez las. Wreszcie wypadł na polankę i ujrzał ją klęczącą na ziemi. Obejmowała ramionami Kłopotą, strzelba leżała na dnie strumienia. Podniósł broń, po czym zaniósł ją dziewczynie i położył obok.

– Margaret. – Sam przestraszył się swojego głosu: zachrypniętego, podszytego desperacją. – Dzięki Bogu jesteś cała. Tak się...

Kiedy odwróciła się do niego, spoglądała z czułością, która go zaskoczyła.

– Co ty tu robisz? – spytała. – Tu jest niebezpiecznie.

– Otóż to!

W ciągu ostatnich trzech tygodni widział, jak Maggie raz za razem się wycofywała. Miał już serdecznie dosyć godzenia się na to, że go od siebie odpychała. Nie chciał dłużej beczynnie przyglądać się temu, jak tonie.

– Słyszałem, że strzelałaś. Co się, do diabła, stało? Dlaczego uciekłaś?

Kolejny grzmot. Margaret nie odpowiadała.

Uklęknął przy niej i wzdrygnął się, gdy jego nogi zanurzyły się w błocie. Dopiero wtedy zauważył, że dziewczyna ma dłonie pokryte

jakimś bladym płynem, który błyszczał niczym pokruszone diamenty. *Coincidentia oppositorum*. Substancja sączyła się z rany w barku Kłopoty. Żołądek podszedł mu do gardła.

– Wylizę się z tego?

– Tak. – Margaret nerwowo głaskała psa po uszach. – Hala go ugryzła.

Nie tylko ugryzła, ale też przeprowadziła alchemiczną reakcję na psie. Mieli szczęście, że nie skończyło się to gorzej.

– Musimy wracać do domu. Myślę, że uda mi się uśmierzyć jego ból.

Mimo że deszcz padał coraz mocniej, Margaret się nie poruszyła. Kiedy patrzył na jej lśniąca od deszczu skórę i lepiący się do ciała przemoczony płaszcz, wydała mu się taka krucha. Zapragnął chwycić ją za rękę i potrząsnąć, sprawić, aby prysł czar, który najwyraźniej miał ją we władaniu. Pragnął wziąć ją na ręce i zanieść do domu, bo wtedy mógłby przynajmniej czuć na swojej piersi jej bijące serce. Jednak w tej chwili oddzielał ich cały ocean, którego on nie potrafił pokonać.

– Margaret – odezwał się cicho. – Ustaliliśmy już, że nie jestem zbyt rozgarnięty. Dlatego będziesz musiała mi to wyjaśnić jak dziecku. Złosisz się na mnie, a ja chcę się poprawić. Ale żeby to było możliwe, musisz ze mną rozmawiać. Proszę, porozmawiaj ze mną. Nie zamykaj się znowu.

– Wyglądałeś tak samo jak ona. Przez ostatnie kilka dni nawet tak samo się zachowywałeś. Zależy ci na abstrakcyjnych sprawach, twoich ideałach i ambicjach. Ale czy dostrzegasz ludzi, których masz przed sobą?

Jej słowa zaboląły, ponieważ mógł z łatwością sobie wyobrazić, że kieruje je do niego Mad. A to świadczyłoby o tym, że pewnie kryło się w nich ziarno prawdy.

– Oczywiście. Widzę ciebie.

Wzdrygnęła się, a Wes zrozumiał, że potrącił czułą strunę.

– Mówiłam ci już, że zrobię wszystko co w mojej mocy, by pomóc ci zrealizować twoje marzenia. Pamiętasz?

Wydarzenia tamtej nocy pamiętał niewyraźnie, jakby oddzielała go od nich mokra od deszczu szyba. Ale akurat to zapamiętał dobrze.

– Tak mi się wydaje.

– W takim razie posłuchaj mnie teraz uważnie: nic dobrego nie wyniknie z tego, na co natrafiłeś w tej księdze. Pragniesz pomagać ludziom, ale ta nauka przysporzy tylko zła na świecie.

– Skoro tego pragniesz, spalę wszystkie moje notatki, kiedy tylko wrócimy do domu. Nie dbam o swoje badania. Są dla mnie jedynie środkiem do celu, a celem jest zwycięstwo. Alchemia ma pomóc wygrać tobie, no i... Chyba wszystko popsuję. Przepraszam. Zapewnianie ci tego, czego potrzebujesz, raczej nie jest moją najsilniejszą stroną.

– To nieprawda, Wes – odparła, spoglądając stanowczo na Kłopotą. – Masz rację, krąg transmutacji, który narysowałeś, rzeczywiście wystarczy do zabicia hali. O ile mi wiadomo, ten rękopis, który wpadł ci w ręce, to jedyny zapis stosownej instrukcji.

Nie był pewien, czy chce poznać odpowiedź na pytanie, które cisnęło mu się na usta. Ciekawość jednak zwyciężyła.

– Wspomniałaś, że nie wiesz, czym było to coś, co twoja matka powołała do istnienia tamtej nocy. Ale co właściwie zamierzała stworzyć?

– Chciała uzyskać *prima materia*. Przeprowadziła część procesu, który uważała za drugi krok *magnum opus*. To, co ty chciałeś zrealizować, stanowiło pierwszy krok.

*Magnum opus*: wielkie dzieło. Proces umożliwiający stworzenie kamienia filozoficznego. Legenda głosi, że posiadający go alchemik zyskuje dar nieśmiertelności – i potrafi tworzyć materię z nicości, zupełnie jak Bóg.

– Jak rozumiem, wołałabyś, żeby nikt nie posiadał tej zdolności.

Przez chwilę był pewien, że dziewczyna znowu zamknie się w sobie. Spojrzenie, jakim go obrzuciła, znał już nazbyt dobrze. Momentami dziewczyna chce, żebyś ją gonił, a momentami oczekuje, że dasz jej spokój. I choć trudno było mu się z tym pogodzić, wiedział, że gdyby teraz kazała mu się odsunąć, posłuchałby jej.

– Zgadza się. Gotowa jestem zrobić wszystko, by do tego nie dopuścić. – Po chwili namysłu mówiła dalej: – Moja matka kiedyś była inna. Kiedy miałam około sześciu lat, mój brat zachorował i umarł we śnie. Matka rzuciła się wtedy w wir pracy naukowej. Cały czas poświęcała odtąd na poszukiwanie i tłumaczenie starożytnych

apokryfów. A gdy odnalazła *Mutus Liber*, w końcu zdołała odtworzyć proces tworzenia kamienia.

W większości tekstów alchemicznych temat kamienia filozoficznego funkcjonował na zasadzie przypisu – na wzmiankę o nim można było natrafić w bibliografii albo figurował na liście alchemicznych tematów zakazanych. Starożytni alchemicy poszukiwali *prima materia* – czyli boskiej iskry ukrytej w mroku tego, co materialne, jak określał to patetycznie jeden z nauczycieli Wesa – z tą samą werwą co święci asceci szukali zbawienia. Wychodzili oni z założenia, że uzyskanie na drodze destylacji owej boskiej substancji i stworzenie z niej kamienia filozoficznego będzie kluczem pozwalającym uciec z więzienia materii.

Nikomu dotychczas jednak się nie poszczęściło, a większość śmiazków postradała zmysły. Ostatecznie doprowadziło to do tego, że Kościół katarystyczny uznał alchemię za herezję, obrazę samego Boga.

Wes zaczynał rozumieć, dlaczego poszukiwanie kamienia mogło popchnąć człowieka ku otchłani. Nadzieja na zrealizowanie tego celu mogła się bowiem zrodzić wyłącznie w sercu człowieka wyjątkowo zdesperowanego albo złaknionego władzy.

– Sądziłem, że twoja matka wykaże się większym pragmatyzmem – ocenił Wes. – Większość ludzi uważa, że to zwyczajny mit. Dlaczego miałyby poświęcić temu swoje życie?

– Ponieważ wierzy, że w ten sposób zdoła przywrócić życie mojemu bratu.

– Co takiego?

Ale było to logiczne – skoro kamień teoretycznie mógł stworzyć wszystko, wychodząc z poziomu atomów, dlaczego nie miałby sprowadzić kogoś z zaświatów, czy bardziej precyzyjnie rzecz ujmując: odtworzyć go z pamięci? „Skoro nawet Bóg spaprał człowieka, czego lepszego spodziewać się po kamieniu?”, pomyślał gorzko Wes. Czy to, co mógłby stworzyć, byłoby w ogóle człowiekiem, czy raczej pozbawioną duszy skorupą? Masą cząsteczek węgla ułożoną w kształt twarzy jej brata?

– Stało się to jej obsesją. Podejrzewam, że Evelyn winiła się za śmierć syna. Coraz mniej jadła i spała, a w końcu przestała w ogóle opuszczać pracownię. Ojciec próbował chronić mnie przed tym, co

działo się z matką, ale chyba nie starczało mu sił, żeby poradzić sobie samemu. Odszedł i nigdy więcej go nie widziałam. Nawet nie napisał listu.

Jaki rodzic zostawiłby dziecko w takiej sytuacji?

– Margaret, nikt nie oczekuje od ciebie, że będziesz marnować życie, czekając, aż rodzice wrócą. Nie musisz dłużej tu mieszkać.

Dziewczyna zgięła się wpół. Na jej rzęsach perliły się krople, ale Wes nie wiedział, czy to łzy.

– Właśnie że muszę. Muszę wierzyć, że to, co stało się z moją mamą, da się jeszcze odwrócić; że ją odzyskam. Przecież nie mogę się od niej odwrócić. Ty byłbyś w stanie?

– Nie. Ale nie dlatego, że trzymam się kurczowo tego, kim kiedyś była.

– Robię to, bo ją kocham.

– Wiem o tym.

Było to kłamstwo. Nie mógł zrozumieć, skąd bierze się w niej ta miłość.

– Ale ona cię skrzywdziła.

– Nie zrobiła tego specjalnie. Nigdy nie wyrządziła mi krzywdy celowo.

Głos jej drżał. Deszcz wprawdzie ustawał, ale oboje zdążyli już przemoknąć do suchej nitki. Z włosów Margaret kapłała woda. Wargi miała blade, za to oczy błyszcząły jej gorączkowo.

– Nie wiem nawet, czy w ogóle pamięta tamtą noc, gdy próbowała przeprowadzić drugi etap procesu. Ja jednak nie umiem o tym zapomnieć. Za każdym razem, gdy coś mi o tym przypomni, mam wrażenie, jakbym znalazła się na nowo w tym pokoju. Przestaję wtedy istnieć, pozostaje tylko mój strach. Przepraszam, że to dzieje się na twoich oczach.

– Daj spokój. Nie przepraszaj, Margaret. To ja ciebie przepraszam.

Dopiero teraz spłynęła na niego ta okropna prawda. Wyrzucił sobie, jak mógł wcześniej nie dopatrzeć się w jej zachowaniu tego wzoru. Nigdy dotąd nie czuł się tak beznadziejny jak teraz. I nigdy słowo „przepraszam” nie wydawało mu się równie niewystarczające. Pragnął jej dotknąć, niczego nie pragnął bardziej, ale nie chciał ryzykować, że znowu ją spłoszy.

– Twoja matka, ona jest... zresztą lepiej ode mnie wiesz, w jakim jest stanie. Musisz zrozumieć, że to, co jej się przydarzyło, i to, co przytrafiło się tobie... To nie twoja wina. I nikt nie mógł od ciebie oczekiwać, że będziesz się nią zajmować. Byłaś wtedy dzieckiem. To tobą ktoś powinien się wtedy opiekować i tego właśnie zabrakło. Zasługujesz na to, by być kochaną.

Popatrzyła na niego, jak gdyby wypowiedział coś, co nie mieściło jej się w głowie.

– No, nie wiem. Zdarzały się dni, gdy wydawało mi się, że jestem niewidzialna. W końcu przekonałam samą siebie, że nie istnieję. Tylko temu zawdzięczam to, że nadal żyję.

– Margaret, wcale nie byłaś niewidzialna. I teraz też taka nie jesteś. Po prostu zrobiłaś, co było trzeba, żeby przetrwać.

Położył dłoń w błotnistej kałuży między nimi. Koniuszkami palców musnął jej dłoń.

– Nie uważam, żeby alchemia była zła ani dobra. Tak samo jak ludzie nie są źli ani dobrzy. Wydaje mi się, że jest we mnie coś takiego, zresztą to coś wspólnego dla nas wszystkich, co faktycznie może skierować nas na złą ścieżkę, gdy pojawią się sprzyjające okoliczności. Boże, kiedy umarł mój ojciec, gotów byłem zrobić wszystko, by sprowadzić go z powrotem. Niewykluczone, że gdybym wiedział wtedy o istnieniu kamienia, sam też spróbowałbym go stworzyć. Ale teraz już wiem, że ojciec odszedł, a ważni są ludzie, którzy zostali. Przysięgam ci, że nigdy ich nie opuszczę.

Modlił się w myślach, żeby Margaret domyśliła się tego, czego nie miał śmiałości wypowiedzieć: Nie opuszczę cię.

Kiedy milczała, odważnie dotknął jej dłoni, tak że ich palce się splotły. Margaret gwałtownie cofnęła rękę. Podniosła z ziemi strzelbę i wstała. Wes widział jednak, że coś w niej się łamie, niczym tama ustępująca pod naporem wody.

Wtem uniosła strzelbę i wycelowała mu prosto między oczy.

– Ejże, ostrożnie!

– Wiem, co robię.

Uniósł ramiona w geście kapitulacji, ale nadal klęczał u jej stóp.

– Przerażasz mnie.

– To dobrze.

Otwierał już usta, ale nagle zaniemówił. Chmury się rozstały, ukazując niesamowicie jasne, rozgwieżdżone nocne niebo. Pod księżycem, stojącym już niemal w pełni, z liści skapywały krople. Koniuszki włosów Margaret jaśniały srebrzyście. Cała dziewczyna zdawała się obleczona w księżycowy blask. Wydawała mu się teraz cudowniejsza, niż sobie roił w najśmielszych snach.

I wtedy uzmysłowił sobie, że Margaret płacze. Rękawem jednej ręki startła łzę, rozmazując ją na pokrytej błotem twarzy. Wyglądała przerażająco, dziko, niczym jedna z istot Sidhe. Jej widok był dla niego jak strzał prosto w pierś. Zabrakło mu tchu, zachwiał się na nogach. I to uczucie...

Nie chodziło tylko o to, że była przerażająca i dzika. Ani o to, że pożądał jej mimo jej pospolitości. Ani o to, że przyprawiała go o szaleństwo albo rzuciła na niego jakiś urok. Wszystko to było prawdą, ale dopiero teraz pojął, że kryło się pod tym znacznie więcej. Jak to możliwe, że był tak ślepy? Margaret Welty była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. I był w niej całkowicie, na zabój, zakochany.

Boże, no to teraz się wpakował.

– Powiedziałaś kiedyś, że nasze marzenia są splecione na śmierć i życie – stwierdziła Margaret. – Oto moje marzenie: chcę, żeby nigdy więcej na świecie nie było już alchemików jak Evelyn Welty.

– Nie jestem dość bystry, by móc się z nią mierzyć.

– Mówię teraz poważnie.

– Wiem. Przysięgam, że jeśli kiedykolwiek w mojej głowie postanie myśl, by porwać się na coś takiego jak twoja matka, sam sobie namaluję na czole tarczę, żebyś mogła mnie zastrzelić.

Podniósł się z ziemi i stanął niepewnie. Maggie nadal trzymała broń wycelowaną w jego czoło, on jednak chwycił za lufę. Trzymając metal, czuł wyraźnie, jak trzęsą się jej ręce. Ostrożnie i powoli opuścił ją na dół.

– W porządku?

Margaret rozluźniła ramiona. Maską oziębłości w mgnieniu oka opadła z jej twarzy. Strzelba wysunęła jej się z rąk i upadła na ziemię.

– W porządku.



Objęła go w pasie. Kiedy ich ciała się zderzyły, z ust Wesa dobył się jęk wyrażający zdumienie. Ale gdy wziął ją w ramiona, przyszło mu to z łatwością, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Jedną rękę położył jej na plecach i przyciągnął Maggie do siebie, drugą ujął głowę od tyłu, bawiąc się jej włosami. Przez przemoczoną koszulę poczuł ciepło jej ciała. Bicie jej serca. Z ustami przyciśniętymi do jej skroni, wdychał jej zapach – pachniała deszczem i ziemią.

Poczuł, że musi jej to wyznać. Teraz, gdy nieomal ją stracił, gdy trzymał ją w ramionach jak nigdy dotąd, nie miał już siły dłużej milczeć. Zrozumiał, że jego pragnienia daleko wykraczają poza to, o czym dotąd śmiał marzyć. Rozpaczliwie pragnął jej całej. Ale w tej chwili, dzieląc ją z Margaret, której nic już nie groziło, przytuloną do niego, nie potrzebował niczego więcej.





iedy Margaret uporała się z oczyszczaniem i szyciem rany Kłopotą, do pracowni zajrzał Wes, niosąc herbatę w dwóch ceramicznych kubkach. Wcześniej z grubsza osuszył ręcznikiem włosy, ale nadal były one wilgotne i rozczochrane. Kiedy na nie patrzyła, korciło ją, żeby go uczesać. Usiadł na podłodze obok niej i skrzyżował nogi. Z kubka z gorącą herbatą, który trzymał w rękach, unosiła się mieszanka zapachów: cynamonu, skórki pomarańczy i brązowego cukru.

– Dziękuję.

– Na zdrowie – odparł i wypuścił przez usta powietrze jak koń. – Margaret? – Nikt nie wymawiał jej imienia tak jak on – powoli, z rozmysłem, jak gdyby smakował każdą sylabę. Dziewczyna zamarła w oczekiwaniu. – Skoro rozmawiamy szczerze... – Umilkł i odchylił do tyłu głowę, jakby spodziewał się, że na suficie znajdzie potrzebne mu słowa. – Jeśli chodzi o mnie i Annette... Sam nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Wes, to nic – powiedziała, choć poczuła się fatalnie.

– Nie, to nie jest „nic”. Postępowałem w stosunku do was obu nie w porządku. – Postawił kubek na podłodze i splótł dłonie na kolanach. – Kiedy umarł mój ojciec, to było dla mnie jak trzęsienie ziemi. Moja mama została sama z piątką dzieci. Christine, która była najbardziej związana z tatą, zupełnie nie mogła się pozbierać po jego śmierci. Dlatego po pogrzebie Mad i ja postanowiliśmy, że oboje musimy zaopiekować się młodszym rodzeństwem. Dla mnie oznaczało to konieczność wyrzeczenia się w jakimś stopniu tego, kim dotąd byłem. Nie potrafiłem skonfrontować się z tym, jak bardzo mi

go brakowało. Uznałem, że muszę za wszelką cenę grać tego, który czuje się dobrze, być tym, o którego mama nie musi się martwić.

Kiedyś w rozmowie z nią wyznał: „Muszę podchodzić do tego na luzie, w przeciwnym razie oszaleję”. Zaczynała rozumieć, skąd brało się to przeświadczenie.

– Teraz to się na mnie mści, bo Mad wyobraża sobie, że niczego nie traktuję poważnie. Moja mama domyśliła się chyba, co próbowałem osiągnąć, ale... Oni są moją rodziną, dlatego całkiem nieźle wychodzi mi ignorowanie tego, co mają mi do powiedzenia, a czego ja nie chcę usłyszeć. Ale ty od razu przejrzałaś moje gierki. Przy tobie zacząłem tracić pewność siebie. A kiedy zobaczyłem cię dzisiaj tam, w lesie, wszystkie uczucia, przed którymi próbowałem się bronić, wróciły ze zdwojoną siłą. – Zamyślił się, ale po chwili mówił dalej: – Wiem, że wiele razy nawaliłem. Miałem wiele okazji, aby być z tobą szczerzy, i niemal wszystkie zaprzepaściłem. Zraniłem cię. Ty jednak nadal mi ufasz. Nadal otwierasz się przede mną. I popychasz mnie do tego, abym był lepszym człowiekiem.

Miała pustkę w głowie, nie umiała wydusić ani słowa.

Uśmiech, jaki zjawił się na jego ustach, był zarazem smutny, jak i pełen nadziei.

– Byłem głupi, co?

„Nie – pomyślała. – Ja byłam”.

Może powinna była już dawno to zrozumieć. Przecież dawał jej to do zrozumienia na wiele sposobów: widoczne to było w jego spojrzeniu; w jego osobliwym uniesieniu, gdy mierzyła do niego ze sztucera; w tym, jak raz za razem o nią walczył.

Tylko że ona wcale teraz nie chciała usłyszeć jego wyznania.

Zresztą czy w ogóle by mu uwierzyła? I czy cokolwiek to zmieni, gdy nadejdzie pora, że Wes będzie musiał na dobre opuścić Wickdon? Obawiała się, co się stanie, jeśli pozwoli rozkwitnąć temu nieśmiałości szczęściu w swoim sercu. Dopóki nie pozwoli mu nazwać rzeczy po imieniu, nie będzie ryzykować, że to straci – że straci jego.

– Nie – szepnęła.

Widziała w jego twarzy, jak ulga walczy z rozpaczą. Nie miała pojęcia, które z tych uczuć zwyciężyło. Ostudzenie jego zapału okazało się bardziej bolesne dla niej samej, niż sądziła. Zdawała

sobie jednak sprawę, że gdyby odpowiedziała teraz na jego wyczekujące spojrzenie, byłoby to równoznaczne z wyznaniem. Odniosła zarazem wrażenie, że Wes znalazł w jej spojrzeniu to, czego szukał.

– No tak. Do gonu zostały tylko dwa dni, to jest teraz ważniejsze – powiedział, rozluźniając twarz. – Nie mamy szans, prawda?

Tak. O ile, rzecz jasna, nie zdecydują się na najbardziej oczywiste rozwiązanie.

– Nie – odpowiedziała. – Nadal nie wszystko stracone.

– Co masz na myśli?

Margaret z herbatą podeszła do biurka matki i z najwyższej szuflady wyciągnęła plik kartek. Niżej, pod dnem, znajdowała się skrytka. Drżącymi rękami zdjęła z szyi łańcuszek i chwyciła powieszony na nim klucz. Wsunęła go do zamka, po czym odsunęła drewniane wieko skrytki.

W środku znajdował się dziennik w skórzanej oprawie. Na jego kartach opisano brakujący element kręgu transmutacji – był to ostatni sekret jej matki. Evelyn wtajemniczyła córkę w miejsce jego przechowywania i pouczyła, aby w przypadku jej śmierci zniszczyła dziennik. Oznaczałoby to, że zabierze do grobu dzieło swojego życia. Evelyn uważała zapewne, że na świecie nie ma alchemików, których intencje byłyby na tyle czyste, by zasługiwali na kamień filozoficzny.

Ale Wes był inny.

Margaret starła dłonią kurz z okładki, zszytej złotą nicią, ozdobionej pięknym wytłaczanym rysunkiem uroborosa w kolorze krwistoczerwonym. Kiedy zbliżała się do niego z tomem, patrzył z zaciekawieniem. Jego twarz częściowo skrywały kłęby pary z trzymanego przez niego kubka z herbatą.

– Co to?

– Wspomniałeś, że wydaje ci się, że czegoś brakuje w narysowanym przez ciebie kręgu transmutacji. Miałeś rację. To kompletna wersja notatek mojej mamy. Znajdziesz tu wszystko, czego potrzebujesz. Zawarte tu informacje to instrukcja, jak przeprowadzić transmutację, która pozwoli uśmiercić demiurga.

Wes z wrażenia rozchylił usta.

– Nie. Po tym wszystkim, co mi powiedziałaś, nie mogę tego przyjąć.

– Musisz.

– Nie, wcale nie muszę.

– W takim razie ja chcę, żebyś to wzięła – oświadczyła, trzymając dziennik w wyciągniętej ręce. – Nie mogę karać cię za moje własne lęki. Nie mogę dopuścić do sytuacji, że twoja rodzina ucierpi tylko dlatego, że byłam zbyt wielkim tchórzem, żeby ci zaufać. Jeśli istnieje choćby nikła szansa na zwycięstwo, uważam, że powinniśmy spróbować.

– Naprawdę jesteś gotowa mi zaufać?

– Tak – odparła, przyciskając mu tom do piersi.

Wes z ociąganiem wzięła go od niej.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę po prostu wyryć kręgu transmutacji na naboju? Wzoru nie da się aktywować z daleka.

Wolałaby uniknąć zabijania demiurga w walce w zwarciu. Ale skoro nie było innej możliwości, powinna sobie z tym poradzić.

– W porządku. Jeśli umieścisz go na nożu myśliwskim, zrobię to własnoręcznie.

– Wiesz, jak przeprowadzić transmutację? Bo jeśli nie...

Wówczas to on musiałby zadać ostateczny cios. Na myśl o tym, że Wes znajdzie się blisko tej bestii, Margaret obleciał strach.

– Nie możesz. Hala cię rozszarpie.

– Nic mi nie będzie – zapewnił.

Wypowiedział te słowa właściwym sobie beztróskim tonem, ona jednak wyraźnie słyszała, że się boi.

Ukucnęła przy nim, a po chwili już oboje klęczeli na środku pokoju. Podłoga w tym miejscu kryła ślady po nieudanym kręgu transmutacji stworzonym przez jej matkę. Margaret od początku wiedziała, z czym wiąże się gon. Nigdy nie obawiała się śmierci. Teraz jednak, na niespełna czterdzieści osiem godzin przed rozpoczęciem zawodów, wszystkie najbardziej katastrofalne scenariusze nabrały nagle przerażającej realności.

Mogła przegrać. A co gorsza – mogła stracić jego.

– To szaleństwo.

– Możliwe – odparł, spoglądając jej w oczy. – Naprawdę chcesz to zrobić? A co, jeśli twoja matka nie wróci?

– Znajdziemy ci innego nauczyciela...

– Nie dbam o to – powiedział łagodnym głosem. – Ale co to będzie oznaczać dla ciebie?

Perspektywa taka wydawała jej się zbyt okrutna, by w ogóle ją rozważać. Ale minęły już niemal cztery miesiące, odkąd wyjechała. Obiecała, że wróci o wiele wcześniej. Chociaż może w końcu została zwolniona z obowiązków, jakie ją tam zatrzymały.

– Jeśli nie wróci, trudno. Chcę to zrobić dla twojej rodziny. Dla nas.

Zupełnie go zamurowało. Emocja, której ona nie pozwalała mu nazwać, sprawiła teraz, że spojrzenie mu się zamgliło. Ale trwało to tylko ułamek chwili, bo zaraz odwrócił się od niej i zaczął trzeć pięściami oczy.

– Po ostatnim zamiataniu strasznie tu dużo kurzu w powietrzu, prawda?

– Tak – odparła, kładąc mu dłoń na plecach.

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Margaret obserwowała, jak jego ramiona się unoszą, a po chwili opadają. Chłopak powoli brał się w garść. Kiedy znów na nią spojrzał, rzęsy miał wilgotne.

– No to popatrzmy, co zostawiła twoja mama.

Położył dziennik na podłodze i z pełną bojaźnią wciąż przewrócił pierwszą stronę. Kiedy Margaret zobaczyła znajomy, nerwowy charakter pisma swojej matki, momentalnie zaschło jej w ustach. Wes zerknął tylko na tekst i parsknął śmiechem.

– Twoja matka ma chyba dość osobliwe poczucie humoru – stwierdził gorzko.

– To znaczy?

– To wszystko jest pisane szyfrem. I to całkowicie innym niż ten, z którym wcześniej zapoznałem się w księdze. Przykro mi. W niczym mi to nie pomoże. A ty dokąd?

Margaret wzięła pióro z biurka, następnie wyrwała mu z rąk tom. Ostrożnymi, niepewnymi pociągnięciami nakreśliła pojedyncze słowo z języka Yu'adir.

Kiedy oddała mu dziennik, Wes powiódł palcami po stronie.

– Co to takiego?

– Wielki szyfr. Język, którym Bóg powołał świat do istnienia.

Davar.

Całą noc spędzili w bibliotece, mozolnie, strona po stronie, tłumacząc zaszyfrowane zapiski w dzienniku Evelyn. Spali mało, raz tylko Margaret otworzyła oczy i zorientowała się, że głowa jej opadła na blat biurka, a tuż przed sobą ma twarz śpiącego Wesa. Naszła ją w tamtej chwili wielka ochota, żeby dotknąć miękkiego zarysu jego brody i odgarnąć mu włosy z czoła. Potrzeba ta tylko się nasiliła, gdy przebudził się gwałtownie i posłał jej zaspany uśmiech. Popatrzył wtedy na nią w taki sposób, jakby chciał powierzyć jej najpiękniejszy sekret.

Pracę skończyli dopiero o świcie. Uzyskali zestaw symboli i instrukcję, jak ułożyć je w kręgu, zamkniętym w innym kole, utworzonym przez węża pożerającego własny ogon.

– Powinnaś się przespać – powiedział. Zaczął ostrożnie wyrysowywać krąg na uchwycie jej noża myśliwskiego. – Dokończę samemu.

Ale ona wcale nie chciała go zostawiać. Miała poczucie, jakby tej nocy zadzierzgnęła się między nimi jakaś niewidzialna, niedająca się zerwać więź. Zrobiła jednak, o co prosił. Zmęczenie dawało jej się we znaki. Musiała wypocząć przed gonem, który miał się rozpocząć nazajutrz.

Kiedy obudziła się wiele godzin później, przywitał ją szmer deszczu. Niebo zasnuły chmury tak gęste, że nie potrafiła odgadnąć pory dnia. Wesa zastała na dole, w pokoju dziennym, siedział przygarbiony przy stoliku do gry w karty. Wokół niego piętrzyły się chwiejne stosy sporządzonych przez nich wcześniej notatek.

– Która godzina?

Spojrzał na nią zaskoczony. Oczy miał zmęczone.

– Dochodzi szesnasta.

Margaret nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz zdarzyło jej się tak późno wstać z łóżka.

– Przespałeś się w ogóle?

– Chwilę.

Obracał w dłoniach nóż myśliwski. Ostrze błyskało bielą, srebrem, znów bielą. Po chwili Margaret mogła dojrzeć w nim swoje odbicie. Chłopak podał jej nóż.

– Gotowe.



Rysunek na uchwycie noża został naniesiony z zapierającą dech w piersi precyzją. Każda z łusek na ciele uroborosa była pokryta krwistoczerwoną farbą. W jej rękach była to niebezpieczna broń. W rękach alchemika stawała się czymś na podobieństwo boskiego oręża. Mimo to Margaret nadal nie mogła uwierzyć, że spogląda teraz na broń zdolną uśmiercić halę; że przedstawione tu symbole oznaczają to, z czego składa się ta mityczna bestia – i co Wes będzie starał się za pomocą swojej magii obrócić w popiół. Po kolei wodziła delikatnie palcem po każdym z symboli.

– Jak się czujesz? – spytał Wes.

– Dobrze – powiedziała, odkładając nóż na stół. – A ty?

– Padam ze zmęczenia. No i dopadła mnie lekka trema. Ale jestem gotów.

Oboje zdawali sobie sprawę, że ich uczucia są w tej chwili bardziej skomplikowane. Ale Margaret wiedziała, że oboje w stopniu mistrzowskim opanowali sztukę czytania między wierszami.

– To co, może teraz spalimy dowody? – zaproponowała.

Podczas gdy Wes zbierał kartki z notatkami, Margaret rozpałała w kominku. Kiedy płomienie zaczęły lizać kamienne brzegi paleniska, ukucnęła i przez chwilę rozkoszowała się bijącym od niego ciepłem.

– Tobie pozostawiam ten zaszczyt – oświadczył Wes, wręczając jej plik papierów.

Zawahała się tylko chwilę, po czym wrzuciła papiery do kominka. Kartki, witane przez buzujący i syczący ogień, najpierw rozsypały się na wszystkie strony niczym suche liście na wietrze, ale zaraz potem zaczęły czernieć. Wes stał z rękami w kieszeniach, z jego twarzy, na którą padał ruchliwy blask płomieni, nie dało się niczego wyczytać. Margaret odetchnęła swobodniej, dopiero gdy ostatnie strzępy papieru zamieniły się w popiół i uleciały z dymem.

– I co teraz? – zastanowiła się.

– Teraz musimy to uczcić.

– Co takiego?

– Dobrze słyszałaś. Będziemy świętować.

Wes podszedł do miejsca, gdzie stał stary, zakurzony gramofon jej ojca.

– No wiesz, odprężymy się, zrelaksujemy. Skoro to nasza ostatnia noc na tym świecie, powinniśmy z niej korzystać.

– To nie jest zabawne.

– Ależ jest.

Przez chwilę szperał w tekturowym pudle, dopóki nie znalazł płyty gramofonowej. Położył ją na talerzu obrotowym i ostrożnie opuścił igłę. Rozległy się trzaski, z których wyłoniły się łagodne dźwięki waltorni. Natychmiast rozpoznała ten utwór – ojciec za nim przepadał.

– Czy ty w ogóle wiesz, jak się zrelaksować?

Margaret zrobiła kwaśną minę. Wydawało mu się, że jest taki cwany.

– Jasne, że wiem. Tyle że bardzo to sobie komplikuję.

– No to czekam. Zrób tak, żebyś się odprężyła – zażądał z szelmowskim błyskiem w oku. – Chyba że wolisz ze mną zatańczyć?

Mowy nie ma, nigdy z nim nie zatańczy. Popatrzyła na chłopaka wilkiem. Siedziała teraz przycupnięta na brzeжку fotela.

– Tu mi wygodnie – oświadczyła.

– Świetnie.

Pogasił wszystkie światła, z kąta pokoju przyprowadził barek na kółkach. Po chwili z triumfalnym uśmiechem zaprezentował butelkę szkockiej whisky. Siedząc w tym pokoju, słuchając muzyki i widząc, jak Wes odkorkowuje butelkę wykwinetnego alkoholu, po którą jej ojciec nigdy nie wrócił, nie umiała uciec przed zaprawioną goryczą nostalgią. Wes posłał jej jeden z tych swoich głupkowatych, chłopięcych uśmiechów. A ona mimo woli uśmiechnęła się do niego.

– Czy życzy sobie pani coś do picia, madame? – spytał pompatycznie.

Margaret odkryła, że jej wcześniejsza rezerwa powoli ustępuje. Może jakoś to zniesie, dopóki on będzie przeganiał złe wspomnienia.

– Owszem.

Nalał do dwóch szklanek whisky. Trunek połyskiwał bursztynowo na dnie, skrząc się w blasku kominka. A kiedy wręczył jej jedną szklankę, Margaret owionął znajomy, budzący trudne wspomnienia, aromat. Ziemisty i dymny.

– Od lat nie miałam whisky w ustach.

– I przez cały ten czas trzymałaś tu taki skarb. Nie przestajesz mnie zadziwiać.

– No dobrze, raz się napiłam. A ty kosztowałeś kiedyś takiej whisky?

Wes usiadł na sąsiednim fotelu, nogi wyciągnął przed siebie i oparł stopy na stoliku kawowym.

– Ależ skąd. Ta butelka jest warta więcej niż całe moje życie. Ale bardzo mi miło, że najwyraźniej zrobiłem na tobie wrażenie gentlemiana, sączącego szkocką whisky, a nie tanie piwo.

Margaret westchnęła z udawanym rozdrażnieniem. Zakręciła szklanką, wprawiając trunek w ruch, i nagle poczuła, jak dziwaczna jest cała ta sytuacja. Miała wrażenie, jakby przez okno podglądała jakąś inną Margaret, wiodącą szczęśliwe, dostatnie życie, którego sama sobie odmawiała nawet w marzeniach. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że mogłaby żyć poza cieniem rzucanym przez matkę – ani że w ogóle chciałaby takiego życia.

A tu proszę bardzo – siedziała skąpana w ciepłym blasku kominka, tonąc spojrzeniem w piwnych oczach Wesa. Była to niemal romantyczna scena. Kiedy już miała dać się ponieść fali wzruszeń, chłopak nachylił się do niej i spytał:

– Może wzniesiemy toast?

– Za co?

– Za zwycięstwo.

Stuknęli się szklankami. A kiedy pili, Wes przyglądał jej się znad krawędzi szklanki z wyrazem twarzy, którego nie umiała rozszyfrować. Poczowała, jak wzbiera w niej przyjemne napięcie.

– No co? – spytała.

– Nic – odrzekł głosem ciepłym niczym trunek rozlewający się po jej brzuchu.

– To nie w twoim stylu, tak milczeć.

– Robię to tylko dlatego, że mnie o to prosiłaś. Nie chcę cię do niczego zmuszać. Ale cierpię, ilekroć na mnie spojrzysz, bo widzę dokładnie, co byś odpowiedziała.

Zdecydowanym ruchem odstawił szklankę na stolik. Zmarszczył brwi i przyglądał się jej, wyraźnie skonsternowany.

– Dlaczego nie chcesz, żebym to powiedział?

Margaret nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś powiedział, że ją kocha. Na samą myśl o tym słowie robiło jej się słabo. Miała wrażenie, że wpada ono na samo dno jej brzucha, pobrzękując

głucho. Obawiała się, że sprawi mu przykrość, gdy w jej spojrzeniu odnajdzie powątpiewanie. Bała się też tego, że gdy będzie próbowała odpowiedzieć na jego wyznanie, głos jej się załamie i zamiast mówić, wybuchnie płaczem. Układ, w jakim trwali teraz, był dla niej optymalny – zależało im na sobie, ale wystrzegali się górnolotnych deklaracji. Pozwalało im to pozostać w stanie swoistego zawieszenia, nie musieli niczego ryzykować.

Miłość napawała ją przerażeniem. A mimo to zależało jej na tym, aby go nie zrazić do siebie. Zwłaszcza teraz, gdy z jego spojrzenia wзираła tak wielka desperacja i gdy ona nie chciała, żeby przestał się o nią starać.

– Ponieważ nie chcę sytuacji, gdy będę musiała nazwać cię kłamcą – odrzekła po długim namyśle.

– W porządku, mogę tego nie mówić, jeśli to zrobi ci jakąś różnicę.

Margaret poczuła tępy ból w klatce piersiowej, ale wrażenie zaraz ustąpiło, niczym atrament rozpuszczony w wodzie. Twarz jej płonęła, co było pewnie zasługą alkoholu. Wypiła tylko odrobinę, ale najwyraźniej wystarczyło.

– Wydaje mi się, że tak.

Siedzieli obok siebie na wyciągnięcie ręki, ale jej wydawało się, że dzieląca ich przestrzeń jest ogromna. Chłopak przypatrywał jej się ze swojego fotela niczym kojot, wygłodniały i płochliwy. Wstał i nim się spostrzegła, ona też stała. Jednym zdecydowanym krokiem skrócił dystans i chwycił ją w tali. Napierał lekko, zmuszając ją, by się cofała, dopóki pośladekami nie zderzyła się z sekretarzykiem niedaleko okna. Kiedy ją uniósł, Margaret strąciła z blatu zaścielające go książki i kartki. Pospadały na podłogę. Towarzyszył temu głuchy stukot, którego praktycznie nie zarejestrowała.

Posadziwszy ją na stole, rozsunął jej kolana i stanął między nimi. Wyczuwała bijący od niego żar. Dosłownie pożerał ją wzrokiem, ale już po chwili drapieżność jego spojrzenia ustąpiła miejsca cichej czci. Jego twarz skąpana w blasku kominka była złota, a tęczęwki przybrały barwę mocnej herbaty. Mogła w nim teraz czytać jak w otwartej księdze. Niczego już przed nią nie udawał, nie popisywał się, nie starał się zrobić na niej wrażenia.

Teraz to był po prostu on – żarliwy i tylko jej.

Poczuła łaskotanie motyli skrzydeł w brzuchu, gdy chłopak zdjął spinkę, którą miała spięte włosy, pozwalając opaść im luźno na ramiona. Wplótł w nie palce i pocałował ją najpierw w czoło, a potem w nos. Kiedy jego wargi musnęły jej usta, zrobił to z taką delikatnością, że oddech zamarł jej w piersi.

W rzeczywistości okazał się znacznie delikatniejszy niż w jej fantazjach. Obchodził się z nią wręcz z nabożną czcią, jakby się lękał, że jeśli nie zachowa najdalej posuniętej ostrożności, Maggie rozpadnie się na kawałki albo rzuci do ucieczki. Jego dłonie ześlizgnęły się z jej brody i poczęły sunąć w dół żeber, by zatrzymać się dopiero na kolanach. A każdy centymetr jej ciała płonął pod jego dotykiem. Wes gładził ją teraz po udach, zakreślając na nich kręgi, a każdy z nich był bardziej nęcący niż poprzedni, przyprawiał ją o zawroty głowy i rozpalał żądzę, która napawała ją przerażeniem. Tak długo czekała na ten moment. Było dokładnie tak, jak zapowiedział.

Wcale nie potrzebował słów, by powiedzieć jej o tym, co do niej czuł.

– Wes... – szepnęła głosem nabrzmiałym od emocji.

Skorzystał z okazji, że uchyliła usta, i jego język błyskawicznie wślizgnął się do środka. Smakował dokładnie tak, jak sobie wyobrażała: czarną kawą i szkocką whisky. Nie spieszył się z pocałunkami, jakby pragnął jak najdłużej ją podreńczyć, a sobie dawał czas na poznawanie jej ciała. Jego zabiegi, zamiast rozładować napięcie wzbierające wewnątrz niej, dodatkowo je potęgowały, przez co zaczynała odchodzić od zmysłów. Tygodnie sycenia się fantazjami pozbawiły ją cierpliwości i ogołociły z racjonalnych myśli. Kiedy złapała go za włosy, jęknął i poczuła, jak jego głos rezonuje w jej klatce piersiowej. Ta osobliwa, nowo zdobyta władza ją ośmieliła.

Jej dłonie powędrowały w dół jego torsu, brzucha, w końcu odnalazły zimny metal sprzączki paska. Przez chwilę majstrowała przy niej, wreszcie ustąpiła, podzwaniając niczym kostki lodu w szklance. Jednak nie dane jej było długo cieszyć się tym triumfem. Teraz, gdy już pokonała tę przeszkodę, nie miała pojęcia co dalej. Wes odchylił się do tyłu i znowu pożerał ją wzrokiem. Miała wrażenie,

że jest przerażony, a równocześnie nie może się doczekać tego, co dalej.

– Wiesz... – odezwał się zachrypniętym z pożądania głosem i równocześnie spiekł raka. – Chyba powinnaś wiedzieć, że ja jeszcze nigdy dotąd...

– Ani ja.

Pociągnęła go za klapy marynarki i wpiła się ustami w jego wargi. Odwdzieczył jej się kolejnym zmysłowym pomrukiem i przygarnął ją bliżej. Przytrzymał ją teraz za plecy jedną ręką i napierał biodrami. Wolną ręką odszukał brzeg jej spódnicy i zadart ją do góry. Margaret poczuła, jak lodowate powietrze w pokoju oblewa jej gołą skórę. A kiedy jego palce wślizgnęły się między jej uda, z jej ust dobył się dźwięk, którego nigdy by się po sobie nie spodziewała. Wes uśmiechnął się z satysfakcją, nie odrywając ust od jej warg. Pyszałkowaty drań.

I właśnie wtedy zaszczekał Kłopot.

Margaret się wzdrygnęła. Ich zęby zadzwoniły o siebie. Ktoś przekręcał klucz w zamku frontowych drzwi.

Wes odskoczył jak oparzony. Groza w jego spojrzeniu dorównywała tej, która w tej chwili załęgła się w jej sercu. Tylko jedna osoba miała klucz do dworu Welty.

Znaczyło to, że Evelyn wróciła.





ylwetka Evelyn Welty wystrojonej w wyprasowaną garsonkę odcinała się ciemną bryłą na tle wypełnionego ciepłym, miękkim światłem pokoju dziennego. Choć kobieta była przeraźliwie szczupła, jej obecność zdawała się rozsadzać pomieszczenie. Kiedy Wes otrząsnął się z szoku, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mu się w oczy, było uderzające – i niepokojące – podobieństwo Evelyn do Margaret. Złociste włosy nosiła upięte z tyłu głowy, oczy, które spoglądały na niego zza szkieł okularów, były równie okrągłe jak te córki. O ile jednak tęczęwki Margaret miały kolor whisky, te matki kojarzyły się raczej z ciemnym, mocnym rumem. W jej twarzy odbiła się cała gama emocji: początkowe zaskoczenie ustąpiło miejsca wstrętowi, a ten z kolei zmienił się w gniew.

Wes próbował spojrzeć na tę scenę oczami kobiety. Margaret, nadal przycupnięta na skraju sekretarzyka, z potarganymi włosami. On, w stroju równie jak ona niestaranym, gorączkowo majstrujący przy rozpiętym pasku. Wesoła melodia wygrywana na gramofonie. Rozpalony kominek i dwie szklaneczki, w których lśniła whisky.

Nawet on musiał przyznać, że wszystko to wyglądało dość niedwuznacznie.

– Mistrzynie Welty – wydusił z siebie.

W tej samej chwili Margaret jęknęła:

– Matko.

Evelyn zaniemówiła na ich widok, ale Wes widział, że zagotowało się w niej z gniewu. Czuł na swoim karku jego ostrze niczym topór kata. Stało się jasne, od kogo Margaret nauczyła się



mierzyć mężczyznę takim spojrzeniem – jakby chciała obedrzeć go żywcem ze skóry.

Margaret zrobiła się blada jak ściana. Mimo że ogień w kominku dawał sporo ciepła, nagle zaczęła głośno szcząć zębami. Dla Wesa cała ta sytuacja była żenująca, ale wstyd szybko zalał lodowaty strumień wściekłości, bardziej mrocznej niż toń morza.

Miał ochotę wrzasnąć: Gdzieś ty była przez cały ten czas?! Dlaczego zostawiłaś córkę samą?!

– Wynoś się – wyrzuciła z siebie Evelyn. – Natychmiast!

Odezwała się do niego tonem, jakim mogłaby zwracać się do bezdomnego psa. Wes schował jednak dumę do kieszeni. Wiedział, że nie wolno mu tracić panowania nad sobą. Przeczesał dłonią włosy, ale szybko zrozumiał, że po tym, co zrobiła z nimi Margaret, raczej nie może liczyć, że zaprowadzi na swojej głowie choćby względny ład.

– Pani Welty, chętnie wszystko wyjaśnię. Nazywam się Weston Winters i jestem...

– W nosie mam, kim jesteś. Jak dla mnie możesz być nawet prezydentem, niczego to nie zmienia. Zabieraj się z mojego domu.

Evelyn kopnięciem zamknęła za sobą drzwi. Kłopot zaczął chyłkiem przemykać się pod ścianami pokoju, poszczekując i wymachując nerwowo ogonem.

Margaret, która otrząsnęła się z pierwszego szoku, uciszyła psa i zeskoczyła z sekretarzyka. Gdy się odezwała, głos miała cichy, jakby dobiegał z dużej odległości:

– Weston chciałby u ciebie terminować. W mieście nie znalazł dla siebie żadnej kwatery, dlatego zamieszkał u nas.

– Zamieszkał u nas – powtórzyła jak echo Evelyn.

Dziwna obojętność jej głosu przeraziła go bardziej niż wyczuwalna w nim przed chwilą wściekłość. A kiedy wybuchła pozbawionym wesołości śmiechem, jego brzmienie zmroziło mu krew.

– Pozwoliłaś obcemu człowiekowi wprowadzić się do domu pod moją nieobecność? Naprawdę jesteś aż taka naiwna?

Margaret wzdrygnęła się, słysząc pogardliwy ton matki. Na oczach Wesa zachodziła osobliwa przemiana – jak gdyby Maggie stawała się coraz mniejsza, znikąca. Temperament, zuchwałość

dziewczyny, z którą przed chwilą się całował, zaciekleść tej, która mierzyła do niego ze sztucera – wszystko to w ułamku chwili zniknęło bez śladu.

– Jeśli chodzi o ciebie... – zwróciła się do Wesa, przerwało jej jednak szczeknięcie. – Kłopot, cicho bądź!

Pies warknął, ale w końcu posłusznie zwinął się w kłębek przy kominku, nie spuszczając Evelyn z oczu. Kobieta potarła dłońmi skronie i westchnęła sfrustrowana.

– Jeśli chodzi o ciebie, nie przyjmuję studentów. Moja córka powinna była cię o tym uprzedzić. A teraz żegnam. Dostyc już nadużywałaś jej gościnności, nie sądzisz? – Podniosła stojące na podłodze walizki i ruszyła w stronę schodów. – Margaret, chodź. Musimy porozmawiać.

– Nie – odpowiedziała dziewczyna głosem tak cichym, że niemal niesłyszalnym.

Evelyn popatrzyła na córkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Nie?

– Nie możesz go odprawić, matko.

– Nie bądź dziecinna. Chodź na górę, porozmawiamy jak dorośli.

Nagle do Wesa wróciło wspomnienie z dzieciństwa – znów miał sześć lat i siedział przy ledwo działającym radioodbiorniku w pokoju dziennym. Niemal każdego wieczoru powtarzała się ta sytuacja – nie chciał iść spać, więc ojciec musiał brać go na ręce i zanosić do łóżka. Zrozpaczony chłopiec próbował chwycić się wszystkiego, co napotykał po drodze – brzegu stołu, futryny w drzwiach – a ojciec cierpliwie i w milczeniu odginał jego palce, żeby kontynuować spacer do łóżka.

Jeśli Evelyn życzy sobie, aby opuścił ten dom, będzie musiała postąpić z nim jak jego ojciec.

Nie zostawi Margaret sam na sam z tą kobietą. I nie podda się tak łatwo, dopóki ma asa w rękawie.

– Wiem, że zależy pani na hali. I wiem, nad czym pani pracuje. Beze mnie nie dostanie pani demiurga. Margaret i ja razem zapisaliśmy się do udziału w gonie.

Evelyn przystanęła u dołu schodów. Odwróciła się co córki i spytała:

– Czy to prawda?  
– Tak – szepnęła dziewczyna.  
– Kiedy jutro zwyciężymy, truchło lisa będzie moją zapłatą – oświadczył Wes zdecydowanym tonem. – Za gościnność i instrukcje.

Evelyn wypuściła z rąk walizki i podeszła do chłopaka. Jej sposób poruszania się cechowała teraz lodowata precyzja drapieżnika. Była wysoka – znacznie wyższa od niego. Wbiła w niego wściekłe spojrzenie, które mogłoby kruszyć metal. Owionął go aromat zwietrzałej kawy i siarki.

– Ty wężu, jakimi słodkimi słówkami ją omotałeś, że przystała do tego spisku?

– Matko...

– Nie – warknęła Evelyn. – Zejdź mi z oczu. Nie mogę na ciebie patrzeć.

– Nie waż się zwracać do niej w ten sposób!

Evelyn wyszczerzyła zęby w uśmiechu, jakby uradowana tym wybuchem.

– Niewiarygodne. Najpierw wykorzystujesz moją córkę w moim domu, a potem masz jeszcze czelność pouczać mnie w sprawach wychowawczych. Nie brak ci tupetu, panie Winters. Wydaje ci się pewnie, że możesz mnie przechytryć. Ale dobrze ci radzę, nie zadzieraj ze mną. Naprawdę sądzisz, że masz nade mną jakąś przewagę; że nie zdołam uzyskać tego, na czym mi zależy, bez twojej pomocy? A może myślisz, że świat naukowy jest tak wielki, że zdołasz ukryć tę obrazę? Skoro postanowiłeś mieszać się do mojego życia, mojej pracy i narzucać się mojemu dziecku, dopilnuję, żebyś nigdy nie zrobił kariery. Nie będziesz mieć żadnej przyszłości, już moja w tym głowa. Jeśli wejdiesz mi w drogę, sprawię, że nigdy więcej nie przeprowadzisz ani jednej transmutacji. Czy wyraziłam się jasno?

Nagle zabrakło mu słów. No bo cóż mógłby powiedzieć? Nie miał niczego, z wyjątkiem buzującego w nim gniewu – ale czym był gniew w porównaniu z potęgą uznanej alchemiczki? Niezależnie od tego, co zrobi, zawsze pozostanie bezsilny.

– Tak właśnie myślałam. A teraz, jeśli nie chcesz, żebym rozesała listy z opisem twoich postępów do każdego uniwersytetu, każdego polityka i każdego seminarium, a nawet każdego domu

w tym kraju, zabieraj swoje manatki. Masz na to godzinę. – Odwróciwszy się na pięcie, rzuciła: – Wierzę, że reszta tego wieczoru upłynie panu w niezapomnianej atmosferze, panie Winters.

Ostry, przenikliwy stukot jej obcasów na stopniach schodów brzmiał niczym huk wystrzałów. Po chwili u góry trzasnęły zamykane drzwi. Margaret klęczała przy kominku, z twarzą wtuloną w bok Kłopoty. Mimo że Wes stał nieco dalej, widział, że dziewczyna się trzęsie. Jeszcze przed chwilą w pokoju było ciepło, ale teraz panował tu przejmujący chłód. To, co wydawało mu się domem, teraz odstręczało chłodem i obcością.

– To nic – wydusił z siebie. – Niech spełni swoje groźby. Jeśli nie przyjmie mnie na ucznia, z mojej kariery i tak nici. Moja rodzina przybyła już pewnie do Wickdon. Spakuję się i możemy wyjechać...

– I co dalej?

Kiedy spojrzała na niego, oddech zamarł mu w piersi. Była piękna, lecz zarazem jakby nieobecna, jak najdalsza gwiazda. Jej puste spojrzenie zdawało się mówić, że ich pocałunki były tylko wytworem jego wyobraźni.

– Jakie życie nas czeka, jeśli teraz zrezygnujemy ze swoich marzeń?

– Dobre życie – odparł. – Do czego zmierzasz?

– Naprawdę tak sądzisz?

– Oczywiście! Na pewno lepsze od tego, które wiemy obecnie. Cokolwiek będzie lepsze od tego.

Ale czy faktycznie będzie szczęśliwy, nie mogąc zajmować się alchemią? Czy raczej już do końca życia będzie się czuł tak jak teraz – pokonany i bezradny? Zmuszony był uznać, że taka przyszłość go przeraża.

– Nie mogę jej zostawić.

– Co takiego? Dlaczego? Sam widziałem, jak cię traktuje...

– Nie mów tak. Nie znasz jej.

– Przepraszam – powiedział, siadając obok Margaret na podłodze. – Wiem tylko tyle, ile zobaczyłem.

– Ona nie zawsze jest taka. Po prostu jest... – Przez chwilę dziewczyna tarła oczy dłońmi. – Teraz może będzie inaczej. Nie wiem, jak sobie poradzi, kiedy mnie zabraknie. Ona wszystko straciła. To byłoby zbyt okrutne, gdybym w tym momencie odeszła.

– Świetnie sobie radziła bez twojej pomocy przez ostatnie cztery miesiące. Nie jesteś za nią odpowiedzialna. – Mimo że chciał tego uniknąć, do jego głosu zakradła się frustracja. – Margaret, nie musisz się nią opiekować, skoro ona nie raczyła się zająć tobą. Nie tak powinna wyglądać miłość. Nie rozumiesz tego?

– A na czym twoim zdaniem polega miłość? – spytała drżącym głosem. – Na tym, że mam bez zbędnych pytań jechać tam, dokąd mi każesz?

– Nie! Boże, ależ skąd. Nie proszę cię o to.

Najchętniej dotknąłby jej znowu, ujął za ramiona – może wtedy zdołałby ją przekonać.

– Możemy się wybrać, dokądkolwiek zechcesz. Możemy też wspólnie zdecydować, dokąd pojedziemy.

Przez krótki moment wydawało mu się, że ją przekonał. W oczach dziewczyny dojrzał nadzieję, usta jej zadrżały, ale zaraz potem zacisnęła je w poprzeczną cienką kreskę i zdecydowanie potrząsnęła głową.

– Nie mogę. Nie umiem zaufać, że to nowe życie będzie lepsze od tego teraz. Nie jestem taka jak ty, Wes. Pragnę bezpieczeństwa, na niczym innym nigdy mi nie zależało. To mój dom, jedyne bezpieczne miejsce na ziemi, jakie znam. Nie mogę go porzucić, bo dla mnie oznaczałoby to życie w ciągłym oczekiwaniu, aż wydarzy się coś złego.

– A co, jeśli nigdy nic złego się nie stanie? – Teraz to już nie były namowy, lecz błagania. Słyszał swój zaprawiony desperacją głos, ale dawno już zapomniał o dumie. – Skąd możesz wiedzieć, co się wydarzy?

Całe jej ciało stężało, jakby w oczekiwaniu na cios.

– Nie mogę ryzykować wszystkiego dla gdybania. Czcze obietnice to za mało.

Jej słowa przeszły go na wylot. Czcze obietnice? A więc tak postrzegala jego plany?

– Zatem to koniec?

– Tak, to koniec – odparła. Jej twarz zastygła niczym maska. – Nie mogę z tobą wyjechać.

I nagle poczuł, jak coś w nim pęka. Został z niczym. Bez planów. Bez pieniędzy. Bez Margaret. Znow był tylko obdarzonym zbyt

wybujała fantazją dzieciakiem z Piątej Dzielnicy. Tylko że tym razem nie zostały mu już żadne pomysły. A co gorsza, nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Ta dziewczyna jak nikt inny umiała sprawić, że zapominał języka w gębie.

Poszedł na górę do swojego pokoju, żeby się spakować. Pakowanie się i opuszczanie różnych miejsc weszło mu już w krew. Kiedy potem w nikłym świetle gasnącego dnia szedł do Wickdon, niewiele pamiętał z tamtych chwil. Wiedział tylko, że w niespełna dziesięć minut powrzucał cały swój dobytek do torby przywiązanej z Dunway. Zapamiętał wyraźnie co innego – wyraz twarzy Margaret, gdy powiedział: „Trzymaj się”. Odbijała się w nim tęsknota.

Pomyślał, że przez resztę życia będzie uciekał od poczucia, które go teraz opanowało. Wypełniało go całego, niczym lodowata, mroczna woda. Najgorsze było nie to, że Maggie dała mu kosza – z tym mógłby żyć. Na myśl, że ostatni raz ogląda kobietę, którą pokochał, z bólu niemal pękło mu serce, ale i to mógł znieść. Straszniejsze było co innego – fakt, że Margaret odrzuciła wszystko. Jego wizję, ich wspólne marzenia, przyszłość razem.

Nie zdołał jej przekonać. Przegrał.

Pierwszy raz w życiu poznał, czym jest zawód miłosny. Pozbawiony alchemii, był zwyczajnym człowiekiem. A bez Margaret nie miał pojęcia, jak miałoby wyglądać dalej jego życie.

Twarz Annette, kiedy ujrzała go na progu zajazdu, zrobiła się kredowobiała.

W innych okolicznościach być może ucieszyłby się, widząc, jak panika walczy w niej ze wstydem. W tej chwili był jednak zbyt wyczerpany emocjonalnie, by przejmować się jej uczuciami albo odczuwać przewrotną satysfakcję z jej zmieszania. Kiedy patrzył na nią, gdy stała przyklejona plecami do ściany, jakby liczyła, że zleje się z tłem, niczego nie poczuł. W rześystym świetle kryształowego żyrandola wszystko tutaj wydawało się nieautentyczne i sterylne.

Wes ściągnął czapkę z głowy, wetknął ją pod ramię i ciągnąc za sobą walizkę, podszedł do kontuaru recepcji.

– Dzień dobry.

– Wes – wyrzuciła z siebie Annette. – Co ty tu robisz?

– Szukam swojej rodziny.

W następnej chwili z ust dziewczyny buchnął strumień słów. Tego, co przed chwilą powiedział, chyba nawet nie zarejestrowała.

– Tak mi przykro! Gdybym wiedziała, co knuje Jaime, nigdy bym się nie zgodziła mu pomóc. Słowo honoru.

– Nie? – spytał lekkim, niemal beztroskim tonem. – A wydawało ci się, że co się stanie?

– Nie wiem! Myślałam, że po prostu chce cię trochę nastraszyć, a nie naprawdę...

– I mimo to mu pomagałaś.

– Nie myślałam wtedy trzeźwo. Byłam zraniona, a Jaime umie być wyjątkowo przekonujący, kiedy człowiek ma ranę, którą on może rozdrapać. – Dziewczyna nachyliła się nad kontuarem, zniżając głos do szeptu: – Nie usprawiedliwia mnie to. I nie jestem dumna z tego, co zrobiłam. Ale taka jest prawda. Oboje wiemy, że w relacjach z nim jestem tchórzem.

Wes chętnie spytałby o numer pokoju, w którym zatrzymali się jego bliscy, i pożegnał Annette, by nigdy więcej nie zamienić z nią ani słowa. Ale nagle uświadomił sobie, że wcale nie jest tak emocjonalnie wypompowany, jak sądził, ponieważ nagle ogarnęła go fala wściekłości. Przez cały ten czas, gdy zabiegał o względy Margaret, wyrzekał się innych uczuć. I co mu z tego przyszło? Koniec końców okazała się kimś takim jak on – osobą składającą obietnice bez pokrycia. Boże, był taki głupi, że nie przejrzał jej wcześniej.

– Kiedy byłaś ze mną w pokoju, ile było w tym udawania?

– Nie wszystko – przyznała cicho Annette.

– Ile? – dopytywał łamiącym się głosem, który go zawstydził.

– Kiedy się poznaliśmy, flirtowałam z tobą, bo wiedziałam, że przyjechałeś z dużego miasta, i byłam pewna, że Jaime się wścieknie. Chciałam, żebyś się mną zainteresował, bo liczyłam, że z tobą zdołam wyrwać się z tej dziury. Okazałeś się całkiem sympatycznym facetem. Na pokazie alchemicznym byłam na ciebie zła. Kiedy Jaime poprosił, żebym zajęła się tobą podczas zawodów strzeleckich, zgodziłam się.

– Wiedziałaś, że zamierza oszukiwać?

– Nie! Nie miałam pojęcia, przysięgam. – Spuściwszy wzrok, Annette mówiła dalej: – Ale naprawdę cię polubiłam, wiesz? Nadal cię lubię. I dlatego, gdy stało się jasne, że nie jesteś mną

zainteresowany, wkurzyłam się. A po tym, jak opowiedziałeś mi o swoich rodzicach...

– Przestałem być w twoich oczach dobrą partią – domyślił się.

– No właśnie.

– W takim razie nigdy tak naprawdę mnie nie lubiłaś. Polubiłaś jedynie swoje wyobrażenie na mój temat.

– To brzmi okropnie, kiedy ujmujesz to w taki sposób.

Oczy zaszklily jej się od łez. Ale dzieciństwo spędzone w otoczeniu czterech sióstr uodporniło go na ten widok. Wiedział, że za tymi łzami stoi pragnienie rozgrzeszenia, a nie zamiar wynagrodzenia wyrządzonej krzywdy.

– Jeśli chcesz stąd wyjechać, dlaczego tego nie zrobisz? Nie potrzebujesz do tego mnie, a już na pewno nie Jaimego ani jego kliki. Ci ludzie wydobywają z ciebie twoje najgorsze cechy. – Zdawał sobie sprawę, że jego ton staje się coraz bardziej napastliwy, i żałował tego. Z zasady nigdy nie pozwalał sobie na podnoszenie głosu w rozmowie z kobietami innymi niż jego siostry. Nie mógł pozwolić sobie na złamanie tej reguły w chwili słabości. Wziął głęboki oddech dla uspokojenia, przeczesał dłonią włosy. – Postąpiłaś okrutnie, ale teraz to już i tak bez znaczenia. Jaime dopiął swego, chociaż nie jest to zasługą jego działań. Zrezygnowałem z udziału w gonie.

– Co takiego? Dlaczego?

– Evelyn oświadczyła, że mam się wynosić, więc się wyniosłem. Jutro wracam do Dunway.

– A co z Maggie?

Na dźwięk tego imienia poczuł, jak jego serce przeszywa tęsknota. Mało brakowało, a zupełnie by się rozkleił.

– A co ma być?

Zamilkli oboje. Z baru nieopodal dobiegał szmer rozmów, podzwanie szklanek, stłumiona muzyka. Wszystkie te dźwięki sprawiały, że czuł się nieznośnie, koszmarne samotny.

– Przykro mi, Wes – odezwała się Annette. – I przepraszam za wszystko. Dowiedziałam się przynajmniej, że Jaime jest niebezpiecznym człowiekiem. Gdybym tylko mogła cofnąć czas albo wynagrodzić ci to w jakiś sposób...

Najchętniej parsknęłyby śmiechem. Niby jak ktokolwiek mógłby mu wynagrodzić to, co się stało? Gdyby Annette była w stanie



wyrwać zgniłe jądro Nowego Albionu, z którego rodzili się tacy dranie jak Jaime Harrington, może wówczas uznałby, że są kwita. Ale prawda była taka, że ta dziewczyna nigdy nie zapłaci za zło wyrządzone jemu i Margaret.

Wes był jednak człowiekiem o miękkim sercu. I miał wrażenie, że tym razem Annette jest z nim szczerą.

– Wybaczam ci – powiedział z westchnieniem. – Głównie dlatego, że marzę teraz tylko o tym, by zasnąć. Czy przypadkiem w ostatnich godzinach nie zameldowały się u was cztery kobiety z małą dziewczynką? Mogły być hałaśliwe. I podobne do mnie.

– W sumie tak... To twoja rodzina?

Widząc zaniepokojony wyraz jej twarzy, nie umiał ukryć uśmiechu.

– Owszem.

Annette otworzyła szufladę i zaczęła czegoś gorączkowo szukać.

– W takim razie pozwól, że zafunduję wam pokój. Proszę, chociaż tyle mogę zrobić.

– Nie narobisz sobie kłopotów?

– A nie sądzisz, że trochę kłopotów mi się należy?

Wcisnęła mu do ręki plik banknotów. Wes już dawno nie widział tak pokaźnej sumy. Mad musiała przeznaczyć na podróż tutaj lwią część swoich oszczędności. Na myśl o tym ogarnęło go poczucie winy, a zarazem wdzięczność.

– Dziękuję. To naprawdę wiele dla nas znaczy.

– Drobiazg – odparła, przywołując na usta niepewny uśmiech. – Są w pokoju numer dwieście na pierwszym piętrze.

Usłyszał je, gdy wchodził po schodach. Boże, mógł tylko współczuć ludziom wynajmującym pokój za ścianą. Głos Colleen niósł się na co najmniej półtora kilometra, a rechot Christine mógłby wprawić w drżenie lustro w złotej ramie wiszące na końcu korytarza. Wes oderwał wzrok od swojego odbicia w lustrze. Był rozczochrany, półżywy, czuł się nędznie – nie potrzebował wizualnego potwierdzenia, żeby to wiedzieć. Jego kroki na parkiecie dźwięczały ponuro, gdy zbliżał się do pokoju numer dwieście. Zapukał i niemal natychmiast drzwi się otworzyły.

– Wes!

Colleen rzuciła mu się na szyję, niemal zbijając go z nóg. Kiedy w końcu rozluźniła uchwyt, przyjrzała mu się uważnie.

– Wyglądasz okropnie – stwierdziła, marszcząc brwi.

Nie zdążył wymyślić żadnej kąśliwej riposty, gdy w drzwiach ukazały się cztery inne ciemnowłose głowy. Jego matka dosłownie promieniała z radości. Ale gdy tylko go ujrzała, spoważniała.

– Skarbie, co się stało?

– Czemu jesteś smutny? – wtrąciła się Edie.

– O co chodzi? – chciała wiedzieć Christine.

Mad mierzyła go wzrokiem w milczeniu. Był jej za to wdzięczny, bo prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, od czego zacząć. Pragnął tylko się położyć, o niczym innym nie był w stanie myśleć. Upuścił walizkę na podłogę i rzucił się na stojące najbliżej łóżko, zasłane jakąś zawrotną liczbą kolorowych, i w gruncie rzeczy niepotrzebnych, ozdobnych poduszek. Siostry i matka rozsiadły się wokół niego, prowokując jękliwy protest materacowych sprężyn.

– Nie wezmę udziału w gonie – oświadczył, siląc się na beztroski ton. – Ale dobra wiadomość jest taka, że odzyskałem twoje pieniądze, Mad.

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, oczy zaczęły go piec, obraz stał się zamazany – a potem, psiakrew, poryczał się przed rodziną jak skończony idiota. Wiedział, że siostry będą mu wypominać ten moment do końca życia.

Christine powiedziała „ojej” – i jakimś cudem zdołała nadać temu słowu brzmienie, które z jednej strony podnosiło na duchu, a z drugiej zawierało wyraźną przyganę. Colleen zeskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, żeby przynieść Wesowi chusteczkę. Edie natomiast przytuliła się mocno do brata.

Mad położyła mu dłoń na czole, po czym odgarnęła włosy zasłaniające mu twarz. Czulość tego gestu zdumiała go.

– A gdzie Margaret?

Opowiedział im wszystko, poczynając o podejmowanych przez Jaimego próbach sabotowania ich wysiłków, przez badania naukowe Evelyn, po decyzję Margaret, że zostanie z matką. Kiedy doznał końca, jego słuchaczki milczały. Wes nie potrafił odgadnąć, co kryje się za ich zdumionymi minami. Nawet lis z obrazu wiszącego nad łóżkiem przypatrywał mu się z nieukrywaną pogardą.

– Czy dobrze zrozumiałam? – przerwała ciszę Christine. – Twierdzisz, że ją tam zostawiłeś?

– A co innego miałem zrobić? Paść na kolana i ją błagać?

– Tak! – wypaliła Colleen. Kiedy wszystkie spojrzenia skierowały się na nią, spiekła raka. – To znaczy... moim zdaniem byłoby to bardzo romantyczne.

Złość i rozżalenie powróciły ze zdwojoną siłą, a wraz z nimi potrzeba użalania się nad sobą. Wierzchem dłoni Wes otarł mokre od łez policzki.

– Nie ma w tym niczego romantycznego. Nawet gdyby zgodziła się ze mną wyjechać, nie miałbym jej nic do zaoferowania. Ani pieniędzy, ani pracy, ani perspektyw. Nic. Jestem nic niewart.

Jedynym jego majątkiem było marzenie o lepszym świecie, w którym mogliby szczęśliwie razem żyć. I tylko tyle. Naiwna mrzonka. Czczą obietnica, jak określiła to sama Margaret. Wcześniej Wes wierzył, że aby zrealizować swoje marzenia, wystarczy mocno w siebie wierzyć. Teraz zrozumiał, że Mad i Margaret zawsze miały rację. Jego przekonanie, że zdoła wyczarować coś z niczego, było z gruntu naiwne. Jego światopogląd opierał się na alchemicznej niemożliwości.

– Westonie Wintersie – odezwała się matka. – Nie waż się mówić o sobie w taki sposób.

– Mamo, daruj mi te gadki! To samo usłyszałem od Margaret. I taka jest prawda. Nie potrafiłem pomóc tobie, nie potrafiłem pomóc żadnej z was. A już na pewno nie pomogłem jej. Jaki ze mnie pożytek, skoro nie potrafię nic zrobić dla ludzi, których kocham.

– Opuszczając Banwę, twój ojciec i ja nie mieliśmy niczego z wyjątkiem marzenia – rzekła matka. – Masz jej do zaoferowania więcej, niż potrzeba. – I dodała, dźgając go palcem w środek piersi: – O, tutaj.

Wes zacisnął powieki. Nie mógł sobie pozwolić, żeby zupełnie się rozsypać.

– Ale ona tego nie chce.

Nie chce mnie.

– Litości – zachnęła się Mad. – Czy kiedykolwiek wcześniej cię to powstrzymało?

Wtedy naskoczyła na nią Christine.

– Czy chociaż raz możecie się nie kłócić? Od lat skaczecie sobie do gardeł i...

– Wcale nie szukam zaczepki – broniła się Mad, wygładzając spódnicę. – Po prostu chcę, żeby odpowiedział na moje pytanie. Podaj mi jeden przykład, gdy odrzucenie zniechęciło cię do dalszych prób. Czy kiedykolwiek było tak, że zabrakło ci możliwości działania? Czy zdarzyło się wcześniej, żeby czyjeś nieprzychylnie zdanie na temat twoich naiwnych, egoistycznych decyzji powstrzymało cię przed podejmowaniem kolejnych, równie niemądrych?

– Nigdy – przyznał Wes, spoglądając na nią spode łba.

– Otóż to. No to teraz wytłumacz mi, dlaczego ta sytuacja ma się różnić od tych wcześniejszych.

– Bo powiedziała mi, że mam się wynosić.

– No i co? Przecież to samo słyszałeś od wszystkich nauczycieli alchemii w Dunway. Nawiasem mówiąc, nie twierdzą wcale, że się mylili. Kocham cię, Westonie, ale nie mam zamiaru się z tobą spierać, kiedy twierdzisz, że nie jesteś najlepiej rokującą partią. Jesteś w gorącej wodzie kąpanym idealistą bez grosza przy duszy. Ona natomiast to praktyczna dziewczyna, która ukrywa się w tym domu przed światem. Trudno jej się dziwić, że nie paliła się do ucieczki z tobą.

„Może nie wszystkich stać na wielkie marzenia”, powiedziała mu kiedyś.

Wówczas miał ją za dziewczynę o ograniczonych horyzontach. Jak mógł być takim głupcem? Jasne, że nie miała wielkich marzeń, ponieważ całą jej uwagę zaprzętała kwestia, jak przetrwać najbliższy tydzień. Marzeń nie dało się wziąć do ręki jak strzelby ani zjeść, ani nawet napalić nimi w piecu, żeby ogrzać dom.

– Powiedziałaś jej, jak się czujesz? – spytała Christine.

– Nie, ale...

Wszystkie rozmówczynie, z wyjątkiem Mad, wydały z siebie jakieś nieartykułowane, wyrażające oburzenie dźwięki.

– Dlaczego niby miałyby to zmienić jej decyzję?

– Ponieważ oferujesz jej nie tylko miłość, ale też nadzieję – odrzekła Mad.

„Nie mogę ryzykować wszystkiego dla gdybania. Czcze obietnice to za mało”.

A zatem da jej coś konkretnego, czego będzie mogła się uchwycić. Jeśli miałby wybrać jedną rzecz, do której chciałby ją przekonać, brzmiałaby ona następująco: życie z dala od tego domu i wszystkich duchów, jakie go nawiedzają, to cel, do którego warto dążyć za wszelką cenę.

– Mad... Dzięku...

– Podziękujesz mi potem – powiedziała siostra, ściskając go za ramię. – A teraz leć po swoją dziewczynę.





eraz, gdy matka zamknęła się w pracowni, a panująca w domu cisza zaczęła wnikać w kości niczym przejmujący mróz, Margaret odkryła, że nie wie, co ze sobą począć. Jak miałyby odpocząć, skoro gniew matki zdawał się rozsadzać ściany?

Powtarzała sobie, że niedługo wszystko wróci do normy. Ich życie potoczy się starym, sprawdzonym torem: matka będzie planetą, a córka krążącym wokół niej siostrzanym księżycem. Perspektywa taka powinna napawać ją otuchą. Światło, którego cienka niczym ostrze noża wiązka widoczna była w szparze drzwi pracowni, powinno budzić radość. Evelyn wróciła, nareszcie. I znowu należy tylko do niej.

Mimo to Margaret nadal dokuczała samotność.

Ściany wciąż powtarzały echem dźwięk zamykanych drzwi, za którymi zniknął Wes. Była pewna, że wspomnienie jego sztywnego pożegnania i przeraźliwie smutnego spojrzenia będzie ją prześladować do końca życia. Patrzenie, jak odchodzi, było niemal ponad jej siły. Co gorsza, otworzyło najstarsze, dawno już zabliznione rany. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nadal będzie o nim rozmyślać, zupełnie się rozsypie. Dlatego wzięła się za sprzątanie domu. Wyszorowała na błysk wszystkie płaskie powierzchnie. Pracowała, dopóki jej umysł nie zaczął odłączać się od rzeczywistości, dopóki ból nie wydał się odległy. Przy myciu brudnych naczyń czekała ją jednak gwałtowna konfrontacja z rzeczywistością – winowajcą były kubki po kawie, którymi otaczał się w swoim pokoju Wes. Zatem nawet tu, przy tak prozaicznej czynności jak mycie naczyń, czyhały ślady jego obecności. Nie było nikogo, kto mógłby ją denerwować, odrywać od

pracy ani przerywać ciszę rozmową, nuceniem czy śmiechem. Oczywiście powinna się z tego cieszyć.

Ale nie umiała. Ta cisza ją przytłaczała.

W całym domu nie było niczego, czego Wes by nie dotknął. Wieszak, na którym wieształ swój płaszcz, najchętniej wyrzuciłaby przez okno; połamałaby wszystkie płyty gramofonowe ojca, potłukła wszystkie kryształowe szklanki i spaliła co do jednej wszystkie zakurzone alchemiczne księgi stojące na półkach. Miała ochotę krzyczeć, dopóki nie przestałaby rozpoznawać własnego głosu. Kiedy nalewała wody do wiadra, widziała swoje odbicie w burzącej się tafli: była przeraźliwie blada, jakby w połowie już umarła. Jej matce zawsze odpowiadało życie w otoczeniu duchów, ale ona, Margaret, po raz pierwszy od wielu lat poczuła, że żyje. Nie była gotowa, by znowu wieść egzystencję ducha snującego się po starym dworze, cichego i niewidzialnego.

– Margaret. – Matka stała na szczycie schodów. – Musimy porozmawiać.

Nagle ręce dziewczyny zaczęły się trząść tak bardzo, że mało brakowało, a rozlałaby wodę z wiadra. W dziwnym odrętwieniu upuściła je na podłogę. Woda chlusnęła, oblewając jej stopy. Kiedy wspinała się po schodach i ruszyła za matką do pracowni, zostawiała za sobą mokre ślady.

W ciągu ostatnich kilku tygodni wspólnie z Wesem zdołali zatrzeć mroczne wspomnienia wypełniające ten pokój i zastąpić je nowymi, radosnymi. Teraz jednak, gdy Evelyn usiadła przy biurku i splotła przed sobą dłonie, pomieszczenie znów wydało się Margaret zbyt ciemne i przytłaczające. Spod rękawów żakietu matki wyglądały nadgarstki, których kruchość za każdym razem zdumiewała córkę.

– Szyba w oknie jest wybita – oświadczyła Evelyn. – Moje alembiki zniknęły. Brakuje również paru rękopisów.

Matka była na swój sposób znakomitym myśliwym. Parę obserwacji i pozornie lekki ton, jakim je wypowiedziała, stanowiły zastawione na córkę sidła. Teraz wystarczyło czekać, aż Margaret wpadnie w pułapkę. Dziewczyna zdawała sobie jednak sprawę, że spośród wszystkich wątków, od których matka mogła rozpocząć przesłuchanie, ten akurat był najmniej kłopotliwy. Nie miała nic do ukrycia.



- To sprawa Jaimego Harringtona. To on zniszczył pracownię.
- A niby dlaczego miałby zrobić coś takiego?
- Dobrze wiesz dlaczego.
- Domyślam się. – Evelyn ściągnęła okulary i potarła grzbiet nosa. – Czy poinformowałaś jego ojca o tym, co się stało?
- Nie.
- Dlaczego?

Dotąd Margaret udawało się zachować spokój. Teraz zaczynała tracić panowanie nad sobą.

- I tak nie kiwnąłby palcem. Wes i ja...
- Wes – weszła jej w słowo matka. Wypowiadając imię chłopaka, wykrzywiła usta, jakby wzięła do nich coś kwaśnego. – Właśnie, porozmawiajmy o nim. Margaret, jak sądzę, domyślasz się, jakie źródło ma moja frustracja. Gdybyście za moimi plecami nie zapisali się do udziału w gonie, podejrzewam, że Jaime nie zwracałby na ciebie uwagi, nie musiałabym wyłożyć kilkudziesięciu dolarów na nowy sprzęt i zapewne nie byłoby konieczności przeprowadzania tej niezbyt sympatycznej rozmowy. No ale stało się.

Evelyn położyła na biurku swój oprawiony w skórę dziennik. Kiedy Maggie patrzyła na tom, mgła ograniczała jej pole widzenia i w końcu dostrzegła jedynie połączony krwawoczerwony znak uroborosa na okładce. Połyskiwał niczym moneta wrzucona na dno studni.

- Może z łaski swojej wytłumaczysz mi, dlaczego wyciągnęłaś ten tom z szuflady w moim biurku?

Wcześniej Margaret przezornie odłożyła dziennik na miejsce; umieściła go dokładnie w takiej pozycji, w jakiej leżał. Zadbana nawet o usunięcie wszelkich śladów, jakie mogli na nim zostawić. Skąd zatem matka wiedziała?

- No więc? – Evelyn nadal nie podnosiła głosu. Nigdy nie musiała się do tego uciekać. I bez takich dramatycznych środków umiała przekazać, co ma do powiedzenia. Gniew tej kobiety był niczym woda w szemrzącym strumyku. Rozmowa z nią w takich sytuacjach przypominała stąpanie po kruchym lodzie.

- Przepraszam – szepnęła córka, nie potrafiąc opanować szczękania zębami.

- Tak też myślałam – wysyczała matka.

Margaret weszła prosto w zastawioną pułapkę. Pętla zacisnęła się na jej gardle.

– Przepraszam – powtórzyła.

– Czemu się kulisz ze strachu jak zbity pies? Przecież nic ci nie zrobiłam.

Głos Evelyn docierał teraz do niej przytłumiony, zupełnie jakby uszy miała pełne grubej wełny. Coraz trudniej było jej skupić się na szczegółach, gdy tak rozpaczliwie pragnęła uciec.

– Wracam do zniszczonej i splądrowanej pracowni, przyłapuję moją córkę na figlach z jakimś parweniuszem, a ty oczekujesz, że będę zadowolona? Mam może udawać, że niczego nie widzę? Nie. Nie będę tolerować takiego braku szacunku. A teraz odpowiadaj: czy pokazałaś mu to?

– Tak.

– Czy ma kopię?

– Nie. – Maggie zgięła się wpół. – Przysięgam.

– Ale widział to. Boże, Margaret, coś ty sobie wyobrażała?

Miała wrażenie, jakby znów była w jaskini i kucąła przy Mattisie. Woda wokół niej pełna była jego krwi, która zbierała się na powierzchni w postaci różowej piany. Zdawała sobie sprawę, że powinna się ruszyć, bo utonie, ale była jak sparaliżowana. Mogła tylko biernie, z drżeniem obserwować, jak woda wzbiera, a wraz z nią jej strach, i stopniowo zalewa jej uszy, usta, oczy. Matka nigdy nie podniosła na nią ręki, ale myśl o tym, co się stanie, gdy przyniesie jej rozczarowanie, była niczym otchłań równie przepastna i straszliwa jak wspomnienie tamtej czarnej istoty pośrodku kręgu transmutacji. Przez tak długi czas Evelyn stanowiła dla niej cały świat, zarazem będąc jego bogiem. Margaret z łatwością mogła pomyśleć o znacznie sroższych karach niż fizyczne. Być zapomnianą, niekochaną – oto najstraszniejszy los.

Wes zawsze oburzał się tym, jak wyglądało jej życie. „To tobą ktoś powinien się wtedy opiekować”, powiedział jej. Ale co właściwie ten ktoś miałby zrobić? W jakiej sprawie interweniować? Evelyn nigdy nie zraniła jej w sposób widoczny dla innych.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jakie miałyby to skutki, gdyby rozszyfrowana instrukcja transmutacji trafiła do publicznego obiegu?

Czy w ogóle rozumiesz, co by się stało, gdyby wpadła w niepowołane ręce?

– Tak.

Kiedy tylko to słowo wymknęło się z jej ust, Margaret zamarła. Nie wiedziała nawet, czy to na pewno ona je wypowiedziała. Nie zrobiła tego jej matka, ponieważ ta zamrugała szybko, wyraźnie zdumiona, jakby córka wymierzyła jej policzek.

– Nie bądź bezczelna.

– Widziałam na własne oczy, co się może stać, gdy wyniki tych badań wpadną w niepowołane ręce. – Drżenie jej głosu dorównywało dygotowi, jaki wstrząsał jej ciałem. Mimo to mówiła dalej: – Pokazałam mu twoje notatki, ponieważ to jedyny sposób na zabicie hali; ponieważ mu ufam, bo jest moim przyjacielem.

– Ach tak, rozumiem. To, co zobaczyłam, było tylko przejawem przyjaźni. – Evelyn wstała z fotela, rzucając cień na podłogę. – Doprawdy, czy jesteś aż tak zła uwagi, że pozwalasz, by pierwszy lepszy wygadany szczeniak cię omotał...

– Tak, jestem! Zostawiłaś mnie tu samą. Od lat żyję w taki sposób, jakbym w ogóle nie istniała. Kiedyś wydawało mi się, że to *magnum opus* niszczy ludziom życie. Ale to nie była wina alchemii, tylko twoja. To ty pozwoliłaś, by pochłonęła cię bez reszty. Jakim prawem teraz próbujesz udawać matkę, skoro od lat nią dla mnie nie byłaś?

Powiedzenie tego na głos było wyzwalające. I nagle Margaret coś zrozumiała: to, co najgorsze, spotkało ją już tysiąc razy, i przetrwała wszystko. Evelyn już dawno ją porzuciła.

„Nie tak powinna wyglądać miłość”.

Nie do wiary, że wyrzekła się szansy poznania, na czym polegała prawdziwa. Nie mieściło jej się w głowie, że praktycznie wyrzuciła Wesa za drzwi.

– Co w ciebie wstąpiło? – zasyczała Evelyn, jednak w jej spojrzeniu widać było, że słowa córki ją zraniły. – Możesz mnie krytykować do woli. Wiedz jednak, że wszystko robię dla rodziny. Przykro mi, że nie jestem jak inne pocziwe kobieciny z miasta i nie poświęciłam ci całego życia. Po tym, jak twój ojciec nas zostawił, musiałam sama zarobić na nasze utrzymanie. Nie zostawiłabym cię

samej, gdybyś nie była dostatecznie dojrzała, żeby sobie z tym poradzić.

– Może wcale nie jestem dostatecznie dojrzała.

Evelyn wzięła głęboki wdech, jakby zbierała resztki cierpliwości.

– Może faktycznie nie jesteś. Ale teraz wróciłam. Nie było dnia, żebym o tobie nie myślała. Biorąc pod uwagę okoliczności, i tak jestem w stosunku do ciebie wyrozumiała. Czy to ci nie wystarczy? Mogłabyś przynajmniej się zrewanżować, odnosząc się do mnie przyzwoicie, zamiast się znęcać.

Nie, to nie wystarczy – cisnęło się na usta Margaret.

Wprawdzie Evelyn wróciła, ale tak naprawdę nadal była nieobecna, zresztą już od wielu lat. Matka, którą Margaret знаła, odeszła w dniu, w którym umarł David, i nigdy nie wróciła. Maggie miała policzki mokre od łez, czuła ich słony smak na ustach. Myśl, że płacze, a tym samym potwierdza to, co mówiła matka, była taka upokarzająca. Może faktycznie nie była wystarczająco dojrzała, by poradzić sobie z tym wszystkim. Ale nie miała już dłużej siły próbować. Dalsze oczekiwanie, aż coś wreszcie się zmieni, było ponad jej siły.

Miała dość samotności.

– Jutro z samego rana – odezwała się Evelyn – pojedziemy do miasta i zgłosimy, że zastąpię tego chłopaka jako twoja alchemiczka. Nie planowałam tego, ale skoro oferujesz mi taką możliwość, powinnam z niej skorzystać.

– Nie – odparła cicho Margaret. – Nie mogę tego zrobić. Nie wystąpię w gonie.

Kobieta zaśmiała się z niedowierzaniem.

– Ty też chcesz mnie szantażować? Spójrz, jak skończyło się to dla twojego fagasa. Ale skoro taka twoja wola, proszę bardzo.

– Nie, to nie szantaż ani negocjacje. Wyjeżdżam, jutro z samego rana. Razem z Wesem zwyciężymy w gonie. A ty, skoro tak ci na tym zależy, haruj sobie do śmierci, ale odtąd już tylko na siebie.

Nie czekając, aż straci animusz, Margaret wyszła na korytarz. Słyszała, jak matka odsuwa fotel i rusza za nią w pogoń. Powolny stukot jej obcasów sugerował, że Evelyn próbuje przy tym zachować twarz.

– Co ty sobie wyobrażasz? Jak śmiesz odnosić się do mnie takim tonem!

W swoim pokoju Margaret wyciągnęła walizkę spod łóżka. Słyszała tylko dudnienie serca w uszach i swój przyspieszony oddech.

„Weź się w garść”.

Trzęsącymi się rękami zrywała swetry z wieszaków i wrzucała je do walizy. Po chwili się zreflektowała – na pewno było coś, o czymś zapomniała, coś, co należało tylko do niej. Niestety poza odzieżą i strzelbą w całym domu nie było niczego, z czym byłaby emocjonalnie związana. Chętnie spakowałaby swoje książki, ale były już w tak fatalnym stanie, że nie przetrwałyby drogi. Będzie musiała je zostawić.

Evelyn czekała na nią na półpiętrze. Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– I dokąd niby pójdziesz? Zastanowiłaś się w ogóle nad tym?

„Jak najdalej od ciebie. Dokądkolwiek. Do Wesa”.

– Przesuń się – zażądała Margaret.

– Nie wypuszczę cię, dopóki nie skończymy rozmawiać.

Dziewczyna wyminęła matkę i pospiesznie zeszła na parter.

– Kłopot!

Pies zerwał się z podłogi. W pokoju dziennym Margaret odszukała nóż myśliwski z rękojeścią pokrytą alchemicznym wzorem i dyskretnie wsunęła go do kieszeni spodnicy.

Zachrypnięty głos matki niemal przyszpilił ją do ziemi:

– Nie rób tego. Nie wolno ci. Chyba mnie nie zostawisz, tak jak oni? Kocham cię, Maggie. Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

„Kocham cię”. Ile lat upłynęło, odkąd usłyszała te słowa z jej ust?

Był czas, gdy Evelyn zapewniała ją o swojej miłości codziennie na tysiąc różnych sposobów. Kiedy Margaret cofała się pamięcią do tamtej epoki, z której wyniosła najlepsze, najszcześniejsze wspomnienia, jedno wyróżniało się na tle innych – złociło niczym kłosa żyta i słońce. Na wiosnę mieli w zwyczaju urządzać rodzinne przechadzki po wzgórzach. Jak okiem sięgnąć, w promieniu wielu kilometrów kwitły maki, na niebie kołowały jastrzębie. Evelyn zbierała po drodze wszystkie polne kwiaty i mówiła córce, jak się nazywają, takim tonem, jakby powierzała jej jakiś wielki sekret: krwawnik, wilec,

tarczyca bajkalska. A potem kładły się na trawie i Evelyn plotła z nich koronę. „Królowa Maggie”, mówiła, delikatnie kładąc wianek na głowie dziecka.

Kiedy Margaret położyła teraz rękę na gałce u drzwi, z jej ust dobyło się bezgłośnie łkanie.

Naprawdę zamierza odciąć się od matki? Odplaci za jej miłość, porzucając ją? Jak zdoła zapomnieć wszystkie te drobne gesty sympatii i czułość, jakie zaznała od Evelyn? Tylko że to, mimo jej rozpaczliwych pragnień, nigdy nie była cała prawda o jej matce – o ich relacji. Z tych drogocennych wspomnień ułożyła w swojej głowie obraz matki, który pozwalał jej przetrwać trudny czas. Ale teraz już jej to nie wystarczało.

Otworzyła drzwi, ale jeszcze, zupełnie niepotrzebnie, obejrzała się przez ramię. Mimo że kinkiety nie zapewniały zbyt dobrego oświetlenia, Margaret dokładnie zobaczyła osobliwą przemianę, jaka zaszła na twarzy matki. W jednej chwili odbijała się w niej rozpacz, a już w następnej skryła się za maską spokoju i opanowania. Nic nie wskazywało, by w ogóle doznała jakiegoś ciosu.

– Dobrze, idź sobie. Jesteś taka sama jak twój ojciec.

Margaret przestąpiła próg i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Ponuro podeszła do wybiegu dla koni i zawołała Migotka. Następnie ruszyła w stronę lasu, z koniem i Kłopotem trzymającymi się z tyłu. Wiedziała, że dopóki jest w ruchu, nie grozi jej, że rozsypie się na kawałki. Pani Wreford przekonywała ją kiedyś, że życie ma do zaoferowania więcej niż troszczenie się o ten zrujnowany dwór oraz że Maggie ma wokół siebie ludzi, którzy ją kochają. Takich jak ona – i Wes. Raz za razem wyciągali do niej pomocną dłoń i teraz nareszcie Margaret była gotowa przyjąć od nich pomoc. Gdzieś, po drugiej stronie tego lasu sekwoi, czekał na nią świat.

Z wolna las rzedł, ukazując ciągnące się po horyzont wzgórza porośnięte żytem. Morze Półksiężycy było tego wieczoru spokojne, jego tafla połyskiwała nieruchomo w świetle stojącego niemal w pełni księżycy. I nagle w oddali zauważyła ciemną ludzką sylwetkę.

Serce zabiło jej żywiej. Raczej się nie zdarzało, żeby ktoś zapuszczał się tak daleko od Wickdon, zwłaszcza pieszo i o tej porze. Szła dalej drogą i po chwili mogła przyjrzeć się dokładnie skąpanej

w blasku księżyca postaci. Rozpoznała rozwiane na boki poły płaszcz i burzę czarnych włosów.

– Wes? – zawołała, ale wiatr porwał jej głos.

Musiał ją jednak usłyszeć, bo nagle rozluźnił ramiona. Słodycz, jaka ją wtedy przepęłniła, nie mogła równać się z żadnym innym uczuciem. Wątpiła w niego. Odrzucała go. A mimo to on po nią wrócił. Równie uparty jak zawsze.

Margaret wypuściła z rąk uzdę Migotka i walizkę i puściła się biegiem w stronę chłopaka. A kiedy była już przy nim, Wes porwał ją w ramiona i przytulił tak mocno, że zabrakło jej tchu. Pomyślała, że mogłaby się do cna zatracić w tej chwili: w dotyku Ignącego do niej ciepłego ciała, w uderzającym do głowy, przedziwnym zapachu wody po goleniu i soli morskiej, w tym, jak trzymał ją w ramionach – jak gdyby była czymś drogocennym i kruchym.

– Źle zrobiłem, że odszedłem – wyszeptał jej na ucho.

– Źle zrobiłam, że pozwoliłam ci odejść.

Odchylił się do tyłu, żeby popatrzeć jej w oczy, ale nadal trzymał ją w ramionach. W jego twarzy dojrzała niepokój – i od razu dopadły ją złe przeczucia.

– Wiem, że nie mam ci wiele do zaoferowania. Pewnie trudno ci wyobrazić sobie, że moglibyśmy jakoś ułożyć sobie wspólne życie po gonie. I domyślam się, że mogłabyś z łatwością znaleźć sobie stu lepszych kandydatów do zamążpójścia. Ale mówiłem całkiem poważnie, kiedy stwierdziłem, że czeka nas wspólnie dobre życie. W kraju, w którym nie będziemy musieli stale się bać. Zamieszkamy w domku na wsi. Będziemy mieć całą bibliotekę nieprzyzwoitych powieści, ogromną kuchnię i siedmioro dzieci, albo i nie, oraz pięć ogarów takich jak Kłopot. Cokolwiek sobie zamarzysz, dostaniesz to, słowo honoru. Przysięgam, że będziesz szczęśliwa. Już moja w tym głowa.

Zupełnie ją замуrowało. Kiedyś pijany Wes opisał jej dokładnie taką samą scenę jak teraz – i była to najpiękniejsza wizja, jaką kiedykolwiek ktoś przed nią roztoczył. Wcześniej nie potrafiła wyobrazić sobie życia poza Wickdon, z dala od domu matki. Teraz jednak, spoglądając w oczy Wesowi, widziała tysiąc możliwości, wszystkie jasne, skrzące się niczym perły.

Czy on naprawdę uważał, że nie ma nic do zaoferowania? Czy to możliwe? Ona sama zawsze była pozbawiona daru wyobraźni, nie miała marzeń ani wizji, w którą by wierzyła, a teraz on dawał jej to wszystko. Pragnęła tego – pragnęła jego – z siłą, o jaką nigdy siebie nie podejrzewała, i napawało ją to grozą. Miała wrażenie, jakby stała na krawędzi klifu i zrobiła krok w przód. Ale może nareszcie ten jedyny raz uwierzy, że ktoś czeka na dole i ją złapie.

– Czy to były oświadczenia?

– Co? Ależ skąd! Boże, nie! – Kiedy dotarł do niego sens tych zaprzeczeń, Wes momentalnie pobladł. – Nie dlatego, że nie chcę. Po prostu... nie mam pierścionka. No i nadal nie powiedziałem ci...

– Wiem. – Margaret położyła mu dłoń na policzku.

– Chciałbym zrobić to, jak należy. I nadejdzie dzień, gdy to zrobię, o ile mi pozwolisz. – Mówiąc to, spoglądał na nią z promiennym uśmiechem, jaśniejszym nawet od Zimnego Księżyca i wszystkich gwiazd nad ich głowami. – Jak się masz? – spytał po chwili.

Margaret zaśmiała się cicho.

– Trudno powiedzieć. Nigdy jeszcze nie czułam się tak zgnębiona, a równocześnie taka szczęśliwa.

– To wystarczy na początek.

Odkryte ramiona dziewczyny pokrywała gęsia skórka. Wes przez chwilę pocierał je, żeby ją rozgrzać.

– Gdzie twój płaszcz?

– Chyba zapomniałam go zabrać. Wychodziłam w pośpiechu.

– Musisz się ubrać, bo zamarzniesz.

Ściągnął swój płaszcz i zarzucił jej na ramiona niczym pelerynę, jak sam go nosił. Płaszcz pachniał nim, znoszony materiał był miękki. Kiedy wygładzał rękawy, jego twarz przybrała bardzo osobliwy wyraz, zupełnie jakby podziwiał jakieś zadziwiające dzieło sztuki.

– Aż tak źle w nim wyglądam?

– Wręcz przeciwnie, do twarzy ci. Lubię, kiedy mi na to pozwalasz.

– Na co?

– Na opiekowanie się tobą – wyjaśnił i podrapał się po karku. – Moja rodzina już na ciebie czeka. Nie mogą się doczekać, aż cię zobaczą.



– Naprawdę?

– Naprawdę. Ale jeśli jesteś zmęczona, możemy spotkać się z nimi potem.

Ku własnemu zaskoczeniu Maggie odkryła, że perspektywa spotkania ze wszystkimi pięcioma paniami Winters wydaje się... całkiem miła.

– Nie, ja też chętnie się z nimi zobaczę.

Wes wziął ją za rękę i ucałował jej grzbiet.

– I tak brzmiały ostatnie słowa Margaret.

A ona pomyślała, że niezależnie od tego, czy będzie miała na sobie jego płaszcz, czy nie, dopóki Wes będzie uśmiechał się w taki sposób jak teraz, nigdy nie zmarznie.

Dwa przylegające do siebie apartamenty w Zajeździe u Wallace'a wyglądały, jakby przeszło przez nie tornado. Pośród sześciu walizek, rzuconej na podłogę pościeli i małych poduszek tym, którzy chcieli precyzyjnie się do środka, pozostawał tylko wąski korytarzyk. Kiedy witała się z całą rodziną, Margaret musiała bardzo uważać, gdzie stawia kroki, żeby się nie potknąć. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek okazywano jej tyle czułości co przy tym powitaniu. Serdeczność pań Winters wprawiała ją w jakieś osobliwe uniesienie. W końcu pozwolono jej usiąść i wciśnięto do rąk filiżankę z herbatą. Z wolna stawało się dla niej jasne, że rodzina państwa Winters roztacza wokół siebie domowe ciepło niezależnie od miejsca, w którym akurat przebywa.

– Tęskniliśmy za tobą, moja kochana – odezwała się Aoife. – I cieszymy się, że tu jesteś.

Margaret uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Dziękuję. Kłopot chyba też jest zachwycony.

Pies upodobał sobie Edie, która teraz kucała przy nim i drapała go za uszami.

– Wybieram się na zakupy obiadowe. Przynieść ci coś?

– Nie, niczego nie potrzebuję. Dziękuję, pani Winters.

Aoife westchnęła przeciągle. Ewidentnie nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– No dobrze. Niedługo wracam.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Christine powiedziała:

– Mama i tak cię nakarmi. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Tłumaczenie, że nie jesteś głodna, w niczym ci nie pomoże.

– Nie kłopotymy się tym teraz – poradził Wes. Ostentacyjnie ziewnął, przeciągnął się, po czym schylił po walizkę Maggie. – Za nami bardzo długi dzień. Przeniosę nasze rzeczy do drugiego pokoju.

– Nie ma mowy – oświadczyła Christine, wydzierając mu walizkę. – Chyba nie zamierzasz urządzić z niego apartamentu dla nowożeńców, podczas gdy my wszystkie jesteśmy tuż obok?

Colleen zatkała dłońmi uszy.

– Litości! Możecie się nie kłócić?

– Margaret zajmie tamten pokój razem ze mną.

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się do Mad, która stała przy oknie z widokiem na morze. Strzepnęła na zewnątrz popiół z papierosa zatkniętego w długą lakierowaną cygaretkę.

– I tak chciałam ją lepiej poznać.

Wesowi zrzędała mina.

– Głowa do góry, Wes – rzuciła. – Margaret, Christine, chodźcie ze mną. Musimy się przygotować.

– Na co? – spytała zaskoczona Christine.

– Idziemy się zabawić.

– A pieniądze? – zachnął się Wes.

– Jeśli pamięć mnie nie myli, zdołałeś jakoś przekonać tę panienkę z dołu, żeby sypnęła groszem – stwierdziła Mad.

– To prawda – przyznał, masując się po karku. – Hej, czyżbyś w końcu uznała mój wkład w budżet rodzinny?

– Mogę iść z wami? – spytała Colleen, klaszcząc w dłonie.

– Nie – odparła słodkim głosem Christine. – Zostań tutaj, przynajmniej nie będziesz nam działać na nerwy. Pobawisz się z siostrą.

– Nie chcę się z nią bawić – zawołała Edie, obejmując oburącz Kłopotą.

Pies, wyrwany z drzemki, burknął z niezadowoleniem. Mrugając, popatrzył zaspanym wzrokiem na dziewczynkę.

– Mam Kłopotą do zabawy – wyjaśniła.

– No to będziesz skazana na rozmowę z Wesem. Cóż, szkoda.

Pa!

– Ejże! – próbował protestować brat.

Chwilę potem Christine i Mad zaciągnęły Margaret do drugiego pokoju i posadziły przed toaletką, która ginęła pod stertą kosmetyków. Maggie nigdy dotąd nie widziała tylu mazideł naraz w jednym miejscu. Z lustra, z mocnymi lampami po obu stronach, spoglądała na nią jej zmęczona twarz. Dwie najstarsze panny Winters, stojące za nią, przypatrywały jej się swoimi ciemnymi oczami.

Pierwsza odezwała się Christine:

– Jeśli jesteś zmęczona, nie musisz z nami iść. Nie zwracaj uwagi na Mad, ona lubi taki apodyktyczny ton.

– Ale ja chcę z wami iść – zapewniła, choć tak naprawdę nie miała pewności, na co się pisze. Nigdy dotąd nie wyszła „się zabawić”.

Jej ciche przyzwolenie chyba ucieszyło Mad, bo dziewczyna ujęła w palce kosmyk włosów Maggie.

– Mogę?

Margaret skinęła głową. Mad ostrożnie zebrała jej włosy do góry i ułożyła w taki sposób, że swobodnie opadły na plecy. Gwałtowne podmuchy wiatru od morza sprawiły, że były trochę poplątane, Mad jednak zdołała palcami rozczesać wszystkie supły, tak że w końcu włosy leżały płasko. Margaret do oczu napłynęły piekące łzy i zaraz zrobiło jej się głupio, że tak emocjonalnie reaguje na najmniejszy czuły gest. Nie chciała się rozbeczeć przy siostrach Wesa – zwłaszcza gdy one zachowywały się tak serdecznie w stosunku do niej.

– Hej. – Christine ścisnęła ją lekko za bark, by dodać jej otuchy. – Jesteśmy tu dla ciebie. Wszystko będzie dobrze.

– Tak – potwierdziła z roztargnieniem Mad. – No to jakie masz plany odnośnie do mojego brata?

– Naprawdę musisz teraz? – jęknęła Christine.

– Po prostu zabawiam ją rozmową.

– Nieprawda. Poddajesz ją przesłuchaniu – powiedziała, po czym zwróciła się do Margaret: – Nie przejmuj się nią. Ta dziewczyna nie ma za grosz wyczucia.

– Robię tylko, co do mnie należy. Poza tym Maggie powinna wiedzieć, w co się pakuje. – Dziewczyna poszukała jej spojrzenia w lustrze. – Wes cię lubi. Mówię ci o tym, bo podejrzewam, że on

sam nie raczył ci o tym wspomnieć. Ten chłopak panicznie boi się szczerości. Opowiada, jakie to ma dalekosiężne plany, ale potem nic z tego nie wynika. A kiedy wreszcie już coś zacznie, nie potrafi robić niczego na pół gwizdka, tylko urządza z tego wielkie przedstawienie. Wcale nie będę zaskoczona, jeśli uznasz, że nie masz na to siły. Po prostu wolałabym oszczędzić mu zawodu. Kiedy się czymś martwi, robi się wyjątkowo upierdliwy.

Nic z tego, o czym mówiła Mad, nie było dla Margaret zaskoczeniem. Nic też jej nie przeraziło. Chciała jednak mieć pewność, że udzieli właściwej odpowiedzi. Siostra Wesa, niezrażona jej milczeniem, zaczęła myszkować wśród leżących na toalecie kosmetyków. Po chwili w jej ręku zjawił się cień do powiek. Nabrała odrobinę na pędzelek, po czym delikatnie zmieniła ułożenie głowy Maggie, dotykając palcem jej brody, i zaczęła nakładać cień. Margaret łzawiły oczy, ale nie śmiała pisnąć ani się poruszyć, dopóki Mad nie skończyła pracy, odsunęła się i mruknęła zadowolona z efektu.

– Masz rację – odezwała się wtedy Margaret. – Wes ma wszystkie te cechy, o których mówisz. Ale równocześnie jest życzliwy i dobry. Będę bronić go nawet za cenę własnego życia. A potem uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc mu w realizacji jego planów.

Nadejdzie dzień, gdy starczy jej odwagi, by pokochać go tak, jak pragnie – i jak on na to zasługuje.

Mad zamknęła puzderko, czemu towarzyszyło głośnie kliknięcie.

– Macie moje błogosławieństwo. A teraz chodźmy.

Christine westchnęła z ulgą. A serce Margaret wypełniła nadzieja.

Jutro z samego rana miał się rozpocząć gon. Od tego, jak im pójdzie, zależeć miało, czy spełnią się ich marzenia – oraz jaki los spotka całą rodzinę Wesa. Ale w tej chwili, w otoczeniu ludzi, którzy ją akceptowali, Margaret z zaskakującą dla niej samej łatwością przyszło uwierzyć, że wszystko będzie dobrze.





iespełna dwadzieścia cztery godziny przed rozpoczęciem gonu Wickdon tętniło życiem.

W Pubie pod Ślepym Lisem na zaimprovizowanej scenie występowała kapela. W powietrzu unosiły się kłęby tytoniowego dymu przywodzące na myśl mgłę nadciągającą od przystani. Szalejące na parkiecie panie ubrane były w krótkie sukienki z szeleszczącego materiału, panowie podwinęli do łokci rękawy koszul. Tego wieczoru wszystko lśniło: cekiny, kryształowe kieliszki, a nawet oczy Margaret, która w zachwycie rozglądała się po sali. Wes zaś nie potrafił oderwać oczu od niej.

Udało im się jakimś cudem znaleźć wolny stolik na tyłach knajpy. Christine rozsiadła się na ławce, demonstracyjnie biorąc ją całą w posiadanie. Margaret zajęła miejsce naprzeciw. Wes widział, jak nienaturalnie usztywnione ma ruchy – było jasne, że cała ta sytuacja jest dla niej mocno krępująca. Nadal nie mógł w swoim umyśle pogodzić tych dwóch Margaret – surowej dziewczyny o zabłoconych rękach z tą elegancką panną o podmalowanych oczach, w którą się przemieniła.

– Wes – zwróciła się do brata Christine, trzepocząc rzęsami – umieram z pragnienia. Bądź tak dobry i zamów coś do picia.

Wes westchnął z rezygnacją.

– A na co macie ochotę? Przyniosę wam obu.

– Ja napiję się czegokolwiek – oświadczyła Margaret.

– Dla mnie gin!

W tej chwili poczuł, jak Mad kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Pójdę z tobą – powiedziała.

– Świetnie – odparł. Na szczęście jego głos nie zdradził, jak bardzo jej propozycja go zaskoczyła. I przestraszyła.

Kluczyli wśród rozkołysanych tancerzy i frędzlistych spódniczek, dopóki nie dotarli do baru. Na drugim jego końcu Wes wypatrył panią Wreford. Kobieta napełniała właśnie oszroniony kufel pieniącym się piwem. Po dłuższej chwili barman o znękanym obliczu przyjął od nich zamówienie. I właśnie wtedy on i Mad po raz pierwszy od wielu tygodni znaleźli się na krótki czas sami. Mad nachyliła się nad barem i oparła brodę na dłoni, zupełnie jakby na kogoś – albo na coś – czekała.

– Wspomniałaś, że mogę podziękować ci później. No więc dziękuję – powiedział Wes, też się pochylając, żeby przekrzyczeć panujący w pubie gwar. – I przepraszam.

– Za co?

– Chcesz, żebym zaczął wymieniać?

– Jasne, płaszcz się przede mną – powiedziała niby żartem, jednak jej ton był dość ostry.

Wes wolałby, żeby siostra pozwoliła sobie chociaż na mały uśmiešek albo przynajmniej zrzuciła maskę obojętności.

– No to słucham – ponagliła Mad.

– Przepraszam, że narobiłem ci kłopotów.

– Postaraj się bardziej.

Barman przyniósł w końcu zamówione drinki. Mimo że mieli już alkohol, Mad wyraźnie nie spieszyło się z powrotem do stolika. Ze skupioną miną wykonywała okrężne ruchy trzymaną w rękach szklanką, przypatrując się whisky. Rozwirowany trunek rzucał wodnisty bursztynowy cień na kontuar.

– Zawiodłem cię – przerwał milczenie Wes. – Obiecaliśmy sobie, że będziemy wspólnie opiekować się pozostałymi. A ja mimo to cały czas poświęcałem na moje szkolenia alchemiczne, zrzucając wszystkie obowiązki na ciebie.

– Nie oczekiwałam, że będziesz ze względu na mnie zmieniać swoje plany życiowe.

– Wiem o tym. Ale i tak powinienem był konsultować z tobą swoje decyzje. Wydawało mi się, że ciągle masz do mnie o coś pretensje oraz że źle mi życzysz. Przepraszam za to. I jeszcze za to, że oczekiwałem od ciebie, że będziesz przyklaskiwać wszystkim moim decyzjom. I że...

– Dobrze, już dobrze. Wystarczy.

– Tęsknię za nim – odezwał się po chwili Wes. – Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał.

– Ja tak samo – przyznała Mad.

– I tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też. – Zarzuciła bratu ramię na kark, przygarnęła do siebie i mocno uścisnęła. Wes musiał się schylić, a wtedy poczuł, jak siostra całuje go w czubek głowy. – Ja też przepraszam, że posądzałam cię o to, co najgorsze.

– Miałaś swoje powody. Ale teraz wszystko naprawię, masz moje słowo.

– Tylko nie zgiń. Jeśli nie wyjdiesz cało z gonu, słowo honoru...

Wes wyszczerzył zęby w uśmiechu, który na pewno zirytowałby siostrę, gdyby go widziała.

– Och, Madeline, robisz się sentymentalna?

Dziewczyna go odepchnęła.

– Jesteś nieznośny.

– Ale mnie kochasz.

– Tak, to prawda.

Jej spojrzenie było z jednej strony figlarne, z drugiej zaś sugerowało, że dziewczyna układa sobie w głowie jakąś intrygę. Ale jemu było już wszystko jedno. Po dłuższej chwili Mad otworzyła dużą ozdobioną paciorkami torebkę, którą dostała w prezencie na urodziny w zeszłym roku.

– Zamknij oczy i wyciągnij rękę.

Doświadczenia z dzieciństwa nauczyły go, by do podobnych próśb odnosić się z rezerwą. Wiele razy w podobnych sytuacjach Mad wkładała mu do ręki różne nieprzyjemne rzeczy. Kostkę lodu. Ząb mleczny jednej z sióstr. Martwego karalucha. Teraz jednak miała w oku dziwny błysk, który podpowiedział mu, że nie ma sensu się z nią spierać. Dlatego zrobił to, o co go prosiła.



Wtedy poczuł, jak coś sztywnego i szeleszczącego ląduje mu na dłoni. Kiedy otworzył oczy, w pierwszym odruchu niemal cisnął tym w siostrę.

– Chyba żartujesz – parsknął.

W świetle metalicznie połyskiwało opakowanie z prezerwatywą.

Mad wyjęła z torebki paczkę papierosów, zapaliła jednego i z miną niewiniątka stwierdziła:

– Raczej mało prawdopodobne, żeby mama zaopatrzyła cię w coś takiego, jej przez usta nie przejdzie słowo „seks”, dlatego pomyślałam, że sama poruszę z tobą ten temat. Skoro oboje macie zatrzymać się u nas, dopóki nie ułożycie sobie życia, lepiej, żebyście się zabezpieczyli. Jeszcze tego brakowało, żeby w naszym mieszkaniu pojawiły się kolejne bachory.

Najchętniej by zapłonął. Albo się rozpuścił. Cokolwiek, byle uciec z tego piekła.

– Doskonale. Dzięki. Czy jest jeszcze coś, o czym chciałaś mi powiedzieć? Jakieś rady?

– Rady? No pewnie. Nie myśl tylko o sobie. Pytaj ją, co jej się podoba. I na litość boską, nie patrz na nią tak, jakbyś się obawiał, że w nocy skradnie ci duszę. Wgapiasz się w nią jak ktoś, kto nigdy dotąd nie widział kobiety.

Wes wcisnął kondom do kieszeni, modląc się po cichu, żeby nikt tego nie zauważył. Co prawda z grubsza się domyślał, co by się stało, gdyby Evelyn nie przeszkodziła jemu i Margaret w baraszkowaniu, ale świadomość, że jest w posiadaniu prezerwatywy, budziła w nim całą burzę emocji. Z jednej strony dodawała pewności siebie, z drugiej – i to uczucie chyba dominowało – przerażała.

– To było pytanie retoryczne. Boże... – jęknął. – Możemy teraz o tym nie rozmawiać? Albo wiesz co? Najlepiej nigdy już nie wracajmy do tego tematu.

– Nadejdzie dzień, gdy docenisz ten prezent. A teraz wracajmy do stolika, zanim Christine przerazi Margaret.

Kiedy z drinkami przepychali się przez tłum, ktoś popchnął Wesa, rozlewając odrobinę piwa niesionego dla Margaret. Chłopak syknął z rozdrażnieniem przez zaciśnięte zęby.

– Winters.

Na dźwięk tego zniechęconego głosu momentalnie stężał. Jaime Harrington stał na wyciągnięcie ręki, kołysząc się lekko na boki. Twarz miał zaczerwienioną od alkoholu i chłodu. Wes poczuł, jak buzuje w nim nienawiść. Furię łagodził jedynie widok siniaków na policzku rywala. Siłąc się na beztroski ton, rzucił na powitanie:

– Harrington. Cóż za miłe spotkanie.

Mad stanęła u boku brata.

– A to kto? – spytała, przyglądając się podejrzliwie Jaimemu.

Chłopak otwierał już usta, zapewne by wyrzucić z siebie jakąś ciętą albo chełpliwą uwagę, gdy jednak spojrzał na Mad, osłupiał. Przez chwilę bezradnie spoglądał to na Wesa, to na dziewczynę, jakby ich podobieństwo lub sam fakt jej pojawienia się tutaj przerastały jego zdolność percepcji. Jaime dostał już nauczkę, ale Boże, ileż by dał, żeby jeszcze raz dać po mordzie temu gnojkiwi, który miał czelność gapić się w taki sposób na jego siostrę.

– To Jaime Harrington – wyjaśnił. – Moja siostra, Madeline.

– Siostra?

– Ach tak, pamiętam to imię. – Na ustach Mad pojawił się promienny uśmiech. Wes nigdy jeszcze nie widział, by uśmiechała się do kogoś w taki sposób. Widok ten go zmroził. – Podoba mi się twoja kurtka. To kosztowna marka – oświadczyła.

– Tak – bąknął Jaime, nadal wyraźnie zmieszany. Niepewnym tonem dodał: – Dzięki...

Nim zdążył wypowiedzieć do końca to słowo, Mad wylała całą zawartość swojej szklanki na jego okrycie. Przechodząc obok, trąciła go jeszcze barkiem w ramię i westchnęła:

– Ojej.

Jaime przeklął siarczyście. Wes, zupełnie oszołomiony tym, czego właśnie był świadkiem, odczuwał przerażenie zmieszane z zachwytem. Nie zdążył otrząsnąć się i odejść, bo Jaime chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie. Znaleźli się tak blisko, że Wes czuł buchającą z ust chłopaka woń zwiędłego piwa oraz aromat whisky rozlanej na jego kurtce.

– Annette nie chce ze mną rozmawiać. Wiem, że to twoja sprawa.

– Lepiej przystopuj z napojami wysokowymi. Robisz z siebie pośmiewisko. – Wes zarejestrował moment, gdy Jaime się

zorientował, że to cytat z jego własnej wypowiedzi, i zagotował się ze złości. – Znam ten ból – ciągnął niezrażony. – Ale doszedłem do wniosku, że kobiety bardziej cię lubią, kiedy nie podejmujesz za nie decyzji.

Jaime obnażył zęby.

– Nie bądź taki zadowolony z siebie. Zawsze coś knujesz i na wszystko masz przygotowaną odpowiedź. Ale teraz miarka się przebrała, Winters. Módl się, żebyśmy podczas gonu nie zostali sam na sam. Poszczuję cię moimi ogarami, a one rozszarpią cię na strzępy jak zwykłego szkodnika, którym jesteś.

Wes chciał się roześmiać. Ale wesołość opuściła go, gdy napotkał spojrzenie Jaimego – tliła się w nim wrogość, jakiej nigdy dotychczas u niego nie widział. Było to coś bardziej złowrogiego od frustracji czy nawet nienawiści. Wyzierała z niego czysta desperacja.

Ten chłopak nie żartował.

Jaime puścił kołnierz koszuli Wesa, ale nadal wpatrywał mu się prosto w oczy. Wes, zbity z tropu, cofnął się o krok, dwa kroki, następnie odwrócił się na pięcie i pospiesznie skierował do stolika. Miał do siebie pretensje, że pozwolił, by Jaime wytrącił go z równowagi. Dziwne zachowanie chłopaka bardziej kojarzyło mu się ze złym omenem niż ze zwyczajną groźbą. Z legend opowiadanych przez matkę wiedział, że bogini wojny zawsze pojawiała się przed bitwą, przynosząc zwiastuny klęski pechowcom. Miał niepokojące wrażenie, że teraz przemówiła ustami Jaimego, wieszcząc Wesowi gorzki koniec. Wyobraził sobie, jak zostaje powalony na ziemię niczym czmychająca łania.

Usiadł obok Margaret i objął ją ramieniem. Dziewczyna przyjrzała mu się badawczo.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Jednym haustem osuszył swoją szklankę. – W najlepszym porządku.

– Ktoś ma ochotę zatańczyć? – zanuciła Christine.

– Ja na pewno – zadeklarowała Mad.

– No to chodźmy.

Christine wstała i wmieszała się w tłum. Akurat wrzawa się wzmogła, bo kapela zagrała wyjątkowo radosny, skoczny utwór. Kiedy Wes przyglądał się wirującym w tańcu siostrom, uderzyło go,

jak inaczej wyglądają w takim otoczeniu niż na co dzień. Wydawały się bez troski, zupełnie jak wielkomięskie dzieciaki z bogatych rodzin, które w weekendy wymykają się z domu, by brać udział w zakazanych potańcówkach. Całkiem jakby jego rodzinie w oczy nie zaglądała bieda.

I właśnie dlatego – ze względu na nie – koniecznie musieli odnieść zwycięstwo w jutrzejszym gonie.

Kiedy znów zerknął na Margaret, dziewczyna nadal mu się przypatrywała. Westchnął z rezygnacją. Ukrywanie przed nią tego, co przed chwilą się stało, nie miało sensu.

– Wpadłem po drodze na Harringtona. Był wniebowzięty, że się spotykamy.

– Nie wątpię.

– Zapowiedział, że zabije mnie, jeśli zobaczy mnie jutro samego.

– Nie dopuszczę do tego. – Dopiero gdy Margaret przytknęła swoje kolano do jego, Wes zorientował się, że przez cały czas nerwowo porusza nogą. – Dałam Mad słowo, że cię obronię, choćbym miała zapłacić za to życiem.

– Cóż ja bym bez ciebie zrobił? – Przypatrywał się resztkom alkoholu na dnie szklanki. Kostki lodu uderzały o kryształowe ścianki. Dźwięk ten z jakiegoś powodu działał mu na nerwy. – Do tej pory łatwo było mi mówić, że nie stchórzę. Ale popatrz teraz na mnie: boję się Jaimego i samego siebie. A co, jeśli w decydującym momencie nie starczy mi odwagi?

– To znaczy?

– Nie spełnię swoich marzeń, dopóki nie zdobędę władzy. Ale jeśli zabiję halę, czym będę się różnił od wszystkich pozostałych alchemików w tym kraju? Skoro gotów jestem odciąć się od swoich korzeni, skoro zamierzam podporządkować się ich zasadom gry...

– Ale przecież wcale nie jesteś taki jak oni. Owszem, to ich gra. Już sam fakt, że dołączyłeś do gonu, był pogwałceniem obowiązujących reguł. A jeśli zwyciężymy, będzie to dla ciebie wielki krok na drodze, by całkowicie zmienić grę.

Co by oznaczało zwycięstwo w gonie dla sumickiego dzieciaka z Piątej Dzielnicy i wiejskiej dziewczyny Yu'adir? Z jednej strony nic, z drugiej wszystko. Zmusiłoby – przynajmniej na tę jedną noc i w tym zabitym dechami miasteczku – Nowy Albion do zastanowienia się na

nowo, jakich bohaterów wysławia. I do uświadomienia sobie, że jego spuścizna i tożsamość nie są, i nigdy nie były, monolitem.

Wes wolałby, żeby osiągnąć to wszystko, zarazem nie popełniał grzechu śmiertelnego.

– Tak sobie to tłumaczysz? – spytał.

– Nie – odparła z bladym, niemal smutnym uśmiechem. – Nie wiem, czy jak ty mam prawo utrzymywać, że zdradzam coś albo kogoś. Wychodzę raczej z założenia, że po prostu robię to, co konieczne. I ty też.

– No tak. Chyba masz rację. – Wes oparł czoło o stół.

– Wes, jesteś dobrym człowiekiem. – Kiedy poczuł na plecach jej dłoń, wyprostował się, żeby móc spojrzeć jej w oczy. – Matka ci przebaczy. A skoro Bóg chciał, żeby ze względu na nas hala pojawiła się na tym świecie, nie powinien zbyt mocno się na ciebie gniewać, że zechcesz zrobić z niej użytek. Postaraj się tej nocy nie łamać sobie nad tym wszystkim głowy. Powinieneś poszaleć na parkiecie z siostrami.

– Oboje powinniśmy.

– Nie, ja bym nie mogła.

– Daj spokój, chodź – nalegał przymilnym tonem. – Zatańcz ze mną.

– Nie umiem.

– To łatwe – stwierdził, wyciągając do niej rękę. – Słowo honoru.

Zgodziła się, choć z ociąganiem. Kiedy pozwoliła się zaprowadzić do miejsca, w którym było mniej ludzi, Wes poczuł, że nareszcie opuszcza go niepokój. Akurat w momencie gdy ją objął, piosenka zmieniła tempo. Mimo że dzisiaj niemal stracił Maggie, znów była przy nim i mógł trzymać ją w ramionach – w tej chwili niczego więcej nie potrzebował do szczęścia.

Margaret powiedziała mu niedawno: „Nigdy jeszcze nie czułam się tak zgnębiona, a równocześnie taka szczęśliwa”. Wes pomyślał, że dopiero teraz rozumie, co miała na myśli. Kiedy wokalista nucił półgłosem, a podkład perkusyjny osiągał crescendo, cały lokal wydał mu się zamglony, rozmigotany. Magia, którą wyczuwał pośród otaczających ich ludzi, skupiła się teraz w jej oczach. Ich ciepłe, upajające spojrzenie było niczym whisky. Pomyślał, że jeśli teraz jej nie pocałuje, oszaleje.

W tej samej chwili Margaret chwyciła go za klapy marynarki, zupełnie jakby umiała czytać mu w myślach. Wes nie zdążył jednak skrócić dzielącego ich dystansu, gdyż to, co ujrzał za jej plecami, go zmroziło.

Jaime Harrington przyglądał im się z miną człowieka, który już wie, że wygrał.

Gdy Wes obudził się w dniu Gonu Półksiężycy, było jeszcze ciemno.

Christine, nadal w stroju, w którym wyszła poprzedniego wieczoru do miasta, pochrapywała obok niego. Wyślizgując się z łóżka, Wes pomyślał, że wypomni jej to potem w żartach. Matka i Edie nadal spały głęboko. W przylegającym pokoju Mad i Colleen leżały na jednym łóżku, przedzielone murem poduszek. Łóżko Margaret było puste, pościel równo poskładana, zupełnie jakby nie była w ogóle używana.

Sądząc po zmęczeniu, jakie nadal odczuwał, oraz ciemności za oknem, była pewnie trzecia, może czwarta nad ranem. Myśl ta go zaniepokoiła. Może Maggie nie mogła zasnąć i zeszła na dół, żeby poczytać? Jeśli chodzi o niego, teraz, gdy uświadomił sobie, że gon rozpocznie się za kilka godzin, na pewno nie zmruży już oka.

Wyszorował zęby, napił się wody i ubrał się po ciemku, po czym zszedł na dół, żeby poszukać Maggie. W hotelowym holu panowała przeraźliwa cisza. Zastał tam tylko Annette drzemającą za kontuarem recepcji.

– Widziałaś Margaret?

Dziewczyna przebudziła się gwałtownie.

– Wes! Dzień dobry. Tak, widziałam. Wyszła mniej więcej przed kwadrans. O ile dobrze pamiętam, wybierała się popływać.

Zabrzmiało to na tyle nedorzecznie, że faktycznie mogło być prawdą.

– Dzięki.

Annette uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Powodzenia.

Wes zarzucił płaszcz i ruszył kamienistą ścieżką wiodącą ku klifom. Na brzegu zatoki płonęło ognisko. Wyrzucone przez morze drewno, za sprawą dużego stężenia soli morskiej i metali, spalało się na fioletowo. Łuna odbijającego się w wodzie księżycy w pełni przypominała świetlisty most. Złudzenie było tak potężne, że Wes

przysięgłby, że gdyby nań wszedł, mógłby dotrzeć aż do linii horyzontu. Kiedy podążył spojrzeniem z dala od brzegu, dostrzegł ciemny kształt.

Margaret.

Zauważył teraz, że ubranie zostawiła starannie złożone na piasku, na tyle daleko, by nie dosięgnęła go woda. Nieśmiała, bogobojna część Wesa radziła: Odwróć się i wracaj do pokoju. Ale inna część, znacznie silniejsza, przekonywała: Powiedz jej teraz, ty tchórze, zanim będzie za późno.

Jedno z nich mogło dziś zginąć. Nie mogli powiedzieć sobie niczego, o czym dotychczas by nie wiedzieli. Dostrzegł to wyraźnie w jej spojrzeniu. Smakował to na jej ustach. Wypisywała to na jego skórze, ilekroć go dotykała. Ale we wszystkich legendach opowiadanych mu przez matkę prawdziwie wiążąca moc należała do słów. A Wes nie chciał umierać, dopóki dusze jego i Margaret nie spleją się ze sobą.

Ruszył ścieżką w dół, klnąc pod nosem, ilekroć poruszone jego stopami kamienie toczyły się hałaśliwie ku plaży. Nadal panował mrok. Jedynie lekki zefirek mierzwił mu włosy i oblepiał usta solą. Wes obawiał się, że swoim głosem mógłby zakłócić ten kruchy niczym szkło spokój. Dopiero gdy stanął na samym brzegu, dostrzegł wyraźnie Maggie. Księżyc tej nocy był olbrzymi, świecił jasno niczym latarnia uliczna. Ramiona dziewczyny zdawały się tonąć w jego srebrzystym blasku. Błyszczące, mokre włosy rozpościerały się wokół niej na wodzie. Margaret wydała mu się teraz istotą z innego świata. Syreną albo jedną z istot Sidhe, które w zwyczaju miały sprowadzać na mężczyzn śmierć w głębinach. Istotą magiczną, równie prastarą i dziką jak hala, która przyoblekła się w dziewczęcą skórę.

Była taka piękna.

W ciągu ostatnich paru tygodni nauczył się jej na pamięć. Wiedział, jak słońce odbija się w jej złocistych oczach. Potrafił rozpoznać uśmiech, który pojawiał się na jej twarzy, gdy miała wybuchnąć śmiechem albo gdy nie umiała dłużej udawać, że uważa jego wyglupy za irytujące. Wiedział, jaki wyraz twarzy oznacza, że jest o krok od załamania. Ale to, co teraz ukazywało się jego oczom, było dla niego czymś zupełnie nowym. Wes nie miał pojęcia, co się stanie, jeśli powie jej wprost o tym, co do niej czuje, nie bawiąc się

w półstówka ani nie uciekając się do gdybania. Czekała ich wspólna przyszłość nęciła nieskończonymi możliwościami, podczas gdy terażniejszość przerażała go, ale też wprawiała w ekscytację.

Nie wiedział, co zrobi, jeśli Margaret będzie chciała dokończyć to, co rozpoczęli. Tyle że teraz nie miał się już za czym schować. Byli tu sami, tylko on i ona.

Postanowił, że tym razem będzie idealnie.

Odchrząknął głośno, a wtedy Margaret odwróciła się do niego. Momentalnie zanurzyła się głębiej.

– Wes?

– Cześć, Margaret.

Próbował posłać jej jeden z tych swoich zawadiackich uśmiechów, ale z marnym skutkiem.

– Co ty tu robisz?

– Cóż, naszała mnie ochota na nadmorską przechadzkę – oznajmił, pilnując się, by jego ton nie zdradził, co się z nim dzieje. – Ale widzę, że nie tylko ja wpadłem na taki pomysł.

– Plaża jest duża. Możesz pospacerować gdzie indziej.

– Akurat to miejsce wyjątkowo mi się podoba. – Służalczy ton, którym mówił, zawsze ją irytował. Ale teraz poczuł się dzięki niemu pewniej. – Jeśli nie masz nic przeciwko, zostanę tutaj.

Obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby naprawdę lada chwila mogła wyjść na brzeg i zawlec go na głębinę. Wes pomyślał, że chyba nawet by się nie bronił. Nie miał nic przeciwko, by zginąć z jej ręki.

– Jak chcesz – odburknęła.

– A tak na poważnie to chciałem z tobą porozmawiać. Jest coś, czego nie dokończyliśmy.

Widział, jak jej twarz się wypogadza, w miarę jak zaczynało do niej docierać, w jakim celu przyszedł.

– No to chodź tutaj – zachęciła.

– Jest jeden problem: nie umiem pływać.

Uśmiechnęła się do niego z sympatią, a zarazem rozdrażnieniem. Dokładnie tak, jak najbardziej lubił.

– Tu jest płytko. Nie stracisz gruntu.

– Zaraz będę.



Kiedy zrzucił z ramion płaszcz i rozpiął koszulę, uderzyła go myśl, że znajdują się na widoku i każdy może ich tu nakryć. Ale od świtu nadal dzieliło ich parę godzin. To, co mieli zrobić, przepętniało go ekscytacją, przy której wszystkie jego zahamowania nikły niczym sól spalana w ognisku.

Strząsnął ze stóp buty, rozpiął pasek u spodni. Uwolniwszy się od reszty ubrań, zanurzył nogi w morzu i wzdrygnął się – woda była lodowata. Z pewnych względów nie była to dla niego wymarzona sytuacja. Na szczęście Maggie się zlitowała i odwróciła wzrok, dzięki czemu mógł zachować resztki godności.

Zebrawszy się w sobie, zapuszczał się coraz dalej od brzegu. Kiedy woda sięgała mu już po pas, było mu tak zimno, że z trudem oddychał. Ale nie cofał się. A gdy w końcu stanęli naprzeciwko siebie, tak blisko, że dzieliły ich tylko centymetry, nagle poczuł się całkowicie sparaliżowany. Przypomniał sobie o prezerwatywie, która razem ze spodniami została na brzegu. Zastanawiał się, co by poczuł, gdyby teraz dotknął Maggie, gdyby jego język podążył torem kropli spływającej po jej szyi.

– No to mów, co to za sprawa.

Faktycznie przyszedł tu, żeby z nią porozmawiać. Chciał jej coś powiedzieć, ale widząc, jak dziewczyna przygryza w oczekiwaniu wargę i wbija w niego przeszywające spojrzenie, poczuł, że w głowie ma pustkę. Uniósł rękę, zbliżając ją do łagodnego łuku jej szyi. Nachylił się bliżej, dopóki nie poczuł na wargach jej ciepłego oddechu.

– Zapomniałem.

Margaret położyła dłonie na jego torsie, jakby nie chciała skracać dzielącej ich odległości.

– A co, jeśli ktoś inny uzna, że to wymarzony moment na przechadzkę?

– Nie dbam o to. Niech sobie patrzy. Wiem, że prosiłaś mnie, żebym tego nie robił. Ale nie mogę, po prostu muszę powiedzieć ci...

– Wiem, Wes.

– Nie dręcz mnie – jęknął.

– Zamiast tego opowiedz mi dlaczego.

– Niby jak mam to wszystko zmieścić w słowach? Nic, co powiem, tego nie odda – stwierdził. Pochylił głowę, tak że stykali się

teraz czołami. – Ponieważ jesteś lojalna i dobra, mimo że świat sprzysiął się, aby uczynić cię zupełnie inną. Ponieważ wiesz, jak mnie rozśmieszyć. Wiesz, jak sprowadzić mnie na ziemię, gdy bujam w obłokach. I wiesz, jak mobilizować mnie do tego, bym bardziej się starał. Ponieważ podejrzewam, że gdybyś chciała, z łatwością byś mnie zabiła.

– Och. – Tylko tyle powiedziała, po czym objęła go w pasie.

Pomimo lodowatej wody, w której oboje byli zanurzeni, ciało Margaret było rozpalone. Wes nie umiał powstrzymać westchnienia, kiedy jego dłonie rozpoczęły wędrówkę w dół jej śliskich pleców, odnalazły talię, a potem krągłość bioder. A kiedy całował jej szczególnie wrażliwe miejsce pod linią szczęki i oddech Maggie stał się płytki, pomyślał, że mógłby się od tego uzależnić. Pod zębami czuł, jak pulsuje jej tętnica. Z jej gardła dobywały się teraz dźwięki, którymi mógłby się sycić do końca życia. Nie potrzebowałby żadnego jedzenia ani picia, wystarczyłyby mu one.

A gdy w końcu ich usta się odnalazły, poczuł, jak w jego wnętrzu roznieca się płomień, gorętszy od tego, jaki towarzyszy alchemicznej reakcji. Skoro nie chciała go wysłuchać, wyzna jej miłość w jedyny znany sobie sposób. Zanurzył palce w jej włosach nad karkiem, spijając sól z jej warg. Tamtego dnia, gdy ujrzał ją pierwszy raz – ubłoconą i spoglądającą na niego z pogardą – przez myśl mu nie przeszło, że ta dziewczyna będzie mieć na niego taki wpływ. Jak Margaret mogła pomyśleć, że Wes zatraci się w alchemii, skoro on już teraz bezpowrotnie zatracił się w niej?

Dziewczyna lekko odchyliła głowę do tyłu.

– Zimno.

– Naprawdę? – spytał jak ktoś budzący się ze snu. – Nie zauważyłem.

– Naprawdę.

Starał się nie dać po sobie poznać, że jest rozczarowany, kiedy Maggie wzięła go za rękę i zaprowadziła do niewielkiej zatoczki. Miejsce to na szczęście zapewniało osłonę przed ewentualnymi wścibskimi spojrzeniami i wiatrem. Przytuleni, usiedli przy ognisku. Znad płomieni co jakiś czas strzelały w górę iskry, które następnie wirowały na nocnym niebie. Wes nie dowierzał swojemu szczęściu, gdy Maggie na jego oczach zaczęła wycierać się ręcznikiem i nie

protestowała, mimo świadomości, że chłopak pożera ją wzrokiem, starając się zapisać w pamięci każdy centymetr jej ciała. Kiedy już się wysuszyła, rzuciła mu ręcznik. Mokra tkanina wylądowała mu na piersi.

– Wielkie dzięki – mruknął cierpkim tonem.

Margaret przywołała na usta wyrażający samozadowolenie uśmiezek, po czym założyła sukienkę i wykręciła włosy, zupełnie jakby była to ścierka do mycia naczyń. Mokry ręcznik nie nadawał się już do niczego, oblepiony piaskiem, boleśnie szorował po skórze, ale koniec końców Wes zdołał się osuszyć na tyle, by naciągnąć na nogi wilgotne spodnie.

Płaszcz rzucił na piasek niedaleko ogniska i ułożył się na nim. Bliskość ognia oraz dziewczyny, świetlistej na tle błękitnych płomieni, sprawiła, że zakręciło mu się w głowie.

– A tak naprawdę to skąd się tu wzięłaś?

– Nie mogłam zasnąć i pomyślałam, że pływanie dobrze mi zrobi – wyjaśniła, przyciskając kolana do piersi. – Kontakt z morzem zawsze mnie uspokaja.

– A teraz pomógł?

– Trochę.

Wes odchylił się do tyłu, opierając głowę na ramieniu.

– Nadal o mnie myślisz, Maggie? – spytał, wybierając ze swojej kolekcji uśmiechów ten najbardziej nieznośny.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Nie schlebiaj sobie.

– Ja wciąż myślę o tobie – powiedział zranionym tonem. – Chodź tutaj.

Margaret, westchnąwszy, podeszła i usiadła obok niego. Nie potrafiąc się powstrzymać, Wes objął ją w talii i położył, tak że znajdowała się teraz pod nim. Jęknęła zaskoczona. Jej włosy niczym płynne złoto rozsypały się na jego płaszcz i piasek, a oczy pociemniały, przybierając barwę ciepłej melasy. W pierwszej chwili spojrzała na niego w taki sposób, jakby miała zamiar go odepchnąć, tylko po to, by mu dopiec. Ale żar czający się na dnie jej oczu upewnił Wesa, że jeśli nie wykona żadnego fałszywego ruchu, powinien zachować wszystkie kończyny w komplecie.

W roztargnieniu wodził palcem po jej żebrach, kreśląc na nich jakieś tajemnicze wzory. A kiedy wsunął kolano między jej nogi, Maggie nieco zmieniła położenie bioder, ustawiając je pod takim kątem, że kolejna fala pożądania niemal pozbawiła go świadomości. W starciu z nią był bezsilny. Bezużyteczny. Zatopił nos w jej włosach i chciwie wciągnął zapach morskiej soli.

– Jesteś uparty – powiedziała, ale w jej głosie nie było jadu.

– Jestem słaby – wymamrotał. – A ty zachwycająca. Ale jeśli wolisz, będę trzymać ręce przy sobie.

– Nie, proszę... – Margaret odgarnęła wilgotne włosy wpadające mu do oczu. Jej dłonie były szorstkie od piasku, drapały go po skórze. Następnie nakierowała jego twarz ku swojej i pocałowała go. Nie przestawała, dopóki cały świat i każda jego myśl nie należały do niej.

Wes odchylił nieco głowę i rozpoczął niespieszną wędrówkę w dół, zasypując pocałunkami jej szyję, obojczyk. Zadarłszy jej spódnicę, złożył pocałunek na brzuchu i na obydwu kościach biodrowych. W zębach zgrzytał mu piach i sól, ale nie dbał o to, gdy Margaret chwyciła go za włosy i nakierowała tam, gdzie pragnęła go poczuć. Naszła go myśl, żeby podroczyć się z nią i wypomnieć niecierpliwość, uznał jednak, że lepiej jej nie prowokować, zwłaszcza że wepchnięcie go do ognia nie powinno nastęrczać teraz żadnych trudności. Poszukał jej spojrzenia, podziwiając, jak światło oblewa wszystkie krągłości jej ciała. Kiedy pocałował wewnętrzną stronę jej uda, Margaret na moment oddech uwiązał w piersi.

– Wiesz, ile razy wyobrażałem sobie tę chwilę?

Splonęła się na te słowa i zaczęła wiercić z zażenowania, co tylko go zachęciło.

– Odkąd przeczytałem tamten fragment w romansie, ilekroć widziałem cię nad lekturą, przeżywałem katusze.

Margaret, głosem słodkim jak cukierek, spytała:

– No to może zamiast gadać, skrócisz nasze męki?

Ponieważ nie mógł się z tym spierać, zrobił, o co go prosiła. Kiedy już odnalazł rytm, który najbardziej jej odpowiadał, pomyślał o tym, jak wielką ma nad nim władzę, skoro wystarczy nacisk jej palców przyciągających jego głowę i jej smak, by cały stał się cichym jękiem pożądania. Zdał sobie wówczas sprawę, że nic, czego

dotychczas doświadczył w życiu, nie mogło równać się z satysfakcją, jakiej doznawał, gdy dziewczyna, dysząc z rozkoszy, wypowiadała jego imię.

Nie zdążył nawet porządnie złapać tchu, gdy Margaret obróciła go na plecy i dosiadła. Pierś jej falowała. Doprowadzało go do szału, że prosta bawełniana sukienka, teraz już gruntownie pomięta, nadal ukrywa przed nim jej ciało.

W tej chwili, przyglądając się jej zarumienionej twarzy, zamglonym oczom, głowie w aureoli księżycowego blasku, gotów był uwierzyć, że Bóg istnieje – i nazywa się Margaret Welty.

Kiedy nachyliła się nad nim, włosy opadły jej na barki.

– Pragnę cię – wyszeptała.

– Boże, tak... – wydyszał Wes. Jego zasób słownictwa ograniczał się w tym momencie do tych dwóch wyrazów. Nagle uderzyła go pewna myśl. Zacinając się, powiedział: – Ja... muszę tylko... Zaczekaj.

Ze zdenerwowania serce tłukło mu się pod żebrami, jakby chciało wyskoczyć. Rozdygotanymi rękami zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu prezerwatywy. Kiedy w końcu ją znalazł, ściągnął spodnie i rozerwał opakowanie. Margaret zafascynowana przypatrywała się, jak nasuwa kondom na członek. Wes nigdy w życiu nie czuł się tak skrępowany i pozbawiony pewności siebie.

Wodząc kciukiem po jego dolnej wardze, spytała:

– Denerwujesz się?

– No jasne. Chcę, żeby było... – Przyglądała mu się wyczekująco. Powinien był się domyślić, że nie będzie mieć dla niego litości i zmusi, by podzielił się z nią wszystkimi sekretami. – Chcę, żeby było idealnie – dokończył.

Margaret zaszczyciła go jednym ze swoich rzadkich, sekretnych uśmiechów.

– Już jest.

„Już jest”. Były to najpiękniejsze dwa słowa, jakie dotąd usłyszał.

Kiedy mościła się na nim, nie spieszyła się. Przez głowę przeleciała mu niepokojąca myśl, czy zdoła kiedykolwiek zejść z wyżyn rozkoszy, na jakie go teraz zabierała. W spojrzeniu Maggie kryły się dokładnie te słowa, które tak bardzo pragnął wypowiedzieć na głos. Ale to, co działo się teraz między nimi, niewiele się różniło od

wyznania. Pomyślał, że mógłby przez całą wieczność uczyć się miłości do niej w taki sposób i nigdy nie miałby dosyć. Koniec przyszedł jednak znacznie szybciej, niż się spodziewał. Przyciągnął dziewczynę do siebie i szepnął jej do ucha:

– Przepraszam.

Roześmiała się i ułożyła wygodnie głowę w zagłębieniu pod jego brodą.

– Daj spokój, nie masz za co przepraszać.

Wspólnie wsłuchiwali się w szum fal rozbijających się o brzeg. Jego nierówny oddech uspokajał się powoli, dopóki nie zrównał się z miarowym szmerem przyływu i powracającym szeptem: *Margaret, Margaret, Margaret.*

Wystarczyło parę minut, by zasnęła. Wes nie budził jej aż do świtu, gdy niebo przybrało lawendowy kolor.





o rozpoczęcia gonu pozostały trzy godziny.

Po powrocie do zajazdu Margaret i Wes wślizgnęli się na palcach do pokoju, żeby przygotować się do zawodów. Maggie zaplotła warkocz i założyła swój strój myśliwski: biały golf, jasnobrązowe bryczesy i brązowe buty do jazdy konnej. Czarną kurtkę powiesiła na oparciu krzesła w hotelowej jadalni. A ponieważ nie umiała odmówić Annette, która nalegała, żeby coś przekąsiła na śniadanie, siedziała teraz przy małym stoliku śniadaniowym, w roztargnieniu pogryzając biszkopta i czekając, aż dołączy do niej Wes.

Za oknem rozpościerał się widok na morze, szare tego dnia, poprzecinane grzywami fal. Gdy patrzyła na nie teraz, trudno jej było rozpoznać w nim to, przy którym leżała tego ranka, wsłuchując się w bicie serca Wesa. Zresztą wciąż nie opuszczało jej wrażenie, że znajduje się w stanie półsnu. Lękała się, że nadciągający sztorm zabierze ten przyjemny ból, który odczuwała w środku – że zanim ten dzień dobiegnie końca, zostanie pozbawiona tego cudownego szczęścia.

W ciszy rozległ się stukot zbliżających się kroków. To Wes, podpowiedział jej nagły poryw serca.

Ale to nie Wes podszedł do jej stolika, lecz Evelyn.

– Matko.

Evelyn ubrana była w tweedową garsonkę, złociste włosy zaplotła w warkocz, który spoczywał na jej barku niczym wąż. Desperacja i zmęczenie zniknęły z jej spojrzenia. Wydała się córce znacznie bardziej przytomna niż przez ostatnie lata. Margaret



pomyślała wręcz, że przypomina teraz matkę, którą zapamiętała z epoki, zanim tragedia zniszczyła ich rodzinę.

- Muszę z tobą porozmawiać.
- Dobrze, ale mam tylko chwilę.
- Więcej nie potrzebuję.

Kiedy Evelyn usiadła naprzeciw niej, Maggie poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Nagle zrobiło się duszno, coraz trudniej było oddychać.

– Margaret, nie musisz odchodzić. Jak długo zamierzasz się przede mną chować?

Dziewczyna wzrok miała utkwiony w matczynych spinkach do mankietu. Wolała milczeć, nie ufała sobie na tyle, by ręczyć za to, co powie.

– Martwię się o ciebie. Co dobrego może przyjść z tego, że z nim uciekniesz?

– To dobry mężczyzna.

– Taki sam jak oni wszyscy. Zostawi cię, kiedy tylko dostanie to, na czym mu zależało. Może za długo chroniłam cię przed kontaktem ze światem, skoro tego nie rozumiesz. Twój ojciec...

„Jesteś taka sama jak twój ojciec”.

– Nie chcę słuchać o ojcu. I nie obchodzi mnie, co myślisz na temat Wesa.

– Zastanów się. Jesteś dobrze wykształconą dziewczyną. Nawet gdyby kiedyś w oczy zajrzała nam bieda, nazwisko Welty coś znaczy. A jeśli chodzi o tego Wintersa, cóż... – Evelyn wykonała jakiś niesprecyzowany gest. – To zwyczajny awanturnik. Co on może ci zaoferować, poza kłopotami? Zmarnujesz sobie przy nim życie, może zresztą już jest za późno...

– Nic ci do tego, co robię – uniosła się Margaret.

– Jestem twoją matką. Oczywiście, że interesuję się tym, co robisz.

– Nie raz już pokazałaś mi, co znaczy dla ciebie bycie matką.

Wyraz twarzy Evelyn zdradzał, że słowa córki ją dotknęły. Margaret żałowała, że je wypowiedziała, ale było już za późno. Matka nachyliła się nad stołem, jakby zamierzała chwycić ją za rękę.

– Nie ma dla mnie nic ważniejszego. Wszystko, co robię, robię z myślą o moich dzieciach. – *Dzieciach*. Nie dziecku. – Kocham cię,

Margaret. Staralam się opiekować tobą tak dobrze, jak umiałam. Ale teraz rozumiem, że tobie to nie wystarczało. Uwierz mi, kiedy mówię, że znam się na mężczyznach pokroju Westona Wintersa. Uczyłam takich. Kochałam. Porzuci cię, kiedy już dostanie, czego chce. Niezależnie od tego, czy będzie to zwycięstwo w gonie czy małżeństwo z tobą, które pozwoli mu wejść w posiadanie mojego dworu.

– Mylisz się.

– On cię *wykorzystuje*. Naprawdę tego nie dostrzegasz? Co on może w tobie widzieć? Co ci dał poza obietnicami i pięknymi słówkami? Może zresztą teraz rzeczywiście cię kocha. Ale zastanów się, co będzie za rok, kiedy już się tobą znudzi i zacznie go nosić. Przejrzałam go na wylot, kiedy tylko was zobaczyłam. Patrzy na świat, jakby miał ochotę połknąć go w całości.

Matka ubrała w słowa największe lęki Margaret, te, od których dziewczyna odgradziła się w chwili, gdy zobaczyła, jak Wes zakochuje się w niej, kiedy mierzyła do niego ze sztucera. Jednak teraz obawa o to, jak będzie wyglądać jej przyszłość, odżyła z nową siłą. Owszem, może i pisane im było wspólne życie – dobre życie, o jakim marzył Wes – ale niewykluczone, że okaże się ono koszmarem. Wes będzie rozpamiętywał karierę, której wyrzekł się dla niej. Ona natomiast, niczym żona-selkie, uwięziona w labiryncie Dunway. Oboje będą skazani na klepanie biedy i żywienie do siebie niewypowiedzianych uraz.

Znudzi się tobą. Zacznie cię okłamywać. A w końcu cię porzuci.

Poznała go z różnych stron: jako człowieka zdolnego do miłości, ale też do złośliwości. Kierującego się w życiu ambicją, ale też umiejącego postępować bezinteresownie. Niezrównoważonego, ale też bezgranicznie oddanego. Wes był wszystkimi tymi ludźmi jednocześnie. I zawsze miał taki pozostać. Margaret nie mogła popełnić drugi raz tego samego błędu: nie mogła ograniczać jego złożoności, nie mogła udawać, że połowa stanowi całość. Jeżeli miałyby wskazać jedno prawo alchemiczne, którego była całkowicie pewna, tak właśnie by brzmiało.

– Dostrzegam w nim siebie samą – ciągnęła Evelyn. – Oboje reprezentujemy typ ludzi, których bardziej zajmuje to, jakim świat

mógłby się stać, niż to, jaki jest obecnie. Ale ty jesteś inna, Maggie. Jego ambicje zrujnują ci życie.

– Wes nie pragnie zostać alchemikiem, żeby prowadzić własne badania. Dla niego to tylko środek do celu. Zamierza zostać politykiem, chce pomagać ludziom.

– Czy ty siebie sama słyszysz? – spytała Evelyn, chwytając córkę za przedramię. – Jeśli pokazałaś mu moje notatki, ten chłopak wie już, jak wydestylować *prima materia*. Jeżeli zwyciężycie w gonie, zdobędziecie truchło hali. A dopóki będzie ono w waszym posiadaniu, on stale będzie musiał się zmagać z pokusą. Polityka to ciężka praca. Jak myślisz, co się stanie, gdy Wes zda sobie sprawę, jaki potencjał kryje w sobie kamień filozoficzny? Jaki idealista zdoła odrzucić moc, z którą będzie mógł urzeczywistnić każde swoje marzenie? Nie urodził się jeszcze człowiek, który wzgardziłby boską mocą będącą w zasięgu jego ręki.

– A co twoim zdaniem powinnam zrobić? – spytała Margaret, starając się opanować drżenie dłoni.

– Oddaj mi truchło lisa.

Mimo że miała na sobie gruby sweter, czuła, jak palce matki wpijają się w jej przedramię. Oczy Evelyn płonęły.

– Tym razem mi się uda. Znów będziemy rodziną.

„Rodziną”. Słowo to przyprawiło Margaret o tęsknotę tak przemożną, że zrobiło jej się niedobrze. Tak długo marniała w zapomnieniu, niczym więzień przykuty łańcuchem na pustkowiu, tuż na granicy zielonej oazy matczynego uczucia. Dlatego teraz brzmienie tego słowa było niczym pierwsze od lat krople życiodajnej wody. Jeśli matce się nie powiedzie, cierpienie córki dobiegnie końca. Hala to ostatni z demiurgów – a tym samym ostatnia szansa na uzyskanie kamienia filozoficznego. Kiedy zniknie, misja Evelyn również się zakończy. Wówczas znów będą rodziną.

Ale czy w ogóle jest możliwe, żeby jeszcze kiedykolwiek było tak jak kiedyś? Czy to naprawdę takie proste – jak cofnięcie wskazówek na zegarowej tarczy? Czy po wszystkim, co obiecywał jej Wes, zadowoliliby ją powrót do bezpiecznego, pozbawionego wyzwania życia, które dotychczas wiodła?

– Zastanów się nad tym. I powodzenia dzisiaj – rzekła Evelyn, wypuszczając z uchwytu rękę córki.

Wstała z krzesła i wygładziła klapy żakietu.

Kiedy znalazła się w holu, zauważyła na schodach Wesa. Oboje zamarli na swój widok. Chłopak zacisnął pięści. Świat zastygł w oczekiwaniu. Powietrze w płucach obserwującej to spotkanie Margaret obróciło się w kryształ.

Na twarzy chłopaka nie zaszła żadna zmiana. Wcisnął ręce do kieszeni i podjął marsz w kierunku Maggie, jakby w ogóle nie zauważył Evelyn.

Dopiero wtedy dziewczyna odetchnęła z ulgą i ukryła twarz w dłoniach.

Wes odsunął dla siebie krzesło, którego nogi zaskrzypiały na wyłożonej płytkami podłodze. Margaret i bez tego dzwoniło w uszach, a dźwięk ten wwiercił jej się w mózg.

– Co ci powiedziała?

– Nic takiego.

– Margaret...

Jego zatroskany głos i spojrzenie, jakim obrzucił niedojedzone przez nią śniadanie, były niemal ponad jej siły. Nim nadejdzie nowy dzień, serce pęknie jej na pół.

– Wszystko w porządku. Nie martw się o mnie.

Była teraz jak pod prądem: czuła się podminowana i dosłownie traciła zmysły ze strachu. Jak mogło być wszystko w porządku, skoro nic nie było pewne? Jedyne pewnik, jaki знаła, sprowadzał się do fundamentalnej zasady: tylko trzymanie się sprawdzonych schematów gwarantuje przetrwanie. Należy walczyć na śmierć i życie o to, co niezbędne do przeżycia, a nie o to, czego się pragnie. Ale teraz znalazła się w takim momencie swojego życia, że nie odróżniała jednego od drugiego.

Wes ujął jej dłonie i zbliżył do swoich ust. Jego wargi były miękkie i ciepłe. Zaczesane do góry włosy lśniły jak pociągnięte lakierem, parę niesfornych kosmyków wpadało mu jednak do oczu. Czasami ten chłopak był naprawdę uroczy. Maggie pomyślała, że musi być skończoną idiotką, że go pokochała.

Kocham go.

Teraz, gdy przyznała się do tego sama przed sobą, przyjęła to bez zdziwienia. Przypominało to nie tyle objawienie jakiejś skrytej prawdy, ile raczej puentę jakiegoś okrutnego i przewidywalnego

dowcipu. Miała poczucie, jakby podsunęła wszechświatowi więcej amunicji, dzięki której będzie mógł ją zranić.

– Gotowa?

– Tak – odrzekła, zmuszając się do uśmiechu. – A ty?

– Na tyle, na ile mogę. – Po chwili wahania Wes spytał: – Boisz się?

– Jestem przerażona.

Ale to nie spotkanie z halą budziło w Margaret grozę. Obawiała się, że w decydującym momencie podejmie błędną decyzję.

Było za chłodno jak na środek jesieni. Znacznie chłodniej niż w ostatnich tygodniach.

Zanim zgłosili urzędnikom swój udoskonalony alchemicznie sprzęt, zrobiło się już późne popołudnie, a niebo zaciągnęło się grubą warstwą ciemnych, burzowych chmur. Margaret słyszała odległy pomruk grzmotu – brzmiał jak ostrzegawcze powarkiwanie gotującego się do ataku psa. Atmosfera oczekiwania sprawiała, że powietrze zdawało się naładowane elektrycznością. Uczestników zgromadzono na polu sięgającego im po pas żyta, które rozpościerało się jak okiem sięgnąć na półtora kilometra. Gdzieniegdzie przecinały je wyznaczające pastwiska płoty. Miejscami jednostajność krajobrazu wzbogacały zagajniki cyprysów i klonów, których sękaty powykrzywiane gałęzie przywodziły na myśl palce wiekowego człowieka.

Psy w rozstawionych wokół budach powarkiwaly, szczerząc zęby. Zniecierpliwione konie parskały głośno, a ich oddechy w postaci obłoczków unosiły się w lodowatym powietrzu. Myśliwi ze szkarłatnymi insygniami gawędzili w grupkach. Do roznoszenia na srebrnych tacach sherry wykorzystano dzieciaki za młode, by mogły wziąć udział w samym gonie. Nieco bliżej Wickdon swoje konie oporządzali liczący na wspaniały spektakl górale. W podmuchach wiatru powiewały ich czarne płaszcze, które na tle złocistych pól wyglądały niczym ciemne fale.

Margaret nie spodziewała się, że gon przyciągnie aż tylu ludzi. Większość przyjezdnych ścigała tu nie po to, by obserwować, jak leje się krew, lecz dla towarzyszącej wydarzeniu zabawy. Turyści ci będą przez cały dzień odsypiać kaca i dopiero o północy pojawią się na placu miejskim, gdzie odbędzie się ćwiartowanie zwłok

i skrapianie krwią tych, którzy w gonie uczestniczą po raz pierwszy. To, czego nie wezmą zwycięzcy – o ile oczywiście tegoroczne zawody wyłonią zwycięzców – padnie łupem ogarów.

Margaret powtarzała sobie, że nie może być inaczej.

Ale perspektywa zwycięstwa, do niedawna całkowicie nieskomplikowana, teraz napawała ją przerażeniem. Jeśli wyda halę Wesowi, matka nigdy już się do niej nie odezwie. Jeżeli odda łup Evelyn, zaryzykuje, że kamień filozoficzny całkowicie ją pochłonie. Rezygnacja z udziału w zawodach też nie wchodziła w grę, bo wówczas pograży rodzinę Wesa. Niezależnie od tego, co zrobi, ucierpią ludzie, których pokochała.

Z głośnika dobiegły trzaski i czyjś flegmatyczny głos:

– Przystępuję do udzielenia błogosławieństwa ogarom.

Pastor Morris, odziany w ponurą czarną sutannę, ze stułą z czarnego aksamitu zawieszoną na szyi, stał plecami zwrócony do lasu. Mrużył oczy, jakby chronił je w ten pochmurny dzień przed słońcem, i wbijał wzrok w poustawiane jedna obok drugiej psie budy. Gdzieś pośród tych wszystkich niespokojnych ogarów znajdował się Kłopot. Na myśl o tym, że jej pies ma ścigać halę, Margaret robiło się słabo. Magia hali krążyła już w powietrzu, to dlatego psy były takie rozdrażnione. Margaret bała się, że gdy Kłopot pogna na złamanie karku w grupie złaknionych krwi ogarów, hala rozszarpie go na strzępy.

Kiedy pastor Morris w końcu się odezwał, jego głos niemal zginął wśród wycia wiatru i szelestu zboża. Żyto falowało wokół nich niczym wzburzone morze podczas sztormu.

– Ojcze niebieski, stwórcu wszystkich rzeczy, zgromadziliśmy się tutaj, aby uczynić zadość najstarszej i najświętszej tradycji tego kraju. Prosimy, pobłogosław wszystkich stojących przede mną myśliwych i spraw, aby jeden z nich nareszcie zabił halę, ostatniego z fałszywych bogów. Dziękujemy ci za nasze wspaniałe ogary, rącze konie, za lasy i morze, i za wszelkie stworzenie w wolnej krainie Nowego Albionu. Strzeż nas od krzywdy, wskaż nam drogę i pobłogosław wszystkim, którzy przybyli tu dzisiaj, by uczcić ten święty obrządek, i wszystkich, którzy oddali życie w twoje imię. Poprowadź ich dusze do światła, niechaj nareszcie zrzucą okowy tego materialnego świata. Amen.

Odpowiedziało mu chóralne „amen”. Kiedy tylko zapadła cisza, łowcza popędziła swojego konia i pognąła w stronę lasu.

– Ponury wstęp – ocenił półgłosem Wes. – Co się teraz stanie?

– Przetrząśnie zarośla w poszukiwaniu zwierzyny. Tradycja chce, aby łowcza wypłoszyła lisa i pozwoliła, żeby oddalił się nieco od myśliwych. Gdyby zawody skończyły się zbyt szybko, uznano by gon za nieudany.

– Ile w takim razie potrwa?

– Kilka minut albo parę godzin. Zależy.

– Parę godzin?

– Nie wiem.

Migotek położył łeb na barku dziewczyny, a ona w roztargnieniu pogłaskała zwierzę po policzku. Dziś rano Aoife zaplotła grzywę wąża w skomplikowany wzór. Zapewniała, że przyniesie im szczęście.

Parę minut później ryk rogu przetoczył się nad polami, powtórzony przez grzmot burzy. Nagle z daleka dobiegł okrzyk:

– Wycza!

Publiczność zaczęła wznosić dopingujące okrzyki. Grupka ochotników podbiegła do bud, żeby wypuścić ogary. W jednej chwili wszędzie wokół zaroilo się od setek psów, które ujadając i podgryzając się nawzajem, niczym rudo-czarna rzeka, zanurzyły się w wybujałą szeleszczącą trawę. Zwierzęta robiły przy tym ogłuszający hałas. Margaret była pewna, że nigdy dotąd nic podobnego nie słyszała.

– Pierwsza pogoń! Pierwsza pogoń na linię startową!

Poczuła, jak przewraca jej się w żołądku. To wszystko działo się za szybko. Kiedy już miała wrażenie, że wyslizguje się ze swojego ciała i zbliża się kolejny epizod, poczuła nagle, jak palce Wesa odnajdują jej dłoń. To sprowadziło ją z powrotem na ziemię.

– To my – stwierdził chłopak.

– Racja.

Nie wypuszczając ręki Wesa, ścisnęła mocniej wodze i ruszyła w stronę linii startowej. Gapie napierali ze wszystkich stron i nagle odniosła wrażenie, że tych kilka metrów, jakie mieli do pokonania, rozciągnęło się w wielokilometrowy odcinek. Czyjs łokieć boleśnie

wbił jej się w bok. Im głębiej zapuszczali się w tłum, tym wyraźniejsze stawały się wysyczone przez zaciśnięte zęby słowa:

– Banwisz. Yu’adir.

Najwidoczniej Jaime nie próżnował: wieść o ich pochodzeniu i wyznaniu lotem błyskawicy rozniosła się po mieście. W pewnym momencie ktoś chlusnął przed siebie piwem, oblewając Wesowi buty. Ktoś inny rzucił przed nich garść monet – upadły na ściętą mrozem ziemię i zalśniły niczym krople krwi.

Sploszony Migotek zarżał. Twarz Margaret płonęła z gniewu i upokorzenia, mimo to dziewczyna szła z uniesioną głową. Idący u jej boku Wes miał znękany wyraz twarzy. Jeszcze nigdy nie widziała, by tak źle znosił bycie w centrum zainteresowania.

W końcu uciekli tłuszczy i dotarli do miejsca, gdzie zebrali się pozostali członkowie pierwszej pogoni. Ustawili się w półkolu za łowczą, ich kurtki mieniły się najpiękniejszymi odcieniami kamieni szlachetnych. Margaret wiedziała, że nie może teraz dać się zastraszyć. Nikomu, nawet Jaimemu.

Odnalezienie go wśród myśliwych nie było trudne – dosiadał klaczy o włosiu tak czarnym jak przepływające nad ich głowami chmury, stanowiącej jaskrawy kontrast z jego szkarłatnym płaszczem. Jaime odwrócił się i powiedział coś półgłosem do swojej alchemiczki, stojącej u jego boku rudowłosej kobiety. Nieznajoma poszukała wzrokiem Margaret. Kiedy spojrzenia obu kobiet się spotkały, na ustach alchemiczki pojawił się złośliwy uśmiezek. Wargi miała pociągnięte krwistoczerwoną szminką.

Przez cały czas do Maggie wracały słowa wypowiedziane przez Wesa: „Zapowiedział, że zabije mnie, jeśli zobaczy mnie jutro samego”.

A zatem powinni jak najszybciej zgubić resztę pogoni. Pomogła Wesowi wdrapać się na grzbiet Migotka, po czym sama dosiadła konia. Wałach, zaniepokojony nadliczbowym jeźdźcem, rwał się do biegu. Margaret chwyciła mocno wodze, Wes objął ją w pasie. Na horyzoncie chmury się rozstały, ukazując zachodzące krwawo słońce. Była to czerwień przysypanego popiołem, żarzącego się węgielka. Czerwień kamienia filozoficznego.

W uszach słyszała dudnienie serca. Zawodzący wiatr wołał ją po imieniu. Zawył róg.



Rozpoczął się gon.





nali pod chmurami ciemnymi niczym *caput mortuum*. Gruba warstwa żelu, za której pomocą Wes zmusił do posłuchu swoją czuprynę, szybko przegrała z wiatrem. Margaret zgubiła spinkę. Wkrótce ich włosy się splątały, blond pasma z czarnymi, i biły go po oczach, wyciskając z nich łzy. Ponad ramieniem Maggie widział wyraźnie chaos, jaki panował na rozciągającym się przed nimi polu. Szlak biegu hali znaczyła zwęglona trawa i wilgotny ślad *coincidentia oppositorum*. Wokół nich galopowało więcej koni, niż mógł zliczyć. Ogłuszający tętent ich kopyt mieszał się z gromami nadciągającej burzy.

Margaret ścisnęła wodze tak mocno, że zbieleły jej knykcie. Wes, naprężony, ze stopami w strzemionach dwuosobowego siodła, kurczowo obejmował ją w talii. Gnali już teraz w pełnym galopie i powoli doganiali ogary. Mniej więcej w środku sfory mignęła Wesowi znajoma ruda sierść. A po chwili rozpoznał uszy Kłopoty, podskakujące w pełnym biegu. W porównaniu z niższymi i smukłymi psami rasy beagle i foxhound, wydawał się ciężki, ale jakoś dotrzymywał im kroku. Przed sforą przez trawę przemykał jakiś biały błysk.

Hala.

Lis prześlizgnął się błyskawicznie pod płótem, zostawiając za sobą kłęby dymu. Psy, dopadłszy przeszkody, zaczęły gramolić się pod krzyżulcami, powarkując na siebie. Myśliwi na przedzie pogoni skokiem pokonywali ogrodzenie, żeby nie zostać w tyle za sforą. Margaret w mig zrozumiała, że skakanie nie wchodzi w grę – Wes mógłby nie utrzymać się w siodle albo złamać sobie kość ogonową.

Okrażanie pastwiska kosztowałoby ich zbyt dużo czasu. Nie mieli jednak wyjścia.

Pokierowała Migotka ku miejscu, gdzie płot zakręcał. Paru słabszych jeźdźców ruszyło ich śladem. W pewnym momencie mało brakowało, a dwa galopujące obok siebie konie zmiażdżyłyby Wesowi nogę. Odór siarki stawał się coraz bardziej natarczywy, chłopakowi kręciło się od niego w głowie. Ale ponieważ poruszali się teraz w ciasno zbitej grupie, nie było dokąd przed nim uciec. Zazgrzytał zębami i obejrzał się przez ramię – tuż za nimi, krok w krok, pędził inny jeździec.

Alchemiczka Jaimego.

Kiedy zrównała się z Migotkiem, jej rozwiane na wietrze rude włosy wyglądały niczym płomień. Na skórzanych rękawiczkach kobiety widniały kręgi transmutacji, wyszyte błękitną nicią. Wesowi wystarczył rzut oka, by rozpoznać wzór – były to symbole pozwalające na rozkład węgla. Kiedy alchemiczka dotknie Migotka, przypali mu skórę. Wes w mig zrozumiał, że nie ma chwili do stracenia. Nie mógł się jednak ruszyć – gdyby zwolnił uchwyt, momentalnie zostałby wysadzony z siodła.

– Margaret, po lewej!

Dziewczyna odwróciła głowę akurat w momencie, gdy inny jeździec ciachnął nożem myśliwskim konia alchemiczki Jaimego. Przestraszone zwierzę skoczyło w bok, zrzucając kobietę na ziemię. Wes nie odważył się spojrzeć do tyłu, gdy dogonił go stłumiony jęk bólu.

– Musimy uciec tej grupie! – zawołała Maggie. – Trzymaj się!

Ręce już miał obolałe od ciągłego wysiłku, jakiego wymagało trzymanie się jej. Mimo to odnalazł w sobie siłę, by jeszcze wzmocnić chwyt. Wysforowali się wreszcie przed grupę i gnali dalej przez łąny żyta, stopniowo niwelując przewagę, jaką mieli nad nimi liderzy. Wes starał się nie spuszczać z oczu błyskającej na przedzie bieli, dopóki hala nie dała nura w gęste zarośla. Ogary pokonały płot zamykający pastwisko z drugiej strony i popędziły dalej w stronę lasu – ku wysokim drzewom, które zdawały się na nie czekać.

Po chwili ponad ujadanie ogarów wzniósł się czyjś okrzyk:

– Heć, heć!

Wes z narastającą grozą odliczał sekundy, jakie im pozostały, nim pochłonie ich las.

Kiedy wjechali między sosny, spowiła ich ciemność. Drzewa tutaj nie przepuszczały światła. Słyszał teraz wyraźniej swój przyspieszony oddech, który unosił się w powietrzu w postaci obłoczków pary. Jakimś cudem zagłuszał szczekanie psów, parskanie Migotka i trzask pękających pod jego kopytami gałęzi. Byli coraz bliżej liderów, Wes rozpoznawał już szkarłatny płaszcz Jaimego – wyglądał niczym plama krwi na atramentowo czarnym rumaku. Chłopak zachodził w głowę, co pocznie teraz rywal, gdy został bez alchemiczki.

Wiatr natarł ze zdwojoną siłą i po plecach przeszedł mu dreszcz. Doznawał teraz podobnej ekscytacji jak przy alchemicznych eksperymentach, a także identycznej grozy jak wówczas, gdy samotnie napotkał w lesie halę.

Wtem sfera rozpierzchła się na wszystkie strony, niczym kule w bilardzie. To, co przed sekundą było pełnym determinacji ujadaniem, w jednej chwili obróciło się w wyrażające dezorientację i rozpacz skomlenie. Musiała to być sprawka lisa – najwidoczniej umiał on w jakiś sposób wpływać na boską cząstkę, którą nosiły w sobie wszystkie zwierzęta. Margaret skręciła ostro w lewo, ruszając za Kłopotem. W świcie wiatru Wes rozpoznawał znajomy szepczący głos:

*Chodź.*

Przeklął pod nosem.

– Słyszałaś to?

– Tak – przyznała ponuro Margaret.

Biegnący przed nimi koń spłoszył się, potknął i wyrzucił z siodła jeźdźca, który lądując na ziemi, uderzył głową w brzeg sterczącego pieńka. W pełnym galopie Wes nie miał czasu dokładnie mu się przyjrzeć, rzucił tylko okiem: jego szyja wygięta była pod nienaturalnym kątem, z uszu ciekła krew, było jasne, że pechowiec nigdy już nie wstanie. Wesowi zebrało się na wymioty. Śmierć odcisnęła się na jego życiu w znaczący sposób. Nigdy dotąd nie widział jednak na własne oczy, jak się to dzieje – nie był świadkiem umierania w jego najbardziej prozaicznej i okrutnej postaci. W jednej chwili ktoś żył, w następnej był martwy. Nigdy wcześniej nie widział, jak dusza opuszcza ciało.

Kim trzeba być, żeby rokrocznie brać udział w czymś takim? Minęło niespełna pół godziny, a on już widział dość makabry, by starczyło mu do końca życia. Z pochyloną głową, czołem wtulonym w miejsce między łopatkami na plecach Maggie, starał się przypomnieć sobie modlitwę – jakąkolwiek.

„Boże – pomyślał. – Spraw, niech chociaż Margaret wyjdzie cało z tej jatki”.

Kiedy obrócił głowę w bok tak, że teraz policzkiem stykał się z jej plecami, odniósł wrażenie, że świat skrył się za mgłą albo że mróz utrudnia mu widzenie. Srebrzysta mgiełka, niczym zwinny kot, prześlizgiwała się między grubymi pniami sekwoi. Cały las syczał niczym wzburzony ocean. Mimo że w mroku dostrzegał niewiele ponad otaczające ich ciemne, niewyraźne kształty, mógłby przysiąc, że co chwilę w czerni widzi błysk białych lisich oczu. W pędzie nie potrafił stwierdzić, ilu ludzi ich otacza – czy może zostali sami.

Wyglądało to tak, jakby hala próbowała ich odciągnąć od reszty – zupełnie jakby to oni, nie ona, byli tu zwierzyną łowną.

Kopyta Migotka stąpały po pokrywającym trawę czarnym osadzie *caput mortuum*. W powietrzu unosił się odór siarki, bijący od zgnilizny, która znaczyła szlak biegu hali, zupełnie jakby demiurg, jak w bajce, uciekając przez las, rzucał za siebie okruszki chleba. Szelest suchych liści narastał, stawał się coraz bardziej natarczywy, aż wreszcie pośród całego tego zamętu i trzasku wyodrębniły się wyraźnie ich imiona.

Nagle dołączył również inny dźwięk: galop innego, doganiającego ich konia.

– Mamy towarzystwo – rzucił Wes.

Odwrócił się akurat w momencie, gdy wyprzedził ich smukły pies razy foxhound.

Huknął wystrzał.

Nad ich głowami ze świstem przeleciał śrut. Konar drzewa, pod którym przejeżdżali, rozpadł się na tysiąc kawałków sypiących się na nich niczym grad. Migotek potrząsnął wściekle łbem, błysnęły białka jego oczu, na szczęście Margaret mocno trzymała wodze.

– Co to było, do cholery? – warknęła.

Wes odwrócił się przez ramię – za nimi, niczym zjawa, z tumanu mgły i dymu po wystrzale wyłonił się pędzący na koniu Jaime

Harrington. Jedną ręką uczeplił się grzywy swojego rumaka, w drugiej trzymał strzelbę. Nic dziwnego, że strzelał jak ślepy.

– Oszalałeś? – zawołał Wes. – Ktoś przez ciebie zginie!

– Powiedziałem, że jeśli jeszcze raz wejdiesz mi w drogę, Winters, będziesz trupem!

– Nie potrafię go zgubić. Jest za szybki! – Głos Margaret zdradzał lekką panikę.

– Nie przejmuj się! Coś wykombinuję!

Myśli Wesa jednak gnały tak szybko, że chłopak nie potrafił skupić się na żadnej z nich. W ustach czuł kwaśny smak strachu. Ostatnią nadzieję pokładał w tym, że Jaime nie będzie mógł przeładować broni w galopie.

Już po chwili rywal zrównał się z nimi. Jechali teraz po wyjątkowo zdradzieckiej ścieżce. Co chwilę wszyscy musieli się schylać, żeby unikać spotkania ze zwieszającymi się nisko gałęziami. Jaime mógłby z łatwością ich wyprzedzić, mógłby kierować się po prostu za sforą ogarów aż do miejsca, w którym pościg się zakończy, i spróbować wówczas swego szczęścia z halą. Tyle że jemu wcale nie zależało na wygranej, co z całą mocą uświadomił sobie teraz Wes.

Jego celem było uniemożliwienie im zwycięstwa.

Kiedy okrążali jar, Jaime napierał swoim koniem na Migotka, zmuszając ich do jazdy coraz bliżej krawędzi. Przy każdym uderzeniu kopyt wałacha kamienie sypały się w dół zbocza. Gnali teraz ramię w ramię, na tyle blisko, że Wes mógł przyjrzeć się twarzy rywala – i dokładnie widział nienawiść płonąca w jego spojrzeniu.

Kiedy Jaime wyciągnął rękę, żeby go popchnąć, Wesowi wydało się, jakby czas zwolnił bieg. Zdawał sobie sprawę, że jeśli straci równowagę i zsunie się z siodła, pociągnie za sobą Margaret. Bez namysłu wysunął stopy ze strzemion i puścił dziewczynę. Chwytał Jaimego za nadgarstek.

W następnej chwili znalazł się w powietrzu.

– Wes!

Impet upadku był tak potężny, że pozbawił go tchu. Towarzyszył mu też złowróżbny trzask, jakby coś pękło. Obaj – Wes i Jaime – przeturlali się za krawędź i runęli w dół zbocza, spleceni członkami niczym walczące zajadłe psy. Wystające z ziemi korzenie i głązy

raniły ich, kiedy zsuwali się w dół. Wreszcie znaleźli się na dnie jaru, przy czym Wes leżał na dole, a Jaime wylądował na nim. Ramiona Wesa znalazły się pod kolanami tamtego, chłopak nie był w stanie się ruszyć, przygnieciony przez rywala. Wcześniej, za sprawą adrenaliny, nie poczuł, co sobie złamał. Za to teraz do jego świadomości zaczął przedzierać się ból tak przenikliwy, że aż zawył.

Szkarłatny płaszcz Jaimego cały był ubłocony. Białka w oczach chłopaka były poprzecinane siecią czerwonych żyłek, zupełnie jak splekane bloki betonu. Ostatnią rzeczą, jaką Wes zarejestrował, nim ujrzał rozbłysk tysiąca gwiazd, była zaciśnięta pięść i złośliwy uśmieszek na ustach rywala. Ułamek sekundy później przyszedł ból, eksplodujący w jego czaszce niczym pożar błyskawicznie trawiący las. Kiedy ocknął się z chwilowego zamroczenia, poczuł, że twarz ma mokną od krwi.

– Długo czekałem na ten moment... – wydyszał Jaime.

Wes poczuł metaliczny smak krwi w ustach i splunął. Sprawdził językiem, czy zęby są w komplecie. Na szczęście żadnego nie brakowało.

– Ulżyło ci, Harrington? Opuściłeś cały ten cholerny gon, żeby się na mnie odegrać?

– Wolę obejść się smakiem, niż pozwolić, żeby główna nagroda przypadła tobie.

– Nawet po tym, co spotkało twojego kumpla? Chcesz, żeby bestia wróciła tu za rok i dokończyła to, co zaczęła?

– Tylko to nam zostało. To ostatnia tradycja Nowego Albionu, która należy tylko do nas. – Po tych słowach Jaime zsunął z ramion szelki plecaka. Przez chwilę w nim szperał, wreszcie w jego ręce zjawił się nabój – szary i matowy. Podniósł się z ziemi i wprowadził nabój do magazynka. – Nie jestem głupi, Winters – oświadczył i przeładował broń. – Nic nie zdoła powstrzymać napływu ludzi takich jak ty. Na niewiele zdadzą się tu ustalone odgórnie limity. Wkrótce imigranci opanują nawet miejscowości takie jak Wickdon. Ja jednak nie zamierzam bezczynnie się temu przyglądać. Będę bronił naszych tradycji, póki starczy mi sił.

– Dałeś świadectwo...

Jaime uniósł strzelbę i wycelował w Wesa.

– Żadnych więcej cwaniackich odzywek. Mówię poważnie.



– To tak jak ja. Dałeś już odpór imigranckiej fali. Może uznamy, że jesteśmy kwita? Nie jesteś mordercą.

– I nie stanę się nim, nawet jeśli cię zabiję. Naprawdę wydaje ci się, że ktoś w ogóle zauważy, jeśli nie wrócisz z polowania? Łudzisz się, że ktoś za tobą zatęskni? W kraju ubędzie dwoje szkodników.

Dwoje.

– Jej w to nie mieszaj, draniu! Jeśli choćby włos spadnie jej z głowy...

Wes próbował wstać, ale kopniak w żebra sprowadził go z powrotem do parteru. Skulił się, dysząc ciężko.

– Jaime!

– Margaret... – wycharczał.

Dziewczyna stała parę metrów dalej, ze sztucerem wycelowanym w Harringtona. Złociste włosy powiewały na wietrze.

– Zmiataj stąd – rzucił Wes, zwracając się do Maggie.

– Odłóż broń, Margaret – odezwał się Jaime.

Ona jednak ani drgnęła. W milczeniu mierzyła go wściekłym wzrokiem.

– I to już! Klnę się na Boga, zastrzelę go jak psa! – groził Harrington.

Zaciśnięcie zębów zdradzało, jak bardzo jest zdenerwowana. Mijające sekundy dłużyły się jak wieczność.

„Proszę – pomyślał Wes. – Zabieraj się stąd, po prostu idź sobie...”

Kiedy zobaczył, jak dziewczyna rzuca broń na ziemię i podnosi ręce w geście kapitulacji, zamarł.

– Co ty wyprawiasz?

Jaime nakierował lufę swojej strzelby na Margaret.

– Będzie patrzył, jak uchodzi z ciebie życie. A kiedy już zrobię mu to, co on zrobił mnie, zabiję go.

Nie. Niemożliwe, żeby to miało się tak skończyć. Nie może znów zawieść osoby, którą powinien ochraniać – nie teraz, gdy stawka była najwyższa. Wes zerwał się na równe nogi, ostry ból w boku sprawił jednak, że niemal natychmiast osunął się z powrotem na ziemię.

– Nie waż się jej tknąć! Zabraniam ci! Nie dość zła wyrządziłeś?

– Naprawdę wydaje ci się, że w ogóle możemy być kwita? Mój ojciec musiał uciekać z miasta przez ludzi jej nacji. Przez ciebie

straciłem Annette! Przez ciebie, Banwisza bez grosza przy duszy. Stale wyciągasz ręce po czyjąś własność i nim się nasycisz, ogołocisz ten kraj do cna. Dla swojego papieża i tej swojej żalosnej religii jesteś tylko nic nieznaczącą marionetką. Zabijając cię, oddam nie mniejszą przysługę krajowi, niż uśmiercając halę.

Jaime złożył się do strzału. Wziął głęboki oddech. Margaret milczała, ale Wes znał ją już na tyle dobrze, by rozpoznać strach wyzierający z jej spojrzenia. Zaciśnęła powieki, odchyliła ramiona do tyłu.

– Nie rób tego. Zabiję cię. – Słowa wychodziły z ust Jaimego, lecz z trudem rozpoznawał własny zachrypnięty, pełen furii głos. – Zabiję cię! Bóg mi świadkiem...

Wtem powiał wiatr. Zaszleściły opadłe liście, trzasnęły bezlistne gałęzie na drzewach. Na języku Wes poczuł sól, a po chwili owionął go odór siarki.

I nagle, kątem oka, dostrzegł ją.

Wszyscy jak jeden mąż, niczym kukiełki poruszane nitkami, jednocześnie odwrócili się w jej stronę. Siedziała niemal na wyciągnięcie ręki, świetlista w otaczającej ich mgle. Przerazające puste ślepie hali były szeroko otwarte – tak szeroko, że można by w nie wpaść. Demiurg, milczący i nieruchomy, wpatrywał się prosto w Jaimego. Nawet podczas swojego spotkania z halą sam na sam Wes tak się nie bał.

Teraz otaczała ją wyraźnie złowroga aura.

– Co ona, do cholery, robi? – wymamrotał Jaime.

Bestia powoli unosiła wargi jak w uśmiechu rodem z koszmarów, ukazując dwa rzędy zaciśniętych zębisk, przywodzących na myśl zamek błyskawiczny.

Jaime uniósł strzelbę, ale nim zdążył nacisnąć spust, hala skoczyła. Gdy zatopiła kły w jego łydce, dał się słyszeć przyprawiający o mdłości chrzęst.

Kiedy jego skóra pokryła się czarnym jak węgiel nalotem i bąblami, z gardła Jaimego dobył się zwierzęcy ryk. Upuszczona strzelba wylądowała na ziemi, a zmieszane z krwią błoto przybrało srebrno-czerwono-czarną barwę. Chłopak zwinął się w pół, wtedy lis wypuścił z pyska jego nogę i schwycił za bark. Z łatwością odrywał

kawały mięsa, wyszarpując straszliwą ranę. Wes, porażony grozą, patrzył, jak Jaime próbuje pełznąć w jego stronę.

Margaret tymczasem wyciągnęła z pochwy na biodrze nóż myśliwski. Blask bijący od białego futra lisa załśnił odbity w ostrzu. Dostarczyła do demiurga i zatopiła nóż w jego grzbiecie.

Lis zawył, a Wes poczuł, jak dźwięk ten przenika go na wskroś i mrozi mu krew w żyłach. Przenikliwy, niepokojący pisk demiurga zabrzmiał tak, jakby skrywał w sobie tysiące ludzkich wrzasków. Hala przez chwilę rzuciła się wściekle, wreszcie, odzyskawszy równowagę, rzuciła się ku drzewom. Rękojeść naznaczonego alchemicznym wzorem noża nadal sterczała jej z grzbietu.

– Biegnij za nią! – popędzał Wes.

– Bez twojej pomocy nie zdołam jej zabić!

– Za chwilę do ciebie dołączę! – Przeniósł spojrzenie na Jaimego. – Najpierw muszę się zająć nim.

Margaret się wahała, ale tylko chwilę. Kiedy już pobiegła i zniknęła za krzewami, Wes odwrócił się do rannego. Jaime leżał tuż przy pokrytych błotem i krwią butach Wesa. Chłopak przyłożył dłoń do rany ziejącej w jego barku, jak gdyby się łudził, że zdoła tę płataninę rozszarpanych tkanek i mięśni wepchnąć z powrotem na swoje miejsce. Musiał przyznać, że podziwia stoicki spokój, z jakim Jaime znosił straszliwe obrażenia. Nie płakał. Nie błagał. Spoglądał spode łba na Wesa, a na dnie jego oczu czaiła się zaprawiona pogardą duma.

– Śmiało, zrób to.

– O czym ty mówisz?

– Nie udawaj głupiego. Przecież po to przy mnie zostałeś, czyż nie? Chcesz się zemścić?

Owszem, skłamałby, gdyby stwierdził, że myśl o tym nie napawała go występłą satysfakcją. Może zatem Margaret miała słuszność, gdy powątpiewała w jego dobre serce i bała się go. Jego dusza skrywała coś mrocznego, co kazało mu rozkoszować się poczuciem władzy. Świadomość, że nareszcie jest panem sytuacji – i może decydować o czyimś życiu – była upajająca. Każdy nosi w sobie boską cząstkę, ale tylko alchemik umie ujarzmić jej iskrę. W porównaniu z płonącym w nim boskim ogniem iskra Jaimego była tylko nic nieznaczącym, bladym odblaskiem.

W końcu po to właśnie pragnął zostać alchemikiem – by chronić ludzi przed draniami takimi jak Jaime Harrington. Postąpiłby sprawiedliwie, wybawiając tę krainę od człowieka, który tak wiele krzywd wyrządził – i nadal mógłby wyrządzać – bezbronnym mniejszościom zamieszkującym Nowy Albion. Zresztą nie musiałby skracać jego męki, wystarczyłoby, żeby odwrócił się do niego plecami i zaczekał, aż wykrwawi się na śmierć. Z drugiej strony gdyby wykończył go za pomocą alchemii, wszyscy uznaliby, że to robota lisa. Ludzkie ciało w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach zbudowane jest z sześciu podstawowych składników: węgla, wodoru, tlenu, azotu, wapnia i fosforu. Wes zastanawiał się teraz, czy człowiek uśmiercany alchemią odczuwa ból. Czy całe ciało błyskawicznie zajmuje się ogniem? Czy byłoby równie łatwo rozpuścić zwłoki, jak robi się to z kamieniem? Jeżeli Wszystko jest Jednym, a Jedno jest Wszystkim, jaka to różnica?

Jaime chyba podejrzewał, jakie myśli lęgną się w głowie Wesa. Opuścił głowę, jakby stracił nadzieję.

Ale Wes zdawał sobie sprawę, że nie może tego zrobić.

Zabijając Jaimego, nie rozwiązałby bardziej zasadniczego problemu. Nie wystarczyło wierzyć w lepszą przyszłość, jak gdyby była ona jakimś pewnikiem niczym Bóg. Trzeba było pomagać jej i pracować na jej rachunek. Mimo że Jaime zasługiwał na to, by cierpieć, mimo że nigdy się nie zmieni, mimo że Wes go nienawidził – nie potrafił zmusić się, by wykorzystać tę chwilę wyższości niczym pałkę do okładania przeciwnika. Jeżeli rzeczywiście zależało mu na zmianie świata i zabiciu hali z czystym sumieniem, musiał zrobić to na własnych warunkach.

– Wstawaj – zwrócił się do Jaimego. – Idziemy.

Przerzucił sobie nad karkiem zdrową rękę chłopaka, ale ponieważ ranny był od niego dwa razy większy, kiedy tylko próbował go dźwignąć z ziemi, nogi się pod nim ugięły. Przy każdym kroku przypominał o sobie ból w stłuczonych żebrach. W końcu jednak Wes zdołał dowlec Jaimego do drzewa. Oparł go plecami o pień i ściągnął swój płaszcz.

– Co robisz? – jęknął Harrington.

– Striptiz – odparował Wes. – Chcesz żyć czy nie?

Jaime zamilkł, choć Wes nadal czuł promieniującą od niego falami złość. Skrzywił się z bólu, kiedy Wes rękawami płaszcza przewiązał bark tuż nad raną, zaciskając węzeł na tyle mocno, by zatamować krew.

– Dlaczego to robisz?

– Najchętniej pozwoliłbym ci umrzeć. Ale Margaret by mi tego nie wybaczyła. A ja nie mogę pozwolić, żeby mnie zamordowała. – Poklepał chłopaka po zdrowym ramieniu. – No, to teraz jesteś dłużnikiem Banwisza. Pamiętaj o tym.

Oczywiście wolałby zostać chwilę dłużej, żeby rozkoszować się zdumionym, pełnym goryczy grymasem wykrzywającym twarz Harringtona, ale teraz miał ważniejsze zadanie – musiał odnaleźć dziewczynę. No i zabić lisa.





płucach czuła palenie, jakby wypełniała je morska woda. Mimo to nie zwalniała. Gdyby chociaż na chwilę przyhamowała, straciłaby halę z oczu. A wtedy wszystkie ich wysiłki i poświęcenia poszłyby na marne.

Gałęzie dały na strzępy delikatną księżycową poświatę. Ale nawet w tak nikłym świetle widoczne były oleiste, opalizujące plamy krwi, którymi hala znaczyła szlak swojej ucieczki. Kłopot i ogar Jaimego, pędzące na przedzie, we mgle były tylko rozmazanymi plamami w kolorze rudym i czarnym. W pewnym momencie psy dały nura w gęstwinię, a zaraz potem Margaret wypadła za nimi na polanę, strzepując z twarzy liście i pajęczyny. W tej samej chwili hala wskoczyła na gruby pień sekwoi i zaczęła się wdrapywać do góry. Kłopot krążył wokół drzewa, ujadając triumfalnie.

A więc wreszcie udało się ją osaczyć.

Margaret ściągnęła wiszący na ramieniu sztucer i wycelowała. Zdawała sobie doskonale sprawę z nienaturalności tej sytuacji: hala, zazwyczaj będąca wcieleniem majestatyczności, teraz była ranna i wystawiona na strzał. Dziewczyna nie odczuwała najmniejszej satysfakcji na myśl, że będzie musiała zakończyć długie życie demiurga – zwłaszcza że czuła z nim osobliwe powinowactwo. Jej opory brały się z czegoś więcej niż tylko z faktu, że w jej w żyłach płynie krew Yu'adir. Nie wynikały również z tego, że hala uratowała jej życie. Chodziło o to, że przez wieki sprytnie wodziła za nos tych, którzy dybali na jej życie. Przetrwała. Może tym właśnie przypominała ją najbardziej – że niczego poza tym nie pragnęła.

Margaret wzięła oddech i strzeliła.

Cienka gałąź, na której przysiadła hala, złamała się. Mimo że lis drapał korę, rozpaczliwie próbując znaleźć punkt zaczepienia dla pazurów, runął w dół. Spadając, obrócił się w powietrzu, po czym z głuchym łomotem wylądował na boku.

Ogary dopadły go natychmiast. Kłopot chwycił lisa za kark, pies Jaimego za łapę. Hala, rzucając się wściekle, kłapała pyskiem, próbując dosięgnąć prześladowców. Margaret zdawała sobie sprawę, że naraża istotę na cierpienie. Zmuszona była jednak czekać na Wesa, bez niego nie mogła niczego więcej zrobić.

Owszem, dokonała tego, ale wcale nie miała wrażenia, że to powód do triumfu. Poczucie winy i niezdecydowanie przyprawiły ją o mdłości. Ostatni demiurg zginie z jej ręki. Dziewczyna wyznania Yu'adir zapisze się w dziejach tego kraju. Rodzina Wesa nie będzie już musiała obawiać się biedy. A Wes...

Zyska moc, która sprawi – jeśli tego zechce – że materia będzie mu posłuszną. Nawet teraz nie umiała uciec przed dręczącym wspomnieniem słów matki: „Jaki idealista zdoła odrzucić moc, z którą będzie mógł urzeczywistnić każde swoje marzenie? Nie urodził się jeszcze człowiek, który wzgardziłby boską mocą będącą w zasięgu jego ręki”.

Powierzyła mu sekret *magnum opus*, ale dopiero teraz, zyskawszy truchło demiurga, Wes mógłby uczynić z tej wiedzy użytek. Teraz, gdy miała przed sobą najprawdziwszą halę, która mogła stać się narzędziem jej upadku albo wybawienia, nadal nie wiedziała, jaką decyzję powinna podjąć, idąc za radą pani Wreford, to znaczy zdecydować, co będzie najlepsze dla niej samej. Co wybrać: przetrwanie czy nadzieję? Cierpienie, które już zna, czy raczej życie z dala od Wickdon, z jego nieskończonymi możliwościami, budzącymi zarówno trwogę, jak i zachwyt? Evelyn czy Wesa? Nawet w takiej chwili tych dwoje walczyło o jej serce niczym wrywające sobie zdobycz ogary.

W pewnym momencie usłyszała szelest liści i z krzaków wyłonił się Wes. Szedł, zataczając się lekko. Był zziębnięty i trzymał się za bok. Na prawe podpuchnięte oko chyba nic nie widział. W lewym, nadal sprawnym i szeroko otwartym, Margaret dojrzała błysk zachwytu. Połowę jego twarzy pokrywał nakrapiany fioletowy krwiał, przywodzący na myśl odległą galaktykę. Nawet w takim stanie



wydawał się jej jednak zachwycający. Tak bardzo chciałyby z nim zostać, pragnęła tego ze wszystkich sił.

Ale nie mogła.

Poprzedniego dnia myślała, że starczy jej sił, by porzucić matkę. W nocy uwierzyła, że miłość Wesa ją ocali. Ale skoro tak łatwo znów w niego zwątpiła, może oznaczało to, że już zawsze definiować ją będzie strach stanowiący rdzeń jej istoty – pierwotna, zwierzęca wola przetrwania.

Niebo się rozchmurzyło i polanka utonęła w chłodnym blasku księżyca. Wyglądało to tak, jak gdyby stali w samym środku gigantycznego kręgu transmutacji. Powietrze było rozmigotane od magii, Margaret czuła, jak po ramionach pełzają jej ciarki.

– A więc to już? – spytał zdumionym głosem Wes.

– Prawie.

Teraz pozostawało jeszcze aktywować wzór wyrysowany na uchwycie noża. Kiedy chłopak ruszył w stronę hali, Margaret uniosła sztucer i wycelowała w niego.

– Ani kroku dalej.

Rozległ się szcęk zwalnianego bezpiecznika. Wes odwrócił się do niej powoli, unosząc ręce. Margaret nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy.

– Ostrzegałam, że zastrzelę cię, jeśli dasz mi powód.

– To prawda. Uważasz, że dałem?

– Nie – przyznała, mierząc go wzrokiem. – I na tym właśnie polega problem.

– Nie rozumiem – stwierdził skonsternowany.

– Obiecałeś, że dasz mi wszystko – powiedziała, próbując zapanować nad drżeniem rąk. – A ja i tak nie umiem... Nie wiem, co robić. Jak mam ci uwierzyć, że nie złamiesz danych mi obietnic? Że nie znikniesz, gdy zamknę oczy? Że nie stworzysz kamienia filozoficznego? Że naprawdę pisane jest nam szczęście? Że ja mogę być szczęśliwa? Skąd mogę to wiedzieć?

– Nie możesz. Margaret, proszę... Co mam ci powiedzieć? Co chcesz, żebym zrobił?

– Nic! Nic nie możesz zrobić ani powiedzieć. Ja nigdy się nie zmienię, już zawsze będę pogruchotana w środku. Taka już jestem.

Wiatr szemrał i syczał pośród drzew.

– Nie jesteś pogruchatana. Jesteś niesamowita. Odkąd się poznaliśmy, przebyłaś długą drogę. Nawet jeśli nadal się boisz i masz wątpliwości, to jest faktem. Kiedy patrzę na ciebie, nie widzę kogoś złamanego. Widzę kogoś, kto cierpi. I kto się leczy. Ten proces wymaga czasu, ale mnie to nie przeszkadza.

Wes ostrożnie zbliżał się do niej. Po chwili stał już tak blisko, że wylot lufy sztucera opierał się o jego pierś, dokładnie na wysokości serca.

– Kocham cię. Proszę, pozwól mi to zrobić.

Jego słowa sprawiły, że zatoczyła się do tyłu. On jednak chwycił mocno lufę i przytrzymał ją przy swojej piersi. Spojrzenie jego ciemnych niczym kawa oczu było żarliwe.

– Powiedziałem to raz i teraz powtórzę. Margaret Welty, kocham cię. Pokochałem cię chyba już w chwili, gdy pierwszy raz cię ujrzałem. Kocham cię teraz i będę cię kochać, gdy wrócimy do Wickdon, ściągając na siebie powszechną nienawiść. I będę cię tak samo kochać niezależnie od tego, co przyniesie jutrzejszy dzień. A teraz popatrz mi w oczy i nazwij mnie kłamcą.

Nie mogła.

– Kiedy tylko hala skona, truchło będzie należeć wyłącznie do ciebie. Będziesz je mogła oddać matce, jeśli tak zdecydujesz. Ale możemy też spalić je na *caput mortuum* i prochy wysypać do morza. Żadnych więcej słów. Żadnych obietnic. Zniknie powód, dla którego ludzie stawali się alchemikami takimi, jak twoja matka. A jeśli i to nie wystarczy, mogę... – Głos Wesa się załamał. – Możemy pozwolić, by nasi rywale dokończyli dzieła za nas.

Margaret nie wierzyła własnym uszom. Niemożliwe, żeby był aż takim romantycznym głupcem. Cóż za idiotyczna, autodestrukcyjna obietnica! Jeśli nie będzie mógł terminować u Evelyn, jeśli nie będzie mieć truchła hali, które potwierdziłoby jego zdolności, wówczas straci ostatnią szansę stania się alchemikiem.

– Jeśli nie odniesiemy zwycięstwa, nie zostaniesz alchemikiem. Wtedy zamknięta dla ciebie będzie również droga do polityki.

– Wiem o tym.

– Nie będziesz miał z czego opłacić operacji matki.

Tym razem się zawahał.

– Wiem.

Margaret zacisnęła powieki.

– Nie, to jest nie do przyjęcia, Wes. Nie mam prawa tego od ciebie żądać. Nie mogę oczekiwać, że poświęcisz dla mnie wszystko.

– Ale to jedyna gwarancja, jaką mogę ci dać.

– W takim razie nie chcę jej.

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, do oczu napłynęły jej łzy. Nie chciała żyć w świecie, w którym Wes będzie cierpiał z jej powodu. Nie zniosłaby świadomości, że to ona pogrzebała jego marzenia. Gwarancja, że nie zrobi czegoś, przed czym i tak się wzbraniał, nie była tego warta. Nic nie było tego warte, zwłaszcza że żadne gwarancje nie wystarczą, by sprowadzić na nią spokój duszy. Przez całe życie oczekiwała ciosów, ale mimo że przygotowywała się i była czujna, one i tak ją dosięgały.

Życie nauczyło ją, że miłość jest rzadkim i drogocennym skarbem; czymś, na co trzeba sobie zapracować, lecz nigdy nie można być pewnym, że się go dostanie; czymś, czego brakowało jej każdego dnia. Ale przy Wesie miłość była inna – lekkomyślna, niewyczerpana i dawana szczerze. Jego miłość po prostu *była*. Raz za razem, gdy Margaret dopadały wątpliwości, chłopak trwał przy niej. Udowodnił jej, że zasługuje na miłość taka, jaka jest – mimo wszystkich swoich lęków i murów, które wokół siebie wzniosła; że jest czymś więcej niż sumą zdarzeń, jakie ją spotkały, i wysiłków podjętych, żeby nie doświadczyć ich ponownie. A teraz Wes dawał jej szansę, by udowodniła to sama przed sobą.

Zbyt długo jej egzystencja była walką o przetrwanie. Teraz pragnęła po prostu żyć.

– Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy – powiedziała. – Dlatego muszę ci zaufać. Ufam ci.

– Łatwo mnie zadowolić – odparł cicho. – Pozwól mi się o ciebie zatroszczyć. Przysięgam, że cię nie zawiodę. Nie odejdę, dopóki sama mnie o to nie poprosisz.

– W takim razie nie odchodź. – Margaret wypuściła z rąk sztucer i zarzuciła Wesowi ręce na szyję. – Ja też cię Kocham.

Chłopak wydawał się oszołomiony, twarz mu płonęła. Ale już po chwili na jego ustach pojawił się uśmiech tak promienny, że aż ją zabolął.

– Najchętniej położyłbym się z tobą tu i teraz, ale mamy jeszcze gon do wygrania.

Jej niepoprawny romantyk. Czuła się zakochana po uszy.

Ekscytacja minęła, gdy jej spojrzenie padło na leżącą w świetle księżycy halę. Jej kark i łapa nadal tkwiły w zaciśniętych pyskach ogarów. Dyszała ciężko, lecz poza tym była już całkiem nieruchoma i bezwładna. To zwierzyzna, za którą połowa uczestników gonu mogłaby ich zabić – ostatni z demiurgów, ostatni z fałszywych bożków katarystów, ostatnie z sumickich boskich dzieci, ostatni z bożych darów Yu'adir.

Hala straciła już niemal całkiem wolę walki, gdy jednak zbliżali się do niej, drzewa zadrżały ostrzegawczo. Margaret uklękła przy lisie. Kiedy wiatr wyszeptał jej imię, poczuła niemal ulgę. Hala ją rozpoznała.

Spytała kiedyś ojca, jak to możliwe, aby coś tak strasznego i niszczycielskiego jak hala było darem od Boga, nawet jeśli faktycznie w sercu demiurga umieścił on sekret stworzenia świata. Oto co jej odpowiedział: „W języku Yu'adir istnieje słowo oznaczające mądrość: *chokmah*. Pismo powiada, że *chokmah* to nieskazitelne lustro potęgi Boga, obraz jego dobroci. Fundamentem zrozumienia jest bojaźń Boża. Zawsze musimy poszukiwać *chokmah*, nawet jeśli przyjdzie nam za to słono zapłacić”.

Wes chwycił rękojeść noża nadal tkwiącego w grzbiecie hali. Między palcami widział wyrysowany jasny krąg transmutacji. Spojrzał na Margaret spod splątanych włosów opadających mu na oczy, jakby prosił ją o pozwolenie.

Dziewczyna skinęła głową.

Wziął oddech. Ostrze rozbłysło blaskiem tak oślepiającym jak błyskawica, jak ślepie hali. Z gardła lisa dobyło się zduszone, żłosne skomlenie. Jego ciało przeszył dreszcz, a zaraz potem stało się bezwładne i nieruchome. Dopiero teraz ogary rozwarły pyski i wypuściły z nich ofiarę. Podmuch wiatru, który nadleciał, był drżący niczym długo wstrzymywany oddech.

Z ostatnim tchnieniem hali jakaś część magii uleciała ze świata.

Wes zaszlochał cicho. Margaret ukucnęła obok, żeby obetrzeć mu z policzków łzy. Chłopak wyciągnął nóż z lisiego grzbietu i upuścił

na ziemię. Czarne *caput mortuum* pokrywające ostrze łuszczyło się niczym rdza.

– Przemówiła do mnie.

– Co powiedziała?

– Tak dokładnie to nie wiem – przyznał ze smutnym uśmiechem. – Wiem, że musieliśmy to zrobić. Ale mimo to mam poczucie, że to nie w porządku.

– Mój ojciec twierdził, że Bóg dał ludzkości demiurgów, abyśmy się od nich uczyli. Wierzył, że alchemik zawsze powinien dążyć do *chokmah*, prawdy. – Wzięła go za rękę. – Jego zdaniem prawdziwe zrozumienie zawsze okupione jest cierpieniem i wymaga poświęceń. Przywoływał w tym kontekście psalm: „*Chokmah* jest wszechmocna i czyni wszystko nowym. Nikt inny, tylko właśnie ty potrafisz uczynić świat lepszym”.

– Margaret... – zaczął drżącym głosem.

– Poza tym twoja rodzina będzie teraz miała zapewniony byt. Nikt więcej nie zginie z powodu hali. A ty dałeś jej godną śmierć. Postąpiłeś szlachetnie.

– Dziękuję – odparł z bladym, niepewnym uśmiechem i lekko ścisnął jej dłoń. – Co teraz zrobimy?

– Musimy dać sygnał.

– Jaki sygnał?

– Halali na ubicie zwierzyny.

– Słucham? Halali na ubicie zwierzyny? Wymyśliłaś to na poczekaniu.

– Ależ skąd. Trzeba wznieść taki okrzyk, trzy razy.

Margaret przyłożyła dłonie do ust, układając je w trąbkę, i zawołała – z początku nisko, lecz z każdą sylabą dźwięk wznosił się coraz wyżej niczym woda podczas przyływu. Kłopot, zaintrygowany nietypowym zachowaniem swojej pani, szczerknął z ekscytacją.

Wes zamrugął szybko, jakby nie dowierzał, że dziewczyna potrafi wydawać z siebie takie odgłosy. Ale już po chwili odrzucił do tyłu głowę i powtórzył jej okrzyk. A przy trzeciej, już wspólnej próbie oboje pokładali się ze śmiechu. Ich głosy rozbrzmiewały echem w leśnej ciszy, a nim wszystko na powrót się uspokoiło, z daleka dobiegł ich czysty dźwięk rogu. Dokonało się.

Wes posłał Maggie szelmowski uśmiech, który sprawił, że jej serce zamarło na moment. Miał obolałą twarz, oboje wysmarowani byli krwią, ale to im wcale nie przeszkadzało, gdy przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nie przestawał, dopóki z całego świata nie pozostało tylko ich dwoje.

Bez Migotka – który zapewne skubał już trawę w czyimś ogrodzie – potrzebowali blisko dwóch godzin, żeby wydostać się z lasu. Nocne niebo było niesamowicie przejrzyste i jasne, niczym błękitne morze o zmierzchu. Przycupnięty pośród obłoków księżyc w pełni wydawał się perłą tkwiącą w małżu.

Na dole jednak nadal straszyły ponure ślady gonu. Kłęby popiołu wirowały na wietrze. Krew niczym rosa perliła się na liściach. Ciała zabitych leżały przykryte białymi całunami.

Idąc ramię w ramię, zostawili za sobą las i wyszli na otwartą przestrzeń. Grupa jeźdźców w oddali na razie stanowiła tylko czarną kreskę pośród bezmiaru złotego żyta. Najwidoczniej za sprawą Jaimego wiadomość o tym, kto zabił halę, rozeszła się lotem błyskawicy. Kiedy przybyli podjechali bliżej, Margaret wystarczył rzut oka na ich twarze, by stało się jasne, że nie daje im spokoju ta sama myśl co jej: Jak zareagują ludzie, gdy dowiedzą się, kto zwyciężył?

– Myślisz, że poszczują nas psami? – szepnął jej na ucho Wes.

– Na pewno – odparła, zachowując kamienną twarz.

Urzednicy czuwający nad przebiegiem gonu zatrzymali się przed nimi. Wszyscy dosiadali dorodnych czarnych rumaków, z których chrap z każdym parsknięciem dobywały się białe kłęby pary. Łowcza długo mierzyła ich wzrokiem.

– Zaczekajcie tu chwilę, dzieciaki. Musimy się naradzić, co z wami począć.

Wrócili po blisko godzinie, w towarzystwie pani Wreford i medyka. Zanim jeszcze koń pani Wreford się zatrzymał, kobieta zeskoczyła z siodła i puściła się biegiem w ich kierunku. W grubej futrzanej kurtce wyglądała jak nastroszony puszysty kot.

– Ależ najadłam się przez was strachu – mruknęła.

Już w następnej sekundzie rzuciła się obojgu na szyję i mocno uściśnęła. Wes zdobył się tylko na jęk protestu. Po krótkiej chwili odsunęła się i gestem przywołała jednego z urzędników. Mężczyzna

przybliżył się i wziął od Margaret smycz Kłopoty. Pani Wreford obrzuciła smutnym, niemal tęsknym spojrzeniem truchło hali.

– Mogę?

Kiedy Margaret skinęła głową, wzięła od niej zwłoki demiurga i owinęła je kawałkiem materiału, zupełnie jakby była to gomółka sera kupionego na targu.

– Jak się zapewne domyślacie, obawiamy się rozruchów, które mogą wybuchnąć, jeśli będziemy zwlekać z ogłoszeniem wyniku gonu. Dlatego chcemy zająć się tym niezwłocznie. Najpierw musimy coś zrobić z twoją bużką. – Tu kobieta dźgnęła palcem Wesa, na co chłopak spiekł raka. – Następnie pojedziemy do miasta i zaprezentujemy was widzom, ale zrobimy to szybko. Nie odezwiecie się ani słowem. Przez cały czas chcę mieć was na oku, dopóki nie wrócimy do domu. Zrozumiano?

Dziewczyna i chłopak potwierdzili milcząco.

– Dobrze. – Pani Wreford westchnęła. – Ponieważ potem może już nie być okazji, zrobię to teraz. Tradycja wymaga, aby uczestnicy, którzy pierwszy raz wzięli udział w polowaniu, zostali skropieni krwią upolowanej zwierzyny.

Trzymając ciało hali w jednej ręce, palcem drugiej przesunęła wzdłuż rany na jej grzbiecie. Odłożyła truchło, po czym ujęła Wesa pod brodę i nie zważając na jego grymasy, pokryła mu czoło i policzki srebrzystymi liniami. Krew hali rozświetlała mu teraz twarz miękkim pulsującym blaskiem.

– Westonie, daruj sobie te miny. To niegrzeczne – syknęła pani Wreford. Margaret widziała jednak, że tylko udaje złość. – A teraz pozwól medykowi opatrzyć ci rany.

Następnie zwróciła się do dziewczyny. Jedną dłonią przytrzymała jej głowę, a drugą wtarła krew hali w policzki. W dotyku srebrna ciecz wydała jej się ciepła. Kiedy obeschła, a pani Wreford przyjrzała jej się z niemym podziwem, Margaret wydało się, że srebrzysta poświata zmiękcza kontury otaczającego ją świata. I dopiero wtedy zaczęło do niej docierać, że to dzieje się naprawdę. Nawet jeśli wszyscy mieli ich za to znienawidzić, nawet jeśli za świadków mieli tylko sześć osób i Zimny Księżyc, nie dało się już zaprzeczyć temu, czego dokonali.

Dziewczyna Yu'adir i Banwisz zwyciężyli w Gonie Półksiężycy, udowadniając, że nie ma dla nich rzeczy niemożliwych.

Pani Wreford zwróciła się do Margaret:

– No i co? Wiesz już, co zrobisz?

Dziewczyna zerknęła na Wesa, który oczywiście zabawiał rozmową medyka. Mężczyzna o znękanym wyrazie twarzy świecił mu latarką po oczach. Widząc, z jakim przejęciem Wes mu coś opowiada, Margaret nie umiała opanować uśmiechu.

– Chyba wiem.

Pani Wreford ze łzami w oczach ucałowała ją w czoło.

– Maggie, tak się cieszę. Wpadaj czasami z wizytą, dobrze?

Z tego, co działo się potem, niewiele zapamiętała.

Ziemny trakt ustąpił miejsca brukowanym ulicom, zalało ich złociste światło latarni, a wkrótce wrzawa tłumu sięgnęła zenitu. Zostali poprowadzeni przez labirynt miejskich ulic, na które wylegli gapie. Odprowadzani przez łopot czerwonych chorągiewek rozciągniętych między budynkami i szeroko otwarte oko księżyca, dotarli w końcu na główny plac, gdzie ustawiono prowizoryczny podest. Oglądało ich teraz całe Wickdon.

Kurtki gawiedzi w kolorach brązowym, niebieskim i czarnym przywodziły na myśl wodę wirującą pośród nadmorskich skał. Nie wszyscy spoglądali na nich z niechęcią – Margaret zauważyła Annette Wallace i Halanana, którzy machali entuzjastycznie, kiedy ich mijali. Ale na widok osób odnoszących się do nich z nieskrywaną wrogością struchlało jej serce.

Ceremonia była tak krótka, jak obiecała pani Wreford. Przedstawiono zwycięzców, pastor Morris wygłosił nudne kazanie na temat bożej dobroci i nikczemności świata materialnego. Rzecz jasna nie mogło zabraknąć zdjęć – Margaret nigdy by nie pomyślała, że kiedykolwiek będzie pozować do tyłu fotografii. Podczas gdy ona marzyła tylko o jednym: żeby nareszcie zasnąć i nie budzić się przez tysiąc lat, Wes wręcz przeciwnie – z lubością pławił się w świetle fleszy. Medycy pracujący nad jego twarzą sprawili się dobrze: udało im się zredukować opuchliznę, choć jedno oko nadal było nabiegłe krwią, a wzdłuż nosa ciągnął się siniak wygięty niczym zakole rzeki. Podczas sesji zdjęciowej Wes starał się manewrować głową w taki sposób, żeby eksponować wyłącznie zdrową połowę swojej twarzy.

Zanim dopełnili wszystkich formalności i pozwolono im odejść, większość uczestników gonu przeniosła się do pubu albo do swoich



pokojów. Margaret wiedziała jednak, że zanim i ona uda się na zasłużony odpoczynek, ma jeszcze coś do załatwienia.

Kiedy ulice nieco opustoszały, wynajęli taksówkę, żeby dostać się do dworu Welty. Kiedy tylko zobaczyli gmach, opuszczony i jakby skulony niczym pies śpiący w przydrożnym dole, Margaret pomyślała, że wizyta tutaj jest błędem. Samochód wtoczył się na podjazd i oddech jej przyspieszył. Tylko uścisk dłoni Wesa przypominał jej, że nie jest sama. Świeciło się w jednym oknie na piętrze – miało rozbitą szybę, zatem matka była w swojej pracowni.

– Idę z tobą – powiedział Wes, wysiadając z samochodu. – Będę cię wspierać.

Kierowca wychylił się przez okno i oświadczył:

– Czekam tylko dziesięć minut.

– Dziękuję panu – odparł ujmującym tonem Wes. – Więcej czasu nam nie potrzeba.

Kiedy wspięli się po chybottliwych schodach na werandę i otworzyli frontowe drzwi, Margaret starała się uspokoić, skupiając na oddechu. Mimo to zimny pot ściekał jej po karku. W środku w kolumnach błękitnego, jakby wodnistego światła księżycy wirował kurz. Bezruch i nienaturalna cisza sprawiały, że wchodząc tutaj, miało się wrażenie, jakby człowiek wkraczał do wnętrza grobowca.

Na górze nic się nie poruszyło, nawet gdy zamknęli za sobą drzwi i skierowali się do pokoju Margaret, żeby spakować resztę jej rzeczy. Stawało się jasne, że Evelyn ma zamiar przeczekać w ukryciu, aż córka wyprowadzi się z domu. Dla Maggie było to jeszcze trudniejsze do zniesienia, niż gdyby matka zdecydowała się na konfrontację.

Dopiero gdy spakowani wrócili do holu, matka pojawiła się na schodach. Jej spojrzenie najpierw padło na ich splecione dłonie, potem na walizkę, którą taszczył Wes. Ponieważ w szklach okularów Evelyn odbijało się białe światło, Margaret nie mogła dojrzeć wyrazu jej twarzy.

– Widzę, że podjęłaś decyzję.

– Owszem.

– W porządku. – W głosie Evelyn pobrzmiwało skrajne wyczerpanie. – W takim razie kieruję moje prośby do pana, panie

Winters. Może pan ma więcej oleju w głowie i przemówi mojej córce do rozumu.

– Cóż, muszę panią rozczarować. Mówienie pani córce, co powinna zrobić, nie jest moją mocną stroną. Jest bardzo uparta.

– To chyba wasza wspólna cecha. Ponieważ okazał się pan nieczuły na groźby, w takim razie skłonna jestem pójść na kompromis. Weź ją sobie. Dom też wam oddaję, skoro tak się przy tym upierasz. Domyślam się, że zabierzesz ją do sądu i zaczekasz, aż umrę. Proszę tylko o to, byście przekazali mi halę. Oddam ci wszystko. Zależy ci na tym, by u mnie terminować? Dam ci coś lepszego. Już teraz wypiszę ci zaświadczenie o ukończeniu szkolenia i list polecający do Uniwersytetu Dunway albo dowolnej wskazanej przez siebie uczelni, w której mam znajomości. Dam ci wszystko, czego zechcesz.

– Nie. Nie jestem zainteresowany.

W pierwszej chwili usta wykrzywił jej grymas wściekłości. W miarę jak milczenie się przeciągało, na twarzy Evelyn odmalowywała się jednak świadomość porażki. Zaciśnęła palce na balustradzie schodów, aż pobieleły jej knykcie.

– Margaret, proszę. Nie rób mi tego. Nic mi nie zostanie.

I teraz Maggie wyraźnie ujrzała matkę taką, jaką była: kruchą kobietą, kurczowo czepiającą się resztek władzy. Zrobiło jej się żal. Przykro było widzieć osobę pokroju Evelyn, która upadła tak nisko. Kiedyś była pełna życia, pasji i uwielbiała swoje dzieci. Może Wes miał rację, kiedy powiedział, że każdy kryje w sobie jakiś mrok. Może wszyscy noszą drugie „ja”, które czeka w ukryciu jak ciemna strona księżyca. Śmierć Davida obudziła w niej tę drugą Evelyn, a jej wcześniejsza pasja zrodziła obsesję.

– Czy naprawdę tak zależy ci na tym kamieniu? – spytała Margaret. – On i tak nie zdoła niczego naprawić. Nie przywróci życia mojemu bratu. A nawet jeśli to się uda, czy to w ogóle miałoby dla ciebie jakieś znaczenie teraz, gdy tak wiele już pogrzebałaś w sobie? A może zawsze bardziej kochałaś wspomnienie o bracie niż mnie, nadal żywą?

A więc stało się – oddała głos małemu, straszliwemu lękowi, który od dawna mieszkał w jej sercu.

– Zawsze byłam tuż obok – ciągnęła. – Jako twoja córka byłam wiecznie skazana na niedosyt. Brakowało mi twojej czułości, poczucia bezpieczeństwa, uwagi. Wreszcie doszłam do wniosku, że jeśli nie będę cię o nic prosić, nie będę ci się narzucać, jeśli zaopiekuję się nami obiema, dopóki nie ukończysz swojej pracy, zasłużę sobie na twoją miłość. Myliłam się. Ty nigdy mnie nie dostrzegłaś. Nie obchodziłam cię.

– Margaret, to samo mogę powiedzieć o tobie. Skoro tak mnie postrzegasz, ja ze swojej strony mam prawo stwierdzić, że ty też nigdy mnie nie widziałaś.

To stwierdzenie był dla Margaret niczym kubeł zimnej wody. Stanowiło potwierdzenie, że matka nigdy się nie zmieni.

– Dlaczego ojciec nigdy nie napisał listu? – Były to ostatnie słowa, jakich sama po sobie się spodziewała. – Dlaczego nigdy po mnie nie wrócił?

Evelyn wydawała się równie zaskoczona. Westchnęła z rezygnacją.

– Chciał zabrać cię ze sobą. Ale nie pozwoliłam mu, nie zniósłabym tego, gdybym ciebie też straciła. Zapowiedziałam, że jeśli kiedykolwiek się do ciebie zbliży, gorzko tego pożałuje.

Z jednej strony wyznanie matki było przeraźliwie bolesne, z drugiej wydało się Margaret wybawieniem. A zatem ojciec wcale o niej nie zapomniał. Nie porzucił jej. Wspomnienia, jakie o nim zachowała, nie zwodziły jej. Na myśl o tym, jak mogło wyglądać jej życie, zbudziły się w niej tęsknota i gniew. Ale nawet teraz nie potrafiła znienawidzić matki. Kiedy emocje opadły, pozostała w niej ponura pewność.

Nigdy więcej jej noga nie postanie w dworze Welty.

– Dziękuję – odezwała się cicho. – Żegnaj, matko.

Nie czekając na reakcję Evelyn, Margaret pchnęła drzwi i wyszła na werandę. Kiedy omiótł ich snop reflektorów taksówki, kierowca, zapewne mocno już niecierpliwiony, wdusił klakson. Maggie zrozumiała jednak, że nie wsiądzie do ciasnej kabiny samochodu – nie teraz, gdy miała ochotę zderzyć z siebie skórę i gdy czuła się tak bezbronna, że byle oddech mógłby obrócić ją w pył. Usiadła na werandzie. Wes zajął miejsce tuż przy niej. Rozległ się kolejny

klakson, a wtedy chłopak, ze sztucznym uśmiechem, zamachał w stronę samochodu.

– Dupek – mruknął. Zwracając się do Margaret, stwierdził: – Zachowałeś się dzielnie.

– Odniosłam zupełnie inne wrażenie. Wydaje mi się, że to, co zrobiłam, było okrutne i niesprawiedliwe.

– Nic podobnego – powiedział, przytulając ją, a Margaret pomyślała, że najchętniej zatonęłaby w miłym ciepłe jego ciała, znajomym aromacie liści laurowych i siarki. – To ona postępowała wobec ciebie w sposób okrutny i niesprawiedliwy. Nie jesteś jej nic winna. Robisz to, co dla ciebie najlepsze.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Przypuszczam. – Uśmiech, który pojawił się na jego ustach, był inny niż zwykle. Wes nie wyszczerzył do niej zębów, nie był to również zalotny grymas. Ten był jednym z nielicznych, które zachowywał tylko dla niej. – Ale czy można mieć jakąś pewność w tych sprawach?

Margaret oparła głowę o jego bark.

– Ty możesz.

– Chodźmy – powiedział, muskając ustami jej skroń. – Do domu.





zek, który miasto Wickdon wypisało Wesowi, opiewał na bardzo, bardzo okazałą sumę.

Kiedy pracownik banku mu go wręczył i chłopak ujrzał niestaranny, jakby pośpieszny charakter pisma Waltera Harringtona, który zdawał się sugerować, że burmistrz wzdragał się przed wypisaniem czeku, poczuł wielką satysfakcję. Kwota – siedemdziesiąt pięć dolarów – mogła przyprawiać o zawrót głowy. Wes nigdy dotąd nie widział na własne oczy takiej sumy. Podejrzewał zresztą, że okazja taka już nigdy się nie powtórzy. Pieniądzy powinno starczyć nie tylko na opłacenie operacji matki, ale też na zamieszkanie z Maggie gdzieś, gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Miał nadzieję, że środków z wygranej będzie dość, by wynagrodzić rodzinie wszystkie kłopoty, na jakie ją naraził.

Gon dobiegł końca poprzedniego dnia i w tym czasie miasto zdążyło się wyludnić. Ciszę późnego poranka zakłócały tylko pokrzykiwania mew walczących o okruchy czerstwego chleba. Morze tego dnia było spokojne, fale obmywały brzeg, łagodnie niczym kociaki. Hulający po ulicach wiatr lekko mierzwił Wesowi włosy. Ale nie niósł już żadnego tajemniczego głosu. Nie kryły się w nim sekrety wszechświata, nad których przypomnieniem sobie miałby się trudzić przez resztę życia. Ten powiew pachniał morzem, obietnicą.

Swoją rodzinę, wraz z Margaret, odnalazł w kawiarni. Wszystkie panie siedziały przy stoliku przed lokalem, otoczone murem waliz, wyglądającym jak fundamenty małego miasta. Rodzina Wesa zachowywała się jak tylko ona potrafiła: czyli o wiele za głośno. Margaret, popijająca herbatę z eleganckiej ceramicznej filiżanki, minę

miała niewyraźną, jakby nie mogła się zdecydować, czy zachowanie pań Winters bardziej ją śmieszy, czy żenuje.

Wes zakradł się niepostrzeżenie, stanął za Colleen i zakrył jej dłońmi oczy.

– Zgadnij...

Nim dokończył, dziewczyna gwałtownie odchyliła się do tyłu, wymachując rękami, z których jedna uderzyła go w bok. To wystarczyło, by na długą chwilę stracił oddech, a jego ciało przeszył oślepiający ból. Medyk poinformował go wcześniej, że ma złamane żebro. Wprawdzie dzięki ingerencji alchemicznej dało się przyspieszyć proces leczenia, miało jednak upłynąć sporo czasu, nim Wes wróci do pełni sił. A teraz, po przypadkowym ciosie Colleen, okres rekonwalescencji miał się dodatkowo wydłużyć.

Siostra zasłoniła sobie dłońmi usta.

– O Boże. Wes, przepraszam!

– Sam jesteś sobie winny – oświadczyła Christine, odstawiając filiżankę na spodeczek.

– Mógłbym obciąć wam obu wypłatę – powiedział. – Macie szczęście, że jestem w dobrym nastroju.

Położył na stole przed matką czek. Kobieta odczytała kwotę i z wrażeń aż jęknęła. Reakcja ta sprawiła, że Wesowi łzy wzruszenia napłynęły do oczu.

– Wes, to za dużo. Nie mogę tego przyjąć.

Mad napiła się kawy.

– A ja mogę.

– Nie ma mowy – stwierdziła Christine, porywając ze stołu czek.

– Ja też chcę zobaczyć, pokażcie mi! – zawołała Colleen.

– Jeśli go podrzecie, zamorduję was obie – ostrzegła Mad.

– Wszystkim trzeba się dzielić – oświadczyła ze stoickim spokojem Edie.

Podczas gdy siostry były pochłonięte sprzeczką, matka wstała i uścisnęła Wesa.

– Nie wiem, co powiedzieć poza tym, że ci dziękuję.

Opierając brodę na czubku jej głowy, Wes powiedział:

– To nie mnie dziękuj, tylko Margaret.

Margaret spiekła raka. Ale udało jej się to ukryć za pięknie ozdobionym brzegiem filiżanki.

– Drobiazg.

– Wręcz przeciwnie – rzekła pani Winters. Obandażowaną dłonią chwyciła syna za rękę, a drugą ujęła dłoń Margaret. – Jestem taka wdzięczna wam obojgu. I cieszę się, że się odnaleźliście. Wiesz, ja zawsze marzyłam o piątej córce. Poza tym Weston musi się wreszcie ustatkować.

– Mamo! Już wystarczy, dobra? Przestraszysz ją!

– Dobrze, dobrze – powiedziała z porozumiewawczym uśmiechem pani Winters. – Przygotujemy dla was pokój, będzie na was czekał, kiedy przyjdziecie dziś wieczorem. Oho, to chyba nasza taksówka.

Wes cmoknął mamę w policzek.

– Do zobaczenia. Uważajcie na siebie.

Po chwili na brukowaną kocimi łbami uliczkę wtoczyła się elegancka czarna taksówka i zatrzymała się nieopodal. Wes zerknął do środka przez okno i momentalnie rozpoznał podkręcony blond wąs. Jęknął. Oczywiście musiał im się trafić Hohn. Na widok wesolej gromadki mężczyźnie wyraźnie zrzędał mina. Pewnie żałował, że przyjął to zgłoszenie. Zauważalnie pobladł, mimo to odkręcił okno i z niepewnym uśmiechem powiedział:

– Och, pan Winters! I... panny Winters?

Podczas gdy wszystkie panie zajmowały miejsca, Wes otworzył bagażnik i powkładał do niego walizki.

– Opiekuj się nimi, Hohn. I powodzenia!

Biedny taksówkarz będzie go potrzebował.

Wes pomachał im jeszcze na do widzenia, a kiedy taksówka się oddaliła, zmiął w ustach przekleństwo – piski i śmiechy jego sióstr niosły się po całym kwartale.

Zefirek od morza pieścił mu twarz, bawił się włosami Maggie. Dziewczyna przypatrywała mu się w zadumie, jej oczy w blasku słońca miały ciepłą barwę whisky. Mieli dla siebie całe popołudnie, podczas którego zamierzała pożegnać się z Wickdon. A potem...

Cóż, Wes podejrzewał, że możliwości są nieskończone.

– Wreszcie sami – stwierdził ze znaczącym uśmiechem.

– Owszem – padła zwięzła odpowiedź, ale Wes wyraźnie słyszał, że w głosie Margaret pobrzmiewa uśmiech.



Chwycił ją w tali i przyciągnął do siebie tak blisko, że poczuł w jej oddechu słodką herbatę, którą przed chwilą popijała: miętę, miód i nutę czegoś, co należało tylko do Margaret.

– I jak wykorzystamy ten czas?

Przygryzła wargę, żeby się nie roześmiać. Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy nagle rozległ się obok nich jakiś inny głos:

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam. Pan Weston Winters, zgadza się?

– Tak, to ja.

Wes rozluźnił uścisk, w jakim zamknął Margaret, i niechętnie uniósł spojrzenie. Musiała upłynąć chwila, nim rozpoznał stojącą za nimi młodą kobietę. Teraz ubrana była znacznie skromniej niż na pokazie alchemicznym, kiedy się spotkali po raz pierwszy. Oczywiście nie mógł zapomnieć kogoś o tak prostodusznym i szczerym uśmiechu – zwłaszcza że osoba ta pomogła mu, nie oczekując niczego w zamian.

– Panna Harlan?

– Pamięta pan! Mów mi Judith. Jestem ci chyba winna gratulacje. Wydawało mi się, że dobrze rokujesz, ale w najśmielszych snach nie przypuszczałam, że nagrodę zgarnie pozbawiony licencji alchemik.

Poczuł, jak Margaret zastyga. Wymienili spojrzenia. Nadal nie ustalili, co powiedzą, gdy ktoś spyta Wesa, jak tego dokonał.

– To nie moja zasługa – odparł, wybuchając nerwowym śmiechem. – Ale dziękuję. Doceniam to.

– Cieszę się, że na ciebie wpadłam. Mam propozycję.

– Jakiego rodzaju?

– Co powiesz na krótką przechadzkę?

Wes zerknął na Margaret, która skinęła głową. Jej spojrzenie kryło w sobie ostrzeżenie – uważaj – ale równocześnie miłym głosem powiedziała:

– Zaczekam tutaj.

– Zatem chodźmy – oświadczył Wes, wsuwając ręce do kieszeni.

Minęli barwne witryny kilku sklepów, których właściciele rozpaczliwie starali się pozbyć ostatnich związków z gonem drobiazgów – etoli z lisiego futra, trąbek wyrzeźbionych z krowich rogów i babeczek z pyskiem białego lisa narysowanym na polewie.

Nim dotarli do końca kwartału, Wes umierał z ciekawości, jaką propozycję ma dla niego Judith.

– Nie mam zamiaru dopytywać, jak zabiłeś halę. Zresztą wątpię, żebyś podzielił się ze mną tą wiedzą. To dla mnie bez znaczenia. Dopiero niedawno sama otrzymałam licencję alchemika i marnie u mnie z pieniędzmi. Wiesz, jak to jest. Mieszkam w Bardover, parę miast na północ stąd. I pomyślałam, że przyjmę ucznia na praktyki, bo wtedy będę mogła liczyć na zapomogę z urzędu, no i skorzysta na tym moja reputacja.

– I chcesz przyjąć na terminatora akurat mnie? Dlaczego?

– My, dzieciaki z Piątej Dzielnicy, musimy się trzymać razem. Talentu nie da się wpoić, a ty już go masz. Byłaby szkoda, gdybyś go zmarnował. – Judith zwolniła. Przechodzili akurat obok stoiska z cynamonowymi ciasteczkami z lukrem. – Jakie masz plany na przyszłość?

Wes się zawahał.

– Chcę zostać politykiem.

– Tak się składa, że ukończyłam Uniwersytet Dunway. Kto wie, może pomożemy sobie nawzajem. – Zaczęła przetrząsać zawartość swojej torebki, po chwili wyciągnęła z niej wizytówkę. Wes wziął ją ostrożnie do ręki. – Jak będziesz w okolicy, odezwij się. Napiszę ci list polecający. I przyprowadź tę swoją dziewczynę. Wyborcy zawsze są łąsi na porządną historię z gatunku od zera do milionera. Zwłaszcza z romansem w tle.

Przez chwilę obracał kartonik w dłoniach. Przyglądał się wytłoczonym złożonym literom układającym się w imię i nazwisko dziewczyny. Czuł się jak mocno wstrząśnięta butelka szampana – coś wzbierało mu w piersi, powodując, że z trudem przychodziło mu znalezienie słów. Jego dziewczyna. List polecający. Kolejna szansa od losu, by spełnił swoje marzenia.

Dostał wszystko, czego pragnął.

– To jak będzie?

– Chciałbym najpierw przedyskutować to z rodziną i... swoją dziewczyną. – Odchrząknął, po czym najbardziej dojrzałym, zrównoważonym głosem, na jaki było go stać, powiedział: – Niedługo się odezwę.

– Świetnie.

Musiał ze wszystkich sił się powstrzymać, żeby wracając do Margaret, iść spokojnie, a nie biec. Na jego twarzy widniał promienny, dość idiotyczny uśmiech od ucha do ucha. Przyszłość nareszcie rysowała się w jasnych barwach, tak jak sobie wymarzył.





nocy wybrali się nad morze.

Margaret usiadła na wyrzuconej przez fale kłodzie, gładkiej i bladej niczym marmur, i patrzyła, jak Kłopot gania w tę i z powrotem wzdłuż brzegu. Przy każdym radosnym skoku spod jego łap wzbijała się fontanna wody, którą z zapałem próbował chwytać pyskiem. Nieco dalej Wes rysował kijkiem na piasku krąg transmutacji. Jego buty zostały przy niej, spodnie miał podwinięte nad kostki.

Kiedy krąg był gotowy, na środku umieścił drewnianą skrzynkę. W jej wnętrzu kryło się truchło hali, na które padało światło księżyca. Na tle aksamitnej tkaniny, którą wyłożona była ta improwizowana trumienka, białe futro jaśniało niczym sopte w słońcu. Wes przyklęknął obok skrzyni i położył dłonie na wzorze.

Nic dziwnego, że ludzie myślą o alchemii jak o magii. Jej działanie jest, zdawałoby się, pozbawione wysiłku. W jednej chwili widać było Wesa klęczącego na piasku. A już w następnej osłaniał ramionami twarz przed uderzeniem żaru buchającego z rozpalonego przez niego ognia. Płomienie wystrzeliły pod niebo, jaśniejsze niż spadająca gwiazda.

A kiedy ogień już się dopalił, we wnętrzu skrzyni pozostała tylko kupka czarnego *caput mortuum*. Teraz wystarczyłoby przeprowadzić jeszcze jedną transmutację, oczyszczając je do postaci *prima materia*. Z niej natomiast można by już wykuć kamień filozoficzny.

Po tej nocy będzie to już niemożliwe.

Margaret wstała i ruszyła do niego. Mimo że reakcja alchemiczna dobiegła już końca, wytworzony przez nią żar nadal rozgrzewał powietrze. Dziewczyna czuła woń siarki zmieszanej z morską solą.

Wes podniósł skrzynkę i wręczył jej. Była ciepła, a jej zawartość czarna niczym morze. Wszystkie cierpienia, których zaznała, tradycja, nienawiść i splendor – wszystko to dla tej kupki popiołu.

Woda obmyła jej stopy. Pod wpływem chłodu instynktownie podwinęła palce, zanurzając je w piasku. Hen, na horyzoncie, światło księżyca skrzyło się na tafli morza, jakby Bóg rozrzucił na wodzie garść diamentów. Wes, z dłońmi w kieszeniach, wpatrywał się w jakiś odległy punkt w przestrzeni, którego Margaret nie potrafiła odnaleźć. Wiatr mierzwił mu włosy i targał połami płaszcza.

Margaret pomyślała, że wygląda teraz bardzo poważnie – niemal dojrzałe. Jakaś nieduża część niej samej nie mogła pogodzić się z tym, że odrzucają możliwość osiągnięcia *magnum opus* i bezdusznie zaprzeczają wszystkie starania jej matki.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Margaret, a jaki pożytek mi przyjdzie z garści popiołu?

W jego głosie próżno było szukać wesołości. Wes podchodził do tego rytuału z powagą żałobnika na pogrzebie, za co była mu wdzięczna. Całe szczęście, że zaimprovizowana ceremonia nie prowokowała go do żartów. Mad miała rację, kiedy stwierdziła, że Wes nie potrafi robić niczego na pół gwizdka, tylko ze wszystkiego urządza wielkie przedstawienie.

Serce Margaret ścisnęło się z tęsknoty. Nadejdzie dzień – kiedy osiągnie już zamierzone cele – gdy w radiu będzie można usłyszeć poświęcone Wesowi audycje, a na łamach gazet ukażą się poświęcone mu artykuły. Będą opowiadać o mężczyźnie, który pokochał ten kraj, mimo że sam nigdy nie czuł się przez niego kochany. O mężczyźnie, który zdołał zmienić go na lepsze. Margaret nie miała wątpliwości, że w tekstach tych zostanie uchwyconych wiele cech Wesa: jego odwaga i upór, temperament i pragnienie sprawiedliwości. Ale przede wszystkim liczyła na to, że świat ujrzy go takiego, jakim ona go widzi; że doceni jego empatię i delikatność, gotowość, by wspólnie z nią zmierzyć się z jej piekłem.

– Jeśli ktokolwiek może to raz na zawsze zakończyć, jesteś to ty – powiedziała.

– Nie. Wciąż próbuję zrozumieć, co hala próbowała mi powiedzieć i jaką naukę powinienem z tego wynieść. Wydaje mi się, że *magnum opus* to pułapka albo test. A może jego poszukiwanie to

daremny trud. Sam nie wiem. Wiem jedno: jeśli Bóg, prawda czy jakkolwiek to nazwiemy faktycznie istnieje i możliwe jest dotarcie do niego, nie znajdziemy go w tej skrzynce. On czeka na nas w innych ludziach.

Margaret przez chwilę namyślała się nad jego słowami.

– A może tylko w tobie – uściślił.

Schyliła głowę, żeby nie widział, jak się uśmiecha.

– Nie bluźnij.

Wes puścił do niej oko.

– Może lepiej poszukaj sobie grzecznego chłopaka katarystę.

– Chyba jakoś dam sobie radę z tobą.

Nie wiedziała, jaka dokładnie przyszłość ich czeka. Cały ich dobytek mieścił się w walizkach leżących za nimi na piasku. Teraz jednak, gdy stała u boku tego chłopaka, linia horyzontu nie wydała jej się kresem świata, lecz raczej jego początkiem. Wes popatrzył na nią, a to, co znalazła na dnie jego oczu, przepełniło ją cudownym, rozmigotanym szczęściem.

Poczucie bezpieczeństwa. Miłość.

Kłopot nadal hasał w wodzie. Wes ujął Margaret za rękę, a delikatny podmuch wiatru porywał jej włosy i szeptał do ucha swoje sekrety. Spoglądając w dal, ze wzrokiem utkwionym w horyzoncie, rozsypała prochy.

# PODZIĘKOWANIA

Wszyscy ostrzegali mnie, że druga powieść to prawdziwy sprawdzian dla pisarza. Jakimś cudem jednak pisanie tej książki szło mi bez większych oporów, a wręcz miałam wrażenie, jakbym wracała do domu. Pracując nad nią, czułam się, jakbym wpuszczając światło do pokoju, do którego przez długi czas nikt nie zaglądał. Jestem niezmiernie wdzięczna wszystkim osobom, bez których *Noc Zimnego Księżycy* nigdy by nie powstała i które wspierały mnie na każdym kroku.

Przede wszystkim pragnę podziękować mojej redaktorce Jennie Conway. Praca z tobą to dla mnie zaszczyt i przyjemność. Jestem taka dumna z tego, co wspólnymi siłami osiągnęłyśmy! Jak zawsze wielkie dzięki za twoje notatki z uwagami, za to, że stoisz murem za mną i moją twórczością, i za to, że pokochałaś Margaret.

Dziękuję moim agentkom literackim Jess Mileo i Claire Friedman. Co ja bym bez was poczęła? Dzięki, że zawsze, nawet w najtrudniejszych momentach, mogę liczyć na waszą pomoc. Wprawdzie rozpaczałam, kiedy kazałyście mi usunąć całą drugą połowę szkicu tej powieści, lecz okazało się, jak zresztą zwykle, że miałyście rację.

Jestem też oczywiście winna podziękowania wspaniałemu zespołowi redakcyjnemu z wydawnictwa Wednesday Books, w którym moje książki znalazły wymarzony dom. Szczególnie jestem wdzięczna Mary Moates – dzięki za kolosalną pracę, którą wykonałaś, i za to, że twoje maile zawsze podnoszą mnie na duchu! Podziękowania niechaj raczą przyjąć też inni: Rivka Holler, Brant Janeway, Natalie Figueroa, Sara Goddman, Eileen Rotschild, Melanie Sanders, Lena Shekhter oraz NaNá Stoelzle. Dziękuję Kerri Resnick za projekt okładki moich marzeń, Em Allen za cudowną



ilustrację, Devanowi Normanowi, który kolejny raz udowodnił, że projekt graficzny książki może być sztuką, i Rhysowi Daviesowi za niesamowitą mapę. Dzięki wam wszystkim niniejsza książka to nie tylko literatura, ale też małe dzieło sztuki.

A teraz parę słów o tych, którym powieść zawdzięcza taki, a nie inny kształt. Aleksie Huffman – to ty zmotywowałaś mnie do napisania tej historii. Christine Herman – byłaś pierwszą krytyczką mojej pracy i jestem ci niezmiernie wdzięczna za wszystkie twoje uwagi. Ava Reid – skłoniłaś mnie do eksplorowania w pisarstwie tego, co we mnie samej jest najdelikatniejsze i bezbronne; dzięki tobie zrozumiałam, o czym będzie ta książka.

Dziękuję reszcie naszej Wielkiej Piątki – Audrey Coulthurst, Elishy Walker, Helen Wiley i Rebecce Leach – za moralne wsparcie, jakiego udzielacie mi w życiu i pisarstwie. To dzięki wam przeżyłam jakoś ten rok; specjalne podziękowania dla Audrey za piękny tekst na okładkę i dla Elishy za udzielone mi konsultacje w zakresie zachowania zwierząt. Wprawdzie pozwoliłam sobie na parę szaleństw, ale możesz być spokojna, nie spłoszyłam żadnego konia.

Lex Duncan i Skyla Arndt – wasz talent i niezrównana etyka pracy są dla mnie inspiracją każdego dnia. Dzięki dla Zoulfy Katouh, Meryn Lobb i Kelly Andrew za lekturę wczesnej wersji powieści i doping (dla mnie, ale oczywiście przede wszystkim dla postaci Wesa). Dług wdzięczności zaciągnęłam również u Courtney Gould i Rachel Morris, bez których kompletnie bym się pogubiła. To wielkie szczęście mieć wokół siebie ludzi obdarzonych tak wielkim sercem i talentem.

Rok 2021 nie był idealnym momentem na debiut pisarski. Mimo to spotkałam się z niezwykle ciepłym przyjęciem ze strony ludzi skupionych w społeczności księgarsko-blogowej, którzy poświęcili mi mnóstwo czasu, energii i miłości. Dziękuję Joss Diaz za to, że jesteś po prostu cudowną osobą i że tyle pracy włożyłaś w przygotowanie kampanii przedsprzedażowej książki. Dziękuję Cody Roecker za umieszczenie mojej powieści na liście Indie Next, a przede wszystkim za twoją przyjaźń. Jestem pewna, że wkrótce zrobisz furorę w świecie wydawniczym. Dziękuję Cossette ze strony teatimelit oraz Taylor (taylorreads), które niestrudzenie promowały moją pierwszą powieść pt. *Down Comes the Night*. Nie wiem, czym

sobie zasłużyłam na waszą sympatię! Z całego serca dziękuję DJ DeSmyter, Cristinie Russell, Kalie Barnes–Young, Rachel Strolle, Mike’owi Lasagni, Maddie z księgarni Books Inc. w Palo Alto, Lori i Glenowi z księgarni Books Inc w Mountain View, Chloe (theelvenwarrior), Skye z bloga Quiet Pond, Charlotte z bloga Reads Rainbows, Michelle z bloga Magical Reads, Allie Williams, Cheyenne (cheykspeare), Emily z Adaptation Brain, Cait Jacobs i wszystkim członkom grupy Queen’s Guard – nawet nie wiecie, ile zawdzięczam waszemu wsparciu.

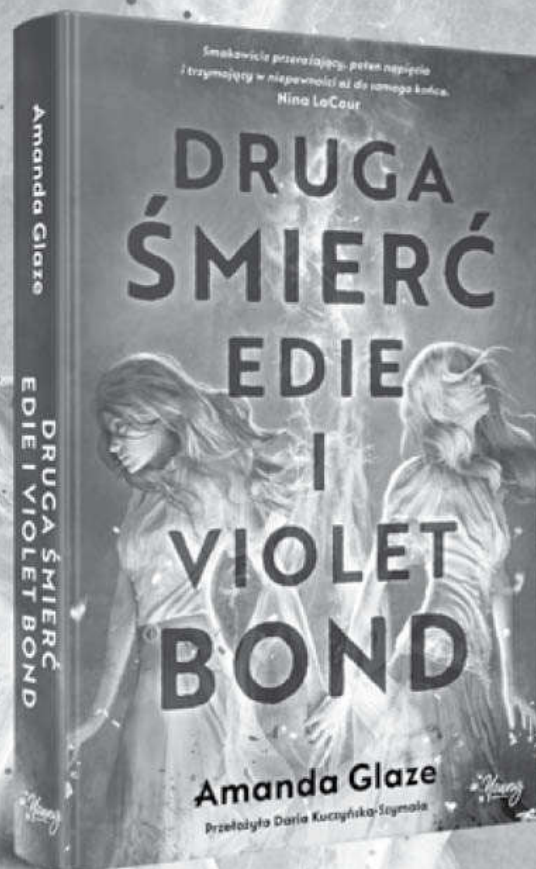
Aziz, Fudge, Brandon i Ryan – dzięki za kawę, za lekcje pokory i za to, że wyciągaliście mnie z domu, żebym dla odmiany łyknęła trochę słońca (a czasami przy okazji nawdychała się dymu z pożaru).

Mitch Therieau – dziękuję za to, że mnie kochasz. I za to, że pomagasz mi marzyć.

Wreszcie pragnę podziękować wszystkim tym, którzy sięgnęli po tę książkę. Dziękuję, dziękuję, dziękuję. To dla was piszę, to wy jesteście iskrą, która ożywia moje powieści. Jeśli potrzebujecie pociechy, mam nadzieję, że odnajdziecie ją na kartach *Nocy Zimnego Księżycy*.




**ZAJRZYJ ZA ZASŁONĘ MROKU  
I WKROCZ DO KRAINY DUCHÓW!**




**CZY JESTEŚ W STANIE ZAWALCZYĆ  
Z SIŁAMI ZŁA O SIEBIE I SWOICH  
BLISKICH?**

 [wydawnictwokobiece.pl](http://wydawnictwokobiece.pl)

 Wydawnictwo Young

 wydawnictwoyoung

 wydawnictwoyoung











**URZEKAJĄCE ROMANTASY  
INSPIROWANE LEGENDĄ O CHANG'E,  
CHIŃSKIEJ BOGINI KSIĘŻYCA.**



**POZNAJ DYLOGIĘ NIEBIAŃSKIE KRÓLESTWO.  
WCIĄGAJĄCA, ORYGINALNA I NIEDAJĄCA SIĘ  
ODŁOŻYĆ!**

-  [wydawnictwokobiece.pl](http://wydawnictwokobiece.pl)
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://twitter.com/wydawnictwoyoung)

 Young











**WSCHODZI KRWAWY KSIĘŻYC.  
OPADA KRWAWA ZASŁONA.  
ROZPOCZYNA SIĘ TURNIEJ.**



**CAŁY ŚWIAT WIE O STRASZLIWYCH ZAWODACH,  
ALE NIKT NIE MOŻE ICH PRZERWAĆ.**

-  [wydawnictwokobiece.pl](http://wydawnictwokobiece.pl)
-  Wydawnictwo Young
-  [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)
-  [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

*Young*



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*A Far Wilder Magic*

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik  
Wydawczyni: Agnieszka Nowak  
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska  
Korekta: Kinga Dąbrowicz  
Projekt okładki: © Emily Allen  
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski  
Mapa: © Rhys Davies  
Grafika na stronach rozdziałowych: © Santy Hong / Stock.Adobe.com

Copyright © 2022 by Allison Saft

Copyright © 2024 for the Polish edition by Young an imprint of  
Wydawnictwo Kobięce Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Goździkowski,  
2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.  
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek  
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego  
uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne  
Białystok 2024  
ISBN 978-83-8321-782-6

**Grupa**                      **Wydawnictwo**                      **Kobięce**                      |  
[www.WydawnictwoKobięce.pl](http://www.WydawnictwoKobięce.pl)



Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)